



Elżbieta Wojnarowska

Wygnańcy
raju

PLSK 13061
ISBN 978-83-7440-130-0

Elżbieta Wojnarowska

Wygnańcy Raju

Prolog

Dział się cud. Za każdym razem. Wystarczyło wyciągnąć rękę i dotknąć Cię. Świat kurczył się do rozmiarów naszych ciał. Do wąskiego obrysu łóżka. Mikrokosmos kołdry, w prostokącie ciasnej ciemności. Ogarniała mnie gorączka. Z lękiem rozpoznawałam na nowo każdy szczegół. Wciąż z takim samym uporem. Bez pewności, że odnajdziemy znów siebie na końcu tej drogi. Podzielonej na łokcie, pięty, uda, kolana, poplątane ścieżki donikąd. Dotykałam Cię, bez końca. Błogosławiłam ciemność, zapiekłą tajemnicę, pomiędzy dwiema elektrodami naszych ciał. Zaburzała rotację Ziemi. Unosiła wysoko. Strącała równie gwałtownie. Ten rytm wydobywała wprost z nas. Wbrew nam i naszej woli. Uciskała pachwiny, aż zaczynały drgać niekontrolowane. Czas pękał z trzaskiem na sekundy. Nie mijały. Było tylko trwanie. I my. W nieskończonym pędzie, tego co moje i Twoje, do rozpadu i zjednoczenia. Od nieuchwytnego momentu już razem. Na oślep. Nieokiełznana, mordercza fala krwi, rozsadzająca monotonnym tonem. Tempo! Tempo! Dwoje bezwolnych szaleńców. Dokąd? Duszący strach, że nie ma już szans ucieczki. Przed tym, co podchodziło do gardła, łomotało w lędźwiach...

I nagle ta cisza.

Odgarniasz mi włosy z czoła. Całujesz. Błogosławiony chłód na moim czole. Twoje ramiona wokół mnie, kojące. Szukam resztek śliny, aby ostudzić spieczone wargi, kradnę ostatnią kroplę z Twojego języka. Już się nie boję. To sen. To tylko sen. Niemożliwe dzieje się tylko we śnie. Spełnia się i wypełnia. Śnię pełnią Ciebie.

– Idź, umyj się – słyszę Twój szept.

Śmieję się. Nie chcę. Przecież śpię. Nie budź mnie. Jest dobrze. Współobjęci,

święci, napelnieni sobą. Świat znów biegnie jak wprzód. Wszystko jest, jak było. Jak gdyby nic się nie wydarzyło. Jakby mój sen nie miał znaczenia. Ciało śni. Wciąż jeszcze i jeszcze. Pulsuje delikatnie pod Tobą. Miękkim policzkiem, miękkością pachwin. Przesuwam palcami wzdłuż i wszerz, wszędzie Ty. Obok ja. Jak to możliwe? Ile minęło lat świetlnych? Gdzie jesteśmy? W jaki sposób nas nie ma? Nie odpowiadaj. Nie budź. Bądź. Podążam za promieniem księżyca. Krocę za jego cieniem. Ponieważ ma Twoją twarz...

Dzień pierwszy

Sierpień był jak co roku upalny. W Turawie od lat nie pamiętano chłodnego sierpnia. Nawet w nocy temperatura potrafiła utrzymywać słupek rtęci na 20 stopniach Celsjusza, choć było dobrze po półmetku lata. Ksiądz Jan obudził się z dziwnym uczuciem, że ktoś przygląda mu się natarczywie. Już we śnie dręczyło go to poczucie nierealnego prześladowania. Otworzył szybko oczy i przenikliwie rozejrzał się po pokoju. Niejasne wrażenie nie mijało, choć wokół nie było żywego ducha. To, co oblepiało jego twarz, było świeżą jasnością słońca, wpadającą przez uchylone, niezasłonięte okno. Przypomniawszy sobie, że wczoraj wieczorem nie opuścił rolet. Był to niezwykle wieczór. Okrągły księżyc lśnił na pozbawionym chmur niebie, otoczony białą poświatą, w całej swojej pełni. Przytłaczał ogromem wyraźnie niemogący go utrzymać firmament. Nawet gwiazdy nie wytrzymały naporu jego natarczywego światła. Poznikały, kryjąc się w gęstwinie czerniejących na horyzoncie drzew. Ksiądz wpatrywał się bystro w niebo, pomyślał, że zapowiada wicher i że nie byłoby dobrze, gdyby jego podejrzenia się sprawdziły. Ale świeży powiew dobrze mu robił, zostawił otwarte okno i ukląkł do wieczornej modlitwy. Modlił się długo i żarliwie. Jak zwykle. Lubił tę część dnia. Wieczory spędzał sam ze sobą, kołysał go, dostarczały nowych sił, ugruntowywały w poczuciu dobrze spełnianego obowiązku. Już dawno nie czuł się tak spokojny. Noc czerniała, świat stał przed nim otworem, o tyle właśnie, o ile tego oczekiwał, życie było bezpieczne i przewidywalne. Rozporządzał nim zgodnie z oczekiwaniami swoich zwierzchników i czuł się dobrze z tym, że ktoś postanowił za niego, co ma robić i kiedy. Odejmovalo mu to poczucie niepewności i zagubienia, które tak często zdarzało mu się w dzieciństwie, budząc lęk i zagrożenie.

Nie zamknął okna na noc. Idący od zewnątrz wiew przywołał mocny, zdrowy

sen. Spał głęboko, śnił spokojnie, rankiem nie pamiętając niczego. Teraz przyglądał się słońcu wypełniającemu pokój złocistym, miodnym aromatem i rażno podniósł się z łóżka. Parę skłonów zastępowało mu poranną gimnastykę. Rześki chłód orzeźwiał i wywoływał miłe uczucie gęskiej skórki na karku. Zabrał się do mycia i starannego golenia, pogwizdując cicho. Zwykle gwizdał przy goleniu, to wprawiało go w dobry nastrój na cały dzień. Z zadowoleniem obserwował w lustrze swoje obecne przynależności: prostą wersalkę, szafkę na ubrania, z epoki chyba Gomułki, stare, ale jeszcze sprawne radio i telewizor. Na stole stał drewniany krzyż, jedyna nowa rzecz w tym pokoju, prezent od chorego proboszcza.

Ksiądz Jan był barczystym mężczyzną, niezbyt wysokim, raczej krępy, prostokątne dłonie o krótko obciętych paznokciach świadczyły wymownie o jego chłopskim pochodzeniu, którego nigdy się nie wstydził ani nie wypierał. Nie miał nic przeciwko temu. Lubił swój stan, prostota własnego umysłu i brak wyrefinowania sprawiały mu ulgę. Czułby się gorzej wśród tych ludzi, których teraz mógł uważać za swoich, za równych sobie, niż gdyby przerastał ich lub też nie dorównywał im inteligencją. To na szczęście mu nie groziło. Nie tu. Nie w Turawie. Tutaj czuł się na właściwym miejscu, we właściwym czasie. Właśnie teraz.

Przybyły przed kilku dniami, jako nowy wikary, miał tymczasowo zastąpić w obowiązkach chorego proboszcza i na pierwszy rzut polecono mu w zastępstwie poprowadzenie pielgrzymki do Częstochowy. Rozpoczęła się właśnie dziś, w poniedziałek, czekało go więc siedem wspaniałych, turystycznych dni. Pielgrzymowanie, modlitwy, a uwieńczeniem siódmego dnia, to znaczy niedzieli 26 sierpnia, miało być oddanie się Matce Bożej pod opiekę, w dniu Jej święta. Czuł w sercu głęboką wdzięczność do Opatrzności i wielką radość, że swoją pierwszą pracę mógł rozpocząć właśnie tak, od prawdziwej misji.

Wszelkie jego obawy co do ewentualnych trudności rozwiązał już wczoraj Wincenty, tutejszy zakrystian.

– Iiii... tam, proszę księdza – mruknął, machnąwszy ręką – droga prosta jak drut i dzieciak dojdzie. Proboszcz napuchły był w nogach, a uszedł. To i ksiądz da rady. Ni ma stracha.

Wincenty urodzony w obozie w Auschwitz, wychowany w sierocińcach, trafił tu jako 18-letni wyrostek. Nieco garbaty, z wiecznymi polipami w nosie, skręcony postępującym reumatyzmem, pozostałością po obozie, w którego krematorium spalono jego rodziców, nie ożenił się nigdy.

– Po co ja babie? – Machał ręką swoim niezmiennym, utartym gestem. – Żeby ją do grobu wpędzić? – Śmiał się przy tym gardłowym, schrypniętym głosem. Po czym milkł nagle, tak jak nagle zaczynał.

Jadał w parafii, gdzie gotowała na przychodne siostra Marcelina, przepierał w miednicy stojącej w kącie te trochę garderoby, którą posiadał niezmiennie od lat, tu też nocował w klitce obok zakrystii, na twardym, sosnowym łóżku. Tyle mu było potrzeba do życia.

– Jak kto przeszedł tyła, co ja – mawiał niepytany – temu życia szkoda na duperele.

Duperelami określał cały świat zewnętrzny, do którego nic go nigdy nie ciągnęło. Służył do mszy jako ministrant i sprzątał w kościele. Po robocie lubił przesiadywać w przykościelnym ogródku, drzemiąc albo rozmyślając nad istotą świata, która wydawała mu się jasna i zrozumiała. On także był na swoim miejscu i w swoim czasie. I nie oczekiwał żadnych zmian. Chorobę proboszcza przyjął ze stoickim spokojem.

– Każdemu trza odejść – mruczał filozoficznie – nic to i tyła.

Młody ksiądz Jan, świeżo po studiach, od razu przypadł mu do gustu. I Wincenty nawet rozgadał się przy nim, jak nigdy. Bo to i oprowadzić młodego trza

było po gospodarce, no i zapoznać z najpilniejszym, przyuczyć co i jak, pokazać to i owo, co niezbędne. Wczoraj ksiądz Jan wygłosił swoje pierwsze kazanie na niedzielnej mszy i zapowiedział na końcu, że pielgrzymka, mimo choroby proboszcza, odbędzie się jak co roku. On sam ją poprowadzi. Zbiórka nazajutrz, w poniedziałek, o dziewiątej rano. Zachęcał do licznego udziału zgromadzonych w kościele parafian. I miał nadzieję, że go posłuchali.

Ksiądz Jan ubrał się starannie, poprawił koloratkę, nieskazitelnie białą. Był z niej dumny. Jak i z tego, co miało się dzisiaj wydarzyć. Spakował do małego plecaka to, co najważniejsze: trochę bielizny, lekką albę, małą patenę, nieco białego wina, komunikanty, brewiarz. O jedzenie się nie troszczył. Ludzie z pewnością nie pozwolą mu umrzeć z głodu. Zresztą zaopatrywać się można po drodze.

Wyszedł przed dom parafialny, nieduży, z czerwonej cegły, nie nowy, ale dotąd nie otynkowany, bo wciąż brakowało pieniędzy. Tutejsi mieszkańcy nie byli zamożni, a i choroba proboszcza przyczyniła się do rozluźnienia kontaktów z miejscowymi. Miasteczko było nieduże, ksiądz Jan zdążył je już zwiedzić, chociaż pobieżnie. Wydało mu się tak samo biedne i zaniedbane jak kościół. „Trzeba będzie po powrocie ostro wziąć się do roboty” – przykazał sobie w myślach. Wincenty wprowadził się i troił, żeby wokół było czysto i schludnie, ale sił mu zaczynało brakować, a i wzrok miał już nie ten. Zdarzało się, że ścieżki wyglądały jak niesprzątane od tygodni, bo wiatr rozwiewał liście z kopców, nim zdążył je spalić. W ten biały od jasności poranek Wincenty znów zabrał się do zamywania liści. Wywijał miotłą, powłócząc raz po raz swoją prawie już chromą prawą nogą. Silny wiatr, przewidziany wczoraj przez Jana, kręcił w kółko piruety, nie zdecydowawszy, w którą stronę ma wiać. Wincenty usiłował kręcić się wraz z nim. Mimo to wciąż zamiatał pod wiatr, kłął pod nosem szpetnie, nie mogąc opanować kołujących wokół niego stert liści, do których dołączały wciąż nowe,

strącane wiatrem z dwóch wielkich kasztanowców ocieniających kościół. Zupełnie jakby to był koniec września, a nie środek lata. To suchość powietrza powodowała przedwczesne ich żółtawe rdzewienie.

Ksiądz Jan stał przed kościołem, gapiąc się na zegar umieszczony na wieży, który wybił właśnie trzy kwadransy na ósmą. „Niedługo powinni zacząć się schodzić” – pomyślał. Podeszedł zdecydowanym krokiem do Wincentego i wyjął mu z rąk miotłę.

– Lepiej niech Wincenty to odłoży – polecił łagodnie, ale stanowczo. – Trzeba przygotować drzewce, transparenty, chorągwie, Wincenty najlepiej wie co. Ma klucze, zna składzik...

– Ano, tak – zafrasował się Wincenty – nie dam rady z tymi liśćmi. Ksiądz pójdzie za mną – kiwnął na Jana zakrzywionym palcem.

Ruszyli w stronę przybudówki. Na ich widok zerwało się z furkotem stado gołębi.

– Faj, paskudzą tylko – rozeźlił się Wincenty, nagle zasepiony – ale jak tu przegnać Boże stworzenie? – pokazał na upstrzony guanem daszek.

Ksiądz Jan jednym rzutem oka ogarnął zafajdane gonty przybudówki. Westchnął, ale Wincenty zaaferowany dopasowywaniem do dziurki klucza z wielkiego pęku wiszącego mu u paska, nie usłyszał tego. Cierpliwie wyluskiwał coraz to kolejny klucz i śliniąc się przy tym obficie, usiłował dostrzec, czy znalazł właściwy. W końcu otworzył i pchnął skrzypiące, drewniane drzwiczki. Światło chlusnęło do wnętrza i Jan zobaczył poukładane bezładnie części Bożonarodzeniowej szopki, wielkanocnego Grobu Pańskiego, a także liczne akcesoria kościelne służące do świątecznych procesji i drogi krzyżowej, w tym także te przydatne w pielgrzymkach. Uradowany otrzepał leżące płótna z kurzu i zaczął wynosić je na zewnątrz.

– Nie tyła! – ostrzegł go Wincenty przyjaźnie. – Kto to będzie dźwigał!

– Jak to kto? – zdziwił się ksiądz. – Mało to nas będzie?

Podniósł parę chorągwi i transparentów, były mocno podniszczone. Spojrzał bezradnie na Wincentego.

– Niech ksiądz lepiej co zje przed drogą – pouczył go Wincenty. – Niedobrze tak iść na głodno, a ja oporzadzę te szmaty.

Ksiądz bez słowa protestu podążył w stronę kuchni. Wincenty zafrasowany został przy wyniesionej stercie. Przebierał i oglądał okiem znawcy. Tu i ówdzie przybił gwóźdź, tam znów przymocował chybotające się litery...

Jan wszedł do kuchni. Siostra Marcelina właśnie nakryła stół do śniadania. Białe ser, chleb, herbatę z mlekiem postawiła przed nim bez słowa. Poprosił jeszcze o marmoladę. Jadł ze smakiem, zatopiony w myślach. Zwykle umiarkowany w jedzeniu, tym razem poczuł nagle błogą sytość w żołądku. To go przywołało do porządku. Odsunął resztę śniadania stanowczym ruchem, a siostra Marcelina bez słowa zabrała się do sprzątnięcia ze stołu. Była starą, otyłą kobietą, nieskłoną do wydawania jakichkolwiek artykułowanych dźwięków, jakby całe życie spędziła w najsurowszej regule, odcięta od świata, bez możliwości porozumiewania się z kimkolwiek. Zamknięta w sobie i raczej burkliwa, charakter miała łagodny. Życie zakonne bardzo jej odpowiadało.

Ksiądz Jan ruszył rażno przed kościół, aby powitać pierwszych przybyłych, których już spodziewał się zastać.

* * *

Usłyszał wyraźnie, jak trzepnęła palcami o kołdrę.

– Jak ciemno. Nic nie widzę.

– Jest noc, Soniu. Wydaje ci się, że śniesz – starał się mówić łagodnie, aby jej nie przestraszyć.

– Nigdy nie zrozumiesz, jak trzeba być samotnym, żeby mówić do siebie. Okropna noc. Jak wypełniona opium. Nie czuję nic. Czy tak będzie zawsze? – Głos miała niewyraźny, musiał pochylić się nieco, aby usłyszeć.

– Nie bój się. Jestem tutaj – zapewnił ją.

– Jak długo to trwa? Jak długo potrwa? Nie rozróżniam twojej twarzy. Nie znam cię, a może poznaję... Ach tak, Fred. Nawet myśli rozmywają się w takiej ciemności. Ta noc kończy się, czy zaczyna? Dobrze, że choć jedno jest pewne. Że nie przez ciebie cierpię. Nie budzisz we mnie niczego, żadnego dźwięku. Ani lęku.

– Nie było w niej agresji, tylko zmęczenie.

– Nie pocieszaj mnie.

– Czujesz się winny? Dlaczego? Możesz przecież wyjść stąd. Tak po prostu. Nawet nie spojrzeć za siebie. Otrześć się jak z kurzu. W końcu nic takiego się nie wydarzyło. Nic pomiędzy tobą a mną.

– Przestań pleść. I tak nie jest mi źle.

Tak, to była prawda. Miał ochotę wyć. Jak wilk. Do księżyca.

– Chodzi o to, że nie potrafię udźwignąć własnego życia? Bo zachciało mi się miłości? – próbowała drwić. – Tak. Ona nigdy nie jest początkiem. To koniec. Wszystkiego.

*

Był pewien, że przyjdzie ich wielu. Ogarnął wzrokiem niewielką grupę, coś jakby rozczarowanie przemknęło przez jego twarz. Stali pod murem, rozmawiając z cicha, w cieniu rzucanym bezładnie przez szare, ospowate kamieniczki. Gdzieś resztki karłowatej zieleni dogorywały tłamszone pyłem nawiewanym bezustannie z pobliskiego Śląska. Ksiądz Jan poczuł, jak jego wczorajsza ekstaza powoli ulatnia się, napełniając go w zamian suchym kurzem

wleczonym wiatrem od dalekich kopalń.

„Cóż – powiedział sobie i wargi lekko mu drgnęły – muszę nie tylko oddychać tym powietrzem, co oni, muszę też żyć jak oni, ich życiem”. Wiedział, że to nie będzie proste zadanie. „Nikt nie obiecywał, że będzie łatwo” – pocieszył się w duchu. Szedł wolno w stronę furty powitać przybyłych.

Dwoje młodych, pewnie studentów, pochylonych ku sobie, przepakowywało plecaki, gestykulując zawzięcie. Ich bety nie dawały się upchnąć w żaden sensowny sposób, aby dopiąć zamki. Z boku stała młoda dziewczyna, najwyraźniej licealistka. Oparta o murek wystawiała twarz do słońca, przysłuchując się ukradkiem, z wyraźnym rozbawieniem, dyskutującej nerwowo parze. Miała najwyżej 16 lat i krótko ścięte blond włosy. Jej nieco zbyt masywne biodra opięte były przez ciasne dzinsy. Z ramion opadała luźna bluza.

Na podeście ogrodzenia przysiadł starszy, całkiem już siwy mężczyzna w okularach, trzymając za obrozę dużego kundla, który od czasu do czasu skowyczał, rozglądając się niespokojnie. Mężczyzna poklepywał go po pysku uspokajająco, pies przejeżdżał co chwilę jęzorem wyciągniętą ku niemu rękę, jakby wierzył, że to może wpłynąć na zmianę decyzji jego pana i powrót do domu. Obok nich stał drugi mężczyzna, łysawy, z wylewającym się znad spodni brzuchem. Rozmawiał o czymś leniwie z właścicielem psa.

Zbliżając się, ksiądz Jan zauważył na trawie, w cieniu kasztanowca, wysokiego chudzielca przed trzydziestką, palącego papierosa. Siedział, nie zwracając uwagi na pozostałych, jakby jego obecność tutaj była zupełnie przypadkowa. Ksiądz przyjrzał mu się z ciekawością i niekłamaną obawą. Uwagę jego przykuły wielkie tatuaże o prowokacyjnie erotycznym charakterze, rozmieszczone na odkrytych ramionach i piersi młodego człowieka. Lecz uspokoił siebie natychmiast spostrzeżeniem, że nikt ze złymi zamiarami nie siedziałby tu tak oficjalnie, jeśli nie wręcz ostentacyjnie. A już na pewno nie tak spokojnie.

W tej chwili furtka otworzyła się. Niemłoda, a raczej leciwa już para usiłowała wtaszczyć na podest wózek inwalidzki z kilkunastoletnim chłopcem. Na pomoc ruszyła im licealistka oraz dwoje studentów. Starsi panowie też wykonali gest skłonnych do pomocy. Wózek szybko został przetransportowany na miejsce zbiórki. Siedzący pod drzewem młody człowiek nawet się nie poruszył. Dopalał swojego papierosa zapatrzonej w nieokreśloną przestrzeń.

Potem nadeszła kolejna kobieta, starsza, drobna i zasuszonej, o przepaszającym wyrazie twarzy, jakby oczekiwała nagany za swoje kilkuminutowe spóźnienie.

Ksiądz Jan właśnie miał podejść do swojej niewielkiej trzódki, aby zarządzić wymarsz, gdy nagle pojawiła się jeszcze jedna dziewczyna. Jej zjawienie się było tak nieoczekiwane, że zamarł w pół kroku. Wrażenie to spowodował prawdopodobnie wiatr, który nagle zaczął kręcić się w kółko jak oszalały, drzewa sypnęły nie całkiem jeszcze suchymi liśćmi, wirując utworzyły wokół dziewczyny wysoki lej, niczym szpaler. Szła otoczona tą aureolą fruwej poświaty jak rojem złotych motyli.

Ksiądz stał zapatrzonej, jakby zapomniał o Bożym świecie. Dziewczyna przytrzymała włosy dłonią i uśmiechała się do liści, które opadały jak ptaki na jej czoło i ramiona. Wiatr przestał wiać i ksiądz oprzytomniał. Dziewczyna strąciła liście z twarzy i ubrania, podeszła na miejsce zbiórki. Była niezwykle delikatnej urody, co ksiądz stwierdził z fizycznym niemal bólem. Przestraszył się, że jest za wąła na trudy pielgrzymki, jednocześnie zdał sobie sprawę, że jeśli ona teraz odejdzie, cała droga straci dla niego sens. Nie to, żeby dziewczyna tak bardzo podobała mu się. Raczej przypominała mu kogoś, jej rysy były mu boleśnie znajome. Czuł, że w jej osobie cała jego przeszłość stanęła przed nim twarzą w twarz. Zadrżał, jakby to był jakiś znak dla niego. Próbował otrząsnąć się z przywidzenia.

„Nie znam jej – pomyślał – nie ma nic wspólnego ze mną ani z moim życiem,

to tylko zbieg okoliczności, zwykły przypadek, pewne podobieństwo... to wszystko". Uzbrojony w takie argumenty, podszedł wreszcie i zaczął witać zebranych.

Małżeństwo z kalekim dzieckiem wyglądało na zdenerwowane.

– Władysław Budniok – mężczyzna przedstawił się – a to moja żona Leokadia i mój syn Gabriel, szczęść Boże księdzu.

– Szczęść Boże, miło mi – uśmiechnął się ksiądz Jan i pochylił nad Gabrysiem.

– Dacie radę? To sporo kilometrów.

– No właśnie, proszę księdza – wtrąciła się Budniokowa. – Bo to my przyszli, a pchacza nie ma.

– Jak to?

– Ano, miał być jeden taki – Budniok podrapał się w głowę. – Zgłosili my do resocjalizacji, że do roboty i mieli przysłać. Za pieniądze, ma się rozumieć. Nic ksiądz nie wie? Nie było tu kogo? Przecie my nie damy rady sami. Taki szmat drogi...

Ksiądz pokręcił przecząco głową, ale tknięty przecuciem odwrócił się w stronę chłopaka palącego pod drzewem papierosa. Podszedł w tamtą stronę. Palący ani drgnął.

– Czy może pana przysłano tu do pracy? – zapytał ksiądz.

Młodzieniec wolno zwrócił twarz w jego stronę, wstał równie wolno, zgasił papierosa, przydeptał starannie peta. Włożył ręce do kieszeni, stanął w rozkroku i zaczął przyglądać się księdzu.

– Tak. Bo co? – zapytał.

– Ci państwo czekają – Jan wskazał stojących przy wózku.

– Jasne – zgodził się młodzieniec. – Nie ma sprawy.

Ruszył w stronę czekających. Wyglądał jak rasowy narkoman, którego dopiero co wypuścili po przymusowym odwyku. Cały w metalowych kółkach, ćwiekach,

wygolony z przodu na łyso, z tyłu zwisał mu cienki warkoczyk. Płócienną wojskową torbę przerzuconą miał w poprzek tułowia. Wysokie glany były stare i brudne. Ksiądz ruszył za nim, niepewny co do przebiegu i wyniku ewentualnej rozmowy.

– Co mam robić? – narkoman zwrócił się bez pardonu do małżeństwa.

– To pan? – przestraszyła się Budniokowa. Budniok był bardziej przytomny.

– Trza pchać wózek – powiedział.

– Ile? – Narkoman najwyraźniej nie grymasił.

– 200 na rękę – zaproponował Budniok ostrożnie.

– 300 i kwita – poprawił narkoman, dłubiąc zapalką w zębie.

– Niech tam, stoi – zgodził się Budniok skwapliwie. – Jak cię zwą?

– Wydra – burknął narkoman i skrzywił się, jakby go coś nagle ugryzło.

– Jak to? – Budniokowa poczuła się urażona. – Mamy mówić do ciebie: Wydra? Masz chyba jakieś imię?

– Panie Wydra – poprawił narkoman beznamiętnie.

Ksiądz doszedł do wniosku, że należy się wtrącić, aby rozładować wiszący w powietrzu konflikt.

– Skoro pan Wydra tak sobie życzy... – zaczął pojednawczo. W tym momencie na Wydrę zaczął szczekać skomlący dotąd pies.

– Spokój, Azja, spokój, dobry pies – skarcił go właściciel w okularach.

Wydra zaśmiał się gromko.

– Azja? – zakpił. – To kiedy go nabijamy na rożen? Nie przepadam za psim sadłem, ale podobno całkiem niezłe na korzonki!

– Zamknij się pan! – zgromił go łyso w imieniu milczącego właściciela.

– Adwokat za darmochę? – drwił Wydra. – W naszych czasach? To dopiero dziw!

Licealistka przyglądająca się zajściu z wydętymi wargami prychnęła

nieprzyjemnym śmieszkiem.

– Przystańcie, panowie! – ksiądz pospiesznie podniósł obie ręce do góry obronnym gestem. – Za chwilę ruszamy. Czy ktoś mógłby ponieść chorągwie?

Zgłosiła się para studentów, Maciek i Bożenka, i ksiądz odesłał ich do Wincentego. Potem przywitał właściciela psa, który przedstawił się jako Prokop. Był przestraszony awanturą, obawiał się najwidoczniej, że będzie musiał zostawić zwierzę w domu. Ksiądz jednak ani wspomniał na ten temat, co Prokop przyjął z wyraźną ulgą. Następnie Jan podszedł do łysawego jegomościa i stojącej obok niego chudziutkiej kobiety.

– Jadwiga Konopka – ścisnęła skwapliwie dłoń księdza. – Przewodzę tutejszej wspólnocie, niestety niezbyt licznej – dodała z niekłamanym żalem.

Głos miała miły, spojrzenie łagodne. Ksiądz przyjrzał się jej z życzliwą uwagą, budziła w nim sympatię. Łysym rozmówcą, który tak naskoczył na Wydrę, był pan Albin. Strasznie się pocił, mimo wiatru i co chwilę ocierał czoło wielką, kraciatą chustą.

– Albin. Dziubek. Robię w samochodach – wyjaśnił księdzu, z niewyjaśnionych powodów pospiesznie ścisząc głos. – Znaczy, mechanik jestem. Potrzebuje ksiądz brykę? Jak raz co znajdę, wyglancuję i będzie jak nowa.

– Dziękuję – uśmiechnął się Jan. – Będę pamiętał.

Podczas gdy Budniok objaśniał Wydrze mechanizm działania wózka, ksiądz podszedł do licealistki. Miała na imię Kasia. Zaniepokoił się.

– Rodzice wiedzą, że tu jesteś? – zapytał.

– Co oni mają do gadania! – ofuknęła go niczym kotka. – Jestem pełnoletnia!

Na potwierdzenie swoich słów machnęła mu przed nosem dowodem osobistym. Wydała mu się nienaturalna i agresywna. „Ma kłopot ta mała – stwierdził w duchu. – Muszę wybadać, co takiego. Może da się jej jakoś pomóc.

Zostało mu już tylko podejście do ostatniej z dziewcząt. Ale stanowiło to dla

niego nie lada wysiłek. Może dlatego zostawił tę prezentację na koniec.

– Jestem Sonia – podała mu pierwszą rękę – Bohdziewicz.

Trzymał w dłoni jej szczupłe palce i czuł, jak mrowieje mu kark. Zwykle lubił to uczucie, teraz przyprawiało go o nieprzyjemny zawrót głowy.

„Kim jesteś, Soniu? – myślał gorączkowo, milcząco przyglądając się dziewczynie. – Skąd się wzięłaś, po tylu latach, nagle zmartwychwstała? Ciekawe, co byś zrobiła, gdybym powiedział ci teraz, że nie żyjesz... ”.

Patrzyła na niego spod rzęs, jakby wiedziała, o co chce ją zapytać. Przez moment zadrżał. Puścił jej rękę, jakby bał się, że może ją niechcący złamać.

Wrócił do pokoju po plecak. Stał w oknie i przez chwilę przyglądał się z daleka Soni, stojącej wśród zebranych. Bał się. „Boże, czemu mnie tak doświadczasz? – szepnął do siebie. – Błagam, nie opuszczaj mnie!”.

*

Ruszyli dokładnie z wybiciem dziewiątej. Ksiądz Jan do końca wierzył, że grono uczestników powiększy się. W końcu dał za wygraną. Pocieszył się w duchu, że będzie mógł obecnych dokładniej poznać. Poczł się przy tym nieswojo, wyraźnie oszukiwał sam siebie. W głębi duszy bowiem czuł, że chce poznać bliżej Sonię i właśnie starannie skrywana świadomość tego faktu psuła mu poczucie pełnego zadowolenia z sytuacji. Bał się nawet patrzeć nazbyt często w jej stronę, wydawało mu się, że wszyscy widzą jego zainteresowanie dziewczyną i uważają za niestosowne. W istocie był nią zainteresowany, ale doprawdy nie w taki sposób, jak by to zaczęto komentować.

Zerknął na żółtą, papieską chorągiew niesioną przez Bożenkę, drugą taką samą w rękach Albina i na trzecią, wetkniętą w wózek Gabrysia. „Mało – pomyślał zgębiony. – Stanowczo za mało”. Sam trzymał drzewce niedużego transparentu,

którego drugi koniec wręczył Kasi. Niosła go bez słowa protestu, nawet z dziwną zjadłością, tylko, że potykała się raz po raz i to go niepokoiło.

– Nie jest ci za ciężko? Mogę sam to nieść – zwrócił się do niej.

– Ciężko, to dobrze – rzuciła przed siebie, nie zaszczycając go jednym spojrzeniem.

Znów odczuł niepokój, jak wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy przy kościelnym ogrodzeniu, na miejscu zbiórki. „Co ona chce udowodnić – łamał sobie głowę – muszę to rozgryźć”. Mała nie ułatwiała mu zadania. Nie był do końca pewien, czy dowód osobisty, który mu pokazała, rzeczywiście do niej należał, ale jakoś nie śmiał tego sprawdzać.

Po przejściu głównej ulicy, gdy zostawili już za sobą rynek z niewielkim ratuszem, remizę strażacką i szkołę, przeszli przez park obok restauracji i budynku GS i właściwie byli już za miastem.

Wzdłuż szosy widziało się tylko pojedyncze domostwa, wznoszone często przez domorosłych budowniczych, z ominięciem pozwolenia na budowę, o czym świadczył wygląd tych dziwacznych wytworów rąk ludzkich. Bieda i tymczasowość wyzierały z każdego kąta. Większość mieszkańców Turawy była napływowa. Zbieranina ludzka po wojnie stopniowo mieszała się, integrowała i miała chyba szansę na stworzenie sensownej całości. Jednak ostatnie lata gwałtownej, bezlitosnej transformacji załamały ich i rozproszyły. Niektórzy ledwo wiązali koniec z końcem, młodzi pouciekali za chlebem, inni, którzy znaleźli się na bruku, wpadli w rozpacz i beznadzieję lub ospale przeczekiwali dzień za dniem, że może coś gruchnie zniecka, że ich los się odmieni i nareszcie zacznie się toczyć w drugą stronę. Na razie pili, spali, znowu pili, przepijali głodowe zasiłki tych, którym udało się załapać na bezrobocie, przesiadując godzinami tu i ówdzie, niewiele nawet rozmawiając, bo wszystko już dawno przestało ich interesować. Nic nie mogło wytrącić ich z tego letargu: Unia, wybory, czy malwersacje,

rozkrywane tytuły nieczytanych już wcale gazet. Wstydliwie skrywany, małomiasteczkowy dramat...

Dziurawy asfalt cuchnął od upału i miękł jak zwykła smoła, kleił się do butów. Po niebie przelatywały bezproduktywnie małe, ciemne chmurki, z lewa na prawo i z prawa na lewo, nie dając żadnego cienia, jakby nie mogły się zdecydować, czy i gdzie mają się zacząć zbierać na burzę. Silny wiatr mącił im szyki.

Ksiądz Jan przyglądał się ukradkiem Soni. Miała niepokojąco jasne, wąskie oczy. Jej kasztanowy warkocz spleciony był z gładko zaczesanych pasm. Nie za wysoka, o stosunkowo długich nogach, poruszała się tak jakoś za lekko, co było niezwykle i co Jan skonstatował z niemałym zdziwieniem, zważywszy na upał i lepiącą się do podeszew smołę.

Nie zwracała na nikogo uwagi, z nikim nie zamieniła słowa, nie śpiewała. Nie patrzyła też pod nogi, szła machinalnie i aż dziwne, że ani raz nie potknęła się, jak to bez przerwy przytrafiało się Kasi. Nawet cień uśmiechu nie zagościł ani przez moment na jej wargach. Mimowolny dystans, który wytwarzała w ten sposób w stosunku do siebie, męczył Jana i drażnił. Sądził, że ludziom też to się nie podoba, jednak nie bardzo wiedział, jak temu zaradzić i czy w ogóle powinien zrobić cokolwiek w tym względzie. „Nie będą jej lubić – pomyślał z żalem. – Posądzą o nieczułość, może o zarozumiałość. Szkoda, bo nie jest taka”. Skąd miał tę pewność, nie wiedział. Czuł jednak wewnętrzną, choć niczym nieuzasadnioną więź z tą dziewczyną, chciałby pomóc jej w cierpliwym dźwiganiu tego, co tak przytłaczało od środka jej wątłe barki. W skrytości ducha żywił nadzieję, iż przyjdzie do niego wypowiadać się, wtedy dowie się, kim jest i jaką tajemnicę skrywają jej uciekające od wszystkich oczy.

* * *

– Spisz, Soniu?

– Nie mogę.

– Długo milczałaś. Bałem się jak jasna cholera. Niedobrze, jak ktoś nagle przestaje gadać.

– Tak białło za oknem...

– Wydaje ci się.

Usłyszał, jak przewraca się ciężko z boku na bok.

– Tyle godzin do rana. Nie wiem, jak to przetrwam – wyszeptała.

– Spróbuj zasnąć. Obudzę cię na czas.

– Boję się snów.

– Masz za dużo myśli.

– Mam chaos w głowie. Muszę to z siebie wyrzucić.

– Więc mów. Nie zdycha się od czyjś gładzenia.

Gorączkowo szukał słów. Nigdy nie rozmawiał z nikim w taki sposób. Bał się, że ją spłoszył.

– Sama nie wiem, jak zacząć. Pewnie się pogubię...

– Już zaczęłaś. Więc wal naprzód. Bez obciachu – pocieszył ją niezręcznie.

– Pamiętam śnieg. Olbrzymią, kryształową kulę nad głowami. Nie było nieba ani ziemi, tylko ta kurzawa. Z góry, z dołu, zewsząd, wirujące płatki. Zapadł już wieczór, ale las iskrzył się. Pylił srebrnym pyłem. Wstrzymywałam oddech, bojąc się spłoszyć ten rozperlony cud, tę bajkę, do której ktoś przeniósł nas na krótką chwilę. Przed nami migotało światłami lamp miasteczko, jakby wycięte z jarzącej się cynfolii. Gerard szedł obok mnie, równie wstrząśnięty. Oczy w tym bielejącym zmierzchu miał ciemne, jakby wchłonął w siebie cały mrok, który gdzieś tam roztopiał się wokół tekturowych dekoracji tego niesamowitego disneylandu. Trzymaliśmy się za ręce. Patrzyliśmy przed siebie, milcząc, nie do końca pewni, czy nadal istniejemy realnie, czy zasnęliśmy w kinie podczas seansu. Po raz

pierwszy poczułam, że to, co nazywamy chwilą, czy Wiecznością, tak naprawdę pozbawione jest znaczenia. Gerard zadrzał, drzenie jego palców dotarło do mojej krtani. Całował mnie zimnymi wargami, śnieg oblepiał brwi, policzki. Spomiędzy drzew wyjrzała sarna. Patrzyła na nas zdumiona. Może wzięła nas, ośnieżonych, za wielki księżyc, który spadł z nieba, i tocząc się, zamienił w śniegową bryłę... Mówię jak dziecko?

– Nie.

– Nigdy potem nie byłam tak nieskończenie szczęśliwa. Czasem wydaje mi się, że to wcale się nie wydarzyło. Że to tylko projekcja moich marzeń. Fantazja, rozumiesz? Tak często trudno odróżnić prawdę od fikcji. Dzieje się coś, co ty odbierasz niesłychanie intensywnie, tymczasem ktoś inny całkiem inaczej, albo wcale. Możliwe, że Gerard zupełnie nie pamięta takiego zdarzenia. Przeoczył albo zapomniał. Tak, jakby zaistniało tylko dla mnie. We mnie. Dla niego zaś co innego mogło być ważne, na co ja nie zwróciłam uwagi. Wszystko jest takie względne. To niesprawiedliwe.

– Ale być może dzięki temu żyjesz. Bo przed oczami stanęło ci to wspomnienie. I zawahałaś się... w ostatnim momencie... – przypomniał bardziej sobie niż jej i znów poczuł mrowienie w plecach.

– Jakby wszystko, całe życie, mogło zależeć od jednej chwili... – wykrztusiła.

– Czujesz gorycz. Rozumiem. Też mam swoje piekło. Przez ciebie. Zacząłem okrążyć siebie dookoła, przyglądać się i ze zdziwieniem stwierdziłem, że zupełnie siebie nie znam.

– Więc co teraz? Zaczynać od początku, gdy się nie wierzy, że to możliwe? Czy to w ogóle się udaje?

– Nie wiem. Ani skąd brać na to siły. Trzeba próbować. Gdy doszło się do takiego punktu, trzeba zrobić krok w przód albo w tył. Jak ty. Cofnęłaś się. Więc na mój rozum, nie masz już innego wyjścia. Musisz zrobić kolejny krok.

*

Upał dawał się wszystkim we znaki. Na szczęście dotarli do jeziora. Zatrzymali się. Zanurzali nogi między szuwarami, chłodzili ręce i twarze. Odpoczywali w cieniu nabrzmiałych soczystością drzew, w wysokiej, falującej jaskrami trawie. Było jak na majówce. Wrażenie pikniku spotęgował pan Albin, który wyjął z pękatego plecaka przenośny grill i zaczął piec kiełbaski. Nie było ich za wiele, dla każdego jednak znalazł się kęs. Korzystając z okazji, inni też powyciągali swoje zapasy i kontynuowali stołowanie pod chmurką. Apetyt dopisywał, jezioro lśniło, marszcząc się co chwila, mącone goniącym bez ładu wiatrem.

Ksiądz Jan z trudem odmawiał swoją modlitwę. Rozpraszała go niezwykła malowniczość okolicy. W istocie, ogarnął go stan euforii. Gałęzie drzew, smukło czerniejąc, wznosiły się ku opalizującemu niebu, które było jak perła, wyrastająca z muszli jeziora. Nigdy dotąd nie widział takich szarości ani tyłu odcieni błękitu. Pomyślał, że najzręczniejszy kolorysta nie oddałby wiernie płózających się wokoło jałowców czy upstrzonego cętkami kamienistego brzegu, na którym siedzieli. Rozpulchniona ziemia, wyzierająca gdzieś pomiędzy kamieni, wydzielala intensywną, cierpką woń. Sosny odcinały się ostro na tle delikatnej, brzozowej grafiki lasu. Od wody szła niespokojna cisza, przyływała do niego falą dręcząca niepewność, że ten urokliwy krajobraz jest jedynie jego udziałem. Leżący obok drzemali lub gawędzili, jakby przebywali zupełnie poza tym światem, który tu, teraz, tak czarownie przed nim się roztaczał. Dopiero po chwili zorientował się, że przestał się modlić, co go speszyło, tym bardziej że zauważył na sobie skupiony wzrok Soni.

– Czyż zachwyty nie jest najwyższą formą modlitwy? – zacytował, usprawiedliwiając przed nią swoje zapatrzenie, jednocześnie usiłując przypomnieć

sobie, skąd pochodzi cytowany fragment.

Nie odpowiedziała, ale nareszcie coś na kształt uśmiechu przemknęło przez jej wargi.

– Nie pamiętam, kto jest autorem – przyznał z żalem. – Zdecydowanie za rzadko czytuję wiersze.

Miał nadzieję, że podejmie rozmowę. Poezja, tak uznał, to temat, w którym powinna czuć się najswobodniej. Liryka była jakby przynależna tym jej stanowczo zbyt jasnym oczom. Takich oczu nie miewa się bez powodu. Blask idący z ich wnętrza nie wydawał mu się chorobliwy. Podejrzał, że jego źródło było raczej natury ekstatycznej i cieszyła go myśl, że nieprzeciętność, którą w niej wyczuwał, miała być może głębokie religijne podstawy, z zadatkami na świętość. „Delikatność ciała i ducha, czyż to nie warunek najwyższej cnoty? Choć oczywiście ostrożności nigdy zbyt wiele. Mam jednak nadzieję, że to nie pozory” – myślał, nie zastanawiając się na razie nad tym, w jaki sposób ewentualna świętość Soni mogłaby się praktycznie zrealizować. Cieszyła go po prostu sama jej możliwość. Pomimo że dziewczyna nie podjęła rozmowy, ucieszył go również jej uśmiech, z zadowoleniem stwierdził, że pierwsza próba nawiązania kontaktu powiodła się.

Do zamyślnego, siedzącego na uboczu Jana podszedł wciąż spocony pan Albin, z kolejnym kawałkiem kielbaski na serwetce.

– Ma ksiądz jeszcze ochotę? – podał mu serwetkę z kielbaską i z wysiłkiem osunął się obok niego na trawę. Wytarł chustką czoło i westchnął.

– Stało się coś? – zainteresował się ksiądz, przegryzając kielbaskę.

– Tak i nie. Czy to kto wie, proszę księdza – odpowiedział Albin markotnie.

– Żona gdzie? – podpowiedział ksiądz.

– At, zmarło się nieboszczce, będzie ze dwa lata. Synam zostawił, żeby interesu pilnował, bo przecie nie zamknę na tydzień zakładu. Ale sam ksiądz wie, jaka to

tera młodzież. Nie upilnujesz sam jego, to on ci interesu nie upilnuje. Skaranie boskie.

– Może nie trzeba go było zostawiać? Wspólnika jakiegoś wziąć?

– A kogo niby? Toć on ojca własnego chyba nie okradnie? I zawsze przy brykach co oporządzi. Byle klient nie odszedł z kwitkiem. A jak już ja wrócę, to poprawię po nim. Lepsza taka robota, jak żadna.

– To syn też mechanik?

– Przyucza się. Ale leń patentowany. Może prac trza było, jak gówniarzem był, bo tera się stawia, pyszczy do mnie i tylko mu daj. Wciąż mu mało. Zarób, gadzie jeden, mówię do niego, bo mnie nieraz taka złość bierze, że krew zalewa, bebechy się przewracają, ale ten rączek sobie nie urobi. Tyle co musi. Zmęczyć się nie lubi. Ot, co. Ale brać to umie. O, do tego, to on zdolny.

– To czemu pan mu zakład zostawił? Pielgrzymka, rzecz chwalebna, ale żeby tylko nieszczęścia z tego nie było.

Albin zakręcił nerwowo palcami młynka. Grdyka mu zadrżała, ksiądz miał wrażenie, że Albin rozplącze mu się na ramieniu.

– Chorym, to idę. Na intencję – wyznał cicho, jakby wstydliwie.

– Nie chcę być niedyskretny – zaczął Jan i umilkł, przyglądając się bystro Albinowi.

– Co tam – łokcie Albina drgnęły. – Operacja ma być, idę na intencję wyzdrowienia.

Zamilkł na chwilę, ksiądz nie popędzał go do zwierzeń. Albin oczy miał załzawione, wycierał chustką wyciekającą z nich wilgoć. Wydymuchał głośno nos, po kolei obie dziurki.

– Prostatę mam – powiedział w końcu z trudem. – Nie wiem, jak to na mnie przyszło... Może przez żonę, że się jej zmarło i baby nie ma, no, wie ksiądz... – Speszył się nagle i zerknął na księdza. – Ale może nie powinienem o tym... choć

jakbym z babą, to chory pewnie bym nie był. Tak gadają...

– To nie przez to – zaprzeczył ksiądz. – Zona nic by nie pomogła.

Albin umilkł i zapadł się w siebie. Po chwili znów ocknął się ciężko.

– Skoro nie – znów westchnął – to na krojenie trza iść...

Ksiądz wytarł usta serwetką, zamyślił się głęboko.

– Ja się modłę – zapewnił Albin żarliwie – i na kościół daję. To chyba Pan Bóg pamięta. Ale czy ksiądz mógłby tak jeszcze, od siebie, poprosić? Dla pewności?

– Mam się pomodlić – uściślił ksiądz – o pomyślny przebieg operacji?

– Tak, tak, o, to, to, właśnie! – ucieszył się Albin. – Mogę księdza prosić?

– Pomodłę się – zapewnił go Jan – jeszcze dziś i codziennie. A szczególnie w Częstochowie, przed obrazem Paniienki.

Albin był wzruszony. Uściśnął rękę Jana.

– Bóg zapłać księdzu – mamrotał szczęśliwy. – Bóg zapłać.

Siedział przez chwilę zgarbiony, zapatrzony w słońce z otwartymi oczami, jakby zupełnie go nie raziło jaskrawe światło.

– Czy to jednak nie dziwne – zaczął niespodziewanie i jakoś bez związku – takie słońce na ten przykład albo te wszystkie gwiazdy, też podobno słońca, albo ta nasza ziemia chociażby... Jak się tak pomyśli, ile to lat trwało, mówią, że miliardy, i że ta cała ewolucja, to już ona dobrze wiedziała, co robi, wcale nie była ślepa, jak niektórzy gadają. Ktoś nad tym nieźle myślał. Te wszystkie skały zrobić, to jeszcze, ale zwierzęta, to przecie istne cuda, jak się zoo jakie oglądnie, to aż dziw bierze. A ile zachodu, żeby stworzyć człowieka, to przecie dopiero robota, nie taka co moja przy samochodach, i nie zrobić przy tym byle czego, jakiego na przykład stwora z rogami na nosie czy kopytami zamiast rąk... I ta cała robota, te miliardy lat, po to, żeby mi potem guza wetknąć do fajfusa... ?

Albin nie kpił ani mu w głowie były drwiny czy bunt. Siedział w oklapniętymi rękami, pełen zdumionego żalu, nie mogąc pojąć, dlaczego spotkało go coś takiego.

W pierwszej chwili Jan o mało nie roześmiał się. Potem poczuł złość i z trudem się opanował. Miał ochotę ofuknąć go za podważanie sensu boskich wyroków. Ale Albin milczał bezradny i przestraszony. Jan nie był pewien, czy w ogóle oczekiwał jakiegokolwiek odpowiedzi, nie szukał też pociechy, nawet nie usiłował niczego zrozumieć. Po prostu żalił się jak dziecko. Księdzu ścisnęło się serce, jakoś już wcale nie było mu do śmiechu ani do gniewu. Mógłby powiedzieć teraz dużo wzniosłych rzeczy, o nieznanym planach boskich, o miłosierdziu i próbach do przejścia, ale nie mógł nic wykrztusić ze ściśniętego gardła. Jakby nagle sam przestał wierzyć, że jego słowa mogą cokolwiek. Przeraziła go ta niespodziewana porażka. „Boże – pomyślał – jeżeli ja się zawaham, kto pomoże tym ludziom?”. Po raz pierwszy odczuł ciężar zadania, którego się podjął. Podążył za wzrokiem Albina i mrużąc oczy, razem z nim wpatrywał się w słońce, milcząc. Siedzieli tak, ramię w ramię, zagubieni w poczuciu ogromu przestrzeni, w której się znaleźli. Wiatr wiał i wiał, bez końca...

– To ja już pójdę – pierwszy ocknął się Albin. – Nie będę dłużej księdzu zawracał głowy.

Wytarł znów spocone czoło, pokręcił rękami, niepewny, czy podać księdzu rękę na zakończenie rozmowy, czy też nie. W końcu skłonił się niezdarnie i odszedł, kołysząc się na boki. Jan spoglądał przez chwilę za jego oddalającą się postacią, przypominającą pękatego krasnala. Czuł przemożną litość dla tego człowieka i dla siebie, dla swojej nagłej niemocy. Wyjął różaniec i zaszępił próbował zagłębić się w modlitwie.

* * *

– Podobno tylko prawdziwa namiętność potrafi wywołać w nas poczucie prawdy. Dlatego odczuwamy bliskość w stosunku do osoby, która ją w nas

wyzwała. Właśnie ta odkryta wspólnota duchowa powoduje, że zbliżamy się do tej osoby. W ten sposób powstaje miłość – przewróciła się na plecy.

– To Pascal, Soniu.

– Znasz filozofię? – zdziwiła się, aż sprawiło mu to przyjemność.

– Trochę. Studiowałem parę lat...

– Nie rozumiałam, o czym mówi, dopóki nie doświadczyłam tego osobiście.

– Niewielu rozumie. Podobno zrozumienie to ból. Też bym się bał.

– Tak, namiętność jest prawdą. Bo nie kłamie się namiętnie. Kłamstwo jest zimne. Nie ma żaru w fałszu. Tylko emocje są prawdziwe. Miłość jest emocją. Największą. Jeśli nie jest się namiętnym, nie można kochać. Nie tak – mówiła szybko.

– I nie aż tak cierpieć. To działa w dwie strony. To także już wiesz – odpowiedział.

– Nigdy nie zapomnę tego dnia. Był taki dziwny. Senny. Zupełnie nierealny. Jakbym nagle z własnych poduszek wpadła w teatralne rekwizyty. Mieszkanie było pełne niepokoju i oczekiwania. Na co? Na co? Co miało się stać? Niejasne przeczucie nie opuszczało mnie ani na chwilę. Szyby zmatowiały, w pokojach zalegał półmrok. A przecież nie zbierało się na deszcz. Ani na burzę. Więc skąd ten chłód po kątach? Nie mogłam skupić się na niczym. Wszystko leciało mi z rąk. Marzyłam o tęczy, o kolorach rozprysniętych na firance. Tymczasem szarzało coraz bardziej, jakby to nie było południe, tylko przedwczesna noc. To wtedy, tego niby wieczoru, poznałam Gerarda... Przyszedł zamówić u Artura muzykę do swojego nowego filmu. Robił świetne dokumenty, był już wtedy znany. Artura nie było w domu. Gerard stał w drzwiach i patrzył na mnie. Nie, on się... wpatrzył... Nie zdążył nic powiedzieć, nawet się nie przedstawił. Ale wiedziałam, kim jest: Gerard Sambor – reżyser, oglądałam relacje z Camerimage. Był absolwentem katowickiej Szkoły Filmowej. Wydał mi się starszy, niższy niż w telewizji i nieco

bardziej pochylony do przodu, ale miał te same półdługie, falowane, zaczesane do góry, ciemne włosy. Twarz niestarannie ogoloną, o ostrych rysach i czarnych, gęstych, prawie zrosniętych brwiach. Pomyślałam, że musi mieć ze trzydzieści osiem... Dziesięć lat starszy od Artura... czternaście ode mnie... Liczyłam gorączkowo, usiłując ochłonać. Wciąż stał, z rękami w kieszeniach jakiegoś dziwnie rozchełstanego, jasnego prochowca, wpatrzony we mnie. W jego oczach był zachwytny... Stałam oczarowana, zachłyśnięta jego zachwytem. Nie mogłam uwierzyć, że ktoś mógł tak mocno mną zawładnąć. W jednej chwili, bez jednego słowa. To się odbyło w całkowitym milczeniu. Patrzyliśmy na siebie, wstrzymując oddech. Działo się coś absolutnie nieprzewidzianego. Wiedziałam, że to niestosowne. Czułam się naga przed tym obcym mężczyzną. I widziałam go nagiego przed sobą. Wiedział o tym. Widziałam, że rozumie i wie więcej niż ja. Znał moje pragnienia. Miałam je w oczach, na twarzy, w mimowolnym wyciągnięciu i cofnięciu ręki. Bo wyciągnęłam rękę, aby się przywitać. Nie. Aby go dotknąć. Ogłuszona tym odkryciem, ze strachu zapadałam się w czarną dziurę, bez nadziei ratunku. Miałam wrażenie, że klęczę przed tym człowiekiem, żebrząc, aby pozwolił mi się dotknąć. Wyczytał tę prośbę, twarz mu drgnęła. Wahał się. Bał. Czuł, że jeśli teraz nie oprze mi się, przyzwoli, pochwyci go ten sam prąd. Czekałam. Patrzył i rozumiał. Mówi się: wolna wola. Tak, mogłam zamknąć oczy. Czar może by przysł. Może udałoby się na wystarczająco długo oślepnąć. Aby się ocknąć.

I co dalej? Życie niespełnieniem? Przez wszystkie dni? Wszystkie noce? Być z jednym i jednocześnie tęsknić za drugim? Kto by to wytrzymał? Więc stałam. Na krze lodowej. Czułam, jak odrywam się od lodowca. Wiedziałam, że dryfuję na pełne morze. To oznaczało zgubę. Śmierć głodową albo utonięcie. Ale już się dokonało. Nic już nie zależało ode mnie. Było za późno. Nie podał mi ręki. Nie był w stanie. Jednak wszedł do mieszkania. Wiadomość, że jestem żoną Artura,

przeraziła go. Jakby popełnił świętokradztwo. On również zdawał sobie sprawę z tego, co się stało. Zostaliśmy połączeni czymś ponad siły, od zawsze, na zawsze. Dotknięcie siebie, jeśli nastąpi, będzie tylko kontynuacją. Początek już się dokonał. Wbrew nam. Choć z naszym udziałem. Z udziałem naszych myśli. Grzech. Mieliśmy tego absolutną świadomość i pewność, od samego początku. Nie było alternatywy. Pił kawę i opowiadał. O swojej pracy, nowym filmie, pomysłach, planach. Namiętność i żar. Po raz pierwszy rozumiałam, co oznaczają. Ogarniał mnie ten żar. Idący z jego słów, płynął w powietrzu w moją stronę. Bałam się. Bolało. Jednocześnie pragnęłam tego bólu. I tylko tego mężczyzny, który siedział naprzeciw i nie należał do mnie, a jednocześnie był całkowicie i absolutnie mój. Ja – byłam już tylko jego.

– To jak mgła. Nie widzi się początku ani końca.

– Nie zdawałam sobie sprawy z tego, czym jest ciało. Byłam mężatką. To głupie, być mężatką i nie mieć pojęcia o miłości. Wydawało mi się, że kocham Artura. Wyszłam za niego. Jak mogłam się tak pomylić? Myślę, że wielu ludzi żyje, nie mając pojęcia o pomyłce. Czują, że coś jest nie tak, ta obezwładniająca letniość... Czy to samo czekałoby Artura i mnie? Przestałam się nad tym zastanawiać. Bo od tego popołudnia wszystko już było inaczej, zaczęło biec swoim torem i modliłam się, aby ten człowiek nie stchórzył przed tym, co nas czekało. W tę przepaść musieliśmy skoczyć razem. Gerard mówił bez końca. Jakby chciał zagadać strach. Oswoić lęk, który od teraz stał się również jego udziałem. Och, jak dobrze się rozumieliśmy. Bez słów, bez jednego gestu, który by nie był tym potokiem bez znaczenia, płynącym jeszcze obok nas. Jak długo damy radę utrzymać się na powierzchni? Nie wiedziałam. Jednego byłam pewna, że to, co spadło na nas tego dnia, będzie miało dla nas nieobliczalne następstwa. Czekałam na nie. Z zapartym tchem. Powtarzając w myśli: „Gerard? Gerard! Boże!”.

*

Siedzieli albo leżeli, w ciszy. Słyszeć było tylko brzęczenie pszczół. Od czasu do czasu ktoś opędził się od muchy. Bożenka opalała się z głową na plecaku, wydłubując źdźbłem z zęba resztki kiełbasy Prokop rzucał do wody patyk, który pies z chlupotem przynosił. Maciek brzdąkał na gitarze, dostrajając niedociągnięte struny. Jadwiga odmawiała różaniec. Siedzący w cieniu wiązu Wydra zapalił papierosa. Wydmuchiwał kłęby dymu, nie bacząc, że wiatr niesie je prosto na Gabrysia, który zaczął się kręcić niespokojnie w swoim wózku.

– Mógłby pan uważać – zdenerwowała się Budniokowa – albo się przesiąść gdzie indziej. Przecież pan widzi, że dziecku przeszkadza.

– Panie Wydra – poprawił ją Wydra beznamiętnie, nie ruszając się z miejsca.

– No, ruszże się pan! – huknął na niego Budniok.

– Bo co? – spytał Wydra opryskliwie.

– Bo nie ręczę za siebie! – huknął tym razem Albin.

– O, jak dwóch na jednego, to ja pasuję – Wydra roześmiał się złośliwie i odwrócił w inną stronę ze swoim papierosem. – I jak, lepiej temu... dziecku? – wycodził.

– Dziecko się nie podoba? – Albin tak poczerwieniał, że o mało krew nie trysnęła mu z twarzy.

– A co mi się ma podobać? – Wydra hardo wzruszył ramionami.

– Dziecko to dziecko – o mało nie rozplakała się Budniokowa. – Bóg dał. Z dzieckiem my idziemy – zaliła się nie wiadomo do kogo. – Przecie widać, że chore.

– Jak chore, to niech w domu siedzi – skwitował Wydra kąśliwie.

– Cały czas tylko na wózku – nie wytrzymała Budniokowa. – Gimnastykę się płaci, rehabilitację, ale czy to co daje? Siły my potracili!

– To po co szmal wydawać? I męczyć? Może mu lepiej, takiemu jak jest? –

Wydra spokojnie zapalił kolejnego papierosa.

– Sumienia taki nie ma! – rozsierdził się Budniok. – My by każdy pieniądz dali, żeby pomogło! Do obrazu idziem, o cud błagać, bo tylko taka nadzieja jedyna została!

Wydra śmiał się do rozpuku, nie bacząc na konsternację zebranych.

– Cud? – aż krztusił się dymem. – Naprawdę wierzycie, że on wróci na własnych nogach? Przecież jest sparaliżowany!

Kasia też parsknęła śmiechem, ale natychmiast zakryła sobie usta dłonią.

Jan, słysząc z daleka kłótnię, postanowił natychmiast zażegnać konflikt. Podszedł do zebranych w chwili, gdy Albin najwyraźniej zabierał się do przyłożenia Wydrze.

– Panowie! Panowie! – łagodził podnieconych uczestników zajścia. – O co chodzi?

– Jak mogli przysłać niewierzącego na pielgrzymkę? – zirytowana Budniokowa miała pretensje do księdza.

– Praca nie zależy od światopoglądu – ksiądz poklepał ją uspokajająco po dłoni.
– A pan Wydra z pewnością nie miał nic złego na myśli.

– Może i nie – Budniok poparł żonę. – Ale przecie powiedziane jest, że wiara góry przenosi. Więc my wierzym, że Gabrys dozna łaski uzdrowienia. To nie temat do żartów.

– Wielu chorych odchodzi z miejsc świętych tylko pocieszonych – zaczął ksiądz ostrożnie.

– Ostatnie cuda zanotowano w średniowieczu – zakpił znów Wydra.

– Cudem może być nie tylko uzdrowienie – wyjaśnił Jan łagodnie.

– Cudem w tym przypadku będzie, jak ta kukła w ogóle zrozumie, po co tam przyjechała – odparował Wydra i wstał. – Idę się odlać. Idzie ktoś ze mną?

Nie doczekawszy się odpowiedzi od osłupiałych zebranych, oddalił się wolno w

stronę zarośli.

– Sam ksiądz widzi – sapnął Budniok – kogo nam przysłali.

– Radzę nie wdawać się z nim w dyskusję – doradził Jan. – Najlepiej zachować spokój. Bądźmy godni, to w końcu przestanie się popisywać. Jestem pewien, że tylko się zgrywa.

W zaroślach, tuż obok, Wydra głośno i ostentacyjnie oddał mocz. Kasia znów parsknęła śmiechem, aż zebrani spojrzeli na nią z niesmakiem.

– Ciebie to bawi? – spytał ją Albin obrażony.

– Poniekąd – rzuciła niedbale.

– Ta dzisiejsza młodzież! – Budniok zwrócił się wprost do księdza. – Sam ksiądz widzi! Za grosz wychowania nie mają! – rozzalił się.

Maciek z Bożenką dyskretnie wycofali się w stronę milczących Prokopa i Jadwigi.

– Starszym należy się szacunek – pouczył ksiądz Kasię surowo. – Nie możesz o tym zapominać.

– Tym, co wożą kalekę po cud też? – Wydra wyszedł z krzaków, zapinając guziki w rozporku.

– Bądź tak dobry i zachowaj swoje zdanie dla siebie – skarcił go ksiądz.

– Panie Wydra – poprawił go Wydra. – Nie wiedziałem, że nadal istnieje cenzura.

– Powiedz – zwrócił się ksiądz do Kasi, ignorując Wydrę: – a ty, w jakiej idziesz intencji?

– W żadnej – zaśmiała się. – Chcę się zmęczyć.

– Nie rozumiem – przyznał Jan.

– Wystarczy, że ja rozumiem – odpowiedziała niechętnie, najwyraźniej kończąc rozmowę.

Wydra przyjrzał jej się z zainteresowaniem. Budniokowa zajęła się Gabrysiem,

dała mu pić, przetrzepała kocyk, razem z Budniokiem zanieśli też chłopca za potrzebą. Wydra podeszedł do Kasi.

– Zapalisz? – podał jej paczkę.

– Czemu nie – wyjęła papierosa, Wydra podsunął jej zapalniczkę i przysiadł obok.

– Jesteś niegłupia, wiesz? – pochwalił.

– Doprawdy? – zaśmiała się, jakby rozpoczął z nią flirt.

– Trzeba mieć odwagę – kontynuował – tak im walnąć bez pardonu.

– Mówisz o sobie? – Uśmiechnęła się sceptycznie.

– Inteligencja, rzecz rzadka u kobiet. Uchodzi wręcz za skazę. – Też zapalił.

– To komplement czy obelga? – wydmuchiwała małe kółka i wydawała się być rozbawiona.

– Dzieciak z ciebie – pokiwał głową.

– Idź do diabła! – wściekła się.

Rzuciła w niego papierosem i podeszła do Budniokowej, która właśnie sadowiła Gabrysia z powrotem w wózku.

– Co mu jest? – zapytała uprzejmie.

– Porażenie mózgowe – Budniokowa zdziwiło jej zainteresowanie. – Ale wyjdzie z tego.

– Jasne – przytaknęła Kasia bez przekonania. Przyglądała się twarzy Budniokowej, na której cierpienie wyrzyło ostre bruzdy wokół oczu i ust. Zamilkły obie. Ksiądz pogłaskał Gabrysia po głowie. Chłopiec nie zareagował, patrzył przed siebie tępo, jakby niewidzącymi oczami.

Wiatr wiał nieprzerwanie. Z oddali dobiegł głuchy pomruk zbierającej się gdzieś burzy. Zaczęły rechotać żaby. Ksiądz zarządził wymarsz.

* * *

– Gerard wszedł w moje życie natychmiast. Zaprzyjaźnił się z Arturem. Nie była to z jego strony gra. Artur interesował Gerarda już wcześniej. Słyszał o jego kompozycjach, dokonaniach muzycznych od znajomych, zależało mu, aby to właśnie Artur był autorem muzyki do jego nowego filmu. Artur okazał się jednak trudnym partnerem. Był skomplikowany, niepokładany wewnątrz. Jego muzyczne fascynacje graniczyły z obsesją. Wciąż niezadowolony, bez końca potrafił poszukiwać nowych rozwiązań harmoniczych. Stanowili własne przeciwieństwo. Gerard bywał u nas często, przesłuchiwali taśmy z kolejnymi etapami pracy Artura. Godzinami spierali się nad ostatecznym kształtem kompozycji. Potem zapędzali się na inne, równie gorące tematy. Przysłuchiwałam się tym nie kończącym się dyskusjom, potrafili tak siedzieć do rana. Nigdy nie zabierałam głosu. Byłam jedynie biernym obserwatorem tej dziwnej przyjaźni. W ciągłych starciach, rzadko dochodzili do consensusu. Byli tacy różni. Gerard gorący, rozpalał się do białości, choć nigdy nie tracił powagi i nie przekraczał granic. Swoje wywody wyrывał wprost z siebie. Szczerze i naturalnie. Nie narzucając własnego zdania ani sposobu widzenia. Artur zaś był zasadniczy w poglądach. Na życie, na sztukę, doprowadzało go do furii opanowanie i jednocześnie magnetyzm Gerarda. Często wpadał w złość. Obrażał go, potem przeproszał, wściekał się o byle co. Nie mógł zrozumieć, że można być kimś innym niż on i jednocześnie tak samo fascynującym. Uznawał tylko siebie. Swój talent. Egoistyczny, dążył do maksymalnej perfekcji. Chciał być najlepszy. Fakt, że ktoś mu dorównuje, irytował go. Uznawał talent Gerarda, graniczący z genialnością, jednak za wszelką cenę chciał go prześcignąć. Przez cały ten czas Gerard nie dotykał mnie. Ani ja nie dotknęłam jego. Nie podawaliśmy sobie nawet rąk na powitanie, co Artur w końcu zauważył i skomentował:

– Nie lubisz Gerarda – stwierdził kiedyś. – Unikasz go.

– Skądże – zaprotestowałam słabo. – Jest sympatyczny.

– Wcale nie rozmawiacie ze sobą. Gdy przychodzi, zaszywasz się w kącie. Jak odludek.

– Wolę słuchać.

To był mój koronny argument, nie do obalenia. W końcu Artur dał mi spokój.

Gerard entuzjasmował się wszystkim, co nowatorskie w sztuce. Artur bronił postaw klasycznych. Pamiętam jeden ich spór: Gerard uzasadniał surrealizm i dada, twierdził, że chodziło o to, by zamiast poddawać się rzeczywistości, stworzyć inną rzeczywistość, wyższego rzędu. Artur szydził, że olśnienie, błysk, ekstaza, nie mogą być powodem sztuki. Gerard wyjaśniał, że owszem, mogą, bo pozwalają wyrwać się człowiekowi z pęt rozumu i ograniczeń, jakie rozum człowiekowi narzuca. Szamotali się bez końca, wreszcie Artur wyciągał butelkę. Po każdym sporze musiał się napić. I każda dyskusja, przy butelce, pozostawała nierozstrzygnięta. Gerard pił niewiele, bał się utraty kontroli nad sobą. Arturowi to się nie podobało, on przeciwnie, potrafił skutecznie zalewać robaka. Godzili się dopiero przy przesłuchiwanie taśm. Gerard był zadowolony z pracy Artura. Doceniał rodzące się dzieło. Wróżył mu sukces. A Artur oczekiwał tego jak zbawienia. Czuł się nieodkryty. Gerard miał mu to zapewnić, miał pomóc mu się objawić. Porównywałam ich obu. I uczyłam się – Gerarda – na pamięć.

*

Szli polną drogą. Suchym, kamienistym, wyżłobionym pośród wzgórz jarem. Między łąkami i zbożami pełnymi maków. W oddali lśniło jezioro, odbijając opadające już nieco słońce. Złoto i czerwono lśnił warkocz Soni.

Ksiądz obejrzał się za nią. Wiatr targał jej włosy, Jan miał ochotę ochronić ją przed jego natarczywością. Lęk owinał się wokół jego serca, pomyślał, że mógłby

jak ten wiatr bawić się jej włosami... Jednocześnie zdał sobie sprawę z tego, że to nie o Soni myśli. Jej oczy rozdrapują tylko tkwiącą w jego duszy zadrę. Chcąc otrząsnąć się z przywidzenia, podszedł do Prokopa, który szedł na końcu grupy, w asyście psa. Prokop drgnął niespokojnie, gdy zobaczył, że ksiądz zmierza ku niemu.

– Jak tam kondycja? – zagaił Jan.

– Dziękuję, jakoś leci – odparł niepewnie Prokop, rzucając psu patyk.

Pies skoczył w bok, zagłębił się w poszukiwaniach.

– Każdy tu idzie w jakiejś intencji – podpowiedział Jan delikatnie.

– A, tak, tak... – westchnął Prokop. – Wiem. Ja... tylko tak. Dla spokoju.

– To znaczy? – Jan uniósł brwi do góry.

– Siła by gadać... – Prokop próbował wybrnąć z sytuacji.

– Chętnie posłucham. Czas szybciej zleci – zachęcił go ksiądz.

– Czas... – powtórzył Prokop jak echo. – A czy kto wie, jak to jest z tym czasem... – mówił niby do siebie, niby do księdza. – Wydaje się, że mija, a tymczasem on wciąż tuż za nami, odwracasz się i masz go na karku. Pozbyć się go nie da, wciąż wraca i w końcu dopadnie... Aż strach.

– Boi się pan przemijania czy wspomnień? – Jan próbował uściślić, co Prokop ma na myśli.

– Bo to nie wszystko jedno? – machnął ręką Prokop, machinalnie ujmując patyk z pyska psa. – Czas nami rządzi. Czas. I nie popuszcza. Uciec nie da. Bo dokąd. I jak.

– Jest pan żonaty? – Jan był zaciekawiony.

– A czyja wiem? – westchnął Prokop zrezygowany. – Przed Bogiem jedno, przed ludźmi drugie...

– To znaczy?

– To nic nie znaczy. Tyle, że wyjechała.

– Daleko?

– Do rodziny. Za Kaukaz.

– Ale wróci?

– Nie ma jej ze sześć lat. Nie wiem, co robi. Uciekła.

– Do Rosji? Przecież oni uciekają stamtąd. Nie chcą wracać.

– Tak mówiła. Przyjechała, rozpaczała. Tom się ożenił. Potem dostała jakiś list i tylko ją widział.

– Co powiedziała? Pożegnała się chyba?

– Że źle z jej matką i ojcem. Że musi tam jechać.

– Pisała? Nie szukał jej pan?

– Napisała, że zostaje. Przepraszała. I tyle. Niewielem był dla niej wart.

– Dziwna historia – zamyślił się ksiądz. – Późno się pan ożenił – zauważył po chwili.

– Jakoś... nie składało się – Prokop wydawał się speszony.

– Przecież z pana niezły mężczyzna – Jan próbował wysondować, co dolega Prokopowi.

Prokop poczerwieniał. Najwyraźniej słowa księdza uraziły go. Spuścił głowę.

– Gdzież by tam – wyznał ze wstydem. – Jestem na rencie. Korzonki... Może gdybym miał pieniądze.... to i kobita by się nadarzyła... Wie ksiądz, ja jestem taki parafianin... po przerobie – wykrztusił nagle.

– Z odzysku – poprawił go Jan. – Wielu jest takich. To nic złego. Najważniejsze, żeby wytrwać. Zawsze pomogę – uśmiechnął się zachęcająco.

– Tak, tak – na twarzy Prokopa widać było ulgę i jakby wdzięczność.

Jana ucieszył ten widok. Po raz pierwszy od czasu wyruszenia w drogę, poczuł się potrzebny.

Do księdza podszedł Maciek.

– Pograć? – zapytał.

- A macie siły na śpiewanie? – upewniał się ksiądz.
- Ja tam mam, ale czy inni... – zawahał się Maciek. – To jak ksiądz chce.
- To twoja dziewczyna, Maćku? – ksiądz wskazał na Bożenkę.
- Tak jakby – Maciek znów się zawahał.
- Jak to? – zdziwił się ksiądz. – Jest czy nie jest?
- Na razie jest – przyznał Maciek.
- Co to znaczy? – nie zrozumiał ksiądz.
- Ojej, proszę księdza – Maciek poczuł się przyparty do muru. – Nie wiem, co będzie potem. Może się pobierzemy, może nie.
- A kto ma to wiedzieć, jak nie wy? – dociekał Jan.
- Za wcześnie na takie deklaracje – nachmurzył się Maciek. – Chodzimy dopiero dwa miesiące. Wszystko się może zdarzyć. Co nie znaczy, że nie chcę z nią być. Jest fajna.
- Fajna? – Jan nie mógł pojąć. – Kochasz ją czy nie?
- Zaraz „kochasz” – zdenerwował się Maciek. – No, może trochę... Ale to jeszcze nic pewnego. Powiem księdzu za dwa, trzy lata. Mam czas się zastanowić.
- A co ona na to? Chce tyle czekać?
- Jej niech ksiądz spyta – wyjął gitarę z futerału, najwyraźniej chcąc zakończyć rozmowę.
- Nie interesuje cię, co ona o tym myśli? Może się boi, że pochodzisz z nią, a potem do widzenia? – Jan nie zamierzał dać za wygraną.
- Ojej, jasne, że mnie obchodzi. Tylko nawet, jeśli ona będzie kochać, a ja nie, to i tak nic z tego nie będzie. Nie uważa ksiądz?
- Właściwie tak. Dlaczego przyszliście na pielgrzymkę? Stało się coś?
- Dostaliśmy się na studia. Na medycynę. Oboje. Poznaliśmy się na egzaminach wstępnych. Idziemy, aby podziękować Opatrzności za opiekę.
- I sobie, za ciężką pracę. Naprawdę cieszy mnie, gdy ktoś nie zapomina

podziękować. Zwykle tylko proszą...

– Studiować będziemy razem, na Śląsku. Bożenka stomatologię.

– Będę trzymał za was kciuki.

– To co, proszę księdza, pograć?

Ksiądz uśmiechnął się. Maciek wrócił do Bożenki, intonując pieśń. Bożenka zawtórowała. Jan zerknął na milczącą Sonię. Korciło go, żeby do niej podejść. Jednak odłożył tę rozmowę na później. Potrzebował stosowniejszej okazji, miał nadzieję, że taka wkrótce się nadarzy.

* * *

– Mówię chaotycznie? Wszystko mi się płacze. Zaczynam temat, nie kończę. Rozumiesz coś z tego?

– Mam ze cztery szare komórki, Soniu.

Przez chwilę milczała.

– Nic nie wiem o czasie. Możliwe, że mijał, że tykały zegarki, ziemia kręciła się jak zwykle, ale może tylko tak mi się wydawało. Jakby mijały wieki. Wciąż broniliśmy się z Gerardem przed sobą. Długo to trwało. I tyle się wydarzyło, w tak zwanym międzyczasie. Jakby coś mogło istnieć pomiędzy czasem a czasem, między jedną a drugą częścią czasu, czy jeszcze inaczej. Może to świat rozleciał się na kawałki, na małe kawałki czasu, jak potłuczone lustro. Z tamtego okresu pamiętam tylko to nie kończące się oczekiwanie. Strach przypląwał jak fala, odpływał, pozostawał ciągły, przyczajony lęk, że nic się nie wydarzy. Miłość jest jak złodziej. Zjawia się znienacka, dopada, gdy się jej najmniej spodziewasz. Nie ma szans na obronę. To zaczadzenie. Trwa chwilę, może wieczność, nigdy nie wiadomo, czy się ockniesz i kiedy... Jakby można się było obudzić z czegoś takiego. Był chyba wieczór. Jakiś dżdżysty dzień. Od rana siąpił monotony ciurk.

Płynął z nieba cienkimi strużkami. Niepewny, nieprzekonany co do własnej celowości. Artur znowu pił. Uderzył mnie otwartą dłonią. Nie widział mnie, po prostu odsunął przeszkodę... Wybiegłam, płacząc. Było zimno, wiało, rozpalona nie czułam chłodu. Gerard wybiegł za mną. I w tym kapiącym skąpo deszczu, jakby ktoś nas popchnął ku sobie, z impetem. Dławiliśmy się. Deszcz spływał po policzkach w zapadającej szybko ciemności, kostniały wargi. Pamiętam, że biegliśmy. To było jak amok. Hotel był mroczny i nieprzytulny. Gerard rzucił banknot portierowi, chwycił klucz, biegł korytarzem, ciągnąc mnie za sobą. Niewiele pamiętam z tej nocy, prawie żadnych szczegółów. Tylko ten szalony bieg. Koszula, guziki, pasek... Piersi, pamiętam moje piersi w jego dłoniach. Coś szalało za oknem, jakaś nawałnica, albo to moja umęczona głowa oszalała. Ciało Gerarda, rozjarzone błyskami neonu, tańczyło cieniem na ścianie. Moje ciało owinięte wokół niego. Pot, śluz, łzy. Nieprzerwany strumień, wypływający z nas każdą szczeliną. Płakałam, wszystkimi porami mojego ciała. Było jak gąbka. Wydzielało i wchłaniało. Syciło. Ciało Artura, ciało Gerarda. Czym różniły się między sobą? Mężczyzna. Obcy wyraz, niewiele dotąd dla mnie znaczył. Ciało Artura, czasem pożądające. Oddawałam mu siebie, do chwilowego użytku, nie oczekując w zamian niczego. Wystarczała mi świadomość jego ulgi. Miałam na głowie tyle spraw, chorobę Oli, niewesołe perspektywy na przyszłość. Ciało Artura było ostatnią rzeczą, o jakiej kiedykolwiek myślałam. Kolana, brzuch, tę całą przestrzeń, którą odkryłam teraz, ogarniałam zachłannie, bez końca, u Gerarda. Różowy neon pod powiekami, moje plecy, jego oddech, labirynt przynależności. Taniec dwojga linoskoczków, na linie zawieszony nad przepaścią. Wydawało mi się, że umrzemy tej nocy. Że ta noc nie minie bezkarnie, że nie da jej się tak po prostu zakończyć. Było niepodobieństwem zostać tutaj, poza czasem, w tym ciasnym rajku hotelowego pokoju. Ani żyć, jak przedtem, osobno. Noc wciąż trwała, bierna, jakby w opozycji do nas, jednak czekająca na przyzwolenie, że może dopuścić wreszcie światło

nadciągającego świtu. Czepialiśmy się siebie, bez końca, jak ostatniej deski ratunku. Niepojęta radość, atawistyczna, absolutna, zwierzęca biologia. Wypełniała nas bez reszty. I ta rozsadzająca wszelkie pojęcie pewność i zgroza, z odkrycia sensu dzieła Stwórcy. W tej ciszy, w oszalamiającej pustce, odbyliśmy swoją pierwszą podróż. Dwoje wygnańców. Pojęliśmy życie. I śmierć. Ani przez chwilę nie żalowaliśmy tej wiedzy. Odpoczywał z twarzą w mojej dłoni. Wiedział, co nas czeka. Zbierał siły. Mnie było wszystko jedno, przy nim nie bałam się niczego. Cokolwiek miało się wydarzyć, nic nie mogło mnie przerazić. Byłam nieludzko, nie... właśnie tak po ludzku, tak po prostu, szczęśliwa...

*

Nastawał mrok. Nadciągał od bezmiaru wody przenikliwą wilgocią. Z wolna podnosiły się znad jeziora opary, jakby otwarto wokół wielkie chłodnie. Biała, rozciągliwa mgła, lepka, szła jak szekspirowska Lady Makbet. Za nią ptasie chichoty, skrzekliwy rechot żab, totalny jazgot przedwieczornej przyrody, ogłuszający warkot. Oblepiająca wszystko blada poświata. Rozkładająca tajne akcenty na twarzach, liściach, pojedynczo i połyskliwymi warstwami. Przerazała Jana nadchodząca noc, w tym nagle księżycowo-bagiennym krajobrazie. Jakby świat roztapiał się w złowrogich moczarach. Jezioro nie wydawało się już przyjazną oazą. Znikły żaglówki, kajaki, wydawały się teraz tylko sennym majakiem, fatamorganą skołowanej wyobraźni. Ogromna, metalicznie płaska tarcza słońca prześwitywała przez coraz gęstsze, opadające w dół chmury, w których bezwiednie tonęli. Wyglądali jak ślepcy, lunatycy stąpający ostrożnie po nieznanym terenie, zakapturzeni mnisi w kołowrocie bełkoczących modlitw. Wokół nich wyrastał w niebo czarny szafot wieczoru.

Jan zaczął się bać. Już nie nocy samej. Własnych myśli. Nieznanych wcześniej

obaw. Złowróżbnych skojarzeń. Dlaczego ta pielgrzymka okazała się nagle dla niego zbyt trudna? To było coś niesłychanego. Czego zupełnie nie przewidział. Nie potrafił okiełznać w sobie poczucia zagrożenia. Lęk, zapomniany od czasów dzieciństwa, nagle powrócił, ze zdwojoną siłą. Jak bumerang. Uderzał w niego rytmicznie, wraz z rozwrzaskliwym wołaniem kołujących nad drzewami wron. Z nieprzytomnym echem krakania, odbijającym się od drzew. Z czarną, bezwzględną obojętnością ptaki przysłańiały resztki nieba. Przysiały w koronach okolicznych sosen i znów rzucały się na ośle, zaćmione, w przedśmiertny krąg miotania się, jakby tortuowała je niemożność bliskiego zapadnięcia w senny letarg nocy.

Jeziro skowyczało cicho, niosło co chwilę do brzegu, jak do serca, kolejne fale bólu. Cierpiało. A z nim serce Jana. Przywołanymi wbrew jego woli wspomnieniami, od których sądził, że dawno uciekł, że wyrwał się z ich więzienia, ocalał. Nic bardziej mylnego. Zrozumiał teraz, że tkwią w nim nadal. Od tamtej pory, przez cały ten czas, kiedy wydawało mu się, że nareszcie odnalazł wolność i spełnienie. Poczucie upokarzającego osaczenia zawładnęło nim bez reszty. Mokre trawy zarastające ubożuchną ścieżkę, po której teraz kroczyli, były groźne. Nie odchyłały się na boki, by zrobić przejście. Chwytały w niewidzialną sieć, hamowały krok, tamowały oddech. To stawało się nie do zniesienia. Doskonale wiedział, skąd nadpłynęła ku niemu ta bezsilna trwoga.

Obejrzał się: Sonia szła tuż za nim. Z zaciśniętymi wargami, z oczami utkwionymi w ziemię, zapewne, by nie przeoczyć drogi. Odczuł coś w rodzaju nienawiści i był pewien, że to stanowczo za mało. Powinien przegonić ją stąd. Przywołać na pomoc inkwizycję albo chociaż odprawić egzorcyzmy. Wciąż czuł na sobie, mimo że utkwiony zupełnie gdzie indziej, jej wzrok. Przenikał go do szpiku kości. Zniewalał. Szła od niej siła, której nie potrafił sprostać. Miotła nim. Przygważdżała do ziemi. Próbował uciekać, otrząsnąć się z tej mary, zlekceważyć pozór szaleństwa, w którym zaczynał się plątać. Na próżno. Jej moc była

niezwykła. Zrozumiał, co oznaczało kiedyś palenie czarownic. Sam poczułby teraz ulgę, topiąc ją w tym zielonym, niesamowitym zmierzchu, jak w jeziorze. Na karku wystąpił mu zimny pot. Był już pewien, że nie ma jej wcale wśród żywych. Tymczasem idzie za nim, jak Eurydyka. Z dna piekieł. A jemu nie wolno się oglądać. Jeżeli nie chce zgubić na zawsze – nie ją. Siebie.

* * *

– Artura poznałam przypadkowo. Przez moją koleżankę Jolkę. Właśnie rozpoczęliśmy drugi rok teatrologii. Wynajmowałyśmy razem pokój. Rozentuzjasmowana przyniosła kiedyś dwie wejściówki na jam session. Nie miałam ochoty iść. Z powodów prozaicznych: permanentny brak ciuchów. Jolka jednak nie zamierzała dać za wygraną. Nie lubiła bywać sama. W ten sposób, w nieśmiertelnych dzinsach i w podkoszulku, z własnoręcznie zrobionym nadrukiem, wkroczyłam po raz pierwszy do studenckiego przybytku sztuki, klubu noszącego szumną nazwę Czarny Kot. Nomen omen, pomyślałam, chcąc się wycofać. Ale było za późno. Ciągnięta gwałtownie za rękę przez Jolkę i pchana przez tłum okupujący wejście do klubu, wtargnęłam, prawie cudem niestratowana, w – jak się potem okazało – nowy etap mojego życia.

Koncert właśnie się rozpoczął. Grał zespół z katowickiej Wyższej Szkoły Jazzowej. Wycinali standardy. Siedziałam nieruchomo, ogłuszona ogromem dźwięków, porażona brawurą interpretacji. Co chwilę rozlegały się gromkie brawa. Jolka nachylona do mojego ucha coś mówiła przez huk, śmiała się, gestykulowała. Nie rozumiałam ani słowa, wcale nie chciałam rozumieć, czego ona chce ode mnie.

Tkwiłam za kolumną, ukryta przed wzrokiem wszystkich, zatopiona bez reszty w efemerycznej powodzi. Coś takiego na żywo słyszałam po raz pierwszy w życiu. Lubiłam jazz. Miałam nawet trochę płyt, kupionych za zarobione grosze. Niestety,

nie stać mnie było na koncerty, kończyło się więc na słuchaniu relacji w radiu czy telewizji. Tymczasem to, co działo się tutaj, było muzyczną ekwilibrystką, wyczarowywaną z instrumentów, nieznanym mi dotąd światem. Porywał, nieokiełznany, wydobywany wprost z trzewi. Z buszu. Z nieodkrytych prakontynentów. Coś pierwotnego szło ku mnie z estrady, nieodpartego, jak fala tsunami, zew krwi, prawie zwierzęcy, wywoływało z cienia. Byłam cała jednym, nieskończonym rezonatorem. Muzyka przepływała przeze mnie. Owijała się wokół serca, hipnotyzowała. Nie należałam już do siebie. Nie wiedziałam, kim jestem. Porwana obudzoną nagle tęsknotą. Za czym?

Jolka przytupywała i klaskała do rytmu. Podśpiewywała rozochocona. Najwyraźniej świetnie się bawiła. Ja czułam, jak mnie ubywa. Jednocześnie przybywało całkiem czegoś innego. Przestrzeni. Magnetyzmu. Euforii. Porywających możliwości. Kręciło mi się w głowie, jakbym wypila butelkę wina. Oszołomiona wodziłam wzrokiem na prawo i lewo, nie widząc niczego, prócz kolorowych refleksów reflektorów, współgrających z rozmigotanym dźwiękiem, wibrującym w sposób tak doskonały, że nie do pojęcia.

– Fajnie grają, co? – Jolka mrugnęła do mnie z zachwytem.

Dotarło to do mnie w ciszy, wtedy zrozumiałam, że przestali grać. Tak bardzo wypełniona wciąż byłam muzyką...

– Jejku – jęknęła Jolka – to chyba nie koniec?

Rozanielona pobiegła do baru, po chwili wróciła, niosąc dwa drinki.

– Wypij, wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha – zaśmiała się, podając mi jeden, zadowolona z efektu, jaki wywarł na mnie koncert.

– A wiesz – dokończyła po chwili, delektując się kolejną rewelacją – w tym zespole gra mój kumpel. No ten, co załatwił nam wejściówki. Jak chcesz, przedstawię cię. Będziemy mogły znów się załapać na granie, za darmochę. No? – trąciła mnie na zachętę.

Ale mnie nie trzeba było namawiać. Czar trwał. Nie mijał. Byłam całkowicie w jego mocy. Jolka pociągnęła mnie przez środek sali, ku stojącym pod oknami stolikom. Przy jednym z nich siedziało dwóch muzyków. Odsunęła jedno z krzesel.

– Możemy się przysiąść? – znów mrugnęła, tym razem do sporego młodzieńca, hożego i czerstwego, jak domowy chlebek.

– Jasne – oddał jej uśmiech, podstawił też drugie krzesło, dla mnie. Przysiadłam niepewnie obok nich.

– Dzięki – cmoknęła go w policzek. – To Sonia – przedstawiła mnie. – Wciąż trawi to, co usłyszała. Strasznie wrażliwy egzemplarz. Wasza muzyka ją tak zszokowała.

Spojrzeli na mnie z zainteresowaniem, dziwnie ukontentowani.

– To Artur, a to Jarek – Jolka przedstawiła mi obu członków zespołu. Była ładna i sexy. Czułam się przy niej jak myszka. – Dwa filary dzisiejszego wieczoru! Reszta niestety upija się przy barze – dokończyła, już tylko w moją stronę.

Wystarczyło mi tych dwóch. Aż nadto. Szczególnie ten brodaty. Artur. Kontrabasista. Jolka zagłębiła się w konwersację z Jarkiem. Mnie przypadł w udziale Artur. Moja niemożliwa do ukrycia fascynacja pochlebiała mu. Za to jego surowa powściągliwość w oczach mnie przestraszyła. Czułam, że płonę, paliły mnie policzki, czoło, cała twarz płonęła. Tonęłam ze wstydu w tym bezsilnym rumieńcu. Ale jemu najwyraźniej to się podobało. Postanowiłam wyjść. Wstałam, ale Jolka tylko pomachała mi ręką, nie zamierzała kończyć wieczoru. Artur zaoferował się odprowadzić mnie do domu. Tak się zaczął nasz pierwszy wspólny spacer. Musiał trwać długo, nie wiem, ile minęło godzin. Ulice niosły nas przed siebie, noc mijała. Zaczarował mnie swoimi opowieściami. Zrodziło się we mnie niejasne podejrzenie, że to mógłby być ten właściwy dla mnie człowiek, ten jedyny, więc nie wolno mi tej szansy przegapić. Nie ciągnęło mnie do niego fizycznie. Nie miało to dla mnie znaczenia. Spacerowaliśmy w tej październikowej,

wczesnej i głębokiej ciemności. W uszach wciąż dźwięczała mi jego muzyka. Stale chciałam ją słyszeć. Bez końca. I jego opowieści o muzyce, o jej tworzeniu. Fascynacja intelektualna talentem, tak bym to teraz określiła. Szczęśliwa, że zwrócił na mnie uwagę, nie byle jaki muzyk. Artysta! Czułam się taka dowartościowana. Wpadłam w popłoch na myśl, że może nie zechce się już ze mną spotkać. Dlaczego nie byłam ostrożniejsza? Jak to miało wyglądać potem, na co dzień, w życiu, nie zastanawiałam się. Miałam się o tym przekonać na własnej skórze.

– Wpadł ci w oko? Nie zaprzeczaj! – skwitowała Jolka mój nadranny powrót ze spaceru. – Ale uważaj. On jest nie do zdobycia. Niejedna sobie na nim połamała zęby!

Pociągało mnie wyrafinowanie Artura, jego finezja, niewątpliwy intelekt. Przy tym potrafił być czarujący. No i uwodził mnie. Od samego początku. To najbardziej mi się podobało. Nie umiałam bronić się przed nim. Nie chciałam.

*

Mgła zmęczyła ich. Szybko zapadał zmierzch. Okoliczny las trwał nieruchomo, czerniejąc na tle opadającego w mrok nieba. Chmury szły nisko, wolno, prawie zahaczając o ich głowy. Nie mogli oprzeć się wrażeniu, że są na szczycie góry, skąd roztacza się rozległa panorama na bielejące po horyzont jezioro, jedyną żywą, jasną plamę, w tym martwym, jak po wybuchu, krajobrazie.

Czuli się osaczeni tym lasem i tym jeziorem. Stanowiły barierę nie do przebycia. Byli bez szans na ucieczkę, na jakikolwiek odwrót. Jedyne kierunki pchał ich do przodu, w nieznaną czeluść ziejącej przed nimi pustki, odgradzającej ich, jak mur, od reszty świata. Ta klaustrofobiczna kondensacja przestrzeni udzieliła się wszystkim. Milczenie stało się nagle jedyną więzią, która łączyła ich

ze sobą, oraz z całym przyczajonym wokół kosmosem. Przyroda okazała się wroga, obarczyła ich pozorną wspólnotą. Jednocześnie mieli wrażenie, że drwi z ich lęku i niemocy. Milczenie dławiło i przytłaczało, choć było jedynym lekiem i wybawieniem z tej schizofrenicznej pułapki. Każdy śmiech, żart, wydałby się teraz niestosowny, sprowokowałby agresję, z tego zdawali sobie sprawę. Nawet Wydra szedł zapadnięty w siebie, ciszę zakłócał jedynie chrobot kół i chrzęst pękających pod naporem wózka gałęzi. Jedynym światłem było migotanie zapalonych latarek.

Ksiądz pomyślał, że jeśli nie przerwie teraz tego marszu, może ich czekać niekontrolowany wybuch napięć. Ludzie czuli gwałtowną potrzebę odpoczynku, rozładowania ciężkiej atmosfery wieczoru. Mgła stała się nie do zniesienia. Milczenie w niej było jak palący się lont... Jan poczuł w sobie bunt. Nigdy nie sprzeciwiał się trudom i komplikacjom. Wydawały mu się niezbędne do hartowania woli. Nazywał to świętym ogniem dla próby charakteru. Ten mglisty tygiel był jednak nawet dla niego zbyt trudny.

Polana otworzyła się przed nimi bez uprzedzenia.

– Nareszcie – sapnął Władysław – już myślałem, że pobłądziliśmy. Że chodzimy w kółko i w kółko... – Przysiadł na mokrym pniu, dysząc ciężko.

Zaczęli rozkładać się na noc. Urządzić biwak w takich warunkach nie było rzeczą prostą. Latarki znośnie oświetliły teren, zabrano się do rozbijania namiotów. Część osób miała tylko śpiwory, na szczęście nie było zimno, choć panowała nieprzyjemna wilgoć. Budniokowie z wolna postawili swój namiot. Wkrótce wyrósł namiot Maćka i Bożenki.

– No, nie – zaprotestował Albin gwałtownie – chyba nie zamierzacie spać tam razem?

Maciek napotkał natarczywy wzrok księdza i głos uwiązł mu w gardle.

– Może spać w namiocie, oprócz Bożenki, któraś z pań – bąknął wreszcie.

Wydra ryknął śmiechem. Zabrzmiało to jak wystrzał w studni. Przez chwilę nie

mogli otrząsnąć się z tego wrażenia. Wydra ostentacyjnie rozłożył się na swojej karimacie i zapalił papierosa.

– Na przykład pani Jadwiga – zaproponował na zgodę Albin.

Maciek wzruszył ramionami. Ta czy inna zajmie jego miejsce, co za różnica. Odpowiedział jednak, starając się zachować uprzejmość, że to dobry pomysł. Jadwiga z wdzięcznością przyjęła zaproszenie na nocleg. Zawsze to sucho, a nie w tym okropnym lesie. Maciek z Prokopem naszykowali ognisko, co nie było łatwe, zważywszy na oblepione wilgocią gałęzie. W końcu jednak rozżarzył się nikły ogieniek. Mimo iż migotał niepewnie i drżał, jakby zaraz miał zagasnąć, zrobiło się przytulniej w tym dziwnym lesie. Jan odetchnął. Uznał, że najgorsze za nimi. „Pierwsze koty za płoty” – pocieszył się w myśli. Pies warczał co chwila, odwracając głowę w stronę poszumów i niepokojących go odgłosów, dochodzących z otaczających zarośli. Podkulał pod siebie ogon, to znów zrywał się na plusk ryby w jeziorze. Prokop uspokajał go, poklepując raz po raz po pysku, mimo to pies trwał ze zjeżoną wciąż sierścią. Budniokowa karmiła Gabrysia, który przysypiał na wózku. Budziła go, stukając łyżką o poręcz. Otwierał nieco oczy i znów je zamykał, pograżając się w ogarniającym go przemożnie śnie.

– A ty, co, pościsz? – Kasia podeszła do Wydry.

– Spadaj, mała – skwitował bez pardonowo jej inwigilację.

– Głodnego nakarmić – Kasia rzuciła mu ostentacyjnie kanapkę i wróciła obrażona do siedzących przy ognisku.

Nawet nie spojrział na chleb, co zauważyła kątem oka. Albin poczęstował księdza kabanosem. Miało to być przypomnienie o jego popołudniowej prośbie. Ksiądz skinął głową na znak, że pamięta. Sonia jadła niewiele. Księdzu wydało się nawet, że dziewczyna rozplacze się. Że wstanie i wróci z powrotem, w ten ciemniejący tunel nocy, z której dopiero co wyszli. Przestraszył się, że gdy się zgubi, on będzie musiał jej szukać, bo przecież nie ruszą bez niej dalej. Tymczasem

odeszła na bok, siedziała teraz na brzegu jeziora, odwrócona w stronę rozlewającej się wokół niej toni. Jan odprawił szybko wieczorną mszę. Jednak Sonia nie uczestniczyła w niej. „Ani ona, ani Wydra” – skonstatował Jan ze smutkiem. Komunii nie przyjęła też Kasia. Czuł, że nie wygrał tej batalii. Nie zamierzał jednak poddawać się. Chwilowe niepowodzenie nie oznaczało przecież jeszcze sromotnej klęski. Prędzej czy później, skłoni tych ludzi do spowiedzi. Był pewien, że jest to możliwe. I że wystarczy mu czasu i sił.

Po mszy podszedł do Soni. Spojrzała na niego nieprzytomnie. Wzrok miała nieobecny, trochę przestraszony.

– Mogę? – przysiadł na kamieniu obok niej.

Nie odpowiedziała. Znów zapatrzyła się w falującą przed nią przestrzeń. Rozlana wokół woda zdawała się zawierać przestwór oceanu. Ogromniała w swoim bezmiarze. Wypełniała każdy skrawek dostrzegalny dla oczu. Nie było niczego, poza tą apokaliptyczną wizją biblijnego potopu. Szumiącego bezwzględnie i rytmicznie w dookólnym bezkresie.

– Nie musisz niczego wyjaśniać – uspokoił ją. – Nie pytam o nic.

Jej szklane oczy odbijały światło wody. Pozostawały jasne, mimo ciemności. Miał wrażenie, że fosforyzują.

– Przypominasz mi kogoś – wyznał wreszcie, jak winę. Chciał mieć to za sobą.
– Kiedyś ci opowiem. Jeżeli zechcesz, oczywiście.

Nie usłyszał odpowiedzi. Zrozumiał, czego się boi. Że po swoich zwierzeniach będzie oczekiwał w rewanżu jej zwierzeń. Poczuł, jak zamiera w nim serce. Bo jeszcze nigdy nikomu nie pragnął tak bardzo się zwierzyć. Prawie modlił się w duchu, aby zechciała kiedyś go wysłuchać. I niczego tak bardzo nie oczekiwał, jak jej opowieści. I jej rozgrzeszenia. Minęło tyle lat. Dlaczego powróciła znów tamta rozpacz? Tamten ból... Czy to na pewno przypadek? A jeśli nie? Jeśli to pokusa?... Drgnął. Musiała to zauważyć, bo zwróciła ku niemu twarz.

- Mógłby mnie ksiądz zostawić samą? – w jej głosie było tyle cierpienia...
- Oczywiście – wstał, czując, że krzepnie w nim krew z żalu.

Odszedł wolno, zgarbiony, nie oglądając się za siebie. Czuł, jakby brał udział w jakiejś gonitwie i nie mógł dopaść tego, co mu wciąż umykało. Ogarnął go lęk, że jeżeli teraz obejrzy się za siebie, ona zniknie, uniesie się w powietrze, jak czajka, po prostu odfrunie. Tak bardzo wydawała mu się nierzeczywista, pozbawiona, jak tamta, którą oplakiwał, wszelkich znamion realności.

* * *

- Co było potem, Soniu?
- Potem... banalna historia. Artur zaprosił mnie na próbę.
- Jasne. Miał w końcu świadomość twojego zafascynowania jego muzyką.
- Dla mnie było oczywiste, że chce mnie zdobyć. Inaczej nie starałby się mi zaimponować. Nie umawiałby się ze mną.
- Ruch należał do ciebie. Jak mogłaś to tak źle rozegrać?
- Bo nie grałam. Nie traktuję uczuć w kategoriach rozgrywek. To nie partia szachów.

W jej głosie drgał ledwo powstrzymany gniew. Mimo to odpowiedział:

- Dlatego przegrałaś. Obaj mogli tobą manipulować.
- Nie miałam pojęcia o mężczyznach. O kalkulowaniu, jak na giełdzie. Do dziś gubię się w tych wszystkich kombinacjach.
- Matka niczego cię nie nauczyła? – zapytał ostrożnie.
- Była bezradna, jak dziecko. Samotna. Zmarnowała swoje życie.
- A ojciec?
- Opuścił nas, gdy miałam cztery lata. Niewiele pamiętam.
- To sporo wyjaśnia...

– Ale nie wszystko, prawda?

Zastanowił się, nim odpowiedział.

– Gdzie twoja intuicja? Kobięcy spryt?

– Nie jestem wyrachowana. W miłości uznaję zasadę: wszystko albo nic. Jeżeli mężczyzna daje, mogę wziąć. Jeżeli nie chce, wycofuję się, nie walczę o niego.

– Bierność nie daje szczęścia.

Znów szarpnęła głową, jakby ją uderzył.

– A czy cokolwiek jest gwarancją szczęścia? – odparowała. – Nawet miłość, także nie. To takie smutne...

– Przykra konkluzja. Stara jak świat – przyznał.

– Przykra jest sama ta wiedza. I sposób, w jaki się ją zdobywa – wyjaśniła cicho.

– Mnie to na razie zostało oszczędzone.

– Zazdroszczę ci.

– Co było potem?

Przez dobrą chwilę zbierała się w sobie. W końcu odezwała się.

– Artur po kilku spotkaniach zaprosił mnie do siebie, do domu. Jeszcze się nawet nie pocałowaliśmy. Mówiąc szczerze, nie dążyłam do niczego. Czekałam. Byłam pewna, że coś nastąpi. Ale nie zamierałam przyspieszać ani przejmować inicjatywy.

– Masz staroświeckie zasady?

– Tak mi się wydawało. A Artur w ciągu jednego wieczora wywrócił moje zasady do góry nogami. Mieszkał w willowej dzielnicy Katowic, w pięknej, starej kamienicy zbudowanej jeszcze przez jego pradziadka. Stylowo urządzone wnętrza, kaflowe piece, witraże w oknach. Byłam olśniona. Krążyłam po dębowych parkietach, wpatrywałam się w obrazy. Przyglądał mi się z uśmiechem. Podobał mu się mój zachwyty. Mnie podobał się on. Nalał mi wina. Potem znowu. Stał i

patrzył. Bez słowa. Kark mam ocieniony ciemnym meszkiem, musiał to zauważyć, bo włosy upięłam w węzeł. Obserwował uważnie, jak przechylałam głowę, jak poruszam się, nie uszedł jego uwagi żaden mój gest. Nie było jego rodziców. Wziął mnie z marszu. Widocznie podświadomie oczekiwałam tego i on to wyczuł. Nie zdążyłam nawet zaprotestować. Na czarnej płycie fortepianu, której lustrzana tafla, jak wielkie morze, odbijała moją sromotną klęskę. „Rety, Soniu – jęknął wreszcie – czemu nie powiedziałaś, że jesteś dziewicą?”. Po prostu nie pomyślałam, że to może mieć dla niego znaczenie, czy jest pierwszy, czy nie. W ten sposób stałam się przy nim kobietą. Zapinał się szybko, zakłopotany. Nie wiedziałam, śmiać się, czy płakać. Zadygotałam. „Nie martw się – pocieszył mnie niepewnie – jakoś to będzie”. Pocałował równie niepewnie. Jego broda była gęsta, łaskotała w twarz. Zorientowałam się, że robi to celowo. Usiłował niezręcznie być zabawny. Bez skutku.

- Mógłbym to skomentować. Cynizm przybiera czasem pozór namiętności.
- Nie warto. To była nasza wspólna wina.

*

Jan leżał, wpatrując się w niebo. Panowała zastraszająca cisza i bezruch. Chaos nocy, przerywanej pomrukami fal, uderzających o niewidoczny brzeg. Miał wrażenie, że śpiący wokół niego nie oddychają. Bał się, że on sam nie zaśnie tej nocy. Że także przestanie oddychać. I że będzie musiał jutro rano wstać i ruszyć w dalszą drogę – bez wypoczynku. Ogarnęła go przemożna chęć modlitwy. Wysupłał po ciemku różaniec, w tej szczelnej ciemności próbował odmówić choć parę cząstek. Nie potrafił. Wyobraźnia platała mu figle. Nagłe sapnięcie psa podrywało do czuwania. Nie to, żeby nie czuł radości z możliwości tej ważnej dla wielu tułaczki. Przytłaczała go odpowiedzialność. Obudził się w nim znów tamten mały

chłopiec, który bał się, że podczas kamiennego snu, zmęczonych wyrzną zbójcy. Próbował przebić wzrokiem otaczającą go mglistą ciemność. Wyteżone oczy nie notowały jednak żadnych szczegółów, prócz niejasnych zarysów postaci leżących najbliżej. Poza tą granicą rozciągało się tylko niewiadome. A jeśli niebezpieczeństwo, które czai się, czeka na jeden jego fałszywy ruch? Na uspienie czujności? Zlekceważenie potrzeby czuwania? Zapatrzył się w niebo, które prawie opierało się na jego czole. Zwisające ciężko, jak ciało po wyczerpującej chorobie, wyniszczone i bezradne. Poczerniałe od lodowatej gorączki. Wszyscy umarli krążyli teraz wokół niego. Znani i nieznani. Zataczali krąg. Otaczali ciasnym pierścieniem. Osaczali swą obecnością, którą odczuwał prawie namacalnie. Szli długim szeregiem, każdy ze swoim brzemieniem pokuty. Poczuł, jak pot ścieka mu z czoła pomimo chłodu.

Gdyby choć jedna gwiazda ukazała się na niebie, choćby mała, najmarniejsza, byłoby mu łatwiej. A potem pomyślał, że to ułuda, bo światło biegnie tu z gwiazd przez miliardy lat świetlnych. Zostało wysłane kiedyś, gdy nie śniło się jeszcze nikomu o Ziemi, na której on teraz samotnie wyczekuje z kosmosu jakiegokolwiek odzewu. Ten odzew i tak nie był przeznaczony dla niego. Należał do innych światów, może już dawno nieistniejących. Być może nie istnieje nawet gwiazda, której światło teraz by zobaczył. Nie wiadomo, co właściwie tam teraz istnieje. Poczuł się bezmiernie samotny, w tej nieznannej mu pustce. I pomyślał, że bez wiary w to, że cały ten Wszechświat ma sens – nie dałby rady żyć. Jego misja musi mieć jakieś znaczenie, skoro do niej doszło. Nie wie, jakie. To może się okazać dopiero na końcu drogi. O ile cokolwiek się okaże. Tak wiele przecież dzieje się bez uchwytnej przyczyny, bez widocznego celu, zakryte przed naszymi oczami. Grzęźniemy w wątpliwościach, jak on teraz w tej wszechpotężnej nocy, na którą sam nie znalazł zrozumienia ani lekarstwa. Gdyby mógł prześnić ją... Minęłaby jak chwila.

Czas ma to do siebie, że daje się rozciągać i skracać. Od dawna ma wrażenie, że czas jest tu na Ziemi najbardziej śmiertelną istotą. Zmęczoną, zakatarzoną, która nie panuje nad sobą. Zupełnie jak ci ludzie. Jak on sam. I jeszcze pomyślał, że jeżeli ktokolwiek go rozumie, to właśnie czas. Potrafi przystanąć, gdy trzeba, bieć, gdy go wołają. Ludzki, po kres, odchodzi wraz z nimi w Niebyt. Tam, gdzie nie ma już jego ani nas – cielesnych. A co jest? Światło. Które kiedyś rozbłysło. Jak to, które teraz, po miliardach lat, możemy łowić zachłannymi oczami. Z góry przewidziało, kiedy rozbłysnąć, aby dotrzeć do nas w tym właśnie, nie innym, najbardziej odpowiednim momencie. Nie milion lat wcześniej, gdy jeszcze nas nie było, ani milion lat potem, gdy być może nikogo już nie będzie... I zrozumiał, że cokolwiek teraz pomyśli, czy zrobi, to światło i tak tu dotrze. Jego pragnienia, chęci, decyzje nie mają na to żadnego wpływu. I być może nawet – żadnego znaczenia... Bóg. Kim jest? Czym? Stwórcą światła? Światłem samym? Elektrycy, krążące w atomach ciała, po swoich niezmiennych orbitach, są tylko mniejszą wersją orbitujących galaktyk. Każdy z nas jest takim samym układem fizycznym. Nie mamy pojęcia, dlaczego te martwe, a tylko wprowadzone w nieskończony ruch cząstki, mogą cierpieć, płakać czy śmiać się. Czym czują? W jaki sposób? Dusza... Najprostsze wytłumaczenie. Elementarne. Ale co właściwie oznacza? Co znaczy: być? Samemu... Pośród takiej nocy... Po raz pierwszy od dawna, znów zapłakało w nim dziecko.

Dzień drugi

Po ciężkiej nocy poranek wstał rześki i gorący. Jan otworzył oczy. Słońce jak kolorowa piłka drżało w powietrzu nad horyzontem, odbijało w wodzie milion refleksów. Setki połyskliwych plam rozbłyskiwało po czubki drzew. Kasia z podwiniętymi nogawkami spodni chodziła boso po trawie.

– Rety! Ale rosa! – słyhać było jej głos.

– Co jest? – obruszył się Wydra, podnosząc ciężko swoje skostniałe ciało. – Odbiło ci?

– Mnie? – odwrzasnęła, niezrażona. – Sam zobacz!

– Tyle hałasu o trochę wody na trawie? – zignorował jej entuzjazm.

Jednak wstał i powlókł się w stronę jeziora. Migotało tak, że musiał zmrużyć oczy. Jan wysupał się ze śpiwora. Zrobił parę skłonów, by rozruszać mięśnie. Po trudach wczorajszego wieczoru i jemu, i ludziom, powrócił dobry humor. Niebo głębokim, kaszmirowym odcieniem błękitu zapowiadało bezchmurny dzień. Budniokowa karmiła Gabrysia, Prokop zmuszał psa do kąpieli, wrzucając mu patyk do jeziora. Azja wyskakiwał, ochlapując Wydrę, który pogonił zwierzę ze złością.

– Idźże pan gdzie indziej z tym bydlęciem! – wściekł się w końcu.

Prokop cmoknął na psa, ten przysiadł przy nim posłusznie, strząsając z siebie resztki wody. Podeszła do nich Bożenka.

– Zapraszamy na śniadanie – uśmiechnęła się.

Wydra miał zamiar odburknąć coś złośliwego w odpowiedzi, ale czy to była wina dnia, rozśłonecznionego od świtu, czy może samego słońca, dość, że zmienił zamiar. Mruknął więc coś, starając się jednak, by zabrzmiało to lekceważąco. Poczłapał za Prokopem do siedzących wokół prowizorycznego stołu, rozsunęli się, aby zrobić im miejsce, ale siadł z boku, pod drzewem. Spodziewał się protestów,

jednak dano mu spokój. Maciek podał Wydrze kanapkę. Wziął, wyraźnie głodny. Kasia omijała Wydrę wzrokiem, zła, że nie był wdzięczny za jej wczorajszą kolację. Ksiądz zamierzał właśnie rozpocząć modlitwę, gdy spojrzał na Sonię. W tym momencie zdecydował inaczej i poprosił, aby to ona odmówiła za niego błogosławieństwo.

– Ależ nie – spieszyła się. – Dlaczego ja?

Nie nalegał. Wyraźnie nie spodziewał się odmowy, choć może powinien, po tym jak wczoraj nie przystąpiła do Komunii. To go zmartwiło. Postanowił jednak nie zawstydząć jej. Rozmowy zeszły na trudy minionego dnia, mgła najwyraźniej wszystkim dała się we znaki. Za to cieszył ich zapowiadający się bez zarzutu dzień.

Sonia poszła nad jezioro, aby umyć kubki i talerze. Przyklękła nad wodą, która odbiła cieniem, prawie zanurzone w niej, długie pasma jej czerwono-blond włosów. Ksiądz przystanął tuż za nią. Znieruchomiała. Poczuł, że znów wymyka mu się i nie ma żadnego sposobu, by ją zatrzymać. Myła kubki powoli, jakby liczyła, że postać w koloratce nareszcie odejdzie, że przestanie śledzić ruchy jej rąk. Nie odchodził. Czekał. Nie rozumiała jego napiętego milczenia. Skapitulowała. Podniosła na niego oczy. Był w nich lęk. Pochylił się nad tymi wylękłymi oczami.

– Znasz taki wiersz, o drodze? – zapytał, udając, że nie widzi czającego się w niej strachu. Wiedział, czego się boi. Rozmowy. Odwlekała ten moment. Deklamował z wiersz z pamięci, trochę się myląc.

*Drogo nasza zbląkana bez początku końca
a możeś ty Zajazdem Gwiazdą Mesjaszem
nasza alfo omego znikąd prowadząca
prowadź nas więc donikąd jak najdłużej prowadź*

– Piękne – potwierdziła, prawie bezgłośnie.

Jej ręce spoczywały nieruchomo w wodzie. Patrzyła na kubki, które trzymała, nie widząc. Dopiero teraz stwierdził, że jej oczy też są złote. Jak słońce. Dlaczego wcześniej wydawały mu się zimne? Miała rysy twarzy jakby namalowane zbyt cienką kreską. Delikatne, przywodziły na myśl impresjonistów. Widział już kiedyś taką twarz, znał te rysy... Znów poczuł stalową obręcz na sercu...

– Łatwo ulegasz nastrojom... – powiedział bezwiednie.

Zapewne miało to być pytanie, ale zabrzmiało jak nagana. To go zdeprimowało, tym bardziej że przypomniał sobie swoją wczorajszą, wieczorną słabość, wątpliwości, kłopoty z zaśnięciem... Zamilkł. Chciał ująć te zastygłe w bezruchu dłonie, ale nie odważył się. Klęczała z odchyloną głową, widział z bliska jej szczupłe plecy, ramiona, rysujące się pod cienkim materiałem. Drżała. Nie z powodu jego obecności. Z obawy, że zada pytanie, od którego nie będzie mogła uciec. A on oczekiwał odpowiedzi.

Poruszyła wolno palcami, woda popłynęła pomiędzy nimi jak srebrne ryby. Odłożyła na bok umyte kubki. Wziął je do rąk. Nosily jeszcze na sobie ciepłą wilgoć jej mokrego dotyku. Trwał zdumiony, jak na posterunku, z zamiarem chronienia tych nietrwałych śladów, które w tak dziwny sposób powróciły znów do niego, przed osuszeniem ich przez pałacę beznamiętnie promienie, przed wtrąceniem ich z powrotem w nieistnienie.

* * *

– Wieść o ciąży spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Artur przyjął wiadomość ze spokojem.

– Spodziewałem się tego – skwitował nowinę.

Byłam szczęśliwa i przerażona jednocześnie. On – zafrasowany.

– Nie mogę teraz powiedzieć rodzicom – stwierdził wreszcie. – Za krótko się znamy. Co sobie pomyślą o tobie? Zaczekajmy trochę.

Zabrzmiało to jednak niezręcznie, zważywszy na sytuację.

– A zresztą, po co czekać – zdecydował w końcu. – I tak pewnie bym się z tobą ożenił. Podobasz mi się. I lubię cię. Nie zdążyłem się tylko zakochać. Ale nadrobimy to po ślubie.

W ten sposób oświadczył mi się.

Jolka, na wieść, że wychodzę za mąż, o mało nie zemdląła.

– Złapałaś Artura? – nie mogła uwierzyć. – Jak ci się to udało? Nie doceniałam cię. Taka partia! Myślałam, że z ciebie takie ni to, ni sio, a tu, proszę! Jaka spryciara!

– Jestem w ciąży – przyznałam się. Zresztą i tak nie było sensu ukrywać dłużej tego faktu.

– Tym bardziej winszuję! – kręciła głową z podziwem. – Nie wiem, jak ty to zrobiłaś. Artur, owszem, miał kilka babek, ale żadnej nie udało się usidlić go na amen.

Patrzyła na mnie z szacunkiem, prawie bałwochwalczo. Nagle z niepozornej myszki urosłam w jej oczach na prawdziwą diwę.

– Ja nie miałam tyle szczęścia, co ty – rozzaliła się. – Ten Jarek jest ze wsi, a tam wiesz, jakie kołtuństwo? Może się ożeni, na przykład za trzy lata. No i nie tknie mnie do tego czasu. Nie będę przecież beczynn timer czekać. Dam innym kosza, a on potem się rozmyśli i co będzie ze mną? Może też uda mi się kogoś złapać na dziecko – rozmarzyła się.

– Ale ja kocham Artura – zaprzeczyłam. Wątpiłam jednak, czy wierzy w szczerść moich uczuć.

– Masz szczęście, że nie jesteś wystrzałowa – wzruszyła ramionami, chcąc mi dokuczyć. – Spójrz na mnie. Takie jak ja nie mają wzięcia. A wiesz dlaczego? Bo

faceci się boją. Przy takich jak ty nie muszą się wysilać. I czują się bezpieczni. A taką jak ja, to każdy by tylko wyobrażał – skrzywiła się – ale za męża, to już nie.

Nie zamierzałam się z nią sprzeczać. Naprawdę była rozzalona. A ja podobałam się Arturowi. Postanowił, że najpierw sam porozmawia z rodzicami. Przygotuje grunt, jak się wyraził. Nie była to chyba najprzyjemniejsza rozmowa, bo szybko się nie pojawił. Kiedy w końcu przyszedł, przekazał, że rodzice chcą mnie widzieć. Jednocześnie uprzedził, żebym się absolutnie nie przejmowała, cokolwiek powiedzą. Miał rację. Granatowa sukienka, koński ogon, czarne szpileczki... Taksowali mnie uważnie.

– Powiesz nam coś, dziecko, o swoich rodzicach? Artur był taki tajemniczy...

– Wychowała mnie mama. Ojciec nas porzucił – wyjaśniłam.

– Ach, tak – ich wzrok pozbawiony wyrazu utkwiony był we mnie. Nie podobało im się, że jestem biedna. Planowali dla syna inne małżeństwo.

– A długo się znacie? Artur nigdy o tobie nie wspominał.

– Cztery tygodnie – powiedziałam, czerwieniąc się gwałtownie. To wyznanie z pewnością nie mogło im się podobać.

– Doprawdy? – przyszły teść cedził pytanie przez zęby. – Więc skąd taki pośpiech z tym ślubem?

Artur bębnił palcami o stół. Nie odpowiedział mu. Mnie także zabrakło odwagi.

– Proponujemy wam układ, kochani – to była rada przyszłej teściowej. – Zaczekajcie parę miesięcy. Poznacie się lepiej i jeżeli nadal będziecie się upierać, wyprawimy wam to wesele.

Artur wstał blady.

– Nie zostaniecie na kolacji? – udali zmartwienie.

Pożegnali mnie chłodno. Artur był wściekły.

– Co oni sobie wyobrażają? Za kogo mnie mają? Za chłystka? Uważają, że nie jestem zdolny do podjęcia życiowej decyzji?

– Skoro tego chcą, to może zaczekajmy – zamierzałam pójść na kompromis. Nie chciałam zadzierać z przyszłymi teściami. Trzy miesiące zwłoki nie wydawały mi się czymś niemożliwym do wykonania. Cięża nie będzie jeszcze zbyt widoczna, najwyżej włożę luźniejszą sukienkę.

Trzy miesiące nie pomogły. Zażądali kolejnych trzech. Artur miał tego dość. Chodziło mu o honor. Urazili jego ambicję. Teraz on dążył do ślubu, na przekór im. Wyzaczył datę, kupił pierścione. Zdecydował, że jednak zamieszkamy u niego, razem z jego rodzicami. Przynajmniej dopóki nie ukończy studiów i nie zacznie zarabiać. Cieszył się na myśl o synu. Zaraził ich oczekiwaniem na dziedzica nazwiska i dorobku przodków. Przeboleli mój status majątkowy i ten, w ich oczach, mezalians. Starłam się trzymać w cieniu, nie podpaść, być miłą. Nie pozwolili sobie zaczepić mnie oficjalnie. Byłam w ciąży, podlegałam ochronie. Artur wkrótce miał być samodzielny, pomyślałam, że nareszcie wszystko zaczęło się układać...

*

Ruszyli dość wcześnie. W powietrzu unosił się idący od lasu i wody zapach żywicy i mułu. Jan lubił ten zapach. Przypominał mu dzieciństwo. Słoneczne cętki skakały po twarzach, rozświetlały je, niczym fajerwerki. Maciek z Bożenką pstrykali wszystkim fotki. Wydrze chyba również udzielił się pogodny nastrój tego poranka, bo nie było słyhać jego irytująco-prowokacyjnych tyrad, rozlegał się tylko równomierny turkot obracających się kół pchanego przez niego wózka. Budniokowie szli obok siebie, odmawiając głośno różaniec. Prokop i Albin dotrzymywali towarzystwa Jadwidze. Znaleźli kulinarny temat, dotyczący dietetycznych potraw, który ich bardzo obchodził, ze względu na wiek i stan zdrowia. Szli ożywieni ważną dla nich dyskusją. Jadwiga okazała się ekspertem w

dziedzinie liczenia kalorii oraz w ilości sposobów przyrządzania drobiu, szczególnie w różnorodnych sosach. Kasia przyłączyła się do Maćka i Bożenki, prosili, aby zrobiła im parę zdjęć. Sama nie chciała się fotografować, chętnie za to zabawiała psa rzucanymi kamykami, któremu najwyraźniej przypadło to do gustu.

Jan poczuł się nagle lekko i swobodnie, znowu na właściwym sobie miejscu. Po wczorajszym, ciężkim wieczorze, taki poranek był mu bardzo potrzebny. I innym także. Zerknął na milczącą Sonię. Szła osowiała, jakby nie zauważyła uroku dnia. Podszedł do niej. Spłoszyło ją to nagle najście, jednak nie zamierzał się wycofać. Nie tym razem.

– Soniu, przepraszam, jeśli niechcący przestraszyłem cię dziś rano.

– Nic się nie stało – potrząsnęła głową. Z jej upiętych do góry włosów wymknęło się parę pasemek.

– Prawie się nie odzywasz. To mnie martwi.

– Mam... kłopoty – powiedziała, tak jakoś beznamiętnie, jakby to nie jej dotyczyło. Jakby sama dziwiła się temu, co mówi.

– Pochodzisz z Turawy? – za wszelką cenę chciał podtrzymać tę wątlą, rwącą się rozmowę.

– Przyjechałam tu z matką, gdy miałam pięć lat.

– Z jakich okolic?

– Spod Poznania. Z takiej małej wioski.

– Pewnie jest tam bardzo pięknie.

– O, tak, wszędzie lasy, łąki...

– Chyba niewiele pamiętasz? – uśmiechnął się. – Wyjechałaś, gdy byłaś bardzo mała. Wracaliście tam z mamą czasem?

– Nigdy – spojrzała w bok, jakby chciała uciec od zwierzeń.

– Nie macie tam rodziny? – kontynuował, nie bacząc na to, że jej oczy zgasły.

– Dziadkowie zmarli.

– Dlaczego nie odwiedzaliście ich?

– To sprawy rodzinne.

– Jeżeli nie chcesz mówić... – Jan obawiał się, że zbyt ni nacisk na nią przyniesie odwrotny skutek, niż oczekiwał.

Jednak rozmowa chyba była jej potrzebna. Zamyśliła się, mówiła jakby do siebie. Nie zwracała już uwagi na Jana. Nie był do końca pewny, czy wie o jego obecności.

– Byłam nieślubnym dzieckiem. Mama pojechała ze mną na Śląsk, szukać mojego ojca. Odnalazła go w Turawie... – Sonia opowiadała tak, jakby zdawała relację zasłyszaną od kogoś obcego.

– Mówisz o tym z takim spokojem... – zdziwił się Jan.

Przez chwilę ważyła coś w sobie.

– Potem zdarzyły się inne, znacznie gorsze rzeczy. Tak zresztą jest, że najbardziej dotyka nas rzecz ostatnia. Za każdym razem nie przypuszczamy, że może nas spotkać coś jeszcze bardziej okrutnego. Jakby nie było temu końca. Zastanawiam się, ile człowiek może udźwignąć, na czyje siły obliczone jest życie. Kto odmierza to wszystko taką miarą, bez żadnych skrupułów?

Nie obwiniała nikogo. To najbardziej nim wstrząsnęło. Ten pozorny chłód. Prawie obojętność.

– Niezbadane są boskie wyroki... – zaczął i poczuł, jak drobny pot osiada mu na czole.

– Ksiądz unika odpowiedzi – usłyszał.

– Nie znam odpowiedzi na to pytanie – wykrztusił.

Cierpiała. Co mogło ją spotkać takiego, że całkiem usunął się jej grunt pod nogami?

* * *

– Szeptem. Już tylko szeptem porozumiewaliśmy się. Dotykem warg. Ciepłym oddechem dzieliliśmy się, jak wyznaniem. Miłość unosiła nas poza istniejący świat. W niepojętą krainę, w nieznaną nam dotąd nierealność. Szczęście. Dotąd było dźwiękiem pozbawionym znaczenia. Absurdalną niewiedzą. Odkrywaliśmy je z Gerardem w zdumieniu i trwodze. Przerastało nas. Dotykaliśmy siebie, przestraszeni, jak dzieci. Zawstydzeni, oślepieni pragnieniem. Rozkołysani sobą, drążący siebie poprzez skórę, trzewia, wciąż jeszcze w głąb i w głąb, bez końca. Jak bardzo można się zatracić... Szafy, komody, łóżka w kolejnych hotelach. Nie widzieliśmy niczego, poza sobą, poza jeszcze jedną możliwością przeniknięcia w siebie, natarczywie i zachłannie. Nic nie przynosiło ulgi. Najdłuższa noc ani spełnienie. Przed nami była otchłań. Rozciągała się po kres. Za oknem, wszędzie. Dokądkolwiek byśmy się udali, nie było od niej ucieczki. Nie szukaliśmy ocalenia, nie było żadnego rozwiązania. O coś pytał, coś odpowiadałam, nic nie miało znaczenia. Słowa rozmywały się w mroku, krążyły wokół jak ćmy. Nie wiedziałam, co znaczą. Nie były ważne. Nie nauczyłam się jeszcze, że mogą zawierać sens. Że potrafią zabić. Dopiero dochodziłam do tej prawdy. Bardzo powoli przyzwyczajałam się do myśli, że rozstania i powroty, ze swoją nieuchronnością, są na zawsze wpisane w miłość. Że ból i upojenie są nierozdzielne. I że nic tego nie zmieni. To nadawało jej ten nieznan mi dotąd smak. Życie stało się snem. Śniliśmy z Gerardem nasz sen o miłości. Zazdrośni o każdą niewykorzystaną chwilę. Kradliśmy niebo rozpostarte nad głowami. Przywłaszczaliśmy sobie czerwone zmierzchy, tęcze i ulewy, gruchanie gołębi o świcie, świerszcze, natarczywe tykanie zegarów, wszystko to, co odmierzało każdy nasz krok ku sobie. Bezdomni. Dotykałam kolejnych firanek, już nie bałam się moteli i zajazdów, były jak mgła, w której za każdym razem umieraliśmy i zmartwychwstawialiśmy, w niepojętym cyklu. Jego ślina miała cierpki smak

kasztanów. Nocami rześście spadały gwiazdy, byliśmy pewni, że płoną tylko dla nas. I że to nie łzy smutku tak lecą z nieba, tylko radości, i że nic złego nigdy nie może się nam przydarzyć. Rozchyłał uda, moje ręce natychmiast odnajdywały drogę. Marszczył brwi, jakby go bolało. Czasem coś, jakby westchnienie, przebiegało jak dreszcz przez jego ciało. Przesuwałam palcami wzdłuż pleców, ogarniał mnie ustami. Wtapiał się we mnie gorącym lodem. Moje ciało wchłaniało go. Nie bronił się. Szłam w ślad za nim, bezbłędnie. Do końca. Do tej pory nie wiedziałam, co znaczy żyć. Nie wiedziałam niczego.

„Kocham cię, Soniu” – powiedział. Wtedy rozplakałam się.

*

Wspomnienia ruszyły jak lawina. Nic nie mogło ich powstrzymać. Mijali jakieś zabudowania. Jan miał wrażenie, że to jego okolice, że to są te same mury, te same chwiejące się na drutach latarnie z czasów jego dzieciństwa. Że mijają swój własny dom. Gdyby tak mógł po prostu usiąść przy drodze i skryć twarz w dłoniach... Ale nie potrafił nawet zdobyć się na żal. Był pewien, że wie wszystko. Tymczasem ogląda teraz, raz jeszcze całe swoje życie, które doprowadziło go do tamtej decyzji. Porzucił wtedy tamtego siebie, rozmyślnie, bez wysiłku. Wkroczył w nowe życie, pchany nieodpartym impulsem. Wyobrażał sobie, że otrząśnie się z przeszłości, że przyszłość nie będzie go przerażała. Chciał pozbyć się słabości, o którą się posadzał, znaleźć dystans do samego siebie. Odnaleźć własną drogę. Miała to być droga do Boga. Był pewien, że nie zabraknie mu sił i wiary, że to jedyna słuszna decyzja. Dlaczego więc czuł się bankrutem? Wszystko potoczyło się zgodnie z jego życzeniem i wydawało się, że żyje teraz na własny rachunek. Tymczasem pędzi przed siebie, na oślep, jakby z życia można było tak po prostu uciec. Czuje się bezbronny, ogarnia go strach, ale nie wie, jak mógłby inaczej żyć.

Gdy umarła Alina, świat umarł wraz z nią. Jan został sam. Dlaczego był pewien, że tak się nie stanie?... To wtedy polubił polne drogi, przemawiały do niego, kołysły poczucie klęski i daremności. Ale odbił się od dna. Pracował i czytał, bez końca, czasem zbyt długo w noc. Bo gdy rozlegał się za oknem nadranny tupot ptaków, nie było już sensu się kłaść i cały rozkład następnego dnia walił się w pył. Jan znużony śmiertelnie, nie wiedział, jak otrząsnąć się po śmierci Aliny, zanurzyć jak kiedyś w codziennej szarości świata i życia, które pienilo się wokół niego. Chciał zapomnieć, a jednocześnie wciąż pamiętać ten pogrzeb, który odebrał mu Alinę. Odczuwał tak bardzo jej brak... Myśl o święceniach uspokajała go. Poczł się bliższy ludziom. Smutek powoli znikał, a sama śmierć zaczynała nabierać innego, głębszego sensu, przybierała nieznany mu dotąd wymiar. To było przejście, nie zionąca pustka, jaką pozostawiła po sobie Alina. Wydawało mu się, że odsunął od siebie nareszcie cały absurd świata. Jednak jego wyczerpanie i rozdrażnienie znów dawały o sobie znać. Widział przed sobą ciemny tunel, niczym lufę rewolweru. Widział i inne obrazy: pola o świcie, uciekające do tyłu, jak z okien jadącego pociągu, przysłonięte poranną mgłą, pomiędzy nimi rzekę, w której brodził jako dziecko. Przypominał sobie fragmenty pieśni, jakieś gesty, kwiaty przed domem, na które kiedyś nie zwrócił uwagi; teraz ich zapach okazał się trwalszy od najbardziej namiętnych słów. W jednej chwili poczuł się wrośnięty w te na wpół dzikie obrazy. Tylko te ulotne wrażenia pozostały w nim tak bardzo żywe.

Spodziewał się, że ogarnie go rezygnacja, zamiast tego odczuł dziwne pobudzenie. Szukał u siebie pocieszenia i nie znajdował. Widział wciąż postać Aliny oraz siebie samego, aż nazbyt wyraźnie, i czuł dziwną pewność, że są tu razem, we dwoje. Jednocześnie ogarnęło go dotkliwe uczucie samotności, nigdy dotąd nie czuł się tak opuszczony jak teraz. Przyglądał się w tym nibyśnie swojej wsi, domom, ogrodom, łąkom, wieży remizy strażackiej, unosił się nad nimi jak

ptak, który poblądził i nie może trafić do gniazda. Ten powrót do przeszłości, intensywne doznania twarzy i dawno zapomnianych okoliczności, przerażały go. Patrzył na Sonię i nie chciał wierzyć własnym oczom, widząc to wskrzeszone do życia wspomnienie. Wraz z tym napłynęły inne i zawładnęły jego śniącym na jawie ciałem. Widział wyraźnie, Alina stała z podniesioną dłonią, oparta o framugę drzwi. Czuł grożące mu niebezpieczeństwo, jednak nie wiedział, na czym miało ono polegać. Alina prowadziła go często za rękę, przez gęsty, liściasty las. Może dlatego, gdy umarła, chciał zakopać ją w lesie, jak skarb. Aby zachować choćby jej cząstkę, przed niszczącym rozkładem, przed bezlitosnym czasem, z którym nie można wejść w żaden układ, bez poczucia zależności.

„Soniu – pomyślał Jan, nim się ocknął – kim jesteś?”.

*

– Źle się ksiądz czuje? – usłyszał. Rozejrzał się nie całkiem przytomnie. Minęła chwila, zanim zorientował się, że ktoś go o coś pyta. Sonia lekko pochylała twarz ku niemu. Dostrzegł jej niepokój. Odsunęła niecierpliwie opadające jej na czoło długie pasma włosów. W ostrym słońcu przybrały odcień perłowy. Nie mógł oderwać od nich oczu.

– To nic, Soniu – uspokoił ją, może nazbyt pospiesznie, jakby właśnie kończył długi, wyczerpujący bieg i wciąż brakowało mu tchu. – Wszystko w porządku.

– Martwiłam się. Tak długo ksiądz milczał...

– Tylko pozornie – przyznał się jak do niemocy.

– To minie. Wszystko mija. Trzeba przeczekać. Przyjdą nowe myśli.

Powiedziała to tak cicho, że raczej domyślił się znaczenia słów z ruchu jej warg.

– Może trzeba patrzeć na kwiaty – uśmiechnął się wreszcie. – Zawierają w

sobie odwieczną filozofię życia. Umierają, potem odradzają się. To wielka nadzieja. I szansa. Nie rozumiałem, że aby móc żyć, nie trzeba zabijać przeszłości, unicestwiać jej w sobie. Bo niszczy się także siebie, bezpowrotnie. Że przyszłość sama przyniesie rozwiązanie. Zawsze przynosi. Trzeba być cierpliwym.

– Też liczę na to – wybrzmiało, jakby wstydziała się własnej słabości.

Ta słabość była tym, co łączyło ich bardziej niż słowa. I jeszcze coś nieuchwytnego, co dawało się wyczuć pomiędzy słowami. Ta sama, jakby wspólna rozpacz. Byli współnikami w bólu. Bezwiednie ciążyli ku sobie, jak obarczeni tą samą winą. Dwoje pokutujących, których ścieżki zbiegły się w jedną, w tożsamość tęsknoty. Rozerwani bólem na milion strzępów, teraz usiłowali dokonać cudu, pozlepić się na nowo. Dlaczego był pewien, że jemu już się to udało? Niczego nie można być pewnym. Było zupełnie inaczej. Dokładnie na odwrót. Nadal próbował sklejać wszystkie swoje części. Ona także borykała się, ze sobą. Poczł wdzięczność do jej cichej obecności. Tak bardzo pomogła mu, ukoła. Zupełnie zapomniał, gdzie jest, że idzie z pielgrzymką, otoczony ludźmi, którym musi pomóc. Teraz próbował pomóc sobie.

* * *

– Spałam?

– Trochę, Soniu. Albo tylko drzemałaś.

– Jak właściwie masz na imię?

– Mówiłem już, Fred.

– Nie jesteś zmęczony? Siedzisz przy mnie całą noc...

– Nie ma sprawy. I tak bym nie kimnął.

To nie była prawda. Zdrętwiał cały od siedzenia bez ruchu. Nigdy nie przypuszczał, że siedzenie może tak zmęczyć...

– Tak strasznie mnie bołą... – znów podjęła wątek.

– Co?

– Wspomnienia. Chciałabym nie obudzić się nigdy.

– Nie pleć, Soniu – też był obolały, ale ona nie powinna o tym wiedzieć.

– Letarg. Śpiączka. Wszystko lepsze niż ten koszmar – westchnęła.

– Ty to nazywasz koszmarem? Jesteś znowu na początku drogi. Przecież już to ustaliliśmy.

– Ale nie mam sił! – zajęczała.

– Nie płacz. Albo płacz, jeśli wolisz.

– Jestem poszatkowana od wewnątrz. Sama z siebie zadrwiłam. Wmówiłam sobie te bzdety o miłości... Jak mogłam w to wierzyć? To uzależnienie! Obłąd rezygnacji z siebie! Ciągłe czekanie i niedoczekanie. Rozczarowanie. Tak nisko upaść... Sądzić, że miłość to sens życia. Jedyny, prawdziwy cel. Cenny i rzadki dar, tak powabny, że warto poświęcić wszystko, a na pewno wiele... Poświęciłam więc. I co? Zostałam, z pustymi rękami – mówiła tak szybko, że prawie dławiła się.

– Ale doświadczyłaś czegoś. Niektórzy gonią za tym całe życie, bez skutku. Czy nie oni są przegrani? Jak ja? – próbował ją uspokoić.

– A ja? Co zyskałam prócz cierpienia? Czuję się taka jałowa, wypalona... Wykorzystana, przez siebie także. Może lepiej być samemu, to przynajmniej nie niszczy. Nie zabija. Nuda, monotonia, powiadasz? Mnie wydają się cudem.

– Samowystarczalność równasz z zaufaniem? – próbował zarazić ją sceptycyzmem.

– Zaufanie? – podniosła nagle głos. – To czysta kpina. Słabość, którą natychmiast wykorzysta przeciwnik. Bo miłość to walka o dominację. O to, kto kogo szybciej pożre. Nie ma żadnej taryfy ulgowej. Stawką jest życie. Nie szukałam śmierci. Po prostu przegrałam. A może dojrzałam do niej.

– Wszystkich nas czeka, jeżeli ujmiesz to w takich kategoriach – uśmiechnął

się.

– Daruj sobie. Twój sarkazm jest nie na miejscu, zważywszy na okoliczności.

Ja mam ci o tym przypominać?

– Fakt, sytuacja iście surrealistyczna... Kompletnie absurdalna. Ofiara pociesza kata...

– Raczej przywołuje do porządku.

– Śmiejesz się, to dobrze, Soniu. To już coś. To nawet wiele. Może będę umiał sobie wybaczyć.

Teraz śmiali się oboje. A może smucili.

– Ironia jako lek na zło? Może to rzeczywiście jedyny właściwy sposób – przyznała w końcu.

– Od jakiegoś czasu i ja jestem tego zdania.

– Złośliwość, która rozładowuje napięcie i powoduje pęknięcie moralnego wrzodu? Możliwe... Na przykład, na pogrzebie, zamiast kondolencji złożyć życzenia...

– Odwracasz kota ogonem – próbował przywołać ją do porządku.

– Albo pacjentowi, przy diagnozie ostatniego stadium raka, życzyć powodzenia...

– Spoko, kobito! Biadolenie nic nie da. Dystans, który złapałaś, jest lepszy.

Stawia na nogi.

– Widocznie za słabo. Może trzeba mi czegoś silniejszego – dodała cynicznie.

– Solidnego kopa. Albo dobrej wody. Na zmianę z haszem.

– Nie złość się. Usiłuję dojść ze sobą do ładu.

– Jasne. Dobry żart tyńfa wart. Tylko żebyś ja przez to nie skończył na tym balkonie...

– Czyżbyś zapomniał, przez kogo tam wylądowałam?

– OK. Przebiłaś, twoje na wierzchu. Tak lepiej?

– Przepraszam.

Znów zamilkła. „Cholernie urażliwa” – pomyślał.

– Nie ma sprawy. To jak, gadamy dalej? Na czym skończyliśmy? – zaczął.

– Na zaręczynach – odpowiedziała po chwili.

– Co było dalej? – ciągnął ją za język, prawie siłą, żeby tylko znów nie zapadła się w sobie.

– Mój ślub z Arturem. Podobno najpiękniejsza chwila w życiu. Jedyna w swoim rodzaju. Niepowtarzalna.

– Żartujesz? Czy przeginasz?

– Jedno i drugie. Zaczyna mnie ogarniać złość. I wpadam w panikę.

– A to czemu?

– Bo kończy się noc. Bo będę musiała stąd wyjść. Wrócić do domu... I zupełnie sobie tego nie wyobrażam.

– Spoko. Do rana daleko. Coś się wymyśli. Nie będziesz sama. Ja gdzieś tam będę. Masz przecież komórkę.

Wydało mu się w tej ciemności, że usiadła na łóżku.

– Czyli jeżeli mam stąd odejść bez szwanku, będzie musiała mi wystarczyć świadomość, że mogę wykręcić ci ten numer...

– Śmiejesz się, ale zapewniam cię, że...

– Nie wolno mi go będzie wykręcić. Bo będzie oznaczać moją przegraną. Że nie dałam sobie rady. Rozumiesz to tak samo jak ja – zdenerwowała się.

– Więc wykręcaj sobie w myśli. Jak często zechcesz. I rozmawiaj sobie ze mną w ten sposób, ile razy to będzie potrzebne.

– Tak lepiej. Ale nie wiem, czy mi się uda. Jestem zbyt rozbita. Nawet mózg mi się trzęsie.

– Tak, śmiej się. Jak najwięcej się śmiej.

– Dziwne, ale tobie nie jest do śmiechu. Jakby język ci stępsiał.

Więc jednak zauważyła, jak bardzo ma dość. Jej, całej tej nocy i tej gadaniny.

– Czuję się jak śmieć – przyznał.

– Guzik prawda. To moje własne szambo. Tylko ja mogę je posprzątać.

– Więc co z tym ślubem?

– Gardenie, lilie, róże, storczyki. Mnóstwo gości. Biała limuzyna. Ziszczenie snów o księżniczce i królewiczu. Żyli długo i szczęśliwie. Przecież tak kończą się wszystkie bajki.

– Twoja też?

– Moja tak się zaczęła. Ksiądz, welon, wzruszenie, złote obrączki, toasty, życzenia i prezenty... Wszystko jak należy. Zgodnie z tradycją. Spowiedź przedślubna, obietnice, szampan, noc poślubna... Ach, prawda, ta noc, a właściwie dzień, odbył się nieco wcześniej. Stąd ciąża panny młodej, o czym szeptano po kątach, bardzo dyskretnie rzecz jasna, aby nie zepsuć uroczystości.

– Nie pękałaś z radości, że wychodzisz za Artura?

– Ależ cieszyłam się. Wtedy to wydawało się spełnieniem marzeń, szczytem moich możliwości. Nie obchodziły mnie ludzkie języki. Tylko Artur i dziecko. Reszta się nie liczyła. Wydawało mi się, że naprawdę jestem szczęśliwa.

– Wydawało? – zapytał niemal mimochodem. Twarde krzesło prawie wbiło mu się w tyłek, chętnie pochodziłby po pokoju, ale bał się poruszyć, aby jej nie spłoszyć. Nie wolno jej przestać mówić! Głos miała nierówny, urywany:

– Pamiętam migającą za oknem samochodu białą, przerywaną linię mijania. Jechaliśmy coraz szybciej. Artur śmiał się, limuzyna wymijała kolejne auta. Goście zostali za nami, daleko w tyle. Białe paski przeszły w linię ciągłą, a my wciąż wyprzedzaliśmy. Auta jadące z naprzeciwka trąbiły na nas jak oszalałe, ale Artur śmiał się coraz głośniejszym głosem. Bawił się, a mnie skóra cierpła ze strachu. Bałam się dziecko. Siedziałam przytroczone pasem bezpieczeństwa do fotela milczałam. Truchlałam na myśl, że jeśli zaprotestuję i zepsuję mu zabawę, jego radość ulotni

się, a ślub się nie odbędzie. Dosłownie paraliżowało mnie to przeświadczenie. Pędziliśmy więc tak, na oślep, do kościoła. Jak na filmie puszczone w przyspieszonym tempie... Niczego nie można być pewnym. Zrozumiałam to znacznie później. Jak bardzo pozory potrafią przybierać kształt prawdy. Obudzenie się z takiego snu jest wyjątkowo dotkliwe.

– Dotkliwe?

– Bo tylko prawdziwa miłość potrafi zabić. Ułuda co najwyżej boleśnie zrani. A moja miłość do Artura okazała się złudzeniem.

– Więc może małżeństwa z rozsądku, z przyjaźni, nie są pozbawione sensu?

– Jeśli to świadomy układ z obu stron, tak. Jeżeli stworzony na pomyłce lub jednostronnym oszustwie, wykorzystaniu cudzej naiwności czy dobrej woli, to katastrofa.

– Co się wam nie udało?

– Ależ wszystko, wszystko się udało. W tym sęk.

– Mów jaśniej.

– Uśpiłam moją czujność. Założyłam, że tak będzie zawsze. To znaczy: że będzie dobrze.

– Fakt, poważny błąd. Ale częsty. Nikt nie zakłada z góry dramatu.

– Dlatego nie miałam asekuracji, żadnej alternatywy, na wszelki wypadek. Po prostu nie brałam tego pod uwagę. Rozmyślnie. Miało się udać i kropka! Zamierzałam zrobić wszystko, aby tak właśnie się stało. Byłam taka pewna siebie... Próbowałam igrać z losem. Chciałam niemożliwego. O mało się nie wykrwawiłam. Na amen.

*

Skwar dokuczał coraz mocniej. Jan zarządził postój. Zatrzymali się przy

niedużym zajeździe. Droga krzyżowała się tu z dość ruchliwą szosą. Przejeżdżające co chwilę auta były wyjątkowo uciążliwe w tym upale. Ludzie natychmiast rzucili się do toalet.

Ksiądz usiadł pod rozłożystym drzewem, z dala od innych. Pragnął samotności, choćby przez chwilę. Czuł, jak ogarnia go nieprzyjemna chandra, nie umiał jej powstrzymać. Rozpiął koloratkę, pokręcił uwolnioną, spoconą szyją.

Z drugiej strony drogi ciągnęła się łąka, pasło się na niej stado krów. Rozleniwione gorącem, skubały wolno, od czasu do czasu, trawę. Przypomniały mu rodzinną wieś, w której domy ułożone były długim szeregiem wzdłuż rzeki, która przecinała równinę płaską jak step. Rzeka płynęła wolno, majestatycznie, świadoma swojej potęgi. Nie była szeroka. Jej głębię ujęto w wały ochronne, mimo to, szczególnie wiosną, rozlewała się często, podtapiając okoliczne domostwa. Jedyna asfaltówka, pełna dziur i wybojów, która prowadziła od rynku do szosy międzymiastowej, miała z dobry kilometr. Zimą, gdy wieś zawiąło, nie było po co odkopywać drogi. Jeździli saniami, stąd konie w każdym obejściu, bo i do roboty w polu były potrzebne. Po chleb też rzadko kto zachodził do piekarni. Piekło się w domu, w piecu chlebowym. Jan dotąd pamięta zapach zaczynu chlebowego i ręce matki oklejone ciastem. Matka była swarliwa, łatwo wpadała w gniew. Ojciec, surowy i oschły, zatyrały od wiosny do jesieni w polu, zimą dorabiał jako zmiennik dróżnika. Nienawidził tej roboty, popijał i często po kielichu przysypiał. Pociągi przejeżdżały więc często przez nieosłonięte szlabanem tory, ale nigdy nie doszło do żadnego wypadku. Nie było tu prawie ruchu, a konie same, za woźnicę, wyczuwały bliskość pociągu i stawały w porę.

Pierwszy traktor zakupił sołtys i przez długie lata była to jedyna oznaka luksusu we wsi.

Jan jako dziecko był mały i niezdarny, miał dwie lewe ręce. Pasał krowy, jednocześnie czytając, co mu wpadło w rękę, mimo wyraźnego zakazu ojca. Krowy

szły w szkodę, ojciec tłukł go, ile popadło, ale nie wychował na gospodarza, zadreślał się więc myślą, że niedojdzie przyjdzie przejąć gospodarstwo. Wymyślili z matką, by go oddać do górniczej zawodówki, co by tam zrobili z niego chłopca i wyuczyli jakiego fachu. W ten sposób Jasiak zamieszkał w internacie. Gdy zszedł ojcu z oczu, obu im zrobiło się różnie. Obaj zaczęli wierzyć, że odmieniec da radę wrócić na wieś i gospodarzyć, albo choć zarobi na sobie w kopalni. Tak więc uczył się Jan fedrowania, rękami nienadającymi się do niczego, jak tylko do książek. Spaprał parę razy robotę, oberwał za to niełicho od majstra, tłukł się też z chłopakami przez ambicję. Lekceważony przez nich, silniejszych i rosłych, zdobył w końcu ich szacunek butą i brakiem mazgajstwa, rzucił się do bitki, aż po kolejnej bójce dali mu spokój. Często fedrowali za niego, on odpłacał się odrabianiem za nich zadań i wpychaniem do ich ciężkich głów elementarnej wiedzy szkolnej.

Biblioteka stała się dla niego najważniejszym miejscem na ziemi, jego azylem. Chłonał wszystko po kolei, bez ładu i składu. Oprócz wartościowych rzeczy, także mnóstwo chłamu i szmiry. Nie potrafił rozróżnić po tytułach, co warto czytać, a co nie, nazwiska autorów też niewiele mu mówiły. Zaśmiewał więc sobie umysł. Podpytywał polonistę o to i owo, jednak ten, sam bez matury, niewiele umiał mu pomóc.

Tak oto Jan uzyskał tytuł górnika fedrowego, ukończył szkołę i wrócił do domu. Było piękne lato. Ale na wsi nikt nie przygląda się krajobrazom. Lato to żniwa. Ciężka praca, od świtu do zmroku, w południe okraszona ziemniakami ze skwarkami i kwaśnym mlekiem. Jego zachwyty były więc nie na miejscu. A gapiowatość znów wywoływała u ojca świerzbienie ręki, prawie chwycił za pas, by wygrzmocić mu grzbiet, jak onegdaj gówniarzowi. To i cóż, że wrócił jako osiemnastolatek, skoro głupi jak but i do niczego nieprzydatny, jak wprzódy. To wtedy Jan znów spotkał Alinę.

Znał ją od dziecka. Chodzili do zbiorczej podstawówki w sąsiedniej wsi.

Mieszkała daleko od niego, prawie za wsią, ale zawsze zachodził po nią. Wędrowali, czasem razem z innymi dziećmi, a czasem sami, przez las, do szkoły, tak też po lekcjach wracali. Była wesoła i miała najdłuższy we wsi warkocz. Patrzyła z zachwytem na maki, przepiórki, na co nigdy sam by nie zwrócił uwagi. Cała była nie kończącym się zachwytem. Zauważała każdą mrówkę, omijała ją uważnie, aby nie przydeptać. To ona zaraziła go miłością do świata i książek.

Jan jednak nie potrafił odnaleźć się w świecie. Przerazała go wizja przejścia gospodarki po ojcu. Fedrowanie zaś było ostatnią rzeczą, jakiej podjąłby się dla zarobku. Nie widział dla siebie miejsca nigdzie. Kochał przyrodę i swoją w niej samotność, swoje nieprzystosowanie do świata. Było mu z tym i źle, i dobrze. Dobrze, bo nie musiał się zastanawiać, co chce robić, a nie chciał robić nic. Źle, bo wiedział, że musi coś postanowić, rodzice czekali na jego decyzję, a on zwlekał. Nie czuł się na siłach zakładać rodziny. Wiązałoby się to z obowiązkiem jej utrzymania, a więc z pracą.

Dlatego po swoim powrocie na wieś nie szukał Aliny, choć tak bardzo pragnął ją zobaczyć. Musiałby przyznać, że tęsknił za nią. A jeśli i ona tęskniła? Co wtedy? Nie szukał miłości. Odrzucił ją, zanim mogła się zacząć. Długo rozmawiał z proboszczem. Postanowił zostać księdzem. Wpadł na Alinę przypadkiem.

Stanął jak wryty. Była taka promienna. Uśmiechała się. Nie był w stanie wykrztusić słowa. Przypominał sobie tylko, jak bardzo przez wszystkie te lata pragnął ją zobaczyć, choć nie napisał do niej nigdy ani słowa, unikał przez wakacje...

Podobno też wyjeżdżała, uczyła się w mieście, u ciotki. Nie dopytywał się o nic, tyle tylko wiedział, co usłyszał od innych, mimochodem. Nawet na mszę przychodził z samego rana, o siódmej, żeby nie spotkać jej przypadkiem w kościele. Bał się właśnie tego, że zobaczy ją i nie będzie mógł się oprzeć. Tak więc stał i patrzył. A ona jaśniała przed nim, w swojej białej, letniej sukience i wciąż się

uśmiechała. Widok jej zachłannej radości sprawił mu ból. Jednocześnie uprzytomnił sobie, że nie wie nawet, jaki jest kolor jej oczu. Nigdy nie przyszło mu do głowy, by się im przyjrzeć. Teraz jednak zdał sobie dotkliwie z tego sprawę, że już się nie dowie. Bo nie wolno mu patrzeć w jej oczy. Nigdy. Zrozumiałaby to jednoznacznie. A on tego nie chciał. Zamierzał zrobić w tył zwrot i ulotnić się pod byle pretekstem. Tymczasem stał i nie mógł uczynić kroku. Ani w przód, ani w tył. Czekala. Bez słowa. Z tą swoją radością, której nie potrafiła ukryć. Krew odpłynęła mu z twarzy, bo oto zrozumiał, że nie wie, jak teraz będzie żyć bez tej dziewczyny. Podeszła i wzięła go za rękę. Chciał wyszarpnąć się z tego ubezwłasnowolniającego go powitania, ale dotyk jej szczupłych palców był silniejszy niż ucisk żelaznych trybów.

Nie był w stanie otrząsnąć się z niemocy. Szła teraz obok niego, coś mówiła, śmiała się, tym swoim śmiechem, który tak dobrze znał, który brzmiał w nim od tylu lat. Było jak dawniej. Jak wtedy, gdy przed laty brnęli kilometrami do szkoły i z powrotem. Tym razem nie słuchał, co mówiła. Gotował się do ucieczki. To była jego ostatnia deska ratunku, inaczej czekała go zguba.

Popołudniowe cienie krążyły już wokół nich, igrały z jej włosami. Miał ochotę zanurzyć w nich twarz, ale nie ośmielił się nawet spojrzeć w jej stronę, aby nie wyczytała z jego oczu tego pragnienia. Pozostało ukryte głęboko, w najodleglejszym zakamarku serca. I cieszył się, że nie zostało zniszczone.

Nie chciał takich doświadczeń, takich wspomnień, które splątałyby go, spowodowały wypadnięcie na boczny, niebezpieczny tor. Już siebie określił, wyznaczył drogę, na którą właśnie wkroczył, rozpościerała się przed nim spokojnie. Tego w życiu najbardziej potrzebował, takiej spokojnej pewności, uładzenia. Wszystkiego na właściwym sobie miejscu. Alina zaburzyłaby ten porządek. Wyznaczała inne, nieosiągalne dla niego cele. Bariery, które musiałby pokonać, stanowiły dla niego niewyobrażalną mękę. Nie chciał jej zyskać, aby jej

nie utracić. Był przekonany, że tak się stanie, jeśli ją skrzywdzi. A tylko krzywda wchodziła w rachubę w przypadku ich związku. Nie sprostałby jej oczekiwaniom. Zgubiłby ją i siebie. Tego dla niej nie chciał.

Nie pamięta, jak to się stało. Całowała go, a on nie protestował... Kiedy oprzytomniał, leżeli obok siebie. Na łące. Nadzy. Nie mógł pojąć, jak do tego doszło. Próbował zebrać myśli. W głowie kręciło mu się od tego, co jeszcze czuł w sobie. Był jak zaczadzony, którego nagle zaczęto cucić. Drżała, wciąż jeszcze przywarta do niego całym ciałem. Jej rozgrzany brzuch zaczął wzbudzać w nim obrzydzenie. Kochał ją i nienawidził. Oderwał jej rękę zakleszczoną na jego szyi, usiadł. Miał ochotę zapłakać. Obróciła w proch wszystkie jego plany, zniweczyła to, co tak pieczołowicie sobie ułożył. Nie miał jej nic do zaoferowania. Nie chciał nic dać. Bo niby co? Pytała, wciąż o coś pytała. Przytakiwał. Jednocześnie przekonany, że bez niego lepiej ułoży sobie życie, powiedział jej o swoich planach na przyszłość. Widział, jak powoli gaśnie uśmiech na jej twarzy. Jak w jej oczach zapada ta sama ciemność, co wokół nich – idąca już od zbliżającego się wieczoru. Czuł, jak cierpnie mu skóra ze strachu. Nie potrafił zabijać. Całym sobą buntował się przeciw zadawaniu komuś cierpienia. Mimo to zadawał je właśnie. I to tej, która tak bardzo go kochała. Nie ukrywała tej miłości. Po raz pierwszy czuł się podłym tchórzem. Zapłakał gdzieś tam, w tym swoim najgłębszym załamku serca. Z żalu, że ich ramiona więcej się nie złączą, bo już obiecał siebie komuś innemu. Potężniejszemu niż ona i bardziej zaborczemu, bo nieuznającemu dzielenia się z nikim swoją zdobyczą. Jeżeli miał się całkowicie oddać Bogu, musiał zabić miłość w Alinie. Miała zostać sama w tej ciemności.

Odszedł, nie odwracając się za siebie. Wrócił do domu jak martwy. Przez kolejne dni prawie się nie odzywał. Nie mógł jeść. Potem wyjechał. Wstąpił do seminarium. Rodzice nie sprzeciwiali się. Ani razu nie pomyślał już o Alinie.

*

Rozsiedli się na drewnianych ławach, wzdłuż długiego stołu z bali, w cieniu chwiejących się dostojnie lip. Jeśli nawet górą cośkolwiek wiało, tu, dołem, nie czuło się ani powiewu. Albin ze spęczniała od słonecznego żaru twarzą, czerwoną jak patelnia, usiłował pacnięciami zwiniętej w rulon gazety opędzić się od natarczywych much. Były tak nachalne, że prawie włożyły mu do ust. Pot spływał mu ze świecącej czaszki, rzeźbiąc cieniutkie strumyczki wzdłuż przynosowych bruzd, a potem skapując z brody na lepki od resztek napojów, porysowany blat.

– Zdechniemy, jak nic – jęknął, nie zwróciwszy uwagi na rosnącą na stole kałużę. Nie przerwał tym jednak ogólnego milczenia.

Tymczasem z barku wytoczył się Wydra. Oparł chwiejny kark o wystające gonty i na oczach wszystkich zaczął żłopać ciemne piwo z kufła. Biała piana przyskała wokół jak świeża morska bryza. Zagulgotał. Czknął. Wlepili w niego wzrok. Albin oblizał spierzchnięte wargi. Dyszał ciężko. Miał wrażenie, że za chwilę dostanie zawału z pragnienia.

– A może by tak... – zaczął niepewnie, nie patrząc na księdza.

Jan aż skurczył się w sobie. Alkohol?

– Stawiam wszystkim – zdecydował nagle Albin głośno, czując, że gromadnie pomysł przejdzie łatwiej.

Nie czekając na aprobatę księdza, podskoczył do Wydry.

– Dają tylko ciemne? A jasne? – zapytał chciwie.

– Jasne też. – Wydra oderwał się od musującego mu jeszcze w gardle napoju.

– To lecim, chodźta wiara, kto chce. – Albin rzucił się do środka baru.

– Ale kobiety, może wolą z puszki? – zawołał za nim Władysław.

Albin przystanął, zniecierpliwiony. Bał się przestoju i jakichś interwencji w realizacji złocącego się już tak blisko planu.

– A księdzu może mineralną? – zaproponował na zgodę, widząc brak aprobaty w jego oczach.

Jan nie drgnął, więc Albin znikł z ulgą w otchłani zadymionego baru. Za nim pospieszył Władysław.

– Ja tam mogę z kufła – prychnęła ostentacyjnie Kasia.

Wydra wytarł usta, popatrzył na nią z uznaniem.

– Co się gapisz? – znów prychnęła, tym razem w jego stronę, zadowolona z wrażenia, jakie wywołała.

Zaśmiał się, postawił głośno kufel na stole, przysiadł obok niej.

– To co, jak dają darmo, to biorę – rozparł się wygodnie.

Udała, że nie rozumie, że do niej pije.

– Byle nie za dużo – zaśmiał się Maciek. – Pójdzie ci w czaszkę.

– To mój czerep. – Wydra mrugnął do Kasi znacząco. Wzruszyła ramionami.

– Ja tam nie wiem – zawahała się Jadwiga. – Może nie wypada tak piwa... ?

Jan czuł, że powinien zareagować. Ale widok ich napiętych twarzy sprawił mu przykrość. „Ostatecznie to nie wódka” – usprawiedliwiał sam siebie.

Z baru wytoczył się teraz Albin, z kunami w obu rękach, potem Władysław z puszkami.

– Da ksiądz dyspensę? – już układali piwo na stole, rozdzielali między siebie, prawie sobie wyrywali.

– A co ja mogę? Co? – zachnął się Jan. – Chyba, że każdemu potem zadam pokutę.

– Oj, dobrze! – ucieszył się Albin.

Wydra zaśmiał się i zabębnił w stół pięściami.

– Nie ma jak święta obłuda! – chwycił pełny kufel i prawie zanurzył się w nim.

– Tylko bez takich odzywek! – rozzłościł się Albin. – Co mi tu będzie obrażał!

Chciał wyrwać Wydrze kufel z rąk, mocowali się przez chwilę, rozlali nawet

trochę na stół, wreszcie dał spokój.

– Niczego taki nie uszanuje – stęknął Albin na zakończenie. Ksiądz zatrzepotał rękami, jakby chciał unieść się w powietrze.

– Nic, nic – uspokoił go Władysław. – Już przyniosę księdzu wody.

Drobnym kroczkiem popędził do baru. Po chwili wrócił z plastikową butlą i takim samym kubkiem. Nalał księdzu do pełna, zakropił piwem.

– Tylko ździebko – wyjaśnił i postawił usłużnie przed Janem.

Jan ostrożnie zamoczył usta. Płyn był zimny, orzeźwiały jak dobra oranżada. Wypił łyk, chcąc sprawić im przyjemność. Po chwili pomyślał, że sprawił także przyjemność sobie i jakoś nie czuł wyrzutów sumienia. Obserwowali go z napięciem. Twarz Albina natychmiast rozjaśniła się zachwytem, zadowolony Władysław też uśmiechał się od ucha do ucha. Przez dłuższą chwilę słychać było tylko trzask otwieranych puszek i łapczywe przełykanie. Wydra pierwszy odstawił kolejny kufel i popędził po następny.

– Zrób z nim coś – jęknęła Leokadia do męża. – Jak się spije, to jeszcze zrobi krzywdę Gabrysiowi. Przecie już się zatacza!

– Bo to zabroni mu kto? – Władysław nie ruszył się z miejsca. – Będzie taki chciał, to sam przestanie, a nie, to co, mam się z nim bić?

Leokadia z żalu i obawy wysączyła swój napój do ostatniej kropli.

– Mam paluszki – zaofiarowała się Bożenka, wyciągając paczkę z plecaka.

Zagryzali, popijali piwem. Przez gęstą zieleń przenikało żółte światło. Opadało, przesączając się zwolna przez gałęzie. Ogarniało ich senne znużenie, a jednocześnie niespokojne podniecenie. Żółta mgła wlewała się do oczu, motała w uszach ciepłą watę, mąciła słowa. Gorąca kapusta parowała na talerzach, schabowe chrzęściły w zębach. Albin zdjął buty, bosc stopy wystawił do słońca, masował obolałe pięty. Władysław skrzyżował ramiona na piersi, wtulił w nie głowę i drzemał. Prokop z otwartymi ustami trwał zapatrzony w migające przed nim długie

cienie. Sonia kropla po kropli sączyła cierpki smak płynący z puszki. Wydra rozciągnięty pod drzewem palił papierosa.

Jan miał wrażenie, że znajduje się wśród starych znajomych, prawie w rodzinie. Bąbelki lekko musowały mu w nozdrzach. Po stole łąziły osowiałe upałem osy, zlizując lepkie resztki. Czasem, gdy któraś poblądziła w jego pobliże, opędał się lekko ręką. Spokój. Zgoda. Konsolidacja. Czy nie o to mu chodziło? Przez chwilę poczuł się naprawdę szczęśliwy.

* * *

– To pierwsze nagłe spotkanie w hotelu zupełnie niespodziewanie dopadło mnie i Gerarda. Po nim przyszły następne, coraz trudniejsze. Każde rozstanie bolało mocniej. Nie wystarczały nam już godziny. Zaczęły się ucieczki. Na trzy dni. Jak najdalej od miasta, od nieustannego lęku, od przypadkowych natknięć na znajomych. Pierwszy wyjazd. Trzy dni w niebie. Eden. Dotychczas nie wiedziałam, co oznacza. Smak i zapach skóry, dym wypalanych traw, niespokojny rytm oddechu, szmeru płynącej wartko rzeki, zasypiania, wspólnego budzenia się, niecierpliwość poszukiwań, nie kończąca się, beznadziejna w swym szaleństwie, rozkosz. Wciąż trwało przedwiośnie. Na przekór jego obezwładniającej szarości, słońce grzało jak gotujący się imbryk. Rozlewało złoty wrzątek hojnie i namiętnie. Brałismy go wraz ze sobą łapczywie.

Tęczówki Gerarda przybrały odcień ciemnego miodu, ale w ich środku czały się, czerniejąc, dwa zejścia do otchłani. Były bez dna. Tam miał zakończyć się mój upadek, przez cały czas miałam tego świadomość. Z okrutną ciekawością obserwowałam jego oczy. Hojne teraz w czułości, w każdej chwili mogły ograbić mnie ze wszystkiego. Zniszczyć. Tymczasem – byliśmy sami w tej dziwnej miejscowości. Adam i Ewa – jedyni goście raj. Jedynym zajęтым pokojem w

hotelu był nasz, jedyny przygotowany stolik – dla nas. Kelnerki uwijały się dyskretnie, recepcjonistka z uśmiechem podawała klucz.

Krajobraz za oknem migotał jak fatamorgana. Czartoria lśniła białymi pasmami zachowanego jeszcze gdzieś śniegu. Rzeka szumiała głośno, zagłuszając litościwie wszystkie odgłosy dochodzące z naszego pokoju.

Zmęczeni szliśmy na spacer. Cienie bezlistnych krzewów tworzyły na ziemi, zrudziałej od zeszłorocznych liści, gęstą mozaikę ciemnej siatki, wypełnionej jaskrawymi plamami światła. Szliśmy przed siebie, długo, do wyczerpania, potem wracaliśmy na przełaj, do szosy i wyżej, gdzie – jako punkt orientacyjny – błękitniał trójkąt hotelu. Albo wąskim jarem wspinaliśmy się pomiędzy srebrne wysypisko buków, na polanę. Tu, w ciepłych potokach słońca, ułożone wzdłuż i w poprzek kosmatych, zeschniętych traw, leżały pocięte drzewa. Całe jeszcze pnie, a obok nich kawałki w równych stosach, częściowo wysuszone, lecz wciąż jeszcze w żywicznych oparach. Kładliśmy się na pniach, Gerard w cieniu, z książką, w którą zagłębiał się metodycznie – jak słonecznik, okręcając twarz za słońcem, prześlizgującym się cicho po turkusie nieba. Trwaliśmy niemi w tym cichym zachwycie. Przez dłonie, jak przez klepsydrę, przesypywałam drobny piach, prawie kurz, kruszące się w okamgnieniu stare, świerkowe szpilki i cienkie gałązki. Bezlistne jeszcze drzewa wznosiły się nad nami nieruchomo, strażniczki naszej ucieczki. Jak brytany, gotowe rzucić się do gardeł każdemu, kto śmiałby zmaćić kradzione przez nas, tak bezwstydnie i bez cienia skrupułów, chwile.

Gdzieś w środku, między żebrami, narastał nieznośny ciężar, jednocześnie słodczy. Gorzki smak zakazanego owocu. Poniżała i unosiła jednocześnie, skrywana przed wścibskimi oczami, tajemnica. Nikt nigdy nie miał mieć do niej dostępu, zbyt baliśmy się zbrukania, niezrozumienia, potępienia. Serce cicho wystukiwało własny kod. Tuk, tuk – odpowiadały kukułki i inne ptasie głosy, rozćwierkane wiosną. Tak trwał ten nasz dialog bez słów, rozpisany na żuki,

mrówki i motyle, rozmodlone pijaną miłością. Drzewa tryskały pąkami. Cała przyroda nurzała się w tym opętaniu. My zatracaliśmy się wraz z nią.

Świat rozpadł się na dwa. Już nigdy nie miał się zespolić w jeden. Odtąd mieliśmy żyć z dwóch – na przemian. W tym – dostępnym dla innych, okrutnym i pustym – osobno. I w tym – wyłącznie naszym, niedostępnym nikomu, poza nami i naszą zaborczą miłością – razem.

Mieliśmy pewność, absolutne, dojmujące przekonanie, że ten nasz – będzie trwać wiecznie, że tu zawsze będziemy się mogli spotkać. To była nasza Wyspa Szczęśliwa, schronienie, bezpieczna przystań. O której, prócz nas, nikt nie miał pojęcia. Dodawała sił, otuchy i wiary. Aby przeżyć, przetrzymać kolejny dzień bez siebie.

*

Sękaty konary dawały mało cienia. Piwo wirowało w głowach. Kasia rozpięła bluzkę i wystawiła się na słońce. Twarde, bulwiaste piersi zafalowały pod stanikiem.

– No, nie! – sapnął Albin. – Coś takiego! Wstydu taka nie ma!

– A co to? – obruszyła się Kasia. – Goła jestem czy jak?

Wydra podskoczył na swoich żurawich nogach i nachylił tors nad jej biustem.

– Goła, nie goła, popatrzeć warto!

– Idźże ty! – machnęła ręką zadowolona.

– Co się gapisz? – Bożenka ofuknęła Maćka, ten posłusznie odwrócił wzrok.

– O co ci chodzi? – wymamrotał niepewnie. – Że ma co pokazać?

Bożenka trzepnęła go w ramię z dezaprobatą. Kasia wyjęła jabłko i podała Wydrze, aby obrał ze skórki, uśmiechnęła się przy tym przymilnie. Skorzystał skwapliwie z propozycji. Wyjął z kieszeni duży sprężynowy nóż i otworzył z

fasonem. Janowi aż ścierpła skóra na ten widok.

– O rety! – Kasia udała przerażenie i odchyliła się tak, że piersi prawie wystrzeliły jej z bluzki.

Wydra manewrował rękami tak, aby otrzeć się o Kasię.

– Zabieraj łapy – zdenerwowała się w końcu.

– Wystarczy, jak się zapniesz! – ofuknął ją Władysław.

– Ta dzisiejsza młodzież! – kontynuował rozsierdzony Albin. – Nie to, co za naszych czasów! Niewiele starsze, a walczyły! I nie to miały w głowie!

– Ideały zamiast seksu? – zaśmiał się Wydra. – Ja bym się nie zamienił!

Bożenka pokazała mu ukradkiem, żeby dał spokój, udał jednak, że nie dostrzegł.

– Coś takiego! – powtórzył swoje Albin. – Sodoma i Gomora!

Jego krzaczaste brwi unosiły się, to opadały z oburzenia, wypukłe czoło jakby nie mogło ich pomieścić na sobie, zwisały czarnymi pękami aż na skronie. Rzadkie włosy, przedzielone nad uchem przedziałkiem, mające starannie ukryć łysinę, rozwiewał wciąż niesforny wiatr. To wprawiało Albina w irytację. Wielkimi, spracowanymi rękami, o sękatych palcach i krótkich, połamanych paznokciach usiłował co chwilę doprowadzić je do ładu. Od ciągłego schylania się przy samochodach miał wyraźną skoliozę i dyskopatię, dokuczały mu teraz wyraźnie. Nie był w nastroju do żartów.

– No, no! – obrażona Kasia nie zamierzała dać za wygraną. – Jak się ma takie skojarzenia, to nie należy patrzeć!

– To ci gówniara! Starego będzie pouczać! – Albin aż powstał od stołu. – Młodzi walczyli, powiadam ci! Za kraj ginęli! Sierpień to święty miesiąc! Krwią spłynął!

– Tak, tak! – poparł go Władysław. – Wszystko w ogniu było! Walczyli za nas, za wolność, chwała męczennikom!

– Dawne czasy. – Wydra powlókł się pod swoje drzewo. – Kto to pamięta.

Kasia zapięła bluzkę.

– Opalać się nie da, bo zaraz tyle gadania! – rzuciła niedbale.

– A co ty wiesz! – Albina znowu poniosło. – Mój ojciec tam walczył!

– Odczep się pan od dziewczyny! – warknął Prokop. – Mój zginął w Ludowej Armii! Według was, to gorszy był?

– Co? Pod Warszawą stał? Z ruskim? I naszym nie pomógł? – Albina zatkało. – I pan się przyznajesz do takiego... takiego...

– No? No? Do kogo? – wysapał Prokop z trudem. – Wykrztuś pan!

Jan aż podskoczył. Ulotna była ta sjesta, ta zgoda. Teraz skakali sobie do gardeł. Tylko Wydra flegmatycznie obierał jabłko. Albin stanął rozkraczony naprzeciw Prokopa, utkwiał w nim przekrwione oczy. Cherlawy Prokop z trudem panował nad warczącym psem. Albin zamierzał gruchnąć Prokopa w nos, ale powstrzymał go Władysław.

– Panowie! Panowie! – ksiądz usiłował przywołać ich do porządku. – To nie temat na pielgrzymkę!

Albin stracił rezon. Władysław posadził go przy stole. Jadwiga przerażona pochyliła się nad Prokopem. Zaczęła wachlować go serwetką.

Jan siedział jak skamieniały. Nie spodziewał się awantury. „Rejent i Cześnik!” – pomyślał i żal prawie zatopił mu serce. Wydra na widok jego miny parsknął złośliwie:

– Niezłe przedstawienie, co? Nasz kochany kraj w pigułce! – puścił do księdza oko, jednocześnie podał obrane jabłko Kasi.

– Przestań! – syknęła do niego zirytowana Kasia.

– A ty? Po czyjej jesteś stronie? – nie ustępował Wydra.

– Ja? Mnie to nic nie obchodzi! – warknęła.

Albin dyszał ciężko. Grube żyły wystąpiły mu na szyi. Prokop otworzył

szeroko usta, jak do krzyku, ale z ust wydobywał mu się tylko przenikliwy świst. Teraz obaj byli przeciwko Wydrze. Jeszcze chwila, a wybuchną na nowo.

Ksiądz myślał gorączkowo, co począć. Wreszcie wstał.

– Pomódlmy się – zarządził stanowczo. – I w drogę. Zapominamy, gdzie jesteśmy i po co idziemy!

– Amen! – odpowiedział mu głośno Wydra.

* * *

– Wybiegłaś w przód, Soniu.

– Tak. Kiedy poznałam Gerarda, Ola miała ponad trzy lata, a moje małżeństwo przeżywało kryzys.

– Ale wcześniej? Przecież nie było tak od początku?

– Ustaliliśmy wreszcie z Arturem datę ślubu. Hasło: wnuk – okazało się właściwym argumentem i antidotum na wszystko. W ten sposób Artur przeforsował także moją przeprowadzkę do niego, jeszcze zanim zostałam jego oficjalną żoną. Ślub miał się odbyć w lutym, Artur przekonał rodziców, że nie powinnam mieszkać w wynajętym pokoju, zresztą zimą bezpieczniej będzie mi u niego. I tak, po zaliczeniu zimowej sesji, przeniosłam się do domu Artura. W kamienicy, którą zbudował jeszcze pradziadek, jego rodzice zajmowali pierwsze piętro. Na parterze mieszkali lokatorzy komunalni, dokwaterowani przez państwo z przydziału, którzy dewastowali nie swoje mienie bez żadnych skrępowań i bez szans na jakikolwiek remont za własne pieniądze. Była to biedota, żyjąca z wiecznych zasiłków. Wciąż pijany Gierek tłukł żonę i dzieci, przepijał regularnie pensję z sąsiadem, takim samym oflapusem jak on. Mimo to kłaniali się grzecznie jaśnie pani, a potem także mnie, nigdy nie odważyli się na żadne zaczepki. Kamienica od lat nieodnawiana popadała w ruinę. Ściany podchodziły wilgocią i

grzybem, podmakala przy fundamentach. Bohdziewiczowie posiadali cztery pokoje z kuchnią i łazienką. Największy należał do Artura. Dwa inne – do jego rodziców. Czwartym, sądziłam, że stanie się pokojem dziecięcym. Jakże się myliłam. Zaraz na wstępie oznajmili nam, że teraz koszty utrzymania domu wzrosną, szczególnie po narodzinach dziecka, więc albo dzielimy się z nimi wydatkami na pół, albo oni przyjmują trzech studentów do tego wolnego pokoju, aby pokryć naszą część. Artur nie odezwał się słowem. Ja zgodziłam się, dla świętego spokoju. Zresztą i tak nie mieliśmy wyjścia, nie byliśmy samodzielni finansowo. Tak więc w naszym pokoju mieliśmy odtąd nie tylko sypialnię, ale także miejsce pracy Artura, z wielkim kontrabasem i fortepianem, który zajmował prawie całą wolną przestrzeń, oraz część dziecięcą. Zrobiło się ciasno, po rozłożeniu na noc tapczanu trzeba było przeskakiwać przez ławę, aby móc wyjść. W środkowym pokoju zamieszkało trzech studentów. Rano, w południe i wieczorem ustawialiśmy się w kolejce do łazienki. W końcu musieliśmy się postarać o własny nocnik, gdyż często trudno było się doczekać na toaletę. Pralka chodziła non stop, nie wyobrażałam sobie, co będzie, gdy dojdą jeszcze pieluchy dziecka... Cieszyłam się jednak, że mamy własny kąt, do tego za darmo. Nie narzekałam. Za pieniądze zarobione przez Artura na chałturach kupiliśmy wózek, łóżeczko, wyprawkę. Używane, ale w dobrym stanie. Było ciasno, ale przytulnie. No i – był to przecież mój dom! Staralam się być delikatna, nie narzucać nikomu swojej obecności. Uczyłam się, czytałam, zawsze w swoim pokoju. Na ślub z mojej strony przyszła tylko mama. Brat był wtedy w wojsku, nie otrzymał przepustki. Z ich strony przyszły jakieś ciotki i dalsi krewni, wesele było bogate i z pompą. Kościół tonął w kwiatkach. Z góry, z zewsząd, płynęło słodkie *Ave Maria*. Artur wbity w elegancki garnitur kręcił co chwilę głową, jakby uwierał go kołnierzyk nazbyt wykrochmalonej koszuli. Przy ołtarzu okazało się, że obrączka Artura była za ciasna, ledwo wcisnęłam mu ją na palec. Najwyraźniej złotnik źle dopasował rozmiar.. . Odtąd

Artur paradował bez obrączki, twierdził, że przerabianie źle wróży.

Teściowie nie lubili mnie. To znaczy, nie mnie osobiście. Drażniło ich to, że pochodziłam ze wsi, że byłam nieślubnym dzieckiem, do tego bez grosza przy duszy. Wiedzieli, owszem, że potem ojciec dał mi nazwisko, nie pomogło to jednak w uratowaniu mojej reputacji w ich oczach. Marzyli o innej synowej. O lepszej partii dla Artura. Liczyli, że wżeni się w pieniądze, w biznes. Wzdychali nieraz, że gdyby lepiej się ożenił, dom można by było podnieść z ruiny, przywrócić do dawnej świetności. Tymczasem sami go do rozpadu doprowadzili. Dziadek Artura, jak i pradziadek, był stolarzem. Mieli własną stolarnię, maszyny sprowadzili aż z Wiednia, jeszcze za cesarza Franciszka Józefa. Wyrabiali ekskluzywne, stylowe meble, które osiągały wysokie ceny i były niezwykle cenione. Niestety dziadek nie miał syna, który poprowadziłby dalej interes. Mógł po wojnie zmniejszyć zatrudnienie (majątki powyżej 50 pracowników upaństwowiano) i utrzymać firmę. Ale miał tylko dwie córki. Ani je, ani ich mężów nie interesowała jednak stolarka. Jedna z nich wyjechała do stolicy, druga zaś, czyli matka Artura, chciała mieć po prostu święty spokój. Wolała wraz z mężem pójść na państwową posadkę za grosze, byle pozbyć się kłopotu i nie użerać z urzędem skarbowym. Ojciec Artura swoje przeszedł i nie miał chęci ani kwalifikacji do biznesu. On, przedwojenny oficer, zupełnie się do tego nie nadawał. Teściowa zaś nie lubiła się uczyć, uważała, że miejsce kobiety jest w domu, przy mężu. Nie w głowie były jej studia czy próba ocalenia dorobku przodków. W ten sposób stolarnię przejęło państwo za bezcen, a oni żyli z dnia na dzień. Meble po dziadku wynieśli na strych, jako niemodne, natomiast za pieniądze ze sprzedaży stolarni kupili inne, kalwaryjskie, na wysoki połysk, a potem także syrenkę na raty. To ich cieszyło. Gdy kontrola przeciwpożarowa nakazała im pozbyć się mebli ze strychu, po prostu porąbali antyki na opał. Artur uratował część z nich i przechował w swoim pokoju. Pozostały teściom obrazy, porcelana i srebra, z których byli bardzo dumni, oraz

wysokie aspiracje. Ja przyszłam do nich z używaną kołdrą i starą poduszką, to było moje wiano. Dlatego nie byli w stanie mnie zaakceptować.

*

Ruszyli niechętnie. Niepogodzeni. Pełni wzajemnych urazów. Maciek obejrzał się parę razy za Kasią. Wlokła się z tyłu, z ciężkim drzewcem na ramieniu, wyraźnie przystawała. Zaczekał chwilę, aż zrówna się z nim.

– Może pomóc? – zaoferował, przyglądając się badawczo. Wyglądała na zmęczoną.

– Nie – ucięła krótko, wydętymi wargami. Przeszła obok niego, przymrużając oczy, jakby raziło ją światło.

Bożenka przyłączyła się do Maćka. Minę miała gniewną.

– O co chodzi? – udał, że nie rozumie w czym rzecz. – Jesteś zazdrosna?

– Więc dlaczego... – zaczęła i urwała.

– Daj spokój – zbagatelizował. – Przecież widać, że za chwilę padnie. Chciałem ponieść jej chorągiew.

– Jaki dżentelmen – ucięła, ale już bez złości.

Poszukał spojrzeniem jej oczu, osłoniętych daszkiem. Były znów ciepłe, jak lubił. Nosili oboje identyczne czapeczki, wyglądali jak rodzeństwo. Cieszyło go to ich fizyczne podobieństwo do siebie. Traktował ją trochę jak siostrę. W stosunku do Kasi nie czuł się jednak jak starszy brat. Widok jej prawie obnażonych piersi przesładował go, drażył coraz mocniej, nie mógł się od niego opędzić. Zadowolony, że udobruchał Bożenkę, starał się nie patrzeć w stronę Kasi. Mimo to jej kształtny biust wciąż falował mu w głowie, w górę w dół, w górę i w dół, jak po szybkim biegu. Miał ochotę ugłaskać je, ugłaskać... Niebo błękitniało nad głowami. Białe, pierzaste chmury przepływały wolno i majestatycznie, niczym olbrzymie

zaglowce, unosząc z wdziękiem strzeliste maszty i sunąc z wyciągniętymi przed siebie dziobami, jak stado łabędzi. Maciek patrzył, spływały z nich wprost w jego zachłanne oczy, dwie wielkie, jak mleczne krople, piersi Kasi. Oblizwał spierzchnięte wargi i łapczywie dopił wodę z butelki.

– Hej! Hej! A ja? – powstrzymała go Bożenka.

Spojrzał na nią nieprzytomnie. Wyjęła mu z rąk butelkę, wylapała językiem ostatnie krople.

– Sknera – bąknęła, ni to do siebie, ni do niego.

– Kupimy coś po drodze – pocieszył ją.

Jadwiga krążyła od Prokopa do Albina, raz zagadała do jednego, raz do drugiego, odpowiadali uprzejmie, acz zdawkowo. Była niepokieszona, nawet dyżurny temat – kulinarny, przestał ich interesować. Nie miała pojęcia, jak rozładować ich wzajemne animozje.

Ksiądz odmawiał głośno różaniec, wtórowali mu Władysław z Leokadią. Czuł się jednak dziwnie znużony. Kolejny brak reakcji ze strony Soni dręczył go bezustannie. Nie śmiał jednak zakłócać jej milczenia. Wyraźnie potrzebowała samotności. Zerknąwszy na nią przypadkiem, zauważył, że idzie prawie machinalnie, osowiała i zamyślona. Jakby przebywała tu z nimi w sposób nie do końca realny, jakaś jej część bowiem nie zaznaczała w sposób widoczny swojej tu obecności. Męczyło go odmawianie różańca, ciężka cisza za plecami i to niepoznane, które wciąż owijało się przezroczystą wstęgą wokół jej bladej postaci. Czuł w powietrzu rosnące napięcie. Rozprzestrzeniało się w rozpalonej do białości przestrzeni, narastało, bijąc od rozgrzanego upałem asfaltu. Ta dziewczyna była kluczem do zagadki. Jej obecność tutaj miała głębszy sens. Przeczynał go, udręczony niemożnością porozmawiania z nią wprost. Unikała go. A tym samym – odpowiedzi na wszystkie palące pytania, które rozsadały go od wewnątrz, pozostawały niewiadome. A może zbyt wiele oczekiwał? Może zdawkowa

rozmowa nie wystarczy, by odkryć tajemnicę? Spowiedź, szczerą jej spowiedź, mogłaby wiele wyjaśnić. Może nawet uratować go, pomóc odzyskać równowagę. Im dłużej nie następowała, tym bardziej czuł się osaczony, zagubiony w pułapce własnych domysłów. Pewników, tych teraz potrzebował, żeby z nich poskładać wreszcie, klocek po klocek, puzzle wyjaśnienia. Prawdę. Jakby prawdę można było porozdzielać na mniejsze części, pół- czy ćwierćprawdy, a potem dowolnie je układać, według swojej woli i na własny użytek...

– Wody! – huknął Wydra ni stąd, ni zowąd.

Kasia roześmiała się i chlusnęła mu na głowę trochę wody z butelki. Otrzeptał się, cmoknął głośno w jej stronę.

– Jak przygoda, to tylko w Warszawie, w Warszawie! – zaintonował fałszywie, przyzymkając znacząco oko. Okręciła się na pięcie, odwróciła.

– Co mi tu będzie... szargać! – obruszył się Władysław. – Nic świętego dla takiego nie ma!

– Śpiewać nie wolno? – Wydra wpił w niego beczelny wzrok.

– Stolicy szargać nie pozwolę! – Władysław wzniosł pięść do góry.

– Władziu, Władziu – ciągnęła go za rękę żona. – Nie denerwuj się, też ci zaszkodzi!

– A stolica, to może pańska? – zaperzył się Prokop. – Polaków pan dzielisz? Pan, to pewnie ten lepszy?

– A słusznie! – wtrącił się Albin. – Ja też lepszy! I ręce wara sprzedawczykom od Polski!

– Ręce? Ja tymi rękami Warszawę budowałem! Dzieckiem ja prawie byłem, a budowałem! Cegły nosiłem! Że pęcherze to ino pękały! I teraz mnie precz? – Prokop nie posiadał się z oburzenia.

– Władziu – jęknęła Budniokowa. – Na diabła ci ta kłótnia? Czy to co da? Ciśnienie ci skoczy! Jak iść będziesz?

Prokop chciał coś odpowiedzieć, otworzył usta i zamknął je. Wargi Albina drgały nerwowo, wyciągnął z plecaka butelkę wody i pił wielkimi łykami.

Ksiądz pomyślał z przykrością, że ta pielgrzymka będzie trudniejsza, niż sądził. Nawet dalsze odmawianie różańca wydało mu się w tej chwili niestosowne. Patrzył na nich i rozumiał ich. Racje jednego przeciw racjom drugiego... Zawsze są czyjeś racje. Po obu stronach barykady.

*

Dlaczego zostawił ją wtedy, na tej łące, samą, z jej zdumieniem i trwogą? Przekonany, że jego decyzja jest słuszna, jedyna z możliwych? Odrzucał każdą myśl o Alinie. Wewnętrzne przeobrażenie i cel, do którego dążył, wypełniły go bez reszty. Oddawał się narzucanym mu rygorom z przyjemną uległością. Nie odczuwał trudów życia seminaryjnego. Wkraczał w nie, przekonany o właściwym wyborze. Uduchowiony i promieniejący wewnętrzną pogodą, pogrążał się bez reszty w modlitwach i kościelnych rytuałach dnia codziennego. Cieszył się na myśl o przyszłej pracy z ludźmi i oczekiwał z pewnością spokojnej przyszłości.

Przed święceniami odwiedził rodziców. Dotąd wakacje spędzał na wsi niechętnie, bał się rozproszenia, nieprzewidzianych okoliczności, które nadwątlilyby jego stanowczą wiarę. Złe przeczucia dręczyły go już przed wyjazdem do domu. Chciał go uniknąć, ale serce ciągnęło go w rodzinne strony. Tak rozdwojony, odkładał termin przyjazdu, a ciężar niezdecydowania zaczął przygniatać go nieznośnie. Musiał odpowiedzieć sobie na pytanie, co naprawdę go tak przeraża. Dokładnie znał odpowiedź, wypowiedzenie jej jednak głośno, przed samym sobą, wymagało nie byle jakiego wysiłku: nie miał odwagi spojrzeć Alinie w twarz! Po głębokim zastanowieniu doszedł jednak do wniosku, że może nie taki diabeł straszny, jak go malują. Poza tym nie zamierzał przecież rezygnować z

własnych planów, bez względu na ewentualną reakcję Aliny. Przekonany, że nie jest w stanie odwieść go od raz powziętych zamiarów, spakował się szybko, zdecydowanie wsiadł w autobus PKS i rozklekotany jecz w półtorej godziny dowiózł go w rodzinne strony. Widok starych, sędziwych już topól wprowadził go we wzruszenie i w melancholię. Odkąd udało mu się wyrwać stąd, na zawsze jak sądził, jego stosunek do tej zapyziałej, prawie zabitej dechami wsi, diametralnie się zmienił. Czuł, że polubił tę szarą, bezbarwną, płaską jak stół, nieciekawą okolicę. Z przyjemnością posiedzi sobie na progu drewnianej, prawie walącej się chaty. Ojciec nie miał już sił na obrabianie pola, niszczała ziemia i podupadała gospodarka. Jednak świętość, której dopatrywali się z żoną w synu, stanowiła dla obojga pociechę i nie pozwalała na wymówki. Duma przed ziomkami i proboszczem, że ich syn wyszedł na ludzi, łagodziła rozterki z powodu upadku dorobku ich życia. Jan namawiał ich na oddanie ziemi państwu, za rentę, ojciec jednak zamierzał umrzeć na swoim. W jego mniemaniu, jakikolwiek gospodarz był lepszy niż żaden. Nie rozumiał pojęcia renty. Nie czuł się inwalidą. Po prostu starzał się i bolało go, że swojej starości nie będzie mógł przeżyć godnie, u boku syna, synowej, z wnukami, którzy pociągną dalej to, co zaczął kiedyś jego ojciec, a wcześniej jego dziad i pradziad. Wzdychał ciężko do Boga, który obdarzył go tylko jednym dzieckiem, ale nie buntował się. Bunt nie leżał w jego naturze. Przyjął godzić się ze wszystkim, co go spotykało, jako z boskim wyrokiem, którego słuszności nie rozumiał, ale też nie zamierzał podważać. Pobożny, uznał, że Bóg zażądał od niego ofiary z syna, pozostawił więc sprawy własnemu biegowi. Ten jego pierworodny i tak nie nadawał się do roli i cokolwiek on by zrobił, z pewnością nigdy nie uczyniłby z syna chłopca. W cichości ducha przyznawał rację Panu Bogu, ale bolał też z powodu gospodarki chylącej się ku zagładzie, choć nigdy nikomu się nie skarżył, nawet sam przed sobą. Tylko czasem, jak popił samogonu, to na umór. Topił gadzinę, która mu serce żarła, bez litości, pomagało

na jakiś czas. I tak od pitki do wypitki schodziło mu teraz jego, niepotrzebne już nikomu życie. Zbędność i nieprzydatność coraz częściej skłaniały go do kielicha, ostatnio rzadko trzeźwiał, ale na przyjazd syna opamiętał się na tyle, żeby nie dawać mu sposobności do wymówek czy wyrzutów sumienia. Matka gorzkniała w samotności. Mąż i syn z trudem odnajdywali z nią wspólny język. Żyła zamknięta w sobie, bez złudzeń, pogodzona z losem. Od dawna obca mężowi, dla syna jednak chowała nieco czułości w zanadrzu i okazywała mu ją za każdym jego, rzadkim przyjazdem do domu. Jan zadowolony z przywitania ogarnął się szybko po podróży, rzucił w kąt torbę i jak stał, pomaszerował na łąki. Potrzebował powietrza i odległości – w których mógłby zatopić wzrok. Po klasztornych murach, tu, na tej dzikiej dla niego wolności, czuł prawie, jak wyrastają mu skrzydła u ramion. Lekki i nieważki ogarniał wzrokiem całą okolicę, po horyzont, nareszcie czuł, że oddycha normalnie, pełną piersią, swobodnie. Schodził na przełaj, przez wysokie do pasa trawy, pełne margerytek i maków, urzeczony. Nigdy przedtem nie dotknął tak silnie wsi, nie dostrzegł jej uroku. Musiał stać się gościem. I jak gość, jak przyjezdny, mógł się teraz dopiero rozkoszować do woli pięknem krajobrazu. To, czego kiedyś wręcz nie znosił, teraz pociągało go. Pomyślał nawet, że gdyby potrafił, namalowałby chętnie parę takich widoków.

Zmierzchało już. Nad granicę rzadkiego lasu zatoczyła się wielka ognista kula słońca. Gładka, amarantowa, lśniła, unosząc się, jak na palcach, nad czubkami drzew. Wtedy zobaczył Alinę. Stała przed nim. W tym samym miejscu, w którym ją wtedy zostawił. Jakby przez te lata nie ruszyła się z miejsca. Otrząsnął się jak z przywidzenia. Jednak wciąż stała. W tej swojej białej sukience, z na wpół rozplecionym warkoczem, którym bawił się niesforny wiatr. Coś jednak zmieniło się. Było inaczej niż wtedy. Nie od razu pojął, co to było takiego. Podchodził do niej wolno i zrozumiał. Była w ciąży. Uśmiechnęła się na przywitanie, niepewnie, wydało mu się nawet, że boleśnie. Jakby ją ktoś uderzył albo jakby skaleczyła się i

usiłowała przekonać go, że to nic takiego, samo przejdzie. Cięża rysowała się wyraźnie pod cienką sukienką. Miał wrażenie, że osaczyła go ta cisza, która zapadła między nimi. Dlaczego nie spodziewał się czegoś takiego? Ból, który mu sprawiła, był tak nieoczekiwany, że aż się zdziwił. Nie widział, jak się z nią przywitać, podać rękę, uścisnąć, pocałować w policzek? Wszystko wydało mu się nagle banalne i niestosowne. Dziecko nie mogło być jego. Minęło parę lat!

Wiatr szarpał lekko woalem jej sukni, wyglądała drobniej niż zwykle, jakoś tak blado. Słońce nie zaróżowiło jej warg. Wydały mu się przezroczyście.

Martwiła się? Czym? Przecież miała zostać matką. Powinna być szczęśliwa. To podobno najpiękniejszy okres w życiu kobiety. Tak, zupełnie bez powitania, bez jednego słowa, ruszyli przed siebie. Potem tak samo, zupełnie bez porozumienia, przysiedli na skraju strumyka. Gładziła ręką kaczeńce, zamyślona. Patrzył i nie mógł pojąć, jak bardzo stała mu się obca. To nie była już jego Alina, to była inna Alina, dorosła. Alina – kobieta. I kiedy obserwował jej rzęsy, dostrzegł znieczeka kolor jej oczu. Nie zastanawiał się dotąd, jakie ma oczy. Nigdy go to nie interesowało, nie starał się w nie spojrzeć. Teraz odkrył przypadkiem, że były jak trawa. Jak liście kaczeńców, którymi się bawiła. Jej ręce błędziły wśród kwiatów, cała była zabłąkana. Na jej palcu nie było obrączki...

– Zakochałaś się? – zapytał wreszcie.

Pytanie z trudem przeszło mu przez gardło. Nie chciał znać odpowiedzi. Nie, żeby mogła go zranić, raczej wolał zostawić Alinie to jej własne życie, które nie powinno go obchodzić. Nie odpowiedziała. Jak dobrze się rozumieli. Odpowiedź nie miała przecież znaczenia. Niczego by nie zmieniła. On nie mógł należeć do Aliny. Nigdy. Nie oczekiwała zresztą tego. Chociaż nie był do końca pewny, czy się nie pomylił. Jej milczenie było tak znaczące. Jakby oskarżała go. Że gdy ją opuścił, musiała szukać pocieszenia. I nie znalazła nic, prócz kolejnego dramatu.

Milczenie Aliny dławiło go jak pętla. Zaczynało mu ciążyć. Czego chciała?

Żeby porzucił Boga i ożenił się z nią? Pomógł wychować nie swoje dziecko? To miała być kara? Za to, że ją wtedy odtrącił? Zadośćuczynienie? Za krzywdę, którą sobie uroiła?

– Jestem sama – powiedziała wreszcie.

Najchętniej wstałby i uciekł stąd. Widok jej falującego brzucha przyprawiał go o mdłości. Wzdęty monstrualnie budził w nim grozę. Czekał ją poród. Okrutna męka. Cena za rozkosz, której zaznała, być może. Nie polemizował z Bogiem, czemu tak urządził świat, że tylko jedna strona cierpi za to, czego doznaje dwoje ludzi. Było mu lepiej ze świadomością, że on nie musi płacić żadnej ceny. Ani teraz, ani nigdy. Nawet gdyby to było jego dziecko, konsekwencje i tak ponosiłaby Alina. Cieszył się, że nie on jest przyczyną jej upadku, że nie musi dzielić z nią winy, dźwigać grzechu po kres, wolny od tego dożywotniego obowiązku. Patrzył na jej blady profil, wydelikacony przez rozpoczęte już trudy macierzyństwa. A może było dokładnie na odwrót? Może sama jej obecność tutaj była karą dla niego? Będzie musiał teraz żyć ze świadomością jej upadku, który być może sam spowodował? Nawet jeśli ona nie wypomni mu tego wprost, jeśli nawet takiej zależności sama sobie nie uświadamia, on o tym wie. Przeczował, że w jej pochopnej decyzji związania się z kimś przypadkowym, musiało być wiele z chęci ucieczki, zapomnienia, próby zbudowania czegoś od początku, czegokolwiek, czego mogłaby się uchwycić, a co okazało się pomyłką, totalnym fiaskiem. Zrujnowaniem życia. Nie miał pojęcia, jak poradzi sobie sama, z dzieckiem. Na tej zapadłej wsi. Jeśli wyjedzie, to dokąd. Serce ścisnęło mu się z niepokoju. Bawiła się kwiatami i czekała. Na jedno jego słowo, skruchę i obietnicę, że nigdy już jej więcej nie zostawi, że odtąd będą już zawsze razem. I razem poniosą jej grzech, jej winę, która jest przecież ich wspólną winą. Nie padło żadne słowo. Nie mogło paść. Zamierzał oddać się Bogu. Nie było dla niego innej alternatywy. Zrozumiała. Wstała. Odeszła. Pozostał z palcami w lodowatej wodzie. Jego serce miało teraz tę

samą temperaturę, a on zamarzał wraz z nim.

*

Władysław był krzepkim mężczyzną o nieco nalanej twarzy. Duży, mięsisty nos osadzony miał nad wąskimi wargami, ocienionymi wąsem. Siwiał już, podobnie jak Leokadia, która przerastała go wzrostem i tuszą. Zerknął na idącą obok niego żonę. Modliła się. Była pobożną kobietą, dobrą żoną, to go trzymało przy niej. Sam pochodził z biednej rodziny, z małego miasteczka. Jego dziadek przed wojną był masarzem. Ojciec Władysława miał dwóch starszych braci, którzy zginęli w partyzantce w czasie wojny. Jeden był w AK, drugi w Batalionach Chłopskich, serce ojca rozdarło się między nich. Po wojnie dziadek nie mógł konkurować z państwowymi zakładami mięsnymi, radził sobie z trudem, ojciec Władysława przyjechał więc na Śląsk, gdzie zatrudnił się w kopalni. Po przeszkoleniu zrobili z niego górnik dołowego; tam, na dole, spędził prawie trzydzieści lat. Ożenił się, dobrze mu się wiodło. Deputaty węglowe, liczne premie, trzynastki, talony, szczególnie za Gierka, pozwoliły na osiągnięcie spokojnej stabilizacji, o ile pracując w warunkach stałego zagrożenia życia, można mówić o spokoju. Matka wciąż bała się o ojca, była niespokojna, dopóki nie zobaczyła go z powrotem. Nie pracowała, ojciec zawsze powtarzał, że miejsce kobiety jest w domu, a jego na to stać.

Ojciec Władysława nie pchał się do polityki. Wiedział, że przemiany ustrojowe są nieuchronne. Jego liczna, pochodząca ze wsi, głodująca często przed wojną rodzina, otrzymała ziemię, inni pracę i mieszkania. Nie zamierzał odwracać biegu historii. Związki zawodowe górników były zasobne, przydzielano zasiłki, wczasy, sanatoria, pożyczki, często bezzwrotne. Za ciężką pracę uważał się słusznie nagrodzony i nie oczekiwał niczego więcej. Umiał się cieszyć tym, co ma,

Barbórkę obchodzili hucznie, żony górników przygotowywały zakrapianą imprezę. Dorobili się wkrótce własnego telewizora i auta. A on wreszcie – pylicy. Świszczało mu w płucach, zamierzał przejść na rentę. Władkowi nie pozwolił zostać górnikiem. „Możesz być elektrykiem albo monterem – powiedział mu – to lepszy fach, bezpieczniejszy”. I tak Władek skończył elektryczną zawodówkę. Zatrudnił się w tej samej kopalni, co ojciec, do brygady remontowej.

Tymczasem w kopalni zawiązano nowe związki zawodowe „Solidarność”. Ojciec i Władek przystąpili do nich. Mówiono im o wyczerpaniu, marnotrawstwie, o lepszej przyszłości i godniejszym życiu za ich pracę. Nawoływano do sabotażu, dążenia do zmiany ustroju. Ojciec był pełen wątpliwości. Dużo zawdzięczał obecnemu krajowi, ale bał się ziomków, sąsiadów, własnego syna, który zapalił się do wizji nowego świata. Milczał. A oni agitowali coraz głośniejszymi, przekonywali, przytaczali argumenty. Nie potrafił im nie uwierzyć, gdy dla tyłu wokół punktem honoru stała się nowa Polska. Świetlana. Bez skazy. Wolna, niepodległa, w której nikt więcej nie będzie wywoził węgla za Bug, za bezcen, a postawi się twarde warunki, w walucie, za którą nareszcie zaczną żyć w prawdziwym, a nie urojonym dobrobycie. Nasłuchał się o UB – polskim gestapo, o rosyjskich mordach, o prześladowaniach. Sam tego nigdy nie doświadczył, tu, na Śląsku nie odczuwało się zagrożenia, a wręcz było pod parasolem politycznym – tak mówiono.

Przyłączyli się więc z synem do ruchu, który miał przynieść ziszczenie marzeń o bogatym, demokratycznym kraju. Pomagali organizować wiece i manifestacje, roznosili ulotki. Panował powszechny entuzjazm i wiara, że lepsze jutro jest tuż, na wyciągnięcie ręki. Gospodarka ledwo zipsała, nie wytrzymała konkurencji z nowoczesnym Zachodem, rosło niezadowolenie ludzi, wszystko sypało się coraz szybciej. Padało rolnictwo, zakłady, często o przestarzałych technologiach, nie dotrzymywały planów, wszyscy cieszyli się z tego i czekali na prędko koniec, na przejęcie władzy. Przekonani, że gdy wezmą tę biedną gospodarkę, te upadłe

zakłady, to kulejące rolnictwo w swoje ręce, to ho! ho! – cały świat zobaczy drugą Japonię – jak mówił Wałęsa. Nie było nikogo, kto by w to nie wierzył. Panowała powszechna radość i aprobata. Cel był blisko, wystarczyło sięgnąć...

Stan wojenny spadł na nich jak grom z jasnego nieba. Ojca ogarnęła wściekłość. Jeżeli kiedykolwiek miał jakieś wątpliwości, to wtedy pozbył się wszelkich skrupułów. Razem z kolegami rozpoczęli okupację kopalni. Zjechali na dół i już stamtąd nie wyjechali. Dwudziestoparoletniemu Władkowi zabronił strajkować, miał pilnować matki. Górnicy trwali na stanowisku, mając nadzieję, że nic im nie grozi, że chodzi tylko o przetrzymanie. Potem przyjechały czołgi...

O pacyfikacji kopalń Wladek dowiedział się z krzyków na ulicy. Popędził tam jak oszalały. Nie wpuścili. Wynoszono trupy. Inni powychodzili sami. Ojciec był tylko lekko ranny. Wrócił do domu o własnych siłach. Potem nie jadł, nie spał, nic nie mówił. Pogrzyżył się w apatii. Docierały do nich coraz to nowe wiadomości. Wielu internowano, niektórzy wyjeżdżali za granicę, inni podpisywali lojalki. Ojciec nikogo nie krytykował. Milczał, ze wzrokiem utkwionym przed siebie, jakby ogarnął go paraliż. Wkrótce kopalnie ruszyły, ojciec wrócił na swoje stanowisko pracy. Tego dnia dopadł go na dole rozległy zawał. Gdy wywieźli go na górę, już nie żył.

Wladek zajął miejsce ojca. Nie pchał się do polityki. Obiecał to matce, bo wiedział, że ojciec życzyłby sobie, żeby zadbał o jej spokój i starość. Niestety bardzo szybko nabawił się astmy. Zaczęły się szpitale, sanatoria. Tak poznał uroki sanatoryjnego życia. Niespełna trzydziestolatek, był obiektem westchnień wielu pań. Szybko zorientował się, że przyjeżdżają tam jedynie połowy stadeł, nigdy pary, lub też wolne osoby, do ewentualnego zagospodarowania, przeważnie dużo od niego starsze. Po całodniowych zabiegach leczniczych wieczorne polowania na dancingach stały się regułą i jedynym zresztą urozmaiceniem pobytu. Pary zawiązywały się już na początku turnusu, trwały zwykle aż do wyjazdu. Przy

odjeździe jedni ze łzami żegnali się na zawsze, inni spotykali się tak co roku. Sanatoryjne związki potrafiły być sobie wierne przez kilka turnusów z rzędu.

Tam też Władysław poznał swoją przyszłą żonę Leokadię.

Rozrywany przez starsze panie, bo przyjeżdżały tam osoby zwykle będące na rencie lub emeryturze, zagustował szybko w tego typu przywiędłej urodzie. Korzystał z ich chęci, ile mógł, ale ostrożnie, nie chciał się wiązać pochopnie. Kobiet zaś łatwych, sentymentalnych i gotowych na wszystko, byle zabić samotność i nudę, nie brakowało. Leokadię poznał na dancingu, na którym królowały przeboje Fogga, Santor czy Połomskiego. Średnia wieku bawiących się dobiegała sześćdziesiątki. Leokadia siedziała przy stoliku i nudziła się, jak on. Korpulentna blondyna, o tlenionej trwałej, pulchnych policzkach i ekscytującym, obfitym biuście zwróciła od razu jego uwagę. Miała dobrze po czterdzieście i rozłożyste biodra. Takie podobały mu się najbardziej. Zaprosił ją do tańca, stwierdził, że jest wciąż apetyczna, gruba, ale nie rozlana, tańczyła swobodnie, bez zadyszki. No i była dużo młodsza od tych, które okupowały stoliki. Chorowała na żołądek.

Umówił się z nią na spacer. Okazała się przystępna i rozmowna. Nie siliła się zgrywać atrakcyjnej, ale to go właśnie ujęło, ta jej zwyczajność. Była starsza od niego dziesięć lat, ale to mu nie przeszkadzało ani to, że podobnie jak on, nigdy nie żyła w małżeństwie. Pochodziła z Kaszub, z mieszanej rodziny, jakaś jej babka po matce była Niemką. Dość szybko poszli ze sobą do łóżka, jeszcze szybciej do ołtarza. Zamieszkali w Turawie. Była dobrą żoną, dorabiała jako krawcowa. Przekwitała już, gdy po paru latach współżycia ze zdumieniem stwierdzili, że Leokadia jest w ciąży. Miała wtedy czterdzieści pięć lat. Ucieszyli się tym późnym dzieckiem, choć obawiali się komplikacji. Władysław wrócił do zawodu swojego dziada, został masarzem. Najpierw jako pomocnik, stopniowo otworzył własną, małą firmę. Przekonał się wtedy na własnej skórze, że to, o co walczył, nie całkiem

spełniło się. Demokracja, nikt w Turawie nie zwracał na to uwagi. Obchodziło ich tylko, czy będą mieli co do garnka włożyć, coś więcej, niż za Gierka. Niestety, było coraz gorzej. Szalało bezrobocie, zamykano kopalnie, zwalniano ludzi. W sienie dali znikła wymarzona Japonia. Rozczarowanie i rezygnacja, tak było teraz w Turawie. Hasło: „Pensje wschodnie – ceny zachodnie” – które obnosili kiedyś na transparentach, nabrało teraz karykaturalnego wydźwięku. Posprzedawane naprędce zakłady bankrutowały. Nie było pieniędzy na modernizację, inwestycje, technologie, opiekę socjalną. Okres przejściowy, pocieszano ich. Władysław dziękował Bogu, że posiada zawód, który pozwala mu wiązać koniec z końcem, mimo zżerających go podatków i ciągłego lęku przed fiskusem. Unikał jak ognia kredytów, wiedząc, że gdy powinie mu się noga, też będzie musiał zbankrutować. Cieszył się w cichości ducha, że ojciec nie dożył przemian. Jego serce nie wytrzymałoby wszystkich tych afer i korupcji, które przynosił im w wieczornym dzienniku każdy kolejny dzień. Mimo to Władysław wierzył, że kiedyś będzie lepiej, czekał na to cierpliwie. Jak czekałby i wierzył ojciec. W końcu jego śmierć, jego idee nie mogły pójść na marne.

Leokadia urodziła dziecko z porażeniem mózgowym. Ale i tak cieszyli się. Dziecko to dziecko, powtarzali, nareszcie mają dla kogo żyć. Matka Władysława pomagała im na początku, potem zaniemogła. Przez wiele lat Leokadia opiekowała się nią i Gabrysiem sama, nigdy nie straciła ducha. Pochowali matkę, Leokadia miała teraz trochę więcej czasu, szyła więc i całkiem nieźle tym dorabiała. Dbała o męża i syna. Potem uczepliła się myśli, że wyleczy to dziecko. Zaczęła jeździć po lekarzach, wydawali majątek na bioenergoterapeutów, rehabilitantów, masażystów. Na próżno. Wtedy wpadła na pomysł z pielgrzymką. Uznała, że ich wiara jest na tyle silna, że mogą się doczekać cudu. Choćby małego, choćby nie do końca, ale jednak. Jak wtedy jego ojciec wizją nowego świata, tak teraz ona zaraziła go wizją zdrowego, w każdym razie zdrowszego, syna. Władysław miał nadzieję, że

wszystko może dobrze się skończyć. Leokadia nie pozwalała mu poddać się wątpieniu.

*

– Dręczy mnie poczucie beczasowości. Pewność, że istniejemy poza czasem, ze świadomością konieczności uczestnictwa w tej farsie. Jakby ktoś z nas zadrwił, ustanawiając czas pozorny. Tamten ja, którego przecież dawno nie ma, potrafi odżyć we mnie na nowo w jednej chwili, tak że jest nas dwóch, jednocześnie. I tego właśnie nie rozumiem.

– Ksiądz mówi do mnie?

Popatrzył na nią nieprzytomnie. Sonia przyglądała mu się badawczo. Szli wzdłuż torów kolejowych; rozwidlone po wielokroć, srebrzyły się jak pajęczne sieci. Po obu stronach krzewiły się gęsto sosnowe zagajniki. Wokół ani żywego ducha. Jakby wraz z milczącą grupą ludzi przeniósł się w nieistniejący świat.

– Waśnie, niezgoda, odwieczne przyczyny upadku – Jan podjął przerwany wątek. Czuł nieprzepartą potrzebę mówienia. Zagłuszenia tej świdrującej w uszach ciszy. – Prawda. Monopol na prawdę. Tymczasem chodzi o czystość intencji. I o szacunek dla człowieka. Jesteśmy tym samym, co inni, czy chcemy tego, czy nie. Nie możemy budzić w sobie nienawiści. Możemy krytykować drogę, którą wybrał przeciwnik, nie zgadzać się z nią, preferować własną. Ale należy zachować godność tego, kto od nas diametralnie się różni. Gdy czyni zło, zwalczać je, ale przecież rozum nasz nie potrafi poddać jedyne go słusznego rozwiązania. Wiesz, co powiedział Antoine de Saint-Exupéry? „Jeśli utwierdzimy w sercach ludzi szacunek dla człowieka, to w końcu zbudują system społeczny, polityczny czy ekonomiczny, który ten szacunek uświęci”. Wierzę, że od omyłki do omyłki, człowiek odnajdzie wreszcie tę właściwą drogę.

– Ksiądz naprawdę w to wierzy?

– Może to utopia... Ale piękna. Chciałbym w nią wierzyć.

– Ja mam wrażenie chocholego tańca. Drepczę w kółko. Miotam się. Sama ze sobą nie mogę się uporać.

Miała drobny krok, jej słowa dziwnie z tym korelowały.

– Powoli zbliżamy się jednak do celu... – zareplikował nieśmiało.

– Ksiądz mówi o prawdzie? Czym właściwie jest? Czy istnieje coś tak obiektywnego, jak czas?

– Znasz moje stanowisko w tej sprawie, Soniu.

– Znam stanowisko Kościoła: jedyną prawdą jest Bóg, dla którego czas nie istnieje.

– Początek, czyli nicość... Bo przecież zaczęło się od nicości... Czyżby tym była nieśmiertelność? Wiecznym powrotem do początku? Ale początkiem wszystkiego jest Bóg. Który nie jest nicością. Jak więc ta nasza wędrówka ma się do Boga? Nie widzisz tu kolejnej sprzeczności?

Przez chwilę ważyła w sobie odpowiedź.

– Tego nie wiem – usłyszał wreszcie. – Wszystko jest możliwe. Dopiero gdy dojdziemy, to się okaże, gdzie doszliśmy. Niczego nie da się przewidzieć. Chyba że Boga nie ma... Ksiądz ma wątpliwości?

– To mnie przeraża – przyznał się. – Ciebie nie? Taka wizja nieskończoności w skończoności. Przez całą drogę mam wrażenie, jakbym śnił. Wszystko dzieje się poza mną, poza tym, co chcę. Koniec tej pielgrzymki niewątpliwie będzie moim przebudzeniem. Tylko, co to za sen? Co oznacza? Kim będę po przebudzeniu?

– Też mam czasem wrażenie, że śnię. Że nic nie dzieje się naprawdę. Może dlatego, że ta droga jest taka halucynogenna. Te wszystkie stany i emocje, nad którymi trudno zapanować...

– Wszystko się miesza. Trudno uwierzyć, że czas istnieje. Ta pozaczasowość

jest wręcz uderzająca – przyznał.

– I odurzająca. Kręcimy się jak na karuzeli i zaczyna nam się od tego powoli kręcić w głowach. Jakie to poniżające, że nic nie zależy od naszej woli.

– Nie może zależeć. To warunek pokory.

Jan schylił głowę, tak nagle zamilkła, czuł, jakby ją uderzył. Chciał cofnąć to zdanie, ale wiedział, z okrutną pewnością, że było na to za późno. Ogarnęło go z tego powodu przemożne uczucie przykrości, którego już nie umiał przezwyciężyć.

*

Wystarczyło skrócić w prawo, a otworzył się widok na dom parafialny. Odetchnęli z ulgą. Wieczór był ciepły, lecz zmęczenie nie pozwalało iść dalej. Miejsce na nocleg odnaleźli w samą porę. Kościółek był nieduży, drewniany, stał nieco na uboczu wsi. Dom parafialny też był niewielki, ale miejscowy proboszcz odstąpił im nawet swój pokój, przenosząc się na tę noc do rodziny sołtysa.

Woda w bojlerze już czekała na nich, gorąca, a w lodówce – jajka, masło i mleko. Jadwiga ochoczo zabrała się do przyrządzenia dla wszystkich kolacji. Miała nocować z Bożenką, Kasia z Sonią, Wydra z Prokopem, a Maciek z Albinem. Tylko Budniokowie i ksiądz – oddzielnie. Jan przydzielił pokoje i wszyscy rozeszli się odpocząć przed kolacją.

Maciek zerknął z ukosa na Wydrę, ten leżał rozwalony na łóżku, w brudnych buciorach, i palił papierosa z oczami wbitymi w sufit. Maciek uchylił okno i wpatrzył się w niebo. Ciemniało już, połykając kolejno każdy szczegół okolicy. Wszystko zaczynało umykać oczom w tej coraz szczelniej opakowującej świat czerni. Jedyne, co zanotował, to chwiejąca się lampa na ganku, rzucająca ledwie krążek światła na strome schodki prowadzące do wejścia. Westchnął. Serce rwało mu się do wędrówki, przybył tu, przekonany, że łączy przyjemne z pożytecznym,

czyli wędrowanie i podziękę Bogu. Tymczasem rozłączano go co noc z Bożenką, a bez niej ta droga traciła dla niego sens, cały urok i smak. Czuł się zawiedziony i rozczarowany. Minęły dwa dni, a on nawet nie dotknął powyżej łokcia ręki swojej dziewczyny. Na domiar złego, popołudniowy widok prawie obnażonych piersi Kasi zrobił swoje. Jego lędźwie domagały się kobiety. Obecność Wydry wykluczała jednak jakąkolwiek możliwość pobycia z Bożenką sam na sam. Wypakował z plecaka świeżą koszulę, przybory do mycia i do golenia, rzucił to na swoje łóżko. Wydra ani drgnął. Jak dotąd nie zamienili ze sobą ani słowa. Wydra nie był rozmowny, za to bywał złośliwy. Maciek nie miał ochoty zakosztować jego słownych zaczepek i doświadczyć ich na sobie. Zajrzał do Bożenki. Była sama, Jadwiga smażyła właśnie w kuchni jajecznicę dla wszystkich. Objął Bożenkę łakomie i wtulił się w nią mocno. Chwilę trwali tak, nieporuszeni. Dotknął językiem płatków jej uszu, zaśmiała się, zadowolona.

– Zamkniemy się? – zaproponował szeptem.

– Coś ty – obruszyła się. – Ktoś może przyjść i co wtedy? – oblizwała spierzchnięte wargi.

– Nikt nie przyjdzie. Pani Jadwiga jest teraz bardzo zajęta – przekonywał, kołysząc ją lekko.

– Spóźnimy się na kolację – podała kolejny powód.

– Nie szkodzi, zaczekają. Tym lepiej, nikt nas nie będzie niepokoił – nalegał.

– Nie, nie tutaj – spłoszyła się.

– Wiesz co? – nozdrza mu drgały, nie mógł już mówić spokojnie. – Mam pomysł.

– Jaki? – spytała nieufnie, ale dała się pociągnąć za rękę.

Ostrożnie, rozglądając się na boki, przemknęła za Maćkiem korytarzem. Weszli cicho do łazienki. Zamknęli się na klucz i przez chwilę stali bez ruchu, dysząc. Posadził ją na wannie. Całowali się gwałtownie, nadrabiając cały zaległy czas bez

siebie. Miętosił pod bluzką jej piersi, potem przywarł do niej i poczuł bijące od niej gorąco. Właśnie zaczął rozpinąć jej spodnie, kiedy ktoś zapukał do drzwi, potem jeszcze raz, wyraźnie dziwiąc się brakiem reakcji. Otworzyła szeroko usta, jakby zamierzała odpowiedzieć, ale w tej samej chwili zakrył je ręką.

– Ciiii... – szepnął ostrzegawczo.

Przez chwilę trwali tak, w pogotowiu, czekając, aż pukający oddali się. Na próżno. Ktoś załomotał do drzwi, niecierpliwiąc się.

– Co, do diabła? – usłyszeli za drzwiami głos Albina. – Zatrząsk) się, czy co?

– Zajęte! – zawołał Maciek głośno w stronę drzwi.

– To czego nie gada od razu? – rozzłościł się Albin. – Szybko! Niedługo kolacja! Inni czekają!

– Tak, tak – odpowiedział Maciek pojednawczo.

Odczekali chwilę, aż Albin oddali się od drzwi. W końcu Maciek zaczął zapuszczać rękę w głąb, aż pod pośladki Bożenki.

– Nie, nie – zaczęła się nagle bronić.

Emocje opadły już z niej, a cała ta ryzykowna sytuacja ostudziła ją do reszty.

– Zaraz, zaraz – nie dawał za wygraną.

Był już tak blisko celu, że nie miał zamiaru zrezygnować. Odepchnęła go z całej siły.

– Co jest? – zdziwił się. – Nie chcesz?

– Nie... mogę... – wyjąkała, w jej oczach pojawiły się łzy.

– Dobrze już – wstał, pogłaskał ją po włosach, niezadowolony jednak z takiego obrotu sprawy. – Nie chcesz, to nie. Jakoś sam sobie poradzę.

– Prze... praszam – prawie łkała. – Nie umiem tak...

Znowu ktoś zapukał do drzwi.

– Jest tam kto? – usłyszeli głos Władysława.

– O Jezu – jęknęła Bożenka. – Jak my stąd teraz wyjdziemy?

– Nie bój nic – pocieszył ją szeptem. – Proszę przyjść za parę minut, będzie wolne – rzucił głośno Władysławowi stojącemu pod drzwiami.

Odczekali, aż kroki się oddalą i otworzyli ostrożnie drzwi. Wymknęli się szybko z łazienki, w tym samym czasie na korytarz wyszli Albin z Władysławem. Obaj zauważyli czmychającą ukradkiem parę.

– Tfu! – splunął głośno Albin. – Obraza boska! Że też tacy wstydu nie mają!

– Może chce pan pierwszy? – Władysław usunął mu się przed drzwiami łazienki.

– O, dziękuję – rozanielił się Albin. – My, stara gwardia, to nie to, co ci, ta cała hałastrą, panie, bez żadnej moralności!

I Albin skłoniwszy się Władysławowi, pomaszzerował do łazienki.

Władysław wrócił do pokoju. Leokadia była jeszcze w podomce, ale już szykowała się do wyjścia na kolację. Nuciała coś, szcztokując włosy. Władysławowi, mającemu jeszcze w oczach wymykających się z łazienki młodych, wyraźnie zafalował tył żony. Uwielbiał tęgie baby, szerokie, wygodne, jak tapczan. Nie miał pojęcia, co mężczyźni widzieli w małych, kościstych szczapach.

Rozsiadł się ciężko na krzesło. Znała ten gest. Odwróciła się ku niemu, z rękami uniesionymi jeszcze w górę, ku niesfornym włosom, zobaczyła jego wzrok, utkwiony w niej łapczywie.

– Och! – pisnęła tylko, gdy chwycił ją za szlafrok i przyciągnął do siebie.

Władysław nie zdradzał żony. Zaspokajała jego potrzeby, kiedy tylko chciał. Czasem jakaś tęższa baba podobała mu się, ale nie ryzykował. Bał się, że zrazi do siebie Leokadię, bał się też chorób i innych konsekwencji. Z żoną czuł się bezpiecznie i dobrze. Nie miał pojęcia, co znaczy miłość, wypełniał jednak swoje obowiązki z zadowoleniem i czuł się szczęśliwy. Niczego mu więcej nie było trzeba. Uważał chorobę Gabrysia za cenę, którą musiał płacić za to swoje szczęście. Żona go lubiła. Teraz też zwała się na niego ciężko, rozlała szeroko

pośladkami na boki. Podkasał poły jej szlafroka, zarzucił na plecy. Podtykała mu się chciwie. Mimo to denerwowała się.

– Zapomniała ja zawrzeć drzwi – wystękała z niepokojem. – Jezu, Jezusicku – zakwiliła przestraszona.

– Och ty – wyrwało się wreszcie z jej rozchybotanego wnętrza. Odetchnął.

W tym momencie spostrzegła, że zapomniała odwrócić Gabrysia twarzą do okna. Zlazła z męża zła.

– Widział to kto – ofuknęła go. – Tak przy dziecku.

Zwykle nie przejmowali się jego obecnością, ale pilnowali, by zawsze był zwrócony do okna. Nie mógł, według nich, rozumieć co się dzieje, ale zawsze to nieprzyzwoicie.

– Zapomnielim – rozwarła ręce z rezygnacją.

Władysław wolno zapinał spodnie, odprężony.

– To pamiętaj na przyszłość – przykazał łagodnie.

Wytarła się dokładnie ręcznikiem.

– Zara Albin wyjdzie z łazienki, to se pójdziesz umyć – pocieszył ją.

Z lubością poklepał ją po wylewającym się spod szlafroka brzuchu, cmoknął migający mu przed nosem łokieć.

Dzień trzeci

Noc przeszła spokojnie. Jan wymęczony marszem spał w czystej pościeli jak zabity. Sen pokrzepił go. Podczas wczorajszej wieczornej mszy po raz kolejny do sakramentu nie przystąpiła Sonia, a także Kasia i Wydra. „To już reguła” – pomyślał i zasępił się. Długo odprawiał dziś swoją poranną toaletę, nie spieszył się, chciał dać ludziom trochę luzu i należącego im odpoczynku. Myjąc się, przez chwilę zatrzymał wzrok na swoim odbiciu w lustrze. Nigdy dotąd nie przyglądał się sobie tak uważnie. Nie lubił tego. Jego własna twarz wydawała mu się pospolita. Nie miał pojęcia, co mogło się w niej podobać Alinie. „Widocznie podobała jej się moja inteligencja” – skwitował w duchu złośliwie i odczuł przykrą satysfakcję na myśl, że oto nie musi się już nikomu podobać i że może mu być wszystko jedno, jaką ma twarz. Jego powierzchowność przestała być dla niego źródłem zmartwień, dywagacji, a była już tylko nośnikiem przekazu. Tę chłopską gębę ujrzał więc przed sobą w całej jej oczywistości. Przedmiot drwin kolegów w zawodówce, nieraz przez nich solidnie rozkwaszana, teraz kwitła rumiano. Nie podobała mu się ta jej puciołowata rześkość. Już wolałby tamtą, wynędzniałą, z podbitym okiem, pogruchotanym nosem, z czasów szkolnych. Niestety. Minęły, wraz z ową, bardziej akceptowaną przez niego fizjonomią. Wytarł się starannie ręcznikiem i raz jeszcze przyjrzał się uważnie swojemu odbiciu. Drobne kropelki drżały jeszcze nad czołem, w krótko ostrzyżonych włosach. Po raz pierwszy od dwóch dni ogolił się. Pomyślał nawet, że nie jest tak źle z jego twarzą, skoro Sonia zaczęła się przed nim otwierać. To znaczyło, że jednak powoli zdobywał jej zaufanie. Nadal niepokoił go stan jej duszy. Uznał jednak, że dziewczyna ma zbyt czyste spojrzenie, zbyt jasne oczy na wielkie winy. „To nie jest typ ciężkiej grzesznicy – myślał intensywnie. – Więc co takiego powoduje jej bierność, wręcz obcość podczas mszy?”. Na duchu

podtrzymywała go jednak nadzieja, że wkrótce kolejna ich rozmowa zejdzie i na ten temat, sekret Soni zostanie wreszcie wyjaśniony. On sam postara się o to, aby wróciła na łono Kościoła i już z niego nie odeszła.

Właśnie zapinał koloratkę, gdy usłyszał łoskot w kuchni. To Jadwiga waliła łyżką w patelnię, zwołując wszystkich na kolejną, tym razem poranną jajecznicę. Na śniadanie zeszli w dobrych humorach, noc wzmocniła ich nadwątlone siły. Z ochotą degustowali efekty przygotowań Jadwigi.

Po śniadaniu zebrali się przed domem parafialnym. Było chłodno, wczesnojesiennie. Mżył drobny kapuśniaczek, ledwie rozpylony w powietrzu. Niebo pokrywały drobne, szare chmurki, przetykane gdzieniegdzie długimi, jakby lnianymi pasmami. Sad, grodzony drewnianymi sztachetami, ugiął się od jabłek. Spadały na ziemię, leżały gęsto w niekoszonej trawie, częściowo gnijąc. Wokół nich uwijały się gromadnie osy, obsiadały je, bzyząc. Trawa spalona od słońca teraz szarzała od wilgoci, kładła się już z wolna i nie podnosiła. Tu i ówdzie panoszyły się liliowe wrzosi, kępami rozsiadły po okolicy. Ich delikatna woń unosiła się w lekkiej bryzie wiatru.

Jan odetchnął głęboko mokrym powietrzem. Po dniach upału ochłodzenie kładło się balsamem na jego spocone czoło. Widział ostro i wyraźnie kilka żaglówek, płynęły rzeką w stronę jeziora, wolno, dostojnie, jak białe mewy. Serce zaskowyczało w nim na ten widok. Chciałby unieść się w powietrze, dopaść ich i razem sunąć, majestatycznie, ku bielejącemu na horyzoncie przeznaczeniu...

Budniokowie usadzili Gabrysia w wózku. Leokadia niezdarnie gramoliła się z ciężkim plecakiem, pochylona zawiązywała synowi rozwiązane sznurowadło.

Pies gonił wrony, ujadając wściekle, Prokop usiłował przywołać go do porządku, bez skutku. Jan, nie chcąc zaczynać dnia od spięcia, starał się nie zwracać na to uwagi. Wydra tylko krzywił się niemiłosiernie i kichał raz po raz, na lewo i prawo, aż w końcu Władysław nie wytrzymał i ofuknął go.

– Lepiej niech to bydlę przestanie tak kurzyć! – skwitował Wydra.

Kasia podała mu chusteczkę higieniczną, ale ostentacyjnie charknął pod płót. Wzruszyła ramionami i odeszła na bok.

Była jakaś osowiała. Sonia przyglądała jej się z niepokojem. Wczoraj, przez cały wieczór, nie zamieniły ze sobą ani słowa. Kasia po przyjściu do wspólnego pokoju na nocleg szybko umyła się i po prostu od razu walnęła do łóżka. Udawała, że śpi, leżała odwrócona głową do ściany. Sonia starała się nie zrażać jej arogancją. W nocy wydawało jej się, że słyszy płacz. Wstała, podeszła do łóżka Kasi, ale ta natychmiast znieruchomiała i ucichła. Sonia nie zdobyła się na to, by pogłaskać ją, czy też zapytać, czym się tak martwi. Sama bała się takiej rozmowy. Musiałaby znaleźć siły do wysłuchiwanie czyichś zwierzeń, a może nawet zostać zmuszoną do własnych, w ramach rewanzu. Dlatego także wycofała się w milczenie. Wróciła po ciemku do swojego łóżka i usiłowała zasnąć. Kasia nie chlipnęła więcej. Sonia więc w końcu usnęła. Rano obie unikały się wzrokiem. Gdy Sonia wstała, zastała Kasię kompletnie ubraną i na nogach, jakby ta wcale nie kładła się spać. Teraz też obie dziewczyny stały oddzielnie, jakby się nie znały.

Za to Maciek miał wczoraj większe przejścia niż one. Po powrocie z łazienki do pokoju dopadł go Albin. Nie powiedział wprost, co widział, tylko rzucał przytyk za przytykiem, co do moralności obecnej młodzieży. Maciek wiedząc, do czego Albin pije, milczał, obawiając się, że Albin doprowadzony do furii, odegra się publicznie, głównie na Bożence. Dlatego przez cały wieczór przygryzał wargi, klnąc w duchu, że przypadło mu dzielić pokój właśnie z Albinem.

Tymczasem Prokopowi udało się poskromić psa. Jan zamknął dom, schował klucz w klombie, zgodnie z zaleceniem proboszcza i nareszcie ruszyli. Nie uszli daleko. Bardziej niesforne niż pies, okazało się bowiem sznurowadło Gabrysia. Znów rozwiązane, wkręciło się w koło i wózek utknął, z wykręconą boleśnie nogą chłopca. Gabryś jęknął, Budniokowa rzuciła mu się na pomoc. Usiłowała wydobyć

zapętlone sznurowadło z koła, na próżno. Wydra zniecierpliwiony pochylił się nad wózkiem i po prostu ściągnął but z nogi chłopca.

– Jakże to! – rozgniewała się Budniokowa. – Bez buta, na deszcz? Taż mu noga zmoknie!

I znów zajęła się odkręcaniem zasupłanej szprychy.

– Idźże pani stąd, pókim dobry! – wrzasnął Wydra.

Aż podskoczyła ze strachu, wtedy wtrącił się Budniok.

– Grzeczniej, panie, do kobiety!

Wydra zły, przyklęknął, żeby samemu odblokować koło, szarpnął parę razy wózkiem. Wtedy przestraszony kiwaniem Gabrys zwymiotował mu śniadanie na grzbiet.

– Co jest, kurwa! – Wydra skoczył na równe nogi, ściągnął z obrzydzeniem koszulę.

– Zaraz, zaraz ... – przestraszona Budniokowa wydobyła jakąś gazetę i zaczęła nią ścierać resztki śniadania z ubrania Wydry.

– Mam dość! Tego waszego niedojdka! I tej całej eskapady! – wrzasnął Wydra.

Wyrwał z rąk Budniokowej swoją koszulę i wymachując nią, aby strzepać to, co jeszcze na niej pozostało, ruszył przed siebie, nawet się nie oglądnąwszy, nie mówiąc o jakimkolwiek pożegnaniu.

– Zara! Zara! – zawołał za nim Budniok. – A umowa? Kto tera będzie pchać?

– Sam se pchaj! – odwarknął Wydra, nawet nie odwróciwszy się w jego stronę. Po chwili maszerował już drogą w odwrotnym kierunku.

– Ja mam astmę! Zadyszem się na śmierć! – nie ustępował Budniok.

– Panie Wydra! – zawołał ksiądz. – Proszę wrócić!

Wydra nie odwracając się, pokazał księdzu gest Kozakiewicza.

– Jezu! Jezusicku! – Leokadia wpadła w lament. – Co my tera zrobim? Co zrobim?

- A nic – machnęła ręką Kasia. – Ja popcham.
- Jakże to? – zdziwił się Budniok. – Dasz to radę?
- A co by nie? – ucięła krótko.

Wysupłała zgrabnie sznurowadło Gabrysia z koła. Leokadia włożyła synowi but na nogę. Potem wytarła Gabrysiowi buzię serwetką.

– Dzięki. Miła z ciebie dziewczyna – mamrotała, nie mogąc uwierzyć w swoje szczęście.

– Ja żem chory, ale inne chłopcy tu są, to i pomogą! – mruknął Albin znacząco.

– Ja jestem po zawale – szybko poinformował Prokop.

– Inszego ja miał na myśli – teraz już głośniej wygderał Albin i spojrzał wymownie na Maćka. – Żeby kobiety musiały się mordować?

Maciek właśnie miał coś odpowiedzieć, ale Albin nie czekając na zgodę, czy też sądząc raczej, że usłyszy odmowę, uprzedził go i wydał z siebie ostry, długi świst.

– Iiiii – po czym stęknął. – Już ja wiem, czym on taki zmęczony! Ja go wczora w kilblu przyłapał! Mogę powiedzieć, co robił! Tylko, że wstyd mam i przy kobitach gadać nie będę! Bo nie sam był!

I podniósł palec do góry, pewien, że Władysław poprze go w oskarżeniu. Ale Władysław zaaferowany doprowadzeniem wózka do porządku, puścił to mimo uszu. Maciek poczerwieniał, a Bożenka odwróciła wzrok, co nie uszło uwagi księdza.

– Nie sam tam był! – grzmiał dalej Albin, mimo że nikt nie przyszedł mu w sukurs.

– Dałby pan spokój! – Maciek usiłował załagodzić sytuację, coraz bardziej niezręczną. – Sam pan nie wiesz, coś pan widział. To tylko pańska wyobraźnia szwankuje!

– Jeszcze mnie będzie obrażał! – dla Albina postawa Maćka była najlepszym

dowodem winy.

– Popcham, czemu nie. Jeśli Kasia zechce – zapewnił szybko Maciek.

– Ojej, ludzie! Dajcie spokój! – zniecierpliwiła się Kasia. – Chcę pomóc i tyle!

Wielkie rzeczy!

– O, tak, tak – poparła ją Jadwiga. – Czeka nas długa droga, a godziny mijają.

– Popcham i już – ucięła Kasia dobitnie i nikt się już nie odezwał słowem.

– Ja cię czasem zastąpię – zaoferowała się Jadwiga.

– Mówię, że nie trzeba – Kasia wzruszyła ramionami. – Zawsze chciałam się tym zajmować. – Zaśmiała się ni to kpiąco, ni z zadowoleniem.

– Zapłacim! – zapewniła ją Budniokowa.

– O, co to, to nie! – odzegnała się Kasia. – Pani chce mi zepsuć mój dobry uczynek!

– Nie, skądże by! – Budniokowa od razu się wycofała. – Będzie, dziecko, jak zechcesz. Bóg zapłaci!

Kasia znów się roześmiała, jakby trochę drwiąco i złośliwie, aż Budniokowa zamilkła, speszona. Wobec ugody Janowi nie pozostało nic innego, jak jeszcze raz zarządzić wymarsz. Ruszyli więc.

* * *

– Długo nie rozmawialiśmy.

– W porządku. Więc na czym skończyliśmy? A, tak. Wprowadziłam się do mieszkania Artura.

– Właśnie. Taki nagły zwrot akcji.

– Zbyt nagły, jak dla mnie. Choć wtedy jeszcze cieszyłam się. Wszystko nabrało innych perspektyw. Nowych konfiguracji, nieznanymi emocjami. To był zupełnie inny świat. Dla Artura równie trudny. Nie zdążyliśmy się przyzwyczać,

przywiązać do siebie. Przełękłam się tej mojej nowej szkoły życia. Odtąd musiałam dzielić to pomieszczenie, pełne znaczeń, z kimś, kogo właściwie nie znałam. A on musiał odstąpić mi połowę swojego miejsca. Jemu też nie było łatwo. Indywidualista, przyzwyczajony do życia według swoich wyobrażeń i potrzeb, stale nałykał się na symptomy mojej obecności. Przekładał wciąż z miejsca na miejsce moje rzeczy, jakby nie umiał się pogodzić z ich rozpanoszeniem się w jego domu, tak że szukanie każdego drobiazgu stało się dla mnie w końcu męczarnią. A on czuł się jak więzień. Może nawet odczuwał do mnie nienawiść, choć racjonalnie tłumaczył sobie bezsens swojego postępowania, starał się mi jej nie okazywać. Jego kurtka obok mojej nużyła jego i mnie. Jego szczoteczka do zębów w moim kubku doprowadzała nas oboje do wściekłości. Nieprzystawalność gustów. Niekompatybilność potrzeb. Coraz trudniejsza wzajemna akceptacja. Niechęć. To nas czekało na wstępie. Nie chcieliśmy nawet zastanawiać się, co będzie potem. Z moim życiem stało się tak, jak w przeczytanych przeze mnie powieściach, nie umiałam uwolnić się od dostrzegania dziwnych analogii, jakbym budowała je na ich wzór. Jakbym sama prowokowała rzeczywiste wydarzenia, w myśl tych nierzeczywistych, zagnieżdżonych w mojej wyobraźni. Jakbym straciła rozeznanie granicy ułudy. To było takie niebezpieczne i frustrujące. Życie codzienne z Arturem okazało się trudniejsze, niż sądziłam. Powoli stało się torturą. Każdy ma przecież swój własny sposób bycia, ubierania się, czesania czy kładzenia do łóżka. Rzeczy, niby takie same, nagle zaczynały się okazywać zupełnie inne, posiadały milion zauważalnych tylko z bliska szczegółów. Aż odczuwałam obcość w stosunku do nich, a poprzez nie do Artura. Wywoływały irytację. W końcu każde jego chrapnięcie, przewrócenie na drugi bok, pociągnięcie pod siebie kołdry czy choćby nocne wstawanie budziło mnie, nie pozwalając potem długo zasnąć. Wytrącanie ze snu stało się czymś nie do wytrzymania, byłam chronicznie niewyspana, to wpędzało mnie w złość. Jedynym możliwym ratunkiem była

przymusowa akceptacja. Nie było innego wyjścia. Albo zaakceptujemy drugą stronę, albo salwujemy się ucieczką. Dlatego starałam się znaleźć w pokoju Artura coś własnego, tylko dla siebie, dokąd mogłabym uciec z chwilą naruszenia mojej osobności, co przecież było nieuchronne w warunkach nieustannego przebywania razem. Wokół kanapy ustawiłam wysokie bluszcze, osłoniłam się nimi, otaczały mnie wokół. Zawiesiłam małe, białe światło ruchomej lampki tuż nad głową. To tutaj zagłębiałam się w lekturę książek, których Artur miał całe stosy. Ściany pokryte były półkami, uginającymi się od dzieł z dziedziny literatury, sztuki, filozofii. W tym zagraconym do granic absurdu pomieszczeniu oczekiwałam dziecka, otoczona książkami. Teraz pewnie powiem coś irracjonalnego, ale kiedyś w rozmowie ksiądz Jan wyznał mi podobne swoje odczucie. Otóż te ogromne ilości książek, które pochłaniałam wtedy, ale i wcześniej, wyzwalały we mnie dziwny sposób myślenia. Nie do końca mój własny. Jak gdybym odnajdywała w sobie nowe reakcje, nieznane mi stany psychiczne czy wręcz zachowania wyczytane w tych lekturach, i odruchowo wcielała je w życie... To jakaś skaza?... Niepokoiły mnie dziwne zbieżności, być może realizm tych czytanych przeze mnie opowieści był tak sugestywny, tak prawdziwy, że brałam go za rzeczywistość. To tylko taka dygresja, dotycząca początku naszej rozmowy, o subiektywności świata... Ale faktem jest, że jak w tych powieściach, i w życiu Artura również zaszedł podobnie zbieżny wypadek. Otóż Artur początkowo pracował z trudem. Miał dłuższą przerwę w pracy, związaną ze ślubem, ale był pewien, że ta przerwa podziała na niego mobilizująco i twórczo. Tymczasem jego nadzieje okazały się płonne. Nie komponował. Był rozproszony nowymi warunkami, w których przyszło mu teraz żyć i pracować, co okazało się nie do przewyciężenia. To przejście od pełnych napięcia dni do absolutnego zastoju zadało mu dotkliwy cios. Mijał się w drzwiach do kuchni lub do łazienki to ze mną, to z którymś ze studentów, i czułam, jak wzbiera w nim agresja i poczucie bezsilności. Dla niego była to sytuacja patowa, z

której nie umiał wybrnąć. A ja nie mogłam mu pomóc. Wciąż musiał się liczyć z obecnością przy sobie kogoś drugiego. Brak samotności stał się wręcz jego obsesją. W tym naszym niespodziewanym współzyciu było tyleż tragedii i grozy, co komizmu. Jednak nie było nam do śmiechu. A już z całą pewnością nie zamierzałam ułatwiać mu dowcipami dojścia do normalności, w sytuacji gdy groteskowy śmiech mógłby stać się przyczyną jego wybuchu. To napięcie, które domagało się bezwzględnego rozładowania, znalazło wreszcie swoje ujście. Pewnego dnia, gdy trwałam nieruchoma, zagłębiona w swojej lekturze, Artur przyzwyczajony już do tej sztucznej ciszy i do mojej ciągłej obecności usiadł do fortepianu... Słuchałam, jak gra, bojąc się nawet przekręcić na drugi bok, aby go nie spłoszyć. Nawet nie spojrzałam w jego stronę, aby nie wyczuł mojego uważnego wzroku.

– „Kiedy słucham, nie widzę i w ten sposób patrzę... ”Czy nie tak było?

– Właśnie tak.

I ku swemu zaskoczeniu, a mojemu radosnemu zdumieniu, w ciągu paru godzin ukończył całą partyturę, która przez ostatnie tygodnie leżała nietknięta. Nagle olśniony koncepcją tak teraz oczywistą, uchwycił ją i zrealizował w okamgnieniu. Ten powrót do dawnej formy uszczęśliwił go i zainicjował podejmowane na nowo, przez kolejne dni, próby kontynuowania pracy. Zakończyły się sukcesem. Ciszy, którą się otaczał, nie mąciła mu już wreszcie moja obecność. A nawet działała orzeźwiająco i twórczo, pozwalała na zachowanie jasności umysłu. W ten sposób, nie kochając się, zaakceptowaliśmy się na tyle, na ile to było możliwe. Zresztą, cóż wiedzieliśmy o miłości? Czy kocha się kogoś za powierzchowność? Może tylko w pierwszym momencie. Ale uczucie nasze nie odnosi się wtedy do niego, tylko do niezależnej, wyimaginowanej przez nas osoby. Prawdziwe poznanie, które odsłania prawdę o człowieku, często ukazuje różnice nie do pokonania. My tę wspólną rzeczywistość budowaliśmy mozolnie, dzień po dniu, godzina po godzinie. Bez

uczucia, za to w wielkim trudzie i z wielkim samozaparciem. Wydawało nam się nawet, że widzimy naszą przyszłość przed sobą, jasno i wyraźnie. Niestety okazało się poniewczasie, że to, co istniało naprawdę, ukryte było przed nami. Tylko przy Gerardzie udało mi się wyjść poza tę sztuczność, być naprawdę sobą. Miłość wyzwala prawdę. W szaleństwie namiętności nie ma mowy o grze, kombinacjach. Nie bałam się przy nim własnych słów. Płynęły prosto z mojego wnętrza. Były częścią mnie, mojego oddechu. I były poza mną, w spojrzeniach, dotyku. W moim życiu z Arturem od początku czaiło się coś nieszczerzego, niewypowiedzianego. Ale nikt przecież nie jest w stanie przeczuć niebezpieczeństwa. Pojawia się w najbardziej nieoczekiwanym momencie...

– Wiem coś o tym. Nawet bardziej niż ty. Może dlatego żyjesz.

– Chcę spać. Jestem taka zmęczona... Czasem wydaje mi się, że rozmawiam sama ze sobą... Zostaniesz tu?

– Przekimaj się. Nie ruszę się stąd. Nie bój nic. Nie mógłbym cię tak zostawić.

*

Maszerowali rażno. Jan, który obawiał się kłopotów ze strony Wydry, odczuł ulgę po jego zniknięciu. Jednocześnie patrzył z niepokojem, czy Kasia wytrzyma trudy pomocy, której się podjęła, gotów w każdej chwili zmienić ją przy Gabrysium. Ale odejście Wydry było też dla księdza przykrą niespodzianką. Po raz kolejny stwierdził, że wiadomości, które wtłoczono mu do głowy, nijak się mają do prawdziwego życia. Szczególnie tu, na trasie, wśród obcych sobie ludzi, z ich problemami i wzajemnymi konfliktami, do tego zdanych tylko na niego. On z kolei zdany był tylko na siebie, na własne siły i rozeznanie. Nie było mu lekko z tą świadomością. Przekonywał się teraz, jak bardzo brak mu było życiowego doświadczenia i praktyki psychologicznej. Pocieszał się, że stopniowo, z latami,

taką wiedzę zdobędzie. Nie tyle bolała go zresztą sama ostentacja odejścia Wydry, ile fakt, że ubyło kogoś z ich grona, bezpowrotnie.

Tak niewiele wiedział o tym człowieku, który przez dwa dni bardzo go niepokoił. Kim był, jak sobie radził wcześniej, dokąd teraz zmierza. Gdyby mógł zgłębić jego psychikę, jakże wiele by się dowiedział! Niestety, nieumiejętność złapania kontaktu z tak nieszablonową, a jednocześnie odpychającą osobą, blokowała księdza do tego stopnia, że wolał uniki niż jakkolwiek rozmowę z Wydrą wprost. Czy bał się publicznego ośmieszenia, gdyby próba jego porozumienia z Wydrą zakończyła się fiaskiem? Z pewnością. Ale zagrała tu też pewną rolę ambicja. Jan doszedł bowiem do wniosku, że Wydra mógłby odczuć jako zagrożenie próbę ingerencji w jego osobowość, a tym samym mieć satysfakcję, gdyby zainteresowanie się nim Jana odtrącił w sposób niegodny, obrażający stan duchowny. Dlatego Jan postanowił nie pchać się na siłę tam, gdzie go nie proszą, zostawiając ewentualne porozumienie się z Wydrą na czas bliżej nieokreślony. Myślał, że z pewnością znajdzie się ku temu jakaś okazja i ich rozmowa rozwinie się w sposób naturalny, tak jak z Sonią. Zapomniał jednocześnie, że on sam ponawiał przecież wielokrotnie próby przełamania oporów Soni, czego nie czynił zupełnie w stosunku do Wydry. Z pewnością nie uszło to uwagi młodzieńca, więc może czuł się zlekceważony postawą Jana? To zastanowiło księdza. Czyżby to właśnie mogło być przyczyną aroganckich prowokacji ze strony Wydry? Jan nie był do końca pewien. Ale miał też mnóstwo innych wątpliwości. Czy aby na pewno nie zmarnował szansy, jaką otrzymał od losu, żeby pomóc najwyraźniej zagubionemu Wydrze? Dobroć, przez dobroć – słyszał wielokrotnie podczas studiów. Jednak w zetknięciu, oko w oko, z tak trudnym przypadkiem, po prostu odpuścił sobie. Nie podjął wyzwania. Nie czuł się na siłach okazywać mu dobroci, bez narażenia się na ryzyko drwin. Teraz żałował, że zabrakło mu odwagi. Postanowił odszukać Wydrę po powrocie z pielgrzymki i

spróbować nawiązać z nim jakiś kontakt.

Tymczasem intrygowała go jeszcze jedna osoba w grupie, będąca źródłem konfliktów. Był nim Prokop. Przeciwwstawienie się Prokopa Albinowi miało coś z groteskowego heroizmu. Jakie były jego motywacje? Co doskwierało temu człowiekowi prócz tego, co obecnie doskwiera większości ludzi? Prokop nie był przecież złym, zaślepionym człowiekiem. Pozwolił świadomie wykorzystywać się kobiecie, którą kochał, i nie ma do niej żalu. Nie szuka swego. To zadziwiające i godne szacunku. Po raz kolejny Jan doszedł do wniosku, że człowiek to zbyt skomplikowana istota, by móc ją jednoznacznie ocenić. Pomyślał też, że w ciągu paru minut spowiedzi niełatwo mu będzie stwierdzić czyjąś winę i decydować o udzieleniu czy też odmówieniu rozgrzeszenia... Zasepił się przez moment. Potem postanowił spróbować zgłębić psychikę Prokopa i poznać jego motywacje, także te najbardziej osobiste, dotyczące jego poglądów i postępowania. Zrównał się z nim i przez chwilę przyglądał się jego zażyłości z psem.

– Trzeba kochać naszych braci mniejszych – uśmiechnął się do Prokopa. – Jesteśmy za nich odpowiedzialni. Sam Bóg oddał je nam w opiekę.

– Nigdy ja tak nie myślał – przyznał Prokop po chwili zażenowania. – Ale pewnie ksiądz ma rację. – Poklepał psa po pysku. Pies zaskomlał szczęśliwy, biegał w przód i w tył, podskakując jak szczeniak.

Szli ubitą, kamienistą drogą, z obu stron wysadzaną starymi, pokrzywionymi topolami, które roniły blade, żółtawe listki. Hen, szeroko, rozpościerały się pola uprawne, dawno już było po żniwach, ścierniska tylko pozostały tu i ówdzie nieprzeorane, na innych już zasiewano zboża ozime. Łany niezebranej kukurydzy zieleniły się wysoko gęstą, jednolitą ścianą. Pobocza drogi zarośnięte były trawą i krzewami, wśród nich bielą i różowiła się delikatną grafiką dzika róża, osypująca się powoli na ziemię, niczym śnieg. Teraz, w drobnym deszczu mokły jej ażurowe płatki, z rzadka lśniły na nich pojedyncze krople, jak łzy. Pies buszował pomiędzy

nimi, w poszukiwaniu polnych myszy, których obecność wyczuwał w drażniącym go zapachu. Mokre krople spadały mu na nos, kichał niemiłosiernie.

Róże przypomniały Janowi Alinę. Westchnął. Ale nie chciał teraz poddawać się sentymentom. Odwrócił wzrok od kwiatów i usiłował pomyśleć o czymś innym. Prokop obserwował go uważnie, jednak nie odważył się pierwszy podjąć rozmowy.

– Skąd pan pochodzi? – zagał go ksiądz.

Prokop spieszył się.

– A cóż ja... Co ze mnie za persona, żeby opowiadać... Nic ważnego...

– Każda historia jest ważna. Tak jak każde ludzkie życie... Nie ma ważniejszych i mniej ważnych. Są tylko mniej lub bardziej ciekawie opowiedziane.

– Chyba, że tak – zgodził się ostrożnie Prokop.

– Wspominał pan o ojcu... – Jan usiłował podpowiedzieć temat.

– Ojciec... – zamyślił się Prokop. – Robił przy ropie, przy wydobywaniu. Na szybie wiertniczym. Mieszkalimy w Iwanofrankowsku. Nie wiodło nam się źle. Do kościoła nie chodziliśmy, matka tylko czasem latała do popa, do cerkwi. Gdy wojna wybuchła, miał ja cztery lata. Nie za wiele ja pamiętam, tyle, że ojciec zaciągnął się do polskiego wojska. Chciał wyzwalać kraj od faszystów. Wolność, równość, braterstwo, o tym tylko gadał. Matka zabrała się ze mną do Polski. Z ojcem miałem się spotkać już na nowym. Pojechaliśmy do rodziny za Jarosławiem. Przez całą wojnę wyglądała listów od ojca. Przychodziły, ale z rzadka, po kilka słów i tyła. Nie wiedziała, co się z nim stało. Jedni gadali, że zginął pod Warszawą, inni, że dopiero jak doszedł do Berlina, ale kto tam wie, jak on zginął i gdzie jego grób. Przesłali tylko jakiś papier i odznakę. Młody ja był, nie miał szkół ani roboty, to i pojechał budować stolicę. Potem Nową Hutę. Potem przyjechał ja na Śląsk, ale bał się kopalni. Ciemności i dołów. Tom zaciągnął się do wojska. Jak ojciec. Szkołem skończył, kapralem został. Matce pieniądze co miesiąc ja posyłał. Aleć dopadł mnie zawał. I czort wziął robotę. I wsio. Nauczycielem żem został. Uczył ja

przysposobienia wojskowego w zawodówce. Z kabkaesu strzelać i musztry. Długom tak nie pociągnął. Serce słabło, korzonki wysiadły i tak ja tera na rencie. Matce się zmarło i samem został. Ale ten kraj, co ja budował i co w niego krew ojca mojego wsiąkła, zawszeć będę kochał. Jak ojca, co ją przelał – broda mu zadrzała. – Czym ja gorszy od innych Polak? Robił ja, com mógł, uczciwie żył. Nie kradł. Do partii należał, bo tak trza było. Ale czy oni mi co złego zrobili? Naukę dali, chałupę i robotę tyż, to co ja miał mieć przeciwko? Tylko zdrowie u mnie słabe, to i nieprzydatny jestem. Pretensji nijakiej nie mam. Kapitalizm zrobili, to i cóż, czasy takie, ja to rozumiem. Ale czemu rentę dali, że psa nie wykarmisz? Za to wydatki, to ho, ho, jakie tera są i ciągle podnoszą. I nie obchodzi ich, czym zapłacisz, człeku. Trawę se mogę żreć, jak kobyła, a nie zapłacę, to z domu wyrzucą i zdychaj se pod płotem. Raz ja poszedł po zasilek, jak brakło na leki, to powiedzieli, że nie dadzą, bo nie mają. Dają tylko na wielodzietność i alkoholizm. Dla innych brak. Na kuroniówkę tylko bloczki dali. Nie wstyd to? Kraj ja budował, a tera mówią, że nie kraj, tylko ustrój zbrodniczy. To mnie na przemiał dali. To jest ta sprawiedliwość?

Prokop mówił cicho, żalił się. Miał wielkie poczucie krzywdy.

„Słowa pociechy tu nie pomogą – pomyślał Jan z przykrością. – Jemu o godność chodzi”. Spojrzał ze smutkiem na Prokopa. Prokop dostrzegł jego wzrok i nie wyczytał w nim wyroku, jak się spodziewał, tylko współczucie. Odetchnął i rzucił psu patyk. Obaj patrzyli teraz, jak Azja goni za nim, szczęśliwy, szczekając jak oszalały. Ta ich wspólnota w milczeniu była lepsza niż jakakolwiek rozmowa.

– Ja wiem – zaczął niepewnie Prokop. – Przecież ja słyszał o torturach, że ludzi męczyli, spokoju nie dawali... – głos mu się załamał, ręce zaczęły trząść. – Ale co ja winien? Co ja z tym miał wspólnego? Przecie ja wierzył! W Polskę wierzył! Kraj budował!... Co ja mógł innego? Życ trza było. Po tej wojnie, tak straszno było... żyć się chciało. Tylko żyć. I spokój mieć. Czy to grzech? Ja wiem, księży zabijali,

w końcu się wydało. I tera co? Na moje sumienie rzucili... Już się żyć nie chce... Tak ja idę, na przebłaganie. Żem ślepy był. Żem wierzył... – łzy zalśniły mu w oczach. – Polska... Mój był kraj, a tera już jakby nie mój. Nie chce mnie. Nic, tylko sięść i w łeb sobie strzelić... Nie taką starość ja budował. Taką gorycz straszną nie przewidział. Widać ja za głupi na politykę. Mnie na uczucie wzięli. Taż ja serce mam. I na co mi było to serce? Krew tamtych rzucili na mnie. Ich krwią obarczyli, co mi tera kamieniem ciąży. Pewnikiem przez to ten zawał. Do kościoła ja chodzę, ale nijakiej pociechy ja nie znalazł. Życie zmarnował. Ale jak? Kiedy? Jakby zły sen się przyśnił. A przecie ja nie śpiewał *Suliko*, tylko *Warszawiankę*. I co z tego? Toż i to źle. No, to żale swoje na innych wylewam. Krzyczę ja na Władysława, na Albina. I na co? Oni swoją rację mają. Za Katyń, za Popiełuszkę. Za to, czego ja nawet i nie wiem... I jak tu tera żyć? Jak żyć, proszę księdza?

* * *

– Długo spałam?

– Niedługo, Soniu. Może wcale. Może tylko zamknęłaś oczy, nie wiem. W tej ciemności niczego nie widać. Upiorna noc.

– Zaczynasz się bać?

Wyczuł ironię w jej głosie. Zawahał się.

– Chyba zawsze się bałem. Tylko wstyd się było przyznać. Człowiek nawet przed sobą zgrywa chojraka. Nie ucieknie od tej parszywej zgrywy. Bo to go trzyma. Udaje siłę. Że panuje nad sobą i nad tym, co się z nim wyrabia. Taka gra pozorów. Totalny kit. Ale wtedy lepiej się czuje. Woli bujdzę niż tę całą koszmarną prawdę. Więc czepia się byle czego, żeby w tym bagnie nie utonąć. Dopiero gdy brzytwa, której się chwycił, przetnie mu łapę, widzi, że to blef. Wszystko pryska, puf, nie ma nic! Koniec. Taki jak twój na tym balkonie. Jak ja to dobrze znam...

– Dlatego tu jesteś? Bo podałeś mi tę brzytwę? Chciałeś popatrzeć, jak przecinam sobie palce? – jej ironia brzmiała złowrogo.

– Nigdy sobie tego nie daruję – przyznał z wysiłkiem.

– Ale może nie warto żałować? Może lepiej byłoby mi po tamtej stronie?

– Nie chrzań. Jeszcze nie wiesz, co cię czeka po tej. Więc odpuść sobie, zanim nie sprawdzisz, czy się nie pomyliłaś.

– A jeśli nie?

– Może uda ci się znaleźć coś, cokolwiek, z czego nie będziesz umiała ani chciała zrezygnować. Gdzieś jest odpowiedź.

Przez chwilę milczała.

– To nie będzie proste – przyznała wreszcie.

– Nic nie jest proste. To po tamtej stronie balkonu też nie. To pewniak, na mur.

– Skąd ty to możesz wiedzieć – zawahała się.

– Bo... stamtąd wróciłem... Prawie stamtąd. To było nie do zniesienia. Trzeba nie wiem czego, żeby to znieść. A gdy przychodzi otrzeźwienie, zrozumienie, jest za późno. Bo nie możesz wciągnąć powietrza. Tylko wierzgasz i wywalasz jęzor... Taki flesz. Czy rozbłysk. Jak przed zgaśnięciem zapalki. Kiedy chce się cofnąć i już się nie da. Choć się bardzo żałuje... Ty miałaś szczęście. Nie doszłaś do tego. Dlatego nie kapujesz, czego uniknęłaś.

– Tobie się udało? – nie uwierzyła.

– Zrobiono... to za mnie. Nie wiem jakim cudem.

– Chciałeś się zabić? Ty? – usłyszał niedowierzanie w jej głosie.

– Trudno w to uwierzyć, co? Taki cynik... Cynizm rzecz nabyta. Przy tym świetny lek. Naprawdę stawia na nogi. Jak niezły hasz. Życie nabiera lekkości. Byt przestaje być tak upierdliwie wredny. Luz blues i won, totalny tumiwizizm, ideały masz, pardon, w dupie. Spisz, jesz, wydalasz... Żadnych problemów egzystencjalnych. Dopóki nie wepchnąłem cię na ten balkon...

– Nie wpychałeś mnie.

– Dobry Boże, to żart? Czy żalosne miłosierdzie? Odpuść sobie.

– Wolałbyś, żebym wyklinała, napluła ci w twarz? Za co? To była moja decyzja. Nie miałaś z tym nic wspólnego – znów uciekła w szept.

– Nie? Jednak tak! I wolałbym, żebyś wrzeszczała! Co to, nie masz pięści? Nie umiesz dać mi po pysku? No to życie ci dało! Bo życie trza brać za pysk! Nie ma innej rady! Nie udawaj, że nie wiesz tego! A ty co? Tylko się podkładasz! Widzi mi się, że ta noc poszła na marne. Niczego cię nie nauczyła. Że trzeba będzie zacząć od początku.

– Trudno wyciągam wnioski? – zdenerwowała się.

– Trudno ci się uporać ze sobą. Masz większy zgryz, niż sądziłem – żałował, że w tej ciemności nie może zobaczyć wyrazu jej twarzy. – Może ta twoja gadka coś wyjaśni – podjął. – Więc na czym stańło?

– Na oczekiwaniu na przyjście dziecka. Był sierpień. Lato dojrzewało, nabrzmiewało, ja razem z nim. Pamiętam, jaskółki szykowały się już do odlotu. Ich młode opuściły gniazda. Kołowały ciemną chmurą, wysoko, wysoko. Patrzyłam za nimi, widziałam, jak zanoszą modły do słońca o szczęśliwy powrót za rok. Z dnia na dzień latały coraz wyżej i dłużej, coraz bardziej zapamiętałe. Czekala ich niewyobrazalna dla mnie podróż. Narastał w nich niepokój, nieustające pragnienie odlotu. Niecierpliwy ćwierk budził mnie co dzień wcześniej o świcie, niósł się ponad dachami. Odbijał echem to cichnącym, to znów nawracającym... Nieuchronnie zbliżał się ich termin. I nieuchronnie przybliżał się mój. Żegnałyśmy się wzrokiem. Patrzyły na mnie, nie rozumiejąc, czemu upieram się przy pozostaniu tutaj. Jakby wiedziały, że tu nie będzie mi dobrze. Odleciały. Pewnego dnia zrobiło się pusto i cicho. Paradoksalne, że w tej dzwoniącej w uszach ciszy kompletnie nie mogłam się skupić, wytrącała mnie z równowagi. Za to Artur pracował intensywnie. Przedtem ptaki rozpraszały go. Teraz, w ciszy, mógł żyć

tylko muzyką. Komponował dużo, całymi dniami. Zapominał o mojej obecności. O tym, na co czekamy. Ale niewątpliwie cieszył się. I dlatego tak dobrze i intensywnie pracował. Pęczniałam więc, wszystkie moje soki obróciły się na karmienie tej młodej rośliny, która rozrastała się we mnie. Czerpała ze mnie pełnymi garściami. Mimo to spokój, błogość. Radość. Umysł pod absolutną władzą hormonów, nastawiony wyłącznie na oczekiwanie, wyciszony skutecznie strach przed rozwiązaniem. I świadomość podwójności. Związek na śmierć i życie. Jedność w dwóch osobach. Jak miłość. Z całą pewnością miłość. Ale inna niż ta, potem, do Gerarda. Intuicyjna. Fizjologiczna. Niewytłumaczalna. Bo jak można kochać lub nie kochać, na przykład własnej głowy? Głowę się ma i już. Dziecko też było częścią mnie. Byłam podwójna, ale to nadal byłam ja. Macierzyństwo. Czekałam z niecierpliwością na ten niesamowity rozdział na dwa. Dopiero potem przekonałam się, że to, co potem czułam do Gerarda, też było w pewnym sensie takim uczuciem. On również stał się częścią mnie. Nierozzerwalną. Ale to było później. Znacznie później. Na razie miałam rozpaść się na pół, na mnie właściwą i na moje odbicie. Przez całe lato wypełniałam moją tajemną misję.

*

Od czasu do czasu grzmiało. Głuchy pomruk przelatywał przez niebo siniejące tuż nad horyzontem. Burza nie wróżyła nic dobrego, co Jan skonstatował z niepokojem, a już na pewno oznaczała przerwę w marszu. Na razie jednak tylko błyskało w czerniejącej dali. Nad nimi wciąż rozciągała się biało-szara wata chmur. Było parno. Chustka do nosa z czterema zawiązanymi supełkami, którą otulił czoło, była mokra od potu. Do tego wciąż nieprzyjemnie mżyło.

Za ścianą drzew co chwilę słyszało się przelatujące z hukiem pociągi, jak olbrzymie aeroplany. Pędziły, to w przód, to w tył, jakby pomyliły im się strony

świata i teraz goniły tam i z powrotem, bez tchu, zupełnie skołowane. Straciły orientację, dokąd tak naprawdę zmierzają.

Jan też chwilami miał wrażenie, że jak one, zagubił się w ziemskich kierunkach, że droga, którą kroczą, prowadzi ich dokądś, dokąd sama chce, w bliżej nieznanym celu, którego ujawnienia strzeże ktoś przed nimi zazdrośnie. Sprawdzał co chwilę na mapie, czy aby nie pobłądzili, ale mijające ich co chwilę pociągi wytrącały go na powrót z równowagi. Czuł, że nie panuje nad nerwami, a jego niepokój zaczyna udzielać się grupie. Dobrze wiedział, co mu dolega. Droga prowadziła prosto, pomyłka nie wchodziła w grę. Bity trakt pośrodku lasu wkrótce miał przejść w wygodną asfaltówkę. Dręczyła go obsesyjnie inna rzecz. Brakowało Wydry.

Nie potrafił tego logicznie wytłumaczyć, dlaczego Wydra wywoływał wokół siebie, gdzieś w powietrzu, niesłychane, irracjonalne napięcie. To wrażenie było jednak tak silne, że nie pozostawiało nikogo obojętnym. Przypominał naelektryzowaną bombę, która przyciągała, zanim wybuchła, niszcząc wszystko wokół. Magnetyzował nawet, gdy milczał. Jego milczenie było równie naładowane, jak ta siniejąca w oddali chmura. Miało się wrażenie, że za chwilę gruchnie czymś niespodziewanym, zdetonuje, jak grom z jasnego nieba. Niby tylko szedł, nie zwracając na nikogo uwagi. Jednak to do niego biegly wszystkie spojrzenia jak niewidzialne linki. Załamywały się nad Wydrą, spinały go z nimi, jak nitami. Drażnił ich, niepokoił. Ale to nieustające napięcie pobudzało umysły, nie pozwalało na zastój czy uśpienie. Teraz, gdy odszedł, odczuwało się nie ulgę, lecz dokuczliwy brak. Brak tej niesamowitej podniety, przy której zniknęło poczucie monotonii, nuda, przemożne znużenie. I Jan zdał sobie sprawę z tego, że takie apatyczne dreptanie, wciąż przed siebie, jest gorsze niż cokolwiek innego.

Szli, nie rozmawiając. Każdy zanurzony tylko i wyłącznie w patrzeniu pod nogi. Krok, następny krok i kolejny krok. Jakby popadli w szaleństwo zatracenia

się w tej jednej, wciąż maniakalnie powtarzanej czynności. Jakby ogarnęła ich psychoza, widoczna wyraźnie przez zbiorowo powtarzany tik. Lewa noga, prawa, lewa, prawa... Jan czuł, jak mimo mżawki zasycha mu w gardle. Od początku miał wrażenie, że nie panuje nad tą pielgrzymką. Teraz wydało mu się, że stało się coś znacznie poważniejszego, ona zapanowała nad nimi. Jak kataleptyczny marsz prowadziła prawie w hipnozę. Szli, jakby bez świadomości, że idą, że pokonują drogę, przemieszczając się w nieznanym kierunku. Jakby zawładnęła nimi niemoc, pozwalająca tylko na wyrzucanie zamiennie nóg do przodu, zbiorowa halucynacja. Otrząsnął się z trudem z przywidzenia. Przed nim widniały plecy Bożenki, opięte kolorowym skafandrem. Wyczuwszy na sobie jego wzrok, odwróciła się i uśmiechnęła, a wtedy odetchnął. Zaczekała chwilę na niego.

– Ksiądz chciał mnie o coś spytać?

Mżawka zamgliała nieco dołeczki w jej policzkach. Pomyślał z żalem, że na starość dołeczki te zamienią się w dwie obwisłe dziury, które pobrużdżą jej twarz aż do podbródka. Ciekawe, czy w oczach Bożenki zostanie przynajmniej ten blask, z którym teraz zwróciła się do niego.

Maciek zauważył, że zrównała się z księdzem. Zerknął na nią niespokojnie i też dorównał do nich. Szli teraz we trójkę, nie wiedząc, jak zacząć rozmowę. Nie byli dużo młodszy od księdza, a jednak Jan czuł się przy nich stary. Dużo starszy, sam nie przypuszczał, że tak boleśnie odczuje przepaść dzielącą go od nich. Usiłował naprędce dociec, z czego to wynika. Przecież nie z faktycznej różnicy wieku czy wykształcenia. Nie należeli też, jak on, do osób pochodzących z elity. Było zresztą regułą, że ludzie ze świecznika nie bywają raczej na pielgrzymkach. Skromna para studentów była mimo to odległa od niego o tysiące lat świetlnych z innego powodu, mianowicie takiego, że była parą. A on o byciu w związku nie wiedział nic. Szukali kamienia filozoficznego i oczekiwali, że on im w tym pomoże. Tylko tyle oczekiwali i aż tyle. Nie czuł się na siłach udzielać im jakichkolwiek rad.

Jakby niespodziewana różnica pokoleń zaczęła dotyczyć właśnie jego i ich. Obawiał się kompletnego braku porozumienia, różnic w pojmowaniu świata. Jakże miał przezwyciężyć ten opór, który wyczuwał w sobie i w nich? Na jak wielką natrafi przeszkodę w dojściu do porozumienia, w odnalezieniu wspólnego języka? Nie wiedział. Czuł się starym, zmęczonym człowiekiem.

– Wiem, o co chce ksiądz zapytać – zaczęła wreszcie Bożenka, aż Maciek spojrzał na nią karcąco.

Odpowiedziała mu zniecierpliwionym spojrzeniem. Szukała rady? Pociechy? Jan spróbował odnaleźć w sobie choć odrobinę sił, żeby stawić czoło jej pytaniu, które musiało paść.

– Interesuje księdza, co się wydarzyło wtedy, w łazience, o czym mówił pan Albin, prawda?

– Tak, tak – wyjąkał.

A więc to ją dręczyło. Zupełnie zapomniał o tej sprawie. Dziwne, że sama mu o tym przypomniała. Był pewien, że będzie wolała uniknąć tego tematu. Czyli że znów się pomylił, źle ocenił sytuację. Ile razy jeszcze? Deprymowała go własna ignorancja.

– Nic się tam nie działo – wtrącił szybko Maciek. – Nic a nic. To tylko domysły pana Albina.

– Doprawdy? – nie uwierzył Jan. Wolał pozostać sceptycznym. Ostatecznie byli tam, w tej łazience sami.

– Co tam robiliśmy? – spytała na głos Bożenka i zająknęła się.

– Więc co? – zapytał Jan i poczuł się źle z tym pytaniem. On też wolałby nie usłyszeć na nie odpowiedzi.

– Ja... to znaczy my... – próbował jakoś wybrnąć Maciek. – Faktycznie, zamierzaliśmy... Ale pan Albin zapukał... więc wyszliśmy. To wszystko.

– A gdyby nie zapukał? – Jan drażył nie ich. Siebie. I czuł, jak pot ścieka mu z

czoła na policzki. Ogarnął go niesmak. I żał do nich, że musi roztrząsać podobne sprawy na pielgrzymce. Wyczuli to. Patrzyli w bok, milczeli. Jan nie spieszył ich. Wiedział, na co czekali. Teraz będzie musiał odnieść się do tego, co zaszło. Oni bali się, a on zbierał myśli.

– Kochamy się – zdenerwował się w końcu Maciek. – To chyba wolno? Nikogo nie krzywdzę – Maciek po chwili odzyskał pewność siebie.

– Też tak uważasz? – Jan zwrócił się do Bożenki.

– No... – zająknęła się znowu, nie wiedząc co odpowiedzieć. Zaczerwieniła się, umilkła. Umilkł też Maciek.

– Przecież to absurd! Jeżeli dwie osoby się kochają... Zgoda, tu nie było odpowiednich warunków, nie powinienem zmuszać... Popełniłem błąd. Ale w innej sytuacji, za obopólną zgodą, to też łamanie zasad?

– Miłość to suma poświęceń. Ile możesz poświęcić dla Bożenki?

– Ksiądz wie, o czym mówię. Zakazy tego nie zmieniają.

– Też tak uważasz? – Jan zwrócił się do Bożenki. Odpowiedziała mu spłoszonym spojrzeniem.

– Ludzie powinni poznać się przed ślubem – wybąkała. – To w końcu decyzja na całe życie. Poznać, znaczy do końca – dodała, tym razem nieco odważniej. Wzięła Maćka za rękę.

– Uważasz, że to w porządku? – naciskał Jan. – Że to nie nazbyt łatwe, tak godzić się na wszystko?

– Trzeba ufać. Ja ufam Maćkowi. Przecież mówił ksiądz o zaufaniu. O wierze, o wierności. Wtedy nie powinno się nic złego wydarzyć.

– A kłamstwo? Czegoś takiego nie bierzesz pod uwagę?

– No nie! – obruszył się Maciek. – Za kogo ksiądz mnie ma?

– Nie mówię o kłamstwie świadomym. Tylko o tym, że często fascynacja potem nie okazuje się miłością. Co wtedy? Przecież mówiło się kocham,

zapewniało, przysięgało. Dopóki nie ma się pewności, nie ma mowy o miłości.

– A cóż to jest pewność? Jak się ją rozpoznaje? – Maciek był zdenerwowany. – Ksiądz myśli, że ślub załatwia sprawę miłości? Że jak się powie tak, to oznacza automatycznie miłość po grób? To skąd rozwody? Separacje? Ksiądz sam mówił o pomyłce. Nigdy się nie wie, co dalej. Czy za błąd ma się płacić do końca życia?

– Nie mnie o tym rozstrzygać – Jan przybrał surowy ton, jak zwykle, gdy zaczynało mu brakować pewności siebie.

– O tak – przytaknął Maciek gorzko. – Ale ja wolałbym pogadać z człowiekiem, nie księdzem.

Jana ogarnął niepokój. Tak, Chrystus był nie tylko Bogiem, był także, a może przede wszystkim – człowiekiem. Ale co to miałyby oznaczać w praktyce, dla Kościoła? Nie wiedział. Czuł, że się zabłąkał. I czuł też, że Bożenka pójdzie za Maćkiem, na każdych warunkach, bo go kocha, choć boi się, dokąd ją to zaprowadzi. Być może dołączy kiedyś do grona samotnych kobiet, które będą oddychać z ulgą, że są same, bo tak fatalne miały doświadczenia.

Trzymając się za ręce, młodzi oddalili się od Jana. Zaledwie o parę kroków w bok. Jednak odczuł to jako porażkę. Zakończyli zbyt nagle rozmowę. Szli teraz osobno, nie z grupą, jak dwa cienie. A on nie śmiał mącić ich zamyślenia. Jemu też było ciężko. Dobrze wiedział, że przegrał tę batalię i cały czas zastanawiał się, czym zraził ich do siebie. Czy dlatego, że nawet nie usiłował spojrzeć na problem ich oczami? Ale przecież jemu tak nie wolno. Szkoda, że ich do tego nie przekonał. Zdjął z czoła chusteczkę i starannie wytarł twarz. Nie odczuł ani cienia ulgi i doprawdy na duszy czuł podobny ciężar. Miłość... Dla niego – coś zupełnie abstrakcyjnego. Czy to właśnie w nim wyczuli? Całkowitą jej nieznajomość? Dlatego uciekli w ten swój, nieznaną mu świat? Mieli mu za złe, że nie usiłuje ich zrozumieć? Może chcieli, by ich pożałował? Niełatwo było mu im współczuć. Jednocześnie czuł, że dotknął zaledwie czubka góry lodowej problemu, że gdzieś

tam, na dnie tej jednej sprawy ukrywa się wielki lodowiec ludzkich dramatów, z którymi on zupełnie nie ma pojęcia, jak się upora i co odpowie wielu innym, którzy kiedyś przyjdą z tym do niego.

* * *

– Nagle zrobiło się cicho. Trudno było uwierzyć, że może istnieć aż taka cisza. Za zaparowaną szybą słyszałam regularny szum spadających kropeł. Padał deszcz. Gęsty, równomiernie szary. Po szybie spływały pojedynczo, ciągnąc za sobą długie, przezroczyste smugi. Na starym, przerdzewiałym parapecie tworzyły się nieregularne kałuże; uderzające w nie krople wysuwały wachlarzowato w górę rząd ruchliwych czulek, na kształt korony. Przypominały tańczące ślimaki, odprawiające swe odwieczne gody. Cisza dzwoniła w uszach. Usypiała. Morzył mnie nieprzeparty sen. Z lodem na brzuchu zapadałam powoli w niepamięć. Osuwałam w nieznane sobie rejony hibernacji. Miałam wrażenie, że gasnę, jak coraz bledszy, coraz chłodniejszy promień. Ciało miałam zziębnięte i skostniałe. Nie czułam bólu, tylko to przenikliwe zimno. Zanim zasnęłam, zdawało mi się, że deszcz przestał padać. Nic nie mąciło kamiennej ciszy, która mnie ogarnęła. Nie wiem, jak długo spałam. Parę minut, tydzień, może całe wieki...

Obudził mnie paniczny lęk, że to nie koniec, że najgorsze dopiero się zacznie... Zimny pot wystąpił mi na czoło. Drżałam, coraz mocniej. Ze strachu przed kolejnymi, niepowstrzymanymi falami bólu. Potem dostałam konwulsji, chyba zsiniałam, bo podbiegła do mnie pielęgniarka.

– Co pani jest? Pani Soniu! Słyszysz mnie pani?

Nachyliła się nade mną. Zawołała lekarza, zrobili mi jakiś zastrzyk i znowu mogłam spać.

Kiedy się ocknęłam, leżałam na sali, Artur siedział obok.

– No? – zapytał niespokojnie, dostrzegłszy mój wzrok. – Jak się czujesz? Aleś nam napędziła strachu...

– Co... się stało? – zapytałam z trudem.

– Och, już nic – zbagatelizował moje pytanie. – Miałś krwotok. Odpoczywaj.

– Co z dzieckiem? – koniecznie chciałam to wiedzieć.

– Już w porządku. Leży w inkubatorze – wyczułam rezerwę w jego głosie.

– Chłopczyk? – spytałam z nadzieją.

– Dziewczynka.

Nie powiedział tego z niechęcią. W gruncie rzeczy było mu obojętne, co urodzę. Nie dał się ponieść ambicjom rodziców. Odetchnęłam z ulgą. Teraz naprawdę mogłam odpocząć, bez obaw. Artur spojrzał na mnie niespokojnie.

– Nic ci nie jest? – był wyraźnie zdenerwowany.

– Nie – uspokoiłam go. – Chcę spać.

– Spij, śpij – zgodził się skwapliwie. – Posiedzę tu trochę.

– Nie trzeba – głos miałam słaby, jak przydeptana mysz. – Idź do domu. Też musisz odpocząć. I pilnuj dziecka.

– Jasne – rozpromienił się natychmiast. Myśl, że może nareszcie opuścić to miejsce, wywołało w nim uczucie wdzięczności. – Wpadnę później – obiecał. – Przyniosę ci jakieś owoce.

„Później? – pomyślałam. – To znaczy kiedy?”. Wszędzie paliły się neonowe światła. Nie miałam pojęcia, jaka jest właśnie pora dnia, ranek czy może wieczór? Jaki dzień tygodnia? Zupełnie nie mogłam umiejscowić się w czasie. Jakby przestał istnieć, a ja leżałam bezwładna, przytroczona gdzieś pomiędzy jakimś przedtem a nieokreślonym później.

– To cześć! – Artur ucałował mnie w policzek i już go nie było.

Grzmiało coraz mocniej, mimo to nie przerywali marszu. Skręcili między rzadkie zabudowania, aby w razie ulewy móc znaleźć schronienie. Kasia pchała wózek Gabrysia niezmordowanie, choć wyglądała na zmęczoną. Jednak nie pozwalała sobie pomóc. Leokadia obserwowała dziewczynę z niepokojem, ale nie zamierzała wymuszać na niej zgody na pomoc, aby nie zrazić jej do siebie. Jadwiga zauważyła obawę na twarzy Budniokowej, podeszła więc, uśmiechając się życzliwie. Jan zwrócił uwagę na obie, rozmawiające ze sobą z ożywieniem kobiety. Dotychczas raczej omijały się, teraz jak gdyby nigdy nic przeszły do omawiania zalet i niedogodności rozwiązywania krzyżówek. To go ucieszyło. Zerknął w stronę idących w milczeniu Maćka i Bożenki. Tak bardzo chciałby poznać ich historie, zbliżyć się bardziej do ich życia, podjąć raz jeszcze dręczące ich problemy. Maciek wyczuł wzrok księdza, chyba zrozumiał go opacznie – jako naganę, bo podszedł do Kasi, aby zmienić ją przy Gabrysiu. Odpowiedziała coś z niechęcią, pogardliwie wydymając wargi. Maciek odszedł, nie ponawiając swojej propozycji. Leokadia z Jadwigą widziały to, ale starały się nie interweniować, udając, że nie zauważyły zdarzenia.

Maciek wrócił do Bożenki. Wsunęła mu w dłoń swoją rękę, miękką, prawie pulchną i gorącą, miała takie kocie łapki, jak u małego dziecka. Czasem go to rozczulało, częściej irytowało. Wolałby suche, chłodne dłonie dojrzałej dziewczyny, właściwie kobiety, o długich, smukłych palcach, jakie zauważył u Soni. Kasię też chętnie wziąłby za rękę. Musiała mieć twarde, mocny uścisk. Była trochę męska w zachowaniu, ale to go bardziej pociągało niż zbyt kobiecość Bożenki, nad którą zupełnie nie panowała. Bożenka była nazbyt czuła, łatwo się roztkliwiała. Przy byle spięciu uderzała w płacz, co jak szybko się zorientowała, było doskonałą bronią na Maćka, gdyż wywoływało u niego poczucie winy i powodowało całkowity odpływ woli. Maciek w obliczu jej łez stawał się bezradny,

tracił kompletnie zdecydowanie. Nie potrafił postawić na swoim, ustępował, a nawet przeproszał, choć często czuł w duszy bezsilną wściekłość i bezsens swoich wymuszonych w ten sposób kompromisów. To go zniechęcało do niej, prowokowało chęć obejścia konfliktów mniej dyplomatyczną drogą, stosował więc uniki, co wzmagало tylko jego oschłość i wyzwałało początki obcości. Wolałby ostrą walkę wręcz z Kasią niż takie męczące podchody. No i niewyparzony język Kasi zamiast hysterii Bożenki. Wiedziałyby, na czym stoi, wszystko byłoby jasne, łatwo byłoby ustalić stanowiska, zasady i trzymać się tego. Może i szłoby czasem na noże, ale przynajmniej zwyciężyłby silniejszy, o mocniejszych argumentach. Przy Bożence traciły sens wszystkie ustalenia, pryskały zasady, gdyż nie trzymała się ich. Jeżeli czegoś chciała, przeforsowywała łzami. W dodatku nigdy nie mówiła szczerze, czego naprawdę chce, co myśli. Przekonywał się o tym dopiero, gdy z oczu jej tryskały, ku jego niepomiernemu zaskoczeniu, fontanny łez, a on, przyciśnięty do muru, czynił znowu coś wbrew sobie. Nie to, żeby jej nie kochał, ale równocześnie bał się jej. To nie był związek równoprawnych partnerów, Bożenka tylko z pozoru słaba i mu poddana, potrafiła nim manipulować. A on bał się takich kombinacji. Był prosty, prostoduszny, co w sercu, to na języku. Gry Bożenki męczyły go i pozbawiały poczucia pewności siebie. Bał się takich kobiet, które miały zbyt duży wpływ na mężczyzn. Przypominała jego matkę. Omotany nią ojciec długo nie mógł uwierzyć, że go porzuciła. Wyjechała do Stanów tylko na kilka miesięcy, do znajomych, aby zarobić. Została na wiele lat. Stale zapewniała, że wróci albo ściągnie ich do siebie. Nie wróciła, nie ściągnęła. Porzuciła ich obu. Ojciec nigdy nie przyjął do wiadomości, że mogła być do tego zdolna. Tłumaczył ją przed Maćkiem, przed rodziną, znajomymi, choć pukano się w czoło i opowiadano z litości o jej romansach, żeby dał sobie wybić ją z głowy. Wybijał sobie więc. Przez ich dom przewijały się kolejne kobiety. Ojciec, z początku niezły budowlaniec, dobrze na fuchach zarabiający, stopniowo popadał w nieróbstwo.

Matka przysyłała co jakiś czas pieniądze, przyzwyczaił się więc do łatwych rozrywek. Żadna z tych kobiet nie zagrzała u nich długo miejsca. Ojciec panicznie bał się nowego związku. Tym bardziej, że były gotowe na wszystko, byle złapać męża. Maciek obserwował z obrzydzeniem, jak prawie włożyły ojcu do łóżka. Nie obchodziły go te wszystkie kobiety, żadnej nie zaakceptował. Tak jak przestał akceptować matkę, którą znał już tylko z fotografii i rzadkich telefonów. Dorastał szybko, przy czynnej pomocy ojca. Mieli tylko jeden pokój, ale ojciec nocami nie krępował się jego obecnością. Najwyraźniej nie przeszkadzało mu, że chłopak wszystko widzi i słyszy. W ten sposób relacje damsko-męskie Maciek poznał wcześniej i to od jak najgorszej strony. Przysiągł sobie, że nigdy się nie ożeni, czuł wstręt do fizjologii, która dla niego miała tylko jeden wymiar. Do chwili gdy zauważył dołeczki w policzkach Bożenki. Spozstrzegł ją na egzaminach wstępnych na uczelnię. Była taka świeża, okrągła jak bułeczka. Bał się podejść do niej. Nie potrafił oprzeć się przeświadczeniu, że jakakolwiek propozycja z jego strony co do spotkania się byłaby zwykłą profanacją, gdyż zostałaby zrozumiana opacznie. Jakież było jego zdumienie, kiedy zgodziła się na spotkanie szybko i chętnie, a jeszcze bardziej, gdy na drugiej randce poszła z nim do łóżka i wcale nie okazała się dziewicą. Czuł się oszukany. Był wściekły, a ona nie wiedziała dlaczego. Rozplakała się i wtedy zrozumiał, że wpadł. Nie potrafił się z nią rozstać, a jednocześnie czuł do niej i do siebie niepohamowaną pogardę. Do niej, że okazała się taka jak inne, łatwa. Do siebie, że nie znalazł w sobie dość sił, aby się z tego wycofać. Jednocześnie czuł, że była dobrą dziewczyną, tylko zagubioną. Mimo to jej umiejętność wywoływania szloch na zawołanie przerażała go. Obawiał się, że przeżyje z tą kobietą życie, cały czas nie będąc zdolny do ucieczki i przeklinając własną słabość. Poznał babkę Bożenki. Była bardzo stara. Jej córka wraz mężem, to znaczy rodzice Bożenki, zginęli w wypadku. Zostawili wnuczkę, którą sama z wielkim trudem wychowała. Bożenka bardzo przeżyła ich śmierć. Miała wtedy

pięć lat, mimo to nigdy nie otrząsnęła się z tej straty. Surowa babka nie umiała nawiązać z nią szczerych, dobrych relacji. Dziewczynka zresztą nie ułatwiała jej tego. Rosła zamknięta w sobie, tylko z pozoru komunikatywna i wesoła, w rzeczywistości zaś zakompleksiona, umiejąca rozwiązywać problemy z babką wyłącznie za pomocą tupania nogami i łzami, które okazały się najskuteczniejszą bronią. Działały na babkę jak straszak, w ten sposób wiele rzeczy uchodziło Bożence płazem. Przede wszystkim to, że zbyt wcześnie zaczęła szukać wsparcia i otuchy poza domem. Samotna, rzucała się w nieprzemysłane, przypadkowe znajomości. W wieku dziewiętnastu lat miała za sobą kilku partnerów. Były to związki krótkotrwałe, kończyły się zawsze tak samo, niefortunnie, rozczarowaniem.

Maciek był pierwszym, z którym znajomość utrzymała się i przedłużyła do dwóch miesięcy. Była szansa na dłużej, może nawet na ślub; małżeństwo było dla Bożenki najważniejszym celem w życiu. Idealizowała związek swoich rodziców oraz ich miłość po grób. Oczekiwała od mężczyzny tego samego, spełnienia marzeń o dożywotnim szczęściu. Maciek miał to zrealizować. Tymczasem on za często patrzył na Kasię, a oczy zwężyły mu się przy tym niebezpiecznie w dwie szparki. To budziło w Bożence najgorsze obawy. Jak również ten ksiądz, który tak złą potraktował. Jakby nie miała żadnej godności i przez fakt oddania się Maćkowi straciła prawo do szacunku. Bolało ją to, a Kasia niepokoiła. Bożenka najchętniej wycofałaby się z tej wędrówki. Należało tylko przekonać do tego Maćka.

* * *

– Co było dalej?

– Dalej, dalej!... Co to w końcu ciebie obchodzi? Mam dość grzebania się we

własnych ekskrementach!

– Nie pleć, Soniu! No, wal dalej – wyciągnął ręce, chcąc rozprostować kości.

– Nie dotykaj mnie! Mam tego dość, rozumiesz? – przestraszyła się.

– Wsio ponimaju! Nawet nie wiesz, jak bardzo!

– Cholerny cynik!

Dlaczego się kłócili? Nie miał pojęcia. Jak i tego, czy to dobrze wróżyło czy źle.

– Nie udawaj odkrywcy. Sam o tym mówiłem – próbował załagodzić. – Tak, jestem pieprzonym cynikiem. A raczej byłem. Do teraz. Nic gorszego nie mogło mi się przytrafić, jak spotkanie z tobą. Szlag trafił ironię, żarciki obmierzły, nawet cynizm obrzydł.

– A to coś nowego! Więc po to ci prochy? Nietrudno zgadnąć, co chowasz po kieszeniach. No, walnij sobie w żyłę czy zażyj, co tam masz, zrób sobie świetlany odjazd! Po co ci seans z niedoszłą samobójczynią? Mało ci własnych problemów? – walnęła ręką o poręcz, aż zazgrzytało.

– Chciałabyś, co? Żebym spasował, żebym dał ci pretekst do skończenia ze sobą? Niedoczekanie. Raczej dam tobie w żyłę, żebyś się wyluzowała. Tobie nirwana bardziej się przyda niż mnie.

– Chcę być sama! Wynoś się! Bo zacznę krzyczeć!

– Cały czas wrzeszczysz! Co się właściwie stało? Spałaś i nagle podniosłaś takie larum! Nerwy ci wysiadły?

– Nie będę ci się zwierzać! Wynocha!

– Jasne! Już lecę. Tylko że jak znowu poleziesz na balkon, to mnie może nie być! Przyznaj, że tylko ten balkon ci w głowie, może nie?

– Nie twój interes!

– No, no! Już dobrze... Nie płacz. O Jezu, czemu tak ryczysz? Kompletnie się rozkleiłaś...

– Oooo... ooooo... Boże!

Przestraszył się. Nagle pomyślał, że sobie nie poradzi.

– Coś ci się przyśniło? Przypomniało? Soniu!

– Oooo...

– Nie jęcz tak. Gęsia skórka mi od tego wychodzi...

– Oj...

– W porządziu. Chcesz być sama, już mnie nie ma. Tylko nie rób głupstw.

Wstał.

– O...

– Mam iść?

– N... nnie...

– Słuchaj, ja wszystko kapuję. Chlip sobie. Wylej tę całą wodę, co się w tobie nazbierała i teraz cię topi. Nie miałem pojęcia, że ktoś mógł bardziej cię skrzywdzić niż ja. Nie Artur, nie kochałaś go przecież. Więc Gerard, tak? Czy się mylę?

– Nie.

Podszedł wolno do okna. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo ścierpły mu nogi.

– Gadamy trzy godziny, a jakby minęły trzy dni. Niedługo zaczniesz świtać... – wskazał na okno.

– Światło... To tylko widma. Tych gwiazd nie ma! Śmiechu warte!

Prawie słyszał, jak drży.

– Nadal go Kocham. Nie potrafię przestać. Nie potrafię żyć ani z nim ani bez niego. Dlaczego nie dasz mi umrzeć?

– Bo nie jest tego wart.

– Upokorzył mnie...

– Nie. Nikt nie może nikomu odebrać godności. Nawet kogoś najbardziej upodlając, upadła się tylko samego siebie. Im szybciej to zrozumiesz, tym łatwiej

będzie ci wyjść z tego szamba.

– Wydawało mi się, że miłość jest darem. Niezwykłym. Cennym. I rzadkim. Który należy chronić za wszelką cenę.

– Nigdy za wszelką cenę, Soniu. Przekonałaś się o tym na własnej skórze.

*

Burza rozpętała się zniecka. W ciągu jednej chwili niebo zsiniało. Oparło się prawie o ich głowy, wypluwając z siebie raz po raz chichot i rozpalone wnętrzości. Przerażeni zbili się w gromadkę pod rozłożystym jaworem. Jan przytomnie przepędził ich z niebezpiecznego miejsca. Biegli szosą, na szczęście prawdziwe oberwanie chmury zaczęło się dopiero, gdy zziajani wpadli na stację CPN. Nie byli jedynymi, którzy mieli zamiar tutaj przeczekać nawałnicę.

Prym wiodła gorąca kawa i rogaliki z lukrem. Siedzieli przy stolikach, zapatrzeni w wodospad płynący gęsto za oknami i rozświetlające ciemności kręte zygzaki ognia. Huk piorunów odbijał się od okolicznych domostw. Czuli się jak na strzelnicy Pana Boga, wystawieni do ostrzału. Cierpła im skóra. Albin pobiegł do pracownika CPN-u upewnić się, czy aby na pewno budynek jest zabezpieczony przez piorunochron. Uspokajające odpowiedzi nie zadowalały go, pytał po raz kolejny, najchętniej sam sprawdziłby, gdyby nie to, że bał się wyjść na zewnątrz. Zanosilo się na dłuższy przymusowy odpoczynek. Większość oczekujących na zmianę pogody zagłębiła się w lekturze dzienników i kolorowych czasopism.

Jan zastanawiał się nad tym fenomenem. Ludzie, których nie można w żaden sposób namówić przynajmniej do przejrzenia poważniejszych książek, sami rzucają się na gazetowe ochłapy. Nie mógł zrozumieć tego zjawiska. Jakby sami stwarzali sobie pozory współuczestnictwa w wydarzeniach, wręcz mamili siebie, że poprzez samo czytanie mają na nie wpływ. Obserwował Sonię. Siedziała z głową opartą o

szybę, zdawała się drzemać, wręcz zupełnie nie zauważać tego, co działo się po drugiej stronie, w świetle oddzielonym od jej twarzy tylko cienką przegrodą. Dużo dałby teraz, żeby poznać jej myśli. Miał neodparte wrażenie, że rozpoznaje w każdym drgnieniu tej twarzy, oblepionej wilgotnymi włosami, tak dobrze znane rysy Aliny. Czuł, że tonie w bezmiarze niechcianych wspomnień, że otoczyły go na tej stacji przestankowej straszną, wodną kipiela, zapętlily wokół szyi, wywołując dreszcze i krople potu, spływające zimną strugą wzdłuż kręgosłupa. Odwrócił wzrok, gdyż obawiał się, że dłużej nie zniesie tej męki, która nie przestawała go prześladować. Z trudem poruszył szyję, roztarł kark dłonią i po chwili poczuł, że udało mu się powrócić z bardzo daleka.

Ludzie rozsiedli się wygodnie, zdążyli już oswoić w sobie grozę burzy, prawie przestała ich obchodzić, może tylko jeszcze o tyle, o ile przedłużała ich przymusowy pobyt tutaj. Teraz najważniejsze były gazety, newsy, bezpośrednie relacje, czyjeś opinie na temat, który właśnie był na topie, czyli trendy. Obecnie trendy było ustosunkować się do listy Wildsteina. Wszystkich bardzo to zajmowało, podniatom nie było końca, szczególnie pasjonowały ich i bulwersowały weryfikacje dokonywane przez IPN. Rozgorzał namiętny spór. I tak na zapomnianej przez Boga stacyjce CPN instytucja zwana IPEN-em skwierczała teraz niczym jajecznicą na patelni, a smażył ją sam Wildstein, nie przebijając w nazwiskach. Każdy mógł się tam znaleźć, więc wszyscy pocili się ze strachu. To piekło było z pewnością gorętsze niż to za oknem, gdzie rozjuszona nawałnica prawie wyrywała drzewa z ziemi. Wydawało się, że atmosfera tak z zewnątrz, jak i wewnątrz stacji dojrzała do wybuchu, prawie rozsadzając pękające od emocji ściany. Kto pierwszy rzucił to hasło? Ksiądz nie zauważył, zajęty dręczącymi go upiorami przeszłości. Tu jednak wzięły górę demony teraźniejszości. Gdy Jan nieco się ocknął, znajdował się już w samym centrum gorącej dysputy, która właśnie przybierała coraz wyższą temperaturę i Jan nie był pewien, czy powinien

włączać się do dyskusji, toczącej się w takim ferworze i zacietrizewieniu.

Z roztargnieniem dotknął podbródka. Zaobserwował właśnie, że w sali nie ma much. Panienska w fartuszku serwowała hot dogi. Gdzie podziały się muchy, nie wiedział. Jakby przepłoszyła je ta sataniczna ulewa. Patrzył na przeszkłone pomieszczenie z niklowanym barkiem, na okrągłe, marmurowe blaty stolików, błyszczącą posadzkę i zastanawiał się, ile to mogło kosztować i czy teraz ktoś nie zwraca sobie poniesionych kosztów, oszukując na benzynie. Za oknem zaczynało się przejaśniać. Burza powoli przechodziła. Także tu, na stacji CPN. Otwarto drzwi i do zaparowanego wnętrza wdarło się czyste, zimne powietrze. Jan odetchnął z wysiłkiem, jak po wyczerpującym biegu.

* * *

– Prawdziwa groza ogarnęła mnie później, gdy z lodem na brzuchu domagałam się przyniesienia mi córki. Artur odmówił mi. Domyśliłam się, że coś jest nie w porządku.

– Dziecko ma wadę serca – poinformował mnie w końcu sucho.

Nie miałam żalu, że tak źle to zniósł. Dla mnie to też był szok, a przecież kochałam moje dziecko. Artur musiał mieć czas, żeby zaakceptować nową sytuację, i czułam, że nie będzie to proste. Mała miała oddech szybki i nierówny, powiedziano, że na operację jest za wcześnie. Że musi być starsza, silniejsza i że to będzie kosztować. Dla Artura był to kolejny cios. Liczył na prędką korektę dziecka, doczekał się tylko zapowiedzi dużych wydatków, z niepewną prognozą co do skutków zabiegu. Sama byłam przerażona, więc rozumiałam, jak ciężko taką wiadomość musiał znieść on. Nie zdążył jeszcze pokochać dziecka, to wszystko stało się zbyt szybko, spadło na niego nagle i okazało się ponad jego siły. Sam był dużym dzieckiem, potrzebującym opieki, wsparcia, zrozumienia,

przyzwyczajonym do usuwania mu spod nóg kłód w postaci realnych życiowych komplikacji. Tymczasem działo się coś wręcz przeciwnego. Oto zwała się na niego odpowiedzialność. Z utrzymaniem rodziny jakoś dałby sobie radę, gdyby dziecko było zdrowe. Liczył, że odciążę go przez podjęcie pracy zawodowej. Tymczasem teraz stawało się to niemożliwe. Mała wymagała stałej fachowej opieki. Na pielęgniarkę nie było nas stać, nawet gdybym pracowała, bo ileż ja, bez wykształcenia, mogłabym zarobić? Musiałam więc zostać w domu, a Artur, oprócz zarobkowania, musiał także pomagać mi przy Oli, szczególnie przy wypadach do szpitala. Wkrótce był zmęczony, zniechęcony i rozdrażniony. Nie komponował od miesięcy, aby zarobić, musiał chałturzyć, czego nie znosił. Patrzył na mnie wilkiem.

Teściowie umyli ręce, nie obchodziła ich chora wnuczka ani to, jak dajemy sobie radę. Unikali mnie jak ognia, z obawy, że mogłabym poprosić ich o pomoc. Nie zagłądali do małej, nawet nie pytali o jej zdrowie. W końcu zażądali od nas opłat za mieszkanie. Wtedy po raz pierwszy Artur pokłócił się z nimi, że nie taka była umowa. A oni nie mogli pojąć, że wziął moją stronę. To ich rozjuszyło. Uznali mnie za wroga, za klin pomiędzy nimi a synem, postanowili mnie zniszczyć, to znaczy rozbić nasze małżeństwo. Nie pomagało moje usunięcie się w cień, niewychodzenie z dzieckiem z pokoju, by nie rzucać im się w oczy. Wszystko im przeszkadzało, każdy pretekst był dobry do wywołania awantury. Wysiudanie mnie z rodziny wydawało się coraz bliższe. Nie wytrzymałam nerwowo. Oświadczyłam Arturowi, że wyprowadzamy się wraz z dzieckiem. Widział, że dzieje mi się krzywda, nie chciał brać mnie na swoje sumienie. Rozdwojony między powinnością syna a powinnością męża i ojca, kompletnie nie dawał sobie rady z sytuacją, która go przerosła. Dlatego naprawdę chętnie wyniósł się, razem ze mną, z rodzinnego domu. Pragnął przede wszystkim spokoju. Był pewien, że znajdziemy gdzieś azyl i że jakoś wszystko się ułoży. Że zdobędzie pieniądze, operacja się uda,

Ola wyzdrowieje, ja będę mogła pójść do pracy, a on wróci do swojego komponowania.

Niestety, rozpoczęła się gehenna z wynajmowanymi pokojami i ciągłymi przeprowadzkami. Na samodzielne mieszkanie nie było nas stać, każdy zaś wynajem pokoju przy rodzinie kończył się katastrofą, to znaczy nakazem opuszczenia. Dziecko płakało po nocach, było niespokojne, kapryśne, chorowało. Nikt nie wytrzymał tej udręki. To nie byli źli ludzie, chcieli tylko zarobić parę groszy. Wykańczały ich noce nieprzespane z powodu Oli. To cudze, wiecznie chore dziecko, stawało się dla nich problemem nie do pokonania.

W końcu Arturowi udało się sprzedać korzystnie jakąś kompozycję, mogliśmy wynająć garsonierę na peryferiach Katowic i nareszcie wszystko zaczęło się układać. Tak minął rok. Artur pracował ciężko. Komponowanie w garsonierze z chorym dzieckiem było dla niego męką, ale jego muzykę kupowano coraz chętniej, a jego nazwisko zostało wreszcie zauważone. Do tego chałturzył gdzie mógł, tak, że udało się nam w końcu zebrać całą sumę potrzebną dla Oli. I wtedy zdarzyła się ta nieprawdopodobna historia. W przeddzień operacji Artur przyszedł do szpitala kompletnie pijany. Śmiał się i plótł coś bez związku. Wiedziałam, że strasznie przeżywa to, co nazajutrz miało się dzieć z Olą, więc nie miałam żalu. Próbowałam namówić go, aby wrócił do domu taksówką i poszedł spać, ja nie mogłam zostawić Oli w szpitalu samej, bardzo by się bała. Chichocząc, powiedział, że skoro dał radę przyjechać tu na skuterze, to tak też może stąd odjechać. Wyrzałam przez okno i zmartwiałam. Artur mówił prawdę. Przed szpitalem, na podjeździe, stał zaparkowany skuter.

Zrobiło mi się zimno, później gorąco. Potem pomyślałam, że może zarobił gdzieś pieniądze.

– Kupiłeś skuter? – spytałam tylko, aby się upewnić. Strach zaczął bezlitośnie podchodzić mi do gardła. – Skąd wzięłeś pieniądze?

Znów się zaśmiał, aż ścierpła mi skóra.

– Wypłaciłem z konta – oświadczył.

– Jak to? – wybełkotałam, nogi ugięły się pode mną. – Zabrałeś pieniądze, te na operację Oli?

– To moje pieniądze. Ja je zarobiłem. Mogę robić z nimi, co zechcę. A zresztą, po co ta cała operacja?! – zaczął krzyczeć histerycznie. – Chcą od nas wyciągnąć szmal i tyle! A że dziecko rozkroją jak sardynkę, a może i uśmiercą, to co ich obchodzi? Nic!

Jęcząc, chwycił się za głowę i wybiegł. Widziałam przez okno, jak wymiotuje przed szpitalem, a potem odjeżdża na tym swoim skuterze. Nie pobiegłam za nim. Stałam jak wrośnięta w ziemię. Nie mogłam uwierzyć, że nie mamy już pieniędzy! Ola nie otrzyma swojej szansy!

Zgłosiłam się do ordynatora. Byłam jak martwa. Powiedziałam, że na razie rezygnujemy z operacji, musimy się jeszcze zastanowić.

– Byle szybko – pokręcił głową zmartwiony. – Potem może być za późno.

Wypisałam dziecko i przywiozłam do domu taksówką. Artura nie było. Dzwoniłam do znajomych, ale nikt go nie widział. Do szpitali i na policję bałam się dzwonić. Po raz pierwszy załamalam się. W końcu odważyłam się zadzwonić do teściów, miałam nadzieję, że jest u nich. Nie było go, co oznajmili mi z satysfakcją, gdy usłyszeli w słuchawce telefonu mój zapłakany i rozedrgany niepokojem głos. Tej nocy nie zmrużyłam oka.

Artur wrócił następnego dnia. Trzeźwy. Skruszony. Z pieniędzmi. Udało mu się oddać skuter. Zapakował mnie i małą do taksówki i odwiózł do szpitala. Na operację. Łzy cisnęły mi się do oczu. Byłam Arturowi nieskończenie wdzięczna.

*

Mijali rzadkie zabudowania. Obszczekiwały ich psy. Te w budach i bezpańskie, których tak wiele się tu wałęsało. Azja jeżył sierść, obnażając zęby. Psy ujadły z podkulonymi ogonami, niepewnie i raczej dla fasonu, by zmanifestować prawo do terenu. Przywierały do płotów, warcząc dla dodania sobie animuszu. Dzieciarnia oblepiająca wraz z nimi płoty obserwowała w napięciu wędrującą grupę. Rzadko któreś z nich pozdrowiło gości. Raczej podśmiechowali się, wykrzywiali albo tylko przyglądali się z ciekawością. Jakiś dziadek siedzący na progu odprowadził ich wzrokiem. Kobieta z niemowlęciem pomachała im ręką. Wszystko to wkrótce zostało w tyle. Jan skierował pielgrzymujących w stronę torów, wzdłuż których droga do celu była znacznie krótsza, a chcieli nadrobić czas stracony przez burzę.

Wyszli właśnie na małą stacyjkę. Odrapany budynek dworcowy był zamknięty na zardzewiałą kłódkę. Szlaban zaś opuszczony na stałe, jakby co chwilę przejeżdżał tu pociąg, w jedną i drugą stronę.

Pod ścianami, upstrzonymi rysunkami przez miejscowych grafficiarzy, siedzieli dwaj bezdomni, popijając piwo z butelek. Taczki wypełnione jakimś żelastwem stały obok nich, pokornie dźwigając swój ciężki balast, czekając na powrót do łask i rozładowanie. Patrzyli bezmyślnie na krocących wzdłuż torów, mrugając oczami, jakby nie do końca pewni, czy widzą ludzi czy zjawy. Chorągwie przybyszów łopotały na wietrze i to był jedyny odgłos, jaki do nich docierał. Kroki i miarowy stukot wózka Gabryśia zagłuszała wysoka, nie koszona trawa. Ksiądz skłonił się patrzącym, ale nie odpowiedzieli na pozdrowienie, nie poruszyli nawet głową. Zamarli tylko z rękami na butelkach i tkwiący w swoim bezruchu, zapatrzeni w bliżej nieokreśloną dal, trwali tak, dziwnie zadumani nad przewrotnością losu, który każe im czekać nie wiadomo na co, a tamtym gonić za odmianą po zakurzonych drogach.

Na bocznicę widać było wagony towarowe, cały skład pozbawiony lokomotywy. Tkwiły tu pewnie od dłuższego czasu beczynnie. Widać jednak

doczekały się swojego dnia, bo z gwizdem nadjeżdżał ku nim parowóz, wolniutko tocząc się po torach i sapiąc. Obnażony do pasa człowiek w kolejarskiej czapce, spalony na brąz, ociekający brudnym potem od upału, szedł wzdłuż wagonów, pochylając się rytmicznie nad kołami i uderzając je długim prętem. Wydawały nieprzyjemny, metaliczny dźwięk. Jan wzdrygnął się. Po plecach przebiegł mu dreszcz. Ten dźwięk sprawdzanych na stacji kół... Śmierć pod kołami pociągu... „Za dużo się naczytałem – skonkludował raz jeszcze z rozpaczą. – Nie ucieknę od przywidzeń”. Śmierć. Nigdy dotąd nie rozmyślał o niej. Nie w ten sposób. Nie tak intensywnie. Nigdy tak wyraźnie nie stała mu przed oczami. Miała twarz Aliny. Białą, otoczoną smugą jasnych włosów, wymykających się wciąż z luźno splecionego warkocza. Dlaczego ona? Dlaczego jej twarz wychyliła się teraz do niego zza obłoków, zza tych nienaturalnie rozsuniętych na niebie chmur, jakby specjalnie ktoś rozpostarł na przestrzał wrota, prowadzące nie wiadomo dokąd. Ogarnął go przemożny lęk. Ta szeroko rozwarta przed nim brama coś znaczyła. Dawała do zrozumienia. Wabiła. Zmuszała do zastanowienia, zatrzymania wzroku, może nawet do wkroczenia w jej świetlistą dal. Poczul skurcz w obu łydkach, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Poruszał się z trudem, każdy krok sprawiał mu ból. Miał wrażenie, że przytroczono mu do grzbietu kamień Syzyfa i że teraz on musi borykać się z tym katorżniczym brzemieniem. Z własnym sumieniem. Z tęsknotą, która nagle dopadła go tu, podczas tej przedziwnej wędrówki, między jednym światem a drugim, minionym a dzisiejszym.

Zaczął tonąć w rozpaczy, z mozołem usiłując wybrnąć z tej otchłani. Czuł jednak, że to próżny trud. Daremnie usiłował odrzucić tę trupią twarz w niepamięć. Trwała żywa, prawdziwa przed jego oczami. Nie wyimaginowana. Była czymś więcej niż wytworem jego wyobraźni. Była wyrzutem sumienia. Nie podejrzewał nigdy, że coś takiego może mu się przytrafić. Że w oczach tej zmarłej dziewczyny, jak w lustrze, będzie się musiał kiedyś przejrzeć. Czy tego chce, czy nie. Wbrew

własnej woli. Dopadła go znienacka. Wypłynęła zza tej ponurej bramy, o której już wiedział, dokąd prowadzi. Kolejny skurcz nawiedził tym razem jego serce. Tak, kochał Alinę. Przegrał tę miłość. Na własne życzenie. Jaki jego decyzja miała wpływ na jej śmierć? Do tej pory sądził, że żaden. Teraz ostro, jakby w pełnym świetle widział, jak bardzo się mylił. Oszukiwał sam siebie. Uspokajał, żyjąc fałszywym przeświadczeniem bezkarności. Tymczasem okazało się, że nie można zniszczyć kogoś bez konsekwencji. Alina kochała go. A on o tym wiedział. Dlaczego zrozumiał to tak późno. Teraz, gdy niczego już nie można zmienić. Bo stało się to najgorsze, nieodwracalne. I żaden żal nie pomoże. Nie przywróci jej życia. Bo że umarła przez niego, tego przecież był pewien. Zawsze o tym wiedział. Tylko nie chciał się przyznać. Wszyscy tak uważali, wszyscy na tym strasznym pogrzebie. Widział to w ich oczach. Choć nikt mu nie powiedział ani słowa. Ale on nie zgadzał się z ich osądem. Uznał, że odtrącona Alina nie musiała zadać się z byle kim. Mogła bardziej się szanować. Zamiast od razu iść z kimś do łóżka. Z kimś, kto potem ją porzucił. Albo ona go porzuciła, bo niewart był miłości. Dlaczego zadała się z kimś kto nie był tego wart? Dla pociechy? To była jej wina. Nie jego. Niezależnie od motywacji.

„Czystość. Czystość – myślał intensywnie. – Sprzeniewierzyła się czystości. Sprofanowała własne ciało. Dlatego poniosła karę”.

Umarła przy porodzie. Razem z dzieckiem. Owszem, odczuł przykrość, gdy się o tym dowiedział. A jednocześnie ulgę. Że to nie on był sprawcą jej nieszczęścia. Że dobrze zrobił, wybierając posługę Bogu. Teraz byłby wdowcem, może nawet z dzieckiem. Jakoś nie widział siebie w takiej roli. Puściła się. Była winna. Tylko ona. Więc skąd te oskarżenia w oczach stojących nad jej trumną? Uznali, że upadła przez niego? Z rozpaczy... Może nie doszłoby do tego, gdyby potrafił ją kochać. Gdyby ożenił się z nią, nawet gdy już była w ciąży. Przecież widział, jak czekała na to, żeby jej wybaczył i przyjął. Ale nie chciał jej. Nie dlatego, że była w ciąży.

Tylko dlatego, że już wybrał. Boga. Nie ją. I nie zamierzał zmieniać decyzji, choć jeszcze mógł. Może gdyby wybrał ją, walczyłyby o życie. Być może by przeżyła. W każdym razie mogła przeżyć. Miłość to niezwykle silna motywacja. Alina nie poddałaby się. Poddała się, bo chciała umrzeć. Wiedziała, że ją potępił. To pewnie ją zabiło. Dlatego jej śmiercią obciążano jego. Nie tego, kto wpędził ją w tarapaty. Uznano, że w tarapaty wpadła przez Jana. I co on ma teraz zrobić? Jak Orfeusz zejść do podziemi po swoją Eurydykę?

Spojrzał na rozpostarte na oścież wejście pomiędzy obłokami i aż się skulił. Nie był w stanie udźwignąć przeświadczenia, że jest zbyt słaby, nawet teraz, by stać się Orfeuszem. Jego Eurydyka miała pecha, że zakochała się właśnie w nim. Otarł oczy wierzchem dłoni. Dlaczego nie umiał kochać? Dlaczego zabrakło mu sił, aby pomóc jej wesprzeć się na nim? Nie wiedział. Czy czeka tam teraz na niego? Usłyszy kiedyś od niej oskarżenie? Wyrok? Tego obawiał się najbardziej. Co właściwie zapamiętał z tamtego czasu? Próbował przypomnieć sobie gorączkowo... Co, co, na miłość boską, zostało w nim z Aliny? Z tamtej żywej, nie tej, która go teraz prześladowuje...

Uśmiech. Tak, to. Złote cętki w jej oczach. Nie, iskry. Snop, fontanna iskier! Śmiała się całą sobą, potrafiła wszystkim zachwycać. Była jak dziecko zapamiętała w zachwytach. Jak dziecko emocjonalna. Nie wstydziła się radości ani okazywania uczuć. Nigdy więcej nie widział, żeby ktoś tak się śmiał. Jakby cały świat unosił się na palcach i wirował wraz z nią. Słoneczny, tańczący śmiech. Oczarowany świat. Uśmiech losu?... Dlaczego nie wiedział o tym wcześniej, dlaczego nie przewidział takiej straty. Tak dotkliwej. Nie do udźwignięcia. Śmiech jak płacz... Kto tak się śmieje? Tak, ta druga. Sonia. Ale w jej oczach iskry też dawno zgasły. Kto je zgasił? Rozpacz na twarzy Soni. Ktoś ją skrzywdził, jak on Alinę. Czy dlatego musiał spotkać Sonię? Żeby mógł naprawić tamten błąd? Dlatego stanęła na jego drodze? I przemierzają teraz wraz z nim? Czeka? Na co?

„Nie mogę, Alino, Soniu! Czego chcecie ode mnie? Mam dość upiorów! Chcę żyć! Chcę po prostu żyć! Swoim życiem. Swoimi wyborami. I konsekwencjami. Nie mogę ci pomóc, Soniu, jak nie mogłem pomóc Alinie. A jeżeli się mylę? Boże, jakie są twoje zamiary wobec mnie? Czego oczekujesz? Jak mam postąpić? Co zrobić? Nie chcę Aliny, Soni. Nikogo. Czy to grzech? Czemu znów mnie doświadczasz? Mam przebrnąć przez to? Czy wolisz, żebym upadł? Daj znak... Jakikolwiek. Dlaczego milczysz?”.

*

Jadwiga naprawdę martwiła się o Prokopa! Upał musiał dotkliwie dawać mu się we znaki. Koszulę na plecach miał zupełnie mokrą od potu. Z chwilą, gdy się przyznał, że przeszedł zawał, przyglądała mu się niespokojnie. Nie uszli jeszcze połowy drogi, do tego wędrowali daleko od szosy, gdyż ksiądz Jan uznał, że tędy będzie bliżej. Nie byłoby przyjemne, gdyby teraz z Prokopem zaczęło się dziać coś złego. Karetka tu? Na tym pustkowiu? Musiałaby dojechać aż z Lublińca, a to przecież kawał drogi. Do tego wokół lasy i szczerze pola... Kiedy przy obiedzie Prokop wycierał starannie okulary, zauważyła, że nie miał obrączki. Zagadnęła go o to, tak mimochodem, odparł, że jest samotny. Nie wiedziała, co to znaczy. Wdowiec? Rozwiedziony? Stary kawaler? Właściwie było jej to obojętne, choć na rozwodnika miała najmniejszą ochotę, niemożliwy byłby ślub kościelny. Ale może to rozwodnik tylko po ślubie cywilnym? Wtedy wszystko byłoby w najlepszym porządku. Taksowała skromną sylwetkę Prokopa. Był niewysoki, chudy, prawie zasuszony, przydługie, siwe włosy rozwichrzyły mu się wokół głowy. Odrzucał je z twarzy nerwowo. Cały był nerwowo. W sposobie chodzenia, w stawianiu szeroko stóp, w gestykulacji, gdy ostrym szarpnięciem przywoływał psa do porządku, w łapczywym piciu i połykaniu jedzenia. Potrafił mrugać powiekami bez powodu,

jakby raziło go ostre światło albo coś wpadło mu do oka. Łzawiło mu to jedno, to drugie, kichał, wycierał się zajadle chusteczką, jakby chciał oberwać sobie nos. Co chwilę wyciągał grzebień i cesał rozczapierzone od wiatru włosy, choć wiadomo było, że byle podmuch rozwieje je po raz kolejny. Kasłał z byle powodu, mimo iż wcale nie był przeziębiony, być może drażniła mu śluzówkę gardła nadmierna suchość upalnego powietrza, ale nawet po deszczu odruch kaszlu pozostał i męczył go wyraźnie. Miał długą, wyrazistą, pobrużdżoną głęboko, ruchliwą twarz, przypominała trochę końską szczękę, i te same jak u konia, łagodne, ocienione długimi rzęsami oczy. Starannie wygolony zarost zaznaczał się tu i ówdzie ciemnymi cieniami na policzkach. Rozczulał ją. Wzbudzał w niej macierzyńskie uczucia. Chętnie zaopiekowałyby się kimś takim jak on. Trochę obawiała się jego poglądów, choć naturę miał o wiele bardziej skłoną do ustępstw od gwałtownego Albina. Wiedziała, że Albin jest wdowcem, podkreślał to na każdym postoju, też nadawał się na kandydata... Albin był tęgi i silny. Fizycznie podobał się jej bardziej niż delikatny Prokop. Taki w łóżku jak uchwyci... Ostatecznie – mechanik, to męski zawód. Ale jego pobudliwość, brutalność w ferowaniu sądów i nieustępliwość zrażały ją nieco. Obawiała się, że mógłby chcieć dominować w związku, ją sprowadziwszy do roli kucharki i sprzątaczk. Nie, żeby miała coś przeciwko temu, kobieta powinna być gospodynią przede wszystkim, dbać o męża, o dom, to rozumiało się samo przez się. Ale zawsze marzyła o partnerstwie. Żeby mieć z kim posiedzieć wieczorami przed telewizorem, pograć w brydżyka, pójść na spacer i wymienić poglądy bez złości, tylko po to, żeby pogadać, a nie, żeby się zacierzewiać czy rozjątrzać. Charakter Albina groził ciągłymi konfliktami, stałymi wybuchami. Albin palił się nierówno, potrafił być przymilny, ale potrafił też z nagłą huknąć, aż parę razy podskoczyła, gdy wysokim tenorem obwieszczał wszem wobec swoje niezadowolenie. Dotyczyło ono głównie spraw politycznych, ale przecież mogło się zdarzyć w przyszłości, że wymknęłoby się jej takie czy inne

zdanie, którego on by nie zaakceptował i awantura gotowa. A potem od słowa do słowa, klótnie, ciche dni... Tego by nie chciała!

Za to Prokop gwarantował równy płomień, kontrolowane emocje, kompromisy w przypadku nieporozumień czy odmiennych sądów. Wyglądał na zaniedbanego, ale w miarę schludnego. Wyraźnie brak mu było kobiecej ręki.

Albin zaś był pedantem, mógłby wkurzać się o byle pyłek na podłodze lub o niezbyt dosoloną zupę... Tak, Prokop był znacznie atrakcyjniejszy od Albina. Pozostawało tylko ustalenie jego faktycznego stanu cywilnego i majątkowego. A potem przedsięwzięcie odpowiednich kroków.

Jadwiga była starą panną. Nie, żeby nie miała adoratorów. Kręcił się kiedyś koło niej ten i ów. Ale w młodości była nieśmiała. Nie pozwoliła sobie na nic. Zrażeni, odchodzili. Rezygnowali z obawy, że po ślubie też nie będzie zbyt chętną i kobiecą żoną, której może pożądać mąż i która zaspokajałaby wszystkie jego potrzeby. Nie każdy żonaty lubi uganiać się za spódniczkami tylko z tego powodu, że w domu leży brzydka, stara, barchanowa, nieapetyczna żona, zupełnie aseksualna, z którą można to robić, ale bez uniesienia, raczej tylko z nudy i fizjologicznej rutyny.

Jadwiga, wychowana w surowej regule matki, wśród pięciu równie ascetycznie wychowanych sióstr, z których większość została jak ona, starymi pannami, nie miała pojęcia, że zraża sobie mężczyzn właśnie swoją nazbyt zasadniczą naturą. Wysokie morale własnej egzystencji, z której dotąd była taka dumna i którą uważała za swoją największą cnotę, a która miała gwarantować ewentualnym kandydatom wzorową żonę, na wzór jej wzorowej, kostycznej matki, okazało się niewypałem, tym, co absolutnie odstręczało od niej potencjalnych chętnych. Winiała za to mężczyzn, którzy zawsze byli tymi niewłaściwymi. Wystarczyło spotkać właściwego, który tak zachwyciłby się jej kategoryczną cnotą, jak odpowiadało to jej ojcu, tak, że był z jej matką przez trzydzieści lat, a wszystko będzie dobrze.

Niestety, nikt taki jak jej ojciec się nie pojawił.

Wchodząc w lata dojrzałe, przekonywała się, że życie kieruje się zupełnie innymi zasadami, niż te, które wpajała jej matka. Przede wszystkim okazało się, że ojciec specjalnie ożenił się ze starą, brzydką kobietą, żeby mógł mieć niezliczone kochanki. Był erotomanem, musiał zmieniać kobiety. Ciągła zamiana żon nie wchodziła w rachubę. Chciał mieć dom, ale przy tym nieograniczoną wolność w sprawach seksu. Zakochiwał się szybko, jeszcze szybciej odkochiwał, nie zaniebując przy tym, skruszony, wyrozumiałej żony. Był nauczycielem w gimnazjum, nie zamierzał opuścić Ukrainy, gdzie się wychował on, jego ojciec i dziad. To wszystko było dla Jadwigi szokiem. Jak się o tym dowiedziała? Otóż od ojca. Kiedyś, kompletnie pijany, ulitował się nad nią, mówiąc jej prawdę. Że jest ładna, ale że zmarnowała ją matka. Nie nauczyła ubierać zalotnie ani poruszać z wdziękiem, śmiać po kobiecemu, nawet usiąść ojcu na kolanach. Zrobiła córce krzywdę, bo sama jest odstręczająca, nie było więc kogo naśladować. Ale on zrobił córce większą krzywdę, dając taką matkę i akceptując ją przez tyle lat. Utwierdził ją w przekonaniu, że taki właśnie jest materiał na żonę, że takie kobiety są wybierane przez mężczyzn. A powinien był nie kryć obrzydzenia, jakie w nim budziła żona, odseparować się od niej. Popęłił błąd. Tak, miał kochanki. Może wcale nie powinien był się żenić. Krzywda zawsze goni krzywdę. Ale jeżeli Jadwiga chce, aby mężczyzna ją pokochał, musi matkę zanegować. Spróbować być sobą. Otworzyć się na innych. Bo może nie jest za późno...

Płakał i bił się w piersi. Cuchnęło od niego alkoholem, ale nie wątpiła, że mówił prawdę. Był na swój sposób uczciwy, być może gdyby trafił na właściwą kobietę, potrafiłaby uczynić go szczęśliwym. Wierność, temu nie potrafił sprostać i chyba to gryzło go najbardziej.

Jadwiga postanowiła posłuchać go. Zrobiła rachunek sumienia i przyznała ojcu rację. Nie było to łatwe tak nagle zostawić dom, rodzeństwo i wyjechać. Jednak

zbyt przerażały ją lata, które mijały, a ona pragnęła żyć pełnią życia. Udało jej się zdobyć zaproszenie od krewnych z Polski i wyjechała z Ukrainy, zresztą chętnie. Polakom źle się tam żyło, ciężko. Bali się przyszłości. Przyjechała na Śląsk, potem do Turawy. Zajmowała się drobnym handlem, pracowała też przy kościele, w duszpasterstwie. Tak minęło jej kolejnych kilka lat i dopiero teraz, na tej pielgrzymce dostrzegła swoją wielką szansę. Postanowiła postawić wszystko na jedną kartę i zdobyć męża. Jednego z tych dwóch. Prokopa albo Albina. Nie poszła na pielgrzymkę z takim zamiarem, no, ale skoro trafiła się taka okazja, byłaby głupia, gdyby z niej nie skorzystała. No i mogłaby legalnie zostać w Polsce. Wyjęła z torby pieczone pierożki z kruchego ciasta, z ruskim nadzieniem, nieco pikantne, ale nie za bardzo, żeby nie wzbudzać pragnienia, takie w sam raz. Zbliżyła się do Prokopa.

– Niewiele zjadł pan na obiad – odezwała się ze szczerym współczuciem.

– Tak? – spojrzał na nią nieprzytomnie, zdumiony, że kogoś interesuje to, czy on posila się czy nie, że w ogóle ktoś to zauważył i martwi się, że może być głodny.

– Może się pan poczęstuje? – podsunęła mu pierożek.

Ujął w palce niepewnie złoty półksiężyc.

– Proszę skosztować – zachęciła ciepło.

Ugryzł kawałek, żując zębami soczystą błogość. Było wyjątkowo smaczne. Następny kęs sprawił mu jeszcze większą przyjemność.

– To pani piekła? Sama? – nie mógł się nadziwić.

Jego uznanie pochlebiło jej.

– Lubię ja gotować – pochwaliła się szybko. – Kiedy my rozmawiali o wypiekach, to przecie ja wiedziała, co gadam. Może kiedy pan sprawdzi...

– Ależ... – bąknął zarumieniony po uszy Prokop, olśniony perspektywą poznania kulinarnego kunsztu tej kobiety. – Z największą przyjemnością... Ale,

jakżebym śmiał panią fatygować...

– Przecie to drobiazg – trajkotała Jadwiga w sposób, jaki podpatrzyła u koleżanek na targowisku. – Jak pan zechce, to i zajrzy pan do mnie kiedy, a ja przygotuję co, poczęstuję. Pieska także.

Podsunęła Azji pod pysk pierożek. Spojrzały na nią dwie pary oczu, szczęśliwe i wdzięczne, pana i jego psa, który też najwyraźniej dokładnie zrozumiał, na jaki temat toczy się tu rozmowa. Jadwiga przywołała na twarz zmysłowy uśmiech, jaki niejednokrotnie widziała u kobiet na folderach i reklamach. Miał on być w jej zamierzeniu pełen obietnic, kuszący. Prokop spurpurowiał. Jadwiga niepewna co do wywołanego naprędce efektu, natychmiast zmieniła wyraz twarzy. Odetchnęła, widząc, jak Prokop stopniowo dochodzi do siebie. Skarciła się za nadmierny optymizm w tych sprawach i postanowiła poćwiczyć uśmiech na najbliższym postoju, przed lustrem.

* * *

– Czekając przed salą operacyjną Oli, myślałam, że nie może zdarzyć się już nic gorszego. Wtedy najważniejsza była Ola i wynik operacji. Artur nie dawał rady, uciekał ze szpitala, wracał i tak bez przerwy. A ja nie wytrzymywałam jego widoku, wołałam, gdy znikał, gdy zaszywał się gdzieś w kącie. Gdy wreszcie otworzyły się te cholerne drzwi, Artur tkwił prawie przyklejony do nich. Właśnie wywożono Olę. Wstałam chwiejnie, zapytałam lekarza, co z nią. Czy będzie zdrowa? Odpowiedział, że na razie nie wiadomo. Trzeba czekać. Czekać? Jak długo można czekać? Gdy dotarły do mnie jakieś dźwięki, było już późne popołudnie. Artur szedł obok. Nie wiem, kto kogo podtrzymywał, ja jego, czy on mnie. Szarzało. Wszystko wokół było jak jego twarz. Kogo było mi bardziej żal? Jego? Oli? Może siebie... W domu panowała śmiertelna cisza. Czekanie nie miało

końca. I tak mijały dni. Blade, wiotkie, jak ciało Oli. Jak moje ciało, ciało Artura, niezdolne do niczego. Do jedzenia, picia ani do kochania. Artur, ja, dwa manekiny, zebrzące zmiłowania. Nie będące w stanie dać sobie niczego. To wtedy oddaliliśmy się od siebie. Zrozumieliśmy, co znaczy nie kochać. Nie kochaliśmy się, więc próżno byłoby oczekiwać od siebie pociechy. Bliskości, której tak potrzebowaliśmy, nie mogliśmy u siebie znaleźć. Nawet jej nie szukaliśmy. Choroba Oli uzmysłowiła, jak bardzo jesteśmy sobie obcy. Potem nie było już od tego odwrotu. Od tamtej pory było coraz gorzej. Coraz chłodniej. Coraz bardziej obco. I tak do dnia, w którym ogłoszono wyrok: Ola nigdy nie będzie w pełni sprawna fizycznie. Operacja udała się tylko częściowo. Duże wysiłki fizyczne, w przypadku Oli – odpadają. A to oznacza dla niej rezygnację z tańca, jazdy na rowerze, pływania, żeglowania, gry w piłkę i wszystkich tych rzeczy, które dzieci kochają najbardziej. Nie wyobrażałam sobie, jak ona przyjmie kiedyś taką wiadomość. Co będzie, gdy dzieci zaczną wołać ją do zabawy lub sama zatęskni do rozrywki... Artur upił się. Do nieprzytomności. Nie miałam żalu. Ale potem pił coraz częściej. Do naszej obcości dołączył obcość w stosunku do dziecka. Nie zaakceptował Oli wymagającej opieki. Nie nadawała się do przedszkola. Na opiekunkę nie było nas stać. Rzuciłam studia, najważniejsza była Ola. Artur na szczęście był już po dyplomie. Pracował ciężko. Chałtury wykańczały go. Nasze małżeństwo było już tylko fikcją. Nie łączyło nas nic oprócz zmęczenia. Zniechęcenie wkradło się we wszystko, w coraz rzadsze wspólne posiłki, w uporczywie osobno spędzane resztki wolnego czasu, w służbowe już tylko rozmowy, o tym, co kupić, co posprzątać, kiedy z Olą jechać do kontroli... Wiedziałam, że jego rodzice namawiają go na rozwód ze mną, cóż, zawsze chcieli się mnie pozbyć. Słyszałam, jak półgębkiem odpowiadał im przez telefon. Udawałam, że nie słyszę. Nawet na żal nie miałam sił. Nieprzespane noce i brak perspektyw na polepszenie zdrowia Oli wystarczały, aby zabić jakąkolwiek radość

z macierzyństwa i wspólnego bycia razem. Nie wiem, co by było dalej, jak to wszystko by się potoczyło, gdyby pewnego dnia nie stanął w nich Gerard. Wielka szansa i największa klęska naszego życia...

*

Dotarli wreszcie do niedużego motelu. Było jeszcze zbyt wcześnie na nocleg, ale Jan zdecydował, że nie pójdą dalej. Gospodarz chętnie użyczył im kilka wolnych pokoi, nie chciał nawet pieniędzy. Przed małym budynkiem, tonącym w winorośli, parkowało kilka samochodów. Astry na klombach ze starych opon ozdabiały wejście. Z boku, kilka okrągłych, drewnianych stolików obskakiwały wróble. Ćwierkając, kłóciły się zawzięcie.

Część osób z Janem poszła zająć pokoje, Albin, Prokop i Władysław rozsiedli się wokół stolików. Podekscytowana Jadwiga postanowiła wykorzystać okazję do nawiązania znów rozmowy z Prokopem. Zajrzała do gospodarza, po czym wyszła do panów z parującym dzbankiem i tacą szklanek. Zaczęła nalewać herbatę. Władysław opowiedział przytłumionym głosem kawał. Albin aż zakrztusił się ze śmiechu. Trząśł się cały, okrągły brzuch podskakiwał mu niebezpiecznie na boki. Prokop tylko skulił się w sobie i uśmiechnął niepewnie, jakby nie bardzo wiedząc, czy wypada przy Jadwidze okazywać aż taką ekscytację słowami Władysława. Albin wlepił w kobietę załzawione śmiechem oczy, oczekując od niej podobnej reakcji, jak jego. Prokop zauważywszy jego wzrok spoczywający na Jadwidze, natychmiast sam wpatrzył się w nią intensywnie, jakby pomijając nagannym milczeniem przenikliwy chichot Albina. Skonsternowana Jadwiga nie mogąc zdecydować się, czy śmiać się jak Albin, czy zachować rezerwę jak Prokop, na wszelki wypadek zarumieniła się lekko jak pensjonarka, co w jej mniemaniu miało jej przydać wdzięku w ich oczach. Władysław obserwował ze zdumieniem reakcję

obu mężczyzn, wpatrzonych w rumieniącą się Jadwigę i naciskających na nią wzrokiem, aż dotarło do niego, że odbywają się tu zaloty. Nie gustował w tak chudych kobietach jak Jadwiga, jednak doszedł do wniosku, że zainteresowanie nią obu mężczyzn musiało mieć jakieś podstawy, więc także i on zaczął przypatrywać się jej z uwagą. Taksował ją wzrokiem, chcąc dociec przyczyn ich zainteresowania, ona zaś płonęła coraz mocniej. Gnębiła ją myśl, że oto jest nareszcie w centrum uwagi i to aż trzech panów, tymczasem ma na sobie tę nieciekawą i według niej zbyt jaskrawą bluzkę, która zupełnie nie podkreśla walorów, czy raczej – nie tuszuje braków jej figury. Nie zdążyła się przebrać w inną. A tymczasem, jak sądziła, kolory wywołane ich spojrzeniami na jej twarzy nijak się mają do ostrych barw nieszczęsnej bluzki. Sumując, zepsuła sobie humor do reszty, a przez to jeszcze bardziej się zaczerwieniła i zaczynało to niebezpiecznie nabierać charakteru pecha. Z tego wszystkiego zaczęła nalewać herbatę do szklanki Władysława, mimo iż była już pełna.

– Ależ nie! – zaprotestował Władysław i nakrył szklankę ręką.

Jadwiga oprzytomniała. Spróbowała przywołać na twarz nie przestudiowany jeszcze uśmiech. Chyba choć częściowo był udany, bo Władysław mrugnął do niej jednym okiem. Nie miała pojęcia, co takie mrugnięcie mogło oznaczać, ale na wszelki wypadek powtórzyła swój uśmiech, w zamierzeniu rozbajający. Popatrzyła przy tym na Albina i Prokopa, wyglądali na rozanielonych. Albin aż cmoknął w jej stronę. Widział wcześniej, jak rozmawiała z Prokopem, i jak ten miał się przed nią cały, i postanowił sprawdzić, co takiego spodobało się w niej Prokopowi. Tymczasem cmoknięcie Albina rozeźliło Prokopa. Albin najwyraźniej wchodził mu w paradę! Przez dwa dni nie zwracał na Jadwigę większej uwagi, ale wystarczyło tylko, że poczęstowała Prokopa pierogiem i zamieniła z nim parę zdań, a już Albin poczuł się rywalem! O, co to, to nie! Prokop nie pozwoli takiemu zapędzić się w kozi róg! Ostatecznie, to Prokop był pierwszy, to z nim, nie z

Albinem Jadwiga zaczęła rozmowę! Nie da się wysiudać Albinowi, nie zamierza zrezygnować z takiej kobiety! Chce Albin walczyć? W porządku, niech będzie walka. On w każdym razie nie ustąpi! Wypił jednym haustem swoją herbatę, prawie parząc sobie wargi, i podsunął szklankę Jadwidze, żeby mu dołała, robiąc przy tym do niej „ślimacze oczy”. Jadwiga, znów ze sprawdzonym już uśmiechem, dołała mu z dzbanka, oddając mu przy tym głębokie spojrzenie. Władysław obserwował zdziwiony, jak Albin o mało nie dostał apopleksji na ten widok i opróżniwszy naprędce swoją szklankę, również podsunął ją Jadwidze do napełnienia. Oczywiście dołała i Albinowi, mizdrząc się do niego w ten sam sposób.

– To ci kobita, ta nasza Jadwiga, no, no! – skomentował głośno Władysław i znów mrugnął do niej, aż się zmieszała, nie do końca pewna, czy to aby komplement, czy tylko żart.

Władysław jednak równie szybko dopił herbatę i teraz on podsunął ku niej swoją szklankę. Jadwiga dołała i jemu. Albin z Prokopem spojrzeli ze złością na Władysława. Jak ten śmie wchodzić im w paradę? Na trzeciego? W dodatku żonaty? To już przechodziło wszelkie pojęcie!

– Pani Jadwiga warta grzechu, fakt – przyznał po raz kolejny Władysław, udając, że nie widzi, jak obaj piorunują go wzrokiem.

– Pan, panie, lepiej zajmij się żonką! – przypomniał mu Albin.

Wymówki Albina rozzłościły Władysława. Co taki będzie go tu umoralniał! Sam wie, co ma robić! Od komplementu do reszty droga daleka! Jadwiga nie podobała mu się, ani myślał wchodzić między nich, ale niech taki jeden z drugim sobie nie myślą, że można go przepłoszyć jak byle chłystka. O nie! Gdyby tylko chciał, Jadwiga byłaby jego, nie tamtych dwóch, pozał się Boże, niedojdków, którzy nie wiedzą, jak dogodzić kobiecie. Postanowił im to udowodnić. Dla szacunku, rzecz jasna.

– Moja żona jest za gruba – mruknął niby do siebie, w przestrzeń. – Nie ma to jak drobne kobitki! – I znów mrugnął do Jadwigi.

Albin zsiniał, Prokop poderwał się z miejsca, a Azja zaczął warczeć.

– Co mi tu będzie... – Albin ledwo mógł złapać oddech z oburzenia. – Żeby porządną kobietę obrażać!

Jadwiga widząc, że szykuje się bójka z jej powodu, o mało nie zemdląła z wrażenia. Gorączkowo zaczęła sobie przypominać, czy zabrała ze sobą jakąś lepszą sukienkę, przydałaby się taka obcisła... O Jezu! Trzech na jedną! Zaraz, zaraz, a może włożyć tę szyfonową, jest trochę za mało przezroczysta, ale gdyby tak odpiąć od góry ze dwa, trzy guziki... Poprawiła ręką włosy, starając się nie uładzić ich, a tylko malowniczo rozwichrzyć. Władysław ujrzał ze zdumieniem, jak Jadwiga w sekundzie zmienia się w zmysłowego kociaka. Albin i Prokop aż otworzyli usta. „No nie – przyznał w duchu Władysław – coś w tej babie jest! Że też wcześniej tego nie zauważyłem!”.

– Pójdę się przebrać – wyszeptała Jadwiga.

Podnieśli się wszyscy trzej i odprowadzili ją bez słowa wzrokiem aż do drzwi.

– No! – sapnął tylko Albin. – No!

Pozostali zachowali głuche milczenie.

* * *

– Gerard stając w drzwiach naszego domu, wniósł ze sobą nadzieję na odmianę losu. Artur nareszcie zaczął komponować, nie chałturzyć. Godzinami nie wstawał od fortepianu. Mocował się z różnymi instrumentami, rozpisywał partyturę, robił próbne nagrania. Gerard sekundował mu, jednak jego krytyczne uwagi wkurzały Artura. Nie mogli znaleźć nici porozumienia. Dyskusje przeradzały się w kłótnie. Każdy z nich miał odmienne zdanie co do ostatecznego kształtu tej muzyki.

Zaczynało się od sporu na temat organizacji dźwięków wokół danej sceny. Gerard uciekał przed nadmierną estetyzacją. Nie chciał, aby ścieżka muzyczna była tylko ilustracją czy wręcz imitacją sensu płynącego z obrazu, ale aby żyła samoistnym życiem. Tymczasem Artur był za wykorzystaniem klasycznej harmonii, spolegliwej i służebnej w stosunku do fabuły filmu. Dziwne wydawało mi się, że dwóch tak wyrafinowanych artystów nie może dojść do porozumienia, usiłując przeforsować własną wizję.

– Co proponujesz? – Gerard przysiadł na parapecie i umilkł.

Zapadła cisza. Artur odkorkował nową butelkę i zaczął popijać z gwinta.

– Przerobię te kawałki – zdecydował w końcu.

– Świetnie – Gerard klepnął go pocieszająco w ramię. – Wpadnę za parę dni. Pomyśl o pulsacji rytmu, musi być wyeksponowany i wiarygodny.

– Jasne. – Artur kontynuował picie. – Jak echo murzyńskich tam-tamów.

– Wbrew kpinie, którą słyszę w twoim głosie, może to jest ten właściwy trop. – Gerard ruszył ku wyjściu. – Do widzenia, Soniu – kiwnął tylko w moją stronę.

Artur został z pustą flaszką w rękach. Zwarzony i markotny. Zapatrzony w fortepian w ciemniejącym już pokoju. Długo się nie kładł. Słyszałam przez ścianę, jak godzinami chodził tam i z powrotem. Jego kroki rozlegały się do świtu. Rozmyślał. Bo zanim zaczął grać, musiał to wszystko na nowo usłyszeć w sobie. Poukładać w swojej napiętej do ostateczności wyobraźni. Grało to w nim do rana. Nie mógł spać. Martwiłam się, czy się z tym upora. To było trudne zadanie. Prawdziwe wyzwanie. Ale w przypadku pozytywnego efektu gwarantowało olbrzymi sukces, uznanie i pieniądze. A to bardzo nam było wtedy potrzebne.

Z całego tego wieczoru zapamiętałam na zawsze słowa Gerarda, który zacytował Strawińskiego, o tym, że muzyka istnieje tylko w czasie. Bo w każdej kolejnej sekundzie jest tylko pustym, nic nieznaczącym dźwiękiem. Żeby usłyszeć całość, musimy się choć trochę postarzyć, odpłynąć wraz z upływającym czasem,

oddać kawałek własnego życia po to tylko, żeby pojąć coś, co w efekcie daje nam najwyżej wzruszenie. Niektórzy za takie przeżycia płacą wiele, wysoką cenę oddanych w ten sposób miesięcy i lat... Taką cenę za jeden ucisk w sercu... Artur należał do nich, bez wątpienia.

*

Bożenka ścisnęła Maćka kurczowo za rękę.

– Już nie chcę – jęknęła.

– Czego? – zdziwił się.

– Mam dość tej całej pielgrzymki. Nogi mnie bolą. Ledwo doszłam.

– Pomyśl o Kasi – skwitował cierpko. – Ta jeszcze pchała wózek.

Spojrzała na niego złym wzrokiem.

– A ty jutro będziesz pchać za nią. Bo inaczej ona padnie – rozzłościła się.

– O nie! Ja też mam dość! – rzucił plecak w kąt pokoju. – Lepiej idź stąd. Zaraz się tu zwałą Albin z Prokopem.

– A ja się będę męczyć z tą wariatką Kasią, z tą niemową Sonią i z tą podstarzałą Jadwigą – podsumowała ponuro.

– Wiem, o co jesteś zła. Ale to nie moja wina, że nas przyłapali. Nie możemy po raz drugi wywinąć takiego numeru. Chyba żeby?... – spojrzał na nią pytająco.

Prychnęła zła.

– Tobie tylko jedno w głowie. A ja jestem padnięta. Nie dam rady jutro iść, to jeszcze taki szmat drogi! Chyba przeliczyłam się z siłami...

– Ty? Konia byś prześcignęła.

Ściągnęła buty, pokazała mu zaczerwienione pięty.

– Tak? A to co? Jutro będą tu pęcherze. Czy może zaprzeczysz?

– Bo nie włożyłaś skarpet. I zawsze możesz przylepić plaster.

Maciek lubił kończyć to, co zaczął, poza tym czuł się głupio. Pójść na intencję do Częstochowy i zrejterować w połowie drogi? Co sobie ludzie pomyślą? A ksiądz? Że nie wytrzymali bez seksu? Turawa jest mała, będą plotki. Na co komu kłopoty?

– To już naprawdę niedaleko – pocieszył ją i pogłaskał po rękę.

Wyrwała dłoń i zacisnęła wargi. Do końca pielgrzymki zostały cztery dni. To stanowczo za długo. W tym czasie można się odkochać i zakochać. Oczywiście, odkochać w niej, a zakochać w Kasi. Cztery dni – magiczny termin. W takim czasie upadały cesarstwa, rodziły się imperia, ginęły lądy i wyrastały góry. Bożenka nie zamierzała ryzykować. Zainteresowanie Maćka Kasią przeradzało się w fascynację erotyczną, widziała to wyraźnie. Znała na pamięć te jego rozbiegane spojrzenia, spocone ręce, bezwiedne ruchy ramion i niezdarne podrygiwanie, kiedy tylko pojawił się w pobliżu tej dziewczyny. Bożenka pomyślała za smutkiem, że obecnie bez większej trudności pozbędzie się rywalki. Ale co będzie później? Jeśli nawet uda jej się zaciągnąć go do ołtarza, to przecież nie będzie z nim bez przerwy. Na przykład na delegacjach... Westchnęła.

– Co jest? – zaniepokoił się Maciek, tym razem na serio. – Nie wyglądasz najlepiej.

– Głowa mnie boli – skrzywiła się. – Chyba skoczyło mi ciśnienie.

– To idź się połóż – poradził. – A może masz... ? – zaczął niepewnie.

– Jeszcze nie – odpowiedziała wymijająco, aby go zdenerwować, a tym samym zająć mu myśli poważniejszymi problemami niż jakaś tam Kaśka.

– Żartujesz? – rzeczywiście zdenerwował się. – Ale to chyba jeszcze nie czas? – próbował się uspokoić.

– Czas, nie czas, jakie to ma znaczenie? – udała obawę. Znów westchnęła. – Jak chcesz, zrobię test. Ale dopiero jutro. Muszę kupić w aptece.

Teraz zdenerwował się nie na żarty, co stwierdziła z satysfakcją.

– Pójdę odpocząć – powoli wkładała buty. Tak, teraz może zostawić go samego. Z pewnością chwilowo nie spojrzy na Kasię. A jutro? Jutro może już będą daleko stąd... Podniosła się, chcąc odejść.

– Zaczekaj – zatrzymał ją. – Wiesz co? Właściwie masz rację. Po co się tak męczyć. Zjeżdżamy stąd.

– Mówisz poważnie? – ucieszyła się.

– Tak. Spadamy – zdecydował natychmiast. – Bierz bety.

Nagle wróciły jej siły. Ubierała się szybko, kurtka, plecak.. . Jakoś nie zwrócił na to uwagi, teraz miał tylko jeden cel, dotrzeć jak najszybciej do najbliższej apteki, inaczej nie zmruży oka przez całą noc. Wyszli ostrożnie na korytarz, tak, aby nie żegnać się z nikim. Oboje nie mieli ochoty na tłumaczenia. Plotki? Tym będą się martwić potem. Obecnie mają ważniejszy problem do wyjaśnienia.

Przed budynkiem tymczasem wciąż trwało oczekiwanie na Jadwigę. Trzej panowie dla zabicia czasu rozgrywali roberka.

Jadwiga zaś w pokoju próbowała doprowadzić do porządku swoją figurę i fryzurę. Nagle dostrzegła sporo braków w swojej urodzie. Przewracała zawartość plecaka w te i we wte, nie mogąc się na nic zdecydować. Przysiadła zgnębiona na łóżku.

– Boże – wyszeptła, najzwyczajniej przerażona. – W co ja mam się ubrać?

Zacisnęła wargi i zabrała się za siebie... A potem wyszła do nich.

– No, nie! – Władysław dostrzegł ją pierwszy i aż wstał. – To pani?

– Ho, ho! – cmoknął głośno Albin. – Wiedzielim, na kogo czekać!

– Pani Jadwiga siądzie z nami – Prokop podsunął jej krzesło.

Wciąż poprawiając ręką włosy, usiadła, pokraśniała z zadowolenia.

– Zagra pani z nami? – Władysław szybko przetasował karty.

– Nie wiem! – wdzięczyła się. – Nie umiem za dobrze!

– To nic, podpowiemy! – zapewnili zgodnym chórem.

*

Władysław tasował właśnie karty, gdy za szybą pokoju na pierwszym piętrze dostrzegł twarz Leokadii. Nie miała surowego wyrazu, ale chyba tak to ocenił. Rzucił kątem oka na Jadwigę, była cała w czerwonych plamach, na dekolcie, na ramionach. Przypominała indorzycę. Skrzywił się z niesmakiem. Nie mógł pojąć, co tak ekscytuje Albina i Prokopa, jego samego chyba podniecał fakt, iż właśnie nie wiedział, co takiego. Bo nie uroda Jadwigi przecież, czy ta jej, pożał się Boże, kobiecość... Zaniepokoił go widok żony za oknem. Gotowa pomyśleć sobie nie wiadomo co...

Nagle zobaczył przed sobą wyciągniętą dłoń Jadwigi. Odruchowo cofnął się. Ale palce tej dziwnie cherlawej kobiety nie sięgały w jego kierunku, tylko do Albina. Tak, teraz sam to zauważył. Koszula Albina była rozpięta. Najwyraźniej rozpięła się, gdy przeciągał się po kolejnej partyjce, odsłaniając owłosiony z rzadka tors. Albin bardzo się pocił, być może zresztą sam rozpiął guzik, aby mu było chłodniej. Jadwiga uznała widocznie, że może poważyć się na interwencję. Albin zawiesił wzrok na zbliżającej się ku niemu dłoni. Otworzył nieco usta i jak gdyby sapnął. Zachęcająco, czy przeciwnie, było to ostrzeżenie? Tego Władysław nie wiedział ani nie dociekał. Nie zdążył zresztą, gdyż ręka Jadwigi zwinnie zacisnęła się na nieco zwisającym guziku i zanim Albin zdążył zareagować, guzik został w jednej chwili zapięty. Tym razem Albin sapnął głośno, nikt jednak z obecnych nie śmiał zapytać, czy docenił w ten sposób odważny czyn Jadwigi czy nie.

Prokop siedział znieruchomiał, ze wzrokiem wlepionym w nieszczęsny guzik, tkwiący od teraz na swoim miejscu, w dziurce obleczony niebieskim overlockiem. Jadwiga dostrzegła spojrzenie Prokopa. Powoli cofnęła dłoń, jakby niechętnie. Być może czekała, aż Albin przytrzyma ją swymi grubymi palcami. Jeżeli nawet miał

taką ochotę, nie odważył się. Pewnie krępowała go obecność Prokopa i Władysława. To na nich rzucił chmurne i zacięte spojrzenie. Nie na Jadwigę, która wciąż czekała na podziękowanie, z uśmiechem na twarzy.

Władysław miał dość tego przedstawienia. Tym bardziej, że sam odczuwał pociąg do tej kompletnie nie w jego typie kobiety. Z chrzęstem odsunął ławę i wstał. Machnął nieco łokciem w stronę spozierającej ku niemu przez okno Leokadii. Usiłowali go zatrzymać, ale wymówił się zmęczeniem. Na dowód słuszności swoich słów rozprostował się demonstracyjnie i ruszył ku wejściu do budynku. Wciąż czuł nieprzyjemną ekscytację. Obawiał się, że gdy w tym stanie przyjdzie do żony, domysli się wszystkiego. Postanowił ochłonąć i aby dać sobie na to czas i sposobność, zdecydował się na wieczorną spowiedź u księdza. Skierował kroki ku drzwiom pokoju Jana, lecz zreflektował się, że do księdza też w tym stanie iść nie powinien.

Przysiadł na parapecie okiennym i pogrążył się w zadumie. Kobiecość nigdy dotąd go nie zajmowała. Nie zastanawiał się, czyjego żona jest kobieca. Było mu obojętne, jak wygląda. Nagle zdał sobie sprawę, że porównuje ją z Jadwigą. Jak przyłapany na gorącym uczynku, przypomniał sobie długie, wyciągnięte do przodu palce Jadwigi. I coś jakby zadrgało mu w piersiach. Miał ochotę wczepić się w te palce, poczuć je na swojej głowie, delikatnie, kojąco, i stać się znów małym chłopcem. W jakiś niepojęty sposób przypominała mu matkę. Właśnie ona, nie Leokadia. Przy Leokadii starał się być mężczyzną, musiał nim być. Przy Jadwidze chciał być po prostu sobą. Niezaradnym, zakompleksionym, a mimo to akceptowanym. Jadwiga posiada coś, czego brakowało jego żonie. Nie miał pojęcia, co takiego, ale to coś posiadała także jego matka. Budziło ufność i poczucie bezpieczeństwa. Leokadia takiego poczucia oczekiwała od niego. Nigdy nie ośmielił się przy niej być bezradnym. I ona pewnie by go takiego nie zniosła. Palce Jadwigi niosły matczyną czułość, jakiej nie zaznał od dawna. Nagle

pożałował, że jego guziki są starannie przyszyte i pozapinane, że nie rozsnuła mu się niebieską nicią żadna dziurka. Leokadia dbała o jego garderobę, ale nigdy nie widział jej przy takiej czynności, jak na przykład cerowanie. Jakby się tego wstydziła. Dopiero teraz po raz pierwszy zrozumiał, że brakuje mu matki. Do tej pory nie odczuwał aż tak dotkliwie jej braku. Świadomość tego faktu zaskoczyła go. Ukrył twarz w dłoniach.

Tymczasem Jan siedział w swoim pokoju, zanurzony w medytacjach. Próbował wyjść od cząstki różańca, ale myśli miał nie poukładane. Uciekały od niego. Z trudem nadążał za nimi, łapał nieporadnie, próbował kielznać, ale znów wymykały mu się, gdy choć na moment stracił czujność. Był w rozterce. Wiedział, że nie panuje nad własnymi myślami, że potracają go tylko i umykają w swoim, sobie tylko znanym kierunku. Nie uporządkowane od razu, teraz zaczęły żyć własnym życiem. Biegły na przelaj, Jan nie był już pewien, o czym właściwie rozmyśla. Ta nieuchwytność była dla Jana jakimś symptomem, czymś, nad czym przede wszystkim powinien się zastanowić. Jednak znużony wysiłkiem ciągłej pogoni za samym sobą, co chwilę dekoncentrował się, w końcu przerwał modlitwę i poddał biegowi osaczających go myśli. W ten sposób dotarł wreszcie do sedna tego, co go tak dręczyło. Było to pewne wspomnienie. A raczej pamięć pewnego dziwnego wrażenia, jakiego doznał po emisji filmu, który kiedyś obejrzał. I to nie przypadkiem. Ten film był niewskazany do oglądania dla seminarzystów. Albo raczej odradzano im oglądania go. Ale to właśnie wzbudziło w nim niepoohamowaną ciekawość. Czy zgrzeszył, oglądając w tajemnicy ten film? Nie był do końca pewien, nawet przez jakiś czas żałował, że go obejrzał. Tak też wyznał na spowiedzi, że popełnił błąd, skusiwszy się na zaspokojenie swojej ciekawości. Ponieważ, jak wtedy stwierdził, film był co najmniej kontrowersyjny, a u niego wzbudził wręcz niechęć. Z jakiego powodu? Otóż pokazany był tam Chrystus-człowiek. Przede wszystkim człowiek. Jan skłonny był więc uznać za

właściwe stanowisko sprzeciwiających się rozpowszechnianiu tego filmu.

I oto nagle stanął przed nim ten obraz jak żywy. Jakby znalazł się w samym środku projekcji. Wewnątrz, obok Chrystusa. Dlaczego wcześniej nie rozumiał tego filmu? Jego przesłania? Zaparło mu dech. Pojął, jak niezwykle dzieło stworzył Scorsese. Nie było to bierne przeniesienie Biblii, jak u Zefirellego, którym dotąd się zachwycił. Film Scorsese był przejmujący i prawdziwy. Porażający prawdą o człowieku. O Bogu-człowieku. Jan myślał dotąd o Bogu tylko w kategoriach boskich. Teraz ze strachem uprzytomnił sobie, że Bóg przecież był także człowiekiem. Może nawet przede wszystkim.. . I że o tym Scorsese zrobił film. Pytanie, które w nim zadał, było bolesne, ale oczywiste. Czy Jezus nie mógł cierpieć męki zwątpienia na krzyżu? Czy nie mógł zapragnąć zejść z krzyża i przestać być Bogiem? Przecież wołał, że Ojciec Go opuścił, czy nie odczuł tego jako klęski? Może przestał na chwilę wierzyć w sens swojej śmierci? Skoro w tej właśnie chwili był tylko przerażonym człowiekiem? Już nie Bogiem. Bo jako nieśmiertelny Bóg nie mógłby przecież umrzeć. Nie można zabić Boga. Można zabić człowieka. Więc może w tej jednej chwili nie chciał już wypełniać swojej misji? Czy nie mógł zamarzyć o zwykłym ludzkim szczęściu, z kobietą u boku? Czy grzechem jest pomyśleć choćby, że Jego cierpienie mogło dotyczyć także niespełnionego człowieczeństwa, którego się wyrzekł? Jaka tragiczna hipoteza. Ale Chrystus przecież przełamał tę pokusę. Odrzucił miłość ziemską, w imię bycia Bogiem nie został człowiekiem...

Jan poczuł się raźniej. Przez ostatnie dni dręczyło go poczucie winy. Obraz Aliny przygniatał go skutecznie, odbierał sen i apetyt, mącił modlitwy. Teraz przykład decyzji filmowego Jezusa podziałał na niego kojąco. Umocnił w słuszności dokonanego wtedy przez siebie wyboru. Odczuł ulgę, a nawet radość, że wątpliwości ma już za sobą. Alina była dla niego pokusą, jak Magdalena dla Chrystusa, i on także, jak Chrystus, nie uległ jej. Magdalena podniosła się z upadku

dzięki miłości do Jezusa i została świętą. Alina nie sprostала wyzwaniu. Miłość była jej słabością, stała się przyczyną klęski. To wyłącznie jej wina...

Odmówił szybko dziękczynienie za pomoc, jaką przez swoje rozmyślenia nieoczekiwanie otrzymał, następnie zakończył cząstkę różańca, gdy rozległo się pukanie do drzwi, ciche i niepewne. Jan pomyślał, że to Sonia, i krew uderzyła mu do głowy. A więc przyszła. Ugięła się i zapragnęła spowiedzi. Czuł się ogromnie uradowany. Ta dziewczyna w sposób szczególnie potrzebuje pomocy. Odłożył różaniec i otworzył drzwi... Stał w nich Władysław.

Jan z trudem ukrył rozczarowanie. Władysław przestępował niezręcznie z nogi na nogę i Jan odczuł coś w rodzaju zażenowania. Wolał Władysława twardego i zdecydowanego niż zagubionego uczniaka. Jan nie lubił słabeuszy. Nie potrafił więc opanować napływającego doń, nie wiadomo skąd, czegoś na kształt pogardy i aż przestraszył się. Nie miał zamiaru gardzić Władysławem. Ani dać mu odczuć własnej wyższości. Choć rzeczywiście własna umiejętność trzymania się raz obranej drogi wprowadziła go w tej chwili w dumę.

Szerokim gestem zaprosił Władysława do środka, który odetchnął z ulgą, widocznie nie do końca pewny, jak jego skrępowanie zostanie przyjęte przez księdza. Rozejrzał się po pokoju, zastanawiając się pewnie, gdzie by tu usiąść. Jan wskazał mu krzesło. Było wyściełane, z miękkim oparciem. Krzesło, wygodne jak fotel, bardziej nastrojało do drzemki niż do wyznań, a przecież miała to być spowiedź.

Jan podszedł do niego, przysiadł na krawędzi stołka i Władysław pożałował, że to nie on zajął tak niewygodną pozycję. Próbował skupić się, ale przenikliwy wzrok Jana peszył go do reszty. Czuł się jak na cenzurowanym. Spowiedź zawsze była dla niego przykrym wysiłkiem. Starał się ograniczać swoje wizyty w konfesjonale do niezbędnego minimum, teraz jednak było za późno na ucieczkę i musiał brnąć w coś, na co, jak się poniewczasie zorientował, zupełnie nie miał

ochoty. Wczepił roztargniony wzrok w szumiący zielono widok za oknem, mając nadzieję, że rozmowa potoczy się o niczym i za chwilę będzie mógł opuścić ten pokój. Jednak Jan wyjął stulę i pochylił głowę. Władysław, którego nagle zaczęła ogarniać rozpacz, zrozumiał, że nie ma już żadnego odwrotu. I że o cokolwiek zapyta ksiądz, on będzie musiał udzielić wyczerpującej odpowiedzi. Pochylił głowę jak Jan i tak trwał, z wygiętym w przód karkiem, jakby oczekiwał na opadnięcie gilotyny.

* * *

– Muzyka Artura odniosła sukces. Tak naprawdę usłyszałam ją po raz pierwszy dopiero na przedpremierowym pokazie filmu. Ale to nie muzyka tak mną wstrząsnęła. Tylko film Gerarda. Z gatunku artystycznych, gdyż trudno go było zaliczyć do stricte fabularnego. Posiadał ulotność nie tylko w obrazie, także w precyzji każdego detalu. Gerard osiągnął mistrzostwo zarówno pod względem formy, jak i emocji. Nigdy w życiu nie przeżyłam takiej fascynacji. Również Artur idąc w ślad za intuicją i wskazaniem Gerarda, sięgnął szczytu.

Projekcja odbywała się w niebywalej wręcz ciszy i skupieniu. Film, niczym teatr alternatywny. Plastyczny. Poszukujący. Tego w Polsce jeszcze nie było. Gerard wyznaczył nowy trend, stawiający wyłącznie na osobowość twórcy. Osobowość artysty. Bo Gerard był artystą. Co do tego nikt nie miał wątpliwości. A jego film był dziełem na miarę Felliniego, Kusturicy czy Jarmuscha. Kunszt scenariusza, prawda dialogów, autentyczność stworzonego klimatu, wyjątkowość potraktowania tematu. Tempo i niesłychane napięcie klaustrofobicznych wnętrz, idealnie skomponowane z momentami rozlewnych, wręcz epickich ujęć pejzaży w scenach plenerowych. Niezwykłość i uroda filmu, połączona ze swojego rodzaju alegorią przesłania. Chłonełam każdą kolejną sekundę.

Po zapaleniu świateł długo nie mogłam dojść do siebie. Trwałam w bezruchu, niczym w letargu. Jakbym nadal śniła. Aż Artur zniecierpliwiony ścisnął mnie za rękę, przywołując boleśnie do rzeczywistości. Brawa i gratulacje dla nich obu były w pełni zasłużone. Jednak gwiazdą wieczoru był niewątpliwie Gerard. Artur oszołomiony własnym sukcesem nie bardzo był w stanie licytować się w takiej chwili o to, czy przerósł reżysera czy nie. Posypały się dla niego oferty napisania kolejnej muzyki i to mu wystarczało. Tymczasem entuzjastycznie podchodzono do szansy tego filmu na Oscara w kategorii najlepszy film zagraniczny.

Wtedy po raz pierwszy popatrzyłam na Gerarda inaczej. Nie jak na kolegę Artura, z którym przegadywał kolejne wieczory, by zrobić jakiś tam film. To był Gerard, godny mojego podziwu. Dostrzegł to w moich oczach, natychmiast. Miałam wręcz wrażenie, że czekał na to. Na oznaki mojego uwielbienia. Otrzymał je, a ja ich przed nim nie kryłam. To mu schlebiało. Jak gdyby ten cały film nakręcił tylko po to, by mnie się podobało. Jakby jedynie moja reakcja była dla niego ważna. O tak, on dobrze wiedział, co powiedzą inni, znawcy, krytycy, zdawał sobie sprawę z wagi tego, czego dokonał. Ale nie dbał o to. Czekał na moje zdanie. Na moje uznanie. Może nawet gorączkowo. Z zapartym tchem. Dostrzegłam w jego oczach radość. I ulgę. Jakby ktoś zdjął mu z pleców ogromny ciężar. Ciężar tych wszystkich morderczych dni i nieprzespanych nocy. Mógł się teraz włączyć w wir rozmów i nie kończących się gratulacji.

Stałam w kącie, z kieliszkiem wina w ręku i mimowolnie wychwytywałam spojrzenia Gerarda. Zauważył to i także zaczął szukać mnie oczami, pomiędzy przewijającymi się tłumnie gośćmi. Nikt nie spostrzegł, jak przyglądaliśmy się sobie nawzajem. Patrzyliśmy na siebie i żadne z nas nie potrafiło cofnąć wzroku. A to nasze wspólne milczenie, ponad głowami, głosami, gromkimi śmiechami i głośnymi dyskusjami, stanowiło trud nie do wyobrażenia. Przytłoczeni olbrzymią ciszą, słyszalną tylko przez nas, nie byliśmy w stanie zamienić ze sobą ani słowa.

Otworzyła się przepaść pomiędzy słowami dozwolonymi a tymi, których wypowiedzieć absolutnie nie było wolno. Oboje trwaliśmy w tej nie kończącej się rozterce, co powinniśmy uczynić, jaki gest ma się pojawić. Lęk, niepewność zabijały słowa, zanim te zdołały się sprecyzować. Zamiast nich pojawiły się zmysły, ale pozbawione możliwości wytyczenia granic, tak, by nie mogły zawładnąć nami całkowicie.

Było za późno na ratunek. Nagle zostaliśmy z tym wszystkim sami, bez pomocy. Pomiedzy nami a resztą świata zaległa pustka. Byliśmy wobec niej bezradni. Tak jak wobec siebie. Chyba mój niepokój udzielił się i jemu, gdyż zaczął poszukiwać mnie niespokojnie w szklanych odbiciach fotografii, wiszących na ścianach. W każdej z nich musiał widzieć moją twarz, w wielu wersjach naraz. Wszystkie kobiety na fotografiach stały się mną. Wtedy jakby dopadło go zniechęcenie, otaczałam go wokół i to ograniczenie najwyraźniej przytłoczyło go. Milcząc, przysłuchiwał się rozmowom, nawet nie usiłując udawać, iż wie, w czym rzecz. Myślę, że widział wszędzie mnie, a zarazem siebie. Jakbym była w sposób tajemniczy powieleniem jego osoby. Ta obopólna świadomość dwoistości, a zarazem jedności, kompletnie wytrąciła nas z równowagi. Stanowiła jakąś niespodziewaną groźbę. Nie do przewyciężenia. Może potrzebowaliśmy krzyku, żeby przedrzeć się do siebie. Ale coś takiego nie mogło się przecież wydarzyć. Nie tu i nie teraz, w tej przepełnionej sali. W każdej innej rzeczywistości, być może. Ale nie w tej, wymyślonej na nasz użytek, a jednocześnie tak śmiertelnie realnej. Nagle zadałam sobie pytanie: czy jestem szczęśliwa? Nie musiałam sobie odpowiadać. Szczęściem było samo istnienie Gerarda. Współuczestniczyło teraz w mojej duszy z dotkliwą samotnością, jaką już czułam, że dopadnie mnie, wraz z jego stąd odejściem. Pragnęłam Gerarda tak mocno, że moje pragnienie nie mogło zostać zaspokojone. Nigdy. W żadnych okolicznościach. Stało się moim przekleństwem. Moją zgubą.

*

Jan dostrzegł roztargniony wzrok Władysława. Podążając w ślad za jego spojrzeniem, sam zagłębił się w melancholijnie zapadającym zmierzchu. Ręka mu drgnęła niepewnie, jakby i on wolał teraz stopić się z tym zielonym wieczorem, z kaskadą gwiazd, wytryskającą już na kopule nieba. Nigdy dotąd nie doświadczył tak mocno urody świata. Dotąd nie pociągała go. Wolał emocjonalną ascezę, chłodne podejście do wszelkiego stworzenia, także tego nieożywionego, a jedynie istniejącego bezświadomie.

Bóg stworzył to, co niezbędne jest człowiekowi do życia, ale także potrzebne dla jego gustu i smaku, aby się w tym swoim ziemskim więzieniu w miarę dobrze czuł i tyle. Tych, co za bardzo się zachwycali tym doczesnym domem i za wszelką cenę uczepli życia z rozpaczą myśleli o jego opuszczeniu na zawsze, by zamieszkać w domu Ojca, co do istnienia którego mieli tyle wątpliwości, a jeszcze mniej przekonania, nie rozumiał, ganił ostro, beształ z pogardliwą irytacją.

Seledynowe niebo oczarowało go, zupełnie dla niego niespodziewanie. Razem z Władysławem otwarłszy usta, gapił się teraz jak dziecko, w cichy, morsko-słony widok za oknem. Coś szumiało, bzykała jakaś zapóźniona pszczoła i Jan nagle zapragnął znaleźć się w swojej wsi, w lesie, na drodze do szkoły i patrzeć w jasne oczy Aliny, błyszczące jak kulki cynfolii spod granatowego beretu. Wspomnienie Aliny otrzeźwiło go.

– Tak? – zwrócił się do Władysława zachęcająco, wyglądając stulę.

– No więc... – Władysław drgnął i wziął głęboki oddech, jakby miał skoczyć w kipiącą topiel. Koszula zatrzeszczała mu niebezpiecznie. – Chciałem porady...

Jan nie wiedział co począć, odłożyć na bok stulę i kontynuować dopiero co rozpoczętą rozmowę, czy uznać, że jednak jest to spowiedź.

– Ja... – Władysław westchnął prawie z rozpaczą – odbył wczora... z żoną... – zamilkł, czekając na reakcję księdza, jednak nie doczekawszy się niczego, dokończył zdanie – nie wim, czy to nie grzech... tak na pielgrzymce...

– Obcowanie cielesne małżonków nie jest grzechem – poinformował go Jan beznamiętnie – choć faktycznie na pielgrzymce lepiej się z tym wstrzymać. Jak tam u was ze wstrzemięźliwością? – zagadnął zachęcająco. – Gdy na przykład rozłąka, nie zdradzacie żony?

– Gdzieżby tam! – obruszył się Władysław szczerze. – Czasem jakieś myśli, chęci, ale nic, nic więcej!

– Współżyjecie regularnie? Bo widzę tylko jednego syna... – Jan spytał o to tylko dlatego, żeby podtrzymać rozmowę, bo Władysław najwyraźniej spieszył się ją zakończyć.

– No tak, wtedy gdy można, ksiądz rozumie... – Władysław odpowiedział szybko i bez namysłu, chcąc wreszcie wyjść. – W te dni, co by mogła zająć, to nie...

– Zaraz, zaraz – Jan nagle wyraził zainteresowanie. – Czegoś nie rozumiem. Unikacie zapłodnienia?

– No tak – zdziwił się Władysław. – Mamy swoje lata, po co nam więcej dzieci? Dość roboty z jednym...

– Przecież to grzech! – obruszył się Jan.

– Co grzech? – teraz nie zrozumiał Władysław.

– Grzeszycie przeciw poczęciu – wyjaśnił Jan, zdumiony, że musi tłumaczyć takie oczywistości.

– Prze.. . praszam? – Władysław wytrzeszczył oczy. – Przeciw czemu? Co ksiądz opowiada? – zdenerwował się nie na żarty.

– Wolno obcować z żoną cielesnie tylko w celu płodzenia. Jeżeli małżonkowie nie planują dzieci, powinni wstrzymać się od współżycia.

– Zara, zara! – Władysław aż podskoczył. – To znaczy, ksiądz chce powiedzieć, że ja, że my... – aż zaczął się jąkać – czternaście lat z żoną grzeszym?

– Tak. Nikt wam o tym nie powiedział?

Władysław wczepił się palcami w krzesło i krew uderzyła mu do głowy. Jeżeli ksiądz miał rację, to znaczyłoby, że musi przestać używać sobie z Leokadią albo płodzić co rok kolejne dziecko.

– Ale przecie my... – próbował jeszcze bronić się – nie stosujem żadnych tych tam... antykoncepcji...

– Antykoncepcją jest także unikanie współżycia w dni płodne, by nie dopuścić do zapłodnienia. A to grzech. Można tak postępować tylko w szczególnych przypadkach, przez jakiś czas, na przykład zaraz po porodzie, aby pozwolić żonie dojść do siebie, albo w przypadku choroby, ale nie na stałe. Ciało nie służy do seksu. Małżonkowie okazują sobie w ten sposób miłość, ale ta miłość fizyczna została przez Boga stworzona jako narzędzie do rozmnażania, nie do zażywania przyjemności. Ciało ma pozostać czyste. Nie wolno go brukać.

Władysław bladł i czerwieniał na zmianę. Przez moment stracił oddech, nie miał pojęcia, jak teraz wstanie i wróci do Leokadii. Nie myślał już o Jadwidze, zupełnie zapomniał, że to przez nią tu się znalazł. Miał teraz prawdziwy problem, jak powiedzieć Leokadii, czego dowiedział się od księdza. Wstał, nie czekając na rozgrzeszenie i pokutę. Jan próbował go zatrzymać, ale Władysław szedł sztywno w stronę drzwi. Nie słyszał już żadnych słów, które padały ku niemu. Prawie uciekł. Ochłonął dopiero za drzwiami. „Jezu” – jęknął do siebie w głębi duszy i powlókł się w stronę swojego pokoju. Długo stał na drżących nogach, zanim nacisnął klamkę.

Leokadia siedziała przy Gabrysiu, czytała mu bajki, te jego ulubione. Przy których zawsze uspokajał się. Wytarła starannie ślinę ciekącą z ust syna, poklepała go pieszczotliwie po czole. Zanuciła kołysankę.

– Gdzie ty był tak długo?– zwróciła się w końcu do Władysława, a nie doczekawszy się odpowiedzi, dodała: – Coś tak zamilkł?

Podeszła do niego, chcąc go oderwać od przykrych myśli, rozweselić. Odsunął ją łagodnie, lecz zdecydowanie. Zdziwiła się nieprzyjemnie.

– Co jest? – zaniepokoiła się, nie na żarty. – Choryś?

– Był ja u księdza – rzekł szorstko, nie patrząc na nią.

– Ach, więc to – zrozumiała i odetchnęła. – Taż po coś tam lażł i gadał o nas, cośmy wczora robili? Tera ksiądz zły? Że hańbimy pielgrzymkę? To trza się było strzumać, a nie zżumać się tera!

– Nie o to zły – Władysław machnął bezradnie ręką. Czuł, jak dopada go rozpacz.

– No, to o co? Gadajże! – była coraz bardziej zniecierpliwiona.

– W ogóle nie mozem. Bo grzech – wykrztusił wreszcie.

– Co nie mozem? – Nie zrozumiała. Wytrzeszczyła oczy. – Gadajże!

– Musim cały czas albo wcale.

Powoli dotarło do niej, o czym gada jej mąż.

– Przecie w ciąży zańdę! – zdenerwowała się. – A jak drugi taki będzie? Jak Gabryś? Boże broń!

– To wcale.

– Jak to? – przestraszyła się i aż usiadła. – Jak to wcale?

– Strzumać się. Bo ciało nie do zabawy, ino do dzieci.

– Co, co? – nie mogła złapać tchu. – To my grzeszym?

– A grzeszym. Bo nie uchodzi tak.

– I co? – Nie mogła pojąć. – Już do końca życia nic?

– Jak nie chcesz się zaciężyć, to nic.

– Chryste! – przeżegnała się ze trzy razy. – I co tera będzie? Władys! – zajęczała.

Podrapał się po głowie.

– Tak sobie myślę, że my grzeszyliśmy, bo nie wiedzieliśmy. Żyłim w grzechu, to i nas pokarało chorobą Gabrysia. Może jak przestaniemy, to on ozdrowieje.

– Co gadasz, człowieku? Jakże to tak? To co to za życie? Żeby chłop nie mógł z własną babą, bo grzech? Co to za grzech? Ja tego nie słyszała!

– A grzech. Przeciw poczęciu.

– Przeciw... czemu? – chwyciła się za serce, jakby zaraz miała dostać zawału.

Władysław milczał ponuro. Żał mu było baby. Ale bał się księdza, Boga i piekła. Podrapał się niepewnie po głowie.

– Władys! – Leokadia uczepiła się jego ręki, ściskając konwulsyjnie. – To jak my żyć będziemy? Przecie ty tak lubisz i ja... także... to jak będzie? Jak tera żyć?

– Nie wim tego. – Władysław nawet nie usiłował uwolnić ręki od żelaznego uścisku palców żony.

– Na mój rozum – dygotała Leokadia jak w febrze – to coś tu jest nie tak. Może ksiądz się pomylił. Trza to sprawdzić!

– A jak nie? – Władysław był bardziej sceptyczny. – Trza żałować za grzech i nie grzeszyć więcej.

– Ale nasz Pan Bóg przecie miłosierny! Więc może On się uzali? Po co ty księdzu o tym gadał, tera takie nieszczęście, żeś wygadał. Ja ci radzę, ty swoje wiedz. Cośmy robili, to i robić będziemy. A ty się księdzu na spowiedzi nie opowiadaj. Bo może to wcale nie grzech. A jak się kiedy okaże, że nie, to co sobie tera tym będziemy głowę zaprzętać!

– Ale Gabrys! – Władysław jeszcze próbował oponować słabo. – Jak my się Bogu przeciwimy, to nam pielgrzymka na nic. Gabrys nie wróci zdrowy, bo Bóg się zagniewa!

– Zagniewa, nie zagniewa, tego nie wiesz. Zobaczy się. Może się nie zagniewa. A jak Gabrysiowi nie pomoże, to i będziemy dźwigać ten krzyż. I tak dźwigamy tyle

lat. A przynajmniej użyjemy sobie. Czy my zakonniki, żeby od życia pościć?

– Oj, babo, babo! Do piekła nas wpędzisz! – niby zły, ale już z ulgą przekomarzał się Władysław z Leokadią.

Usłyszała zgodę w jego głosie i przywarła swoim falującym brzuchem do jego twardego biodra. Przytrzymał ją mocno.

– Tera my na wieki razem! – zaśmiała się, choć grube łyzy zbierały jej się pod powiekami.

Odsunął ją jednak.

– Ale na pielgrzymce się strzymamy. Jakaś ofiara być musi. Nie będziem jak te psy...

– Dobrze, Władys, dobrze. Niech i tak będzie.

Obtarła nos głośno i podeszła do Gabrysia. Siedział wpatrzony w sufit, jakby nieobecny, ale była przekonana, że zrozumiał, o czym rozmawiali. Poświęcili jego zdrowie. Już nie stanie na nogi. Nigdy. Przez ich grzech. Wargi jej zadrżały.

– Wybacz – szepnęła i pocałowała go lekko w głowę. – Ale tyś i tak przyzwyczajon do wózka. A jak ja nie będę dawać twojemu tacie, to mnie rzuci jak nic. Muszę, synku, rozumiesz?

Nie odpowiedział, więc nie miała pewności, czy nie miał żalu. Ale nie chciała znać odpowiedzi. Bo to nie była cała prawda. Bała się także o siebie. Że będzie ją spierać co noc, a Władysław jej nie tknie, aż w końcu sama zacznie się łapać za byle chłopów, jak jaka lafirynda. Nie patrzyła już na Gabrysia, unikała też wzroku Władysława. „Boże, Boże! – tłukło się wciąż w jej głowie – jak my tera będziem chodzić do Komunii?“, I czuła, jak strach ścisną jej gardło niczym obręcz.

*

Albin był bardzo zadowolony. Szedł rażno do pokoju, pogwizdując z cicha i

niosąc w obu rękach puszki z piwem. Za nim włókł się Prokop. To właśnie tak cieszyło Albina. Wyciągnięta ku jego piersi dłoń Jadwigi wciąż jeszcze widniała mu przed oczami. Z satysfakcją słuchał za sobą człapania Prokopa, wyglądało na to, że obaj rozumieli, iż to Albin wygrał tę pierwszą i miał nadzieję, że ostatnią, batalię o Jadwigę. Wtaszczył się do pokoju w świetnym humorze. Prokop dołączył do niego po chwili, zdyszany nieco. Albin położył puszki na stole i z hałasem odsunął krzesło. W ogóle był hałaśliwy z natury, to głośno cmoknął, to siorbnął, to firankę odsunął z rozmachem. Prokopa nagle zaczęło to drażnić.

– A piesek, tak na polu, sam, bez uwięzi, nie ucieknie to? – zagaił Albin przyjaźnie, widząc jego zwarzony humor, który to widok znów mile polechtał jego męską dumę.

Tak, Prokop był zazdrosny i wcale nie zamierzał tego ukrywać, ba, nawet nie umiałby.

– Pan, sąsiedzie, to dusza człowiek – pocieszył go Albin. – Zapomnijmy o zwadzie. Co było, a nie jest... Częstuj się pan, ja stawiam, na zdrowie! – i z trzaskiem otworzył dwie puszki.

Prokop zarzekał się w duchu, że nie uszczknie ani kropelki od rywala, ale taka żalność napłynęła mu do piersi na widok promieniejącego oblicza Albina, że poczuł, jak wysycha mu w gardle i że koniecznie, ale to koniecznie musi się napić, by zalać robaka. Sięgnął więc po puszkę i zaczął dudlać łyk za łykiem, nie przerywając, co Albin obserwował ze skupioną uwagą, ale i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Odbiłeś chłopu babę, to przynajmniej nie niszczy jego honoru – ot, czym kierował się w życiu.

– A pan, przepraszam za śmiałość, nie ma pretensji do Jadwigi o ten, że tak powiem... guzik? – zapytał Albin ostrożnie.

– O guzik? – wymamrotał niepewnie Prokop. – A... nie. Nie.

I znów pociągnął tęgi łyk, po czym odsapnął. Wyraźnie poczuł się lepiej.

Chandra powoli zaczęła ustępować zobojętnieniu i pogodzeniu się z faktem dokonanym. Cóż, kobieta płochą jest. Wydawało się, że lubi Prokopa, wybrała Albina, no i daj jej Boże... Znow pociągnął i wzrok nieco mu zmętniał. Albin, który też osuszył kolejną puszkę i zabierał się do następnej, również miał już nieco zamglone oczy.

– Nie będziem się kłócić – zagał Prokopa łaskawie. – Kraj jaki jest, każdy widzi. – Stuknął puszką o puszkę. – No to, żeby my zdrowi byli.

Prokop smętnie pokiwał głową i zwił nad swoją puszką z nosem na kwintę. Czuł się rozgoryczony, ale nie zamierzał bić się z tym osiłkiem o kobietę. Cóż, gdy chodziło o kobiety, zawsze przegrywał, jakoś nie miał do nich szczęścia. Więc co by to dało, gdyby próbował rozkwasić nos Albinowi? I tak mu nie rozkwasi, najwyżej Albin jemu, a gdyby nawet Prokopowi udało się tego dokonać, to Jadwiga żałować i opatrywać będzie Albina, nie jego. Ponure myśli kłębiły mu się wciąż w głowie, nie opuszczały go ani na moment. Z tego żalu zabrał się za trzecią puszkę, którą skrzętnie podsunął mu życzliwy teraz Albin.

– Co złego, to nie my – zarzekał się Albin przy tym. – Ja panu ojca wybaczam, bo ojców się nie wybiera, szanować i czcić ich trza, jakimi są. To nasza powinność chwalebna. Pan żeś zacny chłop, choć żeś skądinąd przyszedł, ale grunt, żeś tera z nami. Kraj kochasz i dobry patriota.

Prokop milczał, pogrążony w niemej zadumie, wzrok coraz bardziej mu się mącił, miał słabą głowę, nie powinien tyle pić, ale dziś, przez ten żal, co go tak ścisnął, miał ochotę się upić na umór. Sięgnął po czwartą puszkę, jakby zamierzał iść łeb w łeb z Albinem pod względem ilości zaliczonego trunku.

– Żeby prawdę rzec – pochylił się ku niemu Albin poufale – to ja sam mam tego dość. Tej drożyzny i niepewności. Kopalnie pozalewali, a najwięcej my na węglu zarabiali. Tera Chinczyki mają nas w garści. I tyła.

Albin pokiwał głową ze smutkiem. Żałość odmalowała się na jego obliczu,

równa żalości Prokopa. Obaj pochyleni nad stolikiem kiwali się monotonicznie, zgodnym rytmem powolnego czkania.

Dzień czwarty

W motelu nie było zbyt wielu gości. Budynek, odremontowany stary dworek otoczony lipami, zdobiły myśliwskie trofea, zawieszane przez właściciela, zapalonego myśliwego. Na ścianach pomieszczeń można było zobaczyć jelenie poroża oraz porozwieszane skóry dzików i saren. W sali jadalnej, zwanej kominkową, wywieszono oszklone zbiory motyli i innych owadów, a także starannie spreparowane okazy niektórych chronionych roślin. Ksiądz trochę się zżymał, nie znosił niszczenia przyrody, ale powstrzymał się przed niewczesnymi uwagami z powodu gościnności gospodarza, który podjął przybyłych śniadaniem. Wysłuchano przy tym jego uroczystej mowy, po czym odmówiono modlitwę w intencji zdrowia jego teścia. Zona gospodarza, drobna brunetka o dość nietuzinkowych rysach, przypominająca nieco Włoszkę, uśmiechnięta, zachęcała do raczenia się sałatkami i serami.

Podczas śniadania spostrzeżono natychmiast nieobecność Bożenki i Maćka, co Albin skwitował ponurym i dość obcesowym śmiechem. Leokadia wyjaśniła, pośród ogólnie zapadłego milczenia, że widziała wieczorem przez okno odchodzącą parę, miała jednak nadzieję, że poszli tylko na spacer... Albin zabębnił głośno palcami po stole, po czym wygłosił sentencję na temat podejrzanego prowadzenia się dwojga nieobecnych, i, jak zapewniał, wie, co mówi. Jadwigę zirytowało to na dobre. Nie lubiła zaciętrzewienia. Pochyliła się ku Prokopowi i z uśmiechem podała mu półmisek z wędliną. Prokop zawiesił na jej twarzy dziękczynny wzrok i rozanielony pozwolił nałożyć sobie nielichą porcję. Albin oczywiście zauważył te, jak uznał, umizgi Jadwigi, i o mało nie dostał apopleksji. W jednej chwili pożałował swojego wczorajszego bratania się z Prokopem.

Ksiądz, zmuszony ogólną konsternacją do podsumowania zaistniałej sytuacji,

wyznał, że nie spodziewał się po młodych, iż opuszczą ich w tak nagły i bez pożegnania sposób. Kasia parsknęła złym śmiechem i skwitowała na głos, bez ogródek, że ksiądz widocznie mało wie na temat młodzieży, co z kolei wywołało zażenowanie na twarzy podejmującego ich gospodarza.

Poranek był pochmurny i mglisty. Zarówno Prokop, jak i Kasia obudzili się dziś z bólem głowy. Oboje też byli bladzi i niewyspani i robili wrażenie, jakby wrócili z dalekiej, wyczerpującej wyprawy. Albin za to, całkiem bez kaca, o jaki można by go podejrzewać z racji ilości wypitego wczoraj trunku, z zaciętością pochłaniał górę mięsiwa, przysięgając sobie, że jeszcze się z Prokopem porachuje, co, jak mniemał, nie będzie specjalnie trudne, zważywszy na cherlawą tężyznę i wory pod oczami niewyspanego Prokopa.

Kasia blada i osowiała nie jadła prawie nic, na wszelkie próby namówienia jej do spożycia posiłku odpowiadała opryskliwie i arogancko, aż w końcu dano jej spokój. Ksiądz zaniepokoił bardzo stan jej ducha. Było mu wstyd przed gospodarzem, z trudem starającym się zignorować dąsy dziewczyny, ale też martwił się, jak ledwo trzymająca się na nogach Kasia da sobie radę z pchaniem wózka Gabrysia.

Budniokowie siedzieli cicho przy końcu stołu, karmili syna w milczeniu i nie przyłączali się do ogólnej dezaprobaty okazywanej dziewczynie, choć przecież ta sprawa dotyczyła ich w pierwszej kolejności.

Gładko spleciony warkocz Soni, upięty w ciasną koronę, oplatał jej twarz, która wydała się księdzu mizerna. Sonia jadła niewiele, co Jan stwierdził z przykrością, i tym tylko ustępowała Kasi, że milczała i przełykała cokolwiek.

„Takie młode dzierlatki – pomyślał Jan zadziwiony – zamiast wciąż trajkotać do siebie, usta nie powinny im się zamykać od śmiechu. Przecież to taki wiek, plotek i konfidencyjnych przyjaźni. Co się z nimi stało, obie wyglądają jak chore?“. Ale zanim znalazł zadowolającą go odpowiedź, gospodarz wznosił toast za

zdrowie gości i należało wychylić kieliszek wina.

– Idźcie z Bogiem, w imieniu nas wszystkich – powiedział wyraźnie wzruszony gospodarz, a Jan jakoś nie śmiał mu zaproponować, że jeśli ma ochotę, może przecież dołączyć do nich.

Gospodarz usiadł ciężko obok księdza, jak gdyby wyczuł jego myśli.

– Pewnie zauważył ksiądz, że kuleję? – zapytał cicho, prawie ze wstydem. – Nie? Mam dobrą protezę. Wprawili mi sztuczną panewkę w biodrze. Ale nie mogę chodzić za dużo ani dźwigać. Poniósłbym drzewce za tych młodych, co wam znikli, ale rady bym nie dał.

– Ależ – obruszył się ksiądz – gdzieżbym pana zmuszał. Pan, nasz dobrodziej, modlić się za pana będziemy u Jasnej Paniienki.

– O to, to – ucieszył się gospodarz – to miałem na względzie. Bóg zapłać księdzu.

Przez chwilę milczał. Jan nie mącił ciszy, w którą ten się zapadł. W końcu gospodarz ocknął się i uśmiechnął przepraszająco.

– Ksiądz dziwi się, że ja taki szczodry. A dla kogo ja mam to wszystko? Dla nikogo. Dzieci Bóg nie dał, adoptować nie chcę. Nie, żeby miał coś przeciwko, uchowaj Boże, ale kochać bym nie potrafił. Nie tak jak własne. Obaw we mnie tyle, że nie mogę. Bo co potem, jak przygarnę sierotę, a mi nie podejdzie? Oddać? Przecież to nie pies! A i psa niegodnie tak potem do schroniska odwozić. Nie po chrześcijańsku.

– Ano, tak – przytaknął Jan machinalnie, choć przez chwilę nie był pewien, czy powinien. – A żona co na to?

– Ona by i chciała, ale wie ksiądz, z tego banku ojców, czy jak tam, żeby chociaż jak nie moje, to jej było. Ale ja, tak jakoś... niekoniecznie...

– Rozumiem – znów przytaknął Jan, choć rozterki bezpłodnego małżeństwa przy suto zastawionym stole wydały mu się niestosowne.

– A jak ksiądz sądzi, z tym sztucznym zapłodnieniem, wyrazi kiedyś Kościół zgodę? Bo tak to by nam najbardziej odpowiadało. Swoje własne by było...

Jan aż się spocił. Z trudem opanował nerwy. Więc to tak. Gospodarz pragnie od niego dyspensy. I co ma mu teraz odpowiedzieć, między jednym kęsem szynki a drugim? Z winem przy talerzu? Najchętniej zakończyłby już tę biesiadę i całe to niefortunne rozważanie o możliwościach posiadania potomstwa. Tego jeszcze brakowało, żeby gospodarz zapytał z kolei o klonowanie. Czuł, że ten człowiek nie miałby nic przeciwko temu, żeby mu sklonowano syna z jego komórki lub córkę z komórki żony, i aż wzdrygnął się przed taką możliwością. Odwodzenie ich od tego pomysłu wyglądałoby na niewdzięczność lub co najmniej niegrzeczność. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że gospodarze znając stanowisko Kościoła w tej sprawie, nie rozpoczną dyskusji. Gospodarz chyba jednak uznał temat za wyczerpany, bo tym razem zaczął opowiadać o swoim śmiertelnie chorym teściu. Ksiądz starał się słuchać z uwagą, mimo że czas płynął i już dawno powinni opuścić gościnniej dom i ruszyć w dalszą drogę.

– Dlaczego nie leczy się wszystkich chorych, a tylko ustala listy i kolejki? Czy to jest moralne? Przecież część z tych ludzi na pewno umrze!

– To pytanie nie do mnie – wykrztusił wreszcie Jan.

– Ale to księża powinni zabrać głos w tej sprawie. Przecież to także forma eutanazji. Ksiądz tego nie widzi?

Jan miał dosyć tej rozmowy, do której zupełnie nie był przygotowany. Co najdziwniejsze, nikt z siedzących przy stole nie podjął tematu. Nikt nie przyłączył się do dyskusji. Jakby dyskusowanie o drażliwych sprawach z kimś, kto ich podejmował, było czymś niewłaściwym. Szczękały sztuce o talerze, dzwoniły szklanki, rzucając miękkie światła na obrus, nakrywający długi stół. Na schłodzonej wazie pełnej kompotu perliły się przezroczyste, zimne krople. Ksiądz poczuł się nieswojo, jakby uczestniczył nie we własnym, lecz w cudzym życiu,

jakby zamienił się z kimś przez pomyłkę miejscami. Frędzle obrusu drżały nieubłagane, potrącane bezustannie czyimiś kolanami. Spektakl ten jednak dobiegał końca. Ksiądz miał tego absolutną świadomość i to sprawiło mu ulgę. Uśmiechnął się z wysiłkiem, starając się, aby uśmiech wypadł życzliwie i przeprosiwszy uprzejmie gospodarza, wyjaśnił, że miło się tak gawędziło przy stole, ale na nich czas, muszą niestety ruszać już w drogę. Po czym wstał, jakby nie zamierzał dopuścić do żadnej dalszej dysputy. Gospodarz również się podniósł, a za nim pozostali. Rozpoczęło się kurtuazyjne, pełne serdeczności pożegnanie. Gospodarz zapraszał za rok, obiecywali, że nie omieszkają skorzystać, po czym rozeszli się po pokojach po rzeczy, aby następnie udać się na miejsce zbiórki przed domem.

* * *

– Był czerwiec. Dystrybutor stwierdził, że film Gerarda pójdzie w kraju do rozpowszechniania dopiero jesienią, nie teraz, nie w sezonie ogórkowym. Na jesień zaplanowano więc premierę połączoną z huczną promocją. Na polskim rynku miał być niewątpliwą atrakcją, reklamowaną jako pierwsze w kraju prekursorskie dzieło w tym stylu, nieustępujące niczym standardom światowym. Tymczasem Artur podpisał kontrakt na napisanie muzyki do nowego, dużego filmu pełnometrażowego. Miała to być koprodukcja filmowa z Niemcami, szło o spore pieniądze i europejski prestiż. Gonił go jednak czas, termin oddania pracy zbiegał się w czasie z jesienną premierą obrazu Gerarda. Artur pracował gorączkowo, prawie nie wychodził z domu. Potem rozsyłał niezliczoną ilość nut i partytur, trwały próby, znikał na całe noce, po których wracał wstrząśnięty i blady.

Znałam ten wyraz jego twarzy. Nie szło mu. Nie wychodziło! I nie rozumiał dlaczego. Pamiętam, jak weszłam do pokoju z talerzem rosołu, od rana nie miał nic

w ustach, nie reagował na wołanie do obiadu. Przez szeroko otwarte okno wpadł żółty liść i zawirował, rzucając migotliwe esy-floresy na ścianę. Patrzyłam, jak wiruje, opada coraz niżej, jak kołuje w stronę fortepianu, przy którym Artur w męce odprawiał swoje egzorcyzmy. Nie widział mnie ani liścia. Ani talerza. Na próżno podeszłam do niego i położyłam talerz na stoliku obok. Pochłonięty był rozmową przez telefon. Jedną ręką uderzał w klawiaturę, a drugą przytrzymywał słuchawkę przy uchu.

„No więc niech zrezygnuje z tej kwarty, niech leci samymi tercjami, nie, nie może zejść z tego es, na miłość boską, to niech zmieni instrument, tam jest septyma, a potem nona, nie, nie wiem, dlaczego nie brzmi! Rób jak chcesz!... ” – wołał do telefonu, jakby błagał o ratunek.

Rzucił słuchawkę. Spojrzał na mnie nieprzytomnym wzrokiem. Wiedziałam, co się stało. Rezygnował po kolei ze swoich pomysłów, które uznano za zbyt trudne, zbyt nowatorskie. Upraszczano, upraszczano. A on był zbyt przerażony, by protestować, i bał się nawet pomyśleć, co w efekcie pozostanie z jego koncepcji. Zabrakło mu Gerarda. Tamtej atmosfery gorących dyskusji. Jego cennych rad i podpowiedzi, jego wiary i siły przekonania w słuszność tego, co robi. Jego bezkompromisowości. Artur rozmyślał się. W uległości. To nie wróżyło nic dobrego. Wiedziałam o tym, tak dobrze jak on. Nie zjadł zupy. W ogóle nie mógł jeść. Tamtego nieszczęsnego dnia zapytałam go o zaliczkę, bo musiałam opłacić rachunki. Uderzył mnie. Może nawet nie bardzo wiedział, co robi, po prostu oddał cios, jaki wcześniej zadano jemu. Zrobił to jakby mimochodem. Krew puściła mi się z nosa, ale nie widział tego, wpatrzony w czerniejący przestwór fortepianu, z którym już nie potrafił się utożsamić. Obok niego leżały puste butelki. Bo właśnie wtedy zaczął dużo pić. Wtedy, gdy przestał na dobre jeść. I spać. Już tylko wegetował. Zdał sobie sprawę, że nie dotrzyma terminu. W ogóle nie ukończy tej pracy. Zabiły go kompromisy. Pójście na ugodę. Zabrnął w ślepą uliczkę, bo nie

zaproprowano mu niczego w zamian. Przedtem Gerard podsuwał mu pomysły, inspirował, zapładniał twórczo. Teraz Artur był sam. Reżyser niemiecki nawet się nie pokazał w naszym domu. Odesłał Artura do producenta, któremu Artur miał pokazać gotową całość. Tymczasem scysje z muzykami wymknęły się spod kontroli. Brakło porozumienia. Nieustające ingerencje zabijały w nim inwencję twórczą. Nie potrafił narzucić swojej woli, a może po prostu nie był zdecydowany, może sam nie był pewien, do czego dąży, oczekiwał od nich podpowiedzi, takich jak od Gerarda? Doczekał się tylko chaosu...

Uderzył mnie, bo akurat znalazłam się pod ręką. Od dawna nie widział nikogo. Ani mnie, ani Oli, chyba nawet siebie... Nieogolony, wiecznie podпиты, grzęznął w coraz głębszych frustracjach.

Chciałam wybiec z domu. Byłam w szoku. Do tej pory mnie nie uderzył. A ja panicznie bałam się bicia... Przeraził mnie! Przypomniiał ojca, dziadka... Otworzyłam z rozmachem drzwi... Stał za nimi... Gerard! Teraz? Tu? Dlaczego? Nic mnie to nie obchodziło. Z nosa płynęła mi krew. Jak otumaniona wybiegłam z mieszkania i popędziłam w dół, po schodach. Dlaczego? Nie wiem. Gerard pobiegł za mną, choć nie musiał. Z pewnością nie przyszedł do mnie, tylko do Artura. Zresztą nie wiem, po co przyszedł. Może tylko tak zaszedł? Zapytać, co słycać? A może zatęsknił za tamtym naszym zapatrzeniem? Przeraziła go krew na mojej twarzy...

Lało jak z cebra. Gerard pochwycił mnie. Nie broniłam się. Jakbyśmy oboje na to czekali. To wtedy zdarzyło się to nasze pierwsze hotelowe spotkanie, po którym wracałam do domu z duszą na ramieniu, co z Olą, co ze mną, co dalej, i po którym przyszły następne spotkania, bo nie było już od nich odwrotu... Wtedy, pierwszego razu, lało bez końca, woda spływała mi po twarzy. Deszcz szczelnie wypełnił wszystko poza nami. Później kochaliśmy się jak opętani. Jakbyśmy byli niewidzialni. Ukryci przed wścibskim światem. Bezkarci. Jeszcze wtedy w to

wierzyłam.

Staliśmy potem w hotelowych drzwiach, nie umiejąc się rozstać, blisko siebie, oparci o framugę. Jedno naprzeciw drugiego. Nasze głosy przeplatały się ze sobą, jak modlitwa. Gerard mówił coś, moje wargi podążały za nim. Nigdy w życiu nie byłam tak szczęśliwa i tak nieszczęśliwa jednocześnie. Gerard mówił z trudem, jakby żałował całego swojego życia, jakby już tęsknił za tym, co sobie w tej chwili uświadomiliśmy. Bo przecież to już się stało. Trzeba będzie przestąpić próg mojego domu i spojrzeć Arturowi w twarz. Zaczną się kłamstwa, tajemnice, a w końcu ucieczki. Ciągła pogoń. I nieustające uczestnictwo w spisku.

„Dobrze, że mamy to już za sobą, Soniu” – usłyszałam i Gerard objął mnie. Lubił się we mnie wpatrywać. Nie byłam piękna, ale nie tego szukał w mojej twarzy. Zachłystywaliśmy się samym naszym istnieniem, tym nieprawdopodobnym spotkaniem. Byciem. We dwoje. Które było teraz jedynym sensem życia. Sednem. Jakbyśmy doznali objawienia. Każde nasze miejsce stawało się kolejną ojczyzną. Nie czuliśmy się skrępowani. Błogość wypełniała nas bez reszty, unosząc ponad ciekawskimi spojrzeniami ludzi, które budziły w nas lęk. Pomyślałam, jakie to szczęście, że Boga nie można ujrzyć ani pojąć. Dzięki temu świat stawał się nam schronieniem. Pomiędzy tym, co było, a co miało nastąpić, nie było dla nas żadnego pomostu. Żadnych rozliczeń. Niczego nie było. Tylko łóżko i nieznane kształty za oknem, ni to cienie, ni smugi neonowych świateł, które chwiały się, jakby groziły nam wyciągniętym palcem. Czy to Opatrzność ostrzegała nas? Czy przeciwnie? Uspokajała? Chroniła? Stała na straży, wierna orędowniczka zakazanej, ukrywanej przed wszystkimi miłości? Być może byliśmy niemoralnymi marzycielami, bo przecież nie żyliśmy prawdziwym życiem. Nie posiadaliśmy niczego wspólnego, niczego na własność. Nic nie należało do nas i nie miało należeć, dom, ręczniki, śniadania, niedziele czy święta, kąpiele ani choroby, nawet wakacje. Zawsze osobno. Oficjalnie. Ukradkiem. Kraść cenne minuty. Wyrwać

godziny kolejnym dniom. Marzyć o nocy, wzajemnym uścisku na dzień dobry. Być ze sobą. Być. Być. To właśnie było zupełnie nierealne. Nie do spełnienia.

Dręczyło mnie przekonanie, że będzie tak zawsze. Że nie może być inaczej. I wtedy napłynęła pokora. Wielkie pogodzenie. Akceptacja bezustannie wijącego się wokół serca strachu, który stapał się w jedno z pragnieniem. W stan poza wszelkim dobrem i złem. Jedyne w swoim rodzaju raj, na pograniczu piekła.

*

Jan już dawno nie widział takiego poranka. Mgła podniosła się i otuliła lekką koronką pobliskie drzewa. Było chłodno i rześko. Słońce rozpylone w milionach kropeł mieniło się wielką tęczą, przez którą jak przez baśniową bramę mieli za chwilę przejść. Gapił się na niezwykle, drgające w powietrzu zjawisko. Wokół panowała cisza, jakby i ją zaczarowały błękity, fiolety i oranże splecione w jedno, niczym wyciągnięte ku sobie ramiona.

„Czy to znak? – myślał intensywnie Jan. – Czy to jakiś znak dla mnie? Jeżeli tak, to jaki?“. Wpatrzył się w tęczę i aż zmrużył oczy z wysiłku.

– Będzie piękna pogoda – pożegnał ich gospodarz i zamachał ręką, jakby opędzał się od much. – Takie ostre zielenie, to niezwykle o tej porze...

Ksiądz nie komentował. Pora roku na zielenie, według niego, była właściwa. Kto wie, co naprawdę gospodarz miał na myśli. Może zupełnie co innego? Może brak odpowiedzi na jego pytania wytrącił go z równowagi...

Postanowili zostawić u niego na przechowanie transparent, który przedtem nieśli Maciek z Bożenką, aby nie obciążać pozostałych. Kasia nie zwracając uwagi na nikogo, od razu podeszła do wózka Gabrysia.

– Nic ci nie jest? – zaniepokoiła się Leokadia. – Źle wyglądasz.

– Dam sobie radę – uspokoiła ją Kasia.

Prokop poklepywał psa rwącego się już do wyjścia, po chwili Jan zarządził wymarsz. Asfaltówka była dziurawa, na poboczach zarośnięta chaszczami, zza których widać było wysokie malwy w przydomowych ogródkach rzadkich gospodarstw. Co chwilę napotykali przy drodze wiejskie dzieci sprzedające kosze grzybów, jabłek i kobiałki jaj.auta mijaly ich z rzadka, czasem jakiś autobus lub ciężarówka. Tęcza rozplynęła się w głębokim błękitnie nieba wkrótce po ich wyruszeniu. Słońce przybrało odcień mandarynki i jak mała piłka podzucana dziecinną ręką wirowało w zenicie. Po niebie snuły się długie, jasne pasma chmur, po mgle nie było już ani śladu. Upał zaczynał doskwierać. Ksiądz zaintonował „Kiedy ranne wstają zorze”, ale bez gitary Maćka śpiewało im się kiepsko i nie łapali wspólnego rytmu do marszu. Leokadia niespokojnym wzrokiem taksowała zgiętą w pół postać Kasi.

– Wiesz – trąciła łokciem męża – boję się o nią. Dziwna jakaś.

– Ty lepiej się ciesz, że ma kto pomóc – wysapał Władysław. Droga wyraźnie dawała mu się we znaki. Usiłował dyskretnie rozetrzeć ręką bolące korzonki, niewiele to jednak pomogło.

Może nic by się nie stało, gdyby wózek z rozmachem nie wpadł w głęboki lej na poboczu drogi, właściwie wyrwę, wypełnioną wodą po niedawnej ulewie. Wielki, przykryty warstwą zeschniętych liści, był zupełnie niezauważalny, robił wrażenie zwykłej kałuży. Zbryzgany wodą Gabrys zaczął wierzgać przestraszony, Kasia szarpnięta i uderzona ramą, ogłuszona, przez chwilę straciła orientację. Pozostali natychmiast rzucili się na pomoc. Zamierzali wyciągnąć wózek z leja i ustawić prosto na drodze. Ale Kasia wyprzedziła ich i sama wyszarpnęła go z uwięzi. Koła uwolnione z potrzasku potoczyły się gładko po równym asfalcie i wózek przejechał kilka metrów, zatrzymał się w chaszczach. Leokadia podskoczyła i już wynosiła Gabryś z Władysławem, aby przebrać syna w suche rzeczy, reszta stała zdezorientowana, nie wiedząc, co robić. Niektórzy rozsiedli się,

czekając na koniec przymusowego postoj.

Kasia usiadła na wielkiej gałęzi i pochyliła się w przód. Sonia zaniepokoiła się.

– Kasiu? – podeszła do niej. – Uderzyłaś się?

Kasia, milcząc, siedziała z poszarzałą twarzą, którą skurecz wykrzywił w bolesny grymas. Nie odpowiedziała. Sonia przysiadła obok niej.

– Coś cię boli? Brzuch? Mam tabletki, jeżeli chcesz... – zaproponowała.

Broda Kasi dygotała tak mocno, że z pewnością, nawet gdyby chciała, nie dałaby rady odpowiedzieć. Sonia dotknęła jej ramienia, ujrzała z bliska szklane oczy Kasi i przeszył ją dreszcz.

– Może się położyć? – w głosie Soni zabrzmiał strach.

Kasia pokręciła przecząco głową. Nie wydała nawet jęku, ale Sonia wiedziała swoje, działo się coś złego.

– Wezwać pogotowie? – raczej stwierdziła, niż zapytała. Kasia natychmiast poderwała do góry twarz, na której malował się lęk.

– Ani się waż! – wysyczała, podczas gdy ból trząsał nią konwulsyjnie.

Sonia przeraziła się nie na żarty, tym bardziej że na rękach dziewczyny zobaczyła krew. Wyjęła komórkę i wybrała numer pogotowia. Kasia patrzyła na nią z nienawiścią.

– Dlaczego mi to robisz? – wysapała z wysiłkiem.

Sonia usiłowała ją objąć ze współczuciem. Ale Kasia wyszarpnęła się, jej twarz skurczyła się tak bardzo, że zaczęła przypominać twarz staruszki, położyła się na boku i zacisnęła powieki, żeby nie płakać. Dookoła nich już zebrali się pozostali. Leokadia przerażona zaczęła odmawiać koronkę.

– To przez nas – wyjęczała. – Przez Gabrysia. Że nam pomoc chciała! – I znów pogrążyła się w modlitwie.

– Wezwałaś pogotowie, Soniu? – upewnił się Jan.

– Już jedzie – przytaknęła uspokajająco.

Jadwiga okryła Kasię kocem Gabrysia, Albin zaś podał jej wodę do picia. Prokop zdenerwowany powtarzał bez przerwy coś bez związku.

– Czemu oni nie jada, do cholery! – zirytował się w końcu Albin, co chwilę patrząc na zegarek.

– Z Lublińca kawałek drogi – uspokajał go ksiądz, nie mniej przerażony od niego.

Mniej więcej po półgodzinie zjawiła się karetka. Lekarz obejrzał Kasię, wzięto ją na nosze i zapakowano do auta.

– Pojadę z wami – oświadczyła kategorycznie Sonia.

– Pani jest rodziną? – zaproponował lekarz.

– Nie, ale ona nie powinna być teraz sama – Sonia nie zamierzała ustąpić.

Lekarz westchnął i pod wpływem natarczywych spojrzeń ludzi wyraził zgodę. Sonia odjechała wraz z Kasią.

– Boże, Boże – lamentowała Leokadia. – Co tera będzie?

– Bądźże cicho, kobito! – ofuknął ją Władysław. – Będzie, co ma być. Do szpitala pojechała przecie. To się nią zajmą, nie?

– Musimy dojść do Lublińca – ksiądz usiłował zachować przytomność umysłu.

– Nic nam nie da biadolenie. Mogę pchać wózek z Gabrysiem, tylko niech ktoś weźmie moją chorągiew.

– Ja wezmę – zaofiarowała się Jadwiga.

– A ja nie pozwolę! – Albin zamierzał być szarmancki i udowodnić tym swoją wyższość nad niezdecydowanym Prokopem.

– Zostało nam jeszcze parę godzin marszu – zakomenderował Jan. – Nie ma na co czekać. Ruszamy.

Wózek z Gabrysiem był ciężki i nieporęczny. Jan przytroczony do niego czuł, jak pot ścieka mu po karku z wysiłku. Obawiał się, że nie dojdzie na miejsce, a jeśli nawet, to jutro nie będzie w stanie zrobić kroku, a co dopiero przejść kolejne

kilometry. „Jak ta Kasia to wytrzymała? – nie mógł się nadziwić, jednocześnie zaś rozumiał, dlaczego w końcu nie wytrzymała. Nie miał pojęcia, co jej się stało, podejrzewał atak wyrostka albo przepuklinę. Obie te rzeczy wymagały jednak interwencji chirurgicznej, zatem obawy jego, że Kasia raczej nie wróci na pielgrzymkę, były uzasadnione. Lękał się o to, kto przez kolejne dni będzie pchał wózek z Gabrysiem. Zastanawiał się nawet, czy nie poprosić rodziców chłopca, aby dojechali na miejsce kolejną. Tymczasem Jan jakoś szedł i świst, który z siebie wydobywał, od dawna nie przypominał już normalnego oddechu. „To nawet nie takie ciężkie, tylko uciążliwe – starał się pocieszyć sam siebie. – Najważniejsze to unormować krok i uważać na dziury. Wtedy jest dużo łatwiej”. Czuł jednak, jak cierpną mu dłonie i bolesne kurcze dopadają łydki. „Dam radę, dam” – powtarzał sobie bez ustanku. Rzeczywiście po jakimś czasie przyzwyczyił się nieco do obciążenia i wózek wydał mu się jakby lżejszy. Starał się nie myśleć o ciężarze, tylko kontemplować krajobraz, a było na co popatrzeć. Lasy zaczynały się już przyoblekać w kolory. Wyglądały jak obłózione czerwoną łuną pożaru. Po ścierniskach, na rzadkich polach, brodziły z powagą gawrony, wysuplując spomiędzy rżyska resztki zbóż. Myśli Jana, wywołane znajomym widokiem, wciąż kierowały się ku dzieciństwu i młodości, ale umyślnie unikał ich i kierował na inne tory. Nie zamierzał teraz roztrząsać na nowo sprawy Aliny, skoro pogrzebał ją już całkowicie i ostatecznie. Takie nastroje osłabiały go, mąciły wolę, odbierały skupienie. A teraz chciał się czuć silny. I skoncentrowany. Na zbyt ciężkim, dosłownie, jak dla niego zadaniu. Obliznął suchym językiem spierzchnięte wargi, chętnie napiłby się, odpoczął, ale zdawał sobie sprawę, że jakkolwiek postój sprawi, że nie będzie w stanie podnieść się, by ruszyć dalej. Więc szedł i starał się w monotonii swego kroku znajdować ulgę. Jedyłą, na jaką go było stać. Zauważył przy tym, że pozostali też milczeli. Jakby jego milczenie udzieliło się im; wiedział, że zaciążyła nad nimi świadomość dramatu, jaki przeżywała teraz Kasia, oraz to, że

w żaden sposób nie mogli jej pomóc.

* * *

– Przyszła jesień. Artur nie pracował. Groziło mu zerwanie kontraktu. Rosły stopy niezapłaconych rachunków. I rosła moja namiętność do Gerarda. Gubiłam się we własnym domu. Stał się obcy, nieprzyjazny, wrogi. Gorączkowo poszukiwałam jakiegoś wyjścia, sposobu ucieczki. Byłe gdzie. Dokądkolwiek. Gerard właśnie wtedy rozpoczynał przygotowania do swojego nowego pełnometrażowego filmu, na realizację którego producenci przygotowali spory budżet. I wywiózł mnie daleko od tego chorego miejsca. Zabrał ze sobą. Na parę dni. Na plan filmowy, do Chorwacji. Z duszą na ramieniu odwoziłam Olę z Katowic do mamy. Mama i mój brat mieszkali w Turawie. Ze Śląska autobusem to ponad godzina drogi. Z tobołkiem i Olą stanęłam przed mamą, nie umiejąc, a musząc, kłamać. Nawet nie wiesz, jak mnie to bolało. Ta nieszczerłość. Ale moje życie stale krążyło od cierpienia do cierpienia, może nawet to pasmo cierpień było w jakiś niepojęty sposób od początku do mnie przynależne, nierozzerwalnie ze mną związane, tak że ten kolejny ból, odsunięcia się od matki, byłam gotowa przyjąć, jak i wszystkie poprzednie, jako cenę, którą muszę zapłacić za miłość Gerarda. Wyznałam jej, że moje małżeństwo się rozpada i że jadę zarobić na dom, co było zgodne z prawdą, Gerard bowiem zabierał mnie oficjalnie jako swoją asystentkę, miałam otrzymać wynagrodzenie, które powinno było starczyć na zaległe rachunki. Nie wspomniałam jej jednak, z kim jadę. Ani słowa o Gerardzie, ani o tym, kim jest dla mnie. Jakbym już, ukrywając przed nią ten fakt, sama wiedziała, że to, co robię, nie zyskałoby jej aprobaty, zrozumienia czy wsparcia. A może u podstaw mojego milczenia leżała obawa, że nie zechce wtedy zostać z Olą? Tym samym pozbawiłaby mnie możliwości spędzenia z Gerardem tych paru dni. A może

zaważył brak pewności, czy mama dochowa tajemnicy przed moim bratem, a jego negatywnej reakcji na taką wiadomość byłam pewna. Co zrobiłby? Wyrzuciłby mnie z domu? Czy dotłukłby Arturowi, wykrzykując mu w twarz, że przez niego jego siostra stała się dziwką?

– Nie jesteś dziwką. Zakochałaś się.

– Ale w jego pojęciu bym była. Z pewnością walczyłby o moją moralność, z tym że nie wiem, jakimi metodami. Wołałam nie ryzykować. Mama jest bardzo schorowana i nie nadaje się do stałej opieki nad dzieckiem. Sama stale potrzebuje pomocy. Ale na parę dni zgodziła się przyjąć Olę. Oczywiście miał jej pomagać mój brat. Przywitał mnie wylewnie. Wysoki, barczysty, ujmujący, nigdy by mnie nie skrzywdził. Dobroduszny w swoim pojmowaniu świata i ludzi, raczej nie zrozumiałby skomplikowanej sytuacji uczuciowej, w jaką zabrnęłam. Nie założył własnej rodziny. Może właśnie dlatego przylgnął całym swoim zbolałym sercem do mojej Oli i nie miał nic przeciwko temu, żeby pobyła u nich parę dni. Mama, siwowłosa, o ciepłych, niebieskich oczach, tuliła ją długo i ze smutkiem. Zdawała sobie sprawę z tego, jak ciężkie życie czeka Olę, i serce kurczyło się jej z bólu. Miałam więc pewność, że Ola jest w bezpiecznych rękach, że zostanie tu, otoczona miłością i czulą opieką.

A więc wyjeżdżałam z Gerardem. Leciało z nami ledwie parę osób, drugi reżyser, operator, aktor, z którym scenę Gerard miał tam filmować, dwóch ludzi jako obsługa kamery i oświetlenia, charakteryzator oraz dźwiękowiec. Samolotem czarterowym dostaliśmy się na małe lotnisko, skąd mikrobus zawiózł nas wreszcie do celu. Zakwaterowanie było w przyczepach campingowych, mieliśmy z Gerardem wspólną. Śniadania i kolacje robiliśmy we własnym zakresie, z dowożonego prowiantu, gorący obiad dostarczany był z miasta codziennie po zakończeniu zdjęć, późnym popołudniem. Tak więc wieczory i noce mieliśmy wyłącznie dla siebie. Po tylu tygodniach ukrywania się, życia zaszczytych zwierząt,

nagle mogliśmy być z Gerardem tak po prostu razem. Nikogo nic nie obchodziło, przyjęli nas jako parę. Nie posiadałam się z radości. Nie musiałam wreszcie bać się, że ktoś pozna z mojego uśmiechu czy niebacznego spojrzenia, że coś łączy mnie z nim. Wszystko było takie naturalne i oczywiste, i takie łaskawe! Okazywano mi życzliwość, sympatię, zaaprobowano jako partnerkę Gerarda, choć z początku miałam obawy, czy zyskam ich akceptację, nie należałam przecież do ich świata. Gerard był ze mnie dumny. Cieszyło go, że podoba im się mój sposób bycia, uśmiech. Po tych pierwszych, pełnych napięcia godzinach, jego niepokój ustąpił miejsca spokojnej pewności. Mógł nareszcie zająć się przygotowaniami do nakręcenia owych kluczowych dla filmu scen i to w kilku wariantach. Obserwowałam go przy pracy. To nie była twórcza męka, jak w przypadku Artura, który katował siebie, swój organizm i swoją psychikę, który w sposób masochistyczny działał sam na siebie destrukcyjnie, a twór jaki z tego powstawał, był krwawym wytworem jego męki. Gerard miał niesłychaną radość tworzenia. Był w swoim żywiole. I swoją autentyczną pasją zarażał wszystkich. Tak jak przedtem pociągnął za sobą Artura, tak teraz pociągał całą ekipę. W powietrzu unosiło się prawdziwe święto sztuki. Ludzie prześcigali się w pomysłach, szczęśliwi, gdy mogły okazać się przydatne. Nikt nie licytował się z nikim. Oni naprawdę pracowali i chcieli pracować. A praca ta nie gnębiła ich, tylko uskrzydlała. I choć po całym dniu morderczego wysiłku, do jakiego zmuszał ich Gerard, mogli mieć dość, jeszcze wieczorem potrafili omawiać efekty swojej pracy i cieszyć się na jej kontynuację. Siedziałam obok Gerarda, który zatopiony w sobie, z oczami utkwionymi w monitor kamery, co chwilę wydawał polecenia. Ja miałam pilnować kolejności wykonywania poszczególnych scen ze scenopisu oraz robić klapsy, oznaczające następne ujęcia i duble. Wspólna praca z Gerardem była dla mnie niezwykłym przeżyciem. Bardziej niezwykłym niż dla pozostałych, ponieważ kochałam go i przebywanie z nim miało dla mnie posmak nie tylko egzotycznej

przygody. Ja przymierzałam się do niego. Na życie. Na całe moje dalsze życie. Byłam zafascynowana. Sposobem, w jaki pracuje, w jaki zjednuje sobie ludzi. Tym, że traktuje mnie jak księżniczkę i partnerkę jednocześnie, że interesuje go moje zdanie, którego wysłuchuje z uwagą i z którym się liczy. Nigdy nie rozmawiałam w ten sposób z Arturem. Dla niego od dawna byłam tylko domową kuchcią, którą utrzymywał wraz z dzieckiem. W domu on był artystą, czyli Bogiem. Ja byłam od wykonywania mu wszelkiej posługi. Moje zdanie nie miało nic do rzeczy, nie miało dla niego żadnego znaczenia. Potrafił w przypływie napadu złości wyrzucić do mnie ordynarnie jakiś rozkaz. Wciąż obawiałam się jego wykrzywionej z wściekłości twarzy, czającej się wokół mnie nieustannej groźby pobicia... Gerard był czuły, a jego uśmiech ożywczy. Działał na mnie kojąco. Po całym dniu przebywania z nim nie tylko nie czułam się zmęczona, lecz przeciwnie, marzyłam o kolejnym dniu z nim i o następnych, o dalszych, bez końca. Nie potrafiłam się nacieszyć ani nasycić jego obecnością. Widział mój zachwyt i cieszył się nim. Z tamtych dni pamiętam czerwień. Łuny zachodu, krwiste, olbrzymie słoneczne tarcze. I czerwone, jak opływające nas wokół karawele, wielkie, opadające stromo ku morzu skały. Amarantową taflę morza, jak ogromne oko monstrowej ryby, poruszającej wolno pyskiem, z którego wychodziły rytmicznie ciemne, pijane pianą fale. I jeszcze gdzieś tam purpurowe i zielone plamy rybackich kutrów, pomiędzy rozwłóczonymi daleko, aż po horyzont, spiczastymi wierzchołkami podmorskich, skalistych raf, bielejącymi w oddali jak odarte z mięśni szkielety. Włóczyliśmy się bez końca serpentynami dzikich ścieżek lub szliśmy wprost, na przełaj, pomiędzy rozrzuconymi bezładnie białymi głazami, przypominającymi czaszki z szeroko rozwartymi otworami oczodołów. Czasem zmęczeni przysiadaliśmy obok nich, przy kępach szarych ostów lub żółtych janowców. Niebo granatowiało i długie cienie, które skały rozrzucały wokół, przyprawiały nas o dreszcze. Całowaliśmy się bez końca. Wracaliśmy objęci i bez

słowa rzucaliśmy się na łóżko. Nad ranem czerwoni od rozlewającego się o wschodzie słońca, wstawaliśmy kompletnie wyczerpani. Któregoś dnia zapuściliśmy się dalej niż zwykle, zgubiliśmy drogę i błądząc po nieznanym okolicy, natrafiliśmy nienacka na rozpościerający się przed nami fioletowo wąwóz. Zaciekawieni podeszliśmy bliżej, niepewni, i odkryliśmy, że droga ta była bżowym korytarzem. Ktoś posadził tu kiedyś krzaki bzu i rozrosły się, chwytając się w górze gałęzmi, jak za ręce. Fioletowo– biały tunel, duszny od zapachów i opadających jak śnieg lila płatków, pochwycił nas prawie w swoje objęcia. Pozbawił tchu, zaczarował. Trwaliśmy tak, zaczadzeni pięknem tego miejsca i jego ulotnością. W tej bajce kryła się jednak bolesna udręka pewności. Że te bzy za parę dni będą musiały zwiędnąć. Dokładnie wtedy, gdy my będziemy zmuszeni wyjechać stąd...

*

Szpital w Lublińcu mieścił się w dużym, brudnoburym budynku. W oknach widać było zmęczone twarze chorych. Karetka zajechała ku bocznemu wejściu, Kasię wniesiono najpierw na izbę przyjęć, gdzie czekało już na swoją kolej kilku pacjentów, a następnie do windy. Pielęgniarka stanowczo zatrzymała Sonię przed samą windą.

– Na teren oddziału wstęp wzbroniony – rzekła surowo.

– Ale... – zaczęła Sonia – chciałabym się tylko dowiedzieć...

– Nie teraz – ucięła krótko pielęgniarka, zamykając przed nią drzwi do windy.

– Które piętro? – zdążyła jeszcze zapytać Sonia.

– Drugie. Ginekologia i położnictwo – usłyszała i winda pojechała w górę.

„Ginekologia?” – zdziwiła się Sonia. Po korytarzach snuli się ludzie, często z całymi rodzinami, osowiali, niektórzy bez przerwy pytali o coś przechodzące

pielęgniarki. Sonia postanowiła dostać się za wszelką cenę do Kasi. Jednak drogi na wewnętrzne schody pilnował portier o wyglądzie cerbera. Sonia westchnęła, wyjęła z kieszeni banknot i wcisnęła mu do ręki. Cerber skinął przyzwalająco głową i podał jej zielony, ochronny fartuch. Tak okryta weszła po wąskich schodach na drugie piętro. Od nieszczelnych okien wiało niemiłosiernie, w kątach stały kosze pełne brudnej pościeli, po których łaziły prusaki. Sonia otrząsnęła się z obrzydzeniem. Popchnęła wahadłowe drzwi, które uchyliły się ze skrzypnięciem. Ostrożnie weszła na oddział i od razu natknęła się na niemłodą pielęgniarkę, która zmierzyła ją od stóp do głów. Lecz zanim zdołała otworzyć usta, Sonia uprzedziła ją pytaniem:

– Przed chwilą przywieziono tu moją siostrę, czy mogę ją zobaczyć?

– W tej chwili nie można – poinformowała pielęgniarka. – Jest na sali zabiegowej.

– Długo to potrwa? – przerwała jej Sonia, zanim ta zdołała zapytać ją o cokolwiek.

– Nie wiem – relacjonowała sucho pielęgniarka. – Robią, co mogą, aby utrzymać ciężę.

– Mogę tu zaczekać? – wykrztusiła Sonia wstrząśnięta.

Pielęgniarka zauważyła nagłą bledość na jej twarzy, więc zatroszczyła się o nią natychmiast.

– Oczywiście. Proszę tu usiąść. Przynieść pani wody?

– Nie trzeba. Dziękuję.

Sonia przysiadła na wskazanej ławce. Pielęgniarka oddaliła się do swoich zajęć, raz jeszcze oglądnąwszy się na Sonię, która siedziała jak zamurowana, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w czerwono migający nad drzwiami napis: Wstęp wzbroniony. Ratuja dziecko Kasi! Sonia nie mogła w to uwierzyć. Kasia jest w ciąży! Ale dlaczego tak narażała się na jej utratę? Czy to znaczy, że... ?

Sonia bezmyślnie wpatrywała się w brązowe linoleum rozpostarte na podłodze. Brązowa, olejna farba lamperii na ścianach pękała i łuszczyła się. Lampy pod sufitem upstrzone były od much. Od czasu do czasu przeczłapała korytarzem jakaś ciężarna, w rozchełstany szlafroku i z obrzmiałą twarzą.

Włosy opadły Soni na oczy, odsunęła je niecierpliwie i machinalnie. To przygnębiające miejsce przypomniało jej inny szpital, ten, w którym ona oczekiwała na wynik operacji Oli. Pamięta dobrze obezwładniający ją wtedy niepokój, bezsilne łzy i gorące modlitwy. Pomimo że tamten czas minął jak zły sen, do dziś wspomnienie to mrozi ją do szpiku kości. Na szczęście Ola żyje, choć nie jest w pełni zdrowa... Co będzie z dzieckiem Kasi? Którego ona tak rozpaczliwie nie chce? Co z Kasią?

Minuty tykały wolno, wskazówki dużego zegara na ścianie obok były jak zamarłe, prawie się nie przesuwały. Zbierało się na deszcz. Jakiś silny powiew trzasnął niedomkniętymi okiennicami. Sonia wstała, zamknęła starannie okno i wpatrzyła się w swoje odbicie w szybie. Szczupła twarz, banalna, jak wiele innych, niewyróżniająca się niczym szczególnym. Patrzyła na siebie ze zdziwieniem, jakby widziała się po raz pierwszy w życiu. Ta dziewczyna o regularnych rysach, drobnych ustach i przenikliwym spojrzeniu to ona? Od czasu, kiedy tak uważnie przyglądała się sobie, minęło chyba wiele lat? A może tylko parę tygodni... Jej rysy wyraźnie wyostrzyły się, nos stał się bardziej wydatny, możliwe, że wrażenie to potęgowała pionowa zmarszczka, jaka pojawiła się pomiędzy jej brwiami. Brwi też były jakby ciemniejsze i chyba zaczęły lekko zrastać się ze sobą. Może zresztą tak jej się wydawało... Niewątpliwie jednak zabrakło uśmiechu na tej twarzy. Te cienie wokół ust to początki bruzd. Goryczy? Jak mogła do tego dopuścić? Kiedy? Dlaczego straciła czujność? Przecież istnieje instynkt samozachowawczy. Czemu nie zapalił w niej ostrzegawczego światła? Czerwonego napisu, takiego jak nad tymi drzwiami, za którymi leży Kasia? Które właśnie otworzono. Zza których

Kasię wywieziono na wózku, pod kroplówką...

– Co z nią? – zapytała Sonia lekarza.

– Już dobrze. Ale musi leżeć. I uważać na siebie. Proszę ją o tym przekonać.

Sonia weszła do separatki, w której położono Kasię. Usiadła przy jej łóżku. Kasia odwróciła głowę do okna. Twarz miała udręczoną, jednocześnie chmurną i złą.

– Po co przysłaś? Niezłe widowisko, co? – wychrypiała wreszcie.

Sonia nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nagle zabrakło jej słów, a już na pewno jakichkolwiek argumentów. Ręce Kasi dygotały, jakby płakała gdzieś w głębi siebie, ale łez nie było w jej oczach ani na policzkach. Płynęły gdzieś wewnątrz niej, sobie tylko znanymi drogami, żłobiąc głębokie koleiny na twarzy. Wstrząsały jej ciałem i zaciskały palce rąk na kołdrze. Sonia chciała przytrzymać te drgające wciąż ręce, ukoić, ale bała się poruszyć, aby nie spłoszyć Kasi jeszcze bardziej. Nie miała pojęcia, jak pomóc dziewczynie. Miała tylko nadzieję, że uda się nakłonić ją przynajmniej do zachowania względnego spokoju, choć zdawała sobie sprawę z tego, jak bardzo będzie to trudne. Czuła się winna. Tyle czasu spędziły razem, zatopiona jednak w swoich problemach, Sonia niczego nie zauważyła. Może nie chciała widzieć? Może tak było łatwiej? Zostawić Kasię samej sobie? Mieć święty spokój? Czy to jest do wybaczenia?

– Wiem, że nie chcesz, abym tu była, ale nie potrafię odejść. Martwię się o ciebie – głos Soni brzmiał błagalnie.

Kasia milczała. Ale jej zacięta twarz, dotąd stężała, jakby nieco rozluźniła się. Kasia zamrugała oczami, chcąc za wszelką cenę powstrzymać łzy.

– Lubisz takie sceny? Bawią cię? Będziecie mieli o czym gadać... – Kasia z trudem wydobywała z siebie głos.

– Nie mów tak – szepnęła Sonia, prawie niedosłyszalnie.

– Śmiechu to wszystko warte... – z ust Kasi wyszedł prawie jęk.

– Znam to uczucie – Sonia powiedziała bardziej w przestrzeń niż do kogokolwiek.

– Co ty wiesz! – Kasia rzuciła głową na poduszce. – Co taka malowana lala jak ty może wiedzieć o życiu!

– Nie jesteś sprawiedliwa...

– Sprawiedliwość? A co to jest? Potrafisz na to odpowiedzieć?

– Nie. Pewnie nikt nie potrafi. Jeżeli to może być dla ciebie pociechą.

– Teraz pewnie powiesz mi, jak żyć? Trzeba to było zrobić wcześniej. Już na to za późno.

– Na nic nigdy nie jest za późno.

– Naprawdę w to wierzysz? – W głosie Kasi było tyle ironii!

Po suficie pełzały wielkie cienie. To gasnące właśnie, rozpięte za ciemną chmurą słońce, rzucało mętne światło na chwiejące się ciężko pod gwałtownymi uderzeniami wiatru, wysokie, kościste drzewa.

– Nie wiem, w co wierzę. Może to siebie staram się przekonać, nie ciebie. Może to ja bardziej się pogubiłam niż ty. – Sonia nawet nie próbowała oponować, jakby i jej udzielił się dygot tych długich cieni.

– Nie ufam ci. Jesteś zbyt opanowana. Wyrachowana i cyniczna.

– Skąd możesz o tym wiedzieć? – w głosie Soni zabrzmiał żal, że tak trudno im się było porozumieć. – A jeśli to poza?

– Poza? Jakie wygodne słowo. Sama na to wpadłaś? – Nie uwierzyła Kasia.

– Kasiu – Sonia zadrżała, jakby nagle zrobiło jej się przeraźliwie zimno. – Pozwól mi posiedzieć przy sobie. Zrób to dla mnie. Proszę! Nie potrafię ci wyjaśnić dlaczego. Wybacz.

Kasia milczała przez chwilę, jakby rozważała w sobie jej prośbę. Chwila ta przedłużała się. W ten sposób obie zapadły w milczenie. I ta ich wzajemna obecność, pełna ciszy, była tym, czego teraz potrzebowały najbardziej.

Słońce znikło na dobre. Za oknami kapał rzadki deszcz.

* * *

– Lato minęło, a wraz z nim mój sen o spokoju. Przyszła jesień, odliczana wrywanymi z życia spotkaniami. Od wymówki do pretekstu, aby wyjść z domu, od kłamstwa do kłamstwa, w atmosferze nieustannego zagrożenia. Nieustający tropiciele własnych śladów, potrafiliśmy się spotkać, odnaleźć, w najmniej oczekiwanych warunkach, nie istniały przeszkody nie do pokonania. Sztukę kamuflażu opanowaliśmy do perfekcji. Mistrzowie podwójnego życia. Czy chciałam, aby tak wyglądało? Nie zastanawiałam się nad tym, traktując sytuację jako przejściową. „To tymczasowe, tylko na razie” – powtarzałam zrozpaczona, gdy nieuchronnie zbliżała się godzina spotkania, a ja nie mogłam wymknąć się z domu. Wszystkie wybiegi były dozwolone, każdy chwyt okazywał się ratunkiem. Nie wyobrażałam sobie wcześniej, jak płodna potrafi być wyobraźnia, gdy chce osiągnąć cel.

A celem były kradzione godziny z Gerardem. Łóżko stało się jedyną naszą ostoją, ukojeniem, dostarczycielem energii. Firanki poruszały się w rytm naszych oddechów, jak przypyływy i odpływy morza, władaliśmy nawet księżycem! To był nasz sekret. Tylko kochankowie mogą go osiągnąć. To kamień filozoficzny, alchemia istnienia... Senna, urojona maligna, w którą zapadałam coraz bardziej... Brnąc tak, dzień po dniu, bez drogi powrotu, za echem przyzywającego wciąż głosu Gerarda... Wystarczyło, że zadzwonił... Zjawiałam się natychmiast, na każde jego wezwanie...

Przebudzenie nastąpiło nagle. Tak jak po każdym śnie musi przyjść jawa. Śpiączka może trwać długo, ale zawsze się kończy śmiercią albo otrzeźwieniem. Czekają na mnie. Cierpliwie. Ukryte, przyczajone gdzieś w kącie. Gdzie, cała

rozedrgana od rozpalonych zmysłów, nie dostrzegłam niebezpieczeństwa. Od dawna nie istniało nic takiego jak jawa. Był tylko Gerard. I ten wymyślony, iluzoryczny świat, w którym kręciliśmy się, dwie marionetki, jak z jego filmu, którego premiera zbliżała się z takim hukiem. To wtedy runęły budowane przeze mnie z takim pietyzmem dekoracje. Okazały się tekturowe. Runęły jak domek z kart. Cieszyłam się na tę premierę. Po całych Katowicach już rozwieszono plakaty z jej zapowiedzią. Szykowałam się. Przymierzałam kolejne sukienki, niby kolejne wcielenia, zastanawiając się, jaką kobietę chciałby w takim dniu mieć przy sobie Gerard. Może nareszcie zechce mnie pokazać, przedstawić...

– Soniu – powiedział, widząc moją euforyczną radość, która wyraźnie coraz bardziej go niepokoiła. – Jesteś, oczywiście, zaproszona...

– Jak to „oczywiście”? – zmartwiałam.

– Przyjdiesz, z kim zechcesz. Pewnie z Arturem. Przecież to twój mąż. Też jest zaproszony.

– Rozumiem – wszystko stało się jasne.

– Nie możesz mi towarzyszyć.

– Czyli nadal obowiązuje tajemnica?

– Zrozum...

– Rozumiem...

– Nie. To nie wszystko. Nie będę sam.

– Jak to? – wybąkałam. Ton jego głosu przeraził mnie. Był taki oficjalny, obcy, jakby to nie mówił Gerard, lecz ktoś, kogo zupełnie nie znałam.

– Będzie moja żona.

– Żona?...

– I córka. Bardzo proszę, nie rób scen. Obiecuj, że nie zrobisz nic, co...

Myślę, że w tym momencie umarłam. Nawet na pewno umarłam. Serce z pewnością nie biło mi przez długi, bardzo długi czas, a może tylko przez sekundy,

nie wiem. Zaczęłam oddychać dopiero, gdy usłyszałam następne zdanie. Dlaczego nie przewidziałam czegoś takiego? Nigdy nie pytałam go o nic... Myślałam, że mieszka w Katowicach, z rodzicami... Jak mogłam być taka naiwna? Co teraz będzie ze mną? Co stanie się z nami? Myślałam, że te hotele, to ze względu na jego rodziców, a tajemnice, ze względu na Artura... Kręciło mi się w głowie, jakbym pędziła w kółko, na oślep, na jakiejś szalonej karuzeli. Nie mogłam wykrztusić słowa z zaciśniętego gardła. Świat usunął mi się spod nóg. Dopiero po chwili dotarł do mnie sens jego kolejnych słów.

– Nie kocham jej, nigdy nie kochałem. To oficjalne małżeństwo. Ale moja córka Martyna... Wiesz, ona jest blisko z matką...

Tak, to byłam w stanie zrozumieć. W końcu ja też byłam mężatką, także miałam córkę...

– Jasne – wykrztusiłam. – Będzie, jak zechcesz.

– Siądziesz sobie gdzieś – podpowiedział mi. – Na bankiet pójdę z żoną, ale po bankiecie spotkamy się, jak zwykle. – Ujął mnie pod brodę, zaglądnął w oczy, aby jak najszybciej wyczytać w nich zgodę. Wyczytał, uśmiechnął się zadowolony. – Ona nie jest ważna. Tylko ty. Pamiętaj o tym.

Wtuliłam się w jego rękaw. Jak mogłam nawet pomyśleć, że mogłoby być inaczej? Nasze wieczory, wtapianie w siebie, przenikanie, bycie tak blisko, że bliżej się nie da. Nigdy tak, nigdy z nikim. W takiej pełni... Przecież tego nie można zaaranżować! Nie, ukrył prawdę ze strachu, że mogę się nie zgodzić... Wybaczyłam mu, natychmiast, nie mogłam postąpić inaczej. Nie chciałam! Uczepiona jego palców przypomiinałam sobie każdy poranek, gdy przez sen poszukiwałam gorączkowo jego ciała i potem, gdy równocześnie z otwarciem oczu czułam płomień już we mnie, zanim jeszcze zdążyłam pomyśleć, że to on... Dotykałam Gerarda, dotykałam bez końca. Jego ciało nie miało dla mnie tajemnic. A on sam? Okazało się, że ma. Jedną z nich właśnie mi wyjawiał. Co jeszcze

ukrywał? Zamierałam z lęku, jednocześnie byłam pewna, że cokolwiek się okaże, on będzie przy mnie i nie pozwoli, z całą pewnością nie dopuści, abym nie była w stanie tego znieść... Ufałam. Pragnęłam mu wierzyć, bo nie może istnieć miłość bez wierności, lojalności i zaufania. Tak to wtedy rozumiałam. Dopiero później przekonałam się, że nie jest to wcale takie oczywiste ani jednoznaczne. Jeżeli chcę umrzeć, to właśnie dlatego. Że nie mogę tego znieść. Że to zbyt skomplikowane.

– Nie umrzesz. Będziesz żyć.

– Skąd ty możesz o tym wiedzieć?

– Bo wciąż w tobie tyle zdziwienia. To nie naiwność, tylko proste rozumienie. Żyjemy dotąd, dopóki umiemy się dziwić. Dopóki wciąż coś potrafi nas zaskoczyć, dobrze lub źle. Człowieka pogodzonego ze śmiercią nic nie dziwi. Dla niego wszystko już było, wszystko jest jasne. I nieważne. Dlatego umiera. Tylko tam, gdzie tak mocno się odczuwa, jest życie. Prawdziwe. I ono wciąż jest w tobie. Dlatego nie skoczyłaś z tego balkonu. Bo wciąż nie możesz pojąć, jak to się stało, że się tam znalazłaś. Szukasz odpowiedzi. Dręczą cię pytania. Przekonujesz się, że nie znasz samej siebie. Więc żyjesz. To właśnie jest życie. Radość. I ból. I nieustanne poszukiwanie. Nie ma nic innego.

– Czyli musimy się godzić na to, co przynosi?

– Próbować żyć, pomimo wszystko.

– Przystosować się? Godzić nawet na łajdactwo?

– Po prostu żyć. Reszta nie jest aż tak ważna.

– Nawet miłość?

– Tylko życie samo. Kiedyś się o tym przekonasz.

– Kiedy?

– Z pewnością będziesz o tym wiedziała.

– Szkoda, że wtedy nie wiedziałam... Nadal nie wiem... Więc nadeszła ta premiera. Kino wypełnione było po brzegi. Po projekcji, on przykładowie z żoną, ja z

mężem, istny cyrk. Patrzyłam na jego żonę i nie mogłam pojąć, jak mógł się związać z taką kobietą. Wyglądała jak przebrany mężczyzna. Więc to był jego ideał? Któremu przyrzekał miłość po grób?... O co w tym wszystkim chodziło? Dlaczego wybrał właśnie ją? Gubiłam się w domysłach. Gerard ukazał mi się nagle w nowym, zupełnie nieznanym świetle. Wymagało to gruntownej analizy, wyciągnięcia wniosków... Czułam, jak ziemia usuwa mi się spod nóg. Kim tak naprawdę jest człowiek, którego kocham? Kim jest jego żona? Co trzyma go przy niej? To wszystko było jakieś chore. A jeżeli nie? Co w takim razie kryło się za drzwiami tamtej alkowy? Miałam nadzieję, że nic. Tak przecież mówił, że są sobie obcy. A ja chciałam w to wierzyć. I patrząc na tę kobietę, wierzyłam. Jego córka, delikatna blondynka, najwyżej siedemnastoletnia. Trzymał ją za rękę, jak cenny skarb, aż poczułam ukłucie w sercu. Mnie nigdy tak nie trzymał... Zaraz potem zmitygowałam się, przecież to córka...

Nikt o nas nie wiedział, nieliczni zaś, którzy wiedzieli, wzięli wodę w usta. Ludzie są tacy akuratni, żadnego skandalu, żadnego faux pas... Stałam wraz z Arturem, w jedwabnej błękitnej sukni, która wyróżniała mnie z tłumu, głównie swoją prostotą, jak i głębokim odcieniem perłowym. Widziałam, jak Gerard wyszukuje mnie oczami, niespokojny, czy nie palnę jakiegoś głupstwa. Nie było to łatwe. Stale przyjmowałam gratulacje, wspólnie z Arturem, przeznaczone oczywiście dla niego. Artur w przyciasnym smokingu i fantazyjnym szalu dusił się od ceremonialnej atmosfery, nie potrafił znaleźć się wśród rozentuzjasmowanych dziennikarzy, krytyków, reporterów. Co chwilę udzielał jakiegoś wywiadu, bez przerwy ustawiano go do kamery, pstrykano nam zdjęcia, pytano. Przytomnie podpowiadałam Arturowi to i owo, co przyjmował z wdzięcznością. Tymczasem Gerard brylował pośród tych paparazzi, och, on radził sobie świetnie, jakby urodził się do bycia gwiazdą, światowcem, lwem salonowym. Aż brała mnie zazdrość, że tej oglądy i umiejętności ukazania dowcipu oraz zdolności do błyskotliwych,

ciętych ripost, brakuje Arturowi. Gerard był w swoim żywiole i doskonale umiał to wykorzystać. Bukiety kwiatów oddawał żonie... Artur wkrótce stał się zmęczony i rozdrażniony, tym bardziej, że niechętnie wypowiadał się na temat nieukończonego jeszcze projektu, nad którym wciąż pracował, a który dawno powinien być gotowy. Wypił znowu za dużo, niestety w stosunku do alkoholu nie potrafił zachować umiaru. W rezultacie wróciliśmy do domu taksówką o dość wczesnej porze. Artur walnął się do łóżka, a ja wymknęłam się na spotkanie z Gerardem. Ale czekałam na próżno. Nie przyszedł. Przesłał tylko SMS– a, że bankiet przeciąga się i on absolutnie nie jest w stanie teraz z niego wyjść... W mojej błękitnej sukience wracałam nocą pieszo przez miasto. Sama. Nie chciało mi się spać ani nawet płakać. Lampy mrugały zimnym, neonowym światłem. Nie czułam chłodu. Byłam tak rozpalona, jakby całą tę noc, całe miasto, puste w środku jak wydrążona muszla, ogarnęła gorączka. Coś szumiało we mnie, może też za dużo wypiałam. Coś, jakby powiew morza z Chorwacji, dotarł aż tu i furkotał teraz w moich włosach, wraz z tamtym czerwonym jak krew pejzażem. Ogarnęła mnie taka tęsknota i taki żal, że to wszystko jest takie trudne, takie niesprawiedliwe. I że tak okropnie boli...

*

Było coraz parniej. Szli w rozpylonej do białości saunie. Brakowało powietrza, aby złapać oddech. Wokół rozpościerała się wodnista, spieniona mgła. Jan otarł pot z czoła. Rozluźnił koloratkę. Najchętniej całkiem zdjąłby ją, uciskała mu boleśnie szyję. Miał nawet wrażenie, że zaciska mu się jak pętla. Czuł się spętany tą zacieklą obrozą, prowadzony na postronku, gdzieś, wbrew swojej woli. Nie był nawet pewien, czy zmierzają we właściwym kierunku. Przez chwilę miał ochotę zatrzymać się, wyjąć mapę i sprawdzić. Jednak zawierzył instynktowi. Na zachód,

ciągle na zachód. Przez rozrzedzone, drgające powietrze prześwitywała cienka, blada tafla słońca. Wskazywała drogę. Nie mógł się mylić. Więc skąd to zwątpienie, to straszliwe nagłe zniechęcenie? Brak sił i motywacji, by kontynuować marsz? Spojrzał ukradkiem na współtowarzyszy wędrówki, czy może raczej niedoli, sam nie był pewien. Im zmęczenie także dało się we znaki. Szli w milczeniu, z oczami utkwionymi pod nogi, jakby ciekące z nieba krople utrudniały im nie tylko widzenie, ale także mąciły krok. Szli ciężko, Jan odczuł nawet obawę, czy to nie chorągwie, które spoczywają na ich ramionach, tak przygniatają ich do ziemi, rozmięklej od nachalnego, drobnego dżdżu. Mokra wata oblepiała im policzki i uszy, z każdym oddechem właczała do płuc zimną, przenikliwą wilgoć. Na domiar złego powoli na horyzoncie zaczynało ciemnieć. Siny tunel rozlewał się szeroko, otwierając ku nim ziejący mrokiem otwór. Rozprzestrzeniał się szybko, zagarniając ich, niczym w krater wulkanu, wsysając w głąb, jak w czeluść otchłani.

– Idzie burza, proszę księdza! – zdenerwował się Władysław. – A my w szczerym polu! No przecie nie pójdziem się schować pod snopki – pokazał na świeżo zżęte pola.

Leokadia wyjęła z torby wielką, czarną pelerynę i zaczęła opatulać nią Gabrysia. Peleryna chrzęściła i wiła się, jak monstrualny zwierz, z dwoma wystającymi rogami uchwytów wózka. Jan odwrócił oczy, usiłował ocenić zbliżające się niebezpieczeństwo. Nadciągało, wlokąc za sobą ciemność, niby olbrzymi tajfun.

– Strach ma wielkie oczy – zbagatelizował wbrew oczywistości, aby dodać im odwagi.

Jednocześnie poczuł, że coś dławi go w przełyku. I doskonale wiedział co. To był strach. Zwyczajny, ludzki strach.

Czerniejącą już siną poświatę rozdarł właśnie czerwony zygzak, niczym

rozwścieczona zmija.

– Błyska już – zaniepokoił się Albin.

– Odmówimy koronkę – pocieszyła go Jadwiga.

– Będziem iść czy stajemy? – usiłował poinformować się Prokop, podczas gdy pies niespokojnie tańczył przy jego nodze, skomlał przy tym i popiskiwał, jak szczenię oderwane od matki.

Jan pomyślał, że nadchodzi na nich godzina próby i że on wcale nie chce zdawać takiego egzaminu, tym bardziej nie chce też brać odpowiedzialności za tych ludzi, którzy wystraszonym, błędnym wzrokiem wpatrywali się teraz w niego, jakby oczekiwali od niego pomocy i liczyli, że on jej im udzieli. Rozpacz ogarnęła Jana, zupełnie tak jak rano, na drodze, gdy wijącą się z bólu Kasię zabrało pogotowie, a wraz z nią Sonię. Jakby powolne ubywanie ludzi było jego winą, nie częściową, lecz całkowitą. Ale na czym mianowicie miałyby polegać jego wina, tego dociec nie umiał. Jednocześnie dręczyło go głębokie przekonanie, że gdyby dał radę odpowiedzieć sobie na to pytanie, być może dalby radę również zapobiec zbliżającej się nawałnicy. „To śmieszne – ofuknął się w duchu. – Co burza może mieć wspólnego z moim odbytym lub nie, rachunkiem sumienia? Zrobię to, ale muszę mieć czas, aby to wszystko przemyśleć, zastanowić się”. I patrzył z trwogą, jak błyskawice rozdierają niebo raz po raz i zaczynają odzywać się do nich głuchym, coraz głośniejszym pomrukiem. Szaleństwo nadchodziło.

– Jak zara ciepnie, proszę księdza... – jęknął Władysław.

– Cichaj! – ofuknęła go Leokadia. – Dziecka przestraszysz.

– Bądźmy dobrej myśli – poparł ją Jan, wbrew oczywistości. – Może przejdzie bokiem.

Zamilkli, bo właśnie szeroki lej objął ich swymi poszarpanymi zrębami i prawie wessał do środka. Zatrzęsło nimi od skondensowanej mazi gwałtownego wiatru. Zadygotali. Wzdęta niczym brzuch wieloryba, peleryna Gabrysia załomotała jak na

alarm. Zrobiło się zupełnie ciemno, ledwo rozróżniali się w tej lepkiej ciemności. Leokadia chwyciła kurczowo wózek, który prawie okręcił się wokół własnej osi.

– Oooooojjjjj! – zajęczała przerażona.

W tym momencie huknęło. Wśród ogłuszającej kanonady trzaskających gdzieś w drzewa gromów prawie zatopiła ich pionowa ściana wody. Kolejna szła wprost na nich, usiłując pochłonąć ich sztormową falą, pchaną niespożytą, niepojętą siłą. Oberwana chmura zwisała resztkami gwałtownych wodospadów, ranne jej ciało, porozrywane na strzępy, zatapiało z chwili na chwilę cały ich doczesny, prawie już niedostrzegalny świat. Wycie wichury zlało się w jeden nieustający ryk, jakby ktoś zapomniał wyłączyć syrenę alarmową. Niezwiezione z pól snopy siana płynęły porwane mętną, rwącą rzeką, pełną szlamu i błota, której żółty, trupi kolor nadawał teraz odcień otaczającej ich poświacie.

Podtrzymywali się nawzajem, przygwożdżeni namoczonymi, ciężkimi drzewcami, aby nie przewrócił ich porywisty prąd atakującej ich zewsząd wody. Pies ujadął jak oszalały, Prokop ledwo mógł go utrzymać.

– Już koniec! Już! – krzyczał ksiądz pocieszająco, dygocząc jak w febrze.

Przemoczeni do suchej nitki, trzęśli się wraz z nim. Woda opływała ich i odpływała. Grzęzli w naniesionym przez nią mule. Z drzew spadały odłamywane przez wiatr gałęzie. Burza szalała nadal, ale jakby z coraz mniejszym impetem. Wiatr chłostał twarze z coraz mniejszą zaciekłością. Wyraźnie słabł, prawie dał za wygraną. Oddalał się, zniechęcony, zabierając ze sobą czarne, poszarpane kłęby, pełne wody, gotowe do kolejnego ataku. Uderzenia deszczu zanikały. Z wolna przejaśniało się. Na polach pozostały wielkie bajora, droga zasłana sianem i gałęzmi przedstawiała istne rumowisko. Stali na poboju bez słowa. Chmury odpływały coraz szybciej, w miejsce cmentarnych pojawiły się jaśniejsze, grube jak pierzyny cumulusy, wprawdzie jeszcze podgnite od spodu, ale już z góry lekko pulsujące złotawo. Nawet coś na kształt słonecznego promienia przebiło się

spomiędzy nich.

– Mam gorącą herbatę – Leokadia szczękając zębami, wyjęła z plecaka termos i zgrabiałymi palcami zaczęła rozlewać wrzątek.

Pili łączywie, podając sobie kubek z rąk do rąk. Jadwiga wyciągnęła jakieś kanapki, pieczołowicie przechowane w worku foliowym. Częstowali się, dziękując za jej przezorność. Z minuty na minutę ocieplało się. Brudna rzeka spłynęła już z drogi w dół, słońce ostrożnie wyglądneło i po chwili grzało ich pełną parą. Przebierali przemoczone rzeczy, choć i w plecakach niewiele suchego zostało. Gabryś pojękiwał, Leokadia coś szeptała mu do ucha uspokajająco.

Ksiądz miał wrażenie, że chcieliby porozmawiać z nim o Kasi, ale jakoś unikali tego tematu. Czuli się niezręcznie. Coś się stało z tą dziewczyną, coś złego, i czuli się tak, jakby ta burza była karą za ich zaślepienie. Za to, że nie zorientowali się, że tuż obok nich, a właściwie na ich oczach, rozgrywał się dramat. Dlatego nikt się teraz nie skarżył na przemoczenie czy zziębnięcie. Wychłodzeni, usiłowali w milczeniu dojść do siebie. Egoizm, o który Jan zaczął się także posądzać, nie dawał mu spokoju. Spędzić parę dni z kimś, kto nie wołając o pomoc, wołał o nią nieustannie, i niczego nie zauważyć? Nie potrafił tego pojąć. Jak mógł ulec złudzeniu, że wszystko jest w porządku? Że dziewczynie dolega zwykła młodzięcza, arogancka zuchwałość?

Milczenie pozostałych było równie wymowne. Jan marzył teraz, żeby jakaś wczesna, zagubiona w swych orbitach gwiazda, spadła obok nich jak meteor. Kiedyś Alina opowiadała mu, że wypowiedziane wtedy życzenie spełnia się, a on tak bardzo chciałby cofnąć czas, choćby o jeden dzień, żeby móc zapobiec tragedii, która przydarzyła się Kasi. Gdyby wczoraj był mądrzejszy o tę wiedzę, którą posiada dziś, jak wiele można by było uniknąć, zmienić...

Alina... Ta nieopatrzna myśl, to niespodziewane wspomnienie znów szarpnęło nim, niczym eksplodujący granat. Dlaczego wciąż tyle bólu odczuwa na myśl o

tamtych zdarzeniach? Przecież nic go już nie obchodzą. Jaki zresztą mogą mieć związek z dzisiejszą historią? Żaden. A jeśli tylko pozornie żaden? Ten nieustający ból... Co może oznaczać? Ta rwąca, wciąż ćmiąca tęsknota? Za czym? Za czym? Za jedwabistym cieniem Soni, który tak często ostatnio pojawiał się przy nim, a którego teraz zabrakło? Ale przecież obecność Soni męczyła go. Dręczyła. Właśnie wywołując skojarzenia z Aliną. Aliny nie ma, a wspomnienia tamtych czasów zostały. Ekshumowane wbrew jego woli. Przeciw niemu. Jaki mają związek z nim obecnym? Te porozrywane wydarzenia, te rozkawałkowane dni, te niespójne myśli? Ten lunatyczny sen, w który zamieniła się jego wędrówka... Jego życie...

* * *

– Po premierze filmu Gerarda zaczęła się huśtawka nastrojów. Artur pił, nie radził już sobie z pracą. Sterty nieopłaconych rachunków przyprawiały mnie o dreszcze. Artur prawie nie trzeźwiał. Brakowało pieniędzy na wszystko, także na rehabilitację Oli. Byłam zrozpaczona. Rzucałam się na Gerarda łapczywie jak na ostatnią deskę ratunku. Wmówiłam sobie, że może on stanowić dla mnie antidotum na całe zło, przede wszystkim na odreagowanie tego zła. Wierzyłam w miłość. Że pomoże na moje trudności. Że okaże się nie tylko cudownym balsamem na rany, które lizałam przy nim jak pies, ale że okaże się też lekarstwem na dalsze życie. Nie wyobrażałam już sobie przyszłości bez Gerarda. Czułam się przy nim bezpiecznie. Potrzebowałam go. Cokolwiek miało się zdarzyć, byłam pewna, że on będzie przy mnie, więc nic złego nie mogło mnie spotkać. On, choć zajęty przy nowym filmie, starał się być ze mną, najczęściej jak mógł.

Od dawna Artur nie zbliżał się do mnie. Sypiałam z Olą, bo często budziła się w nocy i trzeba było stale być przy niej. A Artur źle tolerował jej lęki. Gerard był więc moim jedynym mężczyzną, uważałam to za oczywiste i normalne, przez myśl

mi nie przeszło, że mogłoby być inaczej. To, że wciąż mieszkalam u Artura, uznałam za etap przejściowy, którego coraz bardziej miałam dość. Artur bowiem zaczął znęcać się nade mną psychicznie. Dręczenie mnie rozładowywało jego furię, narastającą z poczucia bezradności i braku samorealizacji. Przestał spełniać się jako muzyk i kompozytor, ale także jako ojciec i głowa domu. Mężem też nie chciał już być. Pozostało mu więc znalezienie winnego całej tej sytuacji, a ja byłam pod ręką. Całkowicie zależna od niego. Mógł się odreagowywać bezkarnie i kiedy tylko chciał. Punktem zapalnym były pieniądze. Rozpoczął od „darmozjadów”, przechodził zgrabnie do mojego „braku inicjatywy w zarobkowaniu i zrzucania całości utrzymania na niego”, kończył wręczaniem mi rachunków do zapłacenia ze słowami: „niech ci mama pożyczy” albo „brat niech ci da”. Wydatki na rehabilitację Oli uznał za zbędne: „przecież możesz sama z nią ćwiczyć w domu, oszczędzi się na kosztach i po co ten transport, możecie przecież jeździć tramwajem, no i jedzcie w domu, w tych szpitalnych barach tak zdzierają”. Niespłacone długi rosły, a z nimi mój strach, co będzie dalej. Do teściów nie śmiałam iść. W końcu jednak odważyłam się. Wysłuchali mnie. I odesłali z kwitkiem. Oświadczyli, że nie stać ich na pomoc, ale mam przecież rodzinę, matkę, brata... Zrozpaczona zarzuciłam Arturowi, że ma rodziców bez serca. Uniósł się honorem. Jeszcze tej samej nocy postanowił mnie ukarać i wyegzekwować ode mnie małżeńską posługę. Stwierdził, że skoro mnie utrzymuje, mam obowiązek sypiać z nim. Zawłókł mnie do łóżka, prosto z pokoju Oli, skąd dałam się zabrać bez oporu, aby jej nie obudzić. Jednak jego brutalność otrzeźwiła mnie. Nie zamierzałam pozwolić na to, aby wziął mnie siłą. W ogóle nie chciałam, aby mnie brał. Rzucił mną na łóżko i mówiąc szczerze, wolałam to, niż jego ewentualne prośby czy czułość, którym być może nie potrafiłabym się oprzeć, a teraz gdy kochałam Gerarda, sprawiłoby mi to ból. Przemocy mogłam się przeciwstawić. Odmówiłam więc stanowczo, wtedy mnie uderzył. Na odlew. Dla odzyskania

przeze mnie świadomości, kto tu rządzi, w czyim jestem domu i od kogo jestem zależna. „Morda w kubek – syknął mi prosto w ucho. – Jeżeli chcesz forsy za nic, to przynajmniej nie podskakuj! A zresztą – dodał – i tak się dowiesz: nie ma już żadnego kontraktu! Nothing! Było i się zbyło!”. Wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. Usłyszałam rozdzierający płacz obudzonej tym Oli. Wymknęłam się cichcem do jej pokoju, aby ją utulić. Płakałam razem z nią. Z bezsilności. Nazajutrz Artur wyprowadził się do rodziców.

– Może to lepiej – żaliłam się następnego dnia do Gerarda. – Przynajmniej będziemy mieć spokój. Tylko źle się stało, że zerwali z nim kontrakt. Może w końcu by sobie poradził. W sumie naprawdę mi go żal...

– Ale z czego będziesz żyć? – zaniepokoił się Gerard.

Pomyślałam, że Gerard mógłby nam pomóc, przez jakiś czas...

– I tak miałam dość tych wszystkich kłamstw i kręactw! – mówiłam szybko, za szybko. – Tego ciągłego wymyślania bzdur, żeby tylko wyjść na chwilę z domu...

– No a teraz? Z kim będziesz zostawiać dziecko? – przerwał mi. – Zachowujesz się nieobliczalnie!

– Ja? – zdumiałam się.

– Trzeba to wszystko odkręcić – teraz on mówił szybko, za szybko. – Biorę to na siebie, nie martw się.

Nie wiedziałam, co mianowicie ma na myśli, nie śmiałam pytać, a on nie zamierzał niczego wyjaśniać.

– Powinnaś była mu pozwolić – powiedział w końcu.

Nie wierzyłam własnym uszom.

– Chcesz, żebym sypiała z Arturem i z tobą? Na przemian? – sądziłam, że się przesłyszałam, jednak rozwiązał natychmiast moje wątpliwości.

– Przecież ja też sypiam z żoną. I co? Jakie to ma znaczenie?

Dlaczego nie przewidziałam czegoś takiego? Osłupiałam. Widziałam wyraźnie,

jak sufit nade mną zmienia się w olbrzymią kulę i wypełnia ciemnością. Zapadałam się w nią, oddychając z coraz większym trudem. Dławiła mnie. Serce łomotało gwałtownie, jakby chciało wyrwać mi się z piersi.

– Sypiasz z żoną? – wybełkotałam. – I ze mną?

– O co tyle szumu? – zdenerwował się Gerard. – Przecież ci mówiłem, że to nic nie znaczy. Jest dla mnie obca i tyle.

– Z dwiema naraz? – Nie mieściło mi się w głowie.

– Przestań. – Machnął ręką lekceważąco. – Tobie też tak radzę. Dla świętego spokoju. Po co ci awantury? Żeby znów cię bił?

Leżałam w łóżku naga, obok niego, nagiego i nie mogłam uwierzyć w to, co słyszałam. Jakby ktoś wołał do mnie z daleka, w jakimś niezrozumiałym języku. Zupełnie nie pojmowałam znaczenia słów. Jakie to narzecze?" – myślałam intensywnie. I ten wysiłek pochłonął mnie całkowicie.

– Więc już mnie nie kochasz? – wyrwało mi się.

– Kochasz, nie kochasz! – zdenerwował się nie na żarty. Wyskoczył z łóżka i zaczął się ubierać. – Ciągłe domagasz się jakichś deklaracji. Mam rodzinę. Żonę. Córkę. Przestań zachowywać się jak dziecko.

Usiadłam. Próbowałam ubierać się, ale wszystko leciało mi z rąk.

– Przestań – nachmurzył się, potem dodał łagodniej: – przecież to ja zdradzam z tobą, a nie na odwrót. Mogłoby to wreszcie do ciebie dotrzeć? Zresztą – ujął mnie pod brodę – to się zdarza tak rzadko... Naprawdę nie masz powodu się skarżyć...

Łzy ciekły mi z oczu, nie mogłam ich powstrzymać. Ale tak bardzo pragnęłam pociechy. Uwierzyłabym nawet diabłu, we wszystko, byleby skończyło się to, co nagle rozrosło się we mnie, wypełniło, aż do pęknięcia płuc i nie zamierzało opuścić, chyba że razem ze mną... Było tylko dalszym ciągiem tej potwornej eksplozji, która zatrzęsała moim światem w posadach. Ale jak, jak można było się tego pozbyć? Jak nauczyć się oddychać na nowo? Czułam w sobie nagły, całkowity

bezwład. To opadałam z sił, to zaczynałam krążyć naokoło fotela, chwiejąc się jak pijana. Nie uwierzyłam w przegraną. Nie mogłam uwierzyć, żeby nie oszaleć. Musiałam oprzeć się na czymkolwiek, na jakiegokolwiek możliwości istnienia. Nie było innego wyjścia. Przede mną widniał tylko ten tunel. Bez światła na końcu. I musiałam się w niego zanurzyć. W absolutnej niewiedzy, co czeka mnie tam, u kresu tej rozpaczliwej drogi...

Nie wiem, co znaczyły te fiołkowe i malinowe barwy cyklicznych okręgów, które zawirowały wtedy w mojej głowie. Tajemnica, której strzegł tak pilnie i tak powoli się odsłoniła. Musiało minąć wiele trudnych do pokonania dni, żebym mogła objąć ich sens i znaczenie. Całość, wciąż jeszcze zakrytą przede mną, właśnie zaczęłam ogarniać swoim struchlałym sercem. Ale ten, bijący gorącem jeszcze od naszych pocałunków świt, zniemacka zadał mi podstępny cios. Nożem pchniętym poprzez firanki, prosto w moje serce.

*

Wiatr rytmicznie poruszał firanką w otwartym oknie. Słońce szło już ku zachodowi, bo pokój wypełnił się liliową poświatą. Po suficie wędrowały cienie niczym olbrzymie pająki, tkające długimi smugami gęstą siatkę na ścianach. W zalegającej ciszy rozległ się nagle głuchy dzwon z pobliskiego klasztoru. Jakby chciał ugłaskać ten dziwny, ledwie już bielejący dzień. Sonia miała wrażenie, że przebywa tu z Kasią od wielu dni. Dziewczyna leżała nieruchomo w łóżku, cienie krążyły wokół niej jak dookoła drzewa. Gładziła je lekko ręką, kładąc palce na śliskiej kołdrze, zahaczała o nie, marszczyły się, wzdymały niczym nieposłuszne żagle. Sonia czuła się jak intruz... Wstała. Kasia otworzyła oczy. Przez moment ich spojrzenia zetknęły się. Potem znów uciekły, w inne, sobie znane rejony.

– Czas na mnie – Sonia uśmiechnęła się z przymusem. – Trzymaj się.

– Nie odchodź – wyszeptała Kasia.

Jakaś walka toczyła się w niej. Wstyd z poczuciem klęski. I jeszcze coś innego, co Sonię zatrzymało w pół zdania, w pół kroku...

– Powinam ci wyjaśnić... – zaczęła Kasia z niechęcią i z trudem przełamywanym przymusem, jednocześnie z nadzieją, że zostanie właściwie zrozumiana.

– Nic mi nie jesteś winna. A już na pewno żadnych tłumaczeń – pocieszyła ją Sonia. Jednak powoli przysiadła znów na swoim krzeselku, jakby nie do końca przekonana co do właściwych intencji Kasi i jakby chcąc jej dać możliwość odwrotu w razie wahania czy rezygnacji z chęci rozmowy.

– Boję się – wykrztusiła Kasia.

– Jestem przy tobie. Jeżeli chcesz, zostanę, jak długo będzie trzeba. – Sonia pochyliła się nad nią.

W oczach Kasi pojawiły się łzy.

– Dlaczego to robisz? – rozłościła się nagle. – Nie znoszę samarytanek.

Sonia uśmiechnęła się. Arogancja Kasi uspokoiła ją.

– Śmiejesz się ze mnie? – burknęła Kasia zła. Po chwili jednak jej obrażona mina znikła. – Nie wiem, co robić! – wyjęczała.

– Może zawiadomię ojca dziecka? – zaproponowała Sonia na chybił trafił.

– Ani się waż! – Kasia aż pobladła. Jej palce zadygotały, zanim bezsilne opadły znów na kołdrę. Sonia czekała w skupieniu.

– On nic nie wie – przyznała Kasia w końcu. – Nie może się dowiedzieć.

– Dlaczego? – Sonia odważyła się zadać to pytanie.

– Bo to moja wina. Tylko moja. – Teraz dygotały Kasi wargi.

– Zawsze winne są dwie strony... – podpowiedziała jej Sonia, ale Kasia przerwała jej gwałtownie:

– Uwiodłam go. To porządny człowiek. Żonaty. Ma troje małych dzieci.

– Nie taki widać porządny... – Sonia postanowiła oddać jej sprawiedliwość.

– Założyłam się z dziewczynami... Był nie do zdobycia... Chciałam tylko dobrze zdać maturę... – znów zajęczała. – To zdarzyło się tylko raz... W klasie. Po lekcjach.

– Twój nauczyciel?

– Dał mi tematy z matury... Nie przypuszczałam, że...

– Nie zabezpieczyłaś się?

– To się stało... tak jakoś samo... Ale to ja go sprowokowałam.

– Kiedy się zorientowałaś?

– Zaraz po maturze. Przeszła gładko i co z tego? Nie pójdę teraz na studia... Starzy wyrzucą mnie z domu... – Wciąż starała się nie płakać.

– Może on ci pomoże? – Sonia próbowała dać jej nadzieję.

– Wyobrażasz sobie ten skandal? – Kasia zdenerwowała się na dobre. – Cała Turawa go przeklnie. Straci pracę za uwiedzenie uczennicy i za te ukradzione tematy maturalne... Zona go zostawi. Przecież ma małe dzieci! Zresztą, ja go nie chcę! Nie kocham go! Ani on mnie! Zmarnowałam sobie życie. Ale jemu, po co?

– Może ci pomagać po kryjomu.

– A jak się wyda? Nie znasz go. To uczciwy facet. Sam się przyzna. Mam pozwolić, żeby zniszczył to, co zbudował?

– Musisz wychować dziecko! To nie żarty.

– Oddam... do adopcji...

Jednak rozplakała się. Fale łez przelewały się przez jej twarz. Hektolitry wody.

– Sama widzisz, że to nie jest dobry pomysł. – Sonia ujęła jej zimną rękę.

– Co ty możesz o tym wiedzieć? A jak będzie kalekie? Łykałam różne świństwa, żeby spędzić. Widziałaś tego na wózku? – Kasia zwróciła ku niej załzawione oczy.

Po raz pierwszy patrzyły wprost na siebie, ze strachem, ale też z ufnością.

– Mam córeczkę, z wadą serca. I bardzo ją kocham... – Sonia mówiła wolno i bardzo wyraźnie.

Kasia umilkła. Patrzyła teraz w okno. Wciąż płakała.

– Wolałabym umrzeć... – wyrwało się Kasi jakby mimo woli.

„Ile bym straciła, tracąc życie? – myślała Sonia intensywnie. – Czyżby tak wiele, jak mi się kiedyś wydawało?”. Tak bardzo było jej to teraz obojętne. Puściła rękę Kasi i podeszła do okna. Szarzało już. Kwitnące krzewy tarniny prawie unosiły się od ciężkiego zapachu. Przenikał ją dreszczem, przebijał do jej pamięci, drażniący. Sonia czuła się jak u kresu drogi. Męczącej i niezmiernie odległej od tej, którą wyobrażała sobie na początku. Najchętniej zamknęłaby oczy, aby nie widzieć pomarańczowej łuny zachodu i zatkałaby uszy na głośny świergot niewidocznych ptaków. W powietrzu rozchodziła się oszałamiająca wilgoć liści, parujących po intensywnym deszczu. Sonia pomyślała, że długo i powoli umierają dni latem. Nie mogła już doczekać się ciemności. Szklanej i przezroczystej, pełnej blasku, jak woda na dnie morza. Jakże łatwo można by się ukryć w takiej chłodnej, wyścielonej księżycem ciemni.

– Byłam kiedyś szczęśliwa – powiedziała Sonia, odwracając się od okna.

Kasia miała nieruchomy, nienaturalnie zatrzymany w bezruchu wzrok.

– Zazdroszczę ci... – słowa Kasi świadczyły jednak najwyraźniej, że coś zaczęło się nareszcie wyłaniać na powierzchnię jej świadomości.

* * *

– Gerard poszedł do Artura. Usiłował przekonać go, aby wrócił do domu. To znaczy do mnie i do Oli. Nie wiem, jak toczyła się ich rozmowa, sprawa jednak okazała się beznadziejna. Artur nie zamierzał wrócić. Patrzył dziwnie na Gerarda, który zapewniał go o swoim uczuciu i przywiązaniu. Artur zapytał w końcu, czy to

ja go przysłałam z misją. Gerard nie bardzo wiedział, która z odpowiedzi byłaby lepsza, przytakująca, czy raczej zaprzeczenie, w końcu się zaplątał. Artur był pewien, że Gerard przyszedł zaproponować mu napisanie muzyki do swojego nowego filmu. To by go uratowało. Ale Gerard przestraszony jego niemocą twórczą wolał nie ryzykować. Artur więc czuł się ugodzony do żywego jego milczeniem. Tym bardziej nie zamierzał pozwolić mu na wtrącanie się w swoje prywatne sprawy. Nie miał zamiaru pomóc Gerardowi wywiązać się z misji, skoro wystarczyłaby sama propozycja pracy i wszystko byłoby OK. Może nawet zląkł się, że zwałę mu się z Olą na głowę, z powrotem, szczęśliwa, a on zostanie w punkcie wyjścia, bez pracy... Nie takiego obrotu sprawy oczekiwał. W takiej sytuacji wolał pozostać sam, zupełnie nie umiał jednak uzasadnić, dlaczego odrzuca mnie i dziecko. Przyciśnięty do muru, przyznał, że nie kochamy się i że to załatwia sprawę, sądzi nawet, że mam kochanka i że z pewnością się nie myli, ale nie ma pretensji. Oddał nas walkowerem, uznał, że nie nadaje się na męża i ojca. Ktoś inny, z kim jestem, z pewnością zbuduje mnie i Oli lepszy dom. Prawdziwy. Na jaki zasługujemy. Daje nam więc wolność. I swoje błogosławieństwo. Ola powinna mieć kochającego tatę, a on jej tego nie zapewni. Przecież pije, nie pracuje... Więc lepiej jest, jak jest. Gerard zaplątany w swoich kłamstwach i w jego wykrętach nie potrafił już ocenić, co powinien jeszcze zrobić, a co nie. A Artur był dziwnie trzeźwy, jakby tego dnia specjalnie nie pił. Gerard zaś przeciwnie, bardzo chciał się napić, rozmowa z Arturem kompletnie go wytrąciła z równowagi, a zapewnianie o mojej uczciwości małżeńskiej okazało się zadaniem ponad jego siły. Siedzieli naprzeciw siebie jak dwaj wrogowie. Nic nie zostało z ich dawnej przyjaźni, z rozmów, z atmosfery wspólnego tworzenia. Stałam między nimi i obaj mieli co do tego absolutną pewność. Artur kpił sobie z Gerarda, a ten miał tego świadomość. Spotkanie ich zakończyło się totalnym fiaskiem, ale ja odetchnęłam z ulgą. Gdyż powrót do poprzedniego stanu, do kolejnych kłamstw,

wymykania się z domu, znoszenia dalszych upokorzeń ze strony Artura, wydał mi się niepodobieństwem. Gerard jednak wrócił przybity. Nagle, z dnia na dzień, stał się za mnie odpowiedzialny, choć zupełnie się tego nie spodziewał, nie chciał i chyba nie czuł się na siłach.

Spotykaliśmy się nadal, ale nie było już w nim tego ognia, co przedtem. Najwyraźniej przestraszony, że, teraz wolna, mogę zacząć żądać od niego więcej, niż dawał mi do tej pory. Zrobił się ostrożny. Bywał u mnie krótko i zawsze w pośpiechu. Stale w biegu, skądś, dokądś. W przelocie, na półtorej godziny, na szybki seks. Na więcej rzadko starczało czasu. Wciąż spoglądający na zegarek. Bo żona. Bo córka. Bo ważne sprawy artystyczne, spotkania z producentami, aktorami... Każdy powód był dobry, by szybko wymknąć się i nie usłyszeć, jak tęsknię, jak bardzo jest mi potrzebny.

– Przyjaźnimy się, to wszystko – ustalił nasze relacje zniecierpliwiony. – Przyjmij wreszcie do wiadomości, że mam rodzinę. Niczego ci nie obiecywałem. No, nie dąsaj się! Nie do twarzy ci bez uśmiechu. Taka mina cię postarza. Ciesz się z tego, co masz.

Brał mnie za rękę i prowadził do łóżka. A ja pragnęłam tylko jednego, jak najszybciej tam się z nim znaleźć. Całował mnie tak samo namiętnie, pozornie wszystko było jak dawniej, jakby nic się nie zmieniło, jakby nic nie stało między nami, jakby wcale nie miał za chwilę odejść, aby zjawić się znów dopiero po kilku dniach beznadziejnego oczekiwania.

– To co, że nie wolno ci dzwonić do mnie. – Przytulał mnie mocno i całował uspokajająco w czoło, podczas gdy ja obejmowałam go ciasno, bojąc się, że ma zamiar odsunąć mnie i wstać. – Za to ja teraz mogę dzwonić do ciebie. Nie burmusz się. Nie mogę przestać z nią sypiać, bo się zorientuje. Muszę mieć trochę czasu. Bądź cierpliwa.

Słuchałam jego słów i zatracalam się cała. Nie istniało dwóch Gerardów, nie

było dwóch różnych światów. Był tylko ten świat – nasz i jeden Gerard – mój. Należał do mnie, tylko do mnie. Tak bardzo tego pragnęłam. Tak chciałam w to wierzyć. W jego ręce na moich biodrach, w jego wargi na moich, w zapamiętanie, w odnajdywanie się ciał za każdym razem z taką samą mocą. Te sfery jego życia, nieznane mi, usiłowałam wchłonąć, poznać, przyłączyć do tych, które tak bardzo nas łączyły. Bałam się jego przyzwyczajień, przywiązania do żony. Bo choć nie miały intensywności naszych spotkań, za to przebijały je trwaniem. Były rozkładem jego dnia, dzieleniem na pół domowych czynności. My ich nie posiadliśmy. Nie dopuścił, by zdarzyły się nam, abyśmy mogli spojrzeć na siebie z każdej strony, zachwycić się albo rozczarować. A z pewnością poznać, wśród czasem niemożliwych do rozwiązania problemów, które jednak powoli złożyłyby się na nasze wspólne ja.

Opanowała mnie zazdrość. Gubiłam się w domysłach. Wyobrażenia podsuwała mi przed oczy wytwory łącie szatańskie. Najgorsze były noce. Bolesne widziadła nie pozwalały mi zasnąć, często wyrywały ze snu, inscenizując sceny ich małżeńskiego pożycia. Takie widowiska odgrywały się we mnie każdej nocy. Pocięchę, jakiej doznawałam w dzień, w ramionach Gerarda, rozbijała w mgnieniu oka następująca potem noc. Te spektakle były świetnie wyreżyserowane, dawały złudzenie realności, prawie widziałam ich splecionych razem w uścisku, z jego udami wokół jej ud, wciskał się w nią, wślizgiwał znajomym ruchem. Chciałam oślepnąć, żeby wreszcie przestać ich widzieć. Ale to byłoby zbyt cenne. Nawet całkowita ślepotą nie uchroniłaby mnie od wewnętrznego widzenia. Jej śluz zmieszany z jego śluzem. Jutro wymiesza się z moim... Miałam ochotę wydrzeć ich z siebie, wyskrobać, wypalić kwasem. Żeby nie czuć w sobie jej zapachu... Obrzydzenie i strach. Cowieczorne wymioty zamiast snu. Tak wtedy wyglądało moje życie. Przerywane krótkimi spotkaniami, które odradzały moją miłość do niego. Gerard chwiał się nade mną, powracał ból i przenikał mnie. To był nie

kończący się cud, który piłam jednym haustem. Jednocześnie smutek, który czaił się wszędzie, przybierając najróżniejsze kształty. Nie znosiłam długich przerw w widzeniach, bałam się tego muru, który wyrastając między nami, mógłby nas nie dopuścić więcej do siebie. Gorączka obaw zabijała mnie. Domysły, co w danym momencie robi Gerard, z kim jest, gdzie i o czym rozmawia... Bolesne tajemnice. Nieufność, powodowana jego niewiernością. Koszmar niemożności stwierdzenia czegokolwiek. Brak wiary w słowa, które wymawiał na chwilę po zbliżeniu ze mną. Co mówił, gdy wychodził ode mnie, żonie, gdy potem kładł się z nią? A jeśli była trzecia?...

*

Mijali właśnie szeroką przestrzeń, rozpostartą przed nimi w ogromie zachodzącego słońca, niby zielono– złoty ogon pawia. Między rzadkimi zabudowaniami, tworzącymi ciemną, zwartą masę, otwierały się jedynie krzyżówki cienkich dróg. Niewielkie ogrody, zrzucające już owoce i liście, były biedne, przylegały ciasno do domów, nie pozostawiając między sobą ani kawałka wolnego miejsca, jak gdyby grzejąc się na zapas. Jan wciągał w nozdrza wilgotny zapach zbliżającej się jesieni. W niknących już i szarzejących w oddali perspektywach światło zaczęło niepostrzeżenie przemykać w półmrok. Wciąż jeszcze to słoneczne światło bielalo ostro pośród rozległych wokół pagórków. Świergoty ptaków, które niespodziewanie rozległy się w gęstniejącej wolno jasności, znów wywołały w nim upiory. Spowodowały, że zaczął potykać się na drodze o byle kamień. Dopadły go na nowo, wraz ze wspomnieniem letniego spaceru i zapatrzonej gdzieś Aliny.

Alina... Czy była pomyłką? Rozszczepiła jego życie na dwa. Rozdzieliła przeszłość od terażniejszości, będąc w niej jednocześnie niezmiennie obecna. Co właściwie pozostało po Alinie? Nazwisko? Mętne o niej pojęcie, jakby od dawna

była daleka. Jakby już wtedy była kimś nieznanym, z kim tak naprawdę nigdy nie był blisko. Przybliżyła go do śmierci... Czy to mu pomogło? Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiał. Przywoływał teraz jej przezroczystą twarz, na którą nakładał uśmiech Aliny. Czy były tym samym? Wątpił w to. Jakby nie docierała do niego możliwość nieistnienia Aliny, skoro zjawiała się przed nim raz po raz, namacalna, żywa. Jakby istniała ciągłość między jej istnieniem a jego. Niewyobrażalny, ścisły związek. Może wystarczyłoby zrobić dwa kroki, zejść w siebie, aby znaleźć się naprzeciw niej, twarzą w twarz? Odnaleźć wszystkie te minione zachwyty i pożądania, niszczące aż do samounicestwienia? Czyżby kierunek tej drogi widniał właśnie przed nim? W blasku słońca na czerniejących liliowo polach, olbrzymiejących aż do zawrotu głowy? Czy cały ten czas, przeżyty i na nowo przeżywany był na pewno jego czasem? Jego życiem? Skąd tyle wątpliwości, że jego życie może nie należeć do niego, tylko do tego zatrważającego bezmiaru, na który właśnie spogląda?

– Proszę księdza... – usłyszał i skulił się jak przed uderzeniem.

Minęła chyba wieczność, zanim w oparach nadciągającego zmierzchu rozpoznał sinawą ze zmęczenia twarz Albina.

– Tak? – spytał machinalnie.

Dopiero teraz poczuł, że przytroczone do wózka dłonie ma zupełnie pozbawione czucia. Albin dreptał przed nim, głowa chwiała mu się na cienkiej szyi, jakby miała się za chwilę złamać. Jego masywny kark zniknął w ciemnościach, pozostawiając po sobie puste, smętne miejsce, przysłonięte dla niepoznaki szalikiem. Albin rzucał niespokojne spojrzenia na Jana, nie będąc pewny widocznie, czy kontynuować rozmowę z wyraźnie wyczerpanym księdzem.

– Te pola, wie ksiądz... – zaczął w końcu niepewnie – tak mi właśnie przypomniały...

Broda mu zadygotała. Przez chwilę rzucał oczami trwożnie na lewo i prawo.

– Moja żona nieboszczka... lubiła takie strony... Jakoś mi tak nieswojo – dodał, prawie bez związku.

– Czego właściwie pan się obawia? – spytał Jan na chybił trafił.

– Ja tam uczonej nie jestem – zamyślił się Albin. – Alem niespokojny taki... Bo na ten przykład... jak oni wszyscy powstaną...

– Kto? – nie zrozumiał Jan.

– Umarli. Przecie mówię. O zmartwychwstanie mnie chodzi. O te wszystkie ciała. Jak one z grobów wyjdą. Przecie tego będzie co niemiara! Strach pomyśleć, ile luda! Jak to wszystko tu się pomieści? Co jeść będzie? Powietrza pewnikiem zabraknie, to się poduszą albo z głodu wyzdychają. I choroby się zaczną...

– Panie Albinie – przerwał mu Jan dobrotliwie. – Pan rozpatruje wieczność na sposób ludzki.

– A jak mam inaczej? Przecie to ludzie będą! Znow im ciała dadzą. A ciała, rzecz ziemiska. To po ziemsku żyć będą musiały. I znow umrzeć. To po co to wszystko? Przecie ciała się starzeją. A jak powstanie taki, co miał dziewięćdziesiąt lat? Może nie zechce taki żyć, stary? Więc jak to będzie?

Jan słuchał zdumiony. Ten zażywny, jękający się ze zdenerwowania człowiek, zadał mu właśnie fundamentalne pytanie. Które już przed nim zadawali sobie najtężsi mędracy. I na które on, Jan, może mu dać jedną jedyną odpowiedź, jakiej go nauczono. Jednocześnie zdał sobie sprawę, że on sam pomyślał o śmierci tak naprawdę dopiero na chwilę przed tym, nim padło to pytanie, i to uderzyło go w pierwszej kolejności. Dotkliwie i celnie. Bo oto ten człowiek zastanawiał się nad konstrukcją świata i oczekiwał od Jana jasnego, niepodważalnego wyjaśnienia. A on sam, tymczasem, właśnie przed chwilą, zwątpił w to wszystko, co do tej pory wydawało mu się, że wie. Jakaś nieznana, obca mu prawda zaczęła przenikać do jego duszy, mącąc mu myśli. Nie był wcale pewien, co powinien odpowiedzieć Albinowi. Najpierw bowiem musiał odpowiedzieć sam sobie. Czy pragnie powrotu

Aliny. Czy wierzy ze wszystkich sił, z niezachwianą pewnością, że spotkają się w końcu, że staną naprzeciw siebie? Ale co mianowicie miałby wtedy zrobić? Przywitać się? Jak gdyby nigdy nic? „To nonsens! – powtarzał sobie, drżąc. – Rozumuję jak Albin. Jak człowiek. Nie będzie żadnych ciał. Żadnych miłości. I żadnych płci! Żadnych? Przecież Maryja i Jezus są tam z ciałami, o innej płci... Ale może w ogóle się nie rozpoznamy? Rozdzieleni miliardem mgławic, odległościami lat świetlnych, które przemierzać będziemy w zupełnie innej, niewyobrażalnej formie?... Ale to znaczyłoby... – tu Jan aż się spocił – że cała nasza nauka o zmartwychwstaniu ciał to bajka. Albo raczej tylko metafora. Że nie można jej brać dosłownie!“. A więc może wcale nie być Aliny, jaką znał? Może będzie tylko światłem mrugającym do niego w nieznanym mu alfabecie, z jakiejś maleńkiej gwiazdy, a on będzie tęsknił za nią, jak Mały Książę za ukochaną różą? Mały Książę był jednak szczęśliwszy od niego. Wystarczyło, że umarł i natychmiast powrócił do niej. On sam zaś nie był pewien, czy jego śmierć w jakikolwiek sposób może przybliżyć go do Aliny, kimkolwiek by wtedy była... I czy on w ogóle tego chce. I ogarnął go żal, pojął całym swoim ściśniętym sercem, że tak naprawdę niczego nie wie. Ani tego, czy chce jeszcze spotkać tę, która tak go kochała. A już na pewno nie wie, na czym ma polegać zmartwychwstanie. Co więc ma odpowiedzieć Albinowi? Że wszystkie te wyobrażenia, kreowane przez opowieści z Biblii, wyzwalają w nas obrazy tylko ziemskie? Podczas gdy, z całą pewnością, to życie pozaziemskie z ziemią niewiele będzie miało wspólnego?... O ile w ogóle będzie...

– Jezus jadł i pił. Tak przecie było? – Albin prawie zebrał o odpowiedź, o jakąkolwiek. O nadzieję. – A jeżeli jadł, to i trawił. I wydalał, za przeproszeniem księdza, czy tak? Czyli ludzkie miał ciało. To jak mógł przenikać przez ścianę? Ludzie tak nie mogą. Więc co z tym ciałem? Jakies to wszystko... nie na mój rozum. I co z moją żoną nieboszczką? Co będzie, jak się drugi raz ożenię? Panna

Jadwiga, mnie owszem, pasuje. Tylko czy one się potem obie nie pobiją o mnie? Bo moja żona to krewka kobita. I której ja właściwie mężem będę? – Podrapał się po głowie. – Przecie z dwiema nie można. Jakoś to tak, nie po ludzku...

– W niebie... – zaczął Jan, ale Albin zachnął się:

– W niebie, to są święci. Ja się pytam o takich jak ja. O zwykłych, co grzeszą. Jak z nimi będzie? Gdy zmartwychwstaną, to potem do czyśćca czy najpierw na sąd? I co, po czyścicu znowu sąd? I tak w jednym rzędzie, dzieciaki i te rozleciane staruchy po dziewięćdziesiąt? A potem, co z nimi dalej?

– W domu Ojca jest mieszkań wiele – wybrnął Jan z sytuacji.

– Tak, tak – Albin wydawał się nieprzekonany. – Ale jakich? I gdzie? Jakoś dziwno mi pomyśleć, że miałbym fruwać... Z moją tuszą? Z zadyszką? Skoro to własne ciała będą... To jakże ja będę wyglądał? Toć wszyscy ze śmiechu popękają... – znów się podrapał, zafrasowany.

– Myśli pan poważnie o pani Jadwidze? – Jan szybko zmienił temat.

– Dobra z niej kobita – przytaknął Albin. – Robotna. Nadałaby mi się. Co ksiądz sądzi?

– Zdązycie jeszcze oboje podjąć decyzję. – Ksiądz wybrał salomonowe wyjście.

– Tak, tak – ucieszył się Albin. – Byle nieboszczka się nie wściekła. Zazdrosna była jędza, że nie wiem...

– Ją niech pan Bogu zostawi – odpowiedział Jan. – I niech się pan już tym nie trapi.

Albin odszedł z wyraźną ulgą, pocieszony. Jan pozostał ze swoimi wątpliwościami i rozterką w sercu. Na to, co jego dręczyło, nie znalazł odpowiedzi. Jeżeli nawet istniała, nie była mu na razie dostępna. Tracił z wolna poczucie tego, że kiedykolwiek zdoła ją poznać. W każdym razie nie tu. Nie za tego życia. Alina, którą pochowano na małym cmentarzyku w jego wsi, już dawno przeniknęła z wodą do kwiatów i ziół, do owadów i ptaków. Przelatywał teraz być może nad nim

wraz z kosem jej śmiech. A może to jej głos w rozgwarze drozdów tak zabrzmiał głęboką nutą w jego sercu? Rozorał ból? Była tuż, czuł to. Czul jej oddech naprzeciw swojej twarzy. Widział błakający się po bezkresie jej długi cień...

* * *

– Soniu – zadzwonił do mnie Gerard – będę u ciebie za pół godziny. Chcę ci kogoś przedstawić.

– Kogo? – zdziwiłam się, ale w międzyczasie zdążył się rozłączyć. Tak więc rozwiązanie zagadki musiałam odłożyć na potem. Zdążyłam tylko nakarmić Olę, ułożyć ją do snu i wsunąć przez głowę pastelową sukienkę w maki, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Gerard pierwszy raz zaprosił kogoś do mnie, a to oznaczało – do nas. Gościem okazał się niewysoki człowiek, o poważnym, czujnym spojrzeniu, przenikliwym, a zarazem roztargnionym, którym prześwietlał mnie jak promieniami Roentgena. Poczułam, że cierpnie mi skóra, nie ze strachu, raczej z wrażenia. Budził we mnie dreszcz i dziwne, trudne do określenia emocje. Zażenowanie na myśl, że widzi mnie jak na ekranie monitora, jednocześnie zaufanie, że nie nadużyje tej wiedzy, z pewnością nie przeciwko mnie. Wywoływał respekt, a jednocześnie niespodziewaną bliskość, jak gdyby znał mnie od dawna. Gerard na widok mojej reakcji triumfował. Lubił niespodzianki. Bawiła go moja skonsternowana mina, której nie potrafiłam ukryć. Gość rozglądał się z ciekawością po moim skromnym mieszkanku, podczas gdy ja parzyłam kawę, nie mogąc doczekać się prezentacji. Okazał się znanym poetą. Gerard najwyraźniej nie zamierzał wyjaśnić mi, po co go sprowadził, odkładał to na później, nie ulegało jednak wątpliwości, że miał w tym ukryty cel. Podczas gdy gość, jakby nieuważnie i od niechcienia lustrował każdy szczegół pokoju, ja dyskretnie przyglądałam się jego postaci i szczegółom twarzy. Nie mogłam uwierzyć, że ten skromny, wręcz

eteryczny człowiek, to ktoś tak znakomity. Czarne, prawie granatowe w odcieniu włosy i lekko skośne oczy świadczyły najdobitniej o jakiejś tatarskiej domieszce w jego genotypie. Zachowywał się niezwykle powściągliwie. Nie spieszył z podjęciem rozmowy, podekscytowany Gerard również. Przynieśli znakomite wino, do którego naprędce przygotowałam kanapki. Gość obserwował każdy mój ruch, z nieokreślonym wyrazem twarzy, ni to badawczym, ni kpiącym. Trochę drapieżnym. Byłam spięta. Sukienka wydawała mi się odpowiednia, warkocz w porządku, mimo to czułam się jak maturzystka, mająca recytować wiersz przed Mistrzem. Coś zablokowało mi krtań i nie mogłam wykrztusić słowa. Właściwie mógł już sobie pójść. Rozpracował mnie natychmiast, od jednego spojrzenia. Nie znosiłam takich sytuacji. Postanowiłam bronić się za wszelką cenę. Bronić prawa do własnej tajemnicy. Do jego pomyłki co do mnie. Gerard śledził rozgrywkę jak świetną zabawę. A ja nie lubiłam zabaw moim kosztem. Coś się tu odbywało. Tylko co? Jakiś spektakl, w którym przez pomyłkę brałam udział...

Poeta uczynił pewien wysiłek, żeby się uśmiechnąć, miało to pewnie oznaczać dla mnie zachętę. Nie wiedziałam, na co czeka. Że wyznam, iż ubóstwiam jego wiersze? Znałam ich sporo. Także dzienniki. To w końcu jeden z naszych największych współczesnych... Ale ja nie umiem tak po prostu paść na kolana... Gerard wiedział o tym. Bawił się, czekając, co z tego wyniknie. Rozlał wino. Wzniósł toast na cześć gościa. Najwyraźniej imponowała mu jego obecność.

– Zachwycasz go. – Gerard zwrócił się do mnie z ujmującym wyjaśnieniem. – Tak zresztą, jak mnie.

Poeta roześmiał się. Wychylił do dna swój kieliszek. Byłam oszołomiona i zbita z tropu. Za kogo oni się uważają? Za alfy i omegi? Gerard prowokował mnie, to było oczywiste. A ja – musiałam dać się sprowokować, jeśli nie chciałam wyjść na idiotkę.

– Pan jest autorem *Dzienników*} – zwróciłam się przytomnie do poety i nie

czekając na odpowiedź, dodałam, że sama intencja sztuki nie jest jeszcze dziełem sztuki.

– Uważa pani moje dzienniki za imitację rzeczywistości? – zdziwił się.

Pił wino i milczał. Gerard był wyraźnie zadowolony. Sączył wolno swój kieliszek i czekał na dalszy rozwój wypadków. Dlaczego właściwie wkurzył mnie ten poeta? Przecież nie na niego byłam zła, tylko na Gerarda. Wyłuszczyłam mój punkt widzenia. Poeta niewidzącym wzrokiem toczył wciąż po ścianach. Nie namyślał się, to było widoczne, tylko trawił w sobie mój surowy osąd. Nie polemizował.

– Jesteś cynikiem! – zawołał Gerard, dolewając wina do kieliszków. – Brawo, Soniu!

Nie miałam pojęcia, dlaczego walczę z poetą. Wcale nie miałam zamiaru go urazić. Co mnie do tego upoważniało? Przecież nie znałam człowieka. Widocznie miałam zbyt wiele głęboko ukrytych pretensji do Gerarda i ten żal dał teraz o sobie znać w żółci, którą wylałam na jego przyjaciela. Zagryzali kanapki, ja zagryzałam wargi, nie będąc pewna, czy się nie wygłupiłam. Ponoślił mnie gniew i nie umiałam nad nim zapanować. Kiedy wreszcie poeta zaripostował, Gerard znów się zaśmiał:

– Jeden jeden. To jak, zgoda? – stuknął mnie kieliszkiem. – Artysta, Soniu, jest jak chory, który szuka w świecie wyobraźni schronienia przed rzeczywistością, gdyż ona go przytłacza. Coś o tym wiem. Nasz poeta zrobił to samo. Upiększył swoje życie, bo tylko w ten sposób mógł odnaleźć drogę do siebie takiego, jakim by chciał być. Czy to źle?

Nie mogłam zaprzeczyć. Moja złość nagle ulotniła się. Byłam trochę smutna. Czułam się zagubiona wśród takich ludzi, którzy byli jak egzotyczne rośliny, jak efemerydy, ich psychikę zgłębiałam z taką trudnością. Gerard wbił we mnie swoje żółte, fosforyzujące oczy. Wyglądał jak wielki drapieznik, szykujący się do skoku. Poeta pił w milczeniu, zapatrzony gdzieś w siebie.

– „Poeta jest jak latarnik, ze wzrokiem wyteżonym w gwiazdną przepaść, której głębia równa się jedynie głębi jego serca” – zacytował Gerard, mrugając do mnie jednym okiem.

Nie odważyłam się na ripostę. Wiedziałam, że mają rację. Są niewątpliwie innym gatunkiem ludzi, wymagającymi ochrony, choć to najbardziej mnie w nich wkurzało. Jednak bez ludzi takich jak oni, jaki sens miałoby nasze życie?

– Jesteście jak murzyńscy czarownicy – zażartowałam. – Zaczarujecie nas.

– Tak, to swego rodzaju magia – przyznał poeta. – Odkrywanie sensu tam, gdzie zwykle nikt by się go nie spodziewał.

– Amen! – podsumował zadowolony Gerard. – Cóż, każdy twórca jest na co dzień uwięziony w pozorach, mieści się z trudem w przyjętych granicach i normach, dlatego tworzy życie imaginacyjne, gdzie może poruszać się swobodnie. Dopiero tam naprawdę istnieje, nie jest tym brzydkim ciałem, tylko wierszem.

Patrzyłam zamyślona na nich obu, pełna żalu, że nie mogę tego samego powiedzieć o sobie. Zazdrosna o te iskry, te błyski, które potrafili odczuwać tylko oni. Ileż dałabym, żeby i dla mnie zaczęły tak spadać, te dziwne, niepojęte, a nie tylko te prawdziwe gwiazdy, jak w każdą letnią, sierpniową noc...

*

Dotarli do Lublińca o zmierzchu. Zakwaterowali się w bungalowach na placu campingowym. Czekala już na nich ciepła kolacja, a w pokojach świeża pościel. Jan czerwony z wysiłku i spocony, chętnie oddał Gabrysia pod opiekę rodziców. Teren placu był ogrodzony, wokół rosły drzewa akacjowe i krzewy leszczyny, było spokojnie i cicho. Stołówka mieściła się obok basenu. Mimo wieczoru panował upał, Jan tęsknie spoglądał na lustrzany odbłask wody. Przeszedł wzdłuż basenu i wszsz, tłumiąc w sobie przemożną chęć zanurzenia się w falujący przed nim

ożywczy chłód.

W sali stołówki, dokąd udał się po chwili, a gdzie zebrali się jego pielgrzymi, szczerkały głośno sztuce, a w powietrzu unosił się kwaśny zapach bigosu. Jan wyjął z plecaka butelkę wody mineralnej i wysączył ją do ostatniej kropli. Odetchnął z ulgą i właśnie zamierzał wziąć się do parującego przed nim talerza z bigosem, gdy jego wzrok padł na postać, która nagle ukazała się w drzwiach. Z ręką zamarłą w powietrzu zapatrzył się w wysokiego chudzielca, który bezceremonialnie, ze znanym mu doskonale drwiącym uśmieszkiem, rozglądał się całkiem rzeczowo po sali, zastanawiając się widocznie, gdzie by tu usiąść do kolacji. Janowi krew napłynęła do twarzy. Przed chwilą był tak zmęczony, że marzył tylko o pochłonięciu swojej porcji kapusty, teraz nagle głód opuścił go, a zaparty z wrażenia oddech spowodował wydobyć się z jego płuc nieprzewidzianego charkotu. Zanim jednak Jan uczynił jakikolwiek ruch, Wydra, bo to on był we własnej osobie, podszedł jak gdyby nigdy nic do sąsiedniego stolika, usiadł i pstryknął palcem na kelnerkę, aby podała mu kolację. Ksiądz oszołomiony zdążył zauważyć tylko, że inni równie pełni zdumienia, trwali zastygli w dziwnych pozach przy swoich stolikach, nie bardzo wiedząc, jak się zachować w tej niespodziewanej dla nich sytuacji. Bezcelność Wydry zupełnie zbiła ich z tropu, tak że nikt nawet nie zaprotestował. Jan wstał jednak i podszedł do stolika Wydry.

– Ty tu? – spytał bez ogródek, stając nad nim i oczekując, że ten także wstanie.

Wydra jednak zabierał się do przyniesionego właśnie bigosu i ani w głowie były mu konwenanse.

– A, ksiądz – stwierdził z głupia frant. – No, niechże ksiądz siada.

Z pełnymi ustami, żując ostentacyjnie, przyglądał się Janowi ze zmarszczonymi brwiami. Ksiądz przysiadł na chwilę obok niego.

– Miałeś czelność tu wrócić? Jak gdyby nigdy nic? – próbował przywołać go do

porządku.

– Nie zapłacili mi mojej doli – wyjaśnił spokojnie Wydra. – Poza tym nie wykonałem jeszcze całej roboty. W końcu zostały trzy dni i z tego, co wiem, nie ma mnie kto zastąpić.

Ksiądz przytłoczony takim argumentem, nie próbował nawet oponować. Rzeczywiście, po jednym dzisiejszym dniu czuł się potwornie zmordowany i na myśl o podobnych trzech następnych dniach cierpła mu skóra.

– Nie ma o czym gadać. – Wydra machnął widelcem w powietrzu. – Niechże ksiądz pokaże te bąble.

Jan rzeczywiście czuł, jak bolą go odparzone dłonie, jednak nie zamierzał manifestować swojej porażki.

– Zostawiłeś nas w szczerym polu. Dziewczyna się przez ciebie wykończyła – powiedział z wyrzutem.

– Tak, wiem. – Wydra wlepił w niego beztroskie i kpiące spojrzenie. – Szedłem za wami.

– Widziałeś nas? – zakrztusił się Jan. – I nie przyszedłeś z pomocą?

– Chciałem dać wam nauczkę. Żebyście zaczęli mnie wreszcie cenić – wycodził przez zęby Wydra, nienaturalnie łagodnie.

Jan przez dłuższą chwilę zastanawiał się, co odpowiedzieć. Niewątpliwie Wydra miał rację. Okazał się niezbędny. Nie można pozwolić, żeby odszedł. Zjawił się w samą porę, ksiądz chcąc nie chcąc musiał to przyznać. Nie było to proste ani przyjemne, spurpurowiał z przykrości, na szyi wystąpiły mu grube żyły. Przy sąsiednich stolikach panowała cisza. Wszyscy czekali w napięciu na efekt tych negocjacji. Jan wstał.

– Porozmawiam z nimi – rzucił pospiesznie w stronę Wydry.

– Jasne. Nie krępujcie się. No i niech ksiądz wreszcie coś zje. Jeszcze sporo drogi przed nami.

Jan zacisnął wargi i spróbował się opanować. Wydra celowo działał mu na nerwy, a on nie powinien dać się im ponieść. Ruszył w stronę pozostałych. Na jego widok Budniok podniósł się od stolika i spojrzał na księdza pytająco.

– To jak? – spytał go Jan. – On chce wrócić do pracy. Zgadza się pan?

Władysław dreptał w miejscu, nie wiedząc, czego ksiądz po nim oczekuje. Leokadia widząc niezdecydowanie męża, szybko włączyła się do rozmowy.

– Przecie nie będziem znów fatygować księdza! – załagodziła wiszący w powietrzu konflikt z Wydrą. – Chce pan Wydra pchać, to i niech pcha. W końcu po to tu jest, nie? I może mu trocha od tego rozumu przybędzie.

– Wasza wola – skwitował Jan z ulgą.

Jednocześnie ogarnął go niepokój, co przyniosą następne dni. To go speszyło. Jeszcze nie tak dawno martwił się niespodziewanym odejściem Wydry, a teraz obawiał się jego równie nagłego powrotu. Cóż, jakoś nie ufał temu człowiekowi o skrytych, niemile jarzących się oczach. Podszedł jednak do Wydry zdecydowanym krokiem.

– W porządku. Możesz zostać, skoro chcesz.

I nie oczekując na odpowiedź, odszedł do swojego stolika. Wydra głośno wytarł usta serwetką i z hałasem odsunął krzesło.

– No, to, ahój! Witajcie na pokładzie! – zaśmiał się nieprzyjemnie i zniknął w wieczornym zmroku.

Po chwili usłyszeli głośny plusk, to Wydra zdjął spodnie i wskoczył do basenu, co ujrzeli przez oszklone ściany stołówki.

– On pływa nago! – obruszył się Albin. – Przy kobietach! Trza coś z tym zrobić!

– Ale co? – zaniepokoił się Prokop.

– Już ja wiem, co! – huknął Albin i popędził galopem ku wyjściu.

– Panie Albinie! – zawołała przestraszona Jadwiga i pobiegła w ślad za nim. –

Niechże pan da spokój!

Wybiegła ze stołówki i chwyciła go za rękaw. Przystanął, dysząc ciężko.

– A to łotr! – wysapał. – Wstydu taki nie ma! Gębę bym mu obił!

– I na co to? – uspokajała go Jadwiga. – Przecie on silniejszy. I nic nie pojmie, choćby po łbie dostał. Bo na złość robi. Przeczekać trza. Aż sobie odpuści.

Gładziła go po szorstkim rękawie koszuli, aż Albin zmiękł i spojrzał na nią tkliwie.

– Dobra z pani kobita – przyznał wreszcie. Ujął jej dłoń i cmoknął szarmancko.

– Nie będziem patrzeć na tego obwiesia. Niech se łązi goły, skoro tak mu pasuje. A ja odprowadzę panią, żeby się pani na niego nie napatoczyła.

Ujął ją za łokieć i skierowali się w stronę bungalowów. Wieczór był cichy i ciepły. Na turkusowo-czarnym niebie wisiał olbrzymi, ciężki księżyc. Najlżejszy powiew wiatru nie mącił ciszy.

– Jak ładnie! – szepnęła Jadwiga.

Wtedy objął ją i przygarnął do siebie niezdarnie. Drżała, nie odsuwając się ani nie czyniąc żadnego gestu.

– Pani Jadwigo – zaczął. Nie był wzruszony. Już od dawna ta sfera emocji była mu obca. Odchrząknął tylko dla dodania sobie animuszu. – Bardzo panią polubiłem.

Podniosła ku niemu błyszczącą jak księżyc twarz.

– Samotny ze mnie gość. Zona mnie odumarła. I tak żyję sam jeden. Pani też sama. Widziałem, przy kościele, parę razy, po nieszpórach.. . jak pani... rozdawała gazetkę parafialną.

Wstrzymała oddech, nie śmiejąc mu przerywać. Wpiła w niego spojrzenie, uważne, jednocześnie zamarłe z wrażenia.

– A gdybym tak... – rozpiął guzik przy szyi, jakby go nadmiernie uciskał. Odsunął nieco Jadwigę, najwyraźniej trochę zmieszany sytuacją. – Niechże się

tylko pani ze mnie nie obśmieje!

– A gdzieżby! – zapewniła szeptem, nie spuszczać z niego oczu.

– Bo... gdybym tak, gdybyśmy razem... przecie tak łatwiej, we dwoje. A mnie kobity w domu trza...

Popatrzył na nią, jakby wylękły swoją śmiałością. Jednocześnie pękał z dumy, że zdobył się wreszcie na odwagę. Był pewien, że ona też na to czekała.

– Pan mnie... prosi... – uściślała wolno Jadwiga, nie dowierzając własnym uszom, chcąc wreszcie poznać do końca jego zamiary.

– O zamążpójście ja proszę – już spokojnie dodał Albin. I z hałasem otarł pot z czoła, wielką, kraciastą chustką. Stanowczo zbyt parny był to wieczór na oświadczyń. Dalsze zwlekanie groziło jednak zajęciem Jadwigi przez Prokopa, a do tego Albin za wszelką cenę nie chciał dopuścić. – Zakład samochodowy ja mam, na spółkę z synem. I dom. Choć to syna wszystko będzie, po matce, bo już zem mu zapisał. Ale póki ja żyw, to ja rządzę i żonie dobrze przy mnie będzie. To jak? Ugoda stoi? Obrączkę mam po żonie, to kupować nie będzie trza.

– Żenić pan się chce? Ze mną? – Nie dowierzała wciąż Jadwiga.

– No? – zniecierpliwiał się Albin. – Żenić. Żenić, ale słowo trzeba dać. Żeby ja wiedział, co i jak. Zgodę chcę usłyszeć.

– Oj, zgodę, zgodę! – jęknęła Jadwiga z zachwytem. – No jasne, że zgodę!

Wtuliła się mocno w jego szeroką pierś i tak oddychali pospołu, milcząc, w rozplywającej się od woni i gorąca nocy.

* * *

– Przeczucie nie myliło mnie. O coś im chodziło. O co? Nie wiedziałam. Długo dyskutowaliśmy. O sztuce, o tworzeniu... Przyznaję, fascynował swoją erudycją i wiedzą. Zrobiło się ciemno, ale Gerard nie pozwolił włączyć lampy. Siedzieliśmy

więc w rozbłyskujących raz po raz światłach przejeżdżających gdzieś aut, rzucających na ściany siatkę żółtawych cieni i w muzyce dzwoniących tramwajów, której dźwięki niosły się ku nam jak delikatna melodia sygnaturki. Ta wieczorna, zakłócana z rzadka z oddali cisza, zaczęła się i nam wkrótce udzielać. Obserwowałam ich twarze, to rozjaśniały się, to gasły.

– Co sądzisz o dzisiejszym wieczorze, Soniu? – zagadnął wreszcie Gerard, wymuszając przerwanie milczenia.

– Kreujecie go – powiedziałam szczerze.

Gerard zaśmiał się. Nie, nie zabrzmiało to złowieszczo w tej dziwacznej aurze, raczej rozładowało nastrój.

– Kreacja nie jest czymś nagannym. A przeciwnie. Inaczej nie włożyłabyś dziś tej ślicznej sukienki – stwierdził Gerard podchwytliwie.

Wyładowałam irytację na gościu. Ale nawet nie drgnął. Lekki uśmiech błąkał się tylko po jego wargach. Uznałam jednak, że nachalna kreacja to nadużycie.

– Opowiadasz się za świadomą kreacją jako prawem autora i uważasz jednocześnie za niedopuszczalne koloryzowanie własnej biografii, a przeinaczanie czy wręcz ukrywanie faktów, za manipulację? Nie widzisz, że sama sobie przeczysz? – ripostował Gerard.

– Czyli dopuszcza pani kreację jedynie na polu czystej sztuki? – poeta utkwiał we mnie nieprzenikniony wzrok.

Wyjaśniłam pokrótce, o co mi chodzi. Zarzutów było więcej.

– Nie zgadzam się z tobą – hamował mnie Gerard. – Wszystko to znajdziesz w wierszach naszego poety. Są, przyznasz, nie tylko finezyjne formalnie, ale bez zarzutu pod względem emocji czy zawartych myśli. Sama mówiłaś, że artystę powinno się oceniać według dzieł, a nie jego życia czy wypowiedzi.

Znów spieraliśmy się, aż nie wytrzymałam, choć był to może z mojej strony cios poniżej pasa.

- Pozwoli pan, że zadam pytanie? – zapytałam.
- Proszę. – Poeta świdrował mnie wzrokiem drapieżcy.
- Czy potrafiłby pan nie zadzwonić do kochanej kobiety przez pięć dni?
- Pani zadaje mi kłopotliwe pytania – poeta uciekł od mojego spojrzenia.
- No tak. To wszystko wyjaśnią rozdrapałabym telefon, gdyby ten ktoś tak długo nie dzwonił... Pan jest tylko zręcznym prestidigitatorem...
- Dwa jeden! – wykrzyknął Gerard z entuzjazmem. – Zapędziłaś go w kozi róg!
- Nie miałam takiego zamiaru – przyznałam ze skruchą.
- Nie szkodzi. Najważniejsze, że doszliśmy do consensusu. – Roześmiał się poeta.
- Dlaczego? – nie zrozumiałam aluzji.
- Bo to był test. – Gerard zacierał ręce z ukontentowania.
- Test? – obruszyłam się. – W jakimże to celu?
- Przepraszam! – Gerard cmoknął mnie w policzek. – Musiałem sprawdzić, czy się nadajesz. To była próba generalna.
- Do czego niby się nadaję? – zmarszczyłam brwi. Cała ta dyskusja od początku wydała mi się dziwna. Nigdy nie rozmawiamy w ten sposób. Czułam, że coś jest nie tak!
- Oceniasz siebie zbyt surowo. Wypadłaś naprawdę wspaniale! Chcę cię zatrudnić. Będziesz moją rzeczniką. Poprowadzisz promocję filmu. Potrzebowałam takiej dyskusji z tobą na żywo. Dlatego poprosiłem kolegę– poetę o pomoc. Dziennikarze są wścibscy i podchwytliwi. Stwierdziłem jednak, że świetnie dasz sobie radę. Bez obaw. Jesteś elokwentna i bezpardonowa. Masz swoje racje, potrafisz ich bronić i uzasadniać. To ważne.
- Będziemy razem... pracować? – nie mogłam uwierzyć.
- Przecież potrzebujesz pieniędzy. – Gerard był w siódmym niebie. Ja od tej chwili też.

– To ja już pójdę – podniósł się nasz gość.

Cmoknął mnie w rękę z kurtuazją. Nie miałam mu już za złe tej zabawy. Zrobił to dla Gerarda. Pośrednio także dla mnie. Pożegnałam go ciepło, Gerard odprowadził go do drzwi. Gdy wrócił, wybuchłam radością.

– Naprawdę? Będziesz zabierał mnie ze sobą? – okręciłam ręce wokół jego szyi.

– Uspokój się, Soniu. – Gerard poklepał mnie po plecach. – Jeszcze nie skończyłem filmu. Masz więc trochę czasu, musisz się przygotować. To będą oficjalne wyjazdy i pokazy. Pracujesz u mnie, ale nie chcę żadnych plotek i podejrzeń, że coś nas łączy, żadnych komentarzy w brukowcach. Rozumiesz? Taki jest warunek. Czy to jasne?

– Jak słońce! – Byłam taka szczęśliwa! Nareszcie wszystko zaczęło się układać!

– Powiedz – zapytałam, bo coś nie dawało mi spokoju. – Tak napadłam na twojego przyjaciela, poetę...

– Och, daj spokój. – Próbował bagatelizować, ale czułam, że odniósł to do siebie. – Czego ty oczekujesz od ludzi? Czy ja na przykład powinienem trąbić naokoło, że mam kochankę, aby zyskać twój szacunek?

– A nie wolałbyś mieć po prostu żonę, którą byś kochał?

– Więc to ci chodzi po głowie... – zasępił się. Myślał przez dłuższy czas, co mi odpowiedzieć, a ja czekałam w ogromnym napięciu.. . – Nie twierdzę, że to niemożliwe, ale na pewno nie prędko...

Nie musiało być prędko! Te słowa mi wystarczyły! Stały się sensem mojego życia!

*

Kasia drzemała głęboko, prawie zasypiała, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

Poruszyła się niezdarnie, wtedy przypomniała sobie, że leży w szpitalnej separacie podłączona do kroplówki. Drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem i do sali wszedł ksiądz Jan. Popatrzył na Kasię z niepokojem, nie był pewny, czy jest pożądanym gościem. Mimo to podszedł wolno do jej łóżka. W rogu pokoju paliło się tylko małe światło, jednak bez trudu zauważył w oczach Kasi niechęć. Odwróciła twarz ku ścianie.

– Najpierw Sonia, teraz ksiądz... Zamierzacie urządzać do mnie pielgrzymkę? – Z przymusem siliła się na dowcip.

Zabrzmiało to żałością i księdzu ścisnęło się serce.

– No? Czemu ksiądz nic nie mówi? Niechże mnie ksiądz opiernicz! Przecież po to ksiądz przyszedł, nie? Ratować biedne, nie narodzone dziecko z opresji. Dla księdza przecież nieważne, czy na przykład ja jestem w opresji czy nie. Dla księdza jestem zwykłą morderczynią. – Głos miała osłabły, ale agresywny. – No, niechże ksiądz coś wykrztusi! Złakł się ksiądz? Czy co?

– Nie wiem, co powiedzieć... – przyznał Jan.

Zamilkła, twarz miała obrzękłą i napiętą. Wyglądała na bardzo zmęczoną. Jan poczuł litość dla tej dziewczyny, która nie widziała przed sobą żadnego wyjścia. Przypominała mu dramat Aliny. Ale Alina była zbyt wåtła na macierzyństwo. Pod każdym względem. Kasia, pomimo wszystko, miała szanse urodzić zdrowe dziecko.

– Gdybyś tylko zechciała uwierzyć... – zaczął Jan i od razu poznał, że nie trafił. Pudło! Twarz Kasi zmieniła się momentalnie, przypominała teraz jakąś groteskową maskę, otępiała w niezrozumiałym grymasie.

– Niech ksiądz nie truje i sobie idzie. – Bardziej zrozumiał sens słów, niż usłyszał. Jakiej pociechy potrzebowała? Szukał gorączkowo w myślach odpowiedzi i czuł, że jego wiedza o nieszczęśliwych dziewczynach ogranicza się zaledwie do własnej udanej ucieczki od Aliny. Miał wrażenie, że z bezsilności wilk w nim

wyje, dziki wilk, do wielkiego, dzikiego księżyca, który rozpostarł się właśnie na niebie, pomarańczowy, wielkogłowy, prawie smok, o trupich oczodołach. Jan skulił się w sobie, czuł niepohamowany, palący ogień w sobie i dziwił się, że nie potrafił mu zapobiec. Już po raz kolejny na tej pielgrzymce poczuł swoją bezradność, utopię frazesów, którymi go nakarmiono, nieprzydatność gotowych i wyuczonych formułek oraz nieprzystawalność zasad do życia. Sam nie wiedział, czego oczekiwał, przychodząc tutaj. Że ta dziewczyna, osaczona przez niespodziewany wyrok, pokaja się? Przyzna do grzechu i obieca, że przyjmie swój los z godnością? Zaśmiał się w duchu z własnej naiwności. Kasia nie zamierzała być samotną matką, dlatego chciała pozbyć się dziecka. To było zbyt oczywiste. Nie pozostawiało żadnego marginesu na wątpliwości. Jan podszedł do okna. Nie było zasłonięte ani nawet zamknięte. Dobiegały już pierwsze odgłosy nocy, jakieś ptasie poświstywanie, pohukiwanie, głośne przekomarzenie świerszczy wraz z mocnym, odurzającym zapachem mięty i macierzanki. Opuchły księżyc wisiał ciężko tuż nad horyzontem, wydawało się, że wystarczy wyciągnąć rękę, aby dotknąć jego błyszczącej od potu twarzy.

– Jest mgła? – spytała Kasia cicho.

– Zawsze mamy wewnątrz siebie swoje mgły i swoją pogodę. To, co jest na zewnątrz, niewiele ma z tym wspólnego.

– Nie odpowiedział mi ksiądz – przerwała niegrzecznie.

– Chciałem powiedzieć, że nękają nas tylko te obawy, które tworzymy w sobie sami.

– Uważa ksiądz, że sobie wyimaginałam to dziecko? – zadrwiła.

Odwrócił się do niej. Nie szukał przeciwniczki. Chciał, aby zrozumiała, że jest jej sprzymierzeńcem.

– Mówiłem, że powinnaś uwierzyć...

– W co? – przerwała mu gniewnie.

– Że mimo tego, co cię dotknęło, masz w sobie instykt, który pomoże ci się podnieść. Każdy człowiek go ma, tylko często go odrzuca albo w sobie dławi i wtedy zaczyna się cierpienie.

– Ma ksiądz patent na ogólnoswiatowe zwalczanie cierpienia? Cóż za objawienie dla ludzkości! – Kpiła, ale już z mniejszym natężeniem. Może nawet była o krok od łez.

– Naprawdę cię podziwiam.

– No tak. Zapomniałam, że ksiądz jest człowiekiem. Przecież tylko zwierzęta nie podziwiają siebie nawzajem.

– Podziwiam twoją siłę – kontynuował Jan, jakby nie usłyszał sarkazmu w jej głosie. – Nawet nie wiesz, jak zgubna może być uległość. Jestem pewien, że dasz sobie radę.

– Zaraz ksiądz doda, że mnie szanuje.

– To cię dziwi? Zmachałem się dziś potężnie, więc sporo trudu kosztowało mnie przybycie tutaj. Trudząc się dla ciebie, wyróżniłem cię bardzo wyraźnie. Szacunek to właśnie ten trud.

„Trele-morele” – chciała odpowiedzieć, ale jakoś nie śmiała.

– Jesteś niepokorna i bardzo niezależna – podjął Jan w zadumie. – Pragnęłaś całkowitej wolności, samostanowienia o sobie i wpadłaś we własne sidła. To dziecko będzie teraz linką dla twojej zbytnej wolności. Przystopuje cię. Nie jest dobrze, gdy ma się wszystkie dogodności. To nie hartuje, nie pobudza do walki. Pomyśl, ile będziesz musiała zwalczyć przeszkód. Ale może wyjdiesz dzięki temu wzmocniona.

– Ksiądz chciałby wychowywać samotnie dziecko? – zapytała zniecierpliwiona.

Tego się nie spodziewał. Zadała mu cios bez pardonu. Niestety, słuszność była po jej stronie, on także miał tego pełną świadomość.

– Możesz oddać dziecko do adopcji – zaproponował szybko, by mieć to już za

sobą.

– Ksiądz chce, żebym do końca życia nie mogła patrzeć na siebie? Przecież ja już nie mogę...

„Nie pomogłem jej! Nie umiałem!” – tłukło się w jego głowie. Znow stanęła mu przed oczami Alina. Czyjej również opowiadałby o tym, jak korzystne dla rozwijania przymiotów charakteru jest samotne macierzyństwo? Poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Kwaśny odór bigosu zaczął zalegać na języku. „Dobrymi chęciami jest piekło wybrukowane” – pomyślał jeszcze i ogarnął go przemożny żal, że nie potrafił nic zrobić dla tej dziewczyny, tak, jak nie potrafił dla tamtej. Że jego pomoc ograniczała się tylko do słów.

– Jeżeli jesteś w trudnej sytuacji, mogę spróbować załatwić ci miejsce w domu samotnej matki... – wykrztusił, doskonale nagle zdając sobie sprawę z tego, jak to musi brzmieć w jej uszach.

Zaśmiała się tak gwałtownie, że o mało nie przewróciła stojaka z kroplówką. Umilkła równie szybko. Cisza, która teraz zapadła, przecięła go na pół. Męka, która odmalowała się na jej twarzy, przeraziła go. Najchętniej wybiegłby stąd, po pielęgniarkę, po pomoc. Ale co by to dało? Czy jakkolwiek zastrzyk byłby w stanie rozwiązać tę sytuację? I aż stracił oddech na myśl o odpowiedzi, która nasunęła mu się z jasnością błyskawicy. Tak, zastrzyk do spędzenia płodu... Czoło miał zroszone potem. Pomyślał, że jego twarz nie różni się teraz od tego obrzydliwego księżycy za oknem. Jakby wszystko sprzysięgło się, aby poczuł swoją małość i swoją olbrzymią klęskę.

Kasia zamknęła oczy. Tak po prostu. Nie kazała mu wyjść. Nie zniżyła się nawet do prośby. Tylko zwyczajnie zamknęła oczy. Nie zamierzała dłużej z nim rozmawiać. To nie była jego sprawa. Tylko i wyłącznie jej. Tak, jak jej wina. Zrozumiał to i nie przeciwstawiał już się jej więcej. Wyszedł bez pożegnania, z poczuciem klęski, zamykając za sobą starannie i cicho drzwi. Wracał samotny i

czuł w sobie łąy Wielki, niepojęty ocean łez.

Dzień piąty

Poranek wstał mglisty, ale ciepły. Błada kulka słońca ledwo prześwitywała przez spowite białą pajęczyną niebo. Prokop spojrzął w górę, czy nie będzie padało, po czym ruszył sztywnym krokiem w stronę bungalowu Jadwigi. Przed zapukaniem do drzwi zatrzymał się, odetchnął dla kurażu i z godnością poprawił krawat. Gdy Jadwiga otworzyła, skłonił się uprzejmie. Wyraz jego twarzy wzbudził w niej niejasne przecucie, że Prokop zamierza pójść razem z nią na śniadanie, co w obliczu wydarzenia zaistniałego wczorajszego wieczoru między nią a Albinem wydało się jej nader ryzykowne.

– Co pan, panie Prokopie, tak z samego rana?... – zagadnęła, nie wiedząc, jak wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

– A zejść musiałem. Mus to mus! – Prokop rozłożył ręce z determinacją.

– Stało się co? – niepewnie spytała Jadwiga. – Niechże pan siada!

Podsunała mu krzesło. Sama przysiadła na brzeżku sąsiedniego. Prokop podszedł do krzesła, jednak nie usiadł. Oparł tylko palce o krawędź oparcia, jakby wazył w sobie słowa.

– Co ja powiem, to niech pani Jadwiga weźmie pod rozwagę – zaczął ostrożnie.

Podniosła ku niemu swoje wyblakłe oczy, w których coś zaiskrzyło, jakby nagle napięcie. Naprawdę lubiła Prokopa. Nie chciała sprawić mu zawodu, tylko że Albin pewnie czeka...

– Jak ma pan sprawę, to i pomogę, czemu nie – odparła szczerze.

Prokop westchnął, albo tylko wziął głęboki oddech.

– Ja serce mam miękkie – wyznał w końcu. – Mnie nabrać łatwo. Zonę zem miał... tak mnie omotała. Ale dobra była kobieta, to i nie żal. Niech będzie moja strata...

– Zostawiła pana? – domyśliła się Jadwiga, jakoś nie zmartwiona tym faktem.

– Już będzie ze sześć lat, albo i więcej. Co ja liczył będę. Było, minęło.

Jadwiga nieco zdenerwowana przedłużającym się wstępem, zaczęła się zastanawiać, co powie Albin, gdy ona wejdzie na stołówkę z Prokopem.

– Nie jest pan głodny? – spytała wreszcie z nadzieją, iż Prokop przypomniawszy sobie o śniadaniu, wyjdzie stąd pierwszy, a ona dotrze zaraz po nim, może bez spóźnienia.

Nagle Prokop runął przed nią na kolana.

– Co pan? Co pan? – wystraszyła się Jadwiga nie na żarty. – Niechże pan wstanie! Słabo panu?

– To nie to! – Prokop chwycił ją za ręce i nie puszczał. – O rękę ja proszę. Łaskawą panią!

Jadwiga wlepiła w niego przerażony wzrok. Tego się nie spodziewała. Drugie oświadczyły w przeciągu doby? A przedtem przez dwadzieścia lat nic? Osłupiała też osunęła się z krzesła na klęczki. Objął ją i tak klęczeli naprzeciw siebie, aż wstała i pociągnęła go za sobą. Wstał uroczysty i czekał godnie na odpowiedź. Był dziwnie spokojny i pewny, że ta drobna stara panna nie doczekała się jeszcze innej oferty, nie przed nim. Z pewnością zdążył ubiec Albina.

– Ale... – wychrypiała Jadwiga ze swego zgnębnego serca. – Nie da się, tak od razu... Muszę... przemyśleć...

– Przemyśleć? – zaniepokoił się Prokop. – A po co? Co tu jest do myślenia?

– Bo widzi pan – nie mogła złapać tchu z wrażenia.

Prokop podobał się jej bardziej niż Albin, ponieważ był z gatunku tych uległych. Obawiała się nieco despotycznego charakteru Albina, który pewnie będzie chciał zawsze stawiać na swoim. Przy odrobinie pracy mogłaby dojść z Albinem do lepszych efektów i ustawić go tak, aby przynajmniej radził się jej we wszystkim. Ale z Prokopem sprawa była prostsza. On sam chętnie oddałby jej

prymat w domu. Dlatego budził w niej instynkt macierzyński, a Jadwiga bardzo lubiła opiekować się słabszymi od siebie. Cóż, kiedy była już po słowie z Albinem... Myślała gorączkowo, co zrobić, aby nie popełnić błędu. Dwie sroki za ogon to nie przejdzie, będzie się trzeba zdecydować. Musi rozważyć wszystkie za i przeciw. Obadać stan majątkowy kandydatów i jakie będą gwarancje zabezpieczenia jej przyszłości. Pogadać z jednym i drugim, czy nie wyjdą jakieś choroby albo przewinienia. O rodzinę też trzeba się dopytać, pojechać, zobaczyć na miejscu, jak i co.

Oszołomiona nagłą perspektywą szybkiego zamążpójścia, nie mogła pojąć, że jednak spotkało ją coś takiego i to podwójnie naraz! Przez dwadzieścia ostatnich lat, odkąd zaczęła wyglądać chętnego, żaden mężczyzna nie zwracał się do niej inaczej, jak po koleżeńsku. Chuda i mało kobieca, zakompleksiona z powodu braku urody, przeżyła swoje życie w przeświadczeniu, że szczęście należy do innych, ona zaś została powołana na ten świat do posługi tym innym. I stłumiwszy w sobie żal, przepędziła swe życie ofiarnie, jak godna męczennica. Teraz nagle los się uśmiechnął do niej, jakby wynagradzając poniesione trudy i wyrzeczenia. Była wdzięczna Bogu za niespodziewaną interwencję w jej nieciekawe życie, jednocześnie błagała Go, aby pomógł jej podjąć właściwą decyzję.

– Panie Prokopie – zaczęła i uśmiech zamarł na jej wąskich wargach. – Mam problem.

– Problem? – Nie rozumiał. – Jaki to problem? Trza powiedzieć tak albo nie. Chyba że pani chce zastanowienia.

– Tak, tak! – przytaknęła gorąco. – Zastanowienia. Bo widzi pan... – spieszyła się. – Pan Albin...

– Cóż znowu Albin? – zdenerwował się Prokop.

– Pan Albin wczoraj... – znów urwała, ale Prokop już trwał w domyśle i powoli purpurowiał na twarzy.

– Czy on... ? – wystękał.

Nagle przed oczami stanął mu wczorajszy, słodki wieczór, który tak nastroił go do oświadczyn, i pojął, że Albin, poczuwszy najwidoczniej tak samo szybsze bicie serca, zdążył już po prostu swoją szansę wykorzystać, rozkładając swojego rywala na obie łopatki. To był totalny nokaut! Prokopa aż замуrowało. Nie mógł uwierzyć w swoje nieszczęście.

– I co pani na to? – zapytał, jakby wciąż miał nadzieję, że rzecz jest jeszcze do naprawienia.

– Ja... – zakrztusiła się Jadwiga – zem mu się zgodziła... Ale nie mogła przecie wiedzieć... że pan... że dzisiaj...

– To co będzie, pani Jadwigo? – zmartwił Prokop.

Nagle zmiął się w sobie, jak stęchła szmatka i ciężko siadł na krześle.

– Ano nic – podsumowała przytomnie Jadwiga, poprawiając zalotnie włosy. – Do ślubu daleko. Zobaczy się. – Pocieszyła go. Położyła mu rękę na ramieniu, a on, choć nie było mu lekko na duszy, przyjął z wdzięcznością tę nadzieję, którą mu poczyniła. Zebrał się w sobie i wstał.

– Na śniadanie by trza iść – przyznał żałośnie.

– Ano trza – wzięła go poufale pod rękę.

Pomyślała, że jednak wejdzie razem z nim na stołówkę. Niech sobie Albin trochę pozazdrości. I niech inni zobaczą jej powodzenie. Jej radość. Bo cieszyła się tak, że aż krew huczała jej w skroniach olbrzymim młotem. Udało się! Obojętne który, ale któryś zostanie przecież jej mężem! I ten właśnie fakt, ten wybór, cieszył ją najbardziej.

* * *

– Gerard, mimo iż zajęty mocno filmem, wygospodarował parę dni tylko dla

nas. Pojechaliśmy w Bieszczady. Początek wiosny zaskoczył nas bajkową, śnieżną zimą. Opowiadałam ci o sarnie, którą spotkaliśmy w lesie...

– Pamiętam.

– Nigdy się nie wie, że coś jest najważniejsze, dopóki to trwa. Nie mamy świadomości, że coś ważnego właśnie nam się przytrafia. Ale często za uczucie bierze się swoje wyobrażenia. Czy tak stało się wtedy z Gerardem? Możliwe. Kręcił nowy film. Ten poprzedni uzyskał nominację do Oscara, co samo było już ogromnym sukcesem. Stąd też większa odpowiedzialność przy kolejnym filmie. Większa presja psychiczna. Gerard był krańcowo napięty emocjonalnie. Jego rozpalona wyobraźnia ciągnęła go za sobą, szukała rozładowania. A i ja oczekiwałam tego niecierpliwie i z nadzieją.

– Śnieżna bajka. I co dalej?

– Przyszła wiosna. Gerard jak w gorączce kończył film. Montaż, udźwiękowanie, postsynchrony... Nie przeszkodziło to nam i w innych, krótkich wyjazdach, już o nich wspominałam. Były nam tak potrzebne... Nawet nie zauważyliśmy, że minęła wiosna. Po tym spotkaniu z poetą zaczęłam przygotowywać się do nowej roli prasowej rzeczniczki Gerarda. Otoczona lekturami, równie gorączkowo uzupełniałam wiedzę. Z historii sztuki, filmu, teatru, literatury... Gerard przyniósł mi cały plecak książek, trochę swoich, resztę pożyczonych od swojego kolegi-poety. Namawiał mnie do praktycznego ugruntowywania zdobywanej wiedzy przez pisywanie esejów, które miał oceniać poeta. Z początku sprawiało mi to niesłychaną trudność, stopniowo jednak utwierdziłam się w przekonaniu, że był to dobry pomysł. Coraz łatwiej udawało mi się argumentować pewne swoje interpretacje i wypowiedzi. Gerard czytywał moje zapiski, potem zanosił je pocie, a gdy wracał, klepał mnie po plecach, zadowolony. Przyszedł czerwiec, Gerard ukończył film, który w lipcu miał zostać pokazany na festiwalu filmowym w Toruniu, a zaraz po tym miał stanąć w filmowe

szranki na Festiwalu w Karłowych Warach. Gerard zabrał mnie do butiku, kupiliśmy świetne sukienki. Z dnia na dzień z szarej myszki stałam się elegancką kobietą. Gerard zgodził się ze mną, że ciuchy muszą być przede wszystkim oryginalne, moje propozycje przypadły mu do gustu, wydał sporą sumę, ale efekt był piorunujący. Prezentowałam się bez zarzutu. To dodało mi pewności siebie, gdyż w głębi ducha obawiałam się, czy nadaję się do bycia przedstawicielką tak wspaniałego artysty, jak Gerard. W przypadku tremy mogłam przecież strzelić jakąś gafę, co wtedy? Gerard uspokajał mnie jednak, że przez cały czas będzie przy mnie, w razie czego mogę mu oddać głos albo on sam się wtrąci. Będzie czuwał nade mną, chodziło przecież o to, żeby stworzyć pozory, abyśmy mogli być razem.

– Nie, nie sypiam z nią, Soniu – powtarzał, widząc mój pytający wzrok. – Jestem cały dla ciebie. Tylko twój!

Nie pytałam, od kiedy tak jest ani do kiedy tak będzie. Tego ostatniego z pewnością nie chciałam wiedzieć. Lęk przed nieistniejącym nieszczęściem spadał na mnie czasem w najszcześniejszych momentach. Mimo to wierzyłam, że nawet jeśli z tego nieuzasadnionego niepokoju zrodzi się cierpienie, to tylko chwilowe. Ta męka i jednocześnie cudowna harmonia cementowały nasz związek. Nie braliśmy pod uwagę końca, zerwanie nie wchodziło w rachubę, nie było takiej możliwości, po prostu nie istniała. Byliśmy tylko my. I wszystko złe czy dobre, które mogło nas dotyczyć, miało o tyle znaczenie, że mogło nas jeszcze bardziej zbliżyć do siebie. Moja zazdrość znikła. Ale szczęście usypia czujność. A stąd krok do nieszczęścia. Balansowałam na cienkiej linii i zupełnie nie miałam poczucia grozy, tak bardzo czułam się bezpieczna. Szczęście wprowadza zmysły w stan takiej euforii, że odczuwa się ciągłą rozkosz. Nawet ból staje się rozkoszą. Perwersyjną, z której nie zdajemy sobie sprawy tak bardzo, że nawet śmierć w rozkoszy wydaje się pożądana. Samobójstwo kochanków może dlatego jest tak pociągające, że zatrzymuje ich na zawsze w najwyższej pełni. Miłość staje się wtedy nieśmiertelna.

W obliczu śmierci – najważniejsza. Nie, nie myślałam o śmierci. Przeciwnie. To była jedna, wielka, nie kończąca się apoteoza życia. Symfonia na jego cześć. Chciałam żyć, bez końca. Jakbyśmy posiadli sekret nieśmiertelności. I to właśnie jest tak strasznym niebezpieczeństwem, że niebezpieczeństwa nie bierze się pod uwagę. Ciało Gerarda, jego śmiech, jego uważny wzrok, jego zamyślenia, ręce błądzące po moim ciele. To był cały mój świat. Nie obchodził mnie kosmos ani żadne galaktyki, były mi tak samo obojętne, jak wnętrza innych dłoni niż jego. Były tylko usta Gerarda na moich i wspólny oddech.

– Nikt mnie nigdy tak nie kochał, jak ty – wyznał mi kiedyś i jakby zawstydził się tego nieoczekiwanego wyznania.

Zamknęłam mu usta palcem, drżałam przy tym tak samo jak on, obawiałam się przebudzenia. Tymczasem trwał czerwiec w pełni głogów, przekwitających jabłoni i gwałtownych burz. Nie baliśmy się przyszłości. Raczej przeszłości, która często potrafi dopaść znienacka. Na razie każdej godziny ukojenie mógł mi przynieść jedynie jego pocałunek. Każde jego przyjscie wyzwalało we mnie na nowo uparte, zaciekle i niezwalczone pragnienie. Jakby posiadał właściwości magnetyczne. Gdy dostawałam się w zasięg oddziaływania jego pola, wibrowała we mnie rozsadzająca zmysły radość. Gdy odchodził, opadała na mnie dręcząca niemoc i zabójcza tęsknota. Zabijałam czas czytaniem, przygotowaniem do festiwalu w Toruniu, który miał być naszym pierwszym egzaminem z życia publicznego. Czasem odbywaliśmy spacer, w długie, pogodne dni. Słońce malowało obok jego cienia mój cień. Kiedy przyglądałam im się z ciekawością, podziwiałam, jak zgodne były ze sobą. Szliśmy pod rękę, a one, przed albo za nami, tak samo złączone ze sobą, równoległe i bliskie sobie, jak my. Czasem zastawał nas w drodze przezroczysty księżyc, wówczas wracaliśmy pomiędzy zasypiającymi już drzewami, we wciąż jeszcze jasnym wieczorze.

Toruń okazał się kolejnym, wielkim sukcesem Gerarda. Fotoreporterzy i

dziennikarze oblegali go. Na szczęście nie opuszczał mnie ani na krok. Nadawał ton prasówkom, często wyręczał w szczególnie niewygodnych wywiadach. Wkrótce jednak nabrałam szlif, więc pozwalał mi, bez obaw, na swobodne wypowiedzi. Po raz pierwszy znalazłam się w takim tyglu paparazzich. Nasze fotografie z przeróżnych konferencji, czy z uroczystości rozdania nagród, pojawiły się w wielu gazetach. Były bez zarzutu, przyzwoita odległość między nami, opanowane gesty i spojrzenia, Gerard naprawdę mógł być ze mnie dumny. Trochę się czułam jak w więzieniu, ani na sekundę nie mogłam być swobodna, nie pozwalałam sobie na luksus „bycia sobą”. Ale takie były reguły gry, a ja je akceptowałam. W ten sposób zarabiałam na życie. Producent wypłacił mi spore honorarium. Wygranie festiwalu przez film Gerarda zaowocowało dodatkową premią. Miałam nareszcie własne pieniądze i to spore. Zajmowaliśmy osobne pokoje w hotelu, ale Gerard nie zaglądał do mnie nocą, z obawy, aby ktoś z festiwalowych gości, jakich tu mnóstwo było zakwaterowanych, nie przyłapał go na zakradaniu się do mnie. Ekipa do tego filmu była zupełnie inna niż do poprzedniego. Wtedy byli to w większości ludzie nieznani w branży, stawiający dopiero pierwsze kroki, którzy rozpierzchli się po promocji. Teraz zatrudnieni zostali fachowcy o świetnych nazwiskach, Gerard obawiał się, że nasz związek od razu obleciałby ogromną plotką cały filmowy świat. Nie chciał kompromitacji ze względu na żonę i córkę, a ja nie nalegałam. Najważniejsze było to, że był ze mną i tylko ze mną. Reszta się nie liczyła.

Po olbrzymim sukcesie w Toruniu jechaliśmy potem do Karłowych Warów z niepokojem, ale i z nadzieją, że i tu jego film zostanie doceniony. Rozmach tego festiwalu przerósł moje najśmielsze wyobrażenia. Tłumy wielbicieli i zwykłych gapiów, media z całego świata, artyści, aktorzy i reżyserzy, plakaty, mnóstwo towarzyszących imprez, goście honorowi z prezydentem Czech na czele, limuzyny, bankiety, akredytacje. Sharon Stone, Robert Redford, Liv Ullmann, Ali MacGraw i

inni, których rozpoznawałam od razu, z pewnym trudem, lub dopiero po podpowiedziach Gerarda. Jego film został przyjęty entuzjastycznie i ogłoszony wydarzeniem Festiwalu. Z ogromnym napięciem oczekiwaliśmy więc na werdykt jury, nie wierząc w wygraną, lecz po cichu marząc o niej. I stało się. Gerard zdobył Kryształowy Globus za reżyserię! Prasówkom nie było końca. Spocona, zziajana, dopiero teraz doceniłam zapobiegliwość Gerarda co do uzupełnienia mojej garderoby. Przebierałam się parę razy dziennie na różne okazje. Na szczęście nie brakło mi ani sukienki koktajlowej, ani wieczorowej, ani kostiumów. Buty, torebki, wszystko było pod ręką, jak znalazł. Gerard bardzo uważnie lustrował dobór przeze mnie nawet biżuterii czy uczesania. Bardzo zadowolony, zdał się wreszcie z ulgą na mój gust i mógł trochę odetchnąć.

Ekipa wróciła do kraju, my zaś cichcem udaliśmy się jeszcze na parę dni do Wenecji. Żeby nareszcie nasycić się tylko sobą...

*

Albin od razu zauważył, że choć Jadwiga nie weszła do jadalni pod rękę z Prokopem, to jednak w najlepszej z nim komitywie, więc rozsierdził się. Taki Prokop, takie byle co, a przystawia się do jego narzeczonej! Zauważył też gest, jakim Jadwiga poprawiała włosy, wchodząc. Znał ten gest. Zalotny. Przeznaczony jednak nie dla niego, tylko dla tego drugiego. Zabulgotało mu w żołądku ze złości. Ale postanowił opanować się i zakomunikować Prokopowi, że z Jadwigą są już po słowie, na wypadek, gdyby jeszcze o tym nie wiedział. To powinno wyjaśnić sytuację raz na zawsze. Miał cichą nadzieję, że ten Prokop, ten łachmyta, okaże się jednak dżentelmenem i odczepi się od cudzej kobiety.

Jadwiga z Prokopem podeszli do stolika Albina. Albin wstał i ucałował ją niezgrabnie w policzek, przy czym zauważył z satysfakcją, że Prokop aż zbladł z

irytacji. To uspokoiło Albina i wprowadziło od razu w dobry humor.

– No, niechże pan siada z nami – zachęcił rywala wspaniałomyślnie. – I niech mi pan pogratuluje narzeczonej.

– Nie ma czego jeszcze – odrzekł smętnie Prokop. – Dopóki ślubu nie było. A będzie, co Bóg da.

Albina jednak połechtano jego niezadowolenie i przytyk puścił mimo uszu. Prokop usiadł i starał się nie zawieszać oczu na rozplomienionej Jadwidze. Albin zaś kraśniał z zadowolenia na widok jej czerwonych policzków i nawet z trudem się hamował, czego nie czuł od śmierci żony. „Dobra nasza! – zacierał ręce w duchu. – Będzie z tej mąki chleb”. I nalał kawy nie tylko Jadwidze, ale także Prokopowi. Jadwiga zauważyła przy tym, że obaj taksują jej piersi i wpadła w popłoch.

Jezu, Jezusicku! – modliła się w myślach. – Przecie żem płaska jak ta deska! Zapomniała wypchać watę. Potem to dam se zrobić, ten, no tam, silikon, jak nic. Chyba, że ksiądz zabroni... To by dopiero było! Eee, lepiej go nie pytać. A nuż to grzech?”. I cała zmartwiała od tego niepokoju, co ją od wewnątrz rozsadzał. Albin obcesowo przyglądał się milczącemu Prokopowi.

– Coś pan taki markotny? – zagaił go, podając mu jednocześnie talerz z serem.

– Gdzie tam – wyłgał się Prokop. – O przyszłości ja myślę.

– Też się pan żenić chcesz? – Albin nie wytrzymał, żeby go nie kolnąć.

– Ano, może i tak – rozindyczył się Prokop. – Co komu pisane, to i będzie.

– A będzie, będzie. – Albin mrugnął do Jadwigi, pałaszującej drugi talerz owsianki.

„Żeby się tylko nie pobili!” – denerwowała się Jadwiga, krztusząc się zupą. Jednocześnie zerkała na boki, jakie wrażenie na pozostałych robi jej asysta przy stoliku. Władysław z Leokadią już zauważyli i wlepiali w nich okrągłe od emocji oczy. Wydra siedział z przyklepionym do ust kąśliwym uśmiechem, aż Jadwigę

zatrzepało z oburzenia na ten widok. Sonia jak zwykle nieobecna myślami, błędziła gdzieś w swoich światach, nie, z tej to pożytku nie będzie, Jadwiga była wyraźnie rozczarowana. Tylko ksiądz popatrywał ku Jadwidze z dobrotliwą uwagą, czuła, że najchętniej by ją wypowiedział co do jej intencji i naprawdę nie miała nic przeciwko temu. To dopiero będzie spowiedź! W sprawie podjęcia decyzji co do dwóch konkurentów! Aż pęczniała z dumy, przyrzekając sobie jednocześnie nie pisać ani słowem księdzu o ewentualnym powiększeniu biustu. Czuła, że ten pomysł nie znalazłby u niego przychylności.

Prokop tymczasem starał się usilnie znaleźć jakiś sposób pozbycia się Albina z życia i planów Jadwigi. Najlepsze wydało mu się skompromitowanie go w jej oczach. Ale jak tego dokonać? Sprawa wydawała mu się to arcytrudna, to dziecinnie łatwa. Nie mógł się zdecydować, jak mianowicie miałyby się to odbyć. Nie potrafił ocenić stopnia trudności przedsięwzięcia i to na dobre zwarzyło mu humor. Albin tymczasem ze źle maskowaną satysfakcją obserwował zmienną grę uczuć na twarzy Prokopa i nie tylko już nie był zły na Jadwigę, że sprowadziła tu tego chłystka, ale wręcz czuł wdzięczność. Był w swoim prawie. Jadwiga jest jego i Prokop niczym mu już nie może zagrozić. Chcąc zmanifestować przed nim swoją własność, Albin wyjął margerytkę ze stojącego na stole flakonika i podał Jadwidze, całując ją przy tym w rękę ze znaczącym uśmiechem.

– To dla mojej pani – nachylił się ku niej i postarał, aby jego głosu nie przygłuszyło mimowolne sapnięcie, jakie niestety często wydobywało się z jego krtani, zupełnie bez udziału woli.

Prokop zsiniał i Albinowi nawet zrobiło się go żal.

– Pan też kogoś spotka – pocieszył go z fałszywym współczuciem.

– Kto wie, kto wie – rzucił Prokop w przestrzeń niby przyganę, niby przestrogę, bo przecież nie groźbę?

Jadwiga zmierzyła go tylko krótko, z ukosa, ale nie skomentowała.

– Nie ten ważny, co kwiatka da, ale pierścionek – uściślił Prokop.

– Ach, pierścionek! – rozanieliła się Jadwiga, zapominając natychmiast o biuście.

– Pierścionek, jasne, że pierścionek! – huknął Albin, niezadowolony, że Prokop już naraża go na koszty.

Postanowił odszukać w domu jakiś po żonie i dać Jadwidze, zanim ubiegnie go ten szczwany lis, Prokop. „No, to zaczynają się wydatki, ale może na tym jednym się skończy” – pocieszył się w duchu. Jednocześnie rzucił złe spojrzenie na Prokopa, mając nadzieję, że ten zrozumie aluzję i pójdzie sobie, zanim wpadnie na pomysł jeszcze innych prezentów dla Jadwigi, które Albin będzie zmuszony przelicytować. „Żeby tylko nie wyszło zbyt drogo!” – zdenerwował się nie na żarty. Prokop natychmiast zauważył jego głębokie tąpnięcie pewności siebie i zrozumiał, że cios był celny. Być może wygra też kolejną rundę. I tak, kroczył po kroczeniu, dopnie swego celu. Odczuł zadowolenie na myśl o tym i spojrzał na Albina z góry.

– To kobieta wiele warta – podsumował, patrząc mu prosto w oczy.

– Przecie wiem – zaniepokoił się Albin na dobre, tracąc zupełnie rezon.

Jadwiga popatrywała to na jednego, to na drugiego, zastanawiając się, czy aby na pewno nie skoczą sobie do gardeł i z radości aż dech jej zapierało. Jeszcze nikt nigdy nie bił się o nią! Rozejrzała się wokoło, czy wszyscy to słyszą. Wyglądało na to, że słyszeli, a tylko udawali brak zainteresowania. Znów podniosła głowę i poprawiła włosy. Zauważyła przy tym, że obaj mężczyźni aż westchnęli. Powąchała margerytkę, długo i namiętnie, po czym wsadziła ją w otwór bluzki na biuście. Obaj mężczyźni natychmiast utkwili w tym miejscu rozanielony, prawie urzeczony wzrok. Siedziała z dumnie bielejącym kwiatkiem, zapomniawszy zupełnie o tym, że nie wypchała sobie swojego zbyt małego biustu. Dla takiej chwili warto było żyć i pragnęła, aby trwała ona jak najdłużej, zatrzymana na tej

sali jakimś cudem.

*

Jan raz jeszcze obejrzał swoją twarz w lustrze. Zaciął się boleśnie przy goleniu, ranka na szczęście już zasychała. Starł palcem krzepnącą kropelkę krwi. Przez chwilę zatrzymał na niej skupiony wzrok. Skrzywił się, jakby go zabolalo. Nic. Kropla krwi. Jego krwi. Ot, wytrzeć palec o spodnie... Nie spał dobrze tej nocy. W ogóle nie spał. Myśli kołatały mu w głowie, że oka nie mógł zmrużyć. Nad ranem zapadł na krótko w nerwową drzemkę, z której wyrwał go bezlitosny, nachalny głos budzika. Teraz usiłuje doprowadzić do ładu swoją zmiętą, pokancerowaną twarz i postawić na nogi umęczone brakiem odpoczynku ciało. Zimna kąpiel nie dała. Jan czuł, że dzisiejszy dzień doprowadzi go do kryzysu. Nie mógł się jednak wycofać. Pielgrzymkę musi doprowadzić do końca. Nie, nie padnie. Nie pozwoli sobie na słabość. Żeby nie wiem ile go to miało kosztować, dojdzie. Bo tak trzeba. Zbyt wielu opuściło już ich szeregi. On sam tego nie robi. Iść można także siłą woli, nie myśleć o zmęczeniu, to najlepszy sposób. Gdyby tak udało się zostawić transparenty na przechowanie, byłoby z pewnością łatwiej... Ale nie. Odpędził myśl szybko. Taki trud z pewnością zostanie przez ludzi dostrzeżony. I doceniony. Musi dać im dobry przykład. Hartu ducha, oto czego teraz najbardziej mu potrzeba. Mimo to, rozprostowawszy się, aż jęknął. Przyznał, że nie będzie to proste zadanie. Ale skoro inni, bardziej schorowani i starsi od niego, nie poddali się, jemu tym bardziej nie wypada tego zrobić.

Poranek był, jak jego nastrój, chłodny i ciemny. Zupełnie nie przypominał wczorajszego, romantycznie ciepłego wieczoru, dusznego od zapachu dojrzałych ziół. Jan powinien już dać sygnał do wymarszu, tymczasem wciąż zwlekał, zastanawiając się, jaka jest główna przyczyna jego tak podłego samopoczucia. Z

niechęcią zjadł dziś śniadanie, niechętnie obserwował też umizgi Albina i Prokopa do Jadwigi. Ale najbardziej wytrącała go z równowagi nieobecna jak zwykle twarz Soni. To do reszty zwarzyło mu humor. „Zupełnie jak skwaszona księżna – burzył się w duchu. – Można by pomyśleć, że nami gardzi. Ale skoro uważa, że towarzystwo nie dorasta do jej poziomu, po co z nami idzie? Jakby lubowała się w poniżaniu siebie. Widocznie jednak jej duma wznosi się ponad to, a ona sama nie zniża się do zamienienia ze mną choćby paru zdań”. Czuł, że nie jest sprawiedliwy w ocenie zachowania Soni, że ponosi go gniew, nad którym nie panuje. Chlusnął sobie dwa razy zimną wodą w twarz. Trochę pomogło. Zasepił się, wpatrując się znów w swoją czerwoną, okrągłą jak jabłko twarz odbitą w lustrze. Znów wyobraził sobie Sonię. „Dlaczego mnie odtrąca? Moją pomoc? Co ma przeciwko mnie? Przecież w niczym jej nie uchybiłem!” – powróciły natrętne myśli ze zdwojoną siłą. Zaczęła nękać go obawa, że nie da rady opanować tej narastającej frustracji. Znał siebie. Wiedział, jak blisko u niego od takiego stanu, do zwykłej furii. Jak niewielka dzieli je granica. Dlatego za wszelką cenę powinien nie dać się wytrącić z równowagi. Tymczasem na zewnątrz czekała nie tylko Sonia, z którą zupełnie nie umiał się dogadać. Także Wydra, z którym będzie musiał się zmierzyć. Bo przecież ten człowiek wrócił. I z pewnością nie po to, by kogoś głaskać. Ale by siać ferment. Bo taką ma naturę, wsadza kij w mrowisko. To z pewnością może być pouczające doświadczenie, ale nie dziś. Nie teraz, gdy Jan jest w tak podłym nastroju, do tego podłamany fizycznie. Nie mógł pojąć, że jeszcze dwa dni temu mógł pragnąć jego powrotu... Od kwękania do kłótni, stąd jeden krok. Jak nad tym zapanować? Ukryć swoją słabość, tak skutecznie, jak czyni to Sonia? Bo, że ona coś ukrywa, tego był pewien. I nie może to być nic dobrego, skoro nie zdecydowała się do tej pory na spowiedź. Na początku wydawała mu się taka czysta, niewinna, prawie zadatek na świętą! Teraz w duchu śmiał się z tych swoich przedwczesnych, urojonych zachwyków. Skoro sumienie zbyt jej ciążyło,

obarczone musiało być niełichą winą. Już właściwie przestało go obchodzić, co to za udręka. Jej manifestacyjna obcość wyzwoliła obcość w nim również. Niechętną. Złą. Gdyby Sonia przyszła dziś do niego po radę, nie napotkałaby już w nim tak gorliwego słuchacza czy łagodnego sędziego, a już na pewno nie obrońcy, jak wtedy.

Widział ją wczoraj, jak wychodziła od Kasi. I widział twarz Kasi, zalaną łzami, chwilę po wyjściu Soni. Zatem Sonia potrafi rozmawiać, jak chce. I to bardzo skutecznie. Ale widocznie lepiej się czuje, jak równy z równym, przy tej grzesznicy, która równie zapalczywie odrzuciła jego pomoc i równie wrogo jak Sonia potraktowała możliwość spowiedzi, a tym samym zrzucenia dręczącego ciężaru i wyznania winy. „Trafił swój na swego” – pomyślał zły. Czuł się nieważny, niepotrzebny im. I nie rozumiał dlaczego. Czemu nie potrafił trafić do młodych ludzi? Jego klęskę rozpoczęła nieudana próba porozumienia z Maćkiem i Bożenką, a przypieczętowała ją solidarność Soni z Kasią. Odczuł to jako policzek, wręcz bunt. Po co wobec tego przyszły na pielgrzymkę? Co zamierzają dalej zrobić? Na przykład Sonia... Jej milcząca twarz przy śniadaniu nie wróżyła nic dobrego... Do szewskiej pasji doprowadzał go krzywy uśmiezek Wydry. Niestety Jan nie był w stanie zrezygnować z jego pomocy. To najbardziej go upokarzało. Że jest zależny od takiego indywiduum. Czuł, że Wydra bawi się nim w kotka i myszkę i że ta gra dopiero się rozpoczyna. Tymczasem on nie miał już sił. Tracił je z chwili na chwilę, choć nawet nie rozpoczął jeszcze dzisiejszego marszu. Ze strachem rozmyślał, jak będzie się czuł wieczorem, po kilkudziesięciu kilometrach przebytej z takim wysiłkiem drogi, i czy przytłaczający trud nie nadweręży jego psychiki na tyle, że nie będzie w stanie kontrolować własnych odruchów w stosunku do zaczepek Wydry, a tych z pewnością należało się spodziewać. Najchętniej rąbnąłby Wydrę po prostu w łeb, aby nauczyć go moresu. Tylko w ten sposób można takim przemówić do rozumu. Inne metody do takich nie

przemawiają. Ksiądz bijący po gębie narkomana? Sic! To by była sensacja! Przypomnił sobie, jak w szkole górniczej, do której wpakowali go rodzice, rzucił się z gołymi pięściami na wielkoluda, który koniecznie chciał go zmusić do wypicia litra bimbru. Zaskoczony dryblas, z rozbitym nieoczekiwanie przez Jana nosem, szybko odzyskał rezon i natłukł mu solidnie. Jednak Jan swoją desperacją zyskał u niego szacunek, więc dali mu spokój, przynajmniej jeśli chodziło o chłanie. Teraz pewnie powinien również dać wycisk Wydrze. Niestety sytuacja się zmieniła. Jan był teraz księdzem. Nie wolno mu tłuc nikogo. Nie tylko słabszego, silniejszego także nie. Poważanie w stosunku do siebie musi umieć wzbudzać inaczej. Ale jak? Psychologicznie – tak go nauczono. Tymczasem teraz śmiał się w duchu z tych nauk, a raczej płakał, tak bardzo czuł się bezradny. I zaniepokojony możliwością przegrania walki, której nikt z obecnych mu nie ułatwiał. A już na pewno nie ta lalkowata Sonia, myśląca tylko o sobie.

To dziwne, że tej dziewczyny Wydra się nie czepia. Tak, to było zastanawiające. Dopiero teraz uderzył Jana ten fakt. Wydra zaczepiał wszystkich, nawet Kasię, która miała na niego oko. Soni jednak nie tknął żadnym słowem czy gestem, nie zaszczycił ani jednym spojrzeniem, zupełnie jakby jej nie było. Chociaż, zaraz.. . Jeśli sobie dobrze przypomina, raz jeden, w cieniu tych jarzębin, na rozdrożu, pierwszego dnia, dostrzegł usilny wzrok Wydry skupiony na jej twarzy. To był jeden, jedyny błysk. Ona niczego wtedy nie zauważyła, zapatrzona w jarzębinowe grona, jak zwykle utopiona we własnych problemach. Inni, ponaglący wciąż do pośpiechu, też niczego nie widzieli, wcale nie patrzyli na jarzębiny, w ogóle nie rozglądali się wokół siebie. Tacy mogli iść byle korytarzem, nawet betonowym, obojętni na uroki mijanego krajobrazu, jak drętwe nosorożce. Ona jedna wyłapała piękno nasyconych ciemną czerwiecią koralii. A za nią Wydra. A raczej on zwrócił na nie uwagę poprzez nią. Nie, jeszcze inaczej, zwrócił poprzez jej zachwyty drzewami uwagę na nią. I coś jakby go wówczas drasnęło. Jan

dobrze pamięta skurcz, który przebiegł wtedy przez twarz Wydry, zupełnie jakby Wydra miał pretensje do Soni, że zauważa jarzębiny, a jego nie, złość, że jej zachwyty skierowany jest do byle drzewa, on zaś sam nie jest według niej godny zainteresowania, niegodny nawet jednego jej spojrzenia, skoro nie zaszczyciła go ani słowem.

Tak, na twarzy Wydry Jan ujrzał wtedy zazdrość. Widzi teraz ten fakt jak na dłoni. Dlaczego dotąd umknęło mu tak niesłychanie ważne spostrzeżenie? To nie było byle jakie wydarzenie, świadczyło przecież dobitnie, że Wydra czuje się zraniony, urażony nieprzystępną dumą Soni. Zupełnie jak Jan. Ale odkrycie tej wspólnoty z Wydrą wcale nie uspokoiło Jana. Przeciwnie, rozdrażniło do reszty. Bo czuł, że zaczepki Wydry będą dotyczyć już nie tylko jego, ale także tej zamkniętej w sobie dziewczyny. Gdyby Wydrze udało się poznać Sonię, Jan przegrywając z Wydrą, poczułby się dotkliwie upokorzony. Wybór niestety należał do niej, ale Jan z góry przewidywał, jaki będzie rezultat tej rundy, i to do reszty popsuło mu nastrój. Z ciężkim westchnieniem zarzucił swój plecak na ramiona i wyszedł zarządzić wymarsz.

* * *

– Po powrocie z Wenecji Gerard nie zadzwonił do mnie. Minął tydzień, a telefon milczał. Byłam tak zdenerwowana, że trzęsły mi się ręce. Nie miałam cierpliwości do Oli. Mój niepokój udzielał się jej. Obie popłakiwałyśmy z cicha. Była takim ładnym dzieckiem. I robiła się coraz ładniejsza. Miała miękkie włosy i delikatną cerę. Cała była delikatna. Jakby jej chore serduszko warunkowało powstawanie innego niż wszystkie, wręcz świetlistego ciała. Lubiłam być z nią. Wsłuchiwać się w jej nierówny oddech, którego rytm już mnie nie niepokoił. Rozpoznawałam bezbłędnie, czy może stanowić niebezpieczeństwo, czy nie.

Poruszała się subtelnie, wynikało to z niepełnych możliwości jej organizmu, ale przydawało jej ruchom niezwykłego wdzięku. Ubóstwiałam moją córeczkę. Bystra, dociekliwa, doskonale zdawała sobie sprawę ze swojego stanu. Miała cztery latka, ale była bardzo poważna jak na swój wiek. Staralam się jej tłumaczyć wszystkie niejasne dla niej sprawy, słuchała mnie w skupieniu, jakby rozumiała, co do niej mówię. Nie była absorbująca, gdy widziała, że tracę cierpliwość, zadowalała się wtedy oglądaniem bajek w swoim kąciaku. Kiedy się uspokajałam, przychodziła do mnie i siadała mi na kolanach. Przytulała się bez słowa, a ja całowałam jej szczuplutkie ramionka, wtedy uśmiechała się promiennie, pełna nieklamanej radości. Do tej pory jest takim cichym i pogodnym dzieckiem. Często odwożę ją do mojej mamy. Lubi tam przebywać, ale wtedy tęsknię za nią.

Gdy Gerard tak długo nie dzwonił, po raz pierwszy odczułam nieopanowany, ogłuszający strach. Jego milczenie ścięło mi krew w żyłach, przeraziło, ręce trzęsły mi się tak, że nie byłam w stanie karmić Oli. Pamiętam jej wzrok, gdy zupę z łyżki rozlałam na jej ubranko. Ujęła mnie wtedy za rękę, wyjęła z niej łyżkę i zaczęła sama jeść. Niezdarnie, jak to robią małe dzieci. Rozplakałam się na ten widok. A ona objęła mnie, jakby była starsza ode mnie i musiała przynieść mi pociechę.

Kiedy Gerard wreszcie zadzwonił, przeproszał, obiecał, że się zjawi i wyjaśni. Rzeczywiście przyszedł.

– Moja córka jest w ciąży – oświadczył na wstępie i pogrążył się w posępnej zadumie.

– To świetnie! – wypaliłam na chybił trafił.

– Jak to świetnie? – obruszył się. – Dopiero skończyła liceum. To jej skomplikuje życie.

– Jest pełnoletnia – podpowiedziałam ostrożnie. – I na pewno jej pomożecie.

– Nic nie rozumiesz! – rzucił się, jakby ugryzł go giez. – To moja wina! Nie dopilnowałem jej! Przez ostatni rok byłem gościem w domu.

– Nie przeze mnie – bąknęłam niepewnie.

– Nie – przyznał. – Zrobiłem dwa filmy. Ale każdą wolną chwilę poświęcałem tobie, Soniu, nie jej.

– Nie była sama – traciłam grunt pod nogami i musiałam się bronić. – Ma matkę.

– Co to ma do rzeczy? – zirytował się. – Brakowało jej ojca, to sobie znalazła pocieszyciela. No i wykorzystał jej samotność.

– Nie mów tak. To dorosła dziewczyna. Wiedziała, co robi. Może się zakochała?

– To jeszcze dziecko! – rozkrzyczał się na dobre. – Zmarnowała sobie przyszłość!

– Dlaczego? – nie rozumiałam. – Z kim ona jest w ciąży?

– Z takim jednym... – siadł ciężko w fotelu i znów się zasępił. – Nie, to nie twoja wina. Ja cię nie oskarżam. To wszystko przeze mnie. Zaniedbałem ją. Zapomniałem, że mam dom. To się musi zmienić.

– Nie rozumiem... – przestraszyłam się nie na żarty.

– Jestem jej teraz potrzebny. Muszę uporządkować wszystkie jej sprawy. Pobyć z nią. Rozumiesz? Skrzywdziłem ją. Tak dalej nie może być.

W ten właśnie sposób przeszłość wdarła się zniecka do naszej teraźniejszości. Zupełnie nie byłam na to przygotowana. Każdy milimetr mojego ciała dygotał jak w febrze, ze strachu.

– A co ze mną? Co z nami? – błagałam go oczami o litość.

– Nic. Będzie, jak było. Przecież ja nie odchodzę. Nie rezygnuję z ciebie. Wiesz, jak jesteś dla mnie ważna. Ale ona jest najważniejsza. I musi o tym wiedzieć – uciekł od moich oczu.

Za oknem kończące się już, wrześnie lato, rozrzucało pełnymi garściami złote latawce liści. Pędziły to w górę, to w dół, na oślep.

– A... żona? – wreszcie wykrztusiłam z siebie to pytanie.

– Jest zagubiona i bezradna. Powinienem ją chronić. Jest słabsza od ciebie. Beze mnie nie daje sobie rady. Już to widać, po tych nieszczęsnych efektach. Nie jest taka rozmyślnie. Po prostu nie potrafi być sama. W przeciwieństwie do ciebie. Muszę ją wspierać. Muszę być przy nich, zanim nie wydarzy się jeszcze coś gorszego.

– Co może się jeszcze wydarzyć? – Byłam jak martwa. – Córka wyjdzie za mąż. Twoja żona zajmie się wnukiem, poza tym, z tego, co wiem, pracuje, ma etat w telewizji, nieźle zarabia. Macie piękny dom. Nie jest więc z nią tak źle, jak mówisz. W przeciwieństwie do mnie. Ja nie mam nic.

– Jesteś zwykłą egoistką! – rzucił się. – Jak możesz myśleć tylko o sobie? Chcesz zdyskredytować ją w moich oczach? Nie byłem dla niej dobry. Wiele przeze mnie wycierpiała. A ostatnio wszystko kręci się tylko wokół ciebie.

– Jeśli tak ci na niej zależy, jeśli tak jej współczujesz, dlaczego zadajesz się ze mną? – nie wytrzymałam. – Nie jestem pierwsza, tak? Zdradzasz żonę po raz któryś z rzędu. A ona cierpliwie czeka, aż wrócisz. Bo wie, że wrócisz. Zawsze wracasz. Dlatego tak ją cenisz. Mam rację?

– Nie przypuszczałem, że potrafisz być taka cyniczna. Wszystko musisz niszczyć? Nawet to, co było między nami?

– Nie zaprzeczyłeś – resztki przytomności umysłu jeszcze kołatały w mojej głowie.

– Nie mam zamiaru. Myśl sobie, co chcesz. Owszem, miałem wiele kobiet. To taki świat. Filmowców, aktorów, łatwe, przelotne romanse, nic nieznaczące.

– Co będzie z nami? Myślałam, że...

– Ja też myślałem. Różne myśli przychodzą człowiekowi do głowy w chwilach uniesień. A potem wraca szara rzeczywistość i trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie, co jest najważniejsze. I kto na tym najbardziej ucierpi. Ucierpiała moja

córka.

Miałam w sobie szloch. Tylko szloch. Który wypełniał mnie bez reszty. Dławił.

– Tak, wiem, że ją kochasz – wyszeptalam bez tchu. – Widziałam was razem, na zeszłorocznej premierze. Przyznaję, że byłam zazdrosna...

– Ty chyba oszalałaś! – nadał się tak, że o mało nie pękły mu żyły. – O co mnie posądzasz?

– O nic. Gdzieżbym śmiała. Po prostu chciałabym, żebyś mnie kochał tak, jak ją. I żał mi mojej Oli. Ona nie ma takiego szczęścia jak twoja Martyna. Ani prawdziwy ojciec jej nie chce, ani tego przyszywanego, czyli ciebie, niewiele obchodzi.

– Jesteś niesprawiedliwa. Co stwierdzam naprawdę z niepokojem. Lubię cię. Pomagam ci, jak mogę. Załatwiłem ci pracę. Ale to wszystko. A Ola ma własnego tatę. To jego obowiązkiem jest dbać o nią. Przykro mi, że on się z tego nie wywiązuje, ale mam własną córkę. Nic tego nie zmieni. Jej nie może stać się krzywda!

Milczałam zapatrzona na kołujące za szybą liście. Wpadały do pokoju, tonąc natychmiast w pomarańczowym półmroku.

– Co zamierzasz? – zapytałam bardziej w stronę liści niż niego, jakbym z góry znała odpowiedź.

– Muszę mieć więcej czasu – stwierdził z dziwnym spokojem. Może oszukiwał sam siebie?

– Nie będziemy się widywać? – uściśliłam pytanie.

– Nie tak często – przyznał. – I tylko z doskoku. Musisz to zrozumieć. Tyle tylko mogę ci dać. Przynajmniej w tej chwili.

– A co dalej?

– Dalej, dalej! – zirytował się. – Będzie, co ma być. Zobaczymy. Przecież się nie rozstajemy. Nie opuszczam cię. Ale nie możesz być taka zaborcza. Nie jestem

wolny. Mam dom, rodzinę. I to na pewno się nie zmieni. Nie zostawię żony ani córki. Albo się z tym pogodzisz, albo nie.

– Ale czego ty chcesz?

– Przyjaźni. Na tyle mnie stać.

– Przyjaźni... Po tym wszystkim, co przeżyliśmy?

Serce biło mi jak oszalałe. Traciłam Gerarda. Czułam to, ale nic, naprawdę nic nie mogłam na to poradzić!

– Jeżeli będziesz rozsądna, będziemy się widywać. Ale musisz mnie rozumieć. I wspierać.

– Dobrze – zgodziłam się, połykając łzy.

Czy mogłam postąpić inaczej? Tak bardzo go kochałam! Zgodziłabym się na każdy układ, żeby tylko zatrzymać go przy sobie!

– Ale nie będziesz sypiał z żoną? – Łez też nie potrafiłam zatrzymać...

– Przestań! I tak wszystko jest już zbyt skomplikowane. Nie wiem, czemu tak się poplątało...

Dopiero teraz zauważył, że nawet nie zdjął płaszcza. Wstał z fotela i objął mnie.

– Jakoś to będzie – próbował załagodzić miękko. – Tylko bądź mądra. I nie dręcz mnie. To dla mnie jest jeszcze trudniejsze niż dla ciebie.

Wyszedł bez pożegnania. Zupełnie jakby uciekał. Jakby wokół szalał pożar i musiał się ratować. Zwymiotowałam...

*

Mijali pola ziemniaczane, to znów buraków cukrowych, lucerny czy kapusty. Bitą ścieżka wiodła lekkimi skosami, to w lewo, to w prawo. Bliżej horyzontu unosiły się niebieskawe mgły dymów z ognisk, w których palono liście. Czasem minął ich, z pozdrowieniem, chłop z wozem pełnym siana, z naładowanego

wysoko pachnącego suszu dyndały nogi kilkuletnich wyrostków. Cherlawa szkapa ciągnęła wóz, dysząc ciężko, chłop poganiał ją leniwie. Gdzieniegdzie, miedzami, pomiędzy poletkami wysokiego chmielu a nieużytkami, dreptał dostojnie długonogi bocian, nie zwracając zupełnie uwagi na idących. Szli teraz drogą ukrytą pod rosochatymi wierzbami, które chroniły ich przed nadmiernym gorącym południowego, nie mocnego już, ale wciąż uciążliwego słońca. W rzadkich kałużach taplały się żaby, z błota wznosiły się chmary drobniutkich muszek, które ostro dawały się we znaki wędrowcom, atakując ich nosy i oczy. Opędzali się, by za moment odczuć ulgę, gdy wkroczyli na bardziej suchy teren.

Ciężkie chmury przewalały się w oddali, ciemne od spodu, wróżyły niepogodę na następny dzień. Górą szły jeszcze pierzaste cumulusy, ale już rozwłózione długimi smugami zwiastującymi zmianę. Jan zawiązał cztery rogi na chustce do nosa, zwilżył ją wodą mineralną i przykleił sobie do czoła. Chłodziła przez chwilę, wchłaniała grube krople potu, które zbierały mu się na czole, mimo dość silnego wiatru. Czarne wierzby, prawie pozbawione już liści, machały na wszystkie strony długimi gałęziami, jakby wzywały pomocy. Na ich skarłatych pniach widać było liczne, grube naroślą huby. Drzewa chorowały, chyląc się coraz bardziej ku ziemi, próchniały.

Przechodzili betonowym mostkiem nad rwącym potoczkiem, który wpadał z głośnym pluskiem do urokliwego stawu, po lewej ich stronie. Ta równinna okolica nie odkryła im wcześniej swojej perły, starannie obrośniętej wikliną i tatarakami, dopiero teraz dostrzegli ją, zupełnie dla nich nieoczekiwanie, aż przystanęli. Był to staw, o dziwnej, srebrzystej w odblasku wodzie. Brązowe pałki stały na straży jego cichej, prawie granatowej toni. Na skraju wydeptanego brzegu leżała wyciągnięta z wody do połowy drewniana łódka.

– Co jest? – warknął Wydra. – Idziemy czy nie?

– A idź pan do diabła! – zgromił go Albin. – Nie widzisz pan, że kobiety muszą

odsapnąć?

– Panie Wydra! – poprawił go Wydra. – To mówić, że postój! Siądę i zapalę!

– Nie, nie – zaproponował Jan. – Zaraz ruszamy.

– Ależ... – jęknęła Jadwiga. – Tak cudnie! Może by jednak się siąść ździebko?

– Odpoczniesz – poparł ją Władysław. – Posilić się trza.

– Skoro tak... – ustąpił Jan.

Zrzucił plecak na trawę, obok mostku, przysiadł nad strumykiem. Zdjął buty i skarpety, zanurzył bosc nogi w zimnej wodzie.

– O rety! – przeraziła się Leokadia na widok krwawiącego pęcherza na pięcie Jana. – Niech ksiądz da, to opatrzę!

Zakrzętnęła się koło jego obolałej stopy, przemyła ranę spirytusem, przykleiła plaster.

– Jak to ksiądz tera iść zamierza? – zafrasowała się. – Przecie się nie da. Z taką nogą.

– Da się, da – pocieszył ją Jan. – Włożę gazetę do buta, żeby było wyżej. Żeby nie ocierało w to samo miejsce.

– To drugie się obetrze... – wciąż martwiła się Leokadia.

– Nie tak od razu – zbagatelizował Jan, czując jednak, że ona ma rację.

Sam ze strachem myślał o kolejnych kilometrach do przebycia. Jadwiga przysiadła na łódce, Albin obok niej, Prokop z tyłu, na ławeczce. Poczęstowała ich plackiem ze śliwkami. Zajadali się, patrząc jeden na drugiego spode łba. Za potoczkiem, po drugiej stronie, czerniały duże połacie tłącego się żywymi ognikami ścierniska. Dym snuł się aż tu, strugą swądu, zajmując żarem okoliczne trawy. „Wypalają” – pomyślał Jan i przypomniał sobie, jak z ojcem, ogroziwszy wprzód teren drutem, podpalali rżyska. „Popiół użyźnia, pamiętaj, synu” – powtarzał mu ojciec, brudny od popalonych gałęzi, którymi następnie dusili ogień, pilnując, aby nie rozszedł się z wiatrem na boki.

– Może pan głodny? – Leokadia podsunęła Wydrze kanapkę.

– Obejdzie się, bez łaski. Łaski to wy szukacie. Jakby Bóg był tylko od tego waszego miłosierdzia. Na co wy liczycie? Na ten cholerny cud?

– Nie wasz interes – uciął Władysław krótko.

– Panie Wydra! – Wydra nie dawał za wygraną. – Przecież ta kaleka to nie człowiek, tylko kupa mięsa! Skórka z Burka! Budyń z ziemniakami! Kompot z suszonych chomików! – chichotał. – Czy on w ogóle wie, po co jedzie?

– Jak śmiesz, ty! – Władysław aż się zakrztusił.

– A co? – Wydra śmiał się do rozpuku. Wyprowadzanie z równowagi bawiło go bardziej niż cokolwiek innego. – Jechać z takim łojem po to, żeby nagle ożył i wstał? Trzeba kompletnie zidiociec, żeby wierzyć w coś takiego!

– Panie Wydra, dość! – zaproponował ksiądz.

– Ksiądz też wierzy w ten cud? – Wydra zwrócił się bezpośrednio do Jana. – Mamicie ich takimi głupotami? Żeby owieczki więcej dawały na tacę, oczekując, że w niebie otrzymają zapłatę w dwójnasób? Wasze niebo to buchalteria?

– Przestań pan! – nie wytrzymał Władysław. – Coś się pan uwziął na dzieciaka? Idziem czy nie idziem i gdzie, to nasz interes, nie wasz.

– To nazywacie dzieckiem? – Wydra drwił na całego. – Po co było rodzić coś takiego? Może on by wolał, żeby go nie było?

– Ja ci zara!... – Władysław rzucił się na niego z pięściami.

– No, no! – mitygował go Wydra. – Jak mam go dalej pchać, to wara ode mnie!

– Daj spokój, Władysław – jęknęła Leokadia. – Bo nie dojdziem!

Władysław stał przez chwilę nad Wydrą, po czym usiadł ciężko przy żonie. Wydra znów się zaśmiał i odwrócił w stronę księdza, który patrzył na niego z dezaprobatą.

– Coś się księdzu nie podoba? – ton Wydry był coraz bardziej zaczepny.

Jan milczał, nie chcąc dać się sprowokować.

– Mnie się nie podoba – Wydra usłyszał nagle głos nad sobą. Odwrócił się wolno i spojrzał w górę, pod słońce. Obok niego stała Sonia.

– Czy ja mówiłem coś do ciebie? A może mi się wydawało? – Wydra nie zamierzał tracić rezonu.

– Nie. Ja mówiłam do ciebie – ton Soni był twardy, ale myliła się, sądząc, że Wydrę cokolwiek to obejdzie.

– A w jakiej sprawie? – Wydra wbił w nią bezczelne spojrzenie.

Sonia poczerwieniała.

– Jesteś skończonym bydlakiem! – obruszyła się.

– Soniu! – upomniał ją ksiądz. – Nie tak ostro!

– Właśnie! – wycedził Wydra przez zęby. – Uważaj, damulko, co mówisz i do kogo!

– Masz ich przeprosić! – nie ustępowała.

– A za co? Powiedziałem, co myślę. To chyba wolno? A teraz zjeżdżaj! Głucha jesteś?

Wydrę zaczynało ponosić. Wszyscy zamarli, nie chcąc pogarszać sytuacji. Sonia zrobiła ruch, jakby zamierzała go uderzyć, ale uchylił się zręcznie. W oczach miał złe błyski.

– Coś jeszcze? A może chcesz się ze mną bić? – próbował znów drwić, ale widać było, że jest wściekły. Najwyraźniej, nie spodziewał się, że ktoś mu się odważy przeciwstawić. Był pewien ich strachu przed tym, że znowu odejdzie i zostawi ich... To go zaskoczyło. I pewnie poniżyło w jego własnych oczach. Bo przecież nie mógł tak po prostu oddać Soni. Była kobietą. Stanęliby w jej obronie. Nie zamierzał odchodzić, chciał się tylko zabawić ich kosztem... Zacisnął szczęki, z trudem hamując złość.

– Soniu, nie trzeba! – Leokadia próbowała załagodzić konflikt.

– Przeprós! Natychmiast! – Sonia znów pochyliła się nad Wydrą.

Chwycił ją za rękę i ścisnął, aż zbladła. Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami. W końcu Jan nie wytrzymał i wstał, zamierzając interweniować. W tym momencie Wydra puścił rękę Soni.

– Niedoczekanie! – syknął w jej kierunku.

– Tylko spróbuj jeszcze raz ich obrazić! – ostrzegła go na odchodnym.

– Panie Wydra! – napomniął go ksiądz. – Dość tych kłótni. Czas w drogę. I niech się pan stara panować bardziej nad sobą. Ruszamy, kochani! – rzucił w stronę pozostałych.

Ci z ulgą podnieśli się ze swych miejsc, kończąc w ten sposób nieprzyjemne zajście.

– To pcha pan czy nie? – zwrócił się Władysław do Wydry.

– Ja tu jestem w robocie – odciął się Wydra. – Za forszę mogę pchać nawet gówno.

Władysław spurpurowiał, ale Leokadia chwyciła go szybko za rękę. Potem przytrzymała Sonię, aby nie zaognić znów sprawy. Wydra ujął wózek za rączki i ruszył przodem. Pozostali za nim, w milczeniu.

Jan czuł się podle. Dlatego, że to właśnie Sonia zareagowała. Zdumiała go ta jej zapalczywość w gniewie. Miał ją za uosobienie łagodności. Znów się rozczarował co do niej. Nie podziwiał za odwagę, raczej ganił za to, że o mały włos, urażony w swej ambicji Wydra znów by ich opuścił, a wtedy obowiązek pchania wózka ponownie spadłby na Jana. Wydra był zuchwały, bo wiedział, że jest niezbędny. Jan w głębi serca czuł wstyd, że odwagą, choć może i nierozwagą, wykazała się Sonia, nie on. Że nie potrafił być równie stanowczy jak ona. Miała rację, Wydra przesadził. Ale przecież Wydrę nie tak łatwo zmienić i z pewnością nie w ten sposób, nie upomnieniami. Prawdę można mówić tylko temu, kto chce jej słuchać. A Wydra nie chciał. Ma swoje racje, które wyraża obcesowo i które ich oburzają, ale ma prawo je mieć. Jego zdania nie zmieni się agresją. Nawet jeśli słuszność jest

po stronie Soni, to zanim powiedziała mu prawdę, powinna była najpierw zastanowić się, nie nad tym, czy ona ma rację i czy mówi Wydrze prawdę, lecz czy on tę prawdę wytrzyma. Bo im kto gorszy, tym gorzej znosi jakiegokolwiek pouczenia. Wszelkie okrucieństwo rodzi się ze słabości. Nie wolno więc okazywać go w odwecie, z zemsty. Nie jest to dobra metoda. Jaka zaś byłaby właściwa, tego Jan nie wiedział. I to, oprócz głębokiego wstydu z powodu własnej niemocy, najbardziej go gnębiło.

* * *

– Tak minął pierwszy rok mojego związku z Gerardem. Rok snu i zaślepienia. Ale przyszłość istnieje wyłącznie w naszych myślach, w naszych o niej wyobrażeniach. Wydaje się, że mamy przed sobą dość czasu, aby mieć na nią wpływ. Często jednak okazuje się, że nie jest to możliwe. Przywiązanie potrafi być siłą tak destrukcyjną, że aby uwolnić się od niej, trzeba czasem wyrwać z siebie połowę duszy. Ale wtedy często powstaje rana, która może okazać się śmiertelna. Przywykłam do Gerarda. Do myśli o wspólnym z nim życiu. Nie brałam w rachubę innej ewentualności. Tymczasem nadeszła nieoczekiwanie, zastając mnie całkowicie nieprzygotowaną na cios. Zadręczałam się rozmyślaniami o tym, co powinnam zrobić. Ale wszystkie te rozważania kończyły się fiaskiem. Czekanie na Gerarda okazywało się silniejsze od wszelkich racjonalnych przesłanek, że nasz romans nie ma szans na przetrwanie. Męczyła mnie rozpaczliwa niepewność, czy zrobiłam wszystko co możliwe, aby go zatrzymać; jednocześnie czułam, że zgadzając się na wszelkie jego żądania, godzę tym w samą siebie. Traciłam godność. „Mam gdzieś godność!” – czepiałam się rozpaczliwie myśli, że zrobię, co zechce, byle tylko przyszedł. Byłam rozchwiana do granic wytrzymałości. To prowadziło donikąd. Uspokajałam się dopiero, gdy słyszałam znajome pukanie do

drzwi. Nadal miał klucze do mojego mieszkania, ale teraz wolał dzwonić domofonem, a potem czekać, aż mu otworzę. Zaznaczał w ten sposób, że już nie jest u siebie. Przychodzi do mnie. Jest tu tylko gościem. To bolało, choć pozornie nic się nie zmieniło. Siadywał w tym samym fotelu, pił herbatę z tego samego kubka. A jednocześnie był inny. Mniej cierpliwy. Przychodził rzadziej i często bardzo zmęczony. Potrafił przesiedzieć długi czas, zanim pozwolił się dotknąć. Zauważyłam, że zrobił się nieufny i jakby oschły. Dziwnie ostrożny. Nie krył się ze swoim lękiem przed moją czułością. Poprzednio pożądanie wyzwalało w nas namiętność tak silną, że bezwiednie nas przyciągała. Gwałtownie lgnęliśmy do siebie, pragnąc nasycenia. Teraz byliśmy nie tylko ze sobą, lecz także z naszymi kłopotami. Ten ciężar stał między nami, rozdzielał nas. Wyciągałam rękę w stronę Gerarda, by przygładzić te jego włosy, w ciągłym nieładzie, odsuwał się wtedy odruchowo, jakby bał się, że go uderzę. Nie wiedziałam, co począć, aby wróciła tamta bliskość, naturalny żar. Gerard często przychodził tak wypalony, że sztuczne podtrzymywanie w nim ognia powoli przestawało mieć sens. Kiedy pytałam o dom, o żonę, wpadał w złość, jakbym osaczała go, bronił się przecie mną zaciekle. A im bardziej się bronił, tym ta jego szamotanina paraliżowała nas z większą mocą.

„Kochaj mnie” – powtarzałam w kółko, jakbym żebrała o litość. Ale strach o konsekwencje takiego wyznania zabijał go. Nie kończący się lęk, że mogłabym jakieś jego bezwiedne słowa potraktować jak obietnicę, a przypadkowy, zbyt czuły gest, za deklarację, z której by nie chciał, czy raczej nie potrafiłby się wywiązać, kneblował mu ręce i usta. Kontrolował w sobie wszystko, nie pozwalał na spontaniczność. Nakreślił ostre granice naszej intymności i poza nimi był to tylko przyjacielski układ, który powoli zaczynał przekształcać się w koleżeńską znajomość, z niezobowiązującym seksem. Wolał teraz długie dysputy filozoficzne, naprawdę ożywiał się wtedy i po takim metafizycznym seansie wracał na jakiś czas do dobrej formy. Kiedy wypijał trochę za dużo, zapewniał mnie, że jeśli chodzi o

niego, to nic się w stosunku do mnie nie zmieniło. Potem trzeźwiał i udawał, że niczego takiego nie pamięta. Jednak jeśli nawet zgodził się nieufnie przyjąć czułość z mojej strony, sam nie pozwalał sobie na żaden, zbędny według niego gest, po którym mogłabym rościć sobie do niego jakieś prawo.

– Ogrywasz przede mną komedię! – zżymałam się. – To życie, nie film! Nie ten scenariusz!

– A cóż to jest życie, Soniu? – irytował się. – Wszystko jest film, że sparafrazuję Stachurę. Każdy z nas gra. Wymyślamy sobie własną wersję i ją realizujemy, mniej lub bardziej udolnie. Ale każdy gra swoją rolę, najlepiej jak potrafi.

– Ja nie. Zawsze staram się być sobą – protestowałam gwałtownie.

– Co znaczy sobą? Przecież grasz przede mną rolę doskonałej, wyrozumiałej kochanki, bo chcesz za taką uchodzić w moich oczach, nie pozwolisz sobie na żadne odstępstwo od tej reguły. I świetnie ci to wychodzi. Co do Artura, próbowałaś odegrać rolę dobrej żony i co? Pudło! Ta rola okazała się ponad twoje możliwości. Zabrakło ci talentu. Ze mną ci wychodzi, jesteś zakochana, więc wystarczy, że zachowujesz się naturalnie i szczerze i to już jest przekonujące. Moja zaś rola, dobrego męża i ojca, wypada znacznie gorzej. Wymaga ode mnie nie lada wysiłku, a aktor ze mnie mierny. Nie masz się o co zżymać.

Ujmował mnie pod brodę w taki sposób, że cierpkie wymówki nie przechodziły mi przez usta. Na Gerarda nie sposób się było gniewać, a już na pewno złościć. Bo nawet gdy prawił mi złośliwe komunały lub dokuczał irytującym zachowaniem, potrafił obrócić wszystko w żart lub wypuentować zdarzenie jako farsę, ale w sposób dla mnie miły. Utarczki słowne z Gerardem, jego, ujawniająca się raz po raz, kolczasta natura, chroniczne przemęczenie i częste hipochondrie powoli mnie jednak męczyły. To był zupełnie inny Gerard. Okazał się trudnym partnerem do współżycia na co dzień, teraz, gdy nie działało już oczarowanie, a zauroczenie

przytłaczała brutalna, szara, wyszarpywana kawałkami, codzienność. Mimo to miałam wrażenie, że dopiero teraz naprawdę go kocham. Jego lęki i frustracje, jego nieumiejętność bycia serdecznym w każdych okolicznościach i starannie skrywaną, chłopcę wręcz, potrzebę akceptacji, której nie umiał się wyzbyć. Był delikatny i wrażliwy. Ale zgrywał twardziela i cierpiał w milczeniu. Łatwo tracił równowagę, potrafiło go rozwścieczyć byle głupstwo, po to, by po sekundzie, ogarnięty wstydem i poczuciem winy, niezdarnie domagać się ode mnie urażonej wybaczenia. Potrzebował kobiety, nad którą mógłby całkowicie panować, ale był to przejaw infantylności i słabości charakteru. Nie broniłam mu niczego, chciałam, aby czuł się przy mnie bezpieczny. Niestety, on nie dawał mi tego samego, żadnego poczucia bezpieczeństwa. Przeciwnie. Bez przerwy podkreślał niepewność co do stanu swoich uczuć i ulotność naszego związku. Nie byłam pewna dnia ani godziny. Tego, czy znów przyjdzie, ani tego, jak długo jeszcze będzie przychodzić i do czego to wszystko doprowadzi. Bałam się. O siebie. O Olę. Ale Gerard nie zamierzał udzielać żadnych odpowiedzi na moje pytania. Unikał tego jak ognia. Po prostu przychodził. Po to, by wyjść ze słowami: „Zadzwoń”. I to było wszystko. Rozum podpowiadał mi ucieczkę. Cóż, kiedy okazało się, że rozum nie jest tym, co pozwoliłoby mi schwytać prawdę, w każdym razie nie tę, której oczekiwałam. To, czego chciało moje serce, było prawdą zupełnie inną. I to ona, tylko ta prawda chwyтана przez zmysły, docierała do mnie, nie pozwalając na żaden inny, jasny ogląd faktów. Dominowała, rozpanoszona we mnie, bezwzględnie podporządkowała sobie wszystkie moje pragnienia. Byłam absolutnie w jej władzy i we władzy Gerarda. Miałam tego świadomość, jak też świadomość konieczności ucieczki, połączoną z absolutnym brakiem woli, aby to urzeczywistnić.

*

Szli kamienistą drogą. Po jednej stronie falowały po horyzont zielone oceany kukurydzy. Oblędne chmury zawieszono nisko prawie kładły się na ich grzbietach. Z krzykiem kołowały ponad nimi dwa jastrzębie. Jan kierując wzrok za ich lotem, zapatrzył się na drugą stronę drogi, gdzie przeorane pola świeciły spalonymi od słońca brzdami. Cienie ukryte w ich głębokich wnętrzach robiły wrażenie ciemniejszych niż były w istocie. Jan wiedział, że tak odpoczywa spracowana gleba, że ziemia, jak człowiek, potrzebuje spoczynku po wytężonej pracy. Zapragnął nagle wtulić się w te ciemne grudy, być jak najmarniejsze ziarno, doczekać wiosny w spokoju i odetchnieniu. Poczł się bardzo znużony, nie rozumiał, dlaczego ta droga tak mu się dłuży. Odbywał już w życiu dłuższe wycieczki, z klerykami, rajdy wielodniowe, zawsze było wesoło, choć przecież często w skupieniu oddawali się modlitwom i medytacjom. Nigdy jednak nie odczuwał takiego zmęczenia jak teraz. Czy przytłaczało go poczucie odpowiedzialności za powierzonych sobie ludzi? Czy może bardziej fakt, iż to jego pierwsze, samodzielne dzieło, z którego z pewnością będzie rozliczony, a które może zaważyć na całej jego przyszłości? Wszystkie te hipotezy były prawdopodobne. Jednak najbardziej gnębiło go co innego. Odpowiedzialność za to, co minęło bezpowrotnie. Odpowiedzialność za Alinę...

Pomyślał ze strachem, że ta droga pewnie nigdy się dla niego nie skończy. Bo nawet jeśli dojdą tam, dokąd zmierzają, będzie to tylko kres jego wędrówki, nie cierpień. Nie miał pojęcia, jak uwolnić się od tego, co go dopadło. Miał przy tym wrażenie, że nie jest w stanie nigdzie uciec. Bo dokąd? I jak? Czy można uciec od siebie samego? Aby uciec przed tym, co mu tak ciąży, musiałby stać się kimś innym, a nie – być gdzie indziej. „Cóż – pocieszył się w myśli – każdy jest na tyle nieszczęśliwy, na ile się za takiego uważa. Muszę się jakoś poskromić, nawet wbrew rozsądkowi. W końcu życie pograżyłoby się w nudzie, gdyby zabrakło tego, co nam dopieka. Na szczęście podobno los nie dosięga tego, kto go nie prowokuje”.

Zapatrzył się w bruzdy na polach, nagle wydały mu się pooraną zmarszczkami kobiecą twarzą. Twarzą starej Aliny. Zadrżał, jakby gruda ziemi utkwiała mu w gardle. Napłynął do niego obraz błękitnych gór, ledwo rysujących się w szaroróżowej poświacie zachodu, jakby przydymionych wczesnojesienną mgłą. Cisza w każdym centymetrze liści i przestrzeni. Obraz tak dotkliwie prawdziwy, pełen barw i dźwięku, że zaparło mu dech. Panoramiczny widok, w którym przebywał w tej chwili zupełnie realnie, razem z Aliną. Siedzieli oboje na łące, spadzistej górskiej hali. Alina półleżąc, recytowała wiersze, zapatrzona w niebieską lunę idącą z gór. Zadrżał, bo to nie było wspomnienie! Nigdy nie przeżył czegoś takiego z Aliną! Nigdy nie wpatrywał się do bólu, jak teraz, w jej jaśniejącą od ekstazy twarz! Cała ta scena rozgrywała się wyłącznie w jego wyobraźni! Rozgrywała się właśnie teraz – scena z jego marzeń. A on był w środku tego marzenia... „Mam halucynacje! – jęknął. – To maligna. Z pewnością bierze mnie gorączka. Zmokłem w czasie burzy, czuję, jak grypa łamie mnie w kościach!”. Próbował się uspokoić. Na próżno. Widzenie nie mijało. Nie roztapiało w mgle, nadchodzącej ku niemu od bezkresu monotonnego krajobrazu. Załzawionymi z wysiłku oczami wodził wokoło, aby opanować się i dostrzec przed sobą postać Soni. To Sonia, nie Alina, jest tu naprawdę. By przywołać na powrót teraźniejszość, Jan musi za wszelką cenę postarać się odsunąć na bok przeszłość. Zagadnąć dziewczynę, która jest tu teraz z nim, przyćmić obraz tamtej, której nie ma.

– Soniu – zaczepił ją tonem, który już na wstępie musiał wzbudzić w niej zdziwienie. Jakby nie przyjmował do wiadomości, że ona może nie mieć ochoty na rozmowę. – Widzę jakieś urojone góry... – pożalił się.

Próbował się zaśmiać, ale od razu wyczuła, że Jan mówi poważnie i że się boi. Potrzebował pomocy. Nie potrafił uwolnić się od drżenia, którym wypełnione było całe jego ciało. Dygotały mu nawet powieki.

– To się zdarza – przytaknęła, chcąc dodać mu odwagi.

– Tak, trzeba mi otuchy – śmiał się wciąż nieszczerze.

Nie miał pojęcia, jak bronić się przed tą utratą kontroli nad sobą.

– Ja też jestem inna – przyznała cicho, jakby wyznawała wielką winę. – Tak jakoś inaczej pojmuję świat. Patrzę na wszystko z boku. To pewnie jakaś skaza...

W jej głosie był wstyd i upokorzenie. Czuł, że wyrwał z niej zwierzenie, które zamierzała przed nim ukryć. Było jak przyznanie się do winy. Początek wyznania grzechu... Przerwał jej szybko.

– Też mam teraz takie uczucie, jakbym unosił się sam nad sobą. Widzę siebie, jednocześnie jestem zupełnie gdzie indziej. Choć to przecież niemożliwe. Nie można przebywać w dwóch różnych miejscach jednocześnie.

– Ale w dwóch czasach można – poprawiła go szybko i wydało mu się, że wyjaśnia rzecz jak najbardziej oczywistą. – To, czego się pragnie, lub pragnęło, jest zawsze obecne. I równoczesne. Prowokuje wyobraźnię. I ta projekcja pragnienia dopada nas często, czy chcemy czy nie. Coś o tym wiem.

Milczeli dłuższą chwilę, zapadnięci, każdy we własną udrękę. Pomyślał, że jeśli ma tak wyglądać odtąd jego życie, to nie będzie ono wesołe i beztroskie, jak mniemał. Chyba zbyt wiele oczekiwał i zbyt cieszył się otrzymaniem tego miejsca w Turawie. Przestraszył się też, że ta dziewczyna wie znacznie więcej, niż mówi, i że jej życie musi być po stokroć gorsze od jego, skoro tak od razu odgadła, co jemu dolega. Nie chciał jej zgryzot. Nie w tej chwili. Dość mu było własnych zmartwień. Zamierzał uciec od tego. Od jej zwierzeń także. Nie miał dość sił, by dźwigać własne zaszłości, a co dopiero cudze. Przerażało go, że Sonia może zacząć coś opowiadać o sobie, przekonana, iż on oczekuje tego od niej, wyrzucenia przed nim swojego smutku i pozwolenia wzięcia go przez niego, na swoje barki.

Spojrzał w bok, jakby zamierzał pobiec prosto przed siebie, poprzez te pobrużdżone pola, przez sieć zmarszczek na twarzy Aliny, wstecz, poza siebie, w młodość, która zdążyła już w tej ziemi stać się ziemią samą, rozpierzchniętą pyłem

ponad drogami, którymi szli. I zrozumiał, że nie ucieknie. Nigdzie. Bo nie ma dość sił, by zniszczyć w sobie te pragnienia, które jak powiedziała Sonia, przetrwały w nim bez udziału jego świadomości. I że tak długo będzie cierpiał, jak długo się od nich nie uwolni. Ale nie miał pojęcia, jak mógłby to zrobić. I pomyślał, że byłoby to możliwe jedynie przez stopniową zamianę tych pragnień na inne. Ale jak tego dokonać, nie wiedział. Zerknął z ukosa na Sonię, poczuł, że ta odkryta przed nią jego słabość wywołuje w nim kolejną falę frustracji. Zaskakująca łagodna wyrozumiałość tej dziewczyny w połączeniu z tamtą jej stanowczością wobec Wydry, zdumiewała go. Sonia była zupełnie kimś innym, niż podejrzewał. Ostra, przenikliwa i za bardzo doświadczona jak na niewinną, kruchą istotę, jaką mu się wydawała na początku. Zamknięta w sobie, odseparowana od ludzi, nazywająca to swoją innością... Inna? W jakim sensie? Bardziej przeżywająca? Nadwrażliwa? Na jakiej podstawie tak sądzi? Jakie ona ma prawo uważać siebie za kogoś wyjątkowego? Wrażliwszego od innych? Słowa Soni świadczyły tylko o jej nonszalancji, o niczym więcej...

– Ksiądz się na mnie gniewa? – usłyszał i z przykrością stwierdził, że nie wie, co odpowiedzieć, aby obejść się bez kłamstwa.

Ta konsternacja zaskoczyła przede wszystkim jego samego.

– Soniu ... – zaczął i urwał.

Jego myśli były tak pourywane, że z trudem wiązał je w konkretną całość. Ale nie udało mu się sklecić nawet jednego sensownego zdania.

– Nie musi ksiądz udawać – wyręczyła go, co przyjął z przykrym zadowoleniem, ale bez ulgi. – Przecież widzę!

– Niepokoisz mnie – przyznał wreszcie. – Rzeczywiście, nie jesteś podobna do innych dziewcząt. Wyczuwam jakieś zło, które się wokół ciebie rozpanoszyło. Czy ono cię tak przytłacza, że masz poczucie wyobcowania?

– Ksiądz oczekuje ode mnie spowiedzi? – wykrztusiła.

– A czy to coś złego? Uporać się wspólnie z grzechem?

– To by było za proste – wyszeptwała i odwróciła twarz, jakby chciała za wszelką cenę uniknąć łez.

– Nawet nie spróbowałaś! – tak, gniewał się, nareszcie się gniewał, tak po prostu.

Obraz Aliny gdzieś zniknął. Pryśła nareszcie ta potworna, przytłaczająca go od dłuższego czasu imaginacja. Odetchnął głęboko, pełną piersią. Poczul się lekki, uwolniony od prześladowającego go koszmaru. Nie wiedział, na jak długo odzyskał spokój, ale na razie wystarczała mu ta chwila wytchnienia. Nie zamierzał zniszczyć jej utarczkami z Sonią. I nie chciał jej spowiedzi.

Patrzyła na niego ze smutkiem, jakby czytała w jego myślach. „Nie jest jasnowidząca – stwierdził z satysfakcją. – Nie może wiedzieć, o czym myślę”. Więc szedł dalej i milczał. Mimo to patrzyła wciąż, już nie na niego, ale na to samo pole, które tak niedawno go przeraziło. Czy teraz przerażało ją? Być może. Ale on już uzyskał spokój i pociechę. Ona niech poszuka sobie innego pocieszyciela. Czuł do niej niechęć, bo mimo że coś ją przytłaczało, była silniejsza od niego. Nie szukała pomocy.

Nagle ogarnęła go niepewność. Dlaczego właściwie obawia się Soni? „Zachowuję się jak baba! – ofuknął się szyderczo. Zamierzał odtąd bezlitośnie drwić z siebie. – Jestem zwykły mięczak! Co ja wyprawiam? To histeria!”. Miał nadzieję, że kpina pokryje zażenowanie, dojmujące i upokarzające. Kręcił głową, mimowolnie, z niedowierzaniem. „To się nie działo naprawdę! – wciąż powtarzał, jakby zamierzał wbić sobie w pamięć. – Jestem tylko wyczerpany. Mam huśtawkę nastrojów. To minie”. Przywołał uśmiech na twarz i nawet naprawdę zaczął wierzyć w powrót dobrego samopoczucia. Rzeczywiście poczul się o wiele lepiej, w każdym razie lżej. Rażniej rozejrzał się dookoła i stwierdziwszy, że prócz Soni, nikt niczego w jego zachowaniu nie zauważył, dziarsko poprawił sobie

chorągiew na ramieniu, wyrównał krok.

* * *

– No! – Gerard ledwo wszedł, obwieścił nowinę już od progu. – Moja córka wychodzi za mąż!

Jego ton był pełen entuzjazmu. Podniosłam brwi w górę, ale o nic nie spytałam. Ten nagły zwrot w jego stosunku do małżeństwa córki był jednak zastanawiający. Jeszcze nie tak dawno Gerard obwinił siebie o jej przedwczesne usamodzielnienie się. Teraz najwyraźniej był to dla niego powód do dumy.

– Facet ma kupę szmalu... – sapnął, sadowiąc się wygodnie w fotelu. – Aż mi zaschło w gardle... To znaczy szmal ma jego ojciec, który jest prezesem banku. Wyobrażasz sobie? Mają kapitały, akcje, nie wiem co jeszcze... Trzeba mieć łeb, żeby tak obracać gotówką! – pełen uznania dla obrotnego teścia i przyszłego zięcia, wypił jednym haustem podaną wodę mineralną. – W każdym razie Martyna jest urządzona i dziecko też.

– A tak się martwiłeś... – nie mogłam powstrzymać się od ironii.

– Nie przypuszczałem, że to taka nadziana rodzinka – zmierzwił sobie grzywkę nerwowo. – Najważniejsze, że młodzi się kochają – zmienił temat na bezpieczniejszy.

– Przedtem nie było to dla ciebie najważniejsze – skwitowałam ponownie z lekką kpina.

– Soniu! – zdenerwował się. – Sama zobaczysz, jak to jest, gdy ci córka dorośnie. Też nie będziesz chciała, żeby związała się z byle kim.

– Pewnie – przytaknęłam. – Poznałeś już tego chłopaka?

– Jaki tam chłopak... – znów się zdenerwował i nieco speszył. – Jest od niej starszy, prawie o... dwadzieścia lat... Ale nawet tak wolę – dodał szybko. –

Przynajmniej jest odpowiedzialny.

– I na stanowisku – dorzuciłam niechcący, zapomniawszy ugryźć się w język.

– Dzięki temu jest w stanie utrzymać rodzinę – odciął się natychmiast. – Nie tak, jak twój Artur.

Cios był celny, trafił w samo serce. A najgorsze było to, że Gerard miał rację.

– O co chodzi? – zaczął pojednawczo. – W końcu to jej życie. Niech sobie układa, jak chce. Tylko że... – zerknął na mnie niespokojnie – będę teraz bardzo zajęty...

– To znaczy? – zaniepokoiłam się.

– Przygotowaniami do ślubu... Zdajesz sobie sprawę, ile to załatwiania? Wesele ma być na trzysta osób! Do tego, kupują dom. Trzeba pojeździć, wybrać.

– Mogliby sami – bąknęłam.

– Lepiej będzie, jak im doradzę – uciął krótko.

– Kiedy ten ślub? – już zaczęłam się martwić.

– Za dwa miesiące. Wcześniej nie zdążą. Samo uszycie sukni...

– Mogą pożyczyć... – chciało mi się płakać.

– Żartujesz? To byłby afront dla teścia. On funduje, więc wymaga. No i trzeba urządzić dom. Wszystko ma być w najlepszym gatunku!

– A studia? – nie wytrzymałam.

– Przy jego dochodach? Żaden problem. Zatrudnię niańkę do dziecka. Martyna będzie sobie studiować, tyle że za rok. Najważniejsze, że będzie mieć udaną rodzinę.

– Kiedyś ci tak nie zależało na rodzinie – przypomniałam sarkastycznie.

– To był błąd – przyznał. – Żona też się cieszy – dodał. – Nareszcie wszystko się układa.

– Pewnie – bąknęłam. – Ona też jest urządzona. Przy takim zięciu nie zginie z głodu.

– Przestań – zachnął się. – Chodzi o to, że teraz muszę dbać o wizerunek domu.

– Co masz na myśli? – zmartwiałam.

– Nie chcę, żeby coś było nie tak. To tradycjoniści. Ojej... – zająknął się na widok mojej miny. – Przestań być nieszczęśliwa! Czego właściwie chcesz? Przecież jestem z tobą!

– Ale cię nie będzie... Jak długo? – z trudem panowałam nad łzami.

– Tylko przez jakiś czas. Ale jest jeszcze jedna sprawa...

Więc to nie był koniec tych „dobrych wiadomości”? Co jeszcze trzymał w zanadrzu? Co wyciągnie teraz z rękawa?

– Nie będę mógł być niestety na festiwalu w Gdyni. Pojedziesz sama. Postaraj się godnie mnie reprezentować.

– Jak to? – nie wierzyłam własnym uszom. – Dlaczego?

– Przecież mówię! – zniecierpliwił się. – Mam ślub na głowie! Nie rozerwę się. Dasz sobie doskonale radę.

Wziął mnie na kolana. Ale był jakiś nieswój. Spieszył się. Ten jego pośpiech wytrącał mnie z równowagi. W pokoju obok zaczęła płakać Ola. Zniecierpliwił się do reszty.

– Idź do niej. Tracę tu tylko czas.

– Nie zostaniesz dłużej? – chwyciłam go za rękę, ale wyjął ją szybko z uścisku.

– Nie mogę. Czekają na mnie. Zadzwoń.

Całowałam go, jakbym tonęła. Z trudem uwolnił się z moich objęć.

– Co jest? Przecież nie odchodzę na zawsze, tylko na trochę. Nie umieraj! Nie ma powodu!

Pozwolił się jeszcze raz pocałować. Moja namiętność w końcu go rozczuliła.

– Naprawdę bardzo cię lubię – zapewnił mnie na odchodnym.

Wyszedł, Ola wciąż płakała. Nawet do niej nie zająknął... Byłam tak smutna, że z trudnością przyszło mi ucieszenie jej. Najchętniej sama bym popłakała. Radość,

która mnie rozpierała na myśl o wspólnym wyjeździe do Gdyni, gdzieś znikła. Ulotniła się, ustępując miejsca beznadziei. Radość jest niestety wynikiem naszych oczekiwań, pewności, że zdarzy się to najszcześniejsze, czego tak wyczekujemy, niecierpliwie i z utęsknieniem. Może nam się wydawać, że nasze dobre samopoczucie pochodzi nie z tej, a z zupełnie innej przyczyny. Jednak, gdy okaże się, że oczekiwanie to nie zostanie zaspokojone, radość pryska. I nic już wtedy nie pomaga, nie daje szczęścia, gdyż staje się ono zwykłą ułudą, nie do zrealizowania. Skrzydeł dodaje tylko bliskość tego, kogo kochamy, a przynajmniej świadomość, że istnieje on dla nas i że czekanie na niego nie będzie przedłużać się w nieskończoność. Ileż można znieść z wiarą w szybkie ujście tego, kogo tak bardzo się kocha, że stanowi dla nas wartość cenniejszą niż wszystko, niż życie nawet. Niestety, moja nadzieja na odmianę sytuacji prysła bezpowrotnie, decyzja Gerarda była bowiem nieodwołalna.

Na myśl, że będę teraz sama, nie wiadomo jak długo, poczułam paraliżujące przerażenie. Wszystko, byle nie samotność! Tej bałam się panicznie! Nie wyobrażałam sobie, że mam go od teraz nie widzieć. Do odwołania... Złapałam za słuchawkę, chcąc zadzwonić na jego komórkę, zatrzymać go, gdziekolwiek jest, na schodach czy na ulicy, przywołać do mnie, z powrotem... Musiałam go zobaczyć! Natychmiast! To pragnienie było tak straszne, tak przejmujące, jakby od tego, czy Gerard znów za moment stanie w moich drzwiach czy nie, miało zależeć moje życie. Nie bałam się śmierci, nawet wołałabym ją, niż nie zobaczyć za chwilę Gerarda! Pomyślałam, że znów nie zadzwoni, przez pięć dni albo przez tydzień, albo dłużej, bo przecież nie spieszy mu się do mnie. Ma głowę zajętą innymi sprawami i przez myśl mu nie przejdzie, w jakim psychicznym dołku ja się teraz znajduję. Równocześnie modliłam się, żeby się o tym nie dowiedział. Ze strachu, że dopiero wtedy naprawdę zaczęłby ode mnie uciekać, odczuwając to jako szantaż. On, człowiek ceniący sobie nade wszystko wolność, z pewnością tego by

nie zniósł. Salwował by się ucieczką natychmiast, gdybym zaczęła coś na nim wymuszać. I byłaby to ucieczka bez powrotu. Bałam się więc wydzwaniać za Gerardem, szczególnie do domu, czego absolutnie sobie nie życzył i co z pewnością przyprawiłoby go o wściekłość.

Jednocześnie rosła we mnie nowa obawa, że gdy już przezwycięzę w sobie jakimś cudem tę rozpaczliwą potrzebę bycia z nim, tę rozsadzającą płuca tęsknotę za nim, może nadejść w końcu oczekiwane uspokojenie, pogodzenie się z niewidzeniem go. Bo człowiek, jak każde zwierzę, ma zdolności przystosowawcze. I jeśli przystosuję się do jego stałej nieobecności, jeśli przestanę cierpieć, czeka mnie coś znacznie gorszego. Przyzwyczaję się do mojej samotności. Zacznę obywać się bez niego, a stąd już krok do obojętności, do zapomnienia. Wtedy to naprawdę koniec.

Do Gdyni na festiwal pojechałam sama. Tłok w kuluarach, niezliczone projekcje i bankiety, szum gorączkowych dyskusji, nieustający błysk fleszy, pytania, odpowiedzi, ukłony, uśmiechy, firmament uginający się od gwiazd nie tylko filmu. W tym zgiełku byłam sama. Z ciszą i pustką wydrążoną w środku mojego serca, niczym w łupinie orzecha. Moje stwardniałe z bólu, pozbawione słodkiego wnętrza serce, wciąż jednak biło. Przemykałam przez kolejne, głośne godziny, samotna, w tłumnym rozgwarze otaczającym mnie wokół, niczym kolorowe, betonowe ściany więzienia, tak zakamuflowanego, by nie robił na przybyłych tutaj ponurego wrażenia, lecz stwarzał pozory beztroski, kontrolowanego luzu i ładu. Wszystko na swoim miejscu, w odpowiednim czasie. Ja – tu, on – tam. Z woli, czy raczej z wyroku Nie Wiadomo Kogo. Bez możliwości odwołania. Ileż razy, siedząc w domu z Olą, marzyłam o tym wyjeździe. Żyłam nim przez tyle tygodni. I oto byłam tu. Sama. Dlaczego nie przewidziałam takiej ewentualności? Bo znałam Gerarda i wiedziałam, że nawet chory nie przepuści okazji, by zaprezentować swój film, w który włożył tak wiele i w który tak wierzył.

Sądziłam, że to było jego prawdziwe dziecko, nie Martyna. Niestety, tak mi się tylko wydawało. Prawda okazała się inna. Bardziej bolesna, a ja musiałam się z nią pogodzić. Nie miałam mu za złe. Rozumiałam go. Ja dla Oli również mogłam zrezygnować z rzeczy bardzo ważnych. Ale nie miałam wpływu na rozczarowanie, które mnie ogarnęło. Na smutek, który odczuwałam w każdym, najbardziej nawet wypełnionym gwarem i hałaśliwym blichtrzem momencie.

Nie przyjmowałam do wiadomości, że ten stan mógłby okazać się ciągły. Bo nie było powodu, by sądzić, by miał to być wstęp do rozstania. Nie odchodzi się przecież w ten sposób. Nie tak, bez słowa. To byłby kamuflaż. Oznaczałby, że nic nie zdarzyło się między nami. A przecież zdarzyło. Wciąż trwa. Miałabym więc prawo znać powód, dla którego się mnie porzuca. I on powinien wysłuchać, co ja mam do powiedzenia. Wprawdzie od jakiegoś czasu podejrzewałam, że coś takiego może nastąpić, ale wolałam w to nie wierzyć, wydawało mi się to zupełnie nierealne! Gerard nie był mięczakiem, nie posłużyłby się tchórzliwą ucieczką. I ja na taką nie zasługiwałam. Nie dałam mu przecież żadnego powodu do odejścia, do jakichkolwiek zastrzeżeń wobec mnie. Nie, to nie mogło tak się zakończyć. Nie teraz. Sam pomysł był wręcz irracjonalny, pozbawiony realnych podstaw. Dlaczego więc nie uspokajało mnie takie tłumaczenie? Czemu w głębi serca wiedziałam, że może być inaczej? Skąd przerażająca, podpełzająca do serca pewność klęski?

Usiłowałam dostosować się do sytuacji, przybierając pozę zainteresowanej konkuresem na równi z innymi, aby nie dać powodów do zastanawiania się nad przyczyną mojego odsuwania się na bok. Nie wolno mi było stać z boku! Nie tego oczekiwał po mnie Gerard! Z pewnością nie zamierzał mnie opuścić, chciał mi tylko dać nauczkę. W szczątkowej formie, ale nasz związek miał szansę na przetrwanie! Wszystko zależało ode mnie. Od mojej postawy. Od tego, jak bardzo przydam się jego filmowi podczas jego nieobecności tutaj. Chciałam okazać się

niezbędna. Musiałam być niezbędna! Nie do zastąpienia, przez nikogo. Moją szansą było jego zrozumienie, jak bardzo jestem mu potrzebna. Że nie może obejść się beze mnie. W każdym sensie. Otucha, że wszystko jest jeszcze do uratowania, a w każdym razie bardzo wiele, wstąpiła w moje serce. Małe, słodkie jądro nadziei drgało w takt rytmu przepływającej krwi, klepsydra czasu, tik, tak, odmierzała kolejne sekundy do spotkania z Gerardem. Które miało nastąpić, byłam tego pewna!

Przed ogłoszeniem wyników konkursu poszłam się przejść nad morze. O tej porze roku, wieczorem, było wzburzone. Jego nastrój odpowiadał mojemu. Ono jedno korelowało ze mną tak bardzo, że było w stanie, we wspólnym milczeniu, na krótko wypełnić nieobecność Gerarda. Chłodny dotyk fal orzeźwiał. Stanowił przyjemne otrzeźwienie po ostatnich, dusznych dniach. Plaża, zimna i mokra, wywoływała wprawdzie dreszcz, ale za to nie pozwalała zbyt skupić się na sobie. Obserwowałam stado krzykliwych mew w pobliżu niewielkiego kutra, chwiejącego się w oddali na falach, podrzucanego to w górę, to w dół, spienionymi bałwanami. Zapach surowych ryb z rozwieszonych sieci docierał aż tu, niesiony porywistym wiatrem od morza. Otuliłam się szczelniej kurtką. Nie wyszło mi z Arturem, nie wychodziło z Gerardem. Dlaczego? Czy powtarzałam jakiś błąd? Na czym polegał?

Zrozumiałam, że Gerard nie powiedział mi prawdy. To nie jego żona jest bezradna i potrzebuje pomocy, tylko on. Jak wszyscy ludzie o tak złożonym życiu wewnętrznym, ma słabą wolę. Jest zlepkiem przyzwyczajęń i niepokojów. Związał się z mało kobiecą, męską kobietą, aby się na niej wesprzeć w codziennym życiu. Nie szukał romantyzmu, wzniosłych uniesień, tylko kogoś do praktycznych kalkulacji, gdyż z trudnością udaje mu się wyjść poza swoje abstrakcje. W realnym świecie, mimo swojego intelektu, jest słaby. To nie jego żona, tylko on gubi się w prozie życia, żona załatwia to za niego. Świat dostępny inteligencji Gerarda jest

inny niż ten, który odbiera on przez zmysły, poprzez wrażenia. Stąd bierze się w nim stałe poczucie zagubienia i niemożność wyjścia poza własny zaklęty krąg ku codzienności, którą zresztą też kreuje, nie odróżniając w końcu życia od fikcji. Tej selekcji dokonuje za niego żona. Że też wcześniej na to nie wpadłam. Tak mnie zabajerować! Prawie uwierzyłam, że lituje się nad nią. Podczas gdy wcale nie jest z nią z litości. Jest mu potrzebna właśnie taka, konkretna. Gerard nie zda się na mnie, bo jestem zbyt do niego podobna. Jestem jak bluszcz, mogę owinać się tylko wokół kogoś silniejszego. Niestety on nie czuje się na siłach być niczyją podporą. Sam jej potrzebuje. To nie brak miłości oddala go ode mnie. Tylko lęk przed podjęciem decyzji, która mogłaby okazać się dla niego zgubna. Gerard potrafi żyć w wymagowanym świecie swojej sztuki, ale w życiu prawdziwym potrzebuje opieki. Jest w gruncie rzeczy małym chłopcem. To podobno reguła, że geniusze są jak dzieci. Gerard ma zadatki na geniusza. Wiążąc się ze mną, nie stałby się moim mężczyzną, tylko kolejnym dzieckiem. A obserwując, z jakim trudem borykam się z wychowaniem Oli, pewnie nie chce dokładać mi nowych obowiązków i zgrzyot, skoro nawet w uporaniu się z dotychczasowymi nie poradził sobie ani nie był w stanie pomóc mnie.

Morze szumiało, szum rozlegał się echem w mojej głowie, zagłuszał niewesołe refleksje. Wzdłuż brzegu ciągnęły się sterty wyrzuconych przez wodę na brzeg morszczyków, gałęzi i kamieni. Gdzieniedzie pobłyskiwał złoto kawałeczek bursztynu. Pusta plaża dopełniała w intymny sposób moją pustkę. Zwiewane wiatrem słone krople obryzgiwały mi twarz, zdawało się, że płaczę wraz z morzem. Na jedną nutę. Nie miałam pojęcia, co robić. Radość, łzy, domysły, żadnych pewników. Wszystko się poplątało, nadzieja ze smutkiem splotły się mocno, niczym warkocz Bereniki, który świecił nade mną z kosmicznych otchłani. Gdyby tak można było poznać swój los, lub choćby przeczuć! O ileż łatwiej byłoby pogodzić się z taką czy inną decyzją. Niewiadome powoduje zbyt wielką udrękę,

niemożność postanowień i dźwigania konsekwencji złych wyborów, oraz rozpacz w przypadku przegranej. Jak żyć, nie wiedząc, gdzie orzeł, gdzie reszka? Stawiając wszystko ciągle na jedną szalę, na ślepo? Błądząc, wygrywając lub przegrywając? Życie to największy z hazardów. .. My – hazardziści, nie mamy jednak żadnej możliwości wyboru, jak tylko w nim uczestniczyć. Do końca. To właśnie miał Gerard na myśli. Życie to film, w którym, chcemy czy nie, musimy grać. Główną rolę, bez względu na talent.

*

Ze środka łąki wystrzelił ku niemu promień rozszczepiony na tysiąc barw, trafiając go prosto w oczy. Jan zdumiał się, zatrzymał oslepiiony na ćwierć sekundy. Idący za nim natychmiast pozrzcucali bagaże i gwarnie rozsiedli się jak popadło, sądząc, że wyznaczył postój. Nie śmiał wyprowadzać ich z błędu. Bo co mianowicie miał im wyjaśnić? Że coś przykuło jego uwagę? A raczej coś sprowokowało ją przypadkiem? Nachylił się nad kwiatem koniczyny, który tak nieopatrznie wstrzymał ich wędrówkę. Cała łąka takiej koniczyny chwiała się, poruszana ledwie wiewem, ten jeden zaś kwiat trwał, zatrzymawszy w sobie, między okalającymi go liśćmi, cenny skarb, kroplę rosy lub niedawnego deszczu. Dotknął przezroczystej kropli, osunęła mu się na palec, migocząc jeszcze przez chwilę, potem rozpląnęła się, zwilżając skórę jak łza. Zdziwienie nie ustępowało. Jan, nie do końca pewien co go tak poruszyło, odczuł pewne wzruszenie. Jakby w tej kropli zawierał się cały świat. A on był wobec niej wszechświatem. Poczł swoją wielkość. W jednoczesnym przekonaniu, że to, co ona zawiera w sobie, jest równie niepojęte jak wszystko, co go otacza, którego ogromu i kresu on tak samo nie może pojąć, jak nieskończoności jej małości.

Pamięta dobrze, co odczuł, gdy próbował zgłębiać po trosze każdą z nauk, i co

ostatecznie go do tego zniechęciło. Było to przerażenie w obliczu nieskończoności wiedzy. Cokolwiek się dowiedział, wymagało dalszego uściślenia, uzupełnienia. Jednocześnie ogarniała go złość z powodu niemożności skutecznego definiowania czegokolwiek. Wciąż potrzebne były nowe definicje, a i one wymykały się ścisłości.

Ciało, trochę materii. W zadziwiający sposób połączonej z duchem. To było dla niego najbardziej niepojęte. Jego wyobraźnia gubiła się w tym. Nie był w stanie ogarnąć tego, co na początku wydawało mu się takie oczywiste. Że nasze ciało – nicłość w stosunku do kosmosu – jest wszystkim wobec nicości. Czytał, studiował. I czego się dowiedział? Że ten niewiarygodny paradoks nie sposób wytłumaczyć. Bo od poznania każdej z tych ostateczności jesteśmy równie nieskończenie oddaleni. Usytuowani gdzieś pośrodku, nie potrafimy wyobrazić sobie ani pojąć żadnej z nich. Wszechświat jest skończony, a jednocześnie nieskończony... Co to dla nas oznacza? Życie. Najprostsze i najbardziej powszechne zjawisko na ziemi pozostaje wciąż tajemnicą. Tak jak nieśmiertelność... Czym właściwie jest? Mówimy, tu jest punkt, a tu prosta, ale z czego się składają? Nie są przecież niepodzielne na jeszcze mniejsze składowe. W ten sposób zbliżając się do granicy nieistnienia, wciąż jeszcze mogą być czymś mniejszym od siebie samych... Wydaje nam się, że wszystko możemy wyrazić myślą czy słowami. Ale tak nie jest. To co nas otacza, to ocean bez dna. Ogarniamy tylko jego część. Tymczasem ludzie dręczeni ciekawością wciąż szukają. Jak gdyby było możliwe całkowite poznanie czegokolwiek, chociażby drugiego człowieka. Czym byliśmy, i czym będziemy, jest przed nami zakryte. Możliwości ciała i rozumu są ograniczone. Zmysły zawodzą. Intuicja wiezie na manowce. Nic nie jest jednoznaczne, pewne i stałe. Za czymkolwiek podążamy, oddala się od nas. Ulegamy pozorom, gubimy w domysłach. Dziwi nas kończący się dzień, potem mijająca noc. To, że nastają następne. Trwamy w swoim czasie, w którym nas uwięziono. Jesteśmy tylko

częścią czegoś. Niestety, jako część nie możemy poznać całości, żadna część nie jest do tego zdolna. Bardzo nam trudno przyjąć to do wiadomości, pogodzić się z własną niemożnością. Podejrzewamy, że wszystko ma swoją przyczynę i swój cel. Ale ich także nie jesteśmy w stanie pojąć. W porównaniu do wieczności, zajmujemy przecież tak małą przestrzeń. Jaki ma to sens? Czy to przypadek? Prawa statystyki, które więcej gmatwają, niż tłumaczą. Do czego zmierzamy? Czemu właśnie teraz, właśnie tu, właśnie na ten palec upadła właśnie ta, nie inna kropla rosy? Dlaczego ktoś zastanawia się nad tym? I skąd ten paniczny lęk? Co właściwie najbardziej w tym wszystkim przeraża? Cisza... Samotność naprzeciwno kosmicznej pustki. Same pytania. I żadnych odpowiedzi.

* * *

– Zmęczyłam się. Mówię i mówię. Nie dopuszczam cię do głosu...

– Słucham. Staram się nadążyć za twoją myślą, Soniu.

– Wydawało mi się, że wiem, czego chcę, do czego dążę. Cel wydawał mi się oczywisty, bycie z Gerardem. Ale historie rzadko zmierzają do założonego celu. Ten, kto w to wierzy, jest bezsilny i głupi. Plany... jakie to lekkomyślne. Życie, ta bezmyślna maszyna, zmiążdży je wszystkie. Przyznam, że to smutna konkluzja z mojego życia...

Zamyśliła się? Jaka szkoda – pomyślał – że jej twarz tonie w tym okropnym mroku... ".

– Błędem, Soniu, jest gonienie za czymś takim jak szczęście. Przecież to bzdura. Wystarczy się dobrze zastanowić, a choćby rozejrzeć. Wszystko opowiada się przeciw temu.

– Podobno nie ma początku czasu. Ale przecież w którymś momencie przeszłość przechodzi w przyszłość. Może naprawdę początkiem była ucieczka od

siebie dwóch zetkniętych cząstek.

– To znaczy, że ich tory przecięły się, jak twoja linia życia z linią Gerarda.

Zastanowiła się przez moment:

– Miłość? Mówisz o miłości? Kto wie, czym jest...

– Nie chciałbym tylko, abyś przestała w nią wierzyć. To nadzwyczajna siła. Nie znam jej, ale bardzo ci zazdroszczę. Pomimo wszystko, dźwigając taki ciężar, wciąż dajesz sobie radę.

Musiała wyczuć szczerłość w jego głosie, bo zaoponowała.

– Dobrze wiesz, że tak nie jest. O mało nie zginęłam. Ona niszczy.

– Stwarza, Soniu. Zaczęłaś pisać. Określiłaś się. Dojrzałaś. To mało? Gdybyś mogła posłuchać swoich własnych opowieści! Tak jak ja słuchałem ich przez całą noc!

– Gadanie, gadanie... – zaprzeczyła, ale bez niechęci.

– Nawet tego bólu ci zazdroszczę – kontynuował. – Moje życie jest jałowe. Pozbawione upadków i bez wzlotów. Ale tak chciałem. Tak sobie założyłem. Zaprogramowałem nieograniczoną wolność. Być, sam ze sobą. Bezpieczeństwo, żadnych zależności, obowiązków, dążeń. Myślałem, że żyję jak ptak, że każda strona świata jest dla mnie otwarta, że mogę kroczyć przed siebie w dowolnym kierunku, gdzie zechcę, bez jakichkolwiek ograniczeń. Milczysz? Masz rację. Ocknąłem się w środku więzienia. Nie wiem, kim jestem, do czego zmierzam. Czego szukam, o co mi właściwie chodzi. Oprócz nienawiści do ludzi, do wszystkiego. Pogubiłem się. Osaczyłem. Latami budowałem mur, który mnie teraz otacza. Co z tego, że walę w niego głową? Mogę sobie wyc do woli. To moja jedyna wolność. Tylko to mi pozostało.

– Nie mów tak. Nawet jeśli czujesz się skrzywdzony, każdy mur można skruszyć.

– Chyba bombą. Dynamit nie wystarczy.

Zaśmiał się, ale nie było mu do śmiechu.

– Jest coś znacznie skuteczniejszego. Zwykły deszcz. Kropla po kropli. Zapewniam cię, wszystko pęka, jeżeli bardzo się chce – usłyszał jej szept.

– Ty mi to mówisz, Soniu? To ja przez całą noc usiłuję cię o tym przekonać.

– Moja sytuacja jest skomplikowana. Gerard też nie jest wolny. Z tym, że on akceptuje swoje więzienie. Chce być w tej klatce. Kiedy poznałam Gerarda, był pewien, że nie kocha żony, że nic go z nią nie łączy. Ale to nie była prawda. Nie potrafi z niej zrezygnować. Pytanie więc brzmi, czy mam prawo rozbijać rodzinę, która funkcjonuje?

– I to, jak mówisz, funkcjonuje wcale nieźle.

– Sądzisz, że tamten układ jest dla niego lepszy? A... miłość? Czy tak jest zawsze, najpierw niebo, potem piekło? Może to mi się należało...

– Nie mów tak. Nie zasługujesz na piekło. Nikt na to nie zasługuje, chyba że sam tego chce, jak ja – zasępił się na chwilę, zanim dokończył myśl. – Zresztą możliwe, że dla Gerarda tak naprawdę najważniejsza jest sztuka. A raczej była, do czasu problemów z córką. Wtedy poczucie winy skłoniło go do przewartościowania i postawił rodzinę na pierwszym miejscu. Ale jestem pewien, że w głębi duszy pozostał tym, kim jest naprawdę. To znaczy artystą. I gdy wszystko wróci do normy, przypomni sobie o tym. A wtedy pewnie znów zwróci się do ciebie. Bo będzie potrzebował podniety do swoich fantazji. Co wtedy zrobisz? Przyjmiesz go z powrotem?

*

Dobili wreszcie do Liswarty. Tu zatrzymali się na nocleg, przy samym lesie. Budniokowie rozbili namiot, reszta miała nocować po prostu w śpiworach, na karimatach. Rozpalili ognisko nad rzeką. Płynęła leniwie, powolna i piękna

zarazem, jak uległa kobieta. Błyszczała kobiecymi oczami gwiazd, które zmysłowo odbijały się w jej nurcie. Ognisko płonęło, sycili się jego ciepłem, rozgrzewało krew i wyobraźnię. Piekli kielbaski, rozkoszując się ich łaskoczącym nozdrza aromatem. Zrobiło się swojsko, prawie rodzinnie i wesoło. Albin przewidująco wyciągnął ze swego przepastnego plecaka chleb i musztardę, częstowali się rozochoceni.

Sonia, jak zwykle milcząca, rozplotła na boku warkocz i czesała włosy długimi miękkiymi ruchami. Ksiądz wpatrywał się w jej hipnotyzujące dłonie z niepokojem. Dotykała rozpuszczonych włosów w taki sposób, że aż przechodziły go ciarki. Włosy miała gęste, właściwie proste, falowały lekko tylko przy skroniach, odbijały płomień ognia srebrno i złoto, połyskiwały. Pomyślał, że łatwo wzbudza pożądanie w mężczyznach. „Zbyt łatwo – dodał w duchu, zniechęcony. – Prowokuje, czy robi to bezwiednie? Nie ma to w zasadzie znaczenia, efekt jest przecież ten sam. Powinno się zabronić kobietom czesania włosów przy mężczyznach. Szczególnie przy obcych”. Zły, miał ochotę ofuknąć ją, ale jakoś nie śmiał tak, przy wszystkich, mącić uroku tego wieczoru. Zresztą patrzył na nią tylko Wydra. I to ukradkiem. Jan nie wątpił, że te jarzące się ślepia Wydry są wynikiem spoglądania na nieświadomą niczego, lub świetnie to udającą, dziewczynę. Zostawiła warkocz rozpleciony, jakby umyślnie chciała zwrócić na siebie uwagę, albo po prostu znów się tak głęboko zamyśliła, jak to miała w zwyczaju. Zamarła z uniesioną ręką, potem włosy osunęły się jej na twarz, zakrywając ją całą, miał wrażenie, że Sonia płacze, jednocześnie był pewien, że to nie łzy lśnią teraz w jej oczach, tylko jeden z jej nieuchwytnych uśmiechów. Potrafiła tak czasem uśmiechać się sama do siebie, jakby przyfruwały do niej na zawołanie jakieś szczególne wspomnienia. Coraz bardziej przykuwała uwagę i zamierzał w końcu jej to uzmysłwić. Zanim jednak zrobił cokolwiek, podniosła się, odrzuciwszy włosy z twarzy i dziwnie lekkim, rzekłby, że nienaturalnie tanecznym krokiem, ruszyła w stronę lasu. Chciała być

sama? Dlaczego? Jakie skojarzenia mogły jej przynieść wody Liswarty? Przykre? Czy przeciwnie, tak promienne, że postanowiła być tylko z własnymi myślami, sam na sam?

– Soniu – zatrzymał ją, gdy go mijała. Podniósł się od ognia i spojrzał prosto w jej wąskie jak dwa półksiężycy oczy. – Chcesz porozmawiać?

– O czym? – odsunęła się, jakby ognisko parzyło ją.

– Przecież widzę, że coś cię gnębi. Nie chcesz się wypowiedzieć?

– Mam romans z żonatym mężczyzną – powiedziała tak cicho, że jej słowa dosłyszał tylko on. – I wcale tego nie żałuję – dodała.

Ruszyła przed siebie, zostawiając go osłupiałego za sobą. Dogonił ją szybko.

– Nie wolno ci tak mówić. Nikomu nie wolno – prawie wydyszał przerażony. – Zniszczysz mu życie! Nie czujesz się winna?

– Jakoś nie – przerwała mu.

– Miałem cię za wzór czystości! – przyznał nieoczekiwanie. – Przykro mi, że się omyliłem.

– A ja żałuję, że nie mogę z nim być – zakończyła rozmowę i ruszyła szybko przed siebie, nie oglądając się za nim.

Stał w miejscu, z przykrym uczuciem zwątpienia. Podejrzewał przecież, że usłyszy od niej coś takiego, ale mimo to miał nadzieję, że jednak nie. Jej ton, oschłość, z jaką go potraktowała i sposób tego wyznania, wstrząsnęły nim. Pomyślał, że powinien pomodlić się, aby odzyskać utracony spokój, gdy zobaczył, że Wydra także ruszył do lasu, w kierunku, w którym zmierzała Sonia. „Spodobała mu się” – stwierdził w duchu z niechęcią. Zagłębił się w modlitwie.

Tymczasem Sonia szła wolno przed siebie, rękami przytrzymując rozplecione włosy, które zaczepiały się o gałęzie. Nie miała pewności, dokąd zmierza, ale nie myślała o tym, że może zabłądzić. Wciąż czuła w nozdrzach woń dymu z ogniska, więc raczej nie odeszła zbyt daleko. Nagle naprzeciw siebie zobaczyła Wydrę. Stał

i patrzył na nią. Oczy świeciły mu jak u wilka. Z pewnością nie miał dobrych zamiarów. Zadarła z nim, dobrze pamięta, jak upokorzyła go przy wszystkich. Teraz najwyraźniej zamierzał się odegrać. Przestraszona zawróciła nagle. Zamierzała uciec, straciła jednak orientację, słysząc, że ruszył za nią. Biegła, nie do końca pewna, czy we właściwym kierunku, czy przypadkiem nie oddala się coraz bardziej od bezpiecznego ogniska. To wtedy straciła równowagę. Noga, nie zatrzymawszy się na żadnej podporze, osunęła się w dół. Upadając w krzaki jeżyn, potargana, Sonia sturlała się w głęboki jar. Wydra zbiegł po urwisku i zatrzymał się tuż nad nią. Leżała, a on przyglądał jej się w milczeniu, jakby upajał go jej paniczny strach. Nie miała już szans na ucieczkę, poobijana, z bolącym od stłuczeń ciałem. Kopnął ją lekko nogą, jakby do czegoś przynaglał. Rozplakała się, a wtedy wpadł we wściekłość.

– Nie podobam ci się? – nachylił się nad nią i chwycił ją za gardło. Nie broniła się, wciąż tylko chlipała rozpaczliwie. Leżała w wysokich paprociach, pachnących miękko, zasłaniały jej twarz. Miał ochotę patrzeć na nią bez końca. Tylko patrzeć... Ale była taka wyniosła, wśród powodzi tej dzikiej zieleni... Nie bardziej dzikiej niż on sam.. . Wtedy szarpnął jej sukienkę. „W sukience, na pielgrzymce?” – przemknęło mu jeszcze przez myśl, potem już nie myślał nic. Zwalił się na nią, przytrzymując bijące go ręce i wyrywające się nogi. Więc jednak próbowała się bronić. To go rozjuszyło. Wzmogło siłę i chęć rozładowania. Dyszał ciężko, pod czaszką jazgotała mu rozszalała krew. Trzymając Sonię jedną ręką, rozsunął nogą jej uda i usiłował wejść w nią, aż wytrzeszczyła oczy i rzuciła całym ciałem w bok. Próbował znowu, ale przychodziło mu to z trudem. Musiało ją boleć, bo przestała się rzucać. Leżała bezwolna, z wybałuszonymi oczami, z których powoli spływały cienkie strumyki łez. Nie ruszała się wcale. A jego nagle ogarnęła złość, bo poczuł, jak coraz wyraźniej ogarnia go niemoc.

– Ruszże się! Bij! Wal! Podoba ci się czy co? – wycharczał, a raczej wystękał,

próbując z trudem podjudzić ją do walki. Jej opór podnieciłby go na nowo, brak reakcji odstręczał. Leżała nadal bez ruchu, jak pęknięta gumowa lalka, z której uszło powietrze. Wycofał się. Zaklął i uderzył ją w twarz. Zakryła się rękami, ale leżała nadal jak kukła, nie próbując bronić się ani uciekać. Był bardziej zaskoczony niż zły.

– Co jest? – wrzasnął wreszcie. – Zwariowałaś? Spływaj, pókim dobry!

Podniosła się z trudem i chwiejąc, zaczęła wspinać się po zboczu. Chwytała rękami gałęzie krzaków i drzew. W górze dostrzegła stojącą w cieniu postać i zamarła na moment z przerażenia. Wydra dostrzegł to i ruszył za nią. Wystarczyło parę kroków, aby stanął naprzeciwko tego, kto ich obserwował z ukrycia. Był to Jan.

– Ksiądz tu? – Wydra podparł się pod boki i na rozkraczonych nogach stanął naprzeciw niego.

Sonia nie czekała na dalszy rozwój wypadków, zataczając się, uciekła. Wydra obszedł dookoła przyłapanego księdza.

– I co? Długo tak tu ksiądz stoi? Naoglądał się ksiądz wystarczająco? – Wydra drwił, ale coś niebezpiecznego czaiło się w jego głosie.

Jan milczał, błogosławiąc w duchu ciemność, która skrywała jego purpurowe ze strachu i wstydu policzki.

– To zabawne. Nie pomógł ksiądz dziewczynie... To tak, jakbyśmy brali ją we dwóch! Sprawilo to księdzu przyjemność? Bo mnie nie. Nie dałem rady. A ksiądz? Co ksiądz tu robił? Sam ze sobą?

Jan nie był w stanie niczego wytłumaczyć. Mógł powiedzieć, że przyszedł przed chwilą. Ale nawet nie próbował. I tak nie wydobyłby ani słowa ze ściśniętej krtani. Wydra wyciągnął z kieszeni nóż sprężynowy i otworzył go. Nagie ostrze odbiło zimny odblask księżyca. „Śmierć” – pomyślał Jan. Wlokła się za nim od Aliny. Zapomniał o niej, jakby nigdy nie miała go dotyczyć, jakby dotyczyła tylko

innych. Teraz objawiła mu się w całej swojej pełni. Wydra powoli zbliżał się do Jana, świadka tego, co zaszło, świadka jego niemocy. Jan był jednocześnie czymś więcej. Obserwując zajście, przyzwalając na przemoc, stał się ich katem. Jednocześnie ofiarą, własnego sumienia i własnego tchórzostwa. Jaka kara należała mu się za to? Jaka byłaby adekwatna do tak olbrzymiej winy? Wydra przystawił nóż do brzucha księdza. Lecz ten ani drgnął. Nie patrzył na Wydrę, tylko na nóż, błyszczący przy jego pępku.

– No? Na co czekasz? – wrzasnął Wydra. – Broń się! Jej bronić nie umiałeś, ale może potrafisz obronić sam siebie?

Jan zgiął się wpół i osunął na kolana, jakby błagał o litość, a może o ratunek. Nogi tak mu osłabły, że nie mógł ustać. Modlił się o szloch. Rozpaczliwie pragnął płaczu, jak niczego na świecie. Łez, które tak łatwo potoczyły się z oczu Soni. Ale trwał skurczony, z piekącymi spojówkami, jakby nasypiano mu pod powieki palącego piasku.

– Ty maminsynku! – Wydra chwycił go za włosy, potem odrzucił od siebie jak worek zgniłego mięsa. – Nie jesteś wart, żeby plunąć na ciebie!

Zamknął nóż, schował do kieszeni, po czym ruszył w kierunku obozowiska, dopinając po drodze spodnie. Jan pozostał na swoim miejscu. Na swoim punkcie obserwacyjnym, z którego oglądał hańbę Soni, a które zamieniło się w miejsce jego hańby. Dlaczego nie odważył się bronić dziewczyny? Nie mógł tego pojąć w żaden sposób ani tym bardziej wytłumaczyć. Jakby paraliżował go potworny lęk, jakaś odrętwiająca niemożność uczynienia czegokolwiek, żadnego gestu. Sam przeciwko Wydrze? To okazało się ponad jego siły. Doskonale pamiętał nóż Wydry. Lśniące ostrze, którym Wydra obierał kiedyś ze skóry jabłko dla Kasi. Teraz lśniły tak samo krople potu na czole Jana. Czy to tego noża Jan tak się przestraszył, że obronił własną skórę kosztem Soni? Zobaczył ich przypadkiem. Próbował od razu uciec, ale jedno skrzypnięcie pod jego butami od razu zwróciłoby uwagę Wydry. A

Jan bał się tej konfrontacji. Nie przypuszczał, że może dojść do gwałtu. Sądził, że Wydra chce tylko dać nauczkę zarozumiałej dziewczynie i na tym się skończy. A potem było za późno na interwencję, bo jakże miał wytłumaczyć, że pojawia się dopiero wtedy? Skoro widział wszystko od początku? Musiałby skłamać, że nadszedł dopiero w tym momencie... Skulił się, jakby nóż Wydry naprawdę utkwiał w jego wnętrznościach. Wszystko stało się tak szybko. Zbyt szybko. Nie zdołał nawet zastanowić się, co począć, gdy było za późno na cokolwiek. Teraz jest sam ze swoim wstydem, z własną niemocą. I z tym nie będzie mu się łatwo uporać. Jak teraz będzie rozmawiać z Wydrą? Jak ma spojrzeć w oczy Soni? Jak wytłumaczyć ludziom, co się stało i czemu on wołał udać, że nie jest świadkiem niczego, tylko że go przyłapano? Niepotrzebnie szedł za nimi do lasu. Przecież idąc tam, podejrzewał, że może do czegoś dojść. W tym sensie się nie omylił. Pomylił się tylko co do siebie samego. Okazał się słabszy, niż przypuszczał. Stchórzył. To była jego wina. Już raz tak się stało, nie obronił Aliny przed nią samą. Teraz nie pomógł Soni przeciwko Wydrze. Gardził sobą tak bardzo, że nie miał odwagi wrócić do obozowiska. Podniósł się z klęczek jak pijany. Słyszał, że wciąż śpiewali. Ich głosy niosły się aż tu czystym echem. Czuł się mały i podły. Gorszy od Wydry, którym śmiał kiedyś pogardzać. Teraz miał dość siebie. To był najgorszy dzień w jego życiu i kompletnie nie mieściło mu się w głowie, jak mogło do tego dojść.

*

Sonia wychodząc z lasu, zwolniła. Zasłaniając potarganymi włosami twarz, usiadła w głębokim cieniu. Korzystając z ciemności, doprowadziła drżącymi rękami włosy do porządku, obciągnęła sukienkę. Leokadia podała jej kubek z gorącą herbatą, zauważyła przy tym rozbitą wargę Soni. Chciała zapytać, co się stało, ale Sonia odwróciła głowę pospiesznie. Pytanie zamarło na ustach Leokadii,

jakoś nie śmiała wtrącać się w nie swoje sprawy. Sonia piła wrzątek małymi łykami i wciąż czuła, jak wszystko w niej w środku płacze.

Po chwili z leśnej gęstwiny wynurzył się Wydra. Musiał mieć dziwny wyraz twarzy, bo na chwilę śpiew ucichł.

– No? – warknął, siadając przy ogniu jak gdyby nigdy nic. – Coś nie tak? Ma ktoś coś do mnie?

Leokadia bez słowa podała mu kubek z herbatą. Wziął i siorbnął z nieukrywaną przyjemnością. Wrócili do śpiewu.

Dopiero gdy gasili ognisko i zaczęli układać się do snu, wrócił Jan. Rozłożył swój śpiwór i nie patrząc na nikogo, milczący, udawał, że prawie zasypia ze zmęczenia. Nie był w stanie rozmawiać z nikim. Panował spokój, a to znaczyło, że Sonia nie powiedziała o zajściu. Nie poskarżyła się na niego, nie oskarżyła Wydry, nie telefonowała na policję. Czyżby bała się? Może zrobi to rano? Co wtedy będzie z pielgrzymką? Zabiorą Jana na przesłuchanie jako świadka, Wydrę pewnie zatrzymają, grupa się rozpierzchnie. Nie wiadomo, czy ktokolwiek jeszcze będzie chciał iść dalej. Wydawało mu się, że cały świat wali mu się na głowę. Gazety natychmiast zwietrzą sensację, brukowce będą miały się o czym rozpisywać, zła opinia powlecze się za nim aż do kurii, a co sobie pomyślą jego parafianie z Turawy? Jan zostanie pewnie skazany na banicję. Dopiero teraz naprawdę zaczął się bać, bo zdał sobie sprawę z powagi sytuacji i z konsekwencji własnego czynu. Ale wiedział też i to bolało go najbardziej, że gdyby po raz drugi znalazł się tam, na tym samym miejscu, pewnie znowu nie odważyłby się na żaden ruch. Tylko po prostu nie poszedłby wtedy do lasu... A co teraz powinien zrobić? Powiedzieć głośno o tym, co się stało? Potępić publicznie Wydrę, a przede wszystkim siebie? A jeśli Sonia sobie tego nie życzy? Żeby wszyscy się o tym dowiedzieli? Może najpierw zapytać ją o zgodę? A jeżeli nie będzie tego chciała? Kobiety często nie zgłaszają gwałtów na policję, z wielu powodów. Czy Jan ma moralne prawo zrobić

to wbrew jej woli? Zniszczyć przy tym swoją pielgrzymkę i siebie? Swoją przyszłość? Miał po cichu nadzieję, że Sonia będzie milczeć, i w głębi serca pocieszał się tą myślą. Ale wiedział przy tym, że taka sytuacja będzie dla niego jeszcze trudniejsza. Przede wszystkim ze względu na Sonię. Patrzył na setki gwiazd migoczących nad nim, jakoś nie miał teraz ochoty na kontemplację. Nawet modlić się w tej chwili nie potrafił. Czuł nudności, jakby pieczona na ognisku kiełbasa stanęła mu na żołądku. Zapraagnął nagle znów być dzieckiem, zacząć wszystko od początku, jeszcze raz. Mieć przed sobą świat i nieograniczony wybór. Poznać na nowo Alinę i zastanowić się, czy Bóg zsyłając mu ją, nie oczekiwał od niego zupełnie innej decyzji, niż ta, którą podjął. Może to, co dzieje się z nim teraz, jest karą za to, że odtrącił wtedy swoją szansę? Bo być może była to jego szansa, wielki dar od Boga, a nie pokusa? Z której zwalczania był taki dumny... Może zamiast walczyć z uczuciem, powinien był je chronić?

Nauczono go, że Bóg jest miłością, że wszelka miłość pochodzi wyłącznie od Niego. Udziela nam jej, jak siebie w Komunii. Jest łaską. A on tego nie przyjął. Czy to jego największa wina? Że stchórzył? Tak jak teraz, gdy zastanawiał się, czy położyć na jednej szali odpowiedzialność za doprowadzenie pielgrzymki do końca, a na drugiej godność Soni? Czy znów wybrał źle? Okazuje się, że nie zna sam siebie, że nic tak naprawdę o sobie nie wie. Człowiek sprawdza się dopiero w konsekwencjach własnych decyzji, u niego okazały się błędne... Jeśli jednak jest tak bardzo omylny, jak może odpowiadać za innych? Gęsty mrok zaczął wkradać mu się do obolałego serca. Co będzie dalej? Drżał tak, że aż szczękały mu zęby „Boże, czemuś mnie opuścił?” – jęknął upokorzony, wpatrzony w nie kończącą się, milczącą wciąż uporczywie gwiazdną dal. – „Dlaczego? Dlaczego?” – tłukło mu się po głowie gorączkowo. Ale nie wiedział, o co pyta...

Dzień szósty

Jan z trudem otworzył oczy. Złe spał tej nocy. Nie pamiętał, co mu się śniło, ale nie było to nic przyjemnego. Miał wrażenie, że ta pielgrzymka trwa nie parę dni, lecz parę lat. Ludzie zbierali się powoli ze snu, nie ponaglani przez niego. Najchętniej obróciłby się na drugi bok. Drzewa sypały liśćmi, jakby z nieba spadał deszcz złotych monet. Migotały w chłodnym, porannym słońcu. Zwykle cieszył go taki rześki poranek, liście chrzęszczące sucho pod nogami, delikatny drzeworyt lasu. Ogarnął go żal, że jeden wieczór zniszczył całą jego radość, zmącił piękny, wczesnojesienny nastrój. Powłókł się do rzeki i przyglądał ze smutkiem swojej twarzy, odbitej w wodzie. Ze zdziwieniem dostrzegł ziemistą cerę i obwisłe wory pod oczami. Nie mógł uwierzyć, że to ta sama rumiana twarz, której przyglądał się w lustrze parę dni temu, wyruszając na pielgrzymkę. W wodzie przemykały gromady małych, ciemnych rybek, jakby nie mogły zdecydować się, w którą stronę zamierzają płynąć. Rozchodziły się od nich cykliczne kręgi po wodzie, coraz dalej, słabiej, by zniknąć wreszcie w gęstych, brązowiejących już szuwarach. Bolący pęcherz na pięcie uwierał go dotkliwie. Jan tak bardzo chciał czuć się szczęśliwy. Patrzył w słońce, prawie nie mrużąc oczu. Upajało zimnym blaskiem, chętnie przyłożyłby go do policzka, jak poduszkę. Usłyszał wołanie i zawrócił z wysiłkiem do obozu. Pili herbatę i posilali się w skupieniu, może udzieliło im się od niego. Liście wciąż spadały za lada podmuchem, ciężkie sosny rysowały się ostro na tle jaskrawego nieba. Nie miał wątpliwości, że trwało jeszcze lato, ziemia parowała, oddychając z trudem, ale już ciążyła ku jesieni. Trawy wyraźnie opadły, ich dawna, soczysta zieleń zszarzała, zamieniając je we własne, kruche wspomnienia. Jakże bardzo pragnął, aby tak zbladły wydarzenia wczorajszego dnia, żeby mógł je nazwać z ulgą już tylko wspomnieniem. Usiadł przy ludziach, utkwivszy wzrok w

podanej kromce chleba. Posiłał się bez apetytu. On, który zwykle zjadał więcej, niż na niego przypadało, co zaczynał nawet odczuwać w pasie... Mocno pachniała macierzanka... Był dziwnie odurzony. Przed oczami przelatowały mu jasne plamki, jakby słońce iskrzące się na falach docierało aż tu, pod jego zmęczone powieki. Czuł, jak puchły coraz mocniej i zaczęło go to nawet krępować.

Sonia siedziała, jak zwykle milcząc, wydała mu się jednak bardziej osowiała niż przedtem, miała bladą twarz, co skonstatował z przykrością. Nie patrzyła na Jana. Na nikogo nie patrzyła, ale byli przyzwyczajeni do takiego jej zachowania, nie zauważył, by ktokolwiek zwrócił na to uwagę. Nie wydawała się szczególnie inna, jej milczenie nie różniło się pozornie od jej milczenia wczorajszego czy przedwczorajszego. Jan miał teraz jednak bystrzejszy wzrok niż wtedy. Wyostrzony niepokojem. Zauważył, jak bardzo jest nieporuszona. Przestraszyła go jej powolność w ruchach, granicząca z apatią. „Stąd krok do depresji” – pomyślał ze ściśniętym sercem. Do tej pory nie uważał jej za osobę godną politowania. Teraz wydała mu się jednym wielkim wołaniem o litość. Żebraniem. Wzdrygnął się, jakby ugryzł go giez. Roztarł ręce, chcąc odpędzić zmorę. Ukradkiem zerknął na Wydrę. Ten również milczał. Zwykle skłonny do drwin i zaczepek, nagle zaniemówił. Twarz wyostrzyła mu się, jakby wciąż tkwił w nim nie rozładowany gniew, który nie znalazł, a domagał się, ujścia.

Ruszyli z opóźnieniem, wciąż nie przynaglani. Nieoceniona Jadwiga zajęła się modlitwą. Odmawiała głośno różaniec, towarzyszyli jej nieco już machinalnie, ale nie robiło to na niej większego wrażenia. Na okolicznych polach widać było chłopów, którzy zaorywali pola. Rzeka niosła na grzbiecie liście, które zawędrowały ku niej niczym latawce. Jan kochał rzeki, pola, sterty zeschniętych liści. Uczucie cofania się czasu nie minęło. Ale tym dotkliwiej odczuwał swój obecny stan zawieszenia, w dziwnej próżni, jaka od wczoraj się w nim wytworzyła. To, czego chciał, czego pragnął, nie miało już znaczenia. Kim został, za kogo

zamierzał uchodzić, również. Liczył się tylko ten jeden postępek, który naznaczył go swoim piętnem. Miał wrażenie, że wypalono mu na czole rozżarzonym żelazem znak przynależności do grupy wyrzuconych poza nawias. Wydra także należał do grupy wyrzutków. Mogli podać sobie rękę. Łączyło ich teraz braterstwo, nie tyle krwi, ile występku: Jan nie podejrzewał, że kiedykolwiek zbrata się z takim człowiekiem, że będzie się czuł tak poniżony. I to przez samego siebie. Sumienie wciąż ciążyło mu, nie potrafił sobie z nim poradzić. Było jak skała, którą musiał dźwigać niczym Syzyf. Sonia znów w spodniach, z ułożonym gładko na plecach warkoczem, zdawała się przebywać, jak to ona, w innej rzeczywistości. Pomyślał, że gdyby nie zirytowała go wczorajszym, prawie aroganckim wyznaniem, być może skwapliwiej starałby się wtedy o pomoc dla niej. Że jego grzech zaniechania mógł mieć ten właśnie, ukryty powód. Zadręczał się roztrząsaniem swojej winy i przyczyn nieszczęsnego zdarzenia, lecz nie odczuł ani odrobiny ulgi. Jadwiga z Leokadią brnęły przez kolejne litanie, które odmawiały coraz bardziej gorliwie, w miarę jak zbliżali się do celu. Ale i to go nie cieszyło. Przed sobą widział bowiem nieustannie pochylone nad wózkiem Gabrysia plecy Wydry, poruszające się rytmicznie. Szedł tak równym krokiem, i nie mógł opędzić się od napływającego wciąż widoku tych pleców i rytmicznych ruchów nad zakleszczoną w ucisku, bezwładną Sonią. To było jak rak, który toczył duszę Jana. Milczący Wydra, który stracił ochotę na docinki i prowokacje, znacznie bardziej go przerażał. Jan nie miał już wątpliwości, do czego ten człowiek był zdolny, i nie mógł pojąć, że sam pragnął jego powrotu.

Znów weszli między rzadkie zabudowania. Przy sklepie GS-u walały się śmieci. Na schodkach siedzieli tutejsi pijaczkowie. Pozdrowili idących otwartymi butelkami piwa, nie ruszając się nawet z miejsca. Porozpinali koszule, nogi powyciągali z buciorów, boscie stopy dyndały im w powietrzu, ponad wysokim, poszczerbionym progiem. Jeden z nich wypił łyk i odkaslnął. Wytarł rękawem

usta i zapatrzył się w nich tępo. Jan poczuł taką suchość w przetyku, tak palące pragnienie, że z trudem odwrócił wzrok od trzymanej przez tamtego butelki. Wyciągnął swoją wodę mineralną i wysączył ostatnie krople. Jednak nie ugasiło to żaru w jego wnętrznościach i zdał sobie sprawę, że musiałby wypić chyba całą rzekę, aby się go pozbyć. Bo jego ogień był innej natury niż zwykła człowiecza fizjologia. Trawił go farszem ze smoły i siarki. „Sam sobie zgotowałem to piekło” – pomyślał jeszcze z wysiłkiem. Potem starał się odpędzać od siebie wszelkie skojarzenia. Przygnębiały go do reszty i obawiał się, że w takim stanie nie będzie mógł dalej iść. Jednocześnie poczuł, że nie może dłużej ignorować Soni. Jej męka była większa niż jego. W dodatku on nie uwolni się od swojej zmory bez jej przebaczenia. A nawet jeśli nie uzyska tego od niej, Sonia powinna wiedzieć, jak mu przykro, jak bardzo tego żałuje. Wolno zbliżył się do niej. Podniosła ku księdzu nieruchome oczy i zdziwił się, że nie znalazł w nich urazy.

– Soniu – zaczął i głos uwiązł mu w gardle. Wszystkie słowa i argumenty nagle ulotniły się. Trwał tak bezradny, jak wczoraj na swoim strasznym posterunku... Spuściła głowę. Wyraz jej twarzy rozorał mu serce.

– Wybaczysz mi? – zapytał wreszcie, prawie błagał. – Bałem się... Zwyczajnie się bałem...

Znów zatrzymała na nim ten swój szklany wzrok. Musiała w nocy płakać, oczy miała zaczerwienione.

– To nie księdza wina – odważyła się wreszcie na odpowiedź. – Zasłużyłam na to.

– Ależ nie! – zapewnił ją gorąco. Wielka ulga falą wdarła się do jego serca. – Nie wolno ci obwiniać siebie!

– Wolno, wolno – przerwała mu. – Sprowokowałam los. Przecież to chciał ksiądz powiedzieć?

Zamilkł. Jej uwaga wydała mu się słuszna. Przecież jeszcze wczoraj sam

uważał, że jej postawa zasługuje na karę... Dlaczego teraz zmienił zdanie? Jakoś dzisiaj niczego nie był już tak pewny jak wczoraj. Nie uzurpował sobie prawa do serwowania jednoznacznej opinii czy wyroku. Bo tak samo musiałby potraktować siebie, największego winowajcę z nich, bo powinien być dla nich przykładem, a okazał się równie słaby jak oni. Co z tego, że nie wszyscy o tym wiedzą, wystarczy, że on wie i że wie tych dwoje... A będzie się musiał dowiedzieć i jego spowiednik... Na samą tę myśl Jan poczerwieniał ze wstydu. Sonia patrzyła na niego bez słowa, źrenice miała rozszerzone, jakby wciąż się bała. Zdał sobie sprawę, jak bardzo ją skrzywdził, i nie miał pojęcia, jak mógłby to naprawić, w jaki sposób jej to zadośćuczynić.

– Niech się ksiądz mną nie przejmuję – powiedziała wreszcie. – Nie ma kim.

– Nie mów tak! To nieprawda! – zaproponował znowu. Był taki bezradny naprzeciw jej bólu.

– Sam ksiądz dobrze wie. Ostrzegał mnie ksiądz.

– Grzeszysz jak wszyscy... – podjął pospiesznie i nie dokończył. Znowu wyobraził sobie siebie, stojącego tam, wtedy, w cieniu drzew...

Oczami błędziła ponad rzeką, jakby wartki nurt pociągał ją i odurzał. Jej wzrok nie wróżył nic dobrego. Tak bardzo chciał jej pomóc i nie wiedział jak.

– Zakochałam się – stwierdziła po chwili, z wysiłkiem. – Ale co ksiądz może wiedzieć o miłości... Nie potrafię rozmawiać o...

– O czym? – Nie śmiał jej spłoszyć bezceremonialnym pytaniem.

– O moim grzechu... – przyznała wreszcie. – To wszystko okazało się takie trudne...

– Ale przyszłaś na pielgrzymkę? Dlaczego? – Nie zrozumiał.

– Czasem się nie wie, dlaczego się coś robi... – Próbowała się uśmiechnąć i znowu poczuł nóż Wydry w swoim brzuchu. Jan też nie wiedział, dlaczego nie drgnął nawet, patrząc wczoraj na jej upokorzenie...

– Nie odpowiedziałaś na moje pytanie. – Wrócił do tego, co najbardziej go gnębiło. – Wybaczysz mi? Proszę!

Milczała. Nisko nad ich głowami śmigały z krzykiem jaskółki, miało się wrażenie, że lada chwila, a zaczepią skrzydłami o ich włosy.

– To nie księdza wina – powtórzyła Sonia z uporem.

* * *

– Gerard otrzymał w Gdyni główną nagrodę, Złote Lwy. W jego imieniu odebrał ją producent i to on udzielał wywiadów. Ja wykręciłam się od tego obowiązku pod pretekstem złego samopoczucia. Chciałam uciec od tych tłumów, bawiły mnie tylko w obecności Gerarda, bez niego czułam się tu obco. Molo w Sopocie powitało mnie deszczem. Majaczyły mgliste kontury hoteli. Szybko rozplywały się w nadszycząjącej od morza szarości. Niknęły błyskawicznie, jak pod działaniem czarodziejskiej różdżki. Gasnące lato w zimnej pochodni słońca przekłuwało tu i ówdzie poszarpane wiatrem chmury. Otoczona wodą, jak potrzaskanym lustrem, wylapywałam na falach jego okruchy. Mimo zapadającego mroku, wciąż lśniło, niczym wielka orchidea. Przypomniało mi wieczory w Chorwacji i serce ścisnęło mi się z tęsknoty. Gerard nie dzwonił. Nie wiedziałam, czy wie o nagrodzie, czy się cieszy, jego milczenie gnębiło mnie, przerażało i oburzało. Swoim milczeniem odpychał mnie, spychał w rolę kogoś drugiej kategorii, już nie byłam jego miłością, nawet nie przyjaciółką, nie byłam nawet kimś wartym paru cieplejszych słów lub choćby wyjaśnienia. „Jest z żoną” – myślałam i paląca zazdrość targała mną jak żywioł, bijący o falochron mola. Wolałabym śmierć niż pewność, że są teraz razem. Szaleńcze obrazy przepływały mi przed oczami, podsuwane przez rozbuchaną jak morze wyobraźnię. Krzyk mew mnie ogłuszał. Zatracałam się w rozpacz. Nadzieja, że być może jest inaczej, była

zbyt krucha, tak cienka, jak lód na nie zamarzniętym dobrze jeziorze, załamywała się pod byle skojarzeniem, od których nie potrafiłam się uwolnić. Porwały mnie jak konie, które poniosły. Ich pęd mógł skończyć się tylko klęską. Potykałam się o nierówności mola. Wiatr wciąż szarpał mną, ale nie czułam jego siły, poniewierało mną coś znacznie gorszego, przeświadczenie o przegranej. Świadomość porażki i braku jakiegokolwiek możliwości odwrócenia jej.

Wracałam pociągiem do domu, do Oli, którą musiałam odebrać od mamy. Brat powitał mnie pochmurny. Stan zdrowia mamy pogorszył się, oświadczył mi na wstępie, więc nie będzie mogła już zajmować się Olą, muszę sobie radzić sama. Mówi się, że nieszczęścia chodzą parami. Tak, teraz w to wierzyłam. Wróciłam do punktu wyjścia, byłam sama, z Olą, opuszczona przez wszystkich. I nie miałam pojęcia, co począć.

Dwa tygodnie czekania na telefon od Gerarda... Nie, nie jesteś w stanie tego pojąć... Nikt nie pojmie, jeśli tego nie przeżył... W końcu mój ukochany zjawił się. Bez uprzedzenia. W swoim niezmiennym płaszczu, jakby go nigdy z siebie nie zdejmował, jakby stanowili jeden nierozłączny organizm. Nawet nie zdjął go, gdy wszedł do pokoju. Nie usiadł. Znałam już „postojowe” rozmowy Gerarda. Zwykle komunikował mi w ten sposób najgorsze rzeczy. Zmartwiała z obawy, co tym razem obwieści, wykręcałam sobie palce, aż trzeszczały stawy.

– Przestań! – zdenerwował się. – To mi działa na nerwy!

– Nie damę sobie rady – przyznałam. – Dobijam do kresu wytrzymałości.

– Ale dlaczego? – Przestał panować nad sobą. – Bo mam kłopoty w domu?

– Jakie kłopoty? – Obruszyłam się. – Masz na myśli świetną partię swojej córki?

– Nie kpil! Tym bardziej, jeżeli nie wiesz, co się stało, a widzę, że nie!

– Co mam wiedzieć? Przecież nic cię nie obchodzi. Nawet nie zadzwoniłeś! – Czułam, że działo się coś złego.

– Dzwoniłem – potarł ręką czoło tak mocno, że pojawiła się czerwona pręga. – Do producenta... Myślałem, że ci przekazał...

– Ale co?! – Prawie krzyknęłam. – Wyjechałam wcześniej. Może nie zdążył!

– Siedziałem cały czas w szpitalu... Mieli wypadek... Martyna jechała samochodem. Z narzeczonym. Wpadli w poślizg... – wymamrotał, jego strach nie był udawany.

– I co? – zamarłam z przerażenia.

– Nic, nic. Ale się potłukła. Leży na podtrzymaniu. Cięża jest zagrożona.

– Boże! – Objęłam go z całych sił. – Tak mi przykro!

– Może stracić dziecko. Boi się.

– Musi wierzyć, że wszystko będzie dobrze! – Całowałam jego twarz. – Przekonaj ją o tym!

– Cały czas przekonuję. Nie odstępuję jej na krok. Ślub na razie przełożony... – dodał.

Naprawdę był zgnębiony. Widziałam, że znów czuje się winny. Cokolwiek będzie się działo, będzie obwinił siebie i brał wszystko na swoje sumienie, coraz bardziej przekonany, że to kara dla niego za związek ze mną. Zaczynał poddawać się wewnętrznej presji poczucia winy, aby nie kusić losu teraz, gdy niewiadomy jest los jego wnuka. Pragnęłam Gerarda bardziej niż kiedykolwiek, ale nie wolno mi było na nic nalegać. Znienawidziłby mnie natychmiast po tym, jak sprowokowałabym go do uległości. Ale to nie było wszystko.

– Soniu – zaczął i drepcząc po pokoju jak chory gołąb, wysunął do przodu głowę. – Nie mogę teraz przychodzić do ciebie. – Potwierdził tylko to, co już podejrzewałam, mimo to na chwilę zrobiło mi się ciemno przed oczami.

– Sypiasz z nią? – to nie było stosowne w takim momencie, ale wolałam utwierdzić się w swoich przypuszczeniach lub pozbyć się wreszcie tej męki.

– Przestań! – podskoczył, jakby dotknął ręką rozpalonego metalu.

– Chcę wiedzieć – wykrztusiłam. Brnęłam na ślepo. W co?

– Nie rozumiem ciebie! To moja żona! Mam obowiązki. Nie zamierzam dokładać jej cierpień. Tak trudno ci to pojąć? Jestem jej potrzebny!

– A mnie? Co ze mną? Mnie też jesteś potrzebny! Ja możesz to robić z dwiema kobietami na zmianę? Nie czujesz wstrętu?

– Tak! Mam dość! A wiesz dlaczego? Bo te wszystkie kłamstwa i kręctwa wykańczają mnie! Nie mogę pracować, nic mnie nie cieszy. A teraz ta cała sytuacja stała się nie do zniesienia! To ponad moje siły!

– A czy mnie jest łatwo? Myślisz czasem o tym, jak ja się z tym wszystkim czuję?

Zaczął biegać po pokoju.

– O co właściwie masz pretensje? Nie sypiam z aktorkami, jeśli o to ci chodzi. Zresztą, niczego ci nie obiecywałem. Nawet jeśli czasem się z którąś zadam, to co? Co się takiego stanie? Wierność w tym zawodzie? Nie rozśmieszaj mnie. Myślałem, że to dla ciebie oczywiste. Przecież to nic nie znaczy!

– Dla mnie znaczy.

– Nie potrafię być wierny. Nie kocham cię.

– Ale ja cię kocham... – Miałam wrażenie, że zaraz uduszę się od wstrzymywanych łez.

Szarpnął głową jak koń schwytyany na łąso.

– Te twoje gadki gimnazjalistki! Wcale nie kochasz mnie, tylko jakąś ułudę. Kogoś, kogo sobie wymyśliłaś. Nie jestem taki, jak myślisz. W ogóle nie wiem, kim jestem. Więc niby skąd ty możesz o tym wiedzieć?

– To cyniczne – płakałam.

– Tak, jestem cynikiem i co z tego? Nie bądź naiwna! Wiedziałaś, czym się zajmuję. W tej profesji trzeba ludźmi manipulować. W przeciwnym wypadku lepiej się wycofać.

– Co dalej? Co ze mną? Co z Olą?

– Nic nie poradzę, że twoja rodzina się rozpadła. Trzeba było jej pilnować. Mojej nie rozbiję. Dla nikogo. Wiem, że jesteś w trudnej sytuacji. Staralem się pomagać ci, ale teraz nie mogę. Masz przecież matkę, brata, może oni ci pomogą – wciąż gonił po pokoju.

Trzepnął niechcący biodrem o ścianę, aż huknęło. Jakbym słyszała Artura! Prawie go powtarzał. Płakałam bez łez. Już tylko w środku, w sobie. Nie było sensu przeciągać tej rozmowy.

– Muszę odwołać promocje. Nie będzie żadnych wywiadów. I żadnych spotkań. Chyba to rozumiesz? – spytał w końcu.

Skinęłam głową, rozumiałam aż nadto.

– Lepiej już pójdę... – Cmoknął mnie w policzek.

„Tak się żegna ukochaną, która przestała już nią być” – pomyślałam z goryczą. Tak, zrozumiałam dobrze. Chce być sam. A ja muszę pozwolić mu odejść.

Głucho trzasnęły drzwi. Wyszedł, słyszałam, jak pospiesznie zbiegał w dół po schodach. Podeszłam do okna. Szedł szybko, z głową wtuloną w podniesiony kołnierz płaszcza, z rękami w kieszeniach. „Odwróć się! Spójrz na mnie!” – zebrałam w myśli. Nie przystanął. Nie popatrzył. Zniknął za węglem, rozplływając się w cieniu jak duch. Jakby go nigdy nie było. I nikt nic nie mógł na to poradzić. A najmniej ja. Czułam, jak coś z otwartego balkonu smaga mi twarz. Deszcz? Wiatr? Bat?... Raniło do krwi... „Tak musi być...” – pomyślałam jeszcze.

*

Rozpadało się na dobre. Jan nie miał dotąd pojęcia, jak ciężko maszeruje się w deszczu.auta przejeżdżały szosą obok nich z rozpędem, ochlapując ich bez litości. Szare niebo przybrało przygnębiający odcień ołowiu. Gdyby choć objawiła się

przypadkowa biel chmur, zabłąkany słoneczny promień słońca lub niezbyt nawet widoczne niebo, cokolwiek, co niezdarnie rozświetliłoby tę szarość, byłoby znacznie łatwiej. Znośniej. Tymczasem ten nienaturalny zmrok w samo południe, do tego wodna mgła, zasłaniająca widok na metr przed nimi, powodowały narastające w nim znużenie. Bał się zniechęcenia, irytacji, które mogły nagromadzić się w ludziach. Bał się też własnego zmęczenia, które prawie blokowało każdy jego krok. Co będzie, gdy zablokuje również jego możliwość łagodnej, ale stanowczej perswazji czy interwencji? Taki dżdżysty dzień usposabia nerwowo, podminowany był zresztą nie tylko on, także Wydra. Kto wie, jak zakończy się ta wędrówka... Jan czuł, jak przemaka do suchej nitki. Pomyślał, że dalsza droga w tym coraz silniejszym deszczu to czysty heroizm i zwykły absurd, że nie ma przecież potrzeby poświęcania się do tego stopnia, by moknąć bez powodu.

Zaczął rozglądać się za suchym miejscem na postój. Lepiej przeczekać deszcz, stwierdził w duchu, niż narażać ludzi na grypę. Każdy krok w tym nieustającym potoku z nieba stał się stanowczo zbyt uciążliwy. W mroku zamajaczyły duże, ciemne zabudowania. Skierowali się w tamtą stronę. Były to rozległe magazyny, ogrodzone metalowym płotem. Jan zadzwonił do furtki. Przeczcucie nie omyliło go. Magazyny były pilnowane. Stróż przyjrzał się wędrowcom nieufnie.

– Czego? – rzucił niezbyt grzecznie, mając widocznie nadzieję, że odstraszy tym nieproszonych gości. Z pewnością nie było mu wolno wpuszczać nikogo do środka, a ci obcy nie wyglądali zachęcająco.

– Możemy przeczekać deszcz? – Jan usiłował nadać głosowi ton proszący. Jednocześnie obawiał się, że to na nic. Strażnik musiałby zbyt wiele zaryzykować, gdyby otworzył nieznajomym bramę.

– A czemu tu? Co to, przytułek? – Nie zamierzał poddać się tej łagodnej presji.

– Przemokliśmy, napilibyśmy się czegoś gorącego.

– To i pić jeszcze chcecie? – zafrasował się strażnik. – Tu nie restauracja.

– A gdzie? – zainteresował się ksiądz. – Daleko stąd?

– No, daleko! – zdenerwował się strażnik, nie wiadomo dlaczego. Nie lubił pewnie wychodzić na nieuczynnego człowieka, szczególnie względem Bogu ducha winnych, przemoczonych pielgrzymów.

– W którą to stronę? – dociekał Jan, zdecydowany dojść jeszcze brakujący kawałek drogi, by wreszcie solidnie odpocząć.

– A niech was! – zaklął w końcu strażnik. – Czyja z kamienia? Gdzie pójdziecie?

Patrzył z troską, ale wciąż niepewnie, na moknących w deszczu.

Wydra stał z spuszczoną nisko głową, bez parasola, deszcz spływał mu na nos i policzki, kapał na zupełnie mokrą koszulę, bo nie miał nawet kurtki. Otulony foliową płachtą Gabrys kichnął głośno. Przerażliwy odgłos odbił się od wiat i wrócił gromkim echem. Strażnik podrapał się pod daszkiem swojego nieprzemakalnego płaszcza z kapturem. Uchylił rąbek i pokazał karabin.

– No, dobra. Włażcie. Ale jak co, to widzicie, co ja tu mam!

– Bóg zapłać! – odetchnął Jan, przy wtórze szczęki otwieranej bramy.

Weszli na teren magazynów. Strażnik zaprowadził ich do swojej kanciapy. Włączył czajnik z wodą, przygotował herbatę do zaparzenia. Jan miał ochotę spytać, co to za magazyny, ale strażnik nie wydawał się rozmowny. Miał suchą, spaloną na brąz, pobrużdżoną twarz i wielkie, krzaczaste brwi nad świdrującymi oczkami. Cały był żyłasty i jakby skręcony w sobie potężnymi śrubami. Wydawał się bardzo zniszczony.

Przemęczeni, uśmiechali się przepraszająco, pełni wdzięczności za możliwość wytchnienia. Strażnik spojrzał na Jadwigę, wyglądała żałośnie z przylepionymi do czoła mokrymi kosmykami. Czajnik zaczął gwizdać, wyłączył go i zaparzył imbryk herbaty.

– Macie kubki? – zapytał. Powyciągali, co kto miał, ponalewał im gorącego napoju.

Wydra obserwował reakcję Soni, ale jej twarz była nieprzenikniona, podobnie jak jej spojrzenie, schowane głęboko za rzęsami. Idealnie nieobecna, wpasowana w nieistnienie, jakby wcale jej tu między nimi nie było. Pozorny spokój. Atol. Co jednak naprawdę kryło się za tym wyciszeniem? Znał jej dramat. Domyślał się, w jakim może być stanie. Czuł się podle. Niepokojny, podjudzany sam przez siebie, z narastającą złością do wszystkich, a do niej w szczególności. Najchętniej pobiłby Jana. Za jego nieczułość, za swobodną gadkę, jakby nic nie zaszło wczoraj. A w rzeczywistości ten ksiądz sam pewnie chętnie by Wydrę skopał. Tak zresztą, jak Wydra jego. Z pewnością obu by im wtedy ulżyło. Bo w pozorowany spokój Jana Wydra jakoś nie wierzył. Czuł, jak powoli, ale skutecznie ogarnia go wściekłość.

* * *

– Gerard wpadł niespodziewanie, jak to zresztą miał w zwyczaju. Zawsze mnie zaskakiwał swoimi wizytami. Także tym razem. Przecież mijały tygodnie, a on nie dawał znaku życia. Zachodziłam w głowę, co się z nim dzieje. I oto nagle – jest. Stoi w drzwiach, promienny, wyciąga do mnie ręce, z tym swoim chłopięcym, rozbajającym uśmiechem. Nie potrafiłam gniewać się na niego. W chwilach największego nawet wzburzenia jedno jego niespokojne, łagodne spojrzenie winowajcy odsuwało mój gniew w cień. Pragnęłam Gerarda tak bardzo, że umiałam tylko wybaczać. Wszystko. Natychmiast. Byle jak najszybciej *znaleźć* się w jego ramionach. Ścisnął mnie długo, aż zaczęłam tracić siły. Zatracałam się w jego niespodziewanej obecności tak bardzo, aż ogarniał mnie lęk. Gerard panował nade mną całkowicie, pochłoniął mnie, moją wolę. Miał nade mną nieograniczoną władzę. Pozostawała tylko nadzieja, że nie ma świadomości tego. I że uda mi się

zachować go jak najdłużej w tym stanie, zanim zaczniesz wykorzystywać swoją przewagę, byłabym wtedy zgubiona. Na obronę została mi tylko resztkę sił. Zbyt wiele ich roztrwoiłam na czekanie. Na rozpaczliwe oczekiwanie jego powrotu... Zapalił papierosa. Nie znosiłam, kiedy palił. Strzepnął popiół na dywan. Tego też nie znosiłam. Zmierzył mnie krótkim, uważnym spojrzeniem. Miał natrętny sposób ledwie szkicowania wzrokiem tego, co naprawdę myślał. Jakby chciał za wszelką cenę zmylić przeciwnika. Traktował mnie jak rywalkę? Przecież nie walczyłam z nim. Ani przeciw niemu. Nie zagrażałam też jego rodzinie. Nawet gdy był ze mną, to nie do końca. Na tak długo potrafił zniknąć, jakbym wcale nie istniała... Może nigdy nie miałam znaczyć dla niego więcej niż psia głowa, którą można poklepać lub odepchnąć, czy wręcz uderzyć w przypływie złego humoru.

– Co z Martyną? – zapytałam nieoczekiwanie, aż drgnął.

– Już w porządku – odpowiedział spokojnie. – Ale musi leżeć do końca ciąży.

Przełożyli ślub na potem.

Zamilkł z wyraźną ulgą.

– Dlaczego przyszedłeś? – zapytałam w końcu, inaczej pytanie udusiłoby mnie.

Palił długo, w milczeniu. Obserwowałam nowe bruzdy na jego czole i te stare, znacznie mocniej pogłębione. Zaciągał się powoli, wzrokiem błędził teraz po pokoju, jakby szukał drogi ucieczki. Drżącymi rękami nastawiłam wodę.

– Czytałem twój esej w „Twórczości” – przyznał wreszcie. Zupełnie jakby nie zauważył mojej frustracji. – Jest świetny.

– Podoba ci się, że piszę o tobie? Że cię chwale? – wycodziłam, siłąc się na spokój.

W końcu wydało się, czemu przyszedł wreszcie do mnie, po tylu tygodniach milczenia. Po mojej wielotygodniowej bezsilności, gdy usiłowałam bez niego żyć i nie zwariować. Po prostu przeczytał artykuł i przypomniał sobie, że istnieję. Udał, że nie słyszy mojej aluzji.

– Masz świetny styl. I ten rodzaj wyobraźni, który predestynuje cię do pisania...
– kontynuował – może nawet scenariuszy? Język, którym operujesz, nie jest hermetyczny. To żywe słowa. Prawdziwe. Posiadasz rzadką umiejętność przerabiania fikcji na prawdę. Tobie się wierzy.

– Uważasz, że napisałam to nierzetelnie? Że moja pochlebna opinia na temat tego, czego dokonałeś w filmie, to czcze pochwały? Dlatego, że jestem zakochana?
– Obruszyłam się. – Znasz mnie. Wiesz, że nie zniżyłabym się do czegoś takiego. Nawet za cenę tego, żeby cię do siebie sprowadzić.

Zaśmiał się, krótkim, ostrym śmiechem. Poznałam ten śmiech. Wiedziałam, co oznacza. Gerard wychodził na prostą. Uznał całą tę cezurę, swoją tu długą nieobecność za niebyłą. Stwarzał na nowo ciągłość. Położył tym śmiechem pomost pomiędzy tym, co między nami było, a tym, co będzie, co jeszcze może się wydarzyć. Przyszedł po to, by zacząć coś budować. Coś trwałego? Co? On sam tego chyba jeszcze nie wiedział. Tym bardziej ja niczego nie mogłam być pewna. Ale tym, co sprowokowało jego przyjście tutaj, nie był tylko mój artykuł o nim. To oznaczało coś znacznie więcej. Może uczucie. Musiał być zmęczony tą próbą ucieczki. Poczul pustkę? Inną, bardziej dotkliwą potrzebę, której już nie potrafił zaspokoić z żoną ani z przygodnymi kobietami. Potrzebę głębokiego, wewnętrznego porozumienia. Prawdziwego. Szczerego. Może wkurzającego, ale autentycznie spontanicznego. Byliśmy ulepieni z jednej gliny. Impulsy przebiegały pomiędzy nami bez zakłóceń. Od samego początku czuliśmy ten sam dreszcz. Musiał to odkryć niedawno. Ale zbyt bał się wyznać. Więc pozostawił je w sobie. Dla bezpieczeństwa.

– Myślę o nowym filmie. – Zgasił wreszcie kolejnego papierosa. Nigdy nie palił tak dużo. Ta długa nieobecność musiała dać mu się we znaki.

Postawiłam przed nim parującą kawę. Milczałam. Teraz już tylko czekałam. Już się uspokoiłam. Wytrzymam do końca, aż usłyszę to, z czym tu przyszedł.

– Chcę, żebyś napisała ze mną scenariusz.

Więc to była ta wiadomość? Ta propozycja? Z tym przyszedł?

– Ależ ja się do tego nie nadaję! – Przestraszyłam się. – To dla mnie zbyt karkołomne! Nie dam rady!

– Posłuchaj jeszcze raz. Razem będziemy go pisać. Rozumiesz? Razem! Jesteś świetna, tylko nie wiesz o tym. Twoja wyobraźnia jest nieograniczona w swoich możliwościach. Musisz ją uruchomić, a ja nauczę cię metod, którymi będziesz się mogła posłużyć, aby to, co widzisz, przerobić na konkretny materiał tekstu, na sceny.

– To za trudne! – jęknęłam. – Nigdy nie ogarnę tak dużej formy! Tyle słów! Jak je uporządkować? Nadać im sens? No i konstrukcja! Prowadzenie fabuły, rozwój postaci, zwroty akcji... To nie dla mnie.

– Przeciwnie. – Zabębnił palcami w stół tuż obok moich palców.

Czekałam, aż dotknie mnie, choćby samymi koniuszkami, ale nie odważył się. Jakbym stała się nagle obcą, odrębną istotą, już nie częścią jego, nie jednością w dwóch ciałach. Tylko kobietą, która nadając na podobnych falach i wykazując pewne umiejętności pisarskie, ma potencjalną możliwość stworzenia czegoś oryginalnego. To ta ewentualność tak zaczęła go fascynować? Nowy film? W oparciu o wykorzystanie potencjału twórczego, który we mnie wyczuł? Wykorzystywał mnie. Jednocześnie wiedziałam, że to moja wielka szansa, na własny rozwój i na przywiązanie go do siebie, choćby na jakiś czas. Jedyna. Czy również na miłość? To akurat była wielka niewiadoma. Zbyt trudna do przewidzenia na dziś.

– Bierz płaszcz! – zakomenderował, jak to miał w zwyczaju, tonem nie znoszącym sprzeciwu. – Wychodzimy.

– A Ola? – Zdenerwowałam się. – Przecież nie zostawię jej samej!

– Ola śpi – pocieszył mnie. – Poproś sąsiadkę, żeby zagładnęła do niej od czasu

do czasu. Wrócimy niedługo. No, już. Pospiesz się. – Wstał, sam już pełen pośpiechu.

– Ale gdzie idziemy? – starałam się bezskutecznie rozwiązać zagadkę.

Jego uśmiech sfinksa drażnił mnie, zebrałam się jednak szybko i po chwili Gerard wiozł mnie gdzieś taksówką. Wieczne miasto drgało za szybą samochodu, świetlisty kolaż, niespokojne miraż. Co zamierzał? Dokąd mnie wiozł? Miał wobec mnie jakiś głębszy zamysł, którego nie ujawnił. Zupełnie jak te kobiety, co nawiązując przygodne znajomości z różnych przyczyn, z ciekawości, pustki emocjonalnej, z samotności czy nudy, nie odkrywają się przed nikim. Nigdy. Nawet częściowo, a już na pewno nie do końca. Gotowe do natychmiastowego wycofania się, bez żadnych roszczeń czy konsekwencji. Żyjące poza prawdziwą przyjaźnią, w nieustannych pozorach, zmieniające partnerów lub same zmieniane przez nich z tych samych powodów. Czy Gerard nabył przy nich zwyczaju skrywania prawdziwych myśli, szczerego ujawniania uczuć? Wyścig szczurów dopuszcza wszystkie chwyt, pozory szczerości przybierają czasem formę autentyzmu, trudnego do odróżnienia dla niewprawnego oka. Gerard miał rację. Znalazł we mnie coś nieoczekiwanego. Prawdziwą twarz. Nie byłam ideałem. Ale nawet nie siliłam się nim być. To go zdumiewało. Pociągało jak egzotyczna, rzadka roślina. Ufał mi. Cieszyłam się, że potrafił mnie docenić, ale czy będzie zdolny do czegoś więcej niż do akceptacji i podziwu? Wszystko było możliwe. Każda wersja scenariusza na życie, którego pisanie właśnie rozpoczynaliśmy, była w zasięgu naszych możliwości. Wystarczyło po nie sięgnąć...

*

Szli wzdłuż pól, pełnych dojrzałych zbóż, gotowych do ścięcia, gdzieśgdzie było już po sianokosach. Czerwieniało od maków, spokojnie i cicho, jakby

przyroda chciała zrekompensować im swoją niedawną nieprzychylność. Błada skorupka słońca bieląca na pogodnym niebie, rzucając ciepłe promienie na coraz lżej opadające, kruche liście. Kołowały bezszelestnie, zataczając miękkie kręgi, ginęły w rozprzestrzeniającej się wokół czerwonej ławicy maków.

Jadwiga recytowała na głos koronkę, jej głos to brzmiał nobliwie, to rwał się i zanikał, jakby nie była do końca zdecydowana, czy chce zagłębić się w modlitwie, czy woli zachłysnąć się niezwykłym, otaczającym ją widokiem. Spojrzała raz i drugi na Albina. Szedł obok, usiłując ukryć zadyszkę. Z zakurzonych buciorów wystawały rozwiązane sznurowadła, ciężki plecak przytłaczał go do ziemi. Nie patrzył na nią, nadąsany. Jadwiga poczuła do niego przyływ tkliwości. W końcu był jej oficjalnym narzeczonym, a to zobowiązuje. Zamknęła z westchnieniem modlitewnik i zrównała krok z Albinem. Udał, że nie widzi jej starań o przywrócenie zgody. Miał żal do niej o to, że faworyzuje tego łązęgę, tego, pozał się Boże, Prokopa. Albin w kapeluszu nałożonym uroczyście na pozbawioną prawie włosów czaszkę miał nadzieję wyglądać dostojnie, sprawiał jednak dość komiczne wrażenie, bo kapelusz przekrzywił mu się. Rozczulił tym Jadwigę do reszty.

– Panie Albinie? – Starąca się przybrać najśłodszy uśmiech, na jaki ją było stać.

– Pani, jak widzę, wesoło – odburknął z goryczą. – A czemu to? Czy ja taki zabawny?

– Panie Albinie. – Ujęła go poufale pod ramię. – I o co tu się boczyć? Że czasem ja pogadam z tym czy owym? To przecie nie zbrodnia.

– Ale z kim! – rozindyczył się w jednej chwili. – Z tym... tym... – szukał właściwego słowa – .. . pętakiem? Z tym... Prokopem, co to nie wart własnego psa?

– No, no – strofowała go łagodnie. – Pan Prokop nie zły człowiek. Zagadać można i do niego, i do każdego, to nie grzech.

– Pani, moja narzeczona, powinna sama wiedzieć. To co ja będę rozkazywał,

jak pani nie chce słuchać.

– Słuchać, to ja się będę po ślubie – zaśmiała się ostrożnie. – Jeszcze my nie połączeni – przypomniała na wszelki wypadek.

– No, to termin trza ustalić i tyła! – nacisnął Albin. – Ale pani niezdecydowana. To i sercu żal.

Myślała gorączkowo, jak wybrnąć z niezręcznej sytuacji. Albin domagał się ustalenia daty ślubu, a ona wciąż nie wiedziała, na jakich zasadach miałyby zostać Albinową czy Prokopową, dopiero wtedy zaś chciała zdecydować, którą z nich woli być.

– Do urzędu my pójdziem i do kościoła, to się coś wybierze. Żeby zdążyć ze wszystkim. Bo i suknia, i pantofle, no i przyjęcie trza obliczyć na ile osób, zrobić rozpiskę... – Wyliczała, patrząc bystro na Albina, jak przełknie perspektywę ewentualnych kosztów.

Nie poszło gładko. Albin poczerwieniał i gwałtownie zaprotestował.

– Ależ! – stęknął. – I po co te ceregiele? Nie lepiej to na... – szukał najbardziej wiarygodnego pretekstu do uniknięcia niepotrzebnych jego zdaniem wydatków – ... na przykład na... czarną godzinę uskładać by trochę grosza można, trza być oszczędnym, zdrowie nie sługa, różnie być może... pani też nie młoda, wytykać nie chcę latek, ale o tym trza zawczasu myśleć, droga moja!

Nie sposób było nie przyznać mu racji, lecz gdy wizja nowej sukienki zaczęła się od niej oddalać, humor się jej popsuł. Tymczasem Albin stracił rezon. Dłoń Jadwigi obejmująca jego ramię, jej łokieć pod jego spoconą pachą, jej biust przyciśnięty do jego boku, wyzwoliły w nim dawno zapomniane pragnienia. Popatrywał z ukosa na pochyloną ku sobie postać, na drgające mięśnie brzucha i pośladków Jadwigi i czuł wyraźnie, że wraca do niego niegdysiejsza obecność żony, ale ta intymna, kobieca, gdy po nudnych, oswiałych i pozbawionych emocji pracowitych dniach gasił światło i z ulgą zapominał o tym, że ma w rękach ciało

starej, nieapetycznej, zwiotczalej żony, na którą za dnia nigdy nie miał ochoty. Rano z niechęcią spoglądał na gramolącą się z jego łóżka kobietę, myśląc z rozpaczą, że nigdy nie zdołał rozbudzić w niej niczego oprócz wymuszonej co wieczór obojętnej uległości. Jadwiga nadawała twarz wszystkim jego nieznanym, wymyślonym partnerkom. Zaczynały nareszcie łączyć się w całość. Miał nieodparte przekonanie, że mógłby spróbować usatysfakcjonować swoją nową żonę i że mogłoby się to udać. Dreszcz przebiegł mu po plecach, ścisnął mocniej ramieniem łokieć Jadwigi, aż spojrzała na niego zdziwionym i jak sądził, prawie omdlewającym spojrzeniem. A może tylko tak mu się zdawało, tak bardzo chciał doprowadzić Jadwigę do tego nieznanego mu od strony kobiety stanu. Aż się spocił na myśl o tym. Jadwiga zarumieniła się, przypominała teraz jeden z maków na mijanych właśnie polach, poczuł się przy niej mężczyzną i to mu się spodobało. „Do tego ugotuje, upierze – pomyślał z satysfakcją. – Z uśmiechem, nie tak, jak ta moja była, jazgotliwa jędza”.

– Panie Albinie – szepnęła Jadwiga. Nachylił się ku niej tak bardzo, że wargami prawie dotknęła jego mięsistego ucha. – Małżeństwo, poważna rzecz. Co pana syn na to? Interes przecie jest i dom, jak on się z tym zgodzi?

– Och! – Zbagatelizował. – Co jemu do tego. Chałupa jego, interes też ja mu przepisał, przecie mówił, ukrzywdzony nie będzie.

– Jak to? – Jadwiga przestraszyła się nie na żarty. – Wszystko jego? Cały zapis dostał? – ustalała zdenerwowana.

– Dom to po matce. Należał mu się. A interes po mnie, ale komu ja mam zostawić? Jedyny to mój syn.

– A... co ze mną? – wykrztusiła.

– Co ma być? – zdziwił się Albin szczerze. – Razem będziemy mieszkać. Interesu pilnować.

– Ale... potem... gdyby... jakie nieszczęście... i pana zbrakło... – wyznała w

końcu to, czego obawiała się najbardziej.

– Czyli o to... – zaczął Albin niepewnie. – Nie ma strachu. Przecie nikt pani na bruk nie wyrzuci. Pani wdowa będzie po mnie, to zjeść mój syn pani da.

– A jak nie? – dopowiedziała pytanie. – Jakieś pieniądze będą na zabezpieczenie moje?

– Och! – Teraz Albin się zdenerwował. – Składam ja grosz w banku, ale on też na syna zapisany. Pani nazbyt strachliwa. Syna ja nie ukrzywdzę, to i on pani nie skrzywdzi!

Wyraźnie zakończył dyskusję i Jadwiga wpadła w popłoch. Przyszłość nie rysowała się już przed nią tak jasno i wyraźnie, a już na pewno nie bezpiecznie. Dopóki żyć będzie Albin, wprowadzie kutwa, każdy grosz obraca w zębach, ale może znajdzie się sposób, by go od niego wyciągnąć. Jednak syn to była znacznie gorsza sprawa. Poważna, skoro to jedyny spadkobierca. W przypiływie braku miłości do macochy może się jej legalnie pozbyć ze swojego domu i z garnuszka. Wtedy Jadwiga zostanie na lodzie. Jak teraz. Czekaloby ją życie z dnia na dzień, w ciągłym strachu o to, co będzie dalej, jeśli przyjdzie starość i zaczną się choroby. Jak zarabiać? Z czego żyć? Gdzie mieszkać i za co? Oblał ją zimny pot. Może się uda przepisać zabezpieczenie bankowe Albina, jeszcze za jego życia, na nią. Ostatecznie syn otrzyma zakład po ojcu. Chyba że zrujnuje interes przez swoją nieudolność czy lenistwo, bo z tego, co powiadał Albin, do roboty to jego syn się nie pali. Wtedy sam chciałby żyć z konta ojca... Do tego nie można dopuścić, by przez nieróbstwo syna zmarnować taki dorobek i by ona ucierpiała! Tak, to teraz najważniejsze, ustawić odpowiednio Albina, aby mniej myślał o synu, a więcej o rozkręceniu interesu. Może przyjąć wspólnika z gotówką? Ona zna się na buchalterii, tyle lat wciąż czymś po trosze handlowała, mogłaby poprowadzić interes. Tak, to byłoby niezłe wyjście z sytuacji. Raźniej spojrzała w przyszłość. Może nie będzie tak źle?

* * *

– Taksówka zatrzymała się przed barokową kamienicą, pięknie odrestaurowaną. W oknach paliły się światła. Sporo ludzi wchodziło do środka. Przed bramą tłoczno było od zaparkowanych samochodów – Szybciej, szybciej – ponaglał mnie Gerard.
– Zaraz się zacznie!

– Gdzie jesteśmy? – Szarpnęłam go za rękaw. – Co to za budynek?

– Stowarzyszenie Filmowców – wyjaśnił szybko, płacąc kierowcy.

Po chwili wchodziliśmy po schodach na piętro, a stamtąd do sali, w której dość liczne grono osób właśnie rozsiadało się w fotelach.

– Co to ma być? – rzuciłam niespokojnie w stronę Gerarda.

Ten jednak, w przeciwieństwie do mnie, nie tylko zachował kamienny spokój, ale jego zimna krew najwyraźniej go bawiła, wywołując na jego twarzy wieloznaczny uśmiech.

– Konferencja. Zabierzesz głos, Soniu – oświadczył mi prosto w ucho, bo właśnie jeden z uczestników oficjalnie powitał przybyłych.

– Ja? Na jaki temat? – ofuknęłam go.

Nie zamierzałam dać się w nic wrobić. Nie będzie Gerard bawił się moim kosztem.

– Tematem jest etyka w sztuce – wyjaśnił krótko i zamilkł, gdyż pierwszy uczestnik zabierał głos.

Myślałam, że zabiję Gerarda spojrzeniem, ale on chyba tego po prostu nie dostrzegł, wlepiął wzrok w przemawiającego i udawał, że pilnie słucha. Że udawał, tego byłam pewna. Jego czujne naprężenie barków świadczyło o tym najdobitniej. Spod welwetowej marynarki wystawał mu wyraźny zarys brzucha. Miałam ochotę położyć rękę na jego skórze, ale wyobraziłam sobie minę siedzącego najbliżej nas

gościa i również się uśmiechnęłam. Gerard natychmiast zauważył zmianę mojego usposobienia. Miałam rację, był czujny, mój uśmiech sprawił go w niezłe podniecenie. Naprawdę zamierzał mnie tu wypuścić na żer tych wszystkich jajogłowych? Cierpłam na myśl, że tokują tak w swoim własnym gronie, w towarzystwie wzajemnej adoracji, a Gerard, który widocznie boi się im narazić, chce użyć mnie jako kija w mrowisko. Co najgorsze, byłam tak zirytowana bzdurami, które wygłaszali z powagą, że sama nabrałam ochoty wskoczyć na głęboką wodę, to znaczy wygłosić polemiczną krytykę tego, co usłyszałam. Gerard nachylił się ku mnie, puszczając perskie oko.

– I jak? – szepnął ze śmiechem. – Nie korci cię?

– Jeszcze jak ! – przyznałam. – Ale będzie skandal – uprzedziłam lojalnie.

– A po co cię tu przywiozłem? – odszepnął ubawiony.

Nie tylko się niczego nie obawiał, ale sama myśl, że wpuści tu trochę świeżego powietrza, najwyraźniej bawiła go niezmiernie. Byliśmy jak dwaj uczniacy, planujący niezły kawał nudnemu nauczycielowi ku uciesze pozostałych uczniów. Z trudem dotrwałam do końca referatu. Postawny pan, z feerią siwych włosów wokół plastycznie wymodelowanej głowy, oczekiwał „konstruktywnej dyskusji”. Wstałam. Zrobiło się cicho. Wlepili we mnie zdumione oczy. Nikt mnie tu nie znał. Wymieniłam krótko swoje nazwisko, które chyba niewiele im powiedziało, bo dopiero po chwili zaczęli sobie coś wyjaśniać na ucho. Zaczęłam bez pardonu. Skończyłam. Usiadłam. W ciszy, która zapadła, słychać było brzęczenie muchy. Gerard zaczął bić brawo. Inni podchwycili nieśmiało. Ktoś się zaśmiał. Nikt nie odważył się podjąć polemiki. Gerard wstał. Pociągnął mnie za sobą ku wyjściu.

– Wychodzimy? – zdziwiłam się. – Jeszcze się nie skończyło.

– Mają dość – stwierdził autorytatywnie i zatarł ręce z uciechy. – Ale dałaś im bobu!

– Sam mogłeś im dać! – wzruszyłam ramionami. – Wiesz to wszystko lepiej

ode mnie.

– Ja nie mogłem – wyjaśnił rozbawiony. – Zbyt dobrze mnie znają, potraktowaliby to osobiście. Nigdy by mi nie darowali. Uwielbiają kisić się we własnym sosie. Jeśli wejdiesz między wrony...

– Więc dlaczego to zrobiłeś? – nie mogłam pojąć.

– Dla hecy! – przyznał. – Ale nie tylko. Przekonałem się, że potrafisz być bezkompromisowa, jeżeli to nikomu nie zagraża. A w tym zawodzie trzeba się pilnie strzec. Mówić, gdy należy, a powstrzymać się, gdy gra nie jest warta świeczki. Ty te granice masz wrodzone. Nie boję się o ciebie.

– Nie o mnie? A mnie? – uściśliłam.

– Gdybym się bał, nie chciałbym z tobą pracować. A chcę.

– Nadal? – nie dowierzałam.

Szliśmy wolno ulicą. Mijali nas spóźnieni przechodnie, dzwoniły przejeżdżające z rzadka tramwaje. Nawet nie zauważyłam, że to już zima. Drobnym śniegiem osadził się delikatną koronką na rzęsach Gerarda, który szedł w swoim niezmiennym płaszczu, teraz chyba z podpinką, bo nie widziałam, żeby marzył... A może rozgrzewała go świadomość, że oni tam, teraz, usiłują dojść do ładunku po tym, co usłyszeli?

– Nie przejmuj się nimi – zaczął, jakby słyszał moje myśli. – I tak nic z tego nie zrozumieli. Nadal się będą upajać własną ignorancją.

– Nie wygłupiłam się?

– Skądże.

Chciałam zapytać, jak wyobraża sobie naszą współpracę, ale śmiał się całą twarzą, całym sobą. Był, naprawdę wciąż był, małym chłopcem, uwielbiającym psikusy. Czy nie za to go kochałam? Już nie czułam cezur tego wielotygodniowego wyczekiwania. Znikło jak niebyłe. Tylko Gerard potrafił tego dokonać. Nie wiem, jakim cudem wszystko było jak dawniej. Moja dłoń w jego

dłoni. Jakby nigdy mnie nie opuścił, nawet na chwilę...

– Dlaczego mnie tu przywiozłeś? – Nie zamierzałam jednak ustąpić.

Nie zwiedzie mnie „zabawą w szkolną zagrywkę”. Jest poważnym reżyserem, z dorobkiem. O co mu naprawdę chodzi? Ścisnęłam mu palce, aż syknął.

– Soniu, czy tak trudno ci się domyśleć? – skapitulował. – To szacowne grono. Najwybitniejszych w tym zawodzie. Zapamiętali cię.

– Znienawidzą mnie – stwierdziłam niechętnie.

– Przeciwnie. Nikogo nie obraziłaś. Wykorzystałaś tylko prawo do repliki. Nabrali respektu. Wiedzą teraz, z kim mają do czynienia. Przedstawiłaś się im wszystkim, hurtem. Nie miałybyś nigdy takiej okazji. Gdy napiszesz scenariusz, od razu skojarzą twoje nazwisko. Potraktują tekst serio. I głęboko się zastanowią, zanim ośmielą się na odrzucenie go czy na powierzchowną albo lekceważącą krytykę. Jeżeli wykażesz talent, docenią cię. Pierwszy krok, najważniejszy, masz za sobą. Przyznaję, będzie z tego lekki skandal. Ale on ci nie zaszkodzi. Przeciwnie. Niech mówią o tobie. Niech czekają, aż znów się ujawnisz. Teraz tylko musisz udowodnić, że jesteś godna ich zainteresowania i uznania.

– A jeśli mi nie wyjdzie? To ja się skompromituję! – mruknęłam.

– Masz przy sobie mistrza! – śmiał się tak lekko, aż zaczęłam wierzyć, że wszystko jest możliwe, z nim. – Wykorzystaj sytuację! Jestem do twojej dyspozycji! To twoja wielka życiowa szansa!

Pociągał mnie. I zatrwał jednocześnie. Wmawiał mi coś, co naprawdę nie istniało? Czy przeciwnie, wyczuł we mnie to, o czym sama nie miałam pojęcia? Czyżby moje marzenia, dotąd zupełnie nie skryształizowane, miały teraz przybrać realny kształt, może nawet zrealizować się? Spełnienie marzeń? Dzięki Gerardowi? Byłam oszołomiona, zachłyśnięta. Moje życie zaczynało mieć sens. Zdawałam sobie sprawę z wyzwania, z ogromu trudności i pracy, które mnie czekały. Ale w tej chwili czułam tylko wielką, wypełniającą mnie radość.

*

Jan rozglądał się wokoło. Łany zbóż pełne maków... Dobrze znał ten widok. Wyczuwał w powietrzu dziwny wiew ponad tymi makami. Niepokoiło go to, czuł wewnętrzny opór przeciw zauważaniu więcej, niż istniało w rzeczywistości. Już kiedyś wydawało mu się, że widzi nadchodzącą ku niemu, po falach, postać. Było to zaraz po jego decyzji wstąpienia do seminarium. Odebrał widzenie jako aprobatę. I choć daleki byłby od uznania tego przywidzenia za jasnowidzenie, teraz dręcząca pewność czegoś nieuchwytnego, co unosiło się wokół niego, sprawiała mu przykrość. Zdawał sobie sprawę, że sam wywołuje w sobie taki nastrój, poczucie zagrożenia. Że jego wina rozrasta się w nim do monstrualnych rozmiarów, przybiera nierealne, skrzydlate kształty. Czy po to, by go uspokoić, ugłaskać, pomóc przebrnąć przez kolejny dzień? A może było dokładnie na odwrót. Może chichot, który wybrzmiewał w poświstach delikatnego wiatru, nie był łagodnym, wyciszającym śmiechem, tylko upokarzającym potwierdzeniem jego ułomności? Zerknął na Sonię. Z twarzą białą jak kreda szła, potykając się raz po raz, jakby jej drogę wyściełały same kamienie. Pomyślał, że on także nawrzucał jej ich pod nogi niemało. Droga, którą przemierzała z takim wysiłkiem, utrudzona, była także jego dziełem, świadomym. I nie potrafił się z tym pogodzić. Gdyby można było cofnąć się choćby o jeden dzień, zrobiłby to... Zagarnąłby ręką czas jak wodę, rozsunał jak te maki na polu. Znalazłby inną, nową ścieżkę, lżejszą. Poniósłby nią tę dziewczynę, bo żaden ciężar przyjętej przez niego pokuty, nie wydawał mu się tak straszny jak ciężar jego przewinienia. Modlił się gorąco, ale nie doznawał pociechy. Maki, jak krew, pulsowały zgodnie z uderzeniami jego serca, milczały, uciekając wzrokiem od jego spłoszonych warg, recytujących w kółko litanie. Palce zdrętwiały mu od przesuwania paciorków różańca. Ale nic nie

przynosiło ulgi. Nawet brak spiekoty wydawał mu się wieloznaczny, a raczej jednoznacznie oskarżający. Wreszcie zorientował się, że tylko on modli się na głos. Jadwiga, która do tej pory wtórowała mu zgodnie, odeszła w stronę Prokopa. Miał ochotę zestrofować ją za to, ale szybko zrezygnował. Pochylił głowę, aby nie słyszeć ich rozmowy...

*

Prokop od dawna mieszkał na przedmieściach Turawy. Jego życie upływało w jednostajnym rytmie. Nie pracował, żył ze skromnej renty. Miał dużo czasu na rozmyślanie. Nieraz wyobrażał sobie siebie jako kierowcę formuły 1 albo za kierownicą terenowego auta, w którym z zawrotną prędkością pokonuje najtrudniejsze odcinki rajdu Paryż – Dakar... Prężył wtedy zwiotczące mięśnie, przekonany, że nie ma rzeczy, której nie mógłby dokonać, gdyby tylko zechciał... Przyzwyczał się do nadmiaru wolnego czasu i dni nie dłużyły mu się. Godziny płynęły wolno, leniwie, starał się przemykać przez nie, nie zatrzymując się przy nich zbyt długo, bo wtedy przystawały zdziwione, jakby czekały na jego decyzję jakiegokolwiek odmiany, a on nie miał żadnego pomysłu na życie. Zanim się ożenił, pił. Dużo, zbyt dużo. Ale co innego można robić w Turawie, oprócz picia? Tu, gdzie mieszkał, stały trzy domy na krzyż, kulawy chodnik przecinał wiecznie zabłoconą drogę, którą Prokop i jego towarzysze wędrowali w każde popołudnie do jedynej knajpy w okolicy. Dopóki nie przygarnął tego kundla Azji, szczeniaka, którego ktoś porzucił na śmietniku, wszystkie ranki były do siebie podobne. Budzony przez głodne gołębie, wstawał o świcie, drapiąc się po kosmatej piersi, wyzierającej spod rozmamłanego podkoszulka. Chlusnąwszy sobie w twarz zimną wodą z kranu, nad pękniętym zlewem, załatwiał tym samym sprawę mycia. Gdy zardzewiały czajnik wydzwaniał porę na herbatę, Prokop już w spodniach i koszuli

otwierał okno, bez względu na pogodę, a gołębie pchały się na parapet i wchodziły do środka pokoju. Przeganiał je, psiajuchy jedne, gazetą z poprzedniego dnia. Przewietrzywszy pokój, zamykał okno. Siorbał herbatę bezmyślnie, zaciągając się podłymi papierochami, zawsze brakowało mu cukru i zapalek, zakupy nie były jego najmocniejszą stroną, zapominał po drodze, co ma kupić, i kłął potem jak szewc, bo nie znosił gorzkiej herbaty ani zapalania papierosów od płomienia gazowego piecyka. Wychodził w południe, niezmiennie z rękami założonymi do tyłu, przechylając się to w przód, to w tył i przystając nad każdą kałużą, jakby bał się utonięcia. W pierwszej kolejności zachodził do pobliskiego kiosku Ruchu. Czekala tu już na niego poranna gazeta i krótka pogawędka z kioskarzem, emerytowanym Frankiem. Krótka, bo dotycząca tylko umówienia się na wieczór, w knajpie, przy wódeczce, na najprzyjemniejszą część dnia. Franek, człowiek jowialnego usposobienia, miał jedną, namiętą pasję, hodowanie wąsów na własnej, puciołowatej twarzy. Wyhodował już okaz długości około piętnastu centymetrów i codziennie mierzył, czy coś mu przybyło. Od każdego domagał się uznania i z dumą stwierdzał, że wzbudza należyty podziw.

Z gazetą wystającą z kieszeni szedł następnie Prokop posilić się w mlecznym barze, który od lat był jego jedynym miejscem zjadania gorącego posiłku. Jadał tu obiady, zwykle naleśniki albo kopytka, czasem zamawiał kaszę gryczaną z jajkiem. Do tego obowiązkowo kefir, inaczej nie wytrzymałby na kacu do wieczora i nici byłyby z kolejnego picia. Nie, żeby Prokop był alkoholikiem. Zresztą pili w kilku, a to zupełnie co innego niż zalewanie się w samotności.

Po konsumpcji dań serwowanych przez grubego Alojzego, w niezmiennie wytłuszczonym, od lat nie prany fartuchu, umówiwszy się na wieczór, szedł Prokop na zakupy. Po południu odczytywał wszystkie wieści z kraju i ze świata, bo choć nie miał żadnego wpływu na wydarzenia, jednak lubił wiedzieć, gdzie się co dzieje, jakby to on trzymał rękę na pulsie wszystkiego. Przegryzał przy tym bułki i

popijał je herbatą. Przeczytawszy gazetę od deski do deski, zesuwał na nią okruchy z bułek i starannie przesypywał je gołębiom na parapet, gdzie już czekały, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę i potrącając się to dziobami, to ogonami. Następnie ruszał na swoją najważniejszą, rytualną ceremonię dnia. Do knajpy.

Nie były to zwyczajne pijaństwa, o nie. Rozmyślali i rozprawiali nad sensem świata. A poza tym, a może przede wszystkim, Prokop i jego przyjaciele byli miłośnikami sportu. A w knajpie był jedyny w okolicy telewizor. Wprawdzie czarno-biały i wiecznie mrugający, za to przekazujący na żywo wszystkie dostępne transmisje meczów i zawodów. Szczególne upodobanie mieli do skoków, ale kibicowali też wiernie wszystkim sportowcom, i tym od piłki nożnej, i od siatkowej, nie gardzili też pływakami czy zapaśnikami. Wierni patrioci, wylewali krokodyły łzy nad narodową, czy nawet ligową przegraną, Mazurek Dąbrowskiego zaś grzmiał donośnie w ich wykonaniu i powiewały flagi biało-czerwone, gdy doczekali się zwycięstwa i podium. Pili, gdy przegrywali, i pili przy wygranej. Świątowali lub urządzali stypę, nierzadko Prokopowi nie udawało się z powodu ilości wypitego trunku trafić na noc do własnego barłogu. Często budził się skostniały, nad ranem, w przydrożnym rowie lub w innych dziwnych miejscach, raz nawet w korycie u sąsiada, budząc przy tym zrozumiałe zdumienie u otaczających go wówczas świń. Od kiedy przygarnął Azję, noclegi w cudzych kurnikach odeszły w przeszłość, Azja bezbłędnie doprowadzał chwiejącego się pana do domu. Każdy ranek musiał się wtedy rozpocząć przymusowym spacerem z psem, co również skutecznie otrzeźwiało Prokopa nawet po największym pijaństwie...

Maruškę poznał przypadkiem. Mówiła, że Marysia, że Polka, że tylko ojciec Gruzin, stąd cała czarniawa taka, jakby ją co spiekło. Ale czort jeden wie, jak to z nią naprawdę było. Tyle, że te włosy czarne miała, gęste, w których pewnego dnia się zagubił... Siedziała z tobołkiem na przystanku PKS-u, jedynym, jaki tu był.

Pomyślał, że się pomyliła, że źle wysiadła, za wcześnie, przystanek Turawa-Rynek był następny. Podeszedł do niej, sam nie wie dlaczego, skąd nagle wziął się na taką odwagę. Zmienił cały utarty rytuał dnia. Bo gdy zatrzymał się przed tą ciemnowłosą, ciemnooką, chudą, że tylko skóra i kości, i gdy podniosła na niego te swoje ślepia, oniemiał. I już nie mógł odejść. A ona przyjechała „za chlebem”, jak mówiła, wcale się nie pomyliła, w końcu wszystko jedno, gdzie się wysiada... Nie miała tu nikogo. Nie wiedziała, co począć. Była bez grosza. Pomyślał, że jeśli jej nie weźmie, ta mała wiedźma zostanie latawicą. Była już tu taka jedna. Też zjechała „za chlebem”. Obsługiwała regularnie miejscowych, za byle co. Schamiała. Zestarzała się. Oszczędzała nawet na zębach, przez co zaczynała tracić klientów. Nowa mogłaby ich przejąć bez trudu. Była taka młoda... Po prostu wziął jej tobolek i zaprowadził ją do siebie. Stała w drzwiach i rozglądała się po jego nędznym dobytku, a on dopiero teraz zauważył, jak było tu brudno. Nie mógł wzbudzić jej zachwyty zionący wódą, zarośnięty facet ani zasmrodzony barłóg, bez pościeli, przykryty dziurawym kocem, na który natychmiast wskoczył ubłocony Azja. Zardzewiały, pokryty pleśnią zlew, cuchnący kłop, lepzące się od much okna, wszędzie stosy śmieci, gazet, przepalonych garnków i innych rupieci... Istny chlew.

Prokop patrzył bezradnie, nie wiedząc, gdzie położyć jej rzeczy. Wzięła swój tobolek i rzuciła w kąt, potem zarzuciła mu ręce na szyję. Tak po prostu. A potem zabrała się do roboty. Wysprzątała wszystko na glanc. Wyszorowała podłogi, okna, nawet kłop. Pomalowała, co się dało, olejną farbą, ponaprawiała, zabrała się nawet za koc i garderobę Prokopa. Kupiła za jego pieniądze pościel i obrus, szklanki i ręczniki. Zaczął się myć mydłem i używać szczotki do zębów. Wreszcie się ogolił. W oknie pojawiła się pelargonia, którą te głupie gołębie wciąż przewracały, gdy tak się pchały, jak to one, po to swoje żarcie. Bo tylko to się nie zmieniło w jego życiu. Karmienie gołębi. Cały jego codzienny, dotychczasowy rytuał legł w gruzach. Na spacer chodziła wraz z nim i Azją. Gotowała, więc przestał jadać w

barze. I choć wracał ze spaceru jak dawniej z gazetą w kieszeni, mógł już tylko wyczytywać z niej wyniki meczów i zawodów. Bo oglądać co wieczór sportowych rozgrywek z kolegami i zastanawiać się nad sensem życia już nie mógł. Gdy więc wtaszczyła telewizor do pokoju, zrozumiał, że to koniec. Ślub odbył się szybko i cicho. Zrezygnował z picia. Dla nocy spędzanych z Marusią. I były to najszczęśliwsze lata jego życia.

* * *

– Pakuj się, Soniu, wylatujemy pojutrze. Musisz odwieźć Olę do mamy – zakomunikował Gerard zniemacka.

– Dokąd lecimy? – Nie zrozumiałam. – Na jak długo?

– Na Dżerbę. Mamy tam Dom Pracy Twórczej. Posiedzimy ze dwa, może trzy tygodnie. To wystarczy na skonstruowanie przynajmniej szkicu scenariusza, a na pewno na zebranie materiałów i notatek.

– Na Dżerbę? – zdziwiłam się. – Dlaczego akurat tam?

– To wyspa miłości – zaśmiał się ironicznie. Jego śmiech nie podobał mi się.

– Przecież nie kochasz mnie – stwierdziłam zimno. – Zabierz lepiej tę swoją Sarę, czy jak jej tam było. Ach, ona jest dla ciebie wystarczająco egzotyczna, a ja taka nie jestem, dlatego trzeba mnie zabrać aż tam.

– Przestań – nachmurzył się. – To nie jest śmieszne.

Dotknęłam wargami jego palców. Speszył się.

– Jesteś jakaś dziwna – stwierdził z wyraźną przykrością. – Czemu nie chcesz jechać? Masz żal o to, że milczałem tak długo? A może boisz się konfrontacji?

– Jakiej? – bąknęłam, udając, że nie wiem, o co mu chodzi.

– Wzajemnego bycia ze sobą, przez trzy tygodnie, przez cały czas, bez przerwy, w dzień i w noc.

Mówił to tak, że ścierpła mi skóra. Przecież nie marzyłam o niczym innym! W mroku prawie nie widziałam jego twarzy. Szarzała niebezpiecznie, czułam tylko, jak raz po raz Gerard otwiera usta i bierze oddech. Stał tuż przy mnie, jednak ani on, ani ja, nie zrobiliśmy żadnego gestu, niczego, aby się objąć. Jak dwoje obcych sobie ludzi... Czy tam uda się przełamać tę naszą obecną niechęć do bliskości? Skąd się wzięła, dlaczego tak nagle zapadła między nas? A może nieprawdą jest, że nie istniała już żadna cezura, nieszczęsna przerwa w widywaniu się? Może nadal trwała i teraz rozrastała się pomiędzy nami, wypełniając coraz potężniejszą luką przestrzeń, której nie powinno być, a którą sami sobie zbudowaliśmy własną, nagłą nieufnością? Przecież pragnęliśmy siebie jak kiedyś! Tego byłam pewna. Więc co, co się zmieniło? Miał rację. Powinniśmy jechać. Może uda się jeszcze coś uratować. Może nawet to, co się zdarzy, to będzie wszystko, co nam pozostanie na resztę dni, do końca życia...

– Oficjalnie będę sam. Nikt nie może się o nas dowiedzieć – dodał cicho.

– Jadę – bardziej wyszeptałam, niż powiedziałam, tak się przestraszyłam własnego głosu. – Pojechałabym za tobą wszędzie. Nie tylko na Dżerbę.

– No, no – burknął już uspokojony. – Po co zaraz tak melodramatycznie? Załatwię bilety i skierowanie. Ty zajmij się Olą i bagażem. Stamtąd zabiorę cię do Algierii, zahaczmy o Saharę, a potem o Marrakesz. Wezmę kamerę i aparat fotograficzny. – Już był w swoim żywiole, od razu odżył i wpadł we właściwy tor.

– To pa, zadzwonię!

Pocałował mnie w policzek. W policzek? To było równie niepojęte jak jego niespodziewana propozycja.

Mała narzekała, choć lubiła zostawać u babci, twierdziła, że boli ją brzusek, choć wcale tak nie było. Przerazała ją perspektywa długiego niewidzenia się ze mną. Powiedziałam jej, że lecę do Afryki, więc to nie może trwać krótko.

– A przywieziesz mi słonia? – Pogodziła się wreszcie z faktem.

– Nie wiem czy słońca, ale coś przywiozę – przyrzekłam.

Mama i brat nie byli zachwyceni.

– Coś ty znowu wymyśliła? – ofuknął mnie. – Przecież prosiłem, żebyś dała matce odetchnąć.

– Przepraszam, to wypadło w ostatniej chwili, nie zdążyłam uprzedzić... – tłumaczyłam się niezręcznie.

Na szczęście o nic więcej nie pytali. Obiecałam, że będę dzwonić, że na pewno będziemy w kontakcie. Widzieli moje podniecenie, nie potrafiłam ukryć emocji. Nawet jeśli czegoś się domyślili, nie komentowali. W gruncie rzeczy, dobrze mi życzyli. Może czuli, że to dla mnie życiowa sprawa...

Loty czarterowe odbywały się w nocy. Na lotnisko dojechaliśmy taksówką. Nie znosiłam lotów samolotem, zwyczajnie trzęsłam się ze strachu. Udawał, że tego nie widzi, był absolutnie opanowany, nawet znudzony perspektywą trzygodzinnego, monotonnego lotu. Popijał koniaczek, łyk za łykiem, ja nie mogłam przełknąć ani kropli.

Wciąż nie wierzyłam, że to się dzieje naprawdę. Ja i Gerard? Na Dżerbę? Jeszcze trzy dni temu było to nie do pomyślenia. Czysta abstrakcja, urojenie chorej z tęsknoty wyobraźni... Życie jest nieobliczalne. Nieprzewidywalne. Jest baśnią opowiadaną bez końca. Nie chcemy zakończeń, nie akceptujemy ich. Porywa nas tylko wartki nurt opowieści, im ciekawiej, im bardziej zaskakująco, tym lepiej. Tak, wir dodaje adrenaliny. Podnosi ciśnienie. Żyjemy na wyższych, wzmocnionych obrotach. Jak długo? Co potem? Nad tym nie zastanawiamy się wcale. Na pewno ja nie zastanawiałam się wtedy, czym to się skończy. Na refleksje zawsze jest czas – pocieszałam się w duchu. – Na podsumowania. Aby mieć dystans do wydarzeń, najpierw muszą minąć, trzeba je przeżyć. Dopiero potem można zobaczyć, co z tego wynikło. Nie chciałam, za wszelką cenę nie chciałam się zastanawiać. Chciałam tylko lecieć z Gerardem. Na Dżerbę czy gdziekolwiek

indziej. Z nim. Choćbym potem miała tego żałować.

Tymczasem lot przyprawiał mnie o mdłości. Gerard przyglądał mi się ubawiony. Skąd brało się jego poczucie humoru w takich okolicznościach? Przecież nie mógł nie mieć świadomości leżącej pod nami dziesięciokilometrowej pustki! Udawał, że drzemie, ale spod oka z rozbawieniem rejestrował każde drgnienie mojego ciała.

Z ulgą zobaczyłam wreszcie za szybą rozciągające się w ciemności nocy lśniąco-koliste ulice, złote i szmaragdowe, perłowo-rubinowe naszyjniki świateł rozpościerające się w dole miasta. Ta nieustająca czerń wokół niego to było morze... Podchodziliśmy do lądowania.

Podmiejski autobus dowiózł nas do Domu Pracy Twórczej, który okazał się okazałym hotelem. Zimą, choć to po sezonie, wciąż było tu sporo gości z całego świata. Zimą, brzmi to dziwnie, zważywszy, jak tu było gorąco. Od ilu już godzin byłam razem z Gerardem? Zaraz... od dwóch dni, prawie bez przerwy... Czekały nas kolejne... Trzy tygodnie! Jeszcze nigdy nie byliśmy ze sobą tak długo. Trzymałam w ręku klucz do naszego pokoju. Wspólnego. Na całe długie dni i noce, wspólne posiłki, wieczorne zasypianie i na świty w tym samym łóżku. Czy potrafimy być szczęśliwi? Uśmiechał się do mnie, dodając mi otuchy, kiedy wchodziliśmy do pokoju. Piękny poranek opadł ciepłym odblaskiem na błękitne obicia ścian, na zasłony w oknach i miękko wyściełaną podłogę. Było niezwykle jasno i cicho. Pomyślałam, że oboje nie żyjemy. Że samolot musiał spaść do morza, gdy zasnęliśmy. Że nie ma nas tam, dokąd lecieliśmy. Jesteśmy zupełnie gdzie indziej, nie wiadomo gdzie, w jakim dziwnym świecie, ale to było najmniej ważne. Dla mnie – to nowe, darowane życie mogłoby trwać zawsze, gdziekolwiek, przez całą wieczność. Nawet jeśli nie był to raj i za pobyt tutaj zapłaciliśmy krwią, a jeszcze mieliśmy dopłacić własną duszą. Grzech bierze się stąd, że potrafi upoić. Można się w nim zatracić.

Gerard pomyślał pewnie, że zdrętwiałam ze strachu, bo zupełnie się nie ruszałam. Stałam tak nieruchomo, że wyjął mi z ręki bagaż, a potem mnie objął. A ja wcale nie bałam się. Byłam tylko bezgranicznie szczęśliwa! Potem wybiegłam na taras, chłonęłam w siebie biały, ażurowy widok. Łukowatą, piaskową architekturę, otaczającą nasz hotel ze wszystkich stron. Wysokie, znacznie jakby wyższe niż nasze niebo atakowało nas intensywną modrością. Rozległ się przejmujący śpiew wzywającego na modły muezzina, gdzieś niedaleko musiał być meczet. Ale to wezwanie nie dotyczyło nas. Byliśmy poza tym, co nas otaczało. Tylko przypadkiem zawieszeni pomiędzy realnością dostępną a tą ledwie wyczuwaną. Wychyliłam się z tarasu, wzrok biegł przed siebie w sposób nieograniczony. Jakże dalekie były tu przestrzenie! Te bliższe, zagospodarowane dla oczu, i te dalsze, zaraz za tymi pierwszymi, prawie już niedostrzegalne i te kolejne, w swojej przejmującej nieskończoności. Nie widziało się ani nie odczuwało horyzontu. Cisza brała się z braku ptaków. Drzewa trwały nieruchomo jak skamieniałe. Pozbawione wiatru powietrze wsysało się przemocą do płuc. Było przenikliwie sucho. Szybko robiło się gorąco. Pomyślałam, że wkrótce słońce zacznie parzyć moją skórę, aż popęka, nieprzyzwyczajona do takiego ataku promieni ultrafioletowych...

Zdjęłam ubranie. Gerard patrzył na mnie, jakby widział mnie pierwszy raz w życiu. A ja, po raz pierwszy w życiu, nie miałam poczucia nagości. Żadnego wstydu ani skrępowania. Stałam przed nim, jakby przez całe życie nagość była moim jedynym okryciem, zwykłym przykryciem tego, co jest wewnątrz mnie. Stała się czymś naturalnym, tak bardzo pierwotnym, jakbym zatęskniła nagle za prostym dotykem naszych ciał. Ciało stało się skarbem, czymś najcenniejszym, co posiadaliśmy i co mogliśmy sobie ofiarować. Nie wyobrażałam sobie czegoś bardziej oczywistego. Jakbyśmy nigdy nie utracili niewinności, a już na pewno nie teraz. Przeciwnie, nareszcie odzyskaliśmy ją. Utracone dziewictwo. Czystość. Były

znów w naszych rękach.

Gerard położył się. Przyklekłam przy nim. Rozbierałam go powoli. Patrzył i czekał. Słysząc było tylko głęboki, pulsujący oddech morza. Nareszcie nigdzie nam się nie spieszyło. Byliśmy sami, ze sobą, dla siebie. Pełni oczekiwania. Rozsadzającej zmysły radości. I pełni ufności. Że jeśli nawet coś, czy ktoś, w czyjej mocy teraz jesteśmy, wróci nas tam, skąd tu przybyliśmy, już zawsze będzie inaczej. Już nigdy jak przedtem. Na zawsze cicho. I ta cisza w nas nigdy nie minie...

*

Przypatrzyła mu się życzliwie, ale speszył się. Prokop zawsze, nie wiedzieć czemu, peszył się pod spojrzeniami Jadwigi. Nie patrzyła przecież na niego jakoś specjalnie uważnie, tak żeby musiał zamartwiać się o swoją nieciekawą fizjonomię. Gębę każdy ma, jaką ma, czy tego chce, czy nie. Pewnie, że wolałby zamiast swojej głupkowatej, podobnej do lisiej czy raczej szczurzej mordki, szerokie wyraziste oblicze jakiegoś amanta, na przykład tego tam, Valentino, albo chociaż tego od pogody, co to i włos bujny u niego, i postawa giętka a szarmancka. Westchnął z cicha i spojrzał z ukosa na Jadwigę. Nie dawała za wygraną. Wciąż szła obok niego, z zachęcającym uśmiechem. I co on niby ma jej powiedzieć? Śmieje się do niego, jak to baba, nie wiedzieć czemu ani o co jej idzie, skoro narzeczonego ma, a on ma główkować, co z tym począć. Pogadać, owszem by chciał. Ale o czym tu gadać z babą? Do tego obcą? Z kumplami, o świecie, to by się pogadało, o wszystkim przy wódce to da się gadać. Ale już z Marusią nie. Z tą to się tylko dobrze szło do łóżka. Gęby niczym sobie nie wycierała. Podśpiewywała trochę tylko, sprzątała i gotowała. I znowu szła z nim do łóżka. Życie było proste. I piękne. Szkoda, że sobie pojechała... Jadwiga pewnie nie byłaby taka skora do

uciechy i gadać pewnie trza by z nią było. Aż się cała pali do tego gadania. A to przecie nie jego baba, tylko Albina. Jak tak dalej pójdzie, to się Albin wścieknie, Prokop oberwie od niego jak nic, a i ona pewnie też. Trza będzie takiemu oddać, jeśli z honorem ma się wyjść, ale po co komu jaka bijatyka? I ksiądz się zeźli... Udał, że nie widzi zachęcającego spojrzenia Jadwigi.

– Panie Prokopie, czy pan się na mnie gniewa? – zapytała wreszcie.

– O co niby? – ofuknął ją. – Że pani nie przy narzeczonym?

– O, zaraz tam, obraza, że narzeczony. I cóż? Dziś jest, jutro nie ma – rzekła wymijająco. A w sercu Prokopa zaświtała nadzieja, że może nie wszystko przepadło.

– Jakże się panu żyje w Turawie? – Prawie wyskakiwała ze skóry z ciekawości, której nawet nie siliła się ukryć.

– Ja? Jak żyję? – zdumiał się, że jego życie może być dla kogoś przedmiotem tak usilnych dociekań. – Cóż... – zająknął się. – Żem rencista, to przecie pani pewnikiem wie. To jak tu żyć za te parę stówek, co mi państwo daje?

– Parę stówek? – zasępiła się. – Ale konkretnie, to ile, tak na rękę będzie? – Była bardzo dociekliwa.

– Pani Jadwiga to by wymagała więcej, niż ja mogę. – Machnął ręką zrezygnowany. – A ja, co mam, to i tak przepijam.

– Niech ręka boska broni! – przeżegnała się. – Czemu to tak? Pana to pilnować trza! Jak o dzieciaka jakiego zadbać! Pan przecie już nie kawaler, swoje lata ma.

– Kawaler, nie kawaler – znów się zająknął. – Czy ja to wiem?

– Jak to pan nie wie? Co pan plecie? Żonaty pan, czy co? – zdenerwowała się.

Prokop zasępił się. Rozmowa przybierała niebezpieczny obrót. Jadwiga najwyraźniej wzięła go na cel. Co na to Albin? A może guzik on wart, ten cały Albin, i Jadwiga już się w tym rozeznała? Dlatego tak się przypięła do jego stanu cywilnego? Grunt to nie zniechęcić kobity. Może co dobrego z tego się okaże.

– Pani pyta, jak żyję – podjął ostrożnie. – I nie podoba się, że ja tak z dnia na dzień. A co mi zostało? Że z kumplami posiedzę, wypiję? Pogadam o życiu? To przecie najważniejsze.

– O życiu nie trza gadać, tylko żyć trza. O siebie zadbać – stwierdziła z całą stanowczością. – Mieszkanie ma?

– Pokój. Ale z wnęką na kuchnię. Duży. Z gołębiami.

– Gdzie te gołębie? – Nie mogła pojąć. – W kuchni?

– No nie. – Rozluźnił się natychmiast. – Przylatują ino. Na wyzerkę.

– Pan, panie Prokopie, dobry człowiek. To co z tą pana kobitą? Żyje?

Umilkł tak nagle, że pożałowała pytania.

– Pojechała, byle gdzie, czort jeden wie dokąd. A wszystko miała. Nawet czerwone pantofle ja jej kupił. Zobaczyła raz na wystawie i żyć już nie dała. Kup i kup, tak w kółko ja słyszał. To i kupił. I co? Też źle. Bo gdzie ona w nich wychodzić będzie, tak ja zaczął słyszeć, i że w domu siedzieć nie chce. W takich pantoflach. Że za młoda. Że życie traci ze mną. To co ja mógł? Na klucz nie zamknę. Chciała uciec, to i uciekła. Bóg z nią.

Jadwiga słuchała w skupieniu. Ten mężczyzna kochał swoją kobietę. Był zdolny do miłości, rozpaczał. W przeciwieństwie do Albina był ludzki. Myślał o tamtej bardziej niż o sobie samym. Wzruszył ją. Pomyślała, że z nim, nawet tylko z jego rentą, mogłaby wieść spokojny żywot. Bez tej udręki, co ze sknerstwem Albina ją czekała, i bez handryczenia się z jego synalkiem. Już ona by rentą Prokopa dobrze rozporządziła. A Albin pewno do ręki nic jej nie da. A i pantofle Prokop też pewnie kupi. Jej zaś wystarczy, jak się w nich przejdzie po Turawie. Pod rękę z Prokopem. Bo młoda nie jest i życia jej nie żal, dla niej liczy się, żeby osiąść gdzie wreszcie w spokoju.

– Panie Prokopie! – Uśmiechnęła się przymilnie. – Pan taki dobry człowiek. Złote serce pan ma!

– No, nie tak całkiem dobry ja. – Speszył się wyraźnie.

Pomyślała, że chce rzec coś dalej o żonie. Może kłopoty jakie były? Lepiej, gdyby jednak te małżeńskie zdolności jego nadawały się jeszcze dla niej. Do dzieci to ona się już nie nadaje. Ale mogłaby wreszcie poszaleć, na stare lata, bez obaw. Zaniepokoiła się. No, teraz to on musi wykrztusić. Zanim ona Albina się pozbędzie i będzie żałować.

– Coś z panem nie tak? – podpowiedziała szybko, nie mogąc doczekać się wyjaśnień.

– Nie, nie w tym rzecz... – Speszył się do reszty. – Co inszego ja miał na myśli.

– Czy ja się panu nie podobam? – zapytała wprost, wytrzeszczając na niego swoje wielkie, niebieskie oczy. Poprawiła przy tym kokieteryjnie włosy, pewna, że Prokop zaprzeczy natychmiast.

Zaprzeczył.

– Ależ pani Jadwigo! – splonął niczym panienska. – Pani przecie wie, przecie widzi... Ja bym za panią...

To chciała wiedzieć, to jej wystarczyło. Reszta się ułoży. Są przecie te, jak im tam, wiagry, jakoś to będzie.

– Pani powinna wiedzieć – zaczął jednak z uporem – że ze mną może pójść tylko na cywilny. Rozwodnik jestem. Kościelny ja już wziął.

Patrzył błagalnie, jakie ta wiadomość wyrze na niej wrażenie. Zmarkotniała, ale nie na długo. Przecie wiedziała, że rozwodnik. Po chwili znów podniosła na niego oczy. Kontynuował więc. Z miną samobójcy.

– Jeszcze jedno mam ja na sumieniu – wyznał, rozglądając się nieco na boki, czy aby nikt oprócz niej nie słyszy.

Maszerowali znów szosą, coraz więcej aut mijało ich, trąbiąc. Ksiądz zaaferowany, z nosem w modlitewniku, zdawał się nie zwracać na nic uwagi. Pozostali szli w milczeniu, ten ostatni dzień był dla nich osobiście jakiś szczególny,

przeżywali go samotnie, wewnątrz siebie.

Albin wodził wzrokiem za Jadwigą, jednak nie śmiał przerwać jej rozmowy z Prokopem. Czuł, że to nadaremne. Jadwiga wydała mu się nagle zbyt pewna siebie, zbyt samodzielna i niezależna, jak na jego żonę. Nie liczyła się z jego opinią, nie przejmowała, czyjej zachowanie podoba mu się, czy nie. Oficjalnie adorowała Prokopa na oczach wszystkich, wystawiając jego, Albina, na pośmiewisko. Stanowczo należało zakończyć tę farsę. Jeżeli Jadwiga nie jest pewna, czego chce, niech idzie do diabła!

– Och! – wystękała Jadwiga. Napięta twarz Prokopa nie wróżyła nic dobrego. – Co panu dolega?

Prokop wziął głęboki oddech. „Raz kozie śmierć” – pomyślał, nim zaczął.

– Bo ja, pani Jadwigo, kapowałem – wyrzucił wreszcie z siebie wyznanie, niby ropę z pękniętego wrzodu.

– Co? – znów wytrzeszczyła oczy. Przez chwilę wydawało się, że nie zrozumiała, o czym mówi.

– Kapusiem ja byłem. Pieniądzem brałem. Werbowali, straszili, to i donosił ja. Ale same bzdury plótłem, żadnej prawdy. Nikogom nie ukrzywdziłem. Gadać na ludzi? Węszyć? Po co? A że dawali parę złotych? To i przydały się. W koniam ich robiłem.

Zachichotał, ale niepewnie i w porę zreflektowawszy się, umilkł.

– Lista tera jest – wybąkała przestraszona. – To pana capnę. Kazań oddać, co pan od ubecji wziął, i jeszcze karę przyłożą! Nie darują! Ze skóry obłupią! Przecie ich pan zna, jakie zajadłe!

– Jak pani za mnie pójdzie, to i pani czepiać się będą. Temu ja to mówię. Czy pani nie boi się takiego życia, marnego, ze mną?

Milczała. Tak, to był poważny problem. Bez kościelnego ślubu, do tego, co będzie, jak Prokopa zlustrowają? Już im wsio równo, ukrzywdził czy nie, prawdę czy bzdury plótłem. Donosił, to i cześć. Rozliczyć mogą. Co wtedy? A jak rentę odbiorą?

Z mieszkania wysiadają? Że za krzywdy zdobyte? Z czego żyć będą? Gdzie się podzieją? Przemyśleć trza. Albina jeszcze nie zniechęcać, bo gotów zerwać i wtedy dopiero byłby klops! Skinęła głową Prokopowi i zerknęła ku narzeczonemu. Szedł z wyniosłą miną, wyraźnie obrażony, udawał, że jej nie dostrzega. „Źle – zaniepokoiła się Jadwiga. – Ratować sytuację trza, póki jeszcze można”. Powoli zaczęła wycofywać się w stronę Albina. Należało czym prędzej rozmówić się z nim i coś postanowić. Jutro powinna wrócić z pielgrzymki z narzeczoną. Z jednym albo z drugim. Ale na pewno nie bez żadnego z nich. Pytanie tylko, z którym? I nie było to proste pytanie.

* * *

– Można było iść plażą w nieskończoność. Nawet gdyby się obeszło wyspę dookoła, można było ją obejść po raz kolejny, znowu i znowu. Morze szumiało zagadkowo, ale i ze zrozumieniem dla naszej ludzkiej skończoności. Uważało się za wieczne. Nie miałam mu tego za złe. Nie prostowałam. Dziwiłam się wszystkiemu, zaskakiwały mnie dziwaczne, małżowate muszle, to znów gąbki, które ani rusz nie dały się wysuszyć, i sterty brunatnych morszczyków, wyrzucanych co noc pieczołowicie przez fale na brzeg; uprzątały je o świcie pracownicy hotelu, ale wciąż zalegały całymi hałdami. Grzebanie w morszczykach patykami przynosiło pożądane efekty w postaci podłużnych, srebrnych kamyków niewiadomego pochodzenia. Uważałam, że są częścią księżycy, Gerard oglądał je uważnie i twierdził, że to absolutnie niemożliwe, pozostałam jednak przy swoim zdaniu. Były tak dziwne, jak wszystko wokół. Jak srebrni ludzie, których obserwowaliśmy czasem wieczorami na plaży. Nawoływali się niskim, gardłowym głosem. Łowili ryby, potem piekli je w ogniu, rozpalonym bezpośrednio na piasku. Woda w morzu wydawała mi się zbyt przezroczysta, zbyt słona, jej kolor nazbyt

intensywny, galaretowate meduzy nienaturalnie wielkie. Palmy różniły się od siebie tylko pękami woskowych kwiatów, których całe naręcza na pniach bieląły lub żółciły się w słońcu. Dotykałam ich palcem, kłuły delikatnie, wydzielając słodkawy zapach. Palec lekko cierpł, wysysałam mocno, pozostawał ledwie wyczuwalny aromat.

Gerard pokazał mi opuncje. Rosły tu wszędzie. Na piaszczystej, miedzianej glebie rozpościerały się krągłymi, zielonymi ciałami, bezwstydnie, napierały zewsząd. Olbrzymiały, przybierały na wadze mimo braku deszczu, wyrzucały z siebie małe, krwiste owoce, okrągłe i twarde. Gerard perwersyjnie wylapywał je wzrokiem, dokądkolwiek szliśmy. Widział tylko opuncje, poszukiwał ich. W pobliżu plaży, przy drogach, nie mógł obejść się bez pokaleczenia dłoni, byle dorwać się do ich soczystego wnętrza. Przypominało mięsistą czerwień warg, ich miękka soczystość podniecała go jak nagość dziewcząt. Ich też szukał na plażach. Leżały bez ruchu, nieświadome, że staje nad nimi, dysząc. Ich gołe piersi podniecały go. Europejki. Nigdy miejscowe, choć to ich tak zajadle poszukiwał, niesamowicie i upokarzająco, choć myślę, że nie do końca zdawał sobie z tego sprawę. Ogarniał go taki sam żywioł, jaki kłębił się wokół niego. To było zbyt silne, zbyt przejmujące, aby własną wolą potrafił się z tego wyzwolić, okiełznać. Płonął pożądaniem. Cały był we władaniu zaślepiającej żądzy, niekoniecznie erotycznej. To było coś znacznie więcej, coś o wiele poważniejszego. To była żądza poznania. Parł do niej na oślep. Jak ćma do światła. Nie było na to lekarstwa ani ratunku. Chciał doznać. Chciał wiedzieć i zaznać wszystkiego.

Szłam brzegiem, boso, fale szarpały moimi stopami bezlitośnie. Po całodziennych spacerach ból stóp prawie uniemożliwiał mi zaśnięcie. Patrzyłam zawsze w stronę morza. Pozostawałam gdzieś poza doznaniem Gerarda. Tak było lepiej. Moje były równie intensywne, bombardowały mnie z każdej strony, domagały się uwagi, lub selekcji, w każdym razie reakcji. Zmęczona, odtrącałam

to, co przynosiło z sobą obserwowanie Gerarda. Moje przemęczone zmysły odsuwały mnie od niego na odległość paru metrów. Tylko pozornie szliśmy razem. Błądziliśmy z dala od siebie. Chłoniliśmy dokładnie co innego, coś wręcz odwrotnego. Do udręczenia. Świsty wzburzonej wody na szczęście mnie kołysły. Intensywna, gęsta, morska wilgoć broniła przed wyczerpaniem. Dopiero tu zrozumiałam, w całym iluminacyjnym przekonaniu, że życie naprawdę wyszło z morza. Też żyłam dzięki niemu, słońce już dawno wysuszyłoby mnie na wiór.

Patrzyłam na ciemną skórę tubylców, z podziwem i obawą. Nie miałabym odwagi ich dotknąć. Byli jak z innej planety. Zaczepiali wzrokiem, jednocześnie łagodnym i dzikim, ruchy mieli i kanciaste, i zwinne, nie różnili się pozornie od owych dzikich zwierząt, które starali się za wszelką cenę ujarzmić. Te udomowione, same upodobniały się do nich, przybierając ludzkie, rozumne spojrzenia, aż cierpła mi skóra. Gerard zmieniał się z chwili na chwilę. Nie przypuszczałam, że jest tak podatny na to, co go otacza. Z trudem zachowywał równowagę. Pobudzało go wszystko. Obsesyjnie. Desperacko. Pił litrami wodę, jakby wciąż chciało mu się pić. Zewsząd łowił uszami arabską muzykę, potrafił z utęsknieniem biegać po ulicach, za echem rzewnych czy agresywnych zaśpiewów. Tropił je jak wytrawny myśliwy, potem przystawał lub przysiadł, przy pobliskiej fontannie czy na ogrodzeniu placyku wokół krzewów berberysu, i słuchał. Mięśnie twarzy tężały mu, oczy ciemniały, jakby jakiś wschodni przodek dawał o sobie znać w sposób nieprzejednany. Jakby czuł zew, pokrewieństwo krwi z tym niesamowitym żywiołem, z tym dla mnie obcym ludem. Był jednym z nich. Jednocześnie nie był. Wciąż zachowywał się jak turysta i to go złościło. Ale nie szukał turystycznych atrakcji ani wygod. Irytowały go luksusowy basen, cisi, układni kelnerzy, gotowi na każde skinienie, ugrzecznione pokojówki, całujące po rękach za napiwek, i europejskie dania. Krążenie po ulicach wzdłuż hoteli uważał za bezcelowe. Szukał prawdziwego, ukrytego przed nim życia. Poszukiwał

tubylców w ich intymności. Podglądał to, co starali się za wszelką cenę ukryć. Obchodziły go brudne uliczki, cuchnące rybami doki, przystanki autobusowe, zalane dosłownie tłoczącymi się ciemnymi postaciami ludzi, którzy stali niemi, jakby nie było nikogo. Pociąg, którym raz jechaliśmy, pozbawiony prawie drzwi, miał przerdzewiałe okna, które nie domykały się, a obicia siedzeń popękane ze starości. Spóźniony już na wstępie o ponad pół godziny, włókł się i tłukł z niewyraźną miną, poprzez zaśmiecony, biedny krajobraz, pełen jedyne swego niepolitego wręcz bogactwa, drzew oliwkowych.

Ludzie przeważnie milczeli. Ich rozemocjonowane, podniesione do rangi najwyższego znaczenia głosy słyszało się tylko podczas targowania. Był to rytuał, uświęcony tradycją. Tak żyli od wieków. Gardzili zwyczajem odgórnego ustalania cen, przywleczonego tu wraz z europejskim najeźdźcą. Tutejsza mentalność nie pozwalała im na taką profanację towaru. Cena nie jest tu bowiem czyniś stałym, zależy od wielu czynników, ich nieskończoność gwarantuje prawidłowe jej ustalenie w momencie dobijania targu. Cena jest żywa, żyje tak długo, dopóki się jej nie określi. Sprowadzona tym samym do jeszcze jednej cechy towaru, staje się wtedy czymś zwyczajnym, traci swój nadnaturalny charakter. Z chwilą zapłaty, przestawała mieć jakiegokolwiek znaczenie, jak znaczenia nie miał już towar, który odtąd nie należał do właściciela, a do zupełnie kogoś innego. Ilu potencjalnych chętnych do kupna, tyle potencjalnych cen. Nieskończoność cen. Jak nieskończona jest różnorodność tych, którzy zamierzają coś kupić. Począwszy od ich twarzy, poprzez sposoby ubierania się, stan zamożności, zasobności portfela, mentalności, braku zaangażowania w kupno, lub przeciwnie, gwałtownej chęci nabycia właśnie tego przedmiotu, u tego, a nie innego kupca. Wiele zależy też od wieku i płci kupującego, od jego sposobu bycia i umiejętności manipulowania argumentami. Argumentacja, prawdziwa czy zmyślona, jeśli miała posmak elokwencji, jest ceniona tu najwyżej. Gerard nie znosił targowania. Wydawało mu się, że okrada w

ten sposób tych ludzi z należnego im zarobku. Ja przyswoiłam sobie tę umiejętność natychmiast. Zżymał się, że to nie on, a ja, mam pewnie w żyłach jakiegoś orientalnego przodka. Kiedy udało mi się zbić cenę poniżej wartości, chętnie oddawali swój towar, nawet gdy byli nieco stratni. To im dodawało splendoru. Ale zdumiewało Gerarda, że tak wysoko jest tu ceniona sztuka handlu. Ceniona najwyżej, wyżej od samego towaru. Jeśli zaimponowało się sprzedawcom tą umiejętnością, nie obrażali się, tylko pochylali w ukłonie pełnym godności i szacunku dla przeciwnika. Tagowanie jest bowiem wyrazem przekazywania wytworów rąk, ale również przejmowaniem tych wytworów w najbardziej korzystny sposób. Oni również kupowali u swoich sąsiadów i odczuwali radość, gdy udało im się zakupić coś korzystnie. Jeśli klient przepłacał, mając gest, lub po prostu z nieświadomości, nie wzdragali się przed oszukaniem go. Ktoś, kto jest naiwny, w ich mniemaniu głupi i pozwala się oszukać, nie zasługuje według nich na szacunek. Oszukujący nie czyni mu więc nic złego. To kupujący oszukuje sam siebie. Taka jest tu zasada.

Gerard dwoił się i troił. Filmował i pstrykał. Przysparzało mu to mnóstwa kłopotów. Tubylcy nie lubią, gdy ich się zdejmuje z nienacka, podgląda w czynnościach uważanych tu za osobiste, a przecież tylko takie zdjęcia mają posmak autentyzmu. Mimo że zachowania ludzi rozgrywane są na oczach całej społeczności, należą wyłącznie do nich. Wymagało mnóstwa taktu i dyplomacji skłonienie ich do przyzwolenia na uwiecznienie ich na taśmie filmowej czy kliszy. Przeważnie mediacji podejmowałam się ja. Akceptowali mój uśmiech, reagowali pozytywnie na okazywaną życzliwość i sympatię. Okazywali się wtedy łagodni i cierpliwi, czasem nawet dowcipni. Ich zajadła zwierzęcość zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Chowali w głąb siebie krwiożerczość i agresję, której upust dawali tylko w tańcu, śpiewie, czy podczas nieskrywanego wcale okrutnego traktowania zwierząt. Zaniedbane, głodne wielbłądy i osły,

rozplenione do granic absurdu wychudzone, wszechobecne koty... Powszechna żebranina była tu normą, dotyczyła wszystkich, także dzieci, o jedną drachmę, jeden dinar, jeden dolar, o cokolwiek.

Gerard był jak bibuła. Cokolwiek wchłonął, pozostawiało na nim ślad. Spalał się wewnątrz, na zewnątrz żółkł, jakby toczyła go choroba. Bo to była choroba. Nazywała się nieprzeniknione. Nie umiał się z tym pogodzić. Że nie potrafi zgłębić niczego do końca. Że ślizga się po powierzchni znaczeń, śledząc za ledwie zarysowania na niepojętej, gładkiej tafli muzułmańskiego życia. Że nie zrozumie ich religii, nie pojmie codzienności, bo nie należy do nich. Nigdy jednym z nich nie będzie, nawet gdyby z nimi zamieszkał. I że ten problem rozciąga się na każde poznanie. Tłumaczyłam cierpliwie, że skończonego poznania nie ma i być nie może. Tak uformowany jest nasz byt, wszystko bazuje na niepojęciu. To co zgłębiamy, to za ledwie czubek góry lodowej. To fakt niezaprzeczalny. Gerard jednak coraz mocniej zaciskał wargi i coraz częściej ciągnął mnie z uporem w najciemniejsze, najbardziej niebezpieczne zaułki.

– Szukasz guza – ostrzegłam go w końcu. – Ściemnia się, do hotelu szmat drogi, jesteśmy na łasce ludzi, którym zaczynają się świecić oczy na nasz widok. Są wokół, otaczają nas. Czują swoją siłę. Stają się groźni. To cię nie obchodzi? Że możemy tak po prostu zniknąć, a oni będą trzymać język za zębami? W myśl solidarności ze sobą i ze strachu, że podobny los mógłby spotkać jeśli nie ich, to ich najbliższych?

Gerard rezygnował z takich wypadów z ciężkim sercem, nie do końca przekonany, bo nocne wędrówki najbardziej go inspirowały. Podglądał, co tylko było możliwe. Rejestrował, jeśli nie taśmą, to swoim nastawionym na maksymalne obroty umysłem. Nocą kochał się ze mną prawie do utraty przytomności. Jego ekscytacja nagromadzona w ciągu dnia nie mogła znaleźć ujścia. Długo leżał, odpoczywając, zanim zasnął. Był bez przerwy napięty i czujny. Nawet we śnie. Nie

znałam go takim. Miałam wrażenie, że w ogóle go nie znam. Że ten, który ze mną tu przyjechał, to zupełnie ktoś inny, nie ten, nie mój Gerard. Potrafił notować wszystko i wszędzie, niesłychanie wyczulony na najdrobniejsze oznaki czegoś inspirującego. Wyłapywał je wewnętrznym radarem, jakby miał wmontowany w sobie system na podczerwień. Był w tym nieustannym tropieniu bezbłędny, nie mylił się nigdy, trafiał w najciekawsze miejsca, fascynujące, nie podlegające dyskusji co do swoich walorów. Gerard miał typowy dziennikarski umysł. Był profesjonalnym dokumentalistą. Perfekcjonistą. Podziwiałam go. Jego rozszalałą ciekawość, nieokiełznaną wyobraźnię, aż do granic wytrzymałości, które tak bardzo zaczęły mnie wciągać. Jego zapiski pęczniały i pęczniały moje utrudzone nogi. Gerard nie przejmował się tym jednak. Nie rozstawaliśmy się ani na chwilę. Wciąż przy sobie lub w zasięgu spojrzenia. Potrzebujący swojej obecności do granic ekshibicjonizmu. Podczas niezliczonych wędrówek rozmawialiśmy ze sobą bez przerwy. Przedtem nigdy nie rozmawialiśmy tak dużo. Rozmowy dotyczyły głównie pracy, scenariusza i materiałów, które tak pieczołowicie zbieraliśmy. Omawialiśmy je bez końca, wyłapując wszystkie ewentualne braki i gorączkowo uzupełniając je przy najbliższej okazji. Nie przypuszczałam, że możemy tworzyć z Gerardem tak niesamowity tandem. Byliśmy zgrani ze sobą, jakbyśmy pracowali razem od zawsze. Wyłapywaliśmy w lot jedną i tę samą myśl, biegliśmy w dedukcji tym samym torem, to samo nas śmieszyło i złościło. Otworzył się przed nami niespodziewanie wspólny świat, pojmowaliśmy go na swój, różny sposób, ale te oba sposoby widzenia zazębiały się ze sobą i uzupełniały, tworząc spójną całość, jedność. To wrażenie zdominowało cały nasz pobyt. Jeśli coś najbardziej zapamiętałam z tamtej podróży, to właśnie tę naszą zadziwiającą wspólnotę.

*

Dotarli wreszcie do zajazdu, głodni, zmęczeni, oczekujący przede wszystkim gorącego obiadu. W zajezdzie było tłoczno. Pachniało kapustą i boczkiem, kelnerki uwijały się między stolikami. Jan wyciągnął stopy z butów. Pęcherze na piętach popękały mu, zaczął pieczołowicie zmieniać opatrunek. Wydra postawił wózek z Gabrysiem przed wejściem, warknął, że musi do toalety, po czym zniknął. Budniokowie wtaszczyli syna do środka i rozsiedli się przy oknie. Szczękały talerze, panował ruch i gwar.

Jana zaczął morzyć sen. Jednocześnie przeczuwał, że bezsenność, która tak zmęczyła go minionej nocy, dziś w nocy dopadnie go po raz kolejny i mimo potwornego zmęczenia, nie zmruży znów oka. Miał wrażenie, że skoczyło mu ciśnienie, przez cały czas czuł pod czaszką przykry ucisk, postanowił, że po powrocie przebadania się dokładnie u kardiologa. „Z sercem nie ma żartów” – pomyślał i zaśmiał się z goryczą, że tak się sobą przejmując, po tym wszystkim, co zaszło wczoraj wieczorem. Był niewątpliwie ostatnią osobą godną współczucia.

Sonia siedziała w pobliżu baru, widocznie nie miała zamiaru odmówić sobie posiłku. To Jana pocieszyło i uspokoiło. „Nie jest tak źle – pomyślał z wdzięcznością w stosunku do dziewczyny. – Jakoś się rozeszło po kościach...”. Zamówił golonkę w bigosie i od razu poczuł się lepiej. Oczekując na potrawę, rozglądał się z ciekawością dookoła. W pewnej chwili zauważył zażywnego, zwalistego jegomościa, który z tacą i z ustawionym na niej talerzem balansował zręcznie między stolikami, zmierzając najwyraźniej w jego kierunku.

– Ksiądz pozwoli? – Jegomość faktycznie zatrzymał się przed nim i zesunął zgrabnie z tacy parujący talerz z golonką.

Zanim Jan zdążył cokolwiek odpowiedzieć, mężczyzna przysiadł się do stolika, z wyraźną przyjemnością.

– Sporo pielgrzymek tędy przechodzi – zagaił bez wstępu i zatarł ręce. – Niektórzy i po parę razy idą, już ich nawet rozpoznają. Księdza to pierwszy raz

widzę. Książd nowy?

Jan nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Na wszelki wypadek przytaknął.

– Taki los – podchwycił mężczyzna. – Każą iść, to się idzie. Służba nie drużba. Ale niektórzy z potrzeby idą. Tu zawsze pełno, tędy najłatwiej do miasta, to i się zatrzymują. Sił podłapać. A ja nie narzekam. – Znów zatarł ręce, a właściwie rączki, bo miał je małe i pulchne, jak u wyrośniętego dziecka. Cały był okrągły i różowy, zupełnie pozbawiony zarostu, jak wielkie niemowlę.

Jan nie odczuwał niechęci, raczej zainteresowanie, gdyż mężczyzna okazywał mu nieudawaną i nienachalną życzliwość.

– A pan skąd tutaj? – podjął wreszcie Jan, zerkając na stygnący bigos.

– Niechże książd je, nie ogląda się na mnie – zachnął się mężczyzna. – Ja o sobie opowiem i tak, bez żenady. Co tu zresztą ukrywać, wszystko idzie jak z płatka. Życie godne mam, nie przeczę, ale uczciwie zapracowane. Podatki zapłacone.

– Tak, tak – przytaknął Jan z pełnymi ustami i coraz większą ciekawością. Po tylu dawkach niedoli, którą usłyszał i wchłonął podczas tej pielgrzymki, ten zadowolony z siebie człowiek wydał mu się jakimś outsiderem z szarej rzeczywistości, kimś, kto był absolutnym zaprzeczeniem niemożności w tym nieszczęśliwym kraju. – To jakże się panu powiodło? Tak od razu?

– Ja tutejszy. Przewrót mi pomógł – rzucił mężczyzna beztrosko, choć poufale. – Stałem szybko na nogi, interes się rozwinął, kredyt spłacam równo. Miałem farta, bo punkt świetny, mnóstwo ludzi się tędy przewija. A zjeść przecież muszą. To i się kręci. Zainwestowałem, moja wygrana. Nawet Unia mnie nie zjadła. Jeszcze dopłaty dali na dodatkowy rozruch. Więc motel rozwijam.

– To pan obrotny – przyznał Jan. – Mało teraz takich.

– A gdzie! – zaprzeczył żywo rozmówca. – Znajomi grunty kupili, nieużytki po pegeerach, na same hektary to tyle dopłat dostają, że im kredyty niepotrzebne.

Fermę budują. Może i za przetwórstwo się wezmą.

– Ale trzeba mieć ten grosz, żeby najpierw kupić – zauważył Jan przytomnie. – Nie każdy ma.

– Nie każdy – przyznał mężczyzna, zupełnie nieskrępowany. – Ale wystarczy pojechać na Zachód, nawet na czarno, posiedzieć dłużej, roboty paskudnej się nie bać, a grosz nie śmierdzi. Potem wrócić, włożyć w biznes, tylko z głową, żeby nie stracić. I już.

– Trzeba jednak szczęście mieć – podpowiedział Jan.

– Fakt – przyznał jegomość – ale przede wszystkim łeb na karku, gospodarną babę i to... – pokazał przyczepiony do klapy wizerunek Matki Boskiej. – Noszę od czasu Wałęsy, a to najlepsze ubezpieczenie.

Jan uśmiechnął się życzliwie. Rozmowa wyraźnie pokrzepiła go i podniosła na duchu. Po kłótniach wewnątrz grupy zwątpił już w sens i możliwość konsolidacji kraju. Tymczasem ten człowiek był żywym dowodem na bezpodstawność tych pesymistycznych prognoz.

– Ksiądz przecież widzi, że świat się zmienia, wszystko idzie naprzód. Ilu dziś, nawet na wsi, ma komputer, komórkę. Szanse są wyrównane. Wystarczy chcieć się wyrwać i już, czemu nie? Świat stoi otworem. Nie tu, to tam, zawsze gdzieś się uda.

– No... – podjął Jan ostrożnie. – Nie wszyscy w to wierzą. Wciąż oczekują, że świat sam się im rzuci do stóp. Ale też trudno zaprzeczyć, że nie każdy ma takie zdolności, jak pan.

– Co tam ja – wzruszył ramionami. – Ja robię swoje. Jakby każdy robił swoje, co do niego należy, to wszystko by się ułożyło. Najgorzej to sięść i płakać, i ręce załamywać. I narzekać. Na siebie trzeba popatrzeć. Nie użalać się, pomyśleć, co zrobić, jak zarobić.

– Och – przytaknął Jan skwapliwie. – A golonczka, pyszności! Sam pan

pilnuje interesu?

– Pańskie oko konia tuczy – zaśmiał się gospodarz. – Baba mnie znowu zległa, to trzeba samemu. Powstrzymać się nie można, za przeproszeniem księdza, to i czwarte się trafiło. Ale nie narzekam. Dla złego, zawsze czas zły. Dla dobrego, każdy dobry. Grunt, to sumienie mieć, nie krzywdzić bez powodu. Choć całkiem nie skrzywdzić się nie da. Zawsze czyjś zyski czyjaś strata będzie. Chodzi o to, żeby w porządku być ze sobą, na ile się da.

– Święte słowa, panie... – ksiądz rozpromienił się nad talerzem.

– Gabrielu – podpowiedział szef zajazdu i powstał. – Jarząbek jestem – przedstawił się i usiadł znów przy stoliku.

– Naprawdę bardzo mi miło – ksiądz uściskał mu palce szczerze. – Gdybyśmy cały taki naród mieli... – westchnął rozbrojony jego bezpośredniością. – Może wybrałby się pan z nami do Częstochowy? Podziękować za łaski, których pan doświadcza?

– Ja?... Ale jutro... niedziela... co z intereselem? – bąknął Gabriel niepewnie, przestraszony, i aż wstał.

– Zamknie pan... – pod wpływem jego wzroku Jan na chwilę stracił pewność siebie.

– Ale... ja stratny będę... Kredyt ja wziął... Jak interes zostawić? Tak sobie pójść...

Jarząbek zebrał o wyrozumiałość! Chce dyspensy na pracę w niedziele... Ten proszący o zmiłowanie człowiek liczył na zrozumienie i wsparcie. Jan zaczął się wahać. „Proście, a będzie wam dane... ” Czy na pewno nie godzi się spełnić prośby tego człowieka? Nie jest to przecież zły człowiek, a jego prośba nie jest niemoralna. Pracuje uczciwie, więc może uczciwiej jest pomagać ludziom, nawet wbrew zasadom, niż przestrzegając zasady, czynić im szkodę? Jan przestał być pewny tego, co powinien mu odpowiedzieć. Ten człowiek, który stoi tu teraz przed

nim i drepcze w miejscu zatroskany o swoje finanse, na których wspiera się byt jego najbliższych, czy nie jest dość pokorny? Czy nie zasługuje na wspaniałomyślność? Czy ma otrzymać odmowę? Jakby okoliczności nie miały nic do rzeczy... Jan poczuł, jak chłód przebiega mu przez plecy, dreszcz wstrząsnął nim gwałtownie, aż zadrgała mu broda. Nie potrafił być bezwzględny i bez serca. Poczuł, że się poci i nic nie mógł na to poradzić. Ostatnio coraz częściej miewał wątpliwości, przytłaczały go jego własne rozterki. Jak mógł domagać się czegokolwiek od innych, skoro sam nie był pewien, czy powinien czegoś od nich wymagać i czy na pewno tylko ślepego posłuszeństwa...

* * *

– Punktualnie o siedemnastej nadlatywała ciemna chmura. Niebo szarzało na moment, gdy opuszczała się szybko w dół, w coraz głośniejszym, wrzaskliwym jazgocie. Chmara wróblowatego ptactwa. Zjawiały się znienacka, zawsze w tym samym miejscu, o tej samej porze. Ich krzyk czynił nieopisany hałas. Zgiełk stawał się nie do wytrzymania. Okupowały kilka liściastych drzew pod balkonami hotelu, fruwały wszystkie naraz, we wszystkie strony, dziw, że nie roztrzaskiwały się nawzajem w locie. Ćwierkające dźwięki, które wydawały z siebie, ogłuszały najbardziej odpornych i wytrzymałych widzów. W tym samym czasie z wieży minaretu głos muezzina wzywał wiernych na popołudniowe modły. On i ptaki przekrzykiwali się nawzajem, do wyczerpania. Zatykałam uszy i uciekałam w głąb pokoju, zasuwalam zasłony, ale krzyk był zbyt przenikliwy, aby go zdusić byle czym. Musiał wybrzmieć. Do ostatka. Do godziny osiemnastej. Równy, jak z wybiciem zegara zapadała cisza. Ptaki nareszcie ułożyły się do snu i zamilkły. Wierni już skończyli modlić się w meczecie. Otwierałam balkon. Parne, pełne gorącej wilgoci powietrze, wdzierało się do środka. Stygło bardzo szybko. Tak

szybko, jak zapadał wieczorny zmrok. Z chwili na chwilę niebo siwiałło, robiło się chłodno. Lekka bryza przesuwała się cienkimi pasmami ledwie wyczuwalnego wiatru od strony morza w kierunku rozbłyskującego lampami miasta. Piliśmy z Gerardem na balkonie gorącą herbatę i wypatrywaliśmy księżycą. Zjawiał się niepokojąco mały i niepewny, jak brzusek oseska. Trwał zawieszony zbyt wysoko, na zbyt odległym niebie, mgliście ciemnym, pozbawionym zupełnie gwiazd. Dżerba nie zafundowała nam ani jednego romantycznego wieczoru. Wszystkie były bezgwiazdne, z tym tak wciąż nieodmiennie obcym, prawie niedostępnym oczom księżycem, zawsze białym i zawsze jednakowo okrągłym, jakby nie dotyczyły go żadne z faz, które mu się przypisuje.

Gerard przygotował wreszcie nasz wypad. Wynajęliśmy sześciuosobowego dżipa i miejscowego kierowcę Hassana. Groblą El Kantara dostaliśmy się bez trudu na ląd stały. Nigeryjczyk, zwany Otto, siedzący obok kierowcy i jadąca tuż za nim jego młoda żona Lija, ja z Gerardem na samym tyle i w środku dwoje Amerykanów, czterdziestoletnia Amy i trzydziestolatek Joachim, oboje francuskiego pochodzenia, to była cała ekipa. Amerykanie przygotowywali ekologiczny dokument dla Animal Planet, Nigeryjczycy dla National Geographic. Wszyscy obowiązkowo w ciemnych okularach i czapczkach z daszkiem, przyglądaliśmy się sobie z wielkim zainteresowaniem. Kamery wideo i podręczny bagaż ledwo zmieściły się do samochodu. Lija i Otto, z włosami w czarnych węzełkach, przez cały czas jedli drobne, małe ciasteczka figowe albo żuli gumę, którą częstowali każdego z nas. Amy, platynowa, niewysoka blondynka o ruchliwej twarzy i rozbieganych oczach, bez przerwy coś mówiła, jakby zdawała wciąż komuś jakąś relację. Joachim, wysoki i chudy, o szerokim czole i wąskiej brodzie, ujmował nie schodzącym mu z cienkich warg uśmiechem. Jego niebieskie oczy zdawały się nie zatrzymywać na nikim i niczym. Był stale na luzie, rozwichrzona czupryna przydawała mu niekłamane wdzięku. Łatwo dogadał się z kierowcą, co

uczyniło podróż znacznie prostszą i przyjemniejszą, ze względu na ilość informacji, które zdobył w ten sposób od Hassana.

Wyruszyliśmy nocą, aby nad ranem dotrzeć na miejsce. Pierwszym naszym celem był Chott El Jerid, olbrzymie słone jezioro. Gdy stanęliśmy wreszcie na bezkresnej równinie z białej soli, było jeszcze ciemno. Auta wyłaniające się z oślepiającym blaskiem reflektorów robiły upiorne wrażenie, potęgowane jeszcze przez drgające powietrze. Przejeżdżały groblą przecinającą jezioro jak przedpotopowe monstra, utkane z ognia i dymiącej mgły. Błądziliśmy po nierealnym bezkresie, nogi zapadały się w soli jak w grząskim śniegu. Uczepiona rękawa Gerarda uniemożliwiała mu filmowanie. Wciąż wydawało mi się, że stoimy na cienkiej krze, która właśnie odrywa się, aby zabrać nas w głąb jeziora, i że żadne skakanie z kry na brzeg nic nie da, że oddaliśmy się wraz z nią z prędkością światła, bo ta tutaj odrealniona rzeczywistość zupełnie nas nie dotyczy. Nawet filmowcy kręcący się tu i ówdzie z włączonymi kamerami i wyczekujący cierpliwie na wschód słońca chyba nie istnieli naprawdę, a byli tylko wytworem odurzonych niesamowitą iluminacją zmysłów, odpowiedzią na poczucie całkowitej izolacji od istniejącego gdzieś daleko i realnie świata.

Słońce wstało nagle. Kryształowa kula wytrysnęła rozpaloną lawą zza granatowego horyzontu, jak z wulkanu, uwalniając się z sykiem od przytraczających ją do niego pęt. Nie patrzyłam na nią, tylko na Gerarda. Słońce było w nim i na nim. Wszędzie. W błysku spojrzenia, w rozchylonych ramionach i nieokiełzanych włosach, które opadły na jego rozpłomienioną twarz. Płonął całym sobą. Palił się, gorzał. Na moich oczach spalał się, popielał. On i słońce byli jednym, w dwóch odsłonach. Teatr dwóch słońc, rozpalony do białości spektakl powstającego z nocy poranka. Drżałam z zachwytu i lęku. Nie widziałam dotąd Gerarda w stanie takiej ekstazy. Ogarnęła mnie zazdrość o czerwone plamy na jego policzkach. Tych wypieków nie wywołam ja. Nigdy przy mnie tak nie lśnił. Jakby

unosił go ten pożar daleko, poza mnie. Był taki odległy ode mnie. Trzymałam kurczowo za rękaw nie Gerarda, tylko to, co z niego pozostało. Jakąś namiastkę, niespójną z nim samym w żadnym calu. Chciałam krzyknąć, żeby go obudzić, tak bardzo przestraszyłam się tego jego nagłego snu. Ale zdałam sobie sprawę z tego, że Gerard nie śpi. Jednocześnie nie słyszy i nie widzi niczego poza słońcem. Nie usłyszy mojego wołania i nie dojrzy mnie, choćbym machała mu ręką przed oczami. To, czego on doświadczał, było czymś tragicznym i wzniosłym zarazem. Dostępnym tylko jemu. Jakby przyjmował komunię. A ja nie mogłam pomóc mu wrócić z nieba na ziemię. Stałam bezradna na białym, wirującym od błysków lodowym szkle. Samotna. Naprzeciw słońca, które rozlewało się w grząskim bagnie jeziora z taką mocą. Jego siła nie napotykała żadnego oporu. Było zwycięskie. Panowało tu niepodzielnie. Może nigdzie aż tak bardzo, jak tu, ale tym bardziej nieskore do dzielenia się swoją władzą. I władzą nad Gerardem. Jeżeli miał powrócić do mnie, z tego zapatrzenia, to nie tu i nie teraz. Musiałam zabrać go stąd. Uciec. Szarpnęłam go za rękaw. Spojrzał nieprzytomnie, uśmiechnął się i milczał. Wciąż filmował. Prowadziłam go wolno w stronę dziupa. Wsiadając do auta, raz jeszcze odwrócił się, jakby ogromna magnetyczna eksplozja słońca ciągnęła go z powrotem ku sobie. Samochód ruszył. Blask w oczach Gerarda powoli gasł. Oddalaliśmy się szybko. Czekałam. Już za chwilę przyciąganie światła przestanie działać. Rozproszy się w dniu, który właśnie się rozpoczął. Roztopi w niepoliczalnych pasmach pulsującego upału. Wreszcie Gerard spojrzał na mnie. Na mnie. Nie na słońce. Z którym nie byłam w stanie rywalizować. Mknęliśmy szybko. Od granic Algierii byliśmy tuż. Powoli zbliżaliśmy się do Sahary, do Wielkiego Ergu Wschodniego, do oceanu ruchomych piasków pustyni. Ale zaczęliśmy od oaz, Chebiki, Tamerzy i Mides, z głębokimi wąwozami i kaskadami spadających w dół wodospadów. Po drodze mijaliśmy góry Atlas. Leżały w dali ospale, przypominały do złudzenia cielska przedpotopowych dinozaurów. Erozja

potrafi tu wyczyniać cuda. Coraz szerzej otwierałam oczy, niczym przysłone aparatu, licząc, że wchłonę cały ten siny odbłask, płynący z gór długimi cieniami aż na teren płaski jak stół, przykryty żółtym obrusem piachu. W południe dotarliśmy do wąwozu Selje. Gerard przyglądał się ogromniejącym wokół skałom piaskowca nieprzychylnie. Jakby wciąż tęsknił za słońcem. Za tamtym. To tutaj, palące straszliwie skórę, było inne, niż tamto, które pozostało tam, nad słonym jeziorem. Przysiadł na skalnym bloku i zamiast kręcić film, wyłączył kamerę. Może było tu dla niego za bardzo ziemsko, tak niebezpiecznie, aż zwyczajnie. Nie śmiałam płoszyć jego zamyślenia. Jego niepokoju, zbyt osobistego jak na jakąkolwiek ingerencję. Szłam wzdłuż wąwozu sama, coraz bardziej samotna. Smutek, który pojawił się wtedy, znienacka, nad tym szalonym jeziorem, nie opuszczał mnie wciąż, tak jak poczucie nierealności każdego z miejsc w tej dziwnej krainie, którą przemierzaliśmy od tak niedawna. Gerard znów nie należał do mnie, tylko do swoich, powracających wciąż do niego, nieodgadnionych myśli. Nie pracował, ogarnęła go zaduma i rozprężenie. A mnie, niepowstrzymany już niczym, lęk. Który jednak nie był tym samym lękiem, co w Chott El Jerid, lecz bardziej złośliwym, wgryzającym się w trzewia, jak rak. Bolesnym i nie do powstrzymania. Nagle przyłapałam się na tym, że wcale już nie idę. Że stoję, jak przykuta do ziemi. Zamurowana przez otaczające mnie wokół skały i leżącą przede mną przepaść, głęboką jak dno piekła. Lepkie, rozżarzone powietrze drgało dziwnymi kolorami, otchłań otwierała się we wszystkich odcieniach miedzi. Bałam się spojrzeć w dół, aby nie dojrzeć tam konających skazańców. Byłam pewna, że krzyczą coś do mnie w niezrozumiałym języku, ale górą niesło się tylko coś, jakby szatański chichot, przelatujący ponad olbrzymimi, halucynogennymi wytworami erozji. Podniosłam w górę wzrok i zamarłam z przerażenia. Nade mną wisiała ogromna skala, bez żadnej podpory od spodu, przytroczona tylko jednym ze swych wybrzuszonych boków do ściany przeoranego na wylot kanionu. Szczelina między

bryłą a ową ścianą była ciemna, miałam wrażenie, że wciąż się powiększa. Chybocząca skała była tuż nad moją głową. Na wysokość lotu ptaka. Gdyby się urwała, nie zdążyłabym nawet pomyśleć, by odskoczyć. Nie zdążyłabym zrobić niczego. Byłam skazana i miałam tego absolutną świadomość. Ostatkiem sił cofnęłam się w bok. Kręta ścieżka doprowadziła mnie do Gerarda, siedzącego przy wejściu do wąwozu. Z uruchomioną znów kamerą czekał już na mnie niespokojny. Nie mógł widzieć tego, co ja, widok ten zasłonięty był przez wodospad i wysokie palmy wokół zielonego lustra wody, przy którym staliśmy. Pomiedzy daktylowcami Gerard wypatrzył małą jabłoń, pełną owoców, którą teraz pieczołowicie obchodził ze sprzętem, szukając najkorzystniejszego oświetlenia.

– Przywiozłeś mnie do rajy? – próbowałam się roześmiać.

– Po co? Mało ci było jednego jabłka, Soniu? – odparował.

Pogłaskałam palcem delikatną skórę złotego owocu, była cienka i twarda. Dziwnie, nienaturalnie chłodna w tym upale. Jabłko z zakazanego drzewa. Wciąż istniało. Jakby zapomniało już o tym, co się stało, i dawało nam jeszcze jedną szansę. Gdybym mogła ją wykorzystać, gdyby można było, tak po prostu, odwrócić bieg rzeczy! Zniknęłaby śmierć i ostateczność! Żylibyśmy bez lęku! Razem, tutaj, w tym znów nam danym rajy... Tak bardzo chciałam tego... Ale nie Gerard, on z pewnością będzie chciał powrócić, tam, skąd tu przybyliśmy... Westchnęłam. Nie uciekniemy przed śmiercią, nigdzie. Bo on tego nie chce. Zauważył, że coś się ze mną stało, ale odwróciłam twarz. Nie chciałam, aby poszedł filmować tam, skąd przed chwilą uciekłam. Skała nie spadała, jakby czające się tam niebezpieczeństwo było tylko moim urojeniem. Ale przygniatało mnie nieodparte przekonanie, że to nie wytwór mojej wyobraźni, że potężny blok czeka, bo nie było pod nim ofiary. Bałam się ryzyka, że skała urwie się dokładnie w tym momencie, gdy Gerard wzniesie kamerę w jej stronę. Nie powiedziałam więc ani słowa. Wróciliśmy do dżipa, po chwili pędziliśmy na oślep w stronę wysokich wydm pustyni.

Sahara. Ona też czekała na nas. Nieubłagana w swej kolorystyce. Żółta, bezwzględna w monotonii krajobrazu. Przemierzaliśmy właśnie część trasy Paryż-Dakar. Droga była wyboista, teren wokół pełen jakby wulkanicznych kraterów powoli opadał w żwirowate łachy spieczonej gleby, pokrytej gdzieniegdzie rzadkimi zaroślami. Po lewej i prawej stronie drogi, pomimo wznoszącego się od kół tumanu kurzu, widać było wyraźnie lśniące srebrzyście rozgwieżdżone fosforyty, niczym odbłaski kawałków porozbijanych luster, zatopione między ziarnami żwiru i kamieni, hamady i seriru. Mrużyliśmy oczy przed natłokiem napierających z zewsząd iskier, jakby rozpalono wokół tysiące zimnych ogni. Płonęły, skwiercząc cicho, w szumie przepływającego pomiędzy nimi dżipa. Wydawało się, że otacza nas morze, w którego falach roztopiły się wszystkie słońca wszechświata. Spadły tu z odległych galaktyk, aby wyołoczyć nam drogę do innych, dalszych, jeszcze nie odkrytych mgławic. Przeniesieni w widmowy pejzaż, przypominający panoramę Jowisza, przymykaliśmy oczy z upojenia i niedowierzania. Czy to na pewno nadal jest Ziemia? Przestaliśmy wierzyć temu, co widzimy, nie było bowiem żadnego odniesienia, oprócz naszych wątpliwości. Ja i Gerard nie mieliśmy racjonalnego podejścia do tego, co nas otaczało, targani emocjami chłoniliśmy tylko to, co docierało do nas nie filtrowane przez wolę. Reszta ekipy nie była aż tak zdezorientowana. Szum kamer słyszałam przez cały czas. Żałowałam, że Gerard nie był tak wytrzymały psychicznie, jak tamci, uciekały mu najlepsze sceny i plenery. Równocześnie nie dziwiłam mu się. Wrażenie, to coś więcej niż zwykła mechaniczna rejestracja. Oglądać nakręcony materiał łatwo. Odtworzyć w sobie owe mistyczne przeżycia nie sposób, jeśli nie odbiły się wewnątrz głęboką, bolesną raną zdumienia i zachwytu. Dżip trzął jak oszalały, pęd pozbawiał nas zdolności do jakiegokolwiek myślenia. Istniało tylko opium mijanego krajobrazu. Pejzaż światła, zakotwiczonego pod piaskami...

Zatrzymaliśmy się w Tozeur i Nefcie, zwiedziliśmy ksary Berberów i domy

troglodytów w Matmacie, niedaleko stąd Lucas po nakręceniu *Gwiezdnych wojen* zostawił nie zdemontowaną scenografię, stoi tam wciąż upiorna i przejmująca. Gerard znów kręcił, chyba równie zajadle jak na początku naszego pobytu na Dzerbie. Obserwowałam czujnie jego ruchy, gotowa w każdej chwili wyłączyć kamerę, gdyby opadł z sił.

Teraz zmierzaliśmy do Douze. Tu zaczynało się i już czekało na nas płynne złoto piaszczystych wydm erg. Prawdziwa Sahara. Poczęta ze światła i ognia. Zatrzymująca dech w piersiach. Opuściliśmy bezpiecznego dżipa. Dalej podróżowaliśmy na wielbłądach. Na razie miała to być tylko przejażdżka, przygotowanie do prawdziwej wyprawy w Algierii. Odziani w burnusy, brnęliśmy w żarze popołudniowego słońca, poganiani gardłowymi okrzykami przewodników. Mieli ciemne, nieprzeniknione oczy. Ich twarze, nieruchome i dzikie jednocześnie, nie skłaniały do żartów czy poufałości. Onieśmiały, wymuszały szacunek i uległość, prowokując wręcz sprzeciw, który natychmiast tłumili w zarodku. Wielbłądy poruszały się w jednostajnym rytmie. Monotonny ich kłus usypiał, ale i dręczył. Chwialiśmy się na ich grzbietach w takt nieznannej, ogłuszającej melodii. Była wszędzie. Wszystko było muzyką. Grzmiała jak potężne oratorium, słyszane tylko przez nas. Miałam wrażenie, że popękają mi bębny. Podobno tak właśnie skoki ciśnienia dają się tu we znaki nieprzygotowanym, słabszym przybyszom. W uszach huczało i szumiało, przed oczami przelewała się krwawa luna. Jak w kinie, napierały na mnie zewsząd ławice dźwięków i kolorów, w dysonansach i zamazaniach. Nie wytrzymałam napięcia. Rozsadzało tętnice, bałam się, że pękną i krew zaleje mi twarz. Z trudem zauważyłam, że wielbłądy miały na udach wypalone znaki właściciela. Wielkie, tragiczne blizny męki. Siady tortur, w imię zaznaczenia prawa własności. Zaczęłam odczuwać coś na kształt solidarności z ich niemocą, z pełnym godności niemym protestem i znoszeniem swojego losu. Miały miękką sierść, która nie raniła mojej obnażonej skóry, i sarnie spojrzenia, a ich

ruchy były pełne gracji. Nie wzbudzały litości dla siebie, ale wyzwalały mimowolnie niechęć do ich właścicieli. W czasie krótkiego postoju żuły dumnie i powoli niewielką ilość karmy, którą otrzymały.

Po chwili zarządzono odwrót. Na szczęście, bo padaliśmy ze zmęczenia. Po przybyciu na miejsce jednemu z wielbłądów, najbardziej widać narowistemu, podwiązano nogę, skakał rozpaczliwie, usiłując uwolnić ją z jarzma. Piana ciekła mu z pyska, białka oczu nabiegły krwią. Pozostawiony tak na noc, trwał nadal w mojej duszy, obłądny Don Kichot, skacząc bez końca na trzech nogach i nie pozwalając mi zmrużyć oka.

Hotel był szczelny jak bunkier. Był twierdzą przeciw nieubłaganym piaskom, które zasypałyby nas do rana, podczas snu. Sztuczne, przyćmione światło przywodziło na myśl katakumby. Czy można nocować we własnym grobowcu? Gerard spał skulony, bezbronny jak dziecko. Pochyliłam się nad jego, ledwie widoczną w mroku twarzą. Nie dotknęłam go. Nie odważyłam się naruszyć jego snu, choć tak bardzo chciałam się tam wdrzeć. Nigdy przedtem nie był mi tak bliski, jak teraz, całkowicie zdany na moją łaskę. Mogłam zrobić wszystko, ale nie mogłam wniknąć w jego sen. Tam będzie zawsze sam. Beze mnie i poza moją wolą. Ale nie martwiłam się tym. Jakże inaczej mieszkało mi się z Gerardem. Wokół nas leżały porzucane części garderoby, drobne jego przynależności. Brałam je do rąk, odkładałam na miejsce delikatnie, jakbym bała się je zniszczyć. Teraz należały także trochę do mnie. Wzruszały mnie. Napęniały czułością. On odnosił się podobnie do moich rzeczy. Z pietyzmem, jakby były częścią mnie i zbyt zuchwały dotyk jego rąk mógł je urazić. Czy tak smakuje szczęście? Czy jest nim trwanie przy sobie? Nie pożałowałam Gerarda. Nie w tej chwili. Pragnęłam tylko leżeć przy nim. Bez końca. Przez wszystkie minuty i sekundy tej nocy, sycić się obecnością i samym faktem jego istnienia, aż do nieuchronnego poranka. Chyba nigdy nie dziękowałam Bogu za nic. Teraz dziękowałam, za tę noc. Tak jak

poprzednie noce, jak każda z nim, była cudem. Wciąż nie mogłam uwierzyć, że Gerard jest przy mnie. Że mogę do woli słuchać jego równego, spokojnego oddechu. Do woli przyglądać mu się. Dotykać go lub po prostu leżeć obok. Spać lub czuwać nad jego snem. W środku Afryki, w bunkrze zasypywanym przez niebotyczne góry niesionego gorącym wichrem piasku. Najbardziej przejmująca noc w moim życiu...

Musiałam zasnąć na chwilę, gdyż obudził mnie dźwięk telefonu. Recepcjonista budził nas, w środku nocy, na śniadanie. Była trzecia trzydzieści. Nawet jeść się nie chciało, ale nieposilone ciało za nic nie poddałoby się rygorom dalszej podróży. Po z trudem spożytym posiłku wyszliśmy z hotelu. Prosto w baśń z tysiąca i jednej nocy! Rozpościerały się nad głową, nareszcie! Tamowały oddech. Gwiazdy! Były ich miliardy. Wielkich, błyszczących jak świąteczne bańki. Poczułam się, nie, byłam jedną z nich! Jedną z gwiazd, jedną z baśni, najpiękniejszą, najbardziej zdumiewającą, niepowtarzalną... Jedną z nich, równocześnie jedyną. Tą najważniejszą, wyróżnioną. Byłam strąconą mu z nieba gwiazdą. Gwiazdą Gerarda. Byłam jego. Świeciłam mocniej niż one wszystkie, dlatego to ja byłam z nim, a one musiały pozostać tam, gdzie były. Śmiałam się. Objął mnie, też zapatrzone, przejęty do głębi ich urodą. Potem pocałował mnie, dopiero wtedy mogłam wejść do dżipa, który czekał już na nas. To wtedy, pod tym rozgwieżdżonym, darowanym tak nieoczekiwanie niebem, zrozumiałam, że życie nie ma końca, tak jak końca nie ma miłość. Gdziekolwiek się znajdziemy i cokolwiek się z nami stanie, jedno będzie na pewno, nie przeminiemy. Nasz pocałunek zostanie na zawsze w tym niepoliczalnym wszechświecie, przywoła nas do siebie jak srebrzysty dzwoneczek. Jego głos nie pozwoli nam zagubić się. Odtąd przestałam się bać. Otworzył się dla nas nie tylko świat, otwarł się cały wszechświat. Wszystko stało otworem. Spełniały się marzenia.

*

Lunęło i znienacka biała płachta przysłoniła świat. Lało równo. Jan pomyślał, że z pewnością nie dotrą przed wieczorem na nocleg. Wyruszyli ledwie dwie godziny temu, a czekało ich jeszcze dobre kilka godzin marszu. W tej nieprzejezdnej, mokrej mgle, poruszali się prawie po omacku. I choć wkrótce deszcz zelżał, strumienie wody wciąż przelewały się wzdłuż i wszerz, jakby spływała nie tylko z nieba, ale uwolniona z niewidzialnych tam płynęła nareszcie swobodnym nurtem, rozlewając się dookoła i zalewając, co jej stanęło na drodze. Przemoczeni drżeli i szczękali zębami. Jan modlił się o pomoc, tak bardzo nie chciał poddać się prawie u kresu wędrówki. W szarej, wodnistej masie horyzontu zamajaczyło coś ciemnego powoli z ciemności lejącej się wciąż z obwisłych wymion chmury wyłonił się zarys zbliżającego się autobusu. To było wybawienie! Gdyby udało się go zatrzymać, mógłby podwieźć ich do najbliższego motelu. Jan chwilowo zrezygnował z dalszego przebijania się do przodu na piechotę. Opadł z sił i czuł, że pozostali są równie bezradni wobec ogarniającego ich przemęczenia. Stał na środku jezdni, zapalił latarkę i zaczął nią wymachiwać. Dawał znaki, nie do końca pewny, czy kierowca zauważy je na czas i zdąży odpowiednio wcześniej wyhamować. Czy w ogóle go zauważy... Jezdnia była śliska, ale Jan starał się nie myśleć o tym, co mu grozi.

– Ależ, proszę księdza! – zaprotestował Albin zdenerwowany. – Po co się tak narażać? Dojdziem!

On też zamachał rękami, ale ze strachu i żeby odwieść Jana od desperackiego pomysłu. Autobus zbliżał się, z sykiem opon przedzierających się przez gwałtowny napór wody. Kierowca w ostatniej chwili zauważył człowieka na drodze, tuż przed sobą. Z piskiem hamulców autobus usiłował rozpaczliwie zatrzymać się, przejechał kilkanaście metrów w bok i zarył w przydrożnych zaroślach. Tęgi kierowca

wyskoczył jak oparzony.

– Co jest, do cholery? Życie ci niemiłe? – wrzasnął, nie panując nad sobą. Doskoczył do księdza, jakby miał zamiar stłuc go na kwaśne jabłko, najwyraźniej z zamiarem rozładowania w ten sposób swojej wściekłości.

– Przepraszam! – Ksiądz chwycił go za żylaste ręce, a deszcz ściekał mu po głowie grubym strumieniem.

Kierowca dopiero teraz zorientował się, że też moknie. Zaklął i machnąwszy ręką, zawrócił szybko w stronę szoferki. Z okien autobusu widać było zwrócone na pielgrzymów zamazane twarze podróżujących. Ksiądz pospieszył za kierowcą. Ten właśnie wsiadał do szoferki i miał zamiar zatrzasać mu drzwi przed nosem.

– Chwileczkę! – Jan przytrzymał drzwiczki ręką. – Proszę się nie gniewać! Idziemy już od tygodnia na Jasną Górę. Przemokliśmy, a jest z nami dzieciak. Mógłby nas pan podwieźć do jakiegoś motelu?

Kierowca dopiero teraz spostrzegł koloratkę na szyi księdza. Speszył się.

– Jasne – wymamrotał niepewnie. – W końcu, czemu nie, od razu tak trzeba było gadać...

– Bóg zapłać – ucieszył się ksiądz.

Przywołał swoich podopiecznych, kierowca otworzył wejście i wszyscy wtaszczyli się do środka. Po tylu kilometrach przebytych na piechotę, obecna możliwość podróżowania wydała im się luksusem, nieziemskim wręcz dobrodziejstwem. Rozsiedli się na wolnych siedzeniach. Po dobrej godzinie jazdy kierowca wysadził ich przy schludnym zajeździe.

– Stąd niedaleko do Częstochowy – wyjaśnił na odjezdnym, nie chcąc przyjąć zapłaty za przysługę. – Niech się ksiądz cieszy, że go nie rozjechałem – dodał ponuro. – O mało przez księdza nie gniłbym w kryminale.

– No nie – zaoponował nieśmiało ksiądz. – Uskoczyłbym.

– Akurat – kierowca wciąż miał wątpliwości.

Mimo to pomachał im ręką na pożegnanie, także pasażerowie autobusu machali im z okien jeszcze przez jakiś czas, dopóki nie rozplynęli się w gęstniejącym zmierzchu. Zajazd okazał się w rzeczywistości dużym domem wczasowym, pozostałością z czasów świetności PRL-u. Okazały, choć z wielkiej płyty, budził wciąż podziw śmiałą architekturą, trochę może nazbyt monumentalną, jak na tę okolicę. Aktualnie był w częściowym remoncie, odnawiano fasadę i balkony, ale czynny przyjmował bez przerwy gości, nie świecąc pustkami. Z powodu pewnych uciążliwości związanych z aktualnym remontem, doba hotelowa nie kosztowała zbyt dużo, rozgościli się więc w wolnych pokojach z ulgą. Zeszli na kolację do wysokiej jadalni, utrzymanej w stylu socrealizmu, ale czystej i pełnej zieleni. Gorąca kolacja podreperowała ich siły, mogli teraz śmiało pooglądać telewizję, pograć w bilard czy karty, obok, w sali rekreacyjnej, gdzie już przebywało sporo ludzi z turnusu, rozgadanych, a więc najwyraźniej zaznajomionych ze sobą.

Jan zdjął w swoim pokoju mokrą kurtkę, z przykrością zauważył, że pogubił niektóre guziki. Widocznie kierowca, szarpiąc nim ze złością, pourywał je wtedy, na drodze. Igłę i nici jeszcze może udałoby się zdobyć, zasępił się Jan, ale skąd wziąć kilka pasujących guzików? Cóż, będzie musiał iść dalej jak oberwaniec. Do tego wiatr będzie mu się wdzierał pod spód, przez niedopięte ubranie. Zmartwiony, szybko wziął gorącą kąpiel, rozgrzany zszedł wreszcie na kolację. Ostatnie osoby kończyły już jeść, pozostali przebywali w sali obok. Zauważył, że jego ludzie szybko dołączyli do tamtych. Przybyli i wczasowicze tworzyli teraz zwartą grupę, dyskutując o czymś zawzięcie.

„Pewnie znów o polityce – konkludował z niechęcią Jan. Miał uraz do takich dysput, szczególnie po tych prowadzonych podczas pielgrzymki. – Znowu się pokłóć. Który to już raz. A tu jeszcze w dodatku ci obcy, nie wiadomo do czego może dojść...”. Zaniepokojony skończył kolację i udał się na salę, aby mieć ich na oku. Nie życzył sobie konfliktu w przeddzień przybycia do celu. „Choć nawet to i

klócić się tak naprawdę nie ma o co, bo za chwilę temat staje się nieaktualny – westchnął ze smutkiem. – Tak, tak... Wszystko w tym kraju zmienia się zbyt szybko. Nadażyć nie sposób. Dziś jedno, a jutro dokładnie na odwrót! Ale co z tego, że się im o tym powie, oni i tak swoje wiedzą".

W sali, pewnie byłej konferencyjnej, wyściełanej zieloną, sukienną tkaniną, panował nastrój obrad. Wielki bilard cieszył się ogromnym wzięciem. Niestety palono papierosy, czego Jan nie znosił. Postanowił jednak przemóc się i zostać, wolał mieć na wszystko baczenie. Zbliżył się do niego wysoki, szpakowaty dżentelmen o wyrazistych rysach twarzy, orlim nosie i z głową o einsteinowsko rozwianych włosach. Trzymał w ręku kieliszek wytrawnego czerwonego wina.

– Ksiądz pozwoli? – zapytał, a po uzyskaniu pozwolenia, przysiadł obok Jana, przyglądając mu się dyskretnie, ale bacznie i z nieukrywanym zainteresowaniem.

Spojrzenie miał uważne i drapieżne zarazem. Jan nie był do końca zdecydowany, czy nowy znajomy wzbudza w nim przychylność czy raczej niechęć. Na twarzy gościa malował się bowiem ledwie zarysowany pragmatyzm, widoczny w sposobie ściągania warg, jednak czoło nie marszczyło się zbyt często i wyżłobienia na nim nie powstały z pewnością na skutek irytacji. Nie wydawał się też zbyt zasadniczy, ale jednak o wyrobionych poglądach. Był wyraźnie estetą, o stanowczych, zadbanych dłoniach i wyrafinowanym sposobie ubierania się. Jan ocenił to z zazdrością. Nie potrafił być tak wyszukany człowiekiem, czegoś mu brakowało, czegoś, co tamten z pewnością posiadał. Jednak co to było, Jan nie wiedział. Dopiero po głębokim namyśle stwierdził, że mężczyzna ów posiadał z całą pewnością – klasę.

– Nie podoba się księdzu? – spytał mężczyzna i Jan dopiero teraz zorientował się, że z ukrytych głośników dobiegają jakieś dźwięki. – Vivaldi. *Cztery pory roku. Wiosna* – wyjaśnił uprzejmie gość, wyraźnie koneser dobrej muzyki.

Jan poczuł się niepewnie. O czym właściwie miał rozmawiać z tym

przedstawicielem inteligencji i to rodem z najwyższej półki? Takiego nie sposób zadowolić byle czym, konwersacją o niczym. Jan nie czuł się na siłach sprostać oczekiwaniom tego człowieka, prawdopodobnie artysty. Tacy zawsze mają wysublimowane gusta, nie takie, jak jego prosta, chłopska natura mu podpowiada, a której hołduje bez wysiłku. Może właśnie za ten brak wysiłku w dążeniu do czegoś ponad to, usiłował sam siebie zganić. Za brak uczucia do filharmonii, do galerii, jakoś nigdy nie było mu to specjalnie potrzebne. Teraz odczuwał wstyd i aż kurczył się z przykrości, że będzie musiał obnażyć swoją ignorancję przed tym człowiekiem.

– Tak, tak – przytaknął Jan z roztargnieniem. – Świetna.

– Dlaczego Jezusa ukrzyżowano, a nie utopiono? – usłyszał nagle Jan pytanie skierowane w swoją stronę. Zaniemówił. – .. . bo nie każdy chciałby mieć nad drzwiami akwarium – brzmiała surowa odpowiedź.

Jan milczał. Gość bawił się nim, czy też z nim, w desakralizację? Ta zabawa, jak też jej forma, zupełnie Janowi nie przypadły do gustu.

– Księdza to nie śmiesz? – zdziwił się gość zupełnie poważnie. – Każdy temat powinien być dobry do żartów. Do dobrych żartów.

– To dla pana dobry żart? – wykrztusił wreszcie Jan, nieprzekonany, czy powinien dalej podtrzymywać rozmowę. Jednak uśmiechnął się. Ostatecznie wołał wykazać się przed swoim gościem poczuciem humoru. Usłyszał przy tym obcy akcent w jego mowie.

– Pan nie jest Polakiem? – szybko zmienił temat na bezpieczniejszy.

– Jestem również Polakiem – uściślił gość.

– To znaczy? – nie zrozumiał Jan.

– Także Niemcem. Mniej więcej pół na pół. Po mieszanych dziadkach i rodzicach, Polakach i Niemcach. Pochodzę z Gdańska. Długi czas mieszkałem na Kaszubach. W czasie wojny ukrywaliśmy wuja-księdza, stąd mój sentyment do

sutanny. Choć właściwie to sentymentu przedtem nie było. Raczej uraz.

– O! – zdziwił się Jan. – Dlaczegoż to?

– Dlaczego mój wuj doprowadził mnie do odejścia z Kościoła? – zabrzmiało pytanie zamiast odpowiedzi. – Wolę oszczędzić księdzu szczegółów. Od tamtej pory większą radość niż chodzenie do kościoła sprawiają mi kościelne dowcipy.

– O Kościele – poprawił Jan automatycznie. Jednocześnie bił się z myślami, jak i czy prowadzić dalej tę rozmowę.

– Wie ksiądz, wiele lat przebywałem w Niemczech, tam studiowałem, założyłem rodzinę, potem kilka lat pracowałem w Stanach. Ale w Polsce mieszkam z wyboru. Jestem na emeryturze. Trochę maluję.

– To pięknie – pochwalił Jan szczerze i odetchnął. Odgadł w nim artystę, to mu pochlebiło.

– Jestem jednak przyzwyczajony do niemieckiego porządku. Nie mogę pojąć lekkomyślności i bałaganiarstwa Polaków.

– Tak – przytaknął Jan machinalnie, obserwując Albina i Prokopa, najwyraźniej znów spierających się ze sobą.

– Wy macie teraz taki kłopot, jak my mieliśmy – kontynuował Niemiec. – W czasie wojny zginęło pięć milionów młodych Niemców. A w czterdziestym piątym Adenauer musiał się pozbyć z wojska, policji i sądów byłych hitlerowców. Niestety większość została, bo nie miał ich kto zastąpić. W Polsce też tylko przefarbowano struktury. Podobnie zrobił Pinochet w Chile, przejście nie rewolucyjne, tylko ewolucyjne na inny system. Ale wtedy tamci, skorumpowani ludzie weszli bez trudu w nowe układy, nie ponosząc za to, co było, żadnej odpowiedzialności. To cena, jaką się płaci za transformację. Teraz wy ją płacicie. Rozumiem to i wam współczuję, ale to niczego nie załatwia.

– Ale samą polityką nie można ustawić tak wysoko gospodarki, jak to udało się Amerykanom czy Europie Zachodniej – sprzeciwił się Jan. – Więc skąd ta ich

potęga? Skąd mocarstwa? Jak to wytłumaczyć?

– Słuszne pytanie, jednocześnie warunkujące prawidłową dedukcję. Tak, tylko klimaty umiarkowane mogły tak rozwinąć gospodarkę techniczną. Tropiki były bez szans. Dlatego Afryka jest bezsilna. W umiarkowanych klimatach można inwestować, brać kredyty, takie posunięcia szybko się zwracają i przynoszą dochód. W gorących krajach kredyty i inwestycje obarczone są zbyt dużym ryzykiem. Wystarczy, że przez szereg kolejnych lat będzie susza albo trzęsienia ziemi i koniec. Bankructwo. Stąd ludzie ci żyją z dnia na dzień. W ich mentalności nie mieści się planowanie czy gromadzenie dóbr. Żyją doraźnie, przeważnie w biedzie, oczekując nie kończącej się pomocy. Ale jej dostarczanie oducza ich resztek samodzielności i przedsiębiorczości. Do tego nie są w stanie konkurować z wysoko rozwiniętym przemysłem.

Jan poczuł się zmęczony. Gość przyjrzał się bacznie księdzu.

– A może napiłby się ksiądz wina? – I zanim Jan zdążył zaprotestować, skinął na kelnera przy barze. Ten skłonił się i podszedł. – Drugi raz to samo dla mnie i raz dla księdza – zaordynował gość. – Jestem Piotr – podał Janowi rękę.

– Pan mówi o moralności? – podjął ostrożnie Jan.

– Moralność? – zakpił gość. – Czy tak obecnie poszerzana wolność jest moralna? A wolny rynek? Przecież on nie ma moralności. Produkuje bezrobocie, niszcząc nadprodukcję, by sztucznie utrzymać ceny dla zysku. Nic dzisiaj nie gwarantuje moralności. Ani prawo, ani zarobek. Ludzie wciąż chcą więcej. Dlatego są wykorzystywani. Gospodarka w USA padła przez nadprodukcję, bo ludzie byli za biedni, żeby kupować. Pozwolono więc i nadal się pozwala na powstanie związków zawodowych, aby utrzymać siłę nabywczą. Ale to nie ma nic wspólnego z moralnością. To czysta kalkulacja. Świadoma manipulacja.

– Pan twierdzi, że u nas jest podobnie?

– Wszędzie jest tak samo. Globalizm redukuje nam granice wszelkiego rodzaju,

sprowadza wszystko do jednej gospodarki, tak żeby wszędzie można było kupić wszystko, czyli to samo. Jeśli samochody mają konkretny katalizator, to nie kupisz innego, choćbyś chciał. Wszyscy chodzą w dzinsach i oglądają te same reklamy. Unifikacja, czyli jednakowa produkcja na cały świat. Idee państwowości są podporządkowane koncernom i bankom, które narzucają warunki i procenty, a same mają w tym największe udziały.

– Ale globalizacja jest coraz powszechniejsza w demokracji – zdziwił się Jan.

– W globalizacji nie ma demokracji, bo nie ma się wyboru – wyjaśnił Piotr. – Najniebezpieczniejsze są fuzje. Bo rynek nie myśli. Nie obchodzi go, co będzie za pięćdziesiąt lat. On chce zysku teraz. Dlatego to jest tak groźne. Człowiek stał się przedmiotem. Celem wyzysku. A wyzysk nie zna litości. Konsumpcjonizm, tak teraz lansowany jako styl życia, jest tylko przykrywką.

– Pan mnie przeraża – zająknął się Jan, bo właśnie kelner przyniósł butelkę i drugi kieliszek. – I to przy winie... – patrzył, jak kelner nalewa do kieliszków.

Umoczył usta, wpatrywał się w Piotra niczym w upiornego Wernyhorę, wieszczącego koniec świata. Broda opadła Janowi na piersi, czuł jak morzy go niepowstrzymany sen. Powoli dopił wino.

– Przepraszam – próbował wstać, ale przyszło mu to z trudem. – Muszę się położyć... – wybełkotał.

Chwiejąc się, ruszył w kierunku wyjścia.

* * *

– Granicę Algierii przekroczyliśmy z rana. Musieliśmy zaopatrzyć się w wodę i wszystko co niezbędne do przeprawy przez Wielki Erg Wschodni. Po drodze mieliśmy nocować w namiotach. Prawdziwy nocleg czekał nas dopiero po kilku dniach, w Ghardaja. Stamtąd mieliśmy kolejny rzut, do Maroka. Zapowiadała się

ciężka, niezwykła przygoda. Dwóch wynajętych poganiaczy dopilnowało, abyśmy kupili odpowiedni zapas prowiantu, sprawdzili też, czy mamy wystarczającą ilość wody, widać było, że nie jest to ich pierwsza wyprawa. Wyruszyliśmy późnym popołudniem. Pustynia nie jest monolitem piachu, nie znaleźliśmy jej. Słońce, o tej porze całe w ogniu, niczym wewnątrz hutniczego pieca, zamieniło ją wkrótce w morze pełne rozpalonej czerwieni i płynnego złota. Płynęliśmy i tonęliśmy w złocie. Poganiacze z gardłowymi okrzykami gnali nas bez litości, nie odpuszczając ani na chwilę. Dzięki ich przezorności zdołaliśmy do zmroku przebyć najtrudniejszy odcinek. Chybotliwy kłus dromaderów męczył ręce, uchwyty uprzęży wbijały się w żywe ciało. Nie było jednak mowy o skargach. W turbanach i burnusach, ze smaganyymi przez gorący piasek twarzami, usiłowaliśmy ochronić przed nim oczy, przymykając powieki. Tak pół śniąc, pół jadąc, przemierzaliśmy nieprzebrane kilometry obszarów, roztopiających się w absurdalnym braku horyzontu. Wzrok ginął w żółtym tumanie kurzu. Nie widziało się dalej niż na parę metrów naprzód, wzrok zatrzymywał się ledwie na zadzie wędrującego przed nami wielbłąda. Skrzypienie piachu i monotonny szum kamer zlewały się ze sobą w usypiający trel. Postój na nocleg stanowił niewypowiedzianą ulgę dla ciała. Kryształowa noc ożywiła w nas ciekawość. Korzystając z chłodu, wystarczyło zrobić parę kroków w bok od obozowiska. Osypujący się pod nogami piach wydawał dziwne dźwięki. Jęczały w ciemności niczym ranne jaszczurki. Skrywał tajemnicę, dla nas niepojętą, której nawet nie usiłowaliśmy zgłębić. Już samo przebywanie tu było wystarczającą zagadką. Niebo podniosło się na oślepiającą wysokość. Gwiazdy zawisły tam małe jak piłeczki pingpongowe. Wydawały się drwić z naszego rozczarowania. Wszystko było inaczej. Nie tak wyobrażaliśmy sobie pierwszą noc tutaj. Gerard milczał, a jego milczenie przerażało mnie bardziej niż jęczący pod nogami piach, jakby każdy krok sprawiał mu ból. Bałam się stapać, aby spod nóg nie wytrysnęła krew. Pierwsza noc i milczenie pełne nieokiełznanego

jęku przyrody. Jakbyśmy zadali jej swoją obecnością cierpienie nie do wytrzymania. Jakby skarżyła się, usiłowała przegonić nas, gdzie pieprz rośnie. Próbowwała przestraszyć, nie dopuścić do profanacji. Zakazany teren. Wyklęty. Zapomniany przez Boga. Nie uwznioślał. Przytłaczał. Dobiegł nas przenikliwy, przebijający się przez fanatyczne dźwięki pustyni śpiew. Głuchy, jednostajny zaśpiew, jakby błaganie o łaskę. To poganiacze modlili się. Ich wieczorna modlitwa niosła się szerokim echem po tych przestrzeniach. Pomyślałam, że chcę modlić się wraz z nimi. Że nieważne, jak Go nazwiemy, Allachem czy Bogiem, jest tym samym. Tak jak jedną i tą samą jest każda modlitwa. Kiwali się rytmicznie, z zamkniętymi oczami, miałam wrażenie, że płaczą. Źle spaliśmy tej nocy. Chrapanie poganiaczy, którzy zasnęli snem sprawiedliwych, wytrącało nas nawet z drzemki. Obudzili nas przed świtem. Po szybkim śniadaniu, w drogę. Byle dotrzeć do południa. Włączone kamery rejestrowały beznamiętnie zbliżające się objawy udaru i przegrzania. Do tego wzmagający się złowieszczy huk gorącego wiatru sirocco. Przerażliwie parzącego twarz i dłonie. Pędzącego z wnętrza pustyni. Otepiającego umysł. Otwarcie oczu stanowiło mękę nie do opisanania, wyzwanie.

W południe postój stał się niezbędny. Arabowie, okryci aż po oczy, nie ucierpieli. Niestety my, nieostrożni i za mało przezorni, z poparzonymi twarzami i rękami i w odkrytych niebacznie miejscach, sponiewierani byliśmy dotkliwie przez słońce, wiatr i piasek, bezlitośnie tworzący na wyschniętych wargach słoną skorupę. Wiało coraz mocniej. Piasek był wszędzie. W ustach, nozdrzach, pod powiekami. Wszystko płonęło. Na zewnątrz i wewnątrz nas. Męka zamieniła się w katorgę. Przetrawanie burzliwego, południowego upału, okazało się ponad nasze siły. Masy gorącego powietrza dosłownie zwały nas z nóg. Amerykanie osłabli tak bardzo, że z trudem wsiadali na wielbłądy. Po południu, gdy zrobiło się chłodniej, na kolejnym postoju nomadzi upiekli chleb przy ognisku, wkładając ciasto do dołu z piachu i zasypując z wierzchu gorącym żarem. Łamaliśmy się tym

pustynnym chlebem, jak podczas Wigilii, drobne ułamki wędrowały z rąk do rąk.

Gerard wstał od ogniska, szedł przed siebie, z komórką. Za wszelką cenę usiłował połączyć się z domem. Poszłam za nim. Tłumaczyłam, że nie ma tu zasięgu. Patrzył na mnie z nienawiścią. Pustynia ma to do siebie, że wyzwała skrajne emocje, czyni z człowieka wilka, stajemy się groźni dla siebie nawzajem. Bez przerwy wystukiwał numer. Chciał wiedzieć, co w domu. Słaniałam się na nogach, ale nie myślał o tym, że może mnie stracić, bał się, że zginie, nie pożegnawszy się z żoną. Rozumiałam go. Chyba płakałam, ale ze spieczonych oczu nie pociekły łzy. Poparzonymi palcami usiłowałam wziąć go za rękę, objąć. Odepchnął mnie. A raczej strzepnął z siebie. Jak piach. Jakby obwiniął mnie o położenie, w jakim się znaleźliśmy. Jakby działał zły czar i to, co się z nami działo, było spowodowane moją obecnością. Odchodził szybko. Uciekał przede mną. Nawet nie próbowałam go dogonić. Pomyślałam, że gdyby tu była zamiast mnie jego córka i to ona wzięłaby go za rękę, nie tylko nie odtrąciłby jej, lecz sam wziąłby ją za rękę i objął, żeby się nie bała. Ja byłam dla niego obca, uderzyło mnie to jak ostrze. Zawsze będę obca. Bo on nie chce, aby było inaczej...

Zawrócił, usiadł przy ognisku, wciąż z komórką w ręku. Nomadzi z półprzymkniętymi oczami śpiewali jakąś pieśń, w swoim, tylko sobie znanym języku, kiwając się jak manekiny. Byliśmy zbyt wyczerpani, by kontynuować wędrowkę, jednak nasi przewodnicy nalegali, nie pozwalali na zwłokę. Przedłużenie pobytu na pustyni nawet o jeden dzień byłoby niebezpieczne z powodu braku zapasów jedzenia i wody, wycieńczenia, odwodnienia czy udaru. Pędziliśmy więc na oślep, byle przez następny i następny kilometr, do przodu, w szalejącym piasku. Kolejna noc w piekle. A może w niebie. Wszystko tak się poplątało. Z kim igraliśmy? Ze śmiercią? Graliśmy o dusze? W dzień z szatanem, w nocy z Jahwe? Niebo, piekło stały się jednym, tak łatwo przechodziło się z jednego w drugie, nie rozróżnialiśmy już, gdzie właśnie jesteśmy. Piaski drżały,

przemieszczały się we wszystkich kierunkach naraz, zataczały wokół nas tajemne kręgi, jak na tarczy zegara, często wbrew ruchom wskazówek, w inną stronę, jakby cofały czas lub trzymały nas na uwięzi jednej i tej samej godziny. Mijała, potem cofała się i tak w kółko. Czułam, że wpadamy w obłąd. To, co roztaczało się przed naszymi oczami, to już nie była pustynia. To był wytwór naszej chorej wyobraźni. Fatamorgana, którą wywołały nasze udręczone zmysły. Czy to w tym momencie zemdlą Amy? Możliwe. Moje napięte do ostateczności nerwy nie odnotowały tego. Niczego już nie rejestrowały. Byłam jak nadmuchany wrzącym helem balon, pękałam, rozsadzało mnie od środka, płuca buntowały się, krew nie chciała krążyć. Nie potrafiłam już oddychać. Poczułam tylko, że czyjeś ręce ściągają mnie z wielbłąda, następnie poją. Gdy ocknęłam się, namioty były już rozbite, a poganiacze troskliwie doprowadzali do przytomności Amy i Joachima. Okazało się, że dopadła ich biegunka, podobno tuż przed wyprawą najedli się świeżych owoców kupionych na targu. To było najgorsze, co mogło się przytrafić. Amerykanie praktycznie nie nadawali się do dalszej podróży. Stanęliśmy przed dylematem, co robić dalej. Kontynuować czy zawracać. Rozsądek nakazywał odwrót. Nigeryjczycy jednak, bardziej wytrzymali niż my, nie zamierzali się poddać. Byli pewni, że uda nam się dotrzeć o czasie na miejsce. Gerard i nasi przewodnicy mieli wątpliwości. Przy biegunce, na Saharze, ryzyko odwodnienia było zbyt wielkie, nawet przy naszych zapasach wody. Każdy dodatkowy postój związany z osłabieniem Amerykanów może kosztować życie nas wszystkich, zważywszy, że na pomoc helikoptera trudno tu liczyć. Stan Amerykanów nie był zły, jednak nawet podróż wstecz obarczona była ryzykiem. A więc, czy w przód, czy w tył, czekały nas podobne trudności. Należało więc wycofać się, czy starać się dotrzeć do celu za wszelką cenę? Byliśmy w połowie drogi, na dwoje babka wróżyła...

Zadecydowali Amerykanie. Postanowili wracać. Nie mieli już sił na Maroko.

Wycofali się. Nigeryjczycy nie mieli takiego zamiaru, byli związani kontraktem. Jednak przewodnicy nie zgodzili się na rozdział karawany na dwie. W pojedynkę żaden poganiacz nie wybiera się na pustynię. Taka jest reguła. Nigeryjczycy musieli ustąpić. Po odpoczynku zarządzono odwrót. Burza ucichła. Gerard filmował bez końca. Pustynia pulsowała, jarząc się fajerwerkami płonących wokół pochodni, ceglano-czerwona, jak od milionów słońc. Każdy ruch mnie bolał. Przed nami i za nami niosło się wołanie tysięcy ech. Jakby wróciły do nas sprzed wieków wszystkie głosy, jakie tu z siebie wydano. Krzyk wiatru palonego na stosie dogorywał w nadciągającej nocy, przechodząc w znajomy jęk piasku. Powoli przyzwyczajałam się do niego. Już nie przerażał. Nie rozmawialiśmy zupełnie, Gerard stał się obcy, jak inni. Mijaliśmy się w drodze na wielbłądy lub z wielbłądów. Na żadne spacery nie starczyło sił. W sen wpadało się jak w czarną dziurę bez dna i żadne chrapanie nomadów nie było nas w stanie obudzić. Nie śniliśmy jednak niczego...

Zbliżając się do punktu wyjścia, daliśmy wreszcie znać Hassanowi o zmianie planów. Nie wyraził zdziwienia, jakby takie zdarzenia były na porządku dziennym. Tak więc dżip czekał na nas u wylotu Sahary. W ten sposób pożegnaliśmy się z Algierią i Marokiem. Wracając na Dżerbę, mijaliśmy pasterzy wielbłądów. Próbowałam wyobrazić sobie moje życie tutaj. Przytrzymane jedną ręką do wielbłądziego ogona, a drugą do książki. Na czytanie z pewnością nie brakowałoby czasu, brakuje tu za to książek, bibliotek. Pusta, księżycowa okolica, rzadkie oazy. Jakież inspiracje dla pisarzy, malarzy! Ale życie, jak tutaj żyć? Drobni handlarze wszystkiego, tanich świecidełek, oferowali towar za byle co, za cokolwiek, co pozwoliłoby im przeżyć. Myślałam o tym, że nie wytrzymałabym bez możliwości kupienia sobie książki, ale gdyby przyszło mi głodować jak oni? Dla nich, w wyborze, zjeść czy przeczytać, przegrywało to drugie. Pozornie okolica niezwykle zapładniająca twórczo, w rzeczywistości sprowadzająca życie do jednego, do walki

o przetrwanie. Nędzne osady, które mijaliśmy w drodze powrotnej, brudne, zaniedbane, parterowe domki, robiły przygnębiające wrażenie. Na tym tle zadziwiały piękne, nowe szkoły, z setkami uczniów, całkiem małych, jak i starszych, licealistów, w granatowych, rzadziej białych mundurkach, dzieci czystych, roześmianych, z pewnością nie głodujących. Dziewczęta obowiązkowo w spodniach, w największy upał w długich rękawach, zapięte pod szyję. Mężatki i matrony w sari, z zakrytymi chustą głowami. Niesamowite było przyglądać się, jak kąpały się w morzu, kompletnie odziane, otulone szalem... Ja bym się zbuntowała...

Na Dzerbie czekało nas jeszcze parę dni wypoczynku i praca nad uporządkowaniem materiału. Nie zrobiłam żadnych notatek. Gerard złościł się o to. Mówił, że uciekają mi najciekawsze momenty, że atmosfery nie złapanej na gorąco już nie odtworzę. Sam zapisywał maczkiem cały notes. Nie zgadzałam się z nim. Wchłonęłam tak dużą dawkę egzotyki, że aż mnie dławilo. Aby się z tym uporać, potrzebowałam oddalenia. Z tej perspektywy było mi za blisko. Blokowało system obronny, nie umożliwiało dystansu. Zaprzeczał. Twierdził, że selekcja nie przychodzi sama, z czasem. Trzeba ją robić na gorąco. Uważał, że najważniejszy jest materiał, trzeba mieć co selekcjonować. A kiedy, to zależy tylko od nas. Każdy czas jest odpowiedni. Ale najlepiej od razu. Do pewnego stopnia zgadzałam się z nim, ale wołałam poczuć w sobie, że mogę wreszcie przejrzeć te wszystkie taśmy i zdjęcia. Byłam pewna, że powróci wtedy to, co teraz uciekało tak szybko. Mijało zgodnie ze swą naturą, ale nie miało przeminąć. Utrwalone na celulooidzie będzie wyłącznikiem tego co nieważne, ale katalizatorem reakcji łańcuchowej rzeczy najważniejszych.

Pozornie między nami nic się nie zmieniło. Nadal byliśmy razem. Jednak pustynia rozdzieliła nas. Było inaczej niż na początku. Ale nie umiałam jeszcze określić, na czym polegała ta zmiana.

*

Jadwiga długo przeglądała się w lustrze. Poprawiała włosy, podkreśliła pomadką usta. Z wrodzoną uszczypliwością potraktowała swój pomarszczony brzuch, na szczęście kwiecista bluzka nieźle tuszowała niedostatki figury. Z niepokojem spojrzała z boku na swój mało wyeksponowany biust, po namyśle zarzuciła na szyję szal, znakomicie spełnił swoją funkcję. Przykuwał uwagę, odwracając ją skutecznie od zbyt małego daru natury poniżej ramion. Przyglądziła spódnicę i spojrzała niespokojnie na zegarek. Albin powinien już być. Spóźniał się, to ją denerwowało. Nie lubiła spóźnialskich. Do tego, cóż to za narzeczony, któremu do niej niespieszno? Jeszcze raz zrobiła kilka min do lustra, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w należyтым porządku. Pończochy uwierały ją, nie lubiła pończoch, ale Albin prosił, żeby włożyła dziś spódnicę. Chciał pokazać się z damą, a nie z turystką, odzianą w spodnie.

Wciąż go nie było. Zrezygnowana przysiadła w końcu na krześle, nogi złożyła ze sobą, na nich ułożyła obie ręce. Ćwiczyła. Skoro miała być damą... Po chwili rozległo się energiczne pukanie, zerwała się z miejsca i pofrunęła w stronę drzwi. Otworzyła, stał za nimi Albin, w świeżej koszuli i krawacie. Jadwiga wzruszyła się. Już nie myślała o tym łazędzie Prokopie. Albin prezentował się tak okazale! Bądź co bądź, kawał z niego chłopca, nie to, co ten chudzina Prokop. Albin podał jej ramię, elegancko i wysoko podniósł brodę. Był szarmancki w każdym calu i uważał, że jego narzeczona wygląda uroczo. Już zdążył jej wybaczyć Prokopa, skoro, jak teraz przekonał się naocznie, rywal nie miał u niej żadnych szans. W zgodzie udali się do hotelowej świetlicy. Grano właśnie walca, nikt nie tańczył, nawet nie słuchano, ale Albin natychmiast wyczuł swoją nową szansę i zanim Jadwiga się spostrzegła, stuknął przed nią obcasami i porwał w wir tańca. Byli jedyną tańczącą parą, ale jakoś im to nie przeszkadzało. Kręcili się w kółko,

niezupełnie do taktu, ale zadyszani, wcale nie zwracali na to uwagi. Koszula Albina lekko zaczęła przywierać do spoconego ciała, z trudem hamował zadyszkę, ale przyjemność obejmowania Jadwigi czyniła swoje, oboje rozochoceni wirowali po całej sali, aż rozległy się brawa. Wreszcie Albin wypuścił z objęć zarumienioną Jadwigę. zaproponował kieliszeczek, na co przystała z ochotą.

Przy barze, w kącie siedział już Prokop, skulony z oburzenia. Postawa Jadwigi, to była dla niego potwarz! Była perfidną obrazą! Jadwiga ignorowała go, popisując się z tym mydlkowatym Albinem, tego nie zamierzał jej wybaczyć. Utopił wzrok w kieliszku, zdjął okulary, przecierał je długo i dokładnie, aby nie patrzeć, jak Jadwiga płynie po sali, unoszona grubymi ramionami Albina. Gdy oboje usiedli wreszcie przy barze, miał zamiar odejść, pograć w roberka lub w cokolwiek, ale wpił nienawistne spojrzenie w zaróżowione policzki Jadwigi, mając nadzieję, że to dostrzeże i weźmie sobie do serca jako ostrzeżenie, że z Prokopem nie ma żartów! Więcej nie będzie pobłażał takim jej publicznym poufałościom z innym facetem. Albin zadowolony, że Jadwiga nie dostrzeże rywala, łypnął z triumfem w jego stronę, pewny zwycięstwa. Jadwiga kątem oka dostrzegła jednak Prokopa i jego pełną dezaprobaty minę, ale przy Albinie nie chciała rzucać żadnych uśmiechów w kierunku drugiego adoratora, aby nie zostały zrozumiane jako zachęta. Albin był już dziś na nią wystarczająco zły, wprowadzie mu przeszłość, ale nie zamierzała ryzykować kolejnego konfliktu z nim. Tym bardziej że miała z narzeczonym do pomówienia. Zamierzała bowiem rozmówić się z nim co do przyszłych ich układów finansowych i to teraz, nie po ślubie, kiedy będzie za późno na jakikolwiek manewr. Nie chciała iść za mąż w ciemno. Bała się skoku w nieznane, znalezienia się na czyjejś łasce czy niełasce. Na byłe warunki nie miała zamiaru się godzić. Uznała, że skoro ma do wyboru dwóch kandydatów, jej cena poszła w górę, i zamierzała się jak najdrożej sprzedać. Trzeba to było tylko delikatnie uświadomić Albinowi. Czuła, że był przyciśnięty do muru obecnością złego jak osa Prokopa,

mogłaby więc sporo wytargować. Nachyliła się czule do jego ucha, aż poczuł na szyi gorący oddech. Sam też zaczął szybciej oddychać i trochę się mu nie podobało, że Jadwiga prowokuje go przy gościach. Zauważyła popłoch na jego twarzy i natychmiast odsunęła się. Ścisnęła kolana i spuściła skromnie oczy. Tym udobruchała Albina. Wolał zrównoważone kobiety. Teraz wiedziała już, jaką drogą posuwać się naprzód, aby zdobyć jego względy. Uprzejmy kelner podał im dwa kieliszki, sączyła wódkę wolno, podpatrując, jak Albin to robi. Za wszelką cenę musiała go dziś zjednać sobie. Uśmiechała się, nieco nieśmiało, i widziała, że Albin promienieje.

– Albinku... – szepnęła – to znaczy, panie Albinie... – poprawiła się natychmiast, niby że się przejęzyczyła. Położył dłoń na jej dłoni.

– Jadwiniu droga... – odsapnął – dawno ja chciał, żeby my po imieniu byli. Jako że my są po słowie, ma się rozumieć...

Spuściła znów oczy, a on cmoknął ją w palce.

– Nie wiedziała ja, że z ciebie taki... tancerz! – Spojrzała na niego, aż ścierpła mu skóra i znów spuściła oczy.

Rozluźnił nieco krawat, ta kobita działała na niego, nie to, co jego była, barchanowa...

– Nie tańczył ja... od młodości – przyznał zadowolony. – Ale widać, nie zapomniał. Dobrze tak stare kości rozruszać...

– Gdzie tam stare! – zaprzeczyła żywo. – Za starego to ja bym nie poszła!

Wyprostował się dumnie i rozejrzał wokół, czy aby wszyscy słyszeli. Prokop słyszał na pewno. Albin poznał to po złych błyskach w jego oczach. Rozmowa Albina i Jadwigi toczyła się gładko. Pochyleni ku sobie, niby rozmawiając o niczym, ustalali własne pozycje w przyszłym, wspólnym życiu. Wygłaszane teraz romantycznym tonem opinie pozwalały na zorientowanie się w zbieżnościach lub rozbieżnościach poglądów i ustalenie, czy te rozbieżne są przez oboje do

zaakceptowania, czy też będą wymagały większych kompromisów. Albin starał się zabłysnąć przed nią dobrym humorem, jej podobała się jego rubaszość, co okazywała przytłumionym chichotem.

Prokop miał dość przyglądania się ich gruchaniu, dopił resztę z kieliszka, ostentacyjnie odsunął go i wyszedł z sali. Jadwiga postanowiła na razie się tym nie przejmować. Przyjdzie czas, to się zobaczy, czy Prokop będzie jej potrzebny czy nie i co wtedy da się zrobić. Na razie sprawa i tak nie była przegrana, jak wysondowała z jego nieukrywanej złości.

– A jak sobie z płaceniem radzicie? Toć twój syn, młodzik jeszcze, a to i podatki, i utrzymanie... Wszystko tera drogie takie... – nie wytrzymała w końcu.

– A kosztuje to wszystko, kosztuje co niemiara... – przyznał Albin i zasępił się. Temat finansów nie nastrajał go optymistycznie.

– To może ja co poradzę? – zaproponowała. – Na księgowości się znam, trochęja w tym pracowała, to się i rozpatrzę szybko.

– Ale po co? I tak od razu? – zaniepokoił się. Nie zamierzał oddawać interesu w ręce baby. Dawać takiej kontrolę nad sobą? Z pieniędzmi to on będzie robił, co zechce. Żadna baba nic mu nie będzie dyktować.

– Pomogę ja. Nadam się. Nie jestem darmożjad – przekonywała.

– O zaraz tam. Głupie gadanie... – najeżył się. – Do garów mi baby potrze. Jeść dać, sprzątnąć, opruć. Ot i cała fatyga. Nie do interesu. Syna przyuczam, to starczy.

Teraz ona się zaniepokoiła. Albin nie okazał się skłonny do ugody. Wyglądało to gorzej, niż się spodziewała. Ale może nie wszystko było stracone? Postanowiła dążyć głębiej.

– Albinku... – zaczęła cichutko, starając się nie uronić z głosu ani kropli słodyczy. – Dogadać się można i z synem co do mojej u was roboty. Oszczędności, ważna rzecz. Ja w handlu robiła, kombinować umiem, wiem co pieniądz. Krzywdy mieć nie będziecie.

– Tego brakowało! – rozsierdził się Albin. – Co mnie pani tak naciska! – Znow rozluźnił krawat, tym razem z irytacji.

No, bo co też ta baba sobie wyobraża? I gdzie ona się tak pcha? Do ich portfela? Tego jeszcze brakowało! Takie to lepiej od forsy trzymać z daleka, bo jeszcze się do nich dołapią!

– Kobity, te tam, feministki... pani chyba do nich nie należy? – upewnił się niezbyt grzecznie.

– Ale o co obraza? – zapytała, sama obrażona, że przestał jej mówić po imieniu. Najwyraźniej wycofywał się. – Że baby pracują? To się nie podoba? Czasem lepiej się rządzą jak wy.

Zaczęła popijać i po chwili prawie wysączyła kieliszek do dna. To też mu się nie podobało. Lubił mieć na podorędziu różne trunki w domu, teraz zachodziła obawa, że żonka może mu zapasy po kryjomu podpijać... Zerknął krzywo na Jadwigę.

– Niechże już pani da spokój z tą robotą. Po co tak z tym wyskoczyła? W domu nie dość roboty będzie? Ja utrzymanie daję, to o co się rozchodzi?

Siedzieli naprzeciw siebie, rozeźleni. Patrzyła na niego przerażona. Czy tak będą wyglądać ich wspólne wieczory? A jakby chciała do handlu wrócić, żeby trochę grosza odłożyć, bo przecież jej nie da ani on, ani ten jego synalek, to pewnie i dorobić nie pozwoli, przy garach siedzieć każe. Kucharki tylko szuka. Jadwiga znow spłonęła, tym razem ze złości. Albin wziął jej rumieniec za dobry omen i też pokraśniał. Ale ona złękła się, że nie zdecydowała jeszcze, jakoś nie potrafiła wybrać żadnego z nich. Żaden jej nie pasował. Po trochu to każdy z nich, ale tak bardziej, to żaden. Rozczarowana, straciła kompletnie rezon. Ten wieczór miał być przełomowy. Jutro miała wrócić z narzeczoną, z jednym z nich. Tymczasem nadal nie wiedziała, który to mianowicie miałby być.

„Niedoczekanie – pomyślała z niechęcią. – Tak łatwo mnie nie wyrolują. Chcą

walki, to ją będą mieć. Tylko inną, niż myślą. Może się wydam najprzód za Prokopa, bo słabszy, pierwszy zemrze, to rentę po nim mieć będę, grosz uzbieram. A potem pójdę za Albina, żeby kościelny mieć. Tak się i urządzę, i zemrę uczciwa. Głupie chłopcy, same doprowadzają baby do tego – aż zaciskała wargi ze złości – że robią z nich balona! Spryciary i krętaczki największe wzięcie mają. Takie to oni lubią. To przez nich my takie. Bo czy to da sobie który co szczerze powiedzieć? Od razu do gardła skacze! To mu źle i tamto też niedobrze! Ale minkę zrób, nabujaj byle co, że niby na jego wyszło, to od razu masz, co chcesz. No i dobrze. Wolą w bujdzie żyć, to będą! A ja sobie pomalutku swoje zrobię! Przezorna jestem, o swoją przyszłość zadbać chcę, to przecie nie zbrodnia" – powiedziała sobie na pocieszenie.

* * *

– Stopy lekko grzęzły w podmywanym wodą piasku. Morze rozlewało się pianistą bryzą.

– Pieni się, jako dobre piwo, Soniu – powiedział nagle Gerard na głos i znów pogrążył się w zamyśleniu.

Stał obok, fale obrysowywały jego stopy białą koronką. Stopy Gerarda tuż przy moich, palce obmywane tym samym haustem przyływu. Czy można być bliżej siebie? Leżałam wyciągnięta leniwie, na wznak, ciepła woda kołysała mną sennie. Jego ciało było tak blisko, że czułam woń, którą wydawało. Ciało, którym odgrodził się ode mnie. Warownia, w której ukrył się ze swoimi myślami. Nigdy nie będę miała do nich dostępu... To jego twierdza. Ostoja, przede wszystkim przede mną. Przymykał oczy raz po raz, jakby raziło go ostre światło. W rzeczywistości, odwrócony przodem do morza, nie cierpiał od słońca. Męczyły go własne myśli, to, z czym borykał się od kilku dni, udając roztargnienie i ospałość.

Jakby nic dotąd nie wpadło w niego, oprócz piasku, z którego nadmiaru pragnie się teraz uwolnić. Tymczasem dojrzewało w nim coś zupełnie przeciwnego. Wciąż jeszcze go nie znałam. Nie tak dobrze, jak sądziłam. Zaskakiwał mnie, był nieprzewidywalny. Nie potrafiłam się przystosować do jego zmiennych nastrojów. Milczący, absolutnie nieobecny i rozkojarzony na zewnątrz, okazywał się w głębi maksymalnie skoncentrowany, jego wyobraźnia pracowała przez cały czas na najwyższych obrotach. Nagle zaczynał mówić, widział przed sobą kompletną fabułę scenariusza, ustalał cięcia z zebranego materiału, kompilował w myślach, skracał, montował. Nie mogłam pojąć, że z jego pozornej niedyspozycji psychicznej rodzą się takie artystyczne diamenty. Jak on to robił? Nie wiedziałam. Ale chłonełam każde jego słowo. Mimo mojej złudnej nieuwagi, wręcz roztargnienia, wywołanego nieustannym, pulsującym szumem morza, wsłuchiwałam się w to, co mówił. Zapamiętałam wszystko. Mówił nieustannie, jakby nie mógł dogonić uciekających myśli, w rzeczywistości niesłychanie konkretny i precyzyjny. Podziwiałam go. Jego wizje były porywające. Nie byłam pewna, jak ogarniemy potem na papierze te niebotyczne skojarzenia, którymi tak lekko żonglował. Jego żonglerka obrazami nie była jednak chaotyczna. Gerard zawiązywał niezwykle kunsztowną konstrukcję. Komponował każdą scenę, jak kuglarz wyczarowywał obrazy, sypał nimi jak z rękawa. Jego fantazja wydawała się nie mieć granic. Oszalała niewyczerpanym bogactwem pomysłów. Nigdy się nie powtarzał, nie kopiował sam siebie ani nikogo. Był niezwykle człowiekiem, o nieposkromionej energii tworzenia, pozbawiony jakichkolwiek barier, intelektualnych i artystycznych. Poruszał się w tworzonym przez siebie świecie z prędkością komety. I jaśniał jak ona. Nawet nie próbowałam wtedy zbliżyć się do niego. Był nieosiągalny. I niebezpieczny. Spłonęłabym przy nim jak ćma. Potrafił uwieść osobowością, ale i niszczył. Nie potrafiłam żyć jak on, na tak wysokich obrotach. Wymagał całkowitej i nie kończącej się dyspozycji

psychicznej. Nie stosował żadnej taryfy ulgowej, nie pozwalał nawet na minutę wypoczynku. Żadnego ble ble, o niczym, czy luzu, tylko od świtu do nocy ciężka, nieustająca praca, nieustanny wysiłek umysłowy, aby dogonić go, podążyć za nim, za tym, co rozpościerał przede mną swoimi słowami. Poszukiwał, kluczył, czasem zawracał, odnajdywał znów tę właściwą drogę i znów rwał do przodu. Wyciskał z siebie i ze mnie ostatnie poty. To była mordercza praca. I mordercze tempo. Z pozorami wypoczynku. Tytan. I tyran.

Film został stworzony w tydzień, w umyśle Gerarda. Nie na papierze, ale już dokładnie wiedział, co powstanie po powrocie do kraju. A ja nie miałam wątpliwości, że będzie to wielkie wydarzenie. Cieszyłam się, że będę miała w tym swój udział. To było coś więcej niż przygoda. Uczestniczyłam w narodzinach czegoś niezwykłego. Wymęczona do ostatnich granic. Ale za nic w świecie nie zrezygnowałabym z tego doświadczenia. Oschły, coraz bardziej obcy, coraz ciaśniej zamknięty w obrębie swoich przemyśleń. Nie ten Gerard. Inny. Nie mój. Już nie mój? Czy tylko na razie? A może nigdy nie mój? Nie potrafiłam znaleźć odpowiedzi na te pytania. Nie szukałam ich. Nie było na to czasu. Ani chęci. Jego nerwy, zmysły, napięte do ostateczności, dały wkrótce o sobie znać. Kiedy po raz pierwszy krzyknął na mnie? W Medinie. Poprosił, abym wybrała coś dla jego żony. Kompletnie rozstrojona wybrałam prezenty, ale w tym momencie coś we mnie pękło. Jakby tama, która do tej pory trzymała mnie w ryzach. Nie było sensu dłużej się okłamywać. Tej nocy wyjeżdżaliśmy stąd. Wracał do niej. Do żony. Bez względu na to, co ja o tym sądzę. Naprawdę myślał, że uśmiechnę się i spełnię jego prośbę? Uraziło mnie to, że nie ma dla niego znaczenia, co czuję. Był okrutny, a ja nie potrafiłam tego pojąć. Kazać mi wybierać coś dla niej... Po raz pierwszy poczułam, że Gerard potrafi zadać ból. Bez znieczulenia. Tego, że może być mi przykro, po prostu nie przyjmował do wiadomości. Zrobiłam jednak to, o co prosił. I czekałam, aż zaproponuje mi, abym teraz wybrała coś dla siebie. Nie doczekałam

się. Nie zaproponował. Wtedy nastąpił wybuch. Niekontrolowany.

Stałam i zaczęłam wybierać przy kramie z ozdobami. Nie rozumiał, co robię. Targowałam się zawzięcie z kupcem. Pokazałam Gerardowi naszyjnik. Poprosiłam, aby zapłacił. Gerard był zły. Naszyjnik nie był drogi, jednak Gerard z trudem przełknął fakt, że zrobiłam sobie prezent sama, jego kosztem. Przy kolejnym kramie kolejny naszyjnik i znów targowanie. Znów poprosiłam, aby zapłacił. Gerard wpadł we wściekłość. Naszyjnik kosztował grosze, w sumie za oba wydałby nie więcej niż na prezent dla żony. Ale nie chciał o tym słyszeć. Zażądał, abym zwróciła jeden naszyjnik, a gdy odmówiłam, oświadczył, że nie zapłaci. Wtedy postanowiłam, że skoro jest hojny dla żony, a dla mnie nie, to zmuszę go do tego. Wściekłość ogarnęła nas oboje. Wyszedł ze sklepu, ale ja nie wychodziłam. Arabowie obserwowali całe zajście ze zdziwieniem. Chyba po raz pierwszy widzieli mężczyznę, który nie zamierza kupić własnej, ale nie uległej kobiecie taniej błyskotki, i kobietę, która walczy jak lew, aby jej mężczyzna się przed nią pochylił. W ich mentalności nie mieściło się stawianie żądań przez kobietę ani jej walka z mężczyzną, na równych prawach. Czekali z zapartym tchem na wynik rozgrywki.

Poszłam po Gerarda, powiedziałam, żeby zapłacił. Że oddam mu pieniądze w kraju. Nie chciał. Zaczął krzyczeć. Stałam, patrzyłam i milczałam. Jak w horrorze, w którym nagle zabrakło dźwięku, widziałam tylko jego wykrzywioną twarz. Zapłacił. Przez całą drogę krzyczał. Miałam ochotę wyrzucić oba naszyjniki do śmieci. Nie potrzebowałam ich. Były symbolem mojej klęski. Upokorzył mnie. Udowodnił, jak niewiele dla niego znaczyłam. Nagle coś przyszło mi do głowy. Zapłacił tyle pieniędzy za tę bajkową podróż, żeby tak strasznie się ze mną pokłócić o to, że wydał na mnie parę groszy więcej? To było nielogiczne! Zapytałam, ile go kosztował nasz pobyt tutaj. Okazało się, że nic. Wszystko pokrył producent, dla którego powstawał ten scenariusz, oczywiście obiecując dyskrecję...

– Naprawdę uwierzyłam ci, gdy powiedziałeś mi, że zabierasz mnie na wyspę miłości – wykrztusiłam.

– Nie bądź infantylna. – Wkurzył się do reszty. – Jesteśmy tu w pracy. Myślałem, że to od początku było jasne.

– Nie było! – Czy teraz ja krzyczałam? – Co zrobisz, gdy wrócisz do domu? Prześpisz się z nią? A potem znów ze mną? I tak na zmianę? To się nigdy nie skończy, prawda?

– Kim ty jesteś, do cholery, że śmiesz mi zaglądać do łóżka? – syknął w odpowiedzi.

Tak, czułam się oszukana. Choć twierdził, że nie mam prawa tak się czuć. Czy wykorzystał mnie? Przecież na to pozwoliłam. W jednym się nie pomylił, byłam naiwna. Wieczór minął mu na setkach notatek. Nie zauważał mnie albo już nie chciał widzieć. Nad ranem wylatywaliśmy do kraju. Tej nocy nie zmrzyliśmy oka. Moje milczenie w końcu udzieliło mu się. Był coraz bardziej zły. Chyba nie tak wyobrażał sobie zakończenie naszej podróży.

Samolot wystartował. Panicznie bałam się lotu. Siedziałam przy okienku i patrzyłam w czarną czeluść pode mną. Udawał, że tego nie dostrzega. Usiłował drzemać, ale uwagę zbyt przykuwała mu jego sąsiadka. Starsza od niego. Przez całą drogę wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany. Albo udawał, aby sprawić mi przykrość. Patrzyli sobie w oczy, jej znajomi, którzy siedzieli z boku, przypatrywali się temu z rozbawieniem, spoglądali co chwilę na mnie z uwagą. Byli ciekawi, jak zakończy się ta dziwna runda, w której wcale nie chciałam brać udziału. Gdyby wziął mnie za rękę, sama zaczęłabym z nią rozmowę. Bo to by oznaczało, że oboje z nią rozmawiamy, a nie on sam. Ale on chciał być z nią, sam. Może robił mi na złość, a może naprawdę mu przeszkadzałam. Jednocześnie nie odważył odezwać się do niej. Czuł moją dezaprobatę. Patrzyłam w czerń za oknem i ignorowałam ich zachowanie. Może gdyby pierwsza odezwała się do mnie,

uznając moją obecność przy nim za fakt niepodlegający dyskusji, uśmiechnęłabym się do niej bez przymusu. Ale ją bawiło to, że oboje sprawiają mi przykrość. Imponowało jej nie ukrywane, a przeciwnie, manifestowane zainteresowanie nią Gerarda. Podchlebiało jej, szczególnie przed znajomymi. Udawał, że mnie nie widzi. Może nawet nienawidził mnie w tamtej chwili. Co chciał mi udowodnić? Swoją niezależność? Bezgraniczną wolność? Małe znaczenie znajomości ze mną? Dlaczego więc zrezygnował z rozmowy z tą kobietą? Czyżbym się omyliła? Może popełniłam błąd? Może byłam dla niego jednak kimś ważniejszym, niż sądziłam? A ona tylko przypadkową towarzyszką podróży? Pewnie nigdy już się tego nie dowiem...

Po przylocie, gdy wracaliśmy taksówką, naskoczył na mnie. Że przeze mnie nie spędził lotu na ekscytującej, jak sądził, rozmowie. Bo on chce i zamierza poznawać ludzi. Przypomniałam sobie moment na pustyni, gdy strzepnął mnie z siebie jak piasek... Czułam się taka znużona. Nawet nie chciało mi się niczego wyjaśniać. Czy to był mój kolejny błąd?

Odprowadził mnie na górę, do domu. Poprosiłam, żeby więcej nie przychodził. Był zaskoczony. Przekonany, że nie odważę się na taki krok. Powiedział, żebym się zastanowiła, czeka nas przecież wspólna praca. Że był to nic nieznaczący incydent. Nie zmieniający niczego między nami. Że zadzwoni. Potem wyszedł. Zamknęłam za nim drzwi i rozplakałam się... Przecież nie chciałam tego! Otworzyłam drzwi, zawołałam go, zbiegłam za nim. Czekał już, chwycił mnie tak mocno! Jego ciało znów należało do mnie! Na całych wiele godzin, może nawet do jutra... Szal? Tak, byłam szalona. Z miłości. Zaczadzona. Jak w narkotycznym śnie, przenikaliśmy się niczym dwa omamy. Potem nagle znikł. Kiedy się ocknęłam, już go nie było.

Gdy przyjechałam odebrać Olę, mama położyła mi dłoń na czole.

– Jesteś rozpalona, córeczko – zauważyła z niepokojem. – Co się stało? Taka

młoda, utalentowana. Powinnaś być zadowolona i szczęśliwa, dlaczego tak się nie dzieje? Martwię się o ciebie. Coś cię dręczy? Nie powiesz mi co? Nie będę nalegać. Posłuchaj mojej rady. Przecież to ty zawsze mówiłaś, że nie o to chodzi w życiu, co się widzi, lecz jak. Pamiętasz, jak powtarzałaś mi, że nie ma żadnej pewności, że nadejdzie coś złego? Teraz ja ci to mówię. Bądź dobrej myśli. Wtedy przyniosą to, co dobre.

Nie byłam w stanie nic jej odpowiedzieć. Nie zrozumiałaby, nie zaakceptowała. Miała twarde zasady. Związek z żonatym mężczyzną był dla niej absolutnie nie do przyjęcia. Milczałam więc. Bo zgadzałam się z nią. Ale moje życie bez Gerarda traciło sens i smak. Pozostałam smutna.

– Jestem po twojej stronie – powiedziała mi na odchodnym. – Pamiętaj o tym. Choć nie jesteś w stanie nic mi wytłumaczyć.

Pocałowała mnie. Tak bardzo kochałam ją w tej chwili. Odeszłam niepokieszona. Ale nie potrzebowałam pociechy. Nie od niej.

Wszystkie bajki kończą się tak samo, żyli długo i szczęśliwie. Nasza miała inne zakończenie. Gerard nie pojawiał się. Nie dzwonił. Mijały tygodnie. Nie poszukiwałam go. Co mnie powstrzymywało? Ambicja? Rozczarowanie, niespełnienie, żal? A może jeszcze coś innego? Może zdałam sobie sprawę, że Gerard nigdy nie będzie ze mną, nawet jeśli wróci, to znów odejdzie. Że taki kołowrót uczuciowy będzie trwał bez końca. Do całkowitego wypalenia nas obojga. Do udręczenia i chęci odwetu. Do kompletnego upadku. Ciepła sielanka była tylko utopią. Jeżeli nie dzwonił, widocznie myślał tak samo. Zawsze zgadzaliśmy się w odczuciach. Wycofał się póki czas i nie miał odwagi powiedzieć mi tego wprost? Czy przeciwnie, nie było to dla niego tak oczywiste, jak myślałam? Może jednak znałam dla niego bardzo wiele, znacznie więcej niż przypuszczałam? Tak wiele, że nie potrafił się z tym uporać?

Wkrótce skończyły mi się pieniądze. Opanował mnie gniew i nieokiełznana

zazdrość. Byłam jak w potrzasku. Jego przedłużające się milczenie oskarżało mnie bardziej niż cokolwiek. Jakby uznał, że jestem winna całej swojej nieustabilizowanej sytuacji. Że zasługuję na to, co mnie spotyka z jego strony. Równoległe z tęsknotą narastał we mnie niepohamowany bunt. Zaciskał boleśnie obręcz na sercu. Gerard nie dawał znaku życia. Materiały przywiezione z Dżerby leżały nietknięte. Nie miałam z czego żyć. Poszłam do Artura. Pal lichy honor, Ola jest jego córką, powinien mi pomóc. Dziwna to była wizyta. Patrzył na mnie, jakby mnie nie znał. Nie chciał ze mną rozmawiać. Ani on, ani jego rodzice. Nie mają pieniędzy. Nie dadzą. Muszę radzić sobie sama. Postanowiłam nie żebrać więcej. Zaczęłam opracowywać notatki Gerarda. Na początku pomyślałam, że szkoda czasu, aby się marnowały. Może Gerard w końcu się zjawi. Pamiętałam, co mówił. Każde słowo. Pracowałam w gorączce. Jakbym chciała mu zaimponować. Jakbym liczyła, że potrafię przykuć jego uwagę do siebie na stałe. Naprawdę wierzyłam, że mnie doceni? Po dwóch miesiącach orki rzecz była gotowa. Zadzwoiłam do producenta, po czym zaniósłam mu scenariusz. Melodramat w niezwyklej scenerii Sahary. Przywitał mnie z zainteresowaniem. Jowialny, szpakowaty, w luksusowym gabinecie, gdzie czuł się jak ryba w wodzie. Plan Gerarda powiódł się. Ten człowiek doskonale zapamiętał mnie z wystąpień na sesji w Stowarzyszeniu Filmowców. Dlatego zgodził się sfinansować naszą podróż na Dżerbę. Teraz miał w ręku tak długo wyczekiwany tekst. Nawet nie zapytał, dlaczego sprzedaję go sama. Uznał, że to sprawa między mną a Gerardem, nie zamierzał się do tego wtrącać. Niecierpliwie przekładał maszynopis z ręki do ręki, nie mógł doczekać się lektury. Światło południowego słońca przebijało się niezdarnie przez ledwo zaciągnięte żaluzje. Na parapetach królowały pyszne storczyki. Wyginały w moją stronę swoje szeroko otwarte usta. Po kilku dniach producent zadzwonił, że kupuje. Podpisałam umowę. Sprzedałam tekst bez wiedzy Gerarda. Miałam pieniądze, byłam niezależna. Przypieczętowałam w ten sposób koniec mojego związku z

Gerardem. Nie wiem, czy była to zemsta, czy akt odwagi? Czy stałam się przez to spokojniejsza? Szczęśliwsza? Czy poniosłam totalną klęskę? Czułam dziwną radość. I pustkę. Nikt nie zna siebie do końca. Własnego serca nie sposób przeniknąć, co dopiero uzmysłwić sobie własne motywacje. Zagryzają nas podejrzliwość i nieufność. One są przyczyną wszystkiego, co głęboko ukryte. Do czego się nie przyznajemy. Czego się nawet nie domyślamy. Czasem wymyka się to spod kontroli, maskowane przez strach i wstyd. Prowokuje emocje, których nie podejrzewaliśmy u siebie. Wyzwała upokorzenie, które sami sobie zgotowaliśmy.

*

Wydra obserwował Sonię siedzącą w kącie świetlicy. Nie widziała go. Miała zieloną bluzkę i wyglądała w niej okropnie. Uderzył go dziwny wyraz jej oczu, były jakby wytrzeszczone, gałki wyraźnie nie mieściły się jej pod powiekami. Twarz miała nieco opuchniętą i zaczerwienioną, jakby za dużo wypła, a przecież przypatrywał jej się przez cały wieczór. Z całą pewnością nie piła alkoholu. Nie miał wyrzutów sumienia, odczuwał raczej złość, że ta chuda tyczka z nabiegłą krwią twarzą i wytrzeszczem oczu straciła kontrolę nad sobą i nad wszystkim wokół. Uważała pewnie, że to jego wina. Nawet nie spojrzała w jego stronę, jakby nie było kogo zaszczyścić spojrzeniem. Jednak pod tą powłoką złości kryło się u Wydry coś więcej. Jakiś narastający niczym zbliżająca się burza głuchy niepokój. Nie potrafił się od niego uwolnić. Pętał go i jego wolę. Wydra zamiast pograć w bilard lub po prostu przysnąć nad piwkiem, wciąż śledził wzrokiem tę obolałą dziewczynę, którą prawie posiadał wczoraj, co go, o dziwo, wcale nie satysfakcjonowało. Właśnie ten fakt złościł go szczególnie. Czuł obrzydzenie do niej i do siebie. Nie szukał przygód, a już na pewno nie gustował w przemocy. Sam nie wiedział, dlaczego poszedł wtedy za nią. Ogarnęła go cyniczna chęć uderzenia

jej, przekonany, że to szybko przywróciłoby ją do przytomności. Jednak była to jego kolejna maska, którą pokrywał nonszalancko niepewność. Nie był już tak przekonany o swej nieomyślności. W sądach i czynach. Do tej pory było mu wszystko jedno. Teraz zaczynał się wahać. Czy na pewno on ma rację. I to właśnie tak go wkurzało. Tyle zachodu przez jakąś głupią gęś! Przeleciał ją czy nie, no i co? Co się takiego stało? Powtarzał sobie raz po raz, że nic. Ale im dłużej tak mówił, tym mniej w to wierzył. Miał ochotę skłąć ją albo kogokolwiek, rąbnąć jak nie ją, to tego księdza, który właśnie oddalił się stąd z takim pośpiechem. Siedziała i patrzyła, nie widząc. Spała z otwartymi oczami? Lunatyczka. Wszyscy oni to lunatycy. Skrzywił się. Nie ma się czym przejmować. Więc czemu skrewił wtedy? Czemu nie odważył się być wobec niej brutalny do końca? Było w niej coś, co go powstrzymało. Nie umiał nazwać, co takiego. Ale to właśnie wywoływało w nim niepokój. Sonia nie była jak inne. Na czym jednak miała polegać ta różnica, nie miał pojęcia. Wkurzała go własna dezorientacja. I jej omijanie go spojrzeniem. Może wolałby, żeby wylała na niego żółć, jak kubeł pomyj. Wtedy nie miałby żadnych skrupułów. Wyczuwał w niej coś gorszego niż nienawiść. Co mianowicie? Usiłował nazwać to, co podejrzewał, lecz wciąż brakowało mu właściwego słowa. Przebierał w określeniach, ale najbliższe temu, co sądził, było „przyzwolenie”. Tak, dobrze pamiętał, co się stało. Pozwoliła mu. Na gwałt. Dlaczego? Właśnie to go najbardziej przeraziło i odstręczyło od niej. Gdyby nie napatoczył się ten cały ksiądz, pewnie by ją zabił. Upokorzyła go. Nie broniąc się, pokazała, że spełnia się jej, nie jego wola. To ona nim manipulowała. Był tylko narzędziem w jej ręku. Nie była bezwolną ofiarą. Zrobiła z niego kata, kogoś znacznie gorszego, niż był w istocie, jakby chodziło jej o coś więcej z jego strony niż o fizyczną przemoc. Pozwoliła się zgnoić. To było niepojęte! Nie mieściło mu się w głowie... Patrzył na nią, prawie się z tym nie kryjąc. I tak nikt nie zwracał na nich uwagi. Rozgadany tłumek przetaczał się wciąż przed jego oczami, rozmazany, jak przez mgłę.

Chwilami wydawało mu się, że to on zalał się w pestkę, nie wiadomo kiedy. Kręciło mu się w głowie, jakby właśnie zszedł z karuzeli. Ogarniało go dziwne zamroczenie, czuł suchość w gardle i kołatanie serca. Nie miał pojęcia, skąd się to wzięło, czemu było mu tak źle. Kolacja zalegała mu w żołądku, jakby jelita nagle odmówiły posłuszeństwa i przestały trawić. Czuł, że drżą mu kolana i ręce, zacisnął szczęki, aby się opanować. Nagle zauważył, że wstała. Zachwiała się, pomyślał nawet, że pewnie upadnie. Ale nie, stała bez ruchu, patrzyła przed siebie. W jego kierunku, ale nie na niego. Nie widziała go, tego był pewny. Zrobiła dwa kroki do przodu i znów się zatrzymała. Może wahala się. Znowu ruszyła przed siebie, tym razem już bez wahania, nawet z wyraźnie podjętą decyzją wyjścia z sali. Ale szła nienaturalnie sztywno. Jej krok nie był już tak lekki, jak to wiele razy zaobserwował, to mu się nie podobało. Była jakaś inna. Dokąd szła? Nie, tym razem się zamierzał jej skrzywdzić. Był tylko ciekawy. Od początku intrygowała go. Pociągała. Zbyt przykuwała jego uwagę. Nie Kasia, lecz właśnie ona. Choć krył się z tym za ostentacyjną zuchwałością. W rzeczywistości urażony do ostatnich granic. Jej obojętnością. Niepokoił go jej chód, jakiś płaski, rwący się, jakby nierówny. Wstał od stolika i ruszył za nią. Nikt nie zauważył jego wyjścia. Przede wszystkim nie ona. Zniknęła już w mroku. W którą stronę poszła? W lewo czy w prawo? Do windy czy schodami? W górę czy w dół? Usiłował zorientować się w labiryncie źle oświetlonych korytarzy. Były puste. Szukał. Ale Soni nie było nigdzie. Nie słyszał żadnych kroków. Skąd brała się w nim ta bezpodstawna obawa, że dzieje się coś niedobrego? Nie od wczoraj zachowywała się dziwnie. Ale dziś – szczególnie, jak w transie. Przebiegł schodami w jedną, potem w drugą stronę. Wtedy usłyszał kroki. Poznał je natychmiast. Zobaczył uchylone drzwi. Prowadziły do remontowanych pomieszczeń. Poczł ukłucie w sercu. To był lęk. Pochodził z przekonania, że ona tam jest. Co powinien zrobić? Wejść czy nie? A jeśli rzeczywiście jest tam i się przestraszy? Narobi krzyku? Zajrzał, światło było

zgaszone. Panowała absolutna cisza. Wydawało się, że w środku nie ma żywej duszy. Jednak coś irracjonalnego podpowiadało mu, że to tylko złudzenie. Intuicyjnie nie włączył światła. Wsunął się ostrożnie, aby jej nie spłoszyć, gdyby stała niedaleko. Czego chciał? Sprawdzić, czy wszystko w porządku? Przecież czuł, że nie jest... Ale coś zmuszało go do tego. Posuwał się po omacku, dotykając rękami ściany. I wtedy zobaczył Sonię. Stała na balkonie. Czerniała na tle głębokiego zmierzchu, odcinającego się wyraźnie od metalowych rusztowań na zewnątrz. Głowę miała przekrzywioną w bok, jakby wpatrywała się usilnie w księżyc. Ale Wydra był pewien, że ona nie widzi niczego. Że stoi niebezpiecznie blisko krawędzi. Nieporuszona. Ze wzrokiem wbitym w to, co znajdowało się przed nią. W brak balustrady, oddzielającej ją od granicy życia. Które to mogło być piętro? Nie zdążył sprawdzić. Zresztą, teraz było to obojętne, było za późno na jakąkolwiek kalkulację. Jeżeli on teraz popełni błąd, jeśli ona usłyszy jakiś szmer, przestraszona szarpnie się do przodu... To będzie koniec. Nikt i nic nie zatrzyma jej lotu w dół, upadku, w śmierć. Wstrzymał oddech i wciąż posuwał się bezszelestnie w stronę dziewczyny. Czuł, jak pot ścieka mu po czole. Bolały go wszystkie mięśnie od wysiłku wstrzymywania skoku ku niej. Był już tuż za nią...

Wtedy usłyszała świst jego zmęczonego oddechu. Odwróciła głowę. Przeraziła się, widząc go tuż za sobą. Trwało to tylko sekundę. Zobaczył jej wzrok. Potem – była już poza zasięgiem balkonu. Trzymana przez niego kurczowo. Nie wiedział, jakim cudem wciągnął ją z powrotem. Nie zapamiętał nawet, że pomogły im rusztowania. Nie broniła się, jak wtedy. Ale teraz leciała mu przez ręce. Niósł ją korytarzem, ledwo dawał sobie z tym radę. Z trudem wtaszczył ją do jej pokoju. Nie miał pojęcia, że bezwładne ciało potrafi być takie ciężkie. Zasapał się. Była półprzytomna, nie protestowała. Bał się tylko, że natkną się na kogoś na korytarzu i będzie musiał tłumaczyć. Na szczęście ze świetlicy dobiegały wesołe głosy i dźwięki muzyki, bawiono się w najlepsze...

Położył ją na łóżku i okrył kocem. Szczękała zębami tak głośno, jakby nabawiła się febry. Chciał zakrzętnąć się, zrobić jej gorącej herbaty, ale przy próbie zapalenia światła krzyknęła tak, jakby wbił jej w oczy rozżarzony pręt. Zgasił światło, wtedy umilkła i tylko dyszała ciężko. Jak po długim, męczącym biegu.

– Coś ty zrobiła, dziewczyno? – Nie wytrzymał. – Życie ci niemiłe?

Ręce aż latały mu ze zdenerwowania. Gdyby się zabiła, ksiądz z pewnością zeznałby na śledztwie o gwałcie, co prawdopodobnie spowodowało u niej ten opóźniony w czasie, narastający aż do próby samobójczej, szok.

Nie odpowiadała. Jej oddech wciąż świszczwał mu w uszach. Usiadł na jakimś krześle.

– To przeze mnie? – chciał się upewnić, choć przecież wiedział to dobrze.

– Odczep się – świszczwała z trudem. – Wynoś się stąd.

– O nie – zaprzeczył żywo. – Nie wywalisz mnie. Nie po tym, co zrobiłaś. Jesteś niebezpieczna. Dla siebie samej. Trzeba cię pilnować.

Coś próbowała wycharzczyć, ale nie zrozumiał ani słowa.

– Leż – nakazał tonem nie znoszącym sprzeciwu. – Nie wstawaj. A najlepiej śpij. Posiedzę tu do rana.

– Zjeżdżaj – teraz usłyszał zupełnie wyraźnie. – Tylko spróbuj mnie dotknąć!

– Myślisz, że po to ratuję ci tyłek, żeby się znów w niego wepchnąć? – zaśmiał się z goryczą.

Tak, poruszyło go to. Czuł się z tym wszystkim podle. Jakby napluł sam na siebie.

– Co chcesz udowodnić? Żeś taki samarytanin? Po wczorajszym? – drwiła sucho. Jej głos brzmiał, jakby wydobywał się z tuby.

– No? Gadaj do woli. Należy mi się. Jestem gnój. Tak? Powiedz to głośno. Ulżyj sobie. Świnia. Bydlę. Co tam jeszcze masz na składzie? – próbował za wszelką cenę być przekonująco cyniczny, ale sam czuł fałsz we własnym głosie.

– Od kiedy to obchodzi cię to, co mam do powiedzenia? Nie pytałeś, gdy mnie brałeś.

Nie zamierzał się z nią kłócić, choć może byłoby to lepsze, niż pozwolić jej zamilknąć i pogрузić się w chaosie bezładnych myśli. Trzeba było zmusić ją do mówienia. Albo do snu. Ale zasnąć przy nim będzie się bała. Chyba że przyśnie ze zmęczenia. Na razie powinna mówić. Jak najwięcej. To odwróci jej uwagę od tego, co zrobiła. Musi zagadać na śmierć tamtą swoją decyzję. Chyba oswoiła się już z tym, że on nadal tu jest.

– Zostaw mnie. Chcę być sama – mówiła, ale tak słabo, że był pewien, iż przynajmniej na razie nie ma dość siły, by wstać. Ale co zrobi potem, gdy oprzytomnieje? Czy nie zechce powtórzyć tego, co jej się teraz nie udało?

– Po co ci to było? – zapytała, tym razem wyraźniej. – Mało masz kłopotów?

– Czemu wyciągnąłem cię stamtąd przed chwilą? Czy czemu zrobiłem ci to wczoraj? A czyja to wiem? Nic nie wiem. Nie wiem nawet, kim jesteś. Ty zawsze wiesz, dlaczego coś robisz? Nigdy nie czułaś żadnego przymusu, jakby ktoś ci kazał postąpić właśnie tak, a nie inaczej? I wcale niekoniecznie najlepiej? Jakby siedział w nas, w środku, ktoś jeszcze... jakiś kleszcz...

Milczała tak długo, aż się przestraszył, że może straciła przytomność, bo przez chwilę nie słyszał jej oddechu. Potem pomyślał, że może zasnęła, nachylił się, by to sprawdzić, wtedy rzuciła całym ciałem, jakby ukąsił ją wąż.

– Nie bój się – cofnął się szybko. – Patrzyłem tylko, co z tobą.

– Wynoś się – powtórzyła z uporem.

– O nie. Nie ruszę się stąd. Zanim ci nie przejdzie. Nie zamierzam cię mieć na sumieniu – zaprzeczył.

– A nie masz? – znów pozwoliła sobie na drwinę. – Zresztą słusznie – dodała szybko. – Należało mi się. Jestem śmieciem. Więc potraktowałeś mnie jak śmiecia.

– Przestań – wstał i zaczął chodzić po pokoju. – Co ty wygadujesz?

– Pokarało mnie. I dobrze. Wiesz co to cudzołóstwo? – wyjaśniła ochryple.

– Trzymają się ciebie takie żarty? – nie uwierzył. – Chyba nie mówisz poważnie? Co to, ciemnogród? Zaczynamy palenie czarownic?

– Myśl sobie, co chcesz – usłyszał w odpowiedzi.

Nie wiedział, co myśleć. Nie był nawet pewien, czy powinien teraz myśleć ani co zrobić. Przerażony, że nie poradzi sobie z tym, co nie na nią, tylko na niego spadło.

*

Znów podszedł do okna. Która może być godzina? I od ilu godzin wysłuchuje jej zwierzeń? Wydra poczuł się śmiertelnie znużony. Ale Sonia nie widziała tego. Jej głos płynął nieprzerwanym strumieniem.

– Mijały beznadziejne tygodnie. Żyłam z dnia na dzień. Usiłowałam nie myśleć o Gerardzie, ale okazało się to niewykonalne. Wciąż nie dzwonił. Producent z pewnością poinformował go już o kupnie ode mnie tekstu i zaproponował mu reżyserię. Milczenie Gerarda mogło oznaczać tylko jedno, gniew. Mój postępek musiał go bardzo zboleć. Chciałam, żeby bolało. Miałam jednak nieustającą chandrę. Mimo to próbowałam się cieszyć. Tym, że znalazłam w sobie dość sił i pokazałam Gerardowi, że nie jestem bezwolną rzeczą, którą może bez konsekwencji brać i odkładać, gdy się sprzykrzy. Poniósł karę, ale jakoś wcale mnie to nie uspokajało. Byłam przygnębiona i smutna. Rozczarowana własną nielogicznością. Skoro chciałam, aby wrócił, dlaczego sama przypieczętowałam rozstanie, dając mu powód do zerwania? Może liczyłam, że to nim wstrząśnie? Że aby mnie zatrzymać, zrobi wreszcie jakiś krok? Przeliczyłam się. Nie zrobił nic. Pozostał żal i nie kończąca się chandra.

Gdy zadzwonił telefon, zmartwiałam. Nie byłam przygotowana na żadną

rozmowę z Gerardem. Co mianowicie miałam mu powiedzieć? Że tęsknię? Boże, jak to brzmi! A jeśli on nie chce tego słyszeć? Jeżeli dzwoni tylko w sprawie scenariusza? Może nawet nasłał na mnie adwokata?... Podniosłam słuchawkę. To był Artur. Chciał się ze mną zobaczyć. Po chwili wahania zgodziłam się. Powiedziałam, że będziemy z Olą w parku. Potem pomyślałam, że nie chcę, aby Artur odniósł wrażenie, że wyczekuję, aż raczy się zjawić. Zadzwoiłam więc do Jolki. Nie widziałyśmy się od tak dawna... Na szczęście jej telefon domowy był aktualny. Zdziwiła się, gdy usłyszała mój głos, ale i ucieszyła.

– Ho, ho! Kopę lat! – trąkotał w słuchawce jej niefrasobliwy sopran. – Robisz karierę, ty czarownico! Wszędzie o tobie czytam! Co za zaszczyt, że sobie wreszcie o mnie przypomniałaś! – Śmiała się i aż płonęła z chęci spotkania się, aby wymienić plotki.

Była piękna, ciepła, marcowa wiosna. Poszłyśmy w stronę parku. Jolka trochę przytyła, ale dzięki temu wyglądała jeszcze bardziej elektryzująco. Patrzyłam na nią z przyjemnością. Była taka okrągłutka, prawie unosiła się w górę. Nie był to jednak wpływ wiosennych skrzydeł, tylko jej niezmiennie pogodnego usposobienia. Ola spacerowała, rozradowana, goniła oczami za stadem rozkrzyczanych gołębi.

– Ale duża – zauważyła Jolka. – Wiesz, że bardzo się zmieniłaś?

– Ja? – zdziwiłam się. – Dlaczego?

– Nie wiem. – Nie potrafiła sprecyzować swojego wrażenia. – Jesteś jakaś... inna. Poważniejsza. Nigdy nie miałaś skłonności do dowcipkowania, ale teraz, jesteś jeszcze bardziej... wyważona.

– Wahala się, nie do końca pewna, czy właśnie to ma na myśli.

– Wydaje ci się – zbagatelizowałam. – A może twierdzisz, że się postarzałam?

– Nie, to nie to. – Wciąż nie wiedziała, na czym polega moja odmiana. – Jesteś... dojrzała – zdecydowała wreszcie.

– Macierzyństwo zmienia – zgodziłam się z nią w końcu.

Pokręciła głową z powątpiewaniem.

– Nie, to nie to – powtórzyła z uporem:

– Też nieźle wyglądasz – stwierdziłam szczerze.

– Mam faceta. Może nawet wydam się za niego – śmiała się zadowolona.

– Zakochałaś się? – prawie jej zazdrościłam.

– O, zaraz tam takie, kochasz, nie kochasz. Co to ma do rzeczy? Nie jestem nastolatką. Są ważniejsze sprawy.

– Jakie? – zaśmiałam się.

– Widzę, że pod tym względem nic się nie zmieniłaś – zachnęła się. – Uważaj, bo się na tym poślizgniesz.

Niby się śmiała, ale wciąż patrzyła na mnie z uwagą. Nie zdążyła nawet spytać o Artura, gdy właśnie pojawił się u wylotu parkowej alejki. Stał i przypatrywał się nam przez chwilę. Zastanawiał się pewnie, podejść czy nie. Jolka spojrzała na mnie.

– Co jest grane? – zdziwiła się.

– Nic – wyjaśniłam spokojnie. – Nie jesteśmy już razem z Arturem.

– O, jak rany! – wystękała ze zdumieniem. – Wypuściłaś takiego faceta?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, Artur ruszył w naszym kierunku. Podszedł do Oli, przyglądał jej się z uwagą. Ola nie zrobiła żadnego gestu w jego stronę, najwyraźniej nie poznała go. Jolka przypatrywała się temu bez słowa.

– To Ola? – zapytał w końcu Artur.

Miałam ochotę odwrócić się i odejść.

– No, nie! – wyręczyła mnie Jolka. – Nie poznajesz własnego dziecka? – naskoczyła na Artura.

– Nie widział jej od roku – powiedziałam zimno.

– Chryste, co tu się dzieje? – jęknęła Jolka.

Artur miał konkretną prośbę. Dowiedział się z prasy o nowym filmie Gerarda, do którego napisałam scenariusz. Prosił mnie o wstawiennictwo, chciał, aby Gerard zamówił u niego muzykę do tego filmu. Tłumaczył, że miałby wtedy pracę i pieniądze. Byłby w stanie płacić mi na Olę. Zapewniał, że nie pije. Potem zaproponował, abyśmy znów byli razem, jego rodzice bardzo się z tego ucieszą. Powiedziałam, że się zastanowię, ale już muszę wracać z Olą do domu. Nie mogłam mu załatwić protekcji u Gerarda z tej prostej przyczyny, że Gerard nie kontaktował się już ze mną. Mogłam wprawdzie porozmawiać z producentem. Może to rzeczywiście była dla nas okazja, żeby znów stać się rodziną? Problem jednak był poważniejszy. Nie kochałam Artura. Co zrobię, jeśli Gerard zechce do mnie wrócić? A jeśli Artur znów zacznie pić i mnie porzuci? Gubiłam się w wątpliwościach. Na mojej twarzy malowała się chyba głęboka rozterka, bo Artur przyglądał mi się w milczeniu.

– Wiem, że ci ciężko. To moja wina. Chciałbym, abyś mi wybaczyła.

– Co ty na to, Soniu? – Nie wytrzymała Jolka.

– Możesz nas zostawić? – spytałam Artura. – Weź Olę na chwilę.

– Pójdzie ze mną? – Nie był pewien, ale wziął ją za rączkę.

Ola spojrzała na mnie pytająco.

– To twój tata – wyjaśniłam dziecku. – Pokaże ci łąbędzie, o tam – pokazałam palcem staw.

Poszła, oglądając się niepewnie w moją stronę.

– No, mów! – Jolka nie mogła wytrzymać z ciekawości. – Co się dzieje?

Ogłędnie wprowadziłam ją w problem. Parsknęła śmiechem.

– Super! – jęknęła z niekłamanym podziwem. – Ty to umiesz się urządzać! Dwóch się o ciebie bije, a ja znów sama muszę o wszystko zabiegać... Masz farta, dziewczyno. Artur chce wracać, niech wraca. Będzie mąż, dom, teściowie, nareszcie odetchniesz. A Gerarda możesz mieć na deser. Do robienia kariery i

pieniędzy. No i podwójny seks! Życ, nie umierać!

Skrzywiłam się. Od razu zauważyła moją minę.

– Myślałam, że chodzi ci o dobrą radę – obrazila się. – Nie rozumiem tych twoich skrupułów. Czemu koniecznie chcesz robić z siebie męczennicę? Jakby bycie cierpiętnicą było bardziej moralne od kobiety szczęśliwej i spełnionej. Nie ty wymyśliłaś ten układ, tylko oni. Staraj się wyciągnąć z tego jak najwięcej korzyści dla siebie. Taka okazja nie trafia się często. I nie wiadomo, jak długo potrwa. Wykorzystaj ją!

– Nie ją, tylko ich, o ile dobrze cię rozumiem – sprostowałam cierpko. Jej rady były, jak ona sama. Ale lubiłam ją. Była szczera.

– Uważasz, że jestem cyniczna? – Wyrzuciła rękę do przodu, jakby miała zamiar zsalutować. – A co tobie dały te twoje uczucia? Połamałaś sobie zęby na zasadach i ich omijaniu. Chcesz znać moje zdanie? Najlepiej ich po prostu nie mieć. Wtedy wszystko jest w porządku. Można się cieszyć życiem. A ty co wzlecisz w górę, to spadasz i pokutujesz w rozpacz. A może dobrze ci z tym? – Zajrzała mi w oczy i westchnęła. – Wątpię... Posłuchaj – ciągnęła. – Nie istnieje żadna moralność. Dlaczego ty akurat masz być ofiarą? Nie warto! Przecież twój Gerard uprawia normalną bigamię! Czy kiedykolwiek wspomniał o waszej przyszłości? Pomyślał, co właściwie się z tobą stanie, jak to wszystko się wyda? Nie ma uczciwości w związkach, są tylko układy – dodała po chwili. – W każdym ktoś kogoś wykorzystuje. Więc lepiej, żebyś to ty ich, niż oni ciebie. To prawo siły. Z nim tylko się liczą. Jak nie będziesz twarda, przegrasz.

Urwała, bo nadchodził Artur z Olą. Pożegnała się szybko, uśmiechając się znacząco.

– Zadzwoń – obiecała, odchodząc. – Naprawdę jestem po twojej stronie.

Artur oddał mi Olę, też zbierał się do odejścia.

– Nie proszę cię o natychmiastową decyzję – zagaił, nawiązując do naszej

urwanej niedawno rozmowy.

Ponieważ milczałam, przystanął jeszcze na chwilę.

– Idziesz na pogrzeb? – zapytał w końcu.

– Czyj pogrzeb? – zmartwiałam.

Nie miałam pojęcia, o czym mówi. Okazało się, że córka Gerarda urodziła przedwcześnie. Dziecko przeżyło zaledwie parę tygodni. Zmarło. Jutro pogrzeb. Wracalam do domu ogłuszona wiadomością. Podczas gdy Gerard borykał się z nieszczęściem, ja zachowałam się tak podle! Nie dzwonił, jak zwykle w ciężkich chwilach. Bał się, że tego nie zrozumie, nie zaakceptuje. Potem pewnie z dzieckiem było coraz gorzej, więc już nie myślał o mnie. W końcu zmarło... Zadzwoiłam do producenta, potwierdził. Nie spytałam, czemu mnie nie zawiadomił, pewnie sądził, że jesteśmy z Gerardem w kontakcie...

Dowiedziałam się też przy okazji, że Gerard nie chce podjąć się reżyserii tego filmu. To był dla mnie szok. Zrezygnował ze względu na nieszczęście w rodzinie, z którym nie umiał się uporać? Czy ze względu na mnie, na mój postępek? Nie spałam całą noc...

Na pogrzebie nie było zbyt wielu osób. Gerard stał z żoną, nie widział mnie. Nic nie widział. Za to ja widziałam wszystko. Także Artura. Stał z boku i przyglądał mi się. Nie chciałam z nim rozmawiać. Niczego nie zamierzałam wyjaśniać. Nie tam. Nie w takiej chwili...

Gerard zjawił się jednak pewnego dnia. Jak to on, nagle, bez uprzedzenia. Stanął w drzwiach, jakby nigdy nie było i nie miało być inaczej. Źle wyglądał. Posiwiął na skroniach, przybyło mu zmarszczek... Ogarniał mnie coraz większy żal i coraz większe współczucie. Nie chciał wejść ani wypić herbaty. Patrzył tylko na mnie ze smutkiem.

– Co z córką? – odważyłam się spytać. – Pozbierała się jakoś?

– Narzeczony z nią zerwał. Nie będzie ślubu. Jest załamana. Nawet nie myśli o

maturze...

Nie próbowałam pytać dalej.

– Jak ci leci, Soniu? – zapytał cicho.

Miałam ochotę się rozplakać.

– Nie bądź smutna – pocieszył mnie słabo. – Dobrze zrobiłaś z tym scenariuszem. Przynajmniej masz trochę gotówki.

– Dlaczego przyszedłeś? Jest jakiś powód, prawda? – Tak strasznie bałam się odpowiedzi, ale przecież musiałam ją usłyszeć...

– Chciałem cię uprzedzić... – Przez chwilę wahał się. – Biorę jednak ten film. Zadedykuję go... żonie...

– Żonie? – nie mogłam wyjść ze zdumienia. Czułam, jak krew odpływa mi z twarzy. – Przecież to mój scenariusz, nasz! Nie masz prawa!

Gerard milczał. No tak, ja też nie miałam prawa sprzedawać tekstu... Stał i milczał. Patrzył, jak cierpię. Nie mogłam w to wszystko uwierzyć.

– Dlaczego mi to robisz? – Sama nie wiem, krzyczałam czy szeptałam.

Mści się na mnie? Za samowolę? Zrobi to, by mnie upokorzyć publicznie? Żebym na promocji filmu czuła się jak dziwka, kiedy on przed żoną padnie na kolana? Żona jego mużą... A ja... Może szukał pretekstu do definitywnego zerwania ze mną? Bo przecież wiedział, że tego mu nie wybaczę? Było też inne wytłumaczenie. Może tak bardzo mnie kochał i wiedział, jak bardzo ja go kocham, że musiał użyć tak drastycznego cięcia? Odrąbać mnie od siebie, żeby to wszystko wreszcie zakończyć?

– To... koniec? – Dlaczego chciałam się upewnić? Nie zostawić sobie choćby cienia nadziei?

Nie odpowiedział. Uśmiechnął się smutno. Pogładził mnie po twarzy.

– Nie odchódź! – szeptałam. – Nie potrafię bez ciebie żyć!

Nic nie jest dalsze od tego, co sobie wyobrażaliśmy, niż rozpacz. Otworzył

drzwi, popatrzył na mnie jeszcze raz ze smutkiem i odszedł. Więcej go nie widziałam.

– Ale to nie wyjaśnia twojego postępuku. Dlaczego chciałaś się zabić? Powiedziałaś wyraźnie, że to nie przeze mnie.

– Chcesz wyjaśnienia, Fred? To się zaczęło po wyjściu Gerarda. Cały ten koszmar. Ogarnęły mnie skrupuły, dręczyły wyrzuty sumienia. Odniosłam wrażenie, że Gerard zerwał ze mną, gdyż obwinił siebie o śmierć dziecka, uważał, że został w ten sposób ukarany za romans ze mną. Nie powiedział mi tego wprost, ale wyczułam udrękę w jego słowach. Sama zaczęłam czuć się winna. Może naprawdę to ja odpowiadam za to, co się stało, sprowadziłam na nich nieszczęście? To wtedy zaczęła się ta jazda w dół. Bezsenne noce, poczucie winy. Nie mogłam jeść. Za wszelką cenę chciałam wymazać Gerarda ze swego życia. Próbowałam ułożyć je na nowo. Z Arturem. I coraz bardziej przekonywałam się, że to niemożliwe. Minęła wiosna. Przyszło lato. Gerard konsekwentnie nie dzwonił. Ale jednak zrealizował ten film. Artur czasem się pojawiał. Chodził z Olą na spacer. Pisał muzykę do musicalu i wierzył, że się uda... Nie poszłam na promocję filmu, mimo zaproszenia.. . To było ponad moje siły. Z końcem lipca Gerard zadzwonił do mnie, że film startuje w sierpniu na festiwalu w Wenecji. Nadal jestem jego rzeczniką prasową. Prosił, abym tam z nim pojechała... Nie byłam w stanie wykrztusić słowa. Odłożyłam po prostu słuchawkę. Tak bardzo tego pragnęłam! Ale stchórzyłam. Uciekłam na pielgrzymkę. Chciałam pobyć sama, ze sobą, ze swoimi myślami, zastanowić się, co naprawdę dla mnie ważne. Wiem, że pojechał do Wenecji z córką, przeczytałam o tym w gazecie. Wciąż przysyła mi esemesy. Że nie może zapomnieć o mnie, że każdy kamień w Wenecji mu mnie przypomina... Nie wiem, co robić. To szaleństwo, gorsze niż piekło! On nigdy nie odejdzie od żony, rozumiesz? Jeżeli wrócę do niego, to tylko jako dożywotnia kochanka. Zawsze będzie przychodził, potem zniknął, znowu wracał i tak w kółko. Nie wiem,

jak ja to zniosę. Nie potrafię żyć ani z nim, ani bez niego... Od tamtej pory stale noszę w sobie tamto wzburzone morze. Morze z Dzerby. Przetacza się w moich żyłach z hukiem. Odbija od piasków Sahary. Już nie jestem ani stąd, ani stamtąd. Co dzień budzę się coraz bardziej zdziwiona, że czeka mnie kolejny dzień. Zataczający szerokim łukiem o Afrykę. Wyspa miłości... Zostawiłam tam wszystkie marzenia. Nie byłam w stanie już ich dźwigać.

Umilkła. Wydra ze zdziwieniem zauważył światło za oknem.

– Świta. Kompletnie ścierpły mi nogi. To była najdłuższa noc w moim życiu. Jesteś pewna, że dasz sobie radę? Obiecuj mi to. Inaczej nigdy nie będę spokojny. Bez względu na to, co postanowisz, musisz żyć! Nie jesteś sama. Masz małe dziecko. Nie wolno ci o tym zapomnieć.

Przez chwilę milczała, zanim odpowiedziała.

– Tak, pamiętam o Oli. Masz rację, nie wolno mi myśleć tylko o sobie.

– Pójdę już... – podniósł się ciężko z krzesła.

– Wydra... Przepraszam, Fred...

– Możesz mówić do mnie Wydra. Lubię tę ksywkę – uspokoił ją. – Jak się nie ma niczego, można się przywiązać do wszystkiego. Nawet do własnego przewiska.

– Wiesz, na tym balkonie... po raz pierwszy pomyślałam... że Boga nie ma. I pomyślałam, że jeśli po tej drugiej stronie jest tylko nic, to ja chcę tam być... Bo tylko w ten sposób naprawdę mogłabym uciec... od tego wszystkiego...

– Też kiedyś myślałem, że to jedyna odtrutka na życie. Zanim się nie przekonałem, że są inne, o wiele gorsze...

– Byłeś w poprawczaku? – zdziwiła się.

– Nie – zaprzeczył szybko. – W domu dziecka. Nauczylili mnie tam, jak sobie radzić w życiu. Byłem trochę zbyt pojętnym uczniem. Wylądowałem na odwyku. Ale już nie biorę. Nie bywam na haju. Studiowałem, potem przestałem. Robię to i

owo. Za grosze. Ale wystarcza. Na książki. Bez jedzenia można żyć. A bez czytania, nie bardzo.

Wolno wstała z łóżka. Podeszła do okna, wpatrywała się w coraz jaśniejsze światło za szybą.

– Oczekujesz ode mnie litości? Po tym wszystkim? – spytała cicho.

– Nie bój się, już sobie idę. Chciałbym tylko, abyś zapomniała o tym, co ci zrobiłem. To mi wystarczy.

– Nie zgłoszę na policję, jeśli ci o to chodzi.

– Wiesz, o czym mówię.

– Możliwe. Możliwe też, że nie chcę już wiedzieć. Jak niebiesko. .. Czy teraz każdy dzień będę widziała na niebiesko? Chyba naprawdę świta. Albo to morze znów skacze mi do gardła... Idź już. Najpierw mnie gnoisz, potem mi pomagasz. W porządku, zawdzięczam ci życie. Do którego teraz muszę wrócić. Ale nie wiem, czemu wyspowiadałam się przed tobą, właśnie przed tobą! To niepojęte. Jeśli powtórzysz komuś to, co usłyszałeś, jeśli wykorzystasz przeciwko mnie!...

– Mówiłem, nie bój się. Zaraz znikam. Nie spotkasz mnie już nigdy. OK? Wierzę, że dasz sobie radę.

Z tymi słowami wyszedł.

Dzień siódmy

Jan obudził się z bólem głowy. Przypominał sobie niejasno wczorajszą rozmowę z nowo poznanym Piotrem i w głowie czuł zamęt. Globalizacja tłukła mu się pod czaszką złowrogo, a metody jej przeciwdziałania zaczynały przybierać postacie paskudnych gnomów, które napierały na Jana ze wszystkich stron. W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie się znajduje. Wodził oczami po obcych, obitych pasiasto ścianach i zastanawiał się, skąd się tu wziął. Słońce już wstało, czerwone pasemka goniły po złożonych tłoczeniach tapet, wpatrywał się w nie intensywnie, do znużenia. Powoli wracała mu świadomość. Zza niedomkniętych okien dolatywał jazgotliwy rejwach wróbli. Była niedziela. Ostatni dzień pielgrzymki. Godzina, najwyżej dwie, marszu do Częstochowy.

Wstał osowiały Nie ucieszył go jasny, rozśłoneczniony poranek, zimny i rześki, ani błękitne, pozbawione chmur niebo. Lato zawitało dziś znienacka, powróciło, jak gdyby nigdy nie miało zamiaru oddawać panowania jesieni. Jan oparł się o parapet, wyjrzał przez okno, lustrował nieuważnym spojrzeniem resztki liści na drzewach. Trwały nieruchome jak świąteczne dekoracje. Migotały bursztynowo, wykuwając wokół siebie aureolę. „Koniec lata. Po sezonie” – westchnął. Najbardziej lubił tę część roku, kiedy zapadała niezwykła cisza w przyrodzie, mącona tylko przez krzątające się już ptaki, choć wprawiała go ona w nostalgiczny nastrój swoją mimowolną melancholią. Znajoma aura nieco otrząsnęła go z sennej maligny. Powoli rozprostował się, zabierając za poranną toaletę. Mimo iż niewesoły, starał się utrzymać pod powiekami niezwykle, złociste zjawisko, spostrzeżone przed chwilą za oknem. Miał nadzieję, że uchroni go ono przed nawrotem wątpliwości. Tkwiły w nim od dwóch dni, kłuły jak drzazgi. W żaden sposób nie mógł się ich pozbyć. Nie pomagały modlitwy ani różaniec. Może

oczyściłaby go spowiedź, ale tej akurat obawiał się najbardziej i to ten fakt, własnego asekuranctwa, tak go przytłaczał. Balansował, niczym z nogą uniesioną nad kałużą, w którą musiał wdepnąć, gdyż była zbyt duża, aby ją przeskoczyć. Zmoczy się, to pewne. Zgnębiony przyjrzał się sobie w lustrze. Od pewnego czasu nie lubił patrzeć na siebie. Twarz, która spoglądała teraz stamtąd na niego, wydawała mu się obca. Zmieniona, nie do poznania. Wyostrzona, bez śladu dawnych rumieńców, zamiast nareszcie ucieszyć go swoją bladością, raczej odstręczała. Ale nie w tym leżało sedno tej odmiany. Jakby kończył pielgrzymkę zupełnie ktoś inny, niż ten, który ją rozpoczął. Na czym jednak tak naprawdę miała polegać ta zmiana, nie był w stanie określić. Jedno, co zauważył z całą pewnością, to inne, nie własne, spojrzenie. Jakby bardziej spode łba. Spojrzenie ściganego. Ale kto mianowicie miałby go ścigać, jeśli nie on sam siebie? Spojrzenie zwierzęcia wpadającego we wnyki. Bez możliwości ratunku czy odwrotu. Za późno. Świadomość nieuchronności. Tego, co ma się stać. Co się stać musi. Ale co? Cóż, to akurat wiedział. Będzie się musiał zmierzyć z tym, co uczynił. Nie wolno mu odkładać tego na dłużej. Pielgrzymka dobiegała końca, a on powinien się z niej rozliczyć. Przed sobą. I przed Bogiem. Poczuł, jak lodowacieją mu ręce. Wyszedł z łazienki z postanowieniem uporania się z tym, cokolwiek to miało oznaczać. Już w nieco lepszym nastroju wyszedł na korytarz, kierując się w stronę schodów, prowadzących w dół, do jadalni. Gdzieś obok trzasnęły drzwi. Zza cementowych, wyściełanych grubym chodnikiem stopni, otulonych drewnianą poręczą, ujrzał wychodzącego z pokoju Wydrę. Uderzył go dziwny wyraz jego oczu, nie mógł się zdecydować, bardziej złowrogi czy uduchowiony. Znów świeciły mu jak u wilka, albo tak to odebrał. Jan przystanął więc, jakby miał zamiar przycząić się, ukryć przed tym jego świdrującym wzrokiem, przeczekać, aż Wydra oddali się na bezpieczną odległość. Nie lubił samotnych spotkań z Wydrą. Obawiał się ich, nie wiedząc, co z nich może wyniknąć dla nich obu. Wydra wciąż stanowił dla niego

nierozwikłaną zagadkę. Teraz jednak zastanowiło Jana co innego. Wydra wyszedł nie ze swojego pokoju! Z całą pewnością był to pokój Soni. Aż stracił na chwilę dech w piersiach. Czy stało się po raz drugi to, czego on do tej pory nie mógł pojąć? Czyżby Sonia znów została przez Wydrę skrzywdzona? Nie tak, to w inny sposób, na przykład przez groźby, szantaż? Czy może pozwoliła mu tam wejść z własnej woli? Co powinien uczynić Jan? Naskoczyć na Wydrę, czy zwrócić się do Soni z prośbą o wyjaśnienie? A jeżeli ona odmówi odpowiedzi, jak to uczyniła już wielokrotnie? Czy Jan może czuć się zwolniony od odpowiedzialności? Ma pozostawić sprawy swojemu biegowi, nie wtrącać się? Drżały mu ręce, czuł jak cierpnie mu skóra. Tymczasem Wydra zbliżał się w jego kierunku i jak wtedy, Jan zdał sobie sprawę w ostatniej chwili, że znów został przez niego zaskoczony. Nie było sensu ukrywać się. Wydra właśnie wychodził wprost na niego...

– O... – zdziwił się tylko na widok księdza, jakby pytał Jana o powód jego tu obecności, przypadkową czy zamierzoną.

– Wyszedłeś od Soni! – Jan postanowił zaatakować, wychodząc z założenia, że najlepszą obroną jest atak. Przyparty do muru Wydra z pewnością zdradzi się ze swych intencji.

– Ksiądz mnie śledzi? – Wydra zachowywał się tak, jakby zachowanie Jana było dla niego oczywiste.

– Zadałem ci pytanie – Jan przybrał ostry ton.

Wydra potarł ręką czoło i najwyraźniej zamierzał oddalić się, ale Jan chwycił go za rękaw i nie puszczał, gotów nawet bić się, jeśli tym razem zajdzie taka potrzeba. Wydra jednak jednym zdecydowanym ruchem uwolnił rękaw z rąk Jana.

– Chcesz wiedzieć, co zrobiłem? – wycodził przez zęby. – Ją zapytaj. Będzie chciała, to odpowie.

I oddalił się równie szybko, jak pojawił. Jan pozostał bez ruchu na swoim miejscu. Powoli ruszył w stronę pokoju Soni, ale zanim zapukał, otworzyła drzwi i

wyszła. Właśnie zaplatała warkocz. Spojrzała na księdza nieruchomo i badawczo. Speszył się.

– Widziałem, że wychodził od ciebie Wydra – Jan zagaił, aby sprawdzić, czy aby na pewno nie musi interweniować.

Uciekła spojrzeniem w bok.

– Ksiądz się martwi o mnie? Niepotrzebnie. Rozmawiałam z nim tylko – wyjaśniła.

– Rozmawialiście? Ty z Wydrą? – Ksiądz nie mógł uwierzyć. To przekraczało wszelkie pojęcie.

Sonia zamilkła. Ale z całą pewnością Wydra nic jej tym razem nie zrobił. Była dziwnie spokojna, może Wydra przeprosił ją, choć to zupełnie nie pasowało do Jana wyobrażeń o nim.

– A więc w porządku? – upewnił się.

Skinęła głową, ale tak, że równie dobrze mógłby przyjąć, że pokręciła nią przecząco. Skonsternowany poczuł, że się czerwieni z zakłopotania. Zupełnie nie wiedział, jak ma się teraz zachować. Iść z nią, próbując dopytać się o szczegóły, czy pozwolić jej odejść, a tylko obserwować ich dwoje dyskretnie, po to, by nad nią czuwać. Zdecydował się na to drugie. Tym bardziej że nie miał właściwie wyboru, Sonia właśnie schodziła do jadalni.

Po śniadaniu gospodarz zaproponował podwiezienie pielgrzymów do klasztoru minibusem. Skorzystali chętnie z zaproszenia. Choć Jan rozglądał się tęsknie po świecie, żałując, że straci najpiękniejsze, ostatnie chwile lata w dusznym samochodzie. Słońce, wielkie i rozkołysane, wysyłało ku niemu dobrotliwe promienie prawie matczynym gestem. Jakże chętnie wyciągnąłby się na trawie, poddał twarz płynącemu ku niemu ciepłu. Zasnąłby i śnił, może nareszcie swobodnie i lekko. Znów westchnął, tak nieosiągalne wydało mu się własne marzenie.

Szybko zbliżali się do Częstochowy. Wydra oparł twarz o nagrzaną szybę busa, udawał, że śpi. A może naprawdę drzemał, nieprzespana noc porządnie dawała mu się we znaki. Czuł się nieświeży i odrętwiały, choć do tej pory nigdy mu to nie przeszkadzało, jak go odbierają. Powieki ciążyły mu ołowiem. Czasem tylko odmykał je, ale nie patrzył na nikogo, chował się za spojrzeniem wbitym w nieokreślony punkt, poza nimi wszystkimi. Spod półprzymkniętych oczu dostrzegł strzeliste wieże zbliżającego się szybko klasztoru. Coś jakby obawa owinęło mu się nagle wokół gardła. Nagle uderzyło go, że to miejsce uważane jest za magiczne. Sam nie wiedział, dlaczego niejasne przeczucie tej niezwykłości zaczyna go ogarniać i napawać niepokojem. „Kościół jak kościół” – powtarzał sobie. Ale wiedział, że oszukuje sam siebie. Za chwilę wejdzie tam Sonia ze swoim bólem i oczekiwaniem i już przez sam ten fakt będzie to miejsce szczególne. Czuł przykrą gorączkę na myśl o tym, co stało się wtedy w lesie. Jednocześnie dręczyło go nieodparte przekonanie, że nie stało się to przypadkiem. Jakby coś kierowało wtedy jego krokami. Popychało do działania, a on czuł perwersyjną przyjemność w poddawaniu się tej sile. Odczuwał nieprzyjemne wahanie, nie był pewien, jaką właściwie rolę odegrała w jego życiu ta szczególna dziewczyna. Bo że ważną, to było bezdyskusyjne. Źle się czuł z przeświadczeniem, że ona siedzi tam teraz, gdzieś z tyłu i być może patrzy na niego. Choć równie dobrze mogła po prostu zagapić się na mijany pejzaż miejskich przedmieść. To rozedrganie wewnętrzne męczyło go i wprawiało w stan nieustannego pobudzenia. Nie miał jednak pojęcia, w jaki sposób mógłby to, męczące go tak bardzo psychiczne napięcie rozładować.

*

Wokół klasztoru na rozłożonych straganach handlowano pamiątkami, dewocjonaliami, różnego rodzaju artykułami, również spożywczymi. Wokół

łoczyły się wycieczki, także młodzieży szkolnej, pojedynczy turyści i sporo pielgrzymek. Ruch odbywał się jednostronnie, jednym wejściem wchodziło do kościoła, przesuвано wewnątrz przed obrazem, wychodzono drugim wejściem. Jan i pozostali dołączyli do jednej z wchodzących właśnie grup.

Wydra pozostał na zewnątrz. Od dawna nie pamiętał takiego upału. Koszulę miał mokrą od potu. Żar lał się z nieba. Chlustał wprost na głowy. Wydra siadł w cieniu, z boku dziedzińca, pod rosochatym drzewem, gdzie porozkładanych tu chorągwi i transparentów pilnował uwiązany na smyczy Azja. Wpatrzył się bezmyślnie w pstre liście na drzewie, jakby zamierzał dociec, czy należały do wiązu czy raczej do grabu. Cień, który rzucały, był rzadki i żółtawy. Nie chronił zbyt przed doskwierającym słońcem. Wydra wlepił wzrok w jego jaskrawą krągłą tarczę, niezmienną, jak wszystkich gwiazd we wszechświecie. Oślepiła. Ale jakoś mu nie przeszkadzały mroczki, które pojawiły się przed oczami. Jakby ślepotą nie była kara, czymś czego nie można znieść, ale wręcz pożądanym stanem, wyostrzającym pozostałe zmysły, powodującym nowe podejście do świata i życia. Zapragnął nagle być kimś innym. Nawet ślepcem, byle nie nikim, a tak się teraz czuł. Nie odwracał otwartych oczu od słońca. Piekły coraz mocniej. Karał sam siebie? Za co? Że nie chciała go ukarać Sonia? To byłoby zbyt proste wytłumaczenie. A więc istniało alternatywne? Jakie? „Słońce. Kula gorącego gazu – myślał tępo. – Naładowana elektrycznie materia, zwana plazmą. Ciemne plamy, chłodniejsze, oraz pochodnie, te jaśniejsze i gorętsze, przez które wydostaje się energia. Wyrzuty plazmy, protuberancje, wybuchy promieniowania, tak zwana aktywność słoneczna. Bagatelka. Nic wielkiego". Potem pomyślał, że najchętniej wziąłby teraz działkę. Właśnie tu, pod tym skarłałym jak on drzewem. Albo upiłby się tak, by zatańczyć, na oczach ich wszystkich, ognistą rumbę czy flamenco. Z przytupem i przyklaskiwaniem do rytmu. Czuł, jak wszystko w nim w środku wysycha od tego pragnienia, i żałował, że nie ma przy sobie ani grama prochów

czy wódki. Brał go wyraźny odjazd. Znał ten stan. Jakby trawa zaczęła wyrastać mu z trzewi. Przebijała się przez skórę na wylot. Krwawił, zarastając całą gęstą darnią. Bolało. Powoli stawało się nie do zniesienia. Skąd wziął się w nim ten głód? Wciąż nie odrywał oczu od słonecznej tarczy. Dawno nie odczuwał takiej udręki. Był już pewny, że ma to za sobą, gdy nagle zaczęło go łamać. Wyłamywać stawy, jakby przytroczono go do koła tortur i obracano, rozciągając bez litości. Miał ochotę wyć ze strachu. Skąd brał się ten strach? Próbował się otrząsnąć. Ale oślepienie oczy nie potrafiły już wrócić do swojej zwykłej roli... Ostatkiem świadomości zauważył Budnioków, którzy właśnie wyszli z Gabrysiem z kościoła i teraz zmierzali w kierunku cienia, pod którym Wydra się zadekował. Postawili obok niego wózek. Nie zauważyli jego przekrwionych oczu i obrzękłej twarzy.

– Panie Wydra – zagaił grzecznie Budniok. – Oto pańskie pieniądze – i podał mu banknoty.

Wydra ani drgnął. Jakby nie usłyszał. Budniok spieszył się, zastygł z wyciągniętą ku niemu ręką.

– Należy się panu zapłata. Uczciwie zarobione – dodał. Jakby Wydra nigdy ich nie obraził, nie potraktował z góry, wręcz bezczelnie.

Wydra obrócił ku niemu podsiniąłą twarz. Nie patrzył jednak na niego, tylko wciąż w słońce. Choć coraz bardziej paliło go i sprawiało nieopisaną mękę. Budniok położył banknoty na wyciągniętych przed siebie nogach Wydry.

– Jakby pan był łaskaw... jeszcze przez chwilę – poprosiła Budniokowa – przypilnować Gabrysia, my zara wrócim. Tylko do toalety zajdziem.

Wydra dotknął pieniędzy jak ślepiec. Potem skinął głową. Ucieszyli się i odeszli. Trzymał w ręku pieniądze, jakby nie wiedział, co z nimi począć. Podkulił pod siebie kolana i oparł o nie czoło. Przez jakiś czas nic nie widział oprócz jarzącej ciemności. Pomyślał, że uszkodził sobie wzrok i ogarnęła go niedobra radość. Przesuszony upałem język nie pozwalał na przełykanie resztek śliny.

Wydra cały wysychał od wewnątrz. Chciało mu się pić i jednocześnie odczuł ulgę, że może śmierć wkrótce zakończy ten jego psi żywot, wygnańca, życiowego outsidera, płynącego z prądem czy pod prąd, zawsze jednak znikąd donikąd. Zwiesił głowę, prawie zamroczony pragnieniem, który wykręcał mu szczęki w grymas. Nagle poczuł chłodne dotknięcie. Z trudem poruszył głowę. Jakież było jego zdumienie, gdy ujrzał butelkę, którą wyciągał ku niemu Gabrys. Zdrętwiała ręką Wydra ujął podaną sobie wodę i zaczął pić łapczywie. Ocuciła go. Przywróciła jasność widzenia. Ale dopiero teraz dotarło do niego, kto dał mu pić. Ten kompletny głupek! Który niczego nie rozumie. Kupa mięsa. Zwykłego gnoju... Tego dla Wydry było za wiele. Nie był w stanie znieść kolejnego poniżenia. Tu, na tej pielgrzymce, raz po raz wychodził na łotra. Teraz właśnie po raz kolejny. Mieszały mu się arogancja z narastającym przerażeniem, poczucie wyższości z własnym zagubieniem, w całkowitym pomieszaniu dobra i zła. Odrzucił precz butelkę, jakby wypił nie wodę, lecz kwas pruski. Zakrył twarz dłońmi, poczuł, jak łzy przeciekają mu przez palce. I było to dla niego nowe uczucie. Nigdy dotąd nie płakał. Nawet w domu dziecka. Przede wszystkim nie tam. Nauczony twardych zasad przetrwania, nie poddawał się niczemu oprócz cynizmu. Skąd więc wzięły się w jego na wpół oślepionych słońcem oczach łzy? Nie mógł tego pojąć. Przestraszyły go bardziej niż brak haszu i wody. Łkał, jak dziecko, którym tak naprawdę nigdy nie był. Może właśnie tego zazdrościł Gabrysiowi. Rodziców i ich nieskrywanych czułości. Budziły w Wydrze wstręt i agresję. A może nie tylko? Może tęsknotę za czymś tak mu nie znanym? Za przytuleniem, pocałunkiem, pogłaskaniem po głowie... Pozwalał płynąć łzom, zobojętniały nagle na milczącą obecność niedojdy, którym tak pogardzał, a któremu w głębi serca tak rozpaczliwie zazdrościł. Uznał już dawno świat za pozbawiony sensu, a przede wszystkim sprawiedliwości, o którą każdy musi zadbać sam. Prawo pięści. Twardych facetów. Pozbawionych czułości. Żadnego roztkliwiania się. Nad nikim, przede

wszystkim nad sobą. I nagle taka emocjonalna wpadka. Najpierw z Sonią, teraz z tym.. Jedyłą osobą, która rozmawiała z nim jak z człowiekiem, była ta, którą skrzywdził, Sonia. Już tego faktu nie mógł zrozumieć, a co dopiero gestu Gabrysia... Usiłował podnieść się niezgrabnie, gdy znów natknął się na wyciągniętą ku sobie dłoń chłopca. Drgnął z raptownym zamiarem cofnięcia się, ale ta dłoń już dotknęła jego twarzy. Wydra zamarł, gdyż poczuł, że ta dłoń ociera mu łzy. Wpił się nieprzytomnymi oczami w twarz Gabrysia i ujrzał to, w co kompletnie nie mógł uwierzyć. Gabryś patrzył na niego... ze współczuciem... Wydra pomyślał, że ma halucynacje. Że nie można bezkarnie wpatrywać się w słońce. Doprowadza to do omamów i obsesji wzrokowej. Zerwał się i krzyknąwszy coś niezrozumiale w stronę chłopaka, zaczął oddalać się szybko. Właściwie uciekać. Miał dość pielgrzymki i tego wszystkiego, co się tam z nim zaczęło wyrabiać. Pędził w stronę stacji kolejowej długimi susami. Zmęczony zwolnił, ale wciąż stawiał wielkie, zamaszyste kroki. Im bardziej oddalał się od tamtego niesamowitego miejsca, tym czuł większą ulgę. Opadał z niego strach i powoli wracała psychiczna równowaga. Prawie śmiał się z siebie Jeszcze nieco z goryczą, ale już z poczuciem wyzwolenia. Jakby uciekł przed wielkim nieszczęściem, jakby udało mu się wydostać z potrzasku, w który prawie wpadł.

*

Sonia przesuwiała się wolno wraz z innymi. Z daleka obraz wydał się jej nijaki. Ciemny, bez wyrazu. Wtopiony w półmrok kościoła, widoczny był jedynie dzięki zapalonym przed nim świecom. Trudy wędrówki i minionej nocy coraz dotkliwiej dawały jej się we znaki. Tu, w dusznej, prawie lepkiej od zaduchu atmosferze, miała ochotę po prostu wyjść i położyć się spać. Kręciło jej się w głowie i przez moment ogarnęła ją obawa, że zemdleje. Że nie wytrzyma tego procesyjnego,

powolnego pochodu przez cały kościół, aż do wyjścia. Wycofała się w bok. Przystanęła pod ścianą dla złapania oddechu. Patrzyła bezmyślnie, jak ludzie przyklękają przed obrazem, modlą się, potem wstają i ruszają w kierunku przeciwnym do tego, skąd stale napływali nowi, a każdy z nich ze swoimi prośbami i bolączkami do rozwiązania. Procesje błagających ludzi. Zrobiło jej się przykro. Na miejscu tej, którą tak wiecznie błagano, po jakimś czasie miałyby tego dość. Tysiące prośb dziennie. Jak wszystkim dogodzić? Sonia mogła roześmiać się tym ludziom prosto w twarz. Naiwnym i bezradnym. Powinni pomóc sami sobie, lecz doskonale wiedziała jakie to trudne. Sama też sobie nie radziła. Ale nagle zrozumiała, że jeśli ma się na kimś oprzeć, to właśnie na sobie. Że w sobie musi znaleźć tę choćby odrobinę wiary we własne możliwości wydostania się z macek, które wciąż ją trzymały w swoim posiadaniu. Otrząśnięcia się z niemocy. Czy to oznaczało nadzieję? Tę ufność, po którą przyszła, że jest dla niej jakakolwiek szansa? Na odnalezienie w sobie dość sił? Czyżby otrzymała tak niespodziewanie dar nadziei?

Uderzyła ją nagła jasność przed obrazem. Jakby ktoś zapalił tam pochodnie. Spojrzała, mrużąc oczy, w dal, usiłując poprzez fosforyzujące światło dostrzec, co się tam dzieje. Przez moment przebiegło jej przez myśl, że to pożar. Ogień pochłonie obraz, a potem ją i ich wszystkich. Także klasztor i nie zostanie tu kamień na kamieniu. Że w taki oto sposób zakończy się dla niej i innych ta pielgrzymka. Przestraszona zaczęła przeciskać się przez tłum, w odwrotnym niż szli kierunku. Aby wyjść tędy, którą oni wchodzili, bo tak było bliżej. Sykali zniecierpliwieni, ale ustępowali jej miejsca, nie tarasowali drogi. Z wolna jej panika przerodziła się w zdziwienie, że nikt prócz niej nie ucieka z tego prawie płonącego wnętrza. Zatrzymała się więc z dziwnym uczuciem irracjonalności swojego lęku. Najwyraźniej jej rozwichrzona, pobudzona nocnymi wspomnieniami wyobraźnia płatała jej teraz figle. Spojrzała jeszcze raz tam, gdzie poprzednio

widziała płomienie. Obraz nadal jaśniał jaskrawą poświatą. Ale zorientowała się, że widzi ją tylko ona. Nikt nie wyrażał zdziwienia czy zainteresowania. Ludzie wciąż monotonnym potokiem przesuwali się przed obrazem. Sonia przyjrzała się uważnie obrazowi. Miała nieprzyjemne wrażenie, że postacie przedstawione na nim są żywe. Nie tkwią statycznie, lecz poruszają się... Speszona doszła do wniosku, że tak bardzo potrzebowała pomocy, że oto otrzymywała ją teraz, na prośbę własnej rozgorączkowanej wyobraźni. I zobaczyła w sobie inny obraz: Dwoje ludzi szło brzegiem morza. Ich ślady, dawno rozmyte w piasku przez fale, zapisane jednak w wiecznej księdze Ziemi, teraz znów ukazały się. Było ich wiele. Ślady wszystkich ich wspólnych spacerów widoczne były jak na dłoni. Ślady odbitych w piasku stóp. Kroczyli znów obok siebie. Poznała bez trudu siebie i Gerarda. Obserwowała, jak idą, omywani przez ciepłe morze. Wolni od trosk i obowiązków. Cofnięci przedziwną siłą wiele lat wstecz, w czas, kiedy dopiero zaczęli podejmować życiowe decyzje. Nie było pomiędzy nimi żadnych balastów rodzinnych, żadnych obciążeń. Trzymali za rączki dziecko, szło pomiędzy nimi i pochodziło z nich. Szli we trójkę, po promieniu słońca, potem księżycy. Wspinali się coraz wyżej, powoli niknęli w powodzi gwiazd Drogi Mlecznej. Jakby miłość, która jest wieczna i która odwiecznie kłębi się i huczy, jak sztorm w nieprzebytych przestrzeniach, pociągnęła ich nareszcie ku sobie, na całą niepojętą Wieczność... I nie było tam czerwieni ani czerni. Tylko opalizująca perłowo cisza, którą popłynęli jak łodzią. Dokąd, dokąd? Co mieściło się w tych niezmiernych horyzontach, skąd nikt jeszcze nie zamachał szczęśliwą ręką? A skąd czasem dobiega tylko cykanie świerszczy, jakby zanosilo się na przedwczesny, łagodny zmierzch. Czula słony aromat morskiej bryzy unoszący się ponad odwiecznym Oceanem. Gdzie każdy krok policzono i każdy włos z głowy nie przepadł bez wieści. Gdzie fruwały wszystkie ich pocałunki, czekając na nich oboje cierpliwie...

Sonia poczuła, że płacze. Pomyślała, że otrzymała pociechę teraz, gdy w to

zwątpiła. A może pomimo tego zwątpienia? Spojrzała po raz ostatni w stronę obrazu, ale ciemniał teraz, jak przedtem. Parę świeczek ledwie go oświetlało. Nieustanny, mrówczy, ludzki potok przetaczał się przed nim. Zaczęła znów przeciskać się w stronę wyjścia. Potrzebowała świeżego powietrza. Spojrzała na rozmodlone niebieskością niebo załzawionymi oczami i odczuła wielki spokój. Nadal nie miała pojęcia, co dalej począć ze swoim życiem, była jednak pewna, że cokolwiek się wydarzy, ona będzie już w stanie je udźwignąć. Nawet jeżeli przyjdzie jej żyć tylko wspomnieniami... Poczula się silniejsza i po raz pierwszy z ufnością pomyślała o Oli. Że jeśli będą się nawzajem wspierać, to dadzą sobie radę. Postanowiła odnaleźć przystanek autobusowy, by złapać najbliższy autobus, który zawiezie ją prosto do niej. W sercu niosła pierwszy nieśmiały załazek radości...

*

Wydra wszedł na dworzec, prześlizgiwał się w tłumie podróżnych, wreszcie stanął w ogonku do kasy. Zajął kolejkę, poszedł kupić precla i zagryzając, sprawdził, o której ma najbliższy pociąg do Katowic. Czekając na bilet, odpoczywał oparty o balustradę prowadzącą do okienek kasowych. Ciężar, który do południa tak go przygniatał, zrobił się jakby lżejszy. Pomyślał, że wkrótce śmiać się będzie z tego wszystkiego. Ten upiorny tydzień odpłynie w nic, jak zły sen. Pozostanie ulga, jak po wyjściu z kina, gdy wychodzi się z przeświadczeniem, że horror, który przed chwilą przeżyliśmy, był tylko fikcją, zamkniętą w kadrach filmu, gdzieś całkowicie poza nami. Zmęczone słońcem oczy odpoczywały w bezpiecznym, kojącym półmroku dworcowej hali. Usłyszał przez megafon zapowiedź wjeżdżającego na peron pociągu. Panienska w okienku wciąż jeszcze grzebała się z wydaniem reszty poprzedniemu klientowi. Wydra zapukał do niej nerwowo i pokazał wymownie na zegarek. Panienska w odpowiedzi pomyliła się po

raz kolejny, aż zniecierpliwiony pasażer ofuknął ją poirytowanym głosem. W końcu wydała mu bilet i zaczęła wystukiwać na komputerze zamówienie Wydry. Szło jej to niesporo. Wreszcie Wydra wpadł na peron z biletem w kieszeni i w ostatniej chwili dostał się do pociągu, gdy ten już prawie ruszał.

Szedł korytarzem wagonu, szukając wolnego przedziału. Nie miał ochoty na grzecznościowe rozmowy z przypadkowymi towarzyszami podróży. Pielgrzymka zmęczyła go znacznie bardziej, niż się spodziewał. Ale nie było to fizyczne zmęczenie. Wydra czuł znużenie. I to znużenie samym sobą. Chwilowo miał dość. Nie zamierzał niczego podsumowywać czy wyciągać wniosków, te zresztą nieodparcie nasuwały się same. Z trudem hamował nadciągającą irytację. Obawiał się, że zaczepiony nawet w błahy sposób, może wyładować na kimś nagromadzoną gdzieś pod skórą agresję. Wolał być sam. W razie czego będzie mógł kopnąć w obite pluszem siedzenia czy walnąć zwiniętą pięścią w metalową framugę okna. Lepiej, żeby nikt tego nie widział. Nagle zamarł w bezruchu. W przedostatnim przedziale przez oszklone drzwi zobaczył Jana. Był sam. Wydra chciał jak najszybciej minąć go, przejść dalej niezauważony. Jan był ostatnią osobą, z którą Wydra miałby teraz ochotę przebywać, a już na pewno rozmawiać. Ale Jan podniósł głowę i zaczął wpatrywać się wprost w niego. Wydra pomyślał przez moment, że ksiądz go nie poznał, miał taki kamienny, nieodgadniony wyraz twarzy. Jan prawie wpił się oczami w jego oczy. Przystopował go nimi przy przedziale, aż Wydra poczuł, że znów wpada we wnyki, z których, jak sądził, dopiero co udało mu się zwiać. Ogarnęła go złość, jednocześnie bezwolna niemoc. Wiedział, że nie ma sensu uciekać. Ta rozmowa przecież go nie ominie. Będzie czekała na nich, nie tu, to gdzieś tam, w absolutnie niezrozumiałej nieskończoności. Tyle pojął w ostatnich dniach. Że nic tak naprawdę się nie kończy. Że beczas nie jest utopią, lecz przewidywalnym faktem. To go zmroziło bardziej, niż był w stanie wytrzymać. Znów poczuł, jak ciężar minionych dni

zaczyna go przytłaczać. Nie był w stanie oderwać nóg od podłogi, aby przesunąć się w bok. Do innego przedziału czy do sąsiedniego wagonu, albo choćby wyskoczyć z tego cholernego pociągu, pójść przed siebie piechotą i gdzieś, na najbliższej, zapomnianej przez Boga i ludzi stacyjce, wsiąść w jakikolwiek pociąg, który zawiezie go byle gdzie, byle dalej stąd, od tego księdza.

Otworzył drzwi.

– Można? – zapytał Jana i nie czekając na odpowiedź, wszedł do środka.

Usiadł naprzeciw księdza i teraz obaj mierzyli się wzrokiem. Nie, nie była to rozgrywka, nawet nie ustalanie stanowisk do walki. Były to spojrzenia ludzi, którzy przegrali i wiedzą o tym. Świadomość obopólnego braku sił, chęci i możliwości do podjęcia na nowo walki. Zresztą, nie było już o co walczyć. Cel jej umykał teraz od nich z zawrotną szybkością.

„Z prędkością światła” – pomyślał Wydra i uważniej przyjrzał się księdzu. Jan postarzał się przez tych parę dni. Albo coś mu doskwierało. I Wydra dobrze wiedział co. Patrzyła na niego twarz chorego, znękanego człowieka, pozbawionego złudzeń. Wobec której Wydra poczuł się silniejszy, bardziej pewny siebie. Poddanie się księdza walkowerem nieco umocniło Wydrę. Jednocześnie czuł się winny tej niewyobrażalnej przemiany, która malowała się na twarzy Jana. Wyjął papierosa, zapalił i zaciągnął się. Jan wyciągnął ku niemu rękę. Wydra podał mu papierosa. Ze spokojem spełnienia dobrego uczynku przyglądał się, jak ksiądz zaciąga się łapczywie, raz po raz. Po chwili oddał papierosa Wydrze i lekko zamglonymi oczami wpatrzył się, tym razem w okno i mijany za nim krajobraz.

– Lepiej ci? – spytał wreszcie Wydra, czując, jak nieznośna cisza rozrasta mu się w gardle bolącą bułą.

Skąd brały się w nim ostatnio te ropiejące wrzody? Skrupuły? Nie miał ich nigdy. Żadnego rachunku sumienia. Więc dlaczego? Skąd? Mimo wszystko poczuł się lepiej, gdy zadał to pytanie.

– A mam prawo? Czuć się dobrze? – Jan z trudem rozwierał szczęki, jakby ktoś przyśrubował mu za mocno żuchwę.

– Nie chrzań – podsumował Wydra i znów podał mu papierosa.

Jan zastanawiał go. Nie tylko nie ukrywał swojej porażki, ale nawet jej nie kwestionował. I nie było to oznaką słabości, co Wydra skonstatował z niemalym zdziwieniem. Do tej pory taka postawa, w środowisku, w którym Wydra się obracał, była nie do przyjęcia. Oznaczała mięczaka. Jan nie był typem twardziela, ale jednocześnie trudno było posądzić go o tchórzostwo, choć wszystko na to wskazywało. Wydra próbował zastanowić się, co wstrzymywało go przed definitywnym określeniem księdza jako żalosnej kreatury. Ale doprawdy nic nie przychodziło mu na myśl. To musiało być głębiej ukryte, wymagało przemyślenia i to precyzyjnego. Wydra przeczuwał, co to może być. Lecz odpowiedź chwilowo umykała mu przed ostatecznym i jasnym sprecyzowaniem. Jan z całą pewnością nie był godny pogardy. Wydra nie był tylko pewien dlaczego.

– Zamierzam zrezygnować z kapłaństwa – obwieścił Jan.

Nie żalił się. Nie oskarżał. Tylko stwierdzał. Jako coś oczywistego. Wydra pomyślał, że Jan znów ma nad nim przewagę. Swoim zdecydowaniem.

– Jesteś pewien? – spytał Wydra z głupia frant, bo przecież Jan już podjął decyzję.

Ksiądz milczał, jakby się zastanawiał nad jego słowami, ale Wydra wiedział, że Jan myśli o czymś zupełnie innym. I bardzo go ciekawiło, o czym.

– Co robiłeś u Soni? – zapytał wreszcie Jan.

Wydra pojął, że nie wyłga się już od wyjaśnień. Otworzył usta jak ryba i wciągnął głośno powietrze. Nappełnił nim płuca, ale wcale nie poczuł się przez to lżej. Krajobraz za szybą migał w szaleńczym tempie, jakby pędzili na oślep, nie zwykłym pociągami, lecz z napędem odrzutowca.

– Chciała się zabić – powiedział najprościej, jak potrafił, nie odrywając wzroku

od okna.

Jan zwiesił głowę, wyglądał, jakby zdychał. Strzał był celny. Ugodził go dotkliwie. Może nawet śmiertelnie. Wydra nie czuł jednak litości. Raczej gniew. Ten księżulo roztkliwia się nad sobą, ale to ona o mało co nie zginęła. Przez nich obu.

– Chcesz powiedzieć... – wymamrotał Jan. – Że ona... żyje dzięki tobie?

– Może nie aż tak – wykrztusił Wydra prawdę. – Ale do pewnego stopnia...

– Masz zapalić? – zapytał Jan i drżącymi palcami wyjął papierosa z podanego sobie pudełka.

Zapalił z trudem, jakby nie robił tego nigdy w życiu i teraz dopiero uczył się machinalnie tej trudnej sztuki. Nie spodziewał się, że pielgrzymka będzie jego Golgotą...

Wydra siedział naprzeciw niego. Trzymał w ręku pudełko, które zapomniał schować do kieszeni. Nie, nie czuł się mniej winny od Jana, fakt uratowania Soni niczego nie załatwiał ani nie zmieniał.

– Gdyby coś jej się stało, to ja... – Jan wyrzucał z siebie słowa równocześnie z kłębami dymu. – Nie powinienem być dłużej księdzem – powtórzył raz jeszcze swoją decyzję. – Nie wolno mi. Nie po tym wszystkim.

– Przeciwnie – zaczął Wydra wolno, sam zdziwiony, że to mówi. – Dopiero teraz możesz nim być.

Jan znów wpił się w jego oczy, jakby szukał w nich ratunku, który nagle zaczął odnajdywać.

– Nareszcie wiesz, jak to jest – dopowiedział Wydra swoją myśl.

– Nie potrafiłbym osądzać innych. Jakże zresztą mam prawo? Jestem nikim – zaoponował Jan.

– Właśnie dlatego. – Wydra nie był pewien, czy ma rację, ale powoli zaczynał w to wierzyć.

– Pewnie uważasz, że teraz mogę lepiej zrozumieć innych? – zapytał Jan, z powątpiewaniem i bardziej do siebie. – Ale czy powinienem?

– Chyba tylko chory rozumie chorego. Kiedy umierała moja matka, niczego nie rozumiałem. Nie przyjmowałem do wiadomości, że może istnieć ból, który niszczy wszystko. Że można pragnąć tylko śmierci – Wydra mówił sucho, nie odrywając oczu od okna.

– Miałeś żal do niej, że woli umrzeć, iść nie wiadomo gdzie, niż pozostać z tobą? – Jan był coraz bardziej smutny. – Ile miałeś wtedy lat?

– Jakie to ma znaczenie? – Wydra wzruszył ramionami. – Nauczyłem się żyć po swojemu. Bez niej. Bez nikogo.

– Ja też się tego nauczyłem – wyszeptał Jan. – Życia bez niej...

Wydra prawie zawisł na wargach księdza. O czym on mówi, do diaska? Co wyznawał? Czy to była ta wina?

– Skrzywdziłem kogoś, kiedyś... Teraz to się zemściło. Myślałem, że można uciec od własnych uczynków. Świadomie czy nie, to bez znaczenia. Ale wina jest winą, a kara karą.

Milczeli przez chwilę. Przedział wypełniał się szybko dymem.

– Myślisz czasem o piekle? – zapytał wreszcie Jan.

– Piekła nie ma – stwierdził autorytatywnie Wydra.

– Tak uważasz? – Jan nie był pewien, ale w jego głosie zabrzmiała nadzieja.

– To kłóciłoby się z Bożym miłosierdziem. – Wydra nie miał żadnych wątpliwości.

– Ale takie stwierdzenie może prowadzić do nadużyć. Do braku bojaźni – wątpił ksiądz.

– Piekło każdy nosi w sobie – skwitował Wydra, a Jan poczuł nieśmiało, że wraca do niego utracony spokój.

– Nie jesteś kukłą – podsumował cynicznie Wydra i nagle zamilkł.

Przypomniął sobie rękę Gabrysia na swojej twarzy. To tego chłopca on właśnie uznał za kukłę... Zgasił nerwowo papierosa i wrzucił peta do popielniczki. W żołądku paliła go zgaga. Miał ochotę wyrwać się z tego przedziału, uciec stąd, od myśli o Gabrysiu, o Soni, od wynurzeń księdza. Jednocześnie coś trzymało go tu, przykuwało przemocą do tego miejsca. Spostrzegł uważny wzrok Jana, na sobie.

– No i czego się ksiądz gapi? – warknął Wydra. – Że niewiele we mnie z człowieka? Jakoś polubiłem ten stan.

Zgrzytnął zębami, bo poczuł, że kłamie sam przed sobą. Co się stało takiego i kiedy, że nagle zaczęło mu być źle z tą swoją, przecież sprawdzoną filozofią? I z własnym, zgodnie z tą zasadą, przeżywanym życiem?

– Wpadnij czasem do mnie – poprosił miękko Jan.

Wydra zmrużył oczy. Działo się coś, co przechodziło jego pojęcie. Jan proponował mu... przyjaźń?

– Skoro uważasz, że nadal mogę czynić posługę... to może... zajrzysz czasem, żeby mi powiedzieć, czy wciąż jeszcze powinienem. I bądź dla mnie surowy. Wal prawdę prosto z mostu. Taki przecież jesteś. Bezkompromisowy. A ja tego potrzebuję. Prawdy.

– Oczekujesz prawdy? Ode mnie? – Wydra zaśmiał się.

Powrócił jego dawny, zdrowy cynizm i Wydra czuł, jak nareszcie wyzwala się z pęt, które sam sobie nałożył. Czy możliwe, że mógłby komuś ufać? Na kimś polegać? Jan, początkowo wystraszony jego reakcją, powoli rozluźnił się. Wyciągnął do Wydry rękę.

– To jak? Sztama? – zapytał.

Wydra patrzył na wyciągniętą ku sobie dłoń i czuł, jak śmiech, całe pokłady śmiechu topią się w nim, niczym lód.

Epilog

- Stop-klatka!
- Kończymy na dziś, szefie?
- Nie. Robimy kolejne ujęcie. Przygotować się!
- Jeszcze jeden dubel?
- Ostatnią scenę.
- Powtórkę? Po co?
- Inną wersję. Nową. Przemontujemy potem całość.
- Na happy end? To nie przejdzie! Nie ta bajka!
- To będzie film, jako alegoria życia... Niekoniecznie happy... Cisza na planie!

Magda, popraw Soni makijaż. Czoło się świeci. I zredukować oświetlenie! Mniej światła z lewej. Punktowo na balic...

– Gdzie ta balia?

– To ta? Jest za mała. Dajcie większą. O, ta będzie dobra. Muszą się zmieścić oboje. I dzban z gorącą wodą. Ekipa wychodzi! Zostaje operator! Panie Kaziu, do roboty! Cholera, mało tej pary! Podgrzejcie mocniej wodę! Soniu, zrzucaj łachy i do balii! Gerard, też jesteś nagi! Zbliżasz się do Soni z dzbanem! Akcja!

– „Wygnańcy raj”, ujęcie 165. Klaps!

– To naprawdę ty?

– Doleję ci wody, Soniu!

– Skąd tyle tej mgły? Trudno oddychać...

– Nie bój się. To tylko noc.

– Gdzie jesteśmy?

– Cicho, cicho, umyję ci plecy...

– Wchodzisz do balii, podajecie sobie mydło z rąk do rąk. Siadasz, obejmujesz

ją udami. Całujesz, potem ona ciebie.

– Czy to nam się śni? Gerard, odpowiedz!

– Możliwe.

– Prawie cię nie widzę. Masz takie ciemne czoło. Włosy ci urosły. Ledwo cię poznałam.

– Kładzie ci twarz na ramieniu. Odgarniasz mokre włosy z jej pleców. Siedzicie objęci ciasno. Jeszcze ciaśniej!

– Coś słyszę! Ktoś tu jest?

– Wydaje ci się.

– Może to twoja żona?

– Jesteśmy sami. Czy nie tego zawsze pragnęłaś?

– Nawet nie wiem, czy to na pewno ty... To przecież niemożliwe...

– Soniu, jestem przy tobie. Zawsze będę. Myśl tylko o tym.

– A co będzie... potem?

– Wysuszę cię i zaniosę do łóżka.

– Gdzie jesteśmy? Boję się. Ta noc nigdy się nie skończy, prawda?

– Nie wiem. Ja też nie rozumiem. Jak ty.

– Czy my... umarliśmy? Czy ktoś nami steruje?

– Nie pytaj o nic. Nie znam odpowiedzi.

– Zamykacie oczy. Wstajecie. Więcej pary na plan! Wychodzicie z wanny. Idzicie przed siebie. Nikniecie. Rozpływacie się w kłębach oparów, jak w świetle księżycy. Dobrze. Właśnie tak! Koniec ujęcia!

– Stop-klatka!

– Cięcie!